

Powieść zainspirowana jedną z najciekawszych polskich spraw kryminalnych

MARIUSZ ZIELKE

DLA NIEJ WSZYSTKO

POWIEŚĆ KRYMINALNA

Anna ma męża.
Mąż ma wroga.
Wróg ma pasję.
Morderczą pasję!

**POWIEŚĆ ZAKAZANA
- NIGDY NIE UKAŻE SIĘ OFICJALNIE**

Powieść zainspirowana jedną z najciekawszych polskich spraw kryminalnych

MARIUSZ ZIELKE

**DLA NIEJ
WSZYSTKO**

POWIEŚĆ KRYMINALNA

**Anna ma męża.
Mąż ma wroga.
Wróg ma pasję.
Morderczą pasję!**

**POWIEŚĆ ZAKAZANA
- NIGDY NIE UKAŻE SIĘ OFICJALNIE**

Spis treści

O Książce Prolog Część pierwsza Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4
Rozdział 5 Część druga Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10
Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16
Rozdział 17 Rozdział 18 Część trzecia Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21
Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27
Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30 Epilog O Mnie

O Książce

Ona, On i ten trzeci – manipulator i morderca. Jaką grę prowadzi? Dlaczego Oni stali się celem? Czy na pewno są bez winy? Kto przekroczy granicę, po której nie będzie już odwrotu? „Dla niej wszystko” to thriller zainspirowany jedną z najciekawszych spraw kryminalnych, jaka wydarzyła się w Polsce. Nic w niej nie jest oczywiste, a wiele zagadek pozostało nierozwiązanych.

Powieść „Dla niej wszystko” miała być wydana w październiku 2016 r. przez mojego ulubionego, renomowanego wydawcę. Niestety zostałem zmuszony do zerwania umowy z wydawcą. Nie mogę narażać go na wieloletnie procesy i inne zagrożenia. Mam jednak nadzieję, że nie będą Wam przeszkadzały braki edytorskie i przeczytacie tę powieść z przyjemnością.

Historia powstania „Dla niej wszystko” jest bardzo długa i ciekawa. Ale tak naprawdę można ją opisać kilkoma zdaniami. Były dziennikarz (to ja), po męczącym procesie z bogatym finansistą, dostaje od innego milionera intratną ofertę napisania POWIEŚCI o pewnym porwaniu. Gdy przez przypadek trafia na luźno związaną z nim sprawę wielkiej korupcji, lobbingu, mafijnych rozgrywek w służbach, a wreszcie serii morderstw i stawia w książce zupełnie fikcyjne (zmyślane) teorie na ten temat, nagle ktoś różnymi działaniami próbuje uniemożliwić mu wydanie powieści. Nie przypomina Wam to czegoś? Moja historia w dużej części jest niemal wyjęta z kart pierwszego tomu „Millennium” Stiega Larssona. Tyle że nie mam Lisbeth Salander :(. I nie jest to fikcja, tylko rzeczywistość.

Proszę Was, przeczytajcie powieść. Jest za darmo. Nic nie kosztuje. Nie będziecie żałować. Zaznaczam jednocześnie bardzo wyraźnie: to powieść zainspirowana faktami, a nie prawdziwa historia. Ewentualna zbieżność ze zdarzeniami znanymi z mediów, prawdziwymi osobami czy firmami jest całkowicie przypadkowa i niezamierzona. To zwykły fikcyjny kryminał, bez żadnego klucza. Tym bardziej niezrozumiałe są dla mnie działania osób, próbujących tę książkę zniszczyć.

Prolog

rok wcześniej

[data: dawno i nieprawda (wpis początkowy, przypięty)]

– Co zrobisz, by mnie zdobyć?

– Wszystko.

– Obiecujesz?

– Przysięgam.

– Nie przysięgaj.

– Dlaczego?

– Z paleniem też przysięgałeś.

– To nie to samo.

– Więc teraz inaczej przysięgasz?

*– Inaczej. Na wszystko, co święte przysięgam. Na najświętsze. Dla ciebie...
wszystko.]*

Powinna umrzeć wczoraj. Powinna już nie oddychać. Ale wciąż żyła. Nadal była mu potrzebna. Ciągle miała nadzieję. Złudną. Czuła, że już niedużo jej pozostało. Że w końcu mu się znudzi. Przystanie go zadowalać.

Wtedy weźmie w końcu ten nóż i zrobi z niego użytek, jak już nieraz groził. Dziś lub jutro. Najdalej pojutrze, bo pojutrze musi wyjechać. Alibi. Tak jej powiedział. Musi zadbać o alibi.

W przerwach, kiedy się nią nie bawi, kiedy jej nie krzywdzi, siedzi przed komputerem. Gra w grę. Śmieje się, klika myszką gwałtownie. Czasem się wkurzy. Wtedy przeklina.

Ona nie lubi przeklinać.

Ale słuchać musi.

Jest przywiązana za ręce i nogi. Nie może się nawet podrapać. Nie wolno jej zasłaniać uszu.

Ale może nie patrzeć. Zamknąć oczy może.

Tylko że wtedy on grozi, że jej podklei powieki, żeby patrzyła.

Nie śpij. Potrzebuję towarzystwa.

Więc nie śpi. Patrzy jak on gra, a potem jak ogląda porno.

Podchodzi i znów jej każe być grzeczną.

Ona wtedy myśli o lesie za oknem. Piękny ten las, szumiący, pachnący, dziki.

Zero cywilizacji.

Tylko oni w tym lesie.

Wstaje. Przeciąga się zadowolony. Drapie wulgarnie. Chamski się staje, nie dba o pozory. Taki niby przystojny, taki gładki i wspaniały.

Patrzy na nóż.

Nie, jeszcze nie. Jeszcze nie dziś.

A potem znów siada do komputera i przegląda strony. Na fejsa wchodzi. Klika w zdjęcia i patrzy na inną kobietę. Znacznie starszą i wcale do niej niepodobną. Ciemnowłosą, o zielonych oczach. Czasem do niej mówi.

Mówi, jak do kolejnej ofiary.

Co on w tobie widzi, Anno – mówi.

Część pierwsza

Przed

Kwiecień–czerwiec

Rozdział 1

[27 kwietnia, czwartek, rano

Brr, już mi zimno. Pogoda się poprawiła, ale na długi weekend zapowiadają ochłodzenie. Dla mnie pewnie bez znaczenia. Anafranil nie pomaga, choć może bez niego byłoby jeszcze gorzej. Trzęsę się pewnie i z gniewu. Wszystko siedzi w głowie, wiem. W głowie. To prawda. Ale jak głowę przekonać? No, sam powiedz, jak? Muszę wziąć się w garść, bo jak coś nie wyjdzie, znów będzie na mnie. Jak zwykle. Przyjęcie prawie gotowe, wszystko niby dopięte. Elizka znudzona, ale trochę pomaga. Michaś rozdrażniony. Wcale przecież nie chciał tej całej awantury. Przecież już nie jest dzieckiem. Dzieci bawią się na urodzinach. Dorośli... robią inaczej – tak mówi i ma rację. Ale sam wiesz, jak to jest, jak Daniel się uprze. On wie przecież lepiej, co dobre. Nikogo nie słucha. Tak musi być i koniec. Nawet gdyby Michaś miał się zapierać, on go przekona, że jest inaczej. Ma dar przekonywania. W końcu jest niezwykłym negocjatorem. Zawsze wygrywa. Tylko dlaczego potem to ja muszę wszystkiego pilnować. Dziś trzeba jeszcze się upewnić, że tort dowiozł na czas, nie zapomną. No i te jego animatorki. Prawie na mnie nakrzyczał, jak pytałam, po co mu animatorki. Sprawdzić. Albo nie. Nie będę sprawdzać. Może nie przyjdą. Kelnerów sprawdzić? Lepiej kelnerów. I barmana. Ma być ten magik, co potrafi kręcić czterema butelkami naraz. Mistrz. O szesnastej pierwsi goście.

Przypomnieć mu, żeby się nie spóźnił.

Dwa razy przypomnieć.

Obiecał, że się nie spóźni.

Przysięgał]

Ktoś poznał tajemnicę. Może nawet zajrzał do jego głowy. Wie o tym, co

zrobił i co planował. Zna najskrytsze sekrety i nie zawaha się tej wiedzy wykorzystać. No bo, gdyby było inaczej, po co dawałby mu ZNAK? Jak się zatem bronić, nie wiedząc nawet kim jest i jaki ma cel? Jakie kroki jeszcze podejmie? Kiedy zaatakuje?

Nie były to pytania, które chciał zadawać. Szczególnie teraz, gdy wszystko się wali. Gdy po raz kolejny trzeba znaleźć rozwiązanie. Wpaść na jakiś genialny pomysł, który uratuje upadające królestwo.

– Zdecydowałeś?

Daniel Wais nie odpowiedział od razu. Stał przed oknem w gabinecie, z którego widział niemal cały ogród i wejście na kryty basen w drugim skrzydle domu. W ogrodzie bawiło blisko sto osób naturalnie podzielonych na trzy grupy. Najliczniejszą stanowili najmłodsi, skupieni wokół Michała i animatorek organizujących dla nich konkursy i gry. Nic dziwnego, w końcu to jego święto, jego czternaste urodziny. Nieznacznie mniej liczne było grono przyjaciół Elizy. Jak przystało na studentów, częstych bywalców nocnych klubów i dyskotek, w równych odstępach czasu kursowali pomiędzy barkiem serwującym piwo i mocniejsze alkohole, a wejściem do krytego basenu. Trzecią grupę można było policzyć na palcach dwóch rąk. Rodzice kolegów Michała, sąsiedzi i czyniący honory gospodarza ojciec Daniela otoczyli duży piec grillowy, na którym dojrzewały włoskie kiełbaski, przyprawione na ostro karkówki i pospolite, lecz cieszące się dziś największą popularnością kaszanki.

Ojciec godnie zastępował gospodarzy – spóźnionego Daniela i śmiertelnie obrażoną Anię. Uniósł ramię i pomachał w kierunku domu, jakby zobaczył syna w oknie, choć to było niemożliwe. Szyba w gabinecie została wykonana w technologii, która nie pozwalała na podglądanie z zewnątrz, co dzieje się w środku.

Czarodziej – pomyślał Daniel. Jak zwykle ma swoje przeczucia. Jest w tym prawie tak dobry jak Biernat. Prawie.

– Opuściliśmy – postanowił. – Niech się Pałucki udławi.

Paweł Rozmus pokiwał głową z aprobatą. Także uważał, że akurat w tym wypadku powinni zrezygnować z rywalizacji z największym konkurentem. Pętla na szyi Pałuckiego była już mocno zaciśnięta. Nic dziwnego, że walczy tak ostro, składa oferty poniżej kosztów, nie stroni od ryzyka czy wręcz brawury, którą oni uważali za zwykłą głupotę. Jeśli, zamiast zarabiać, chce ciągle dokładać do zleceń, jego problem. Sam się wykończy, bez ich pomocy. Zraniony zwierz bywa niebezpieczny, potrafi kąsać nie patrząc z kim zadziera.

Odhaczył kolejny punkt w notesie i wskazał na leżącą na stole gazetę.

– A co z tym?

Wais stanął plecami od okna i długo patrzył w oczy niezwykle szczupłemu, wysokiemu mężczyźnie o czarnych, mocno kręconych włosach i gęstej brodzie

okalającej twarz. Wyglądał trochę jak wyciągnięty z albumu z lat sześćdziesiątych. Artysta, muzyk albo poeta. Wyróżniał się z tłumu, sprawiał wrażenie niedzisiejszego i zwariowanego, a jednocześnie miał w sobie coś magnetycznego, pociągającego zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Może dlatego tak szybko zyskał zaufanie Daniela.

A może dlatego, że tak bardzo się od siebie różnili – Daniel przecesał krótko przycięte blond włosy, pogładził pozbawiony zarostu policzek, po czym, jakby zawstydzony uciekł wzrokiem gdzieś w ziemię i dopiero po dłuższej chwili spojrzął znów na dyrektora generalnego firmy.

Tyle lat razem. Chudych i tłustych. Tyle wspólnie przeżytych zawodów i sukcesów. Dziś Rozmus był jego najbliższym doradcą, partnerem, współnikiem. Przyjacielem. Jednym z nielicznych, jakich miał. Najlepszym, zaraz po Biernacie, a może i przed nim.

A jednak nawet jemu nie mógł powiedzieć wszystkiego.

– Bez znaczenia – szepnął Daniel.

– Naprawdę? Tak to odpuścisz?

Oczy Daniela strzeły dobrze znanym Rozmusowi błyskiem, którym reagował zawsze, gdy przeciwnicy naruszali granicę. Oczy obiecujące rewanż. Nie, wcale nie zamierzał odpuszczać.

Wais podszedł do biurka, stanął za masywnym fotelem, złożył ramiona na oparciu i wbił palce w gruby materiał niczym kot ostrzący pazury. Potrzebował chwili, by wszystko sobie ułożyć. Tyle się dziś wydarzyło. Złego, bardzo złego i jeszcze gorszego.

Jakaś cholerna zła karma.

Rozmus rozumiał go lepiej niż ktokolwiek, dlatego nie przerywał przedłużającej się ciszy. Tkwił przy drzwiach, jak Tom z ich ulubionego filmu. Gabinet zresztą też był niemal wyjęty z wizji Coppoli. Mroczny, słabo oświetlony przez to przyciemnione okno, niezbyt obszerny, wypełniony ciemnymi meblami, różnymi talizmanami, pamiątkami z egzotycznych podróży, prezentami, butelkami z drogim alkoholem. Pachnący dymem, spiskami, potem i krwią. Przelano tu masę płynów wysokoprocentowych i ustrojowych. Nigdy jednak nie ustawiały się pod nim kolejki petentów proszących o ochronę czy wstawiennictwo.

– Nie jestem ojcem chrzestnym – szepnął w końcu Daniel.

Odepchnął fotel, przeszedł w lewo do biblioteczki. Stanął koło regałów i przejechał palcem po grzbietach tomów ustawionych na środkowej półce. Z braku czasu ostatnio mało czytał. Jednak biblioteczkę miał całkiem okazałą, wypełnioną po brzegi starannie dobranymi tomami, ustawionymi w równych rzędach na ośmiu półkach sięgających sufitu. Nie było na nich śladu kurzu. Nawet jeśli nie miał czasu na przesiedzenie całego wieczoru z książką, starał się przynajmniej raz dziennie przerzucić parę stron ulubionych pozycji. Powąchać, poczuć szelest

papieru pod palcami, smak słowa. Szczególnie tej jednej, jedynej, najważniejszej. Wyróżnionej, ustawionej frontem na tle grzbietów pozostałych. Specjalne podziemne wydanie z początku lat siedemdziesiątych w nieoficjalnym tłumaczeniu. Zdobyte jakimś cudem przez ojca tuż przed rejsem do Meksyku, w który wyruszył przed stanem wojennym. Który to był rok? Siedemdziesiąty dziewiąty czy może już osiemdziesiąty? Daniel jak dziś pamiętał, gdy ojciec wręczał mu tę książkę z obietnicą, że wróci, zanim młody zdąży ją przeczytać. Choćby nie wiadomo co, wróci.

Daniel pochłonął wręcz powieść dwanaście razy, gdy stary marynarz znów stanął w progu ich prostego, zapuszczonego, robotniczego domu. Ale ani razu nie pomyślał, że ojciec go okłamał. Nie, po prostu nie powiedział, przed którym przeczytaniem to się zdarzy. Syn wierzył potem, że sprowadził go z powrotem. Wierzył, jak autor wręczonej mu powieści, że każdy człowiek ma tylko jedno przeznaczenie, a przeznaczeniem ojca jest powrót. Dlatego musiał wrócić. Musiał, bo rodzina była ważniejsza od zawieruch historii i pokus, które czyhały na niego w Nowym Świecie. Rodzina była najważniejsza.

Poczuł suchość w gardle i przyływ łez wzruszenia dotykając tej świetnej, prostej, minimalistycznej czarnej okładki, ozdobionej wielkimi białymi literami i nieco mniejszym krzyżykiem w tajemniczej dłoni poruszającej sznurkami marionetki. Prawdziwy skarb. Z zewnątrz i wewnątrz. Ta brutalna, niezwykła powieść o zasadach nauczyła go znacznie więcej niż belfrzy w szkole, koledzy i pierwsi partnerzy. Ukształtowała, pozwoliła wybrać właściwą drogę zarówno w biznesie, jak i w życiu. To w dużej mierze dzięki niej stał się tym, kim dziś był.

„Wielcy ludzie nie rodzą się wielkimi, tylko się nimi stają.” (ten i inne cytaty Mario Puzo „Ojciec chrestny”)*

– Może powinieneś – zauważył Rozmus. – Nie lekceważ znaków.

Ale też ich nie przeceniaj, pomyślał Wais.

– A jeśli to przypadek?

Rozmus uśmiechnął się. Zerknął w kierunku biblioteczki.

– Jak to było: przypadki *„nie zdarzają się ludziom, którzy traktują je jak osobiste zniewagi”*?

Wais skinął tylko głową w odpowiedzi, choć cytat nie był dokładny, ale oddawał sens. Rozmus miał rację. To nie był przypadek i powinien zareagować. Wiele rzeczy powinien dziś zrobić.

– Drań cię szantażuje – zakończył Rozmus. Wkrótce wyszedł.

Daniel zatonął w fotelu w pozie zdradzającej wielkie zmęczenie, a może zniechęcenie. Siedział tak przez chwilę niemal bez ruchu. Myślał o dzisiejszym dniu, trochę o Pałuckim, jego ciągłych pretensjach o podbieranie rynku i pracowników, a potem o tych wszystkich wydarzeniach, przez które spóźnił się na urodziny syna. Mimo obietnic, że tym razem nic mu nie wyskoczy, jak podczas

ostatnich dwóch tradycyjnych czwartkowych rodzinnych kolacji. Ponownie zawiódł. I to przez jakiegoś dupka. Hausberger. Co za nazwisko?! Wyciągnął z kieszeni wizytówkę i rzucił ją na stół ze złością.

ARKADIUSZ HAUSBERGER

dyrektor

Grupa Doradcza Wenecja

Miał mu zająć pięć minut, a ukradł godzinę. Obiecując, zwodząc, wciągając w pułapkę. Człowiek pięć procent. Małe *fi* dla niego, duże zyski dla Daniela. Kłopoty z przetargami? Nieuczciwi kontrahenci? Zwłoki w płatnościach? Rozwiązujemy takie problemy od ręki. Rzeczy niemożliwe załatwiamy na jutro. Takich przyjaciół powinno się cenić. Na początek wystarczy... jakiś mały milionik. Euro. Milion euro.

Za dużo?

Dla takiego biznesmena jak pan?

Przecież nie płaci pan z góry, tylko od efektów. *Success fee*. Żadnych papierków, adwokatów, umów. *Dzientelmens agreement*.

Nie jestem biznesmenem, tylko przedsiębiorcą – miał ochotę odpowiedzieć. Posłać typa do diabła, tam gdzie jego miejsce. Choć raz zrobić coś na przekór, wbrew wszelkim naukom i radom Biernata, ojca, innych. Otwarcie wypowiedzieć wojnę. Olać tę żelazną zasadę: „*nie pozwól, by inni wiedzieli, co tak naprawdę myślisz*”.

Zamiast tego zapowiedział gruntowne przemyślenie propozycji, oprowadził tajemniczego posłańca po zakładzie, z dumą pokazał mu swoje królestwo, a potem towarzyszył do czekającej na parkingu limuzyny. I dopiero wtedy, jak przystało na autorytarnego, dumnego władcę, odmówił.

Stanowczo, ostatecznie i bezwarunkowo.

Nie jest zainteresowany. Nie potrzebuje usług Hausbergera.

Zabieraj swój cyrk i nie wracaj!

Ależ czuł dumę, gdy to zrobił. I wciąż mógłby zdążyć na urodziny syna.

Gdyby nie tabloid.

Brukowiec. Kolorowy szmatławiec.

Gdy wrócił do biura po pożegnaniu lobbysty, pożółkła, nieco zniszczona, stara gazeta leżała na krześle, przy którym wcześniej siedział Hausberger. Oczywiście było, że to gość ją zostawił. Oczywiście na pierwsze spojrzenie. Przy drugim, już nie tak bardzo. Za to jeszcze bardziej niepokojące. Dałby głowę, że Hausberger nie miał w dłoniach żadnej gazety, gdy wchodził na audiencję, nie majstrował przy torbie w czasie spotkania, nie grzebał nigdzie przed wyjściem.

Magik? Mało tego, Daniel był prawie pewien, że zobaczyłby gazetę, gdy go wyprowadzał z pokoju na halę fabryczną. Prawie... Mógł przeoczyć? Mógł, ale...

Wstał zza biurka i ponownie podszedł do okna.

Przyjęcie już dobiegało końca, a Ania wciąż siedziała obrażona u siebie w sypialni. Pewnie oglądała jakiś film. Zatopiona w ciepłych kołdrach, a wciąż drżąca z zimna, jak zawsze, gdy coś ją rozbiło, zniszczyło, wnerwiło. Gdy on ją wyprowadził z równowagi, co potrafił jak nikt inny.

Nie chciała wyjść do gości. Skoro ty się musisz spóźnić, to ja sobie całkowicie odpuszczę. Niech się goście sami bawią. Jak chcesz, się obraż. Idź sobie do tej swojej firmy na noc, jak ostatnio, wyprowadź się na tydzień, spakuj walizkę i jedź gdzieś ochłonąć. Ja tak powinnam zrobić. Powinnam ci pokazać, że też potrafię być... nierozważna, beztroska i chimeryczna.

Tylko tobie wolno się obrażać?

Ojciec ratował sytuację jak mógł. Radził sobie świetnie ze starymi, a młodzi... w sumie nie potrzebowali wsparcia. Dzieciaki z wypiekami na twarzach udzielały się ochoczo w konkursach organizowanych przez dwie wynajęte blondynki. Wbrew obawom Michała, który twierdził przed przyjęciem, że czternastolatki nie chcą już się bawić jak dzieci. Nie przewidział, że Daniel załatwi im TAKIE animatorki, że młodzież od Elizki też chętnie przyłączy się do zabawy, mieszając z dzieciakami.

Teraz miał wrażenie, że większości przyjaciółom córki było już wszystko jedno. Procenty zwyciężyły z ambicjami. Nie potrzebowali niczyjej pomocy w opróżnianiu butelki za butelką z jego barku. A może już wzięli od tych dwóch wysportowanych dziewczyn wizytówki i umówili się na noc do klubu? Elizy nie było na widoku. Może odeszła gdzieś z Radkiem, a może poszła pocieszyć mamę? Pospiskować z nią przeciwko niemu.

Zawsze razem. One przeciwko nim.

Wahał się przez chwilę, a potem postanowił, że jednak przesiedzi w norze do końca przyjęcia. Wkrótce wszyscy sobie pójdą. Będzie mógł wypełznąć, jak to mówiła Anna. Do tego czasu poczyta książkę albo przejrzy raporty. Niech się dzieje, co ma się dzieć. Wrócił do biurka i po raz kolejny wziął do ręki najważniejszego sprawcę dzisiejszego spóźnienia, choć obiecał już sobie, że przestanie o tym myśleć. Tabloid, wydanie sprzed roku, na czołówce wielki tytuł: **BIZNESMEN BRUTALNIE ZAMORDOWANY PRZEZ MAFIĘ**. W środku tekst o tym, jak pozornie szanowany przedsiębiorca został osaczony przez policję, okazał się rezydentem jakiegoś groźnego syndykatu, a ostatecznie zginął w porachunkach. Zginął w niesławie i nikt o nim nie będzie pamiętał. Rozmus, gdy tylko Daniel pokazał mu gazetę i opowiedział o wizycie lobbysty, chciał dzwonić na policję. Był przekonany, że to groźba. Nawet niespecjalnie zawołowana, wręcz oczywista. Szantaż.

Nie dasz miliona, czeka cię to samo, co tego tam opisanego.

Potrzebowali tylko dowodów przesądających sprawę.

Zrobili małe śledztwo. Monitoring wewnątrz budynku pechowo nie nagrywał. Sekretarka nie widziała nikogo wchodzącego do gabinetu po tym, jak wyszedł z Hausbergerem. Nikt nie zaglądał do Daniela poza dyrektorem Rozmusem. A, była na chwilę jeszcze pani Ania i ojciec Daniela. Pytali, gdzie jest i prosili, żeby przekazała prośbę, by się nie spóźnił. Nie, nie wchodzili do gabinetu. To znaczy chyba, bo ona poszła go poszukać, a oni zostali. Mogli więc wejść. Oboje, albo jedno z nich. Ojca już zapytał. Gazeta? Nic nie wie. Zostawił Anię i poszedł przygotować auto do drogi. Więc teoretycznie mogła to być Ania.

Ania mogła zostawić mu gazetę sprzed roku. Tylko po co?

Gdy o to zapytał, wściekła się jeszcze bardziej.

Naprawdę potrzebujesz takiej wydumanej wymówki? Co to w ogóle za pomysł ze starą gazetą? Stuknij się w łepetynę. Zastanów nad sobą i swoim postępowaniem. Paranoik.

Jebut.

Aż przeszył go dreszcz na wspomnienie trzaśnięcia drzwiami. Solidne, to wytrzymały. Framuga jednak mogła się trochę naruszyć. Ania może wyglądała na drobną i nieagresywną, ale gdy już straciła anielską cierpliwość...

Więc to nie ona.

Bo gdyby ona, to by oznaczało...

Nie dopowiedział nawet w myślach, choć nie znosił, gdy inni wypowiadali się w ten sposób. Mężczyzna nie zostawia niedopowiedzeń.

Ponownie zerknął na okładkę i na mniejszy tytuł pod spodem, tytuł, który zaniepokoił go znacznie bardziej niż ten o śmierci biznesmena. Prostackie groźby nigdy zresztą nie robiły na nim wrażenia. Sygnały ciężkie do interpretacji oraz takie, które mógł błędnie odczytać uznawał za znacznie groźniejsze. On i Biernat.

Bój się tego, czego nie rozumiesz. Jeśli widzisz pistolet, wiesz, że to nie przelewki. Wiesz, że nie powinienesz rzucać się na niego bez odpowiedniego uzbrojenia. Jak to było w tym żarcie o Ruskim zagubionym w tureckim barze? Tylko głupiec przychodzi na strzelaninę z nożem.

Może więc to Ania, ale dobrze udaje?

Czy to jego zielonookie, czarnowłose czterdzieści osiem kilo spokoju, dobroci, wielkoduszności, piękna i... chłodu, byłoby zdolne do intryg i kłamstw?

Nie, niemożliwe.

Przerzucił stronę, kolejną.

Twarz dziewczyny. Patrzyła na niego ze zdjęcia umieszczonego przy artykule. Taka ufna i zamyślona, jak to zwykle na legitymacyjnych fotografiach. Ładna, może nawet piękna. Oczy inteligentne. Z urodą i mądrością mogła dużo osiągnąć w życiu. A jednak do niczego nie doszła i nie dojdzie.

Daniel widział ją nie po raz pierwszy.

Znał lepiej niż dobrze.

Zapadła mu w pamięć.

Na zawsze.

Czy Ania go okłamywała? Czy mogła się czegoś domyślić? Czy poznała jego tajemnicę? Jego i...

– Tato – Eliza stanęła w drzwiach. Musiał nie dosłyszeć pukania, bo na pewno pukała. Gwałtownie zamknął gazetę i odłożył ją na stół. – Tato, chcemy z Radkiem wziąć ekipę i pojechać do klubu.

– Nie macie dość?

– Tato.

Tak, wiem, nie jesteś już dzieckiem. Masz dwadzieścia lat. W zasadzie to mogłabyś się już wyprowadzić, zamieszkać z Radkiem i nas zostawić. W sumie nie musisz się pytać o zgodę. Ostatnio przecież ci powiedziałem, że drugie auto jest tak samo twoje jak i mamy. Możesz je brać, kiedy chcesz. Robisz mi uprzejmość, więc, stary capie, przestań zrzędzić, tylko daj kluczyki do volvo.

– Piłś?

– Tato.

Tak, wiem, skoro chcesz kluczyki, to nie piłś. Nie jesteś głupia.

– Jedźcie pociągiem.

Zrobiła minę, jakby chciała powtórzyć numer mamy z drzwiami, więc szybko zareagował. Nie potrzebował wojny z kolejną histeryczką.

– Żartowałem.

Wstał, wyciągnął kluczyki z pudełka na biurku, miał już jej podać, gdy wpadł na ten pomysł. Położył kluczyki na gazecie. Eliza podeszła, wzięła je i spojrzała najpierw na winietę, a potem na Daniela.

– Zaczęłeś czytać tabloidy?

– Nie – powiedział z kamiennym obliczem i dodał obojętnym tonem, jakby to nie miało żadnego znaczenia: – Klient zostawił w biurze.

Ponowne zerknięcie Elizy. Zauważyła drugi tytuł. Ten ważniejszy, choć mniejszy, nie rzucający się tak w oczy. Zerknięcie na datę wydania. Rosnące zdziwienie, pierwsze oznaki zaniepokojenia. Gazeta sprzed roku. Z zadowoleniem odnotowywał kolejne emocje, budzące się w Elizie. Była bystra, może nawet mądrzejsza niż on. Wciąż jednak była dzieckiem bez doświadczenia. Przewidywalnym, niezdolnym do opanowania, do chłodnej kalkulacji. Ona też już wiedziała, że to nie przypadek. Tyle że nie wiedziała, że on wie, że ona wie. Gra dwojga kłamców, z których jeden ma znaczącą przewagę. On miał przewagę. Tyle że wcale nie rozdawał kart. Całą talię i dzokery w rękawach miał ten, kto zostawił gazetę w biurze.

– Co to za klient? – Głos lekko złamany, nienaturalny. Kiepska z ciebie

kłamczucha, córeczko. Albo ze mnie dobry detektyw.

– Mało ważny.

– Mogę? – Eliza nie czekała na pozwolenie. Zgarnęła gazetę razem z kluczykami i już jej nie było.

Zaskoczyła go. Pozytywnie. Nie spodziewał się tak szybkiej reakcji. I chyba właściwej. Błyskawicznie znalazła sposób, by pozbyć się problemu, to znaczy uniemożliwić mu nabranie podejrzeń, jeśli ich nie miał. Nie wiedziała, że miał, więc z jej perspektywy było to najbardziej racjonalne. Ale ta szybkość... Może więc źle ją oceniał? Może już wyrosła i wcale nie była taka niewinna, jak mu się wydawało? Cóż, kiedyś pewnie godnie go zastąpi. Może lepiej niż Michał.

Posmutniał. Ten dzień nieprzypadkowo się tak ułożył.

Kłopoty z Pałuckim nie były przypadkowe.

Wizyta Hausbergera też.

I ta gazeta.

Kłótnia z Anią.

Inne wyroki przeznaczenia.

Coś czało się w powietrzu. Coś złego.

Potrzebował rady kogoś bardziej doświadczonego niż Rozmus. Kogoś, kto w walkach z takimi typami, jak ten przeklęty lobbysta i cienie, które za nim stały zdobył już wiele odznaczeń i medali. Kogoś już wtajemniczonego.

Poszedł pożegnać gości, podjął ostatnią dziś próbę pogodzenia się z Anią, wręczył Michałowi kolejny prezent za „spóźnienie”, poudawał zainteresowanie jego relacją z przyjęcia, na koniec spał się bezsensownie z ojcem, po czym znów zniknął w bezpiecznej, spiskowej norze. Sięgnął po telefon i wybrał numer do Biernata. A potem wysłał esemesa.

Przyjedź! Jak najszybciej przyjedź!

Rozdział 2

[27 kwietnia, czwartek, noc

Wyobraź sobie, że się spóźnił. Ponad godzinę. Na jakiegoś dupka zwalił. Dupka o nazwisku jak szczekanie. Barry zaszczekaj. Hau–jakośtam. A potem jeszcze na mnie próbował. Miałam ochotę mu wygarnąć i powiedzieć prawdę. Drzwiami za to walnęłam, jak należy. Obraził się i nie wyszedł. To ja też się obraziłam. Uwierzysz? Naprawdę to zrobiłam. Zamknęłam się u siebie i oglądałam TV. Nie wiem co. Leciało, w głowie nic nie zostało. Niezłe przyjęcie, naprawdę niezłe. Ubaw po pachy. Największy miał Stary. Musiał siedzieć z gośćmi i udawać, że nic się nie dzieje. Ale słodka zemsta na Starym za jego ostatnie numery, za te jego wszystkie spiski książkowe. Potulny staruszek, do rany przyłóż, dobre sobie. Ma teraz za swoje. Za to, że tak dobrze nami manipuluje. Daniello nie wylazł z nory. I dobrze. Honorowy jak ja. Bardziej honorowy. Dopiero wieczorem spasował. Przeprosić nawet chciał (chyba), ale mu przez gardło nie przeszło. Pogodzić się przecież przyszedł, a nie przeproszać. A teraz? Pewnie czeka na tego swojego consigliere. Pewnie doczekać się nie może, aż usiądą przy basenie, spiją się i przeciw mnie pospiskują. Pewnie tak będzie.

Powinnam go zostawić. Skoro się skończyło, powinnam.

Zanim stanie się coś złego.]

Niebieski obserwował posesję przez lornetkę. Brama właśnie zamknęła się za ostatnimi gośćmi. Stary mężczyzna pełniący rolę gospodarza pomachał jeszcze do kogoś na pożegnanie. Przez dłuższy czas stał na podjeździe wpatrzony w noc. W pewnej chwili głowa mężczyzny znieruchomiała. Niebieski dostroił przystawkę noktowizyjną. Starał się wyostrzyć obraz na twarzy tamtego. Miał wrażenie, że starzec jakimś cudem przeniknął ciemność, dostrzegł go i teraz wpatruje się dokładnie w niego, choć to było niemożliwe. Wyczuł go? Jakimś tajemnym zmysłem potrafił wyłowić z mroków nocy? Może podczas tych egzotycznych, dawnych podróży nauczyli go jakiegoś cholernego Voodoo?

Chłodniejszy powiew wiatru przeszył kurtkę Niebieskiego, ale mężczyzna

nawet nie zadrżał. Jego wytrenowane, silne ciało przywykło do niewygód. Nie reagowało specjalnie na zimno, tak jak mózg nie odczuwał strachu. Emocje rzadko towarzyszyły jego poczynaniom. Dzięki temu w większości przypadków dokonywał właściwych wyborów i był w tym miejscu, w którym był. Już dawno zrozumiał, że kalkulacja jest znacznie skuteczniejsza od adrenaliny.

Wielu ludzi żyjących w podobny do niego sposób od dawna gryzło ziemię. Jeszcze więcej spoglądało na świat zza krat. Mięśnie i pistolety im nie pomogły. Zabrakło czegoś innego, ważniejszego.

Niebieski ani nie płakał za nimi, ani nie cieszyły go ich klęski. Nie był zdolny do współczucia, tak jak unikał wielkoduszności. Owszem, czasem musiał udawać. Klepać innych po plecach, śmiać się z żartów, ścisnąć przyjacielsko, reagować przesadną złością, głośno wzdychać czy krzyczeć z rozkoszy podczas orgazmu, pozorować wzruszenia, a niekiedy płakać na zawołanie, jak podczas pogrzebu własnego – chuj z nim! – ojca.

W rzeczywistości wszystko to było wystudiuwane, podobnie jak uśmiech, który wykwitł na jego twarzy, gdy brama ponownie się otworzyła, a starzec przesunął w bok, by ustąpić miejsca terenowemu volvo. Niebieski nie dostrzegł, kto prowadził, ale szybko się domyślił. Okno z tyłu było otwarte i wystawały przez nie ramiona młodych ludzi.

Studenci, przyjaciele młodej. To ona siedziała za kółkiem.

Niebieski poczuł nadmiar śliny w ustach, choć pozostałe zmysły i mięśnie nie reagowały. Splunął.

Samochód zjechał ostrożnie z podjazdu i przyspieszył. Brama zamknęła się. Wtedy do starego na chwilę dołączył młodszy. Zamienili może dwa zdania, wyraźnie coś dziś pomiędzy nimi nie grało, bo starzec machnął w końcu ze złością ręką i poszedł w swoją stronę. Wyraźnie złorzeczył pod nosem.

Żony młodszego Niebieski nie widział przez cały wieczór, od kiedy rozpoczął obserwację. Też musiała się obrazić. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Syn już od dawna siedział u siebie w pokoju; pewnie testował najnowsze gry i zestawy młodego majsterkowicza, które tak go pochłaniały.

Niebieski przez chwilę wyobrażał sobie, jak zaciska dłonie na jego gardle, ale nic to nie dało. Żadnej przyjemności. Żadnego podniecenia. Jedyne trochę więcej śliny.

Znów splunął.

Schował lornetkę do plecaka, poprawił kaptur sportowej bluzy, mocno wcisnął dłonie w kieszenie i ruszył krótkimi podbiegami w stronę centrum handlowego. Kudłaty czekał na pustym o tej późnej porze parkingu w umówionym miejscu. Daleko od innych aut, tuż przy ścianie drzew.

– Wsiądź z tyłu – nakazał, gdy Niebieski otworzył przednie drzwi.

Przybysz zawahał się, wzruszył ramionami, zatrzasnął drzwi i sekundę

później usiadł z tyłu, na kanapie.

– Lubię amerykańskie filmy – wyjaśnił Kudłaty, jakby Niebieski tego nie wiedział. To głównie dzięki Kudłatemu i on wciągnął się w te wszystkie klimaty Friedkina, Scorsese, wreszcie niezrównanego Tarantino. To zapewne dzięki temu ostatniemu Kudłaty nadał mu taki pseudonim. *Mister Blue*. – Na amerykańskich filmach zawsze informatora i agenta dzieli bariera. Nigdy nie siadają koło siebie. Tak lepiej filmować. Ja z przodu, ty z tyłu. Ja patrzę w lusterko, ty patrzysz w lusterko. Coś nas dzieli, coś niby mało znaczącego, a jednak nieprzekraczalnego.

Niebieski przełknął ślinę, choć miał ochotę splunąć. Kudłaty i to jego pierdo...

– Jesteś agentem czy informatorem? – Zapytał.

– A jak wolisz?

Niebieski wzruszył ramionami.

– Byle kasa się zgadzała.

– Masz rację. To tylko kwestia techniczna. W amerykańskich filmach przykładają do niej znaczącą rolę, czasem kluczową, ale zawsze liczy się kasa. To ona decyduje.

Kolejna porcja śliny. Niebieski pomyślał, że powinien sprawdzić, czy to nie jakaś choroba. Przełknął.

– Co u frajera?

– Po staremu.

– Wyglądał na zdenerwowanego.

Oczy Kudłatego błysnęły złowrogo. Umawiali się, że Niebieski będzie unikał spotkań z celem i jego rodziną, a już na pewno nie będzie go śledził. Chyba jednak Kudłaty nie miał ochoty na kłótnię, bo odparł:

– Ma powody. Znalazłeś *Pana Pinka*? – wąskie usta Kudłatego ledwie się uchylily.

– Mam kogoś na oku – odparł wymijająco. Niektóre kwestie chciał zostawić tylko dla siebie. Tym bardziej, że jeszcze nie był pewien, czy dokonał właściwego wyboru. Miał Różowego, lecz wciąż mógł on podlegać wymianie.

– Już czas. We dwóch nie dacie rady.

– Znajdę.

– A Brązowy?

– Co, Brązowy?

– *Pan Brown* opanował te swoje instynkty? Powiedziałeś mu, że najpierw się myśli, a potem robi?

– Panuję nad nim.

*

Prawie cały wieżowiec niedaleko Ronda ONZ spał od dawna. Błękitnawe światła jarzeniówek paliły się jedynie na szóstym piętrze, w oknach należących do biur Grupy Doradczej Wenecja. Partnerzy siedzący za stołem wyglądali na wyraźnie zmęczonych i zniecierpliwionych przedłużającą się naradą. Zerkali na zegarki, coraz częściej sięgali po szklanki z wodą, bawili się zapalniczkami i długopisami. Wybiła druga w nocy.

Hausberger referował od co najmniej trzech godzin. Od czasu do czasu wstawał z za komputera i wolnym krokiem przemierzał pokój od ściany do ściany. Mimo napiętego grafiku, podróży z Trójmiasta i dwóch kolejnych spotkań z baronami paliwowymi, które odbył w Warszawie, wciąż zachowywał świeżość. Opalona twarz wpisana w lekko jajowatą głowę zwieńczoną rzadką kępką włosów nie wysyłała do widowni żadnych grymasów, oczy pozostawały czujne i bystre, a obciążone lekką nadwagą ciało w szarym garniturze poruszało się sprawnie i sprężysto. Był jak robot. Nie do zdarcia. Pomimo przekroczenia pięćdziesiątego piątego roku życia, wciąż wygrywał w tenisa z młodszymi o dwadzieścia lat byczkami. W innych dziedzinach też sobie radził.

- Może na dziś skończymy? – Zaproponował jeden z partnerów.
- Został tylko jeden temat – odparł Hausberger. – W sumie krótki.
- Dobrze. Zamknijmy go, będzie spokój.

Hausberger uśmiechnął się pod nosem. Zamknąć możemy, ale spokoju nie będzie.

- Co to za klient?

– Wais. Nazywa się Daniel Wais – Hausberger wybudził laptopa z uśpienia, odszukał w najnowszych dokumentach na dysku teczkę z napisem DaTa–Wais. Kliknął dwukrotnie myszką i kombinacją klawiszy przerzucił obraz na rzutnik. Podwieszona pod sufitem skrzynka zaszumiała charakterystycznie. Projektor nagrzał się, zamrugał dwoma lampkami i wyświetlił rzut ekranu komputera, na którym widniało teraz logo firmy Waisa. – Prowadzi w Sopocie rodzinną firmę zabawkową. Niby prosta wytwórnia pluszaków i gadżetów reklamowych, ale dość interesujący model biznesowy.

Hausberger w kilku zdaniach opisał fabrykę Waisa, wzrost przedsiębiorstwa, strukturę zatrudnienia, pomnażane zyski i perspektywy, niegdyś takie świetlane, dziś już niekoniecznie. Ale o problemach na razie nie wspominał.

- Ciekawe.
- Tak – przytaknął Hausberger. – W ubiegłym roku nasi dali Waisowi propozycję wprowadzenia spółki na giełdę, ale odrzucił.
- Grzecznie?
- Grzecznie. Tłumaczył, że jest uwikłany w różne inwestycje i nie ma czasu na bzdury. Nie chciał ani akcji, ani obligacji, żadnych finansowych śmieci.

– Śmieci? Kasa mu śmierdzi?

Hausberger tylko wzruszył ramionami.

– Opuściliśmy?

– Nikogo nie obraził, odmówił ostatecznie i stanowczo, a było kilka innych projektów. Teraz... chcieliśmy wrócić do tematu. Potencjał jest duży, perspektywy też, jeśli się dobrze ustawi. Firma ma pozytywną historię, relacje z bankami i biurokracją, zero problemów z przeszłości, żadnych sporów z fiskusem, konfliktów, niespłaconych długów, czysta karta...

– Idealnie. No więc, w czym problem?

Hausberger wzruszył ramionami.

– Okoliczności się zmieniły – szepnął i szybko dodał: – Obiektywnie. Nie chodzi o niechęć Waisa do nas czy naszych planów, tylko sytuację rynkową a nawet wskaźniki makro. Rok temu wszystko wyglądało świetnie, nic nie trzeba by pompować, ale dziś...

– Kryzys, kurwa. Jak trzeba, napompujemy.

Delikatne, subtelne uśmiechy pojawiły się na wszystkich twarzach.

– To może nie wystarczyć. Wais tak naprawdę walczy o życie, za późno zauważył, że mu się rynek kurczy. Zlekceważył zamieszanie w dwa tysiące ósmym i zmiany, które przyniósł internet i elektronika, nie dość szybko zareagował i teraz...

– Jest w ciemnej dupie?

– Można tak to ująć. Jeśli nie zmieni strategii, za dwa, trzy miesiące przyjdą problemy z płynnością. Pierwszy klient nie zapłaci za towar, drugi, zorientują się inni i...

– Pierdolnie. Cóż, trzeba chłopakowi... pomóc.

Roześmieli się, głośno i szczerze, jakby usłyszeli świetny żart.

Hausberger zachował powagę.

– Próbuje. Dziś nawet byłem u niego z ofertą. Problem w tym, że on... chyba nie chce pomocy.

– Jak to nie chce? Dzielić się nie chce? Samodzielny taki?

– A może ma złych doradców?

Hausberger znów uderzył w klawisz ENTER. Na ścianie pojawiły się wyświetlone przez projektor twarze członków zarządu i kierownictwa firmy. Lobbyista nacisnął przycisk na długopisie i skierował go w stronę ściany. Czerwona kropka laserowego wskaźnika wykwitła na nosie stojącego nieco z tyłu, w cieniu za Waisem mężczyzny o bujnych czarnych włosach.

– Paweł Rozmus. Prawa ręka Waisa i dyrektor generalny. Formalnie nie ma stanowiska w zarządzie, nie posiada też udziałów w spółce. Jednak to on wywiera decydujący wpływ na strategię i poczynania samego Waisa, nawiązuje relacje, obsługuje najważniejszych klientów.

– Więc to do niego trzeba dotrzeć.

– Albo znaleźć inny sposób, by dać Waisowi do zrozumienia, że nam się tak po prostu... nie odmawia.

Hausberger zachował kamienną twarz. Nie był do końca pewien, czy dobrał odpowiednią strategię do zaistniałej sytuacji. Lekko irytowały go też lekceważące postawy współników. Siedzieli w tych swoich gabinetach, zabawiali się wymuszonymi żartami, wspominali z rozrzewnieniem stare, dobre czasy wielkiej prosperity, dużych prywatyzacji, kontraktów zbrojeniowych, wielkich modernizacji i czekali na efekty. Czekali, aż on, Hausberger, wszystko za nich zrobi. Nie był jednak gotów na otwarte wypowiedzenie posłuszeństwa czy zmianę układu sił.

Jeszcze nie.

– Poczyniłem w tym kierunku pewne kroki.

*

„Przyjaźń jest wszystkim. Przyjaźń to coś więcej niż talent. Więcej niż władza. Prawie się równa rodzinie. Nigdy o tym nie zapominaj.”

Ojciec od zawsze mu to wpajał. Buduj relacje, nawiązuj przyjaźnie. Przyjaciel nie zdradza. Prawdziwy przyjaciel. Nie działa dla pieniędzy, tylko z potrzeby serca. Nie da się go kupić i nie można stracić przez głupotę. A jednak, kiedy w końcu, po wielu latach poszukiwań, znalazł sobie prawdziwego oddanego przyjaciela, z równą mu pozycją, nie działającego dla jego pieniędzy czy z innych interesownych powodów, kiedy związał się z Biernatem niemal więzami krwi, ojciec nie krył rozczarowania i złości. Udawał, że tak nie jest, ale przecież Daniel znał go najlepiej ze wszystkich.

Wyczuwał tę... zazdrość. Przynajmniej tak interpretował te wszystkie fochy, złe samopoczucia, ucieczki, gdy Biernat pojawiał się na horyzoncie. Zazdrosny. Stary drań był zazdrosny. A potem jeszcze zawiazali z Anią sojusz. Przynajmniej w sprawie Biernata.

Oboje go nie lubili. Oboje nie ufali. Oboje starali się przekonać Daniela. Do czego? Do zdrady. Bo dziś odstawienie Biernata na boczny tor byłoby zdradą.

Czasem miał ochotę wziąć ich oboje do tego mrocznego gabinetu, zamknąć na klucz i wykrzyknąć: to może Rozmusa też mi każecie odstawić?

Rozmusa nie – odparło wirtualne oblicze Ani, które na jedną chwilę zobaczył w wyobraźni.

Tak, Rozmus ci się podoba. Rozmus jest przystojny. Nie to, co Biernat.

Ukradkiem, jakby trochę speszony, przyjrzał się teraz przyjacielowi.

Rzeczywiście, był wyjątkowo brzydki.

Niski, jakby skurczony, nieforemny. Przeróżająco łysy, z dużymi,

odstającymi uszami, krótkimi nogami, łapskami szympansa mógł straszyć dzieci nawet bez tej okrutnej łysiny. Pomarszczony, brzuchaty, dziwny. W okularach fotochromowych przypominał Danielowi jakiegoś komunistycznego aparatczyka, cenzora, szpicla.

A podobno miał greckie, partyzanckie korzenie, bardzo przystojnego ojca i równie piękną mamę Słowiankę, której nazwisko ostatecznie przyjął. Nawet nie podobno, bo przecież pokazał Danielowi kiedyś ich zdjęcie. Bardzo stare i pożółkłe, ale rzeczywiście przedstawieni na nim ludzie na pewno nie byli brzydzy. Więc kto się na nim tak okrutnie zemścił, obdarzając taką a nie inną aparycją?

A może to była jakaś zasłona dymna stosowana przez Biernata? Może zgodnie z wyznawaną strategią potrafił się zmieniać jak kameleon. Może jak postaci z tego filmu z Tomem Cruisem umie zrzucić maskę i stać się kimś zupełnie innym. W końcu ulubionym powiedzeniem Biernata było: „Jestem tym, kim chcesz, żebym był.”

Mógł być Grekiem, Żydem, przywiązany do tradycji Polakiem. Kumał się zarówno z gejami, jak i nacjonalistami. Mógł wyznawać wiarę katolicką, możeszową, pokłonić się Mahometowi albo zostać heretykiem. W zależności od potrzeb i okoliczności. Interesy nie miały – według niego – nic wspólnego z wiarą, kolorem skóry, orientacją seksualną czy przeszłością.

„Zawsze patrz tylko do przodu” – powtarzał. – „Pisz nowe karty, nie graj znaczonymi. Nie daj się ograniczać złu, które bezwzględnie czai się w cieniu, chodzi za tobą krok w krok.”

Zło. Stało za nim. A Daniel zamiast słuchać rad, oglądał się za plecy i go wypatrywał.

Błąd.

– TAMTEN temat wraca – powiedział bez wstępów, gdy Biernat zasiadł już wygodnie na leżaku ze szklaneczką brązowego płynu w dłoni. O dziwo, nie zapytał jaki temat, choć może nie „o dziwo”, bo w końcu Daniel położył wystarczająco silny akcent na pierwsze słowo, by być zrozumiany bez dalszych wyjaśnień. Przyjaciel nie wyglądał na specjalnie zszokowanego czy zdziwionego. W sumie to już dawno twierdził, że kiedyś wróci. Niezamknięte sprawy zawsze wracają. Zwykle w najmniej odpowiednim momencie. Upił trunku, pomlaskał, skinął z uznaniem głową.

– Macallan?

Biernat dobrze udawał, ale tak naprawdę nie znał się na whisky, tak samo, jak nie znał się na cygarach. Patrzył na ceny i starał się dostosować opinie do ich wysokości. Można byłoby wlać do dobrej butelki coś taniego i wcisnąć mu bez trudu jako wyjątkowego *single malta*.

– Zwykły Dalmore.

– Też dobry.

Pewnie, że dobry. Wcale nie taki zwykły. Ze specjalnego sortu i zamówienia.

– Mówisz o...

Nie dopowiedział. W końcu to była ich największa tajemnica. Na razie.

A może przesadzali z ostrożnością? Może za bardzo spiskowali?

Skinął głową.

– Dziś przyszedł do mnie taki jeden – zaczął i opowiedział o wizycie Hausbergera, pozostawionej gazecie sprzed roku z artykułem na TEN temat.

– Masz ją tutaj?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Eliza zabrała.

Biernat uniósł zdziwiony brwi.

– Jak to?

– Tak jakoś wyszło.

– Tak jakoś?

– No... tak.

Biernat poruszył się nerwowo i zrobił jedną z tych nieprzyjemnych min oznaczających całkowitą dezaprobatę. Po co mi zawracasz głowę, skoro postanowiłeś się w COŚ zabawić? Dlaczego oddałeś gazetę córce, zamiast mi ją przynieść, może zabezpieczyć jako dowód w razie czego? Ile razy mam ci tłumaczyć, że przypadki się nie zdarzają? Wszystko, co się dzieje, ma znaczenie. A ty dostajesz ostrzeżenie, przekaz, z pewnością oznaczający zaproszenie do jakiejś gry i tego samego dnia wyrzucasz je do kosza.

– Odbiorę tę gazetę Elizie i dam ci ją następnym razem.

Machnął ręką.

– Skoro Eliza nie pociągnęła tematu, lepiej jej nie prowokować. Bo nie pociągnęła?

– Nie. Starła się nie dać po sobie niczego poznać.

– Więc zostaw to w spokoju. Nie byłaby zachwycona, gdyby się dowiedziała... co zrobiłeś.

Zachwycona? Byłaby wściekła. Nawet gdyby poznała tylko jedno z kłamstw, które wymyślili na wszelki wypadek. Biernat jak zwykle miał rację. I utwierdzał go we własnych przekonaniach. Tacy doradcy są czasem bezcenni. Szczególnie, jeśli wiemy, że potrafią też jednak zaoponować, zrugać nas, obstawać przy własnym zdaniu. Klakierzy są równie szkodliwi jak przesadni krytykanci. Biernat był... idealnie obiektywny.

– Co to za jeden ten Hausberger? Ktoś od Pałuckiego?

– Nie, chyba nie – Daniel wstał, przeszedł do gabinetu i wrócił z wizytówką.

– Grupa Doradcza Wenecja – przeczytał na głos Biernat. – Ciekawe.

– Znasz ich?

– A kto nie zna?

Daniel zawahał się, czy powinien zdradzić swoją całkowitą niewiedzę na ten temat. Miał przecież szansę się przygotować, sprawdzić. Tak powinien zrobić. A jeśli zapomniał, to powinien udawać, że zrobił. Ale przyjaciół się nie oszukuje, bo to tak, jakby się oszukiwało siebie.

– Ja nie.

– Poszukaj... w internetach.

– Wolałbym usłyszeć od ciebie.

Biernat poprawił się na leżaku wyraźnie zadowolony. Tak, próbował sprowokować Daniela tym internetem. Niby dawał znać, że dziś wszystko jest w sieci, wystarczy tylko dobrze poszukać. Ale tak naprawdę mówił: jeśli poszukujesz tej prawdziwej wiedzy, skrytej, zarezerwowanej dla nielicznych, musisz znaleźć kogoś z kontaktami, kogoś, kto ma wiedzę w głowie, a nie na twardym dysku. Kogoś, kto przeżył, doświadczył, dotknął i zobaczył, a nie tylko przeczytał czy zasłyszał. Biernat był kimś takim. Te dwadzieścia parę lat w biznesie na szczycie, relacje z władzą, służbami, różnymi dziwnymi typami, to wszystko dało mu tę wiedzę. Niby pozostawał prostym, emerytowanym jubilerem, byłym właścicielem sieci drogerii i luksusowych sklepów, ale to była tylko przykrywka. Więcej wiedział o układach i lobbingu niż ten cały Hausberger. Jego kontakty były znacznie więcej warte niż bazy danych Lex, archiwa gazet, fora finansowe i rejestry sądowe.

– Cwaniacy i lobbyści. Pokończyły im się prywatyzacje, to szukają w prywatnym biznesie. Znają wszystkich, wszędzie potrafią wejść. Wyrzucą ich drzwiami, wejdą oknem. Przez lata obrastali w tłuszcz, są jak tłuste ryby łaknące nowego pokarmu. Żarłoczne i nienasycone. Uważaj na nich.

– Posłałem Hausbergera do diabła – Daniel uśmiechnął się zadowolony, choć wiedział, co teraz nastąpi.

– Jak to... posłałeś do diabła?

W odpowiedni sposób. Dałem mu jasno do zrozumienia, żeby więcej się u mnie nie pokazywał.

– Zwyczajnie – uciął. – Odrzuciłem ofertę.

Biernat pokręcił głową z naganą.

– Nie zabija się posłańców. Nawet, jeśli przynoszą złą nowinę – przywołał znane przysłowie.

– To nie był posłaniec.

– A kto?

– Sęp.

Biernat roześmiał się. Pokiwał głową. Młody się wyrabia, pomyślał. Jest coraz lepszy. Może niedługo rzeczywiście stanie się do mnie podobny. Podobny, bo na pewno nie taki sam. Rozparł się wygodnie na leżaku, odłożył szklanke

z alkoholem na bok, jakby już zrobił swoje. Przymknął oczy.

– Zazdroścę ci, wiesz?

– Czego?

– Wszystkiego. Anny, dzieciaków, tego domu.

– Był twój – Daniel kupił dom od Biernata niespełna trzy lata temu wbrew zdaniu rodziny i wbrew rozsądkowi. Może chciał zrobić na złość ojcu, może Ani, a może po prostu potrzebował tej jednej samodzielnej decyzji. Nigdy jej nie żałował. – Po co mi go sprzedałeś?

– Budowałem iluzję. Dom rodzinny bez rodziny przestaje być faktem. Staje się czarem, widmem, mirażem. Traci fundamenty i znaczenie czegoś wyjątkowego, istotnego. Ty naprawdę go potrzebowałaś. I dobrze wykorzystałaś.

– Sam nie wiem – skłamał grzecznie.

Biernat podniósł się, spoważniał.

– Dlatego nie powinieneś tego lekceważyć. Za dużo osiągnąłeś, by stracić to przez głupotę, przez... sępy.

– Co mam robić?

Stary, łysy jubiler uniósł swoje małe, pokraczne ciało.

– Nie jesteś gotów – mruknął.

– Na co?

– Na moje rady. Nie przyjmiesz ich, uznasz za zbyt... hm, radykalne.

– Spróbuj.

– Jesteś pewien? Wtedy... nie posłuchałeś. Nie posłuchałeś mnie i zobacz, co się stało. Zastanów się zatem dobrze, zanim odpowiesz. Na pewno tego chcesz?

Daniel poczuł gwałtowny skok ciśnienia. Biernat miał rację. Zawsze jak dotąd miał rację. Właściwie mu doradzał. A jednak podskórnie czuł, że nie chce usłyszeć tego, co przyjaciel ma do powiedzenia. Nie chce, ale musi.

– Tak. Na pewno.

Rozdział 3

[6 maja, piątek, rano

Eliza dzisiaj była z psem. Jakaś dziwna chodzi, przygaszona. W ciąży jest? Nie, chyba nie. Coś innego. Może coś z Radkiem. Albo z egzaminami. Sesja niedługo. Kolokwia i egzaminy. Jeszcze czas, córcia. Jeszcze czas. Zdązysz. Wiem, że trudne. Ale zdązysz. Michał za to ciągle w kosmosie. Chodzi z tymi swoimi projektami, co je wymyśla po nocach, knuje, jak ojciec, bo w ojca się wdał. Na mnie też jakiś nadąsany, pewnie za ojca. Uważa, że powinnam teraz ojcu odpuścić, trzymać jego stronę, pomagać, wspierać. A nie się boczyć i obrażać. Obiadów czwartkowych tradycyjnych odmawiać. Nie powinnam.

Już ja wiem, synku, co powinnam. Ja wiem.

A tamten spiskuje. Ciągle spiskuje.]

Jedzenie, jedzenie, jedzenie. Wszędzie było mnóstwo jedzenia. Torty, torciki, keksy, napoleonki, tacki z łososiami, koreczkami, serami. Sałaty, owoce. Najlepiej wziąć owoc.

– Kanapeczkę?

Oficer dyżurny podetknął jej pod nos całą tackę. Kanapeczki kurweczki.

– Dziękuję, niedawno jadłam.

Niedawno, niedawno. Trzy godziny albo cztery. Zgodnie z zaleceniami dietetyka powinna jeść co dwie. Siedem posiłków dziennie. W równych odstępach. Niezbyt obfite, za to regularne. Przyzwyczajanie organizmu, konsekwencja, determinacja. W razie problemów głośno krzycz. Możesz też płakać.

Ale dietetyk nigdy nie był policjantem.

Nie miał pojęcia o konieczności pospiesznego uzupełniania energii, ładowania akumulatorów w fast foodach i różnych innych pokus, jak te z pączkami.

Poza tym, jeśli już rozmawiamy o diecie na poważnie, czy do jedzenia można zaliczyć ten mini zestaw zielonych sałat na szybko pochłaniany w samochodzie czy w kiblu, żeby inni się nie śmiali. Pieprzone pierwsze śniadanie.

Potem tylko przekąski, sałaty, kiełki, ziarna. Czy ja jestem owcą, kozą, innym bydlęciem? Czy nie zasługuję na obiad. Chcesz obiad! Chcesz tę kurewską kanapczkę! Ale jak zjesz, będziesz chciała więcej. Więcej.

Jedną, drugą.

Potem zjesz ciasteczko. Serniczek. Następnie mus. Dalej piankę. I bajaderkę. Uwielbiasz bajaderki.

Głośno przełknięta ślina.

Jak głośno!

– Na pewno?

Słyszał, kurwiarz jeden, słyszał i teraz się nabija.

– Na pewno.

Usiedli, czekali. Oficer wyraźnie speszony. Ładny, piękny. Pokazał jej obrączkę. Specjalnie, żeby sobie nie myślała, że można z nim flirtować. Kupiony, zdobyty, zajęty. Niewolny. Zniewolony. Nie do wzięcia. W każdym razie nie przez nią.

– Ładna pogoda.

Tak, rzeczywiście piękna. Akurat zaczęło padać. Rano była ładna, ale teraz. No ale jak się nie ma co gadać, to się tak pier... chrzani jak potłuczony.

Nie bluzgać, nie bluzgać, nie bluzgać.

Obiecanki cacanki. Obiecanki.

– Sportujesz się?

– Że co?

– Uprawiasz jakiś sport? Dobrze wyglądasz.

Panika, panika, panika.

Oj, niewłaściwe pytanie zadała. Niewłaściwe. Teraz będą siedzieć i liczyć w myślach, kiedy w końcu skończy się to ich wspólne wyczekiwanie w niezrozumieniu.

W końcu ulga. Drzwi otworzyły się. Weszli generałowie i pułkownicy. Ośmiu, a jakby cała armia. Każdy świecący, z gwiazdkami i szlaczkami na pagonach, w butach czystych, stukających obcasami, krokiem sprężystym, na galowo jak na wiec. Oficer wstał, kłaniał się, prostował, dłoń podawał, krzesła ustawiał, baczność zrobił, ukłon wykonał, wyszedł.

Ośmiu generałów–pułkowników, ośmiu starców, ona jedna. Ładny chuj.

Nie bluzgać, nie bluzgać. Obiecałaś przecież, że nawet w myślach nie będziesz. Obiecałaś. O jedzeniu obiecałaś, o piciu, o maryśce, o bluzganiu. Obiecałaś.

– Jak samopoczucie, pani nadkomisarz?

Jak na jakimś wiecu pierwszomajowym w potwornym upale, towarzyszu generale. Czterdzieści stopni w cieniu, a my w mundurach na pełnym słońcu, wyprężeni, uśmiechnięci i pachnący piekielnym wkurwieniem. No może nie tak

dobrze.

– Całkiem nieźle, panie nadinspektorze – odparła Mona. Stała już od dłuższego czasu i wygładzała garsonkę. Znaczący się mundur, bo przecież miała na sobie mundur. Za dużo ważysz, Mona, za dużo. Źle przez to wyglądasz, bardzo źle. Nawet w tym cholernym mundurze, co wyszczupla wieloryby i słonie. Jej nie wyszczuplił. Przeciwnie, uwydatnił wady. Tłuszcz ci się wylewa bokami, brzuch zbyt wystaje, nogi klocki zostają z tyłu zamiast przeć do przodu, dupa przez to zwisa w tej niby wyszczuplającej mundurowej spódnicy i jest jeden wielki wał z figurą i całą resztą. Ciężka jesteś, nieporadna, brzydka. Za dużo ważysz.

Generał nadinspektor przedstawił cały zespół doradców, starszych oficerów, inspektorów i podinspektorów, uklonił się i wskazał miejsca. A ona ze strachem pomyślała, że nic nie pamięta. Ani jednego nazwiska, ani jednego imienia. Tylko stopnie, bo szczęśliwie każdy miał mundur i pagony. Na stopniach się znała. Nauczyli ją w Szczytnie i Legionowie. Tyle uczyli, że w końcu zapamiętała. Ale przecież uczyli też, że szefostwo trzeba znać, choć często się zmienia w zależności od politycznych wiatrów, ale znać trzeba. Łasić się, w tyłek wchodzić, słuchać i czekać na swoją szansę. Znała więc ich, znała, tyle że kiedy było trzeba, zapominała.

– Wszyscy znamy panią nadkomisarz – zaczął grzecznie nadinspektor. – Ale dla porządku wypada wspomnieć te parę słów.

Słowa, słowa, słowa. Ileż to słów już padało w jej życiu. Lepszych i gorszych. Równie pięknych i sztucznie napompowanych patosem jak te od nadinspektora i zgoła odmiennych, brzydkich, brudnych. No ale te były piękne. Znaczone sukcesami. Oto stoi przed nimi ta jedna, jedyna kobieta w całej policji, która z gangsterami walczy lepiej od całych armii. Szczególnie tymi mafijnymi gangsterami. Tymi z powiązaniem.

Komisarz Monika Lankosz, pierwsza, niepowtarzalna, najlepsza. Za co by się nie wzięła. Najmłodsza, najbardziej lśniąca perełka, doceniona już nie tylko na krajowym podwórku, ale też w Brukseli, Lyonie, Nicei, a nawet i za oceanem. No pokaż ten medal z Niu Jorku, pokaż!

– Chciałaby pani coś dodać?

– Jestem zażenowana.

– Skromność jest dobra...

W burdelu?

– ...w kościele. Pani nadkomisarz ma się czym pochwalić – nadinspektor nie patrzył już w jej oczy, tylko nieco niżej, przez co ostatnie zdanie zabrzmiało dwuznacznie. Aż miała ochotę odpowiedzieć zabawnym hasłem z koszulek wakacyjnych: oczy mam wyżej.

Mona chrząknęła. Tak naprawdę nie była skromna. O ile w wyglądzie i relacjach towarzyskich miała sobie wiele do zarzucenia, o tyle zawodowo już

dawno pogodziła się z sukcesem i nie płonęła rumieńcem słuchając tych tysięcy pochwał, epitetów, przymiotników, całej tej roztaczanej wokół, kłamliwej słodyczy. Kłamliwej, bo większość ludzi nie wierzyła w jej historię. Myśleli, że jest piarową zagrywką, dzieckiem propagandy. Powtarzanej i rozpowszechnianej tylko z poprawności politycznej i konformizmu.

A jednak wszystko to było prawdą.

Mona uśmiechnęła się pod nosem, przypominając sobie, jak to się zaczęło. Trzydzieści lat temu na dworcu w Koluszkach, gdy jeszcze jako sokistka uratowała życie samobójcy. Jej przekleństwo – koszmarna, przytłaczająca nadwaga – tym razem okazało się kluczowym atutem. Gdyby ważyła pięćdziesiąt osiem (ile powinna), a nie dziewięćdziesiąt pięć, razem z samobójcą wylądowałiby pod kołami. A tak niedoszły truposz poleżał sobie z łbem wciśniętym w jej wielkie – jak to określił – wymiona, a potem przesiedział noc w areszcie i kolejne tygodnie w szpitalu na oddziale dla podobnych desperatów.

Uratowała swoje pierwsze życie, dostała nagrodę i szansę: studia w Szczytnie. Pierwszy, niezwykle trudny rok, brak wiary w samą siebie, problemy, niezaliczone testy sprawnościowe i nagle odmiana, jakby ktoś przełączył pstryczek. Egzamin w pierwszym terminie. Prawo karne z wyróżnieniem. Procedury – to samo. Test z historii kryminalistyki – sto na sto. Praktyki dochodzeniowe i śledcze – celująco. Tylko cholerne sprawnościówki do tyłu, ale i na to znalazła sposób. A może sposób znalazł ją. Jak to mówił trener? Jeśli nie możesz czegoś przeskoczyć, to obejdź. Silniejszego załatw sprytem. Sprytniejszego ciałem. Z TAKIM ciałem można wszystko.

– Kanapeczkę? – Nadinspektor przerwał tok jej myśli.

Pokręciła głową. Czy wyglądam na taką, która potrzebuje kanapeczki?

– A może ciasteczko? – siwowłosy inspektor przypominający nieco Richarda Gere trzydzieści kilo po „Szakalu” podsunął talerzyk z napoleonkami, rogalikami i bajaderkami.

Znów zaprzeczenie. Goń się, tłusciochu. Ciężkie przełknięcie śliny i gwałtowna suchość na kolejne wspomnienie.

Gruba Mona. Taki tytuł miał pierwszy artykuł w internecie, jaki o niej napisano. *Gruba Mona rządzi w poznańskiej dochodzeniówce*. Autor: anonim. Publikacja: portal śledczy.

Poznań, inauguracyjne zesłanie. Pierwsza sekcja do poprowadzenia, pierwsze naczelnictwo. Pierwszy kret w wydziale, donosiciel medialny. Złośliwy skurwiel. Ileż to razy przeczytała ten artykuł szukając odpowiedzi na szereg pytań, w tym to najważniejsze: jaki był cel kreta i kim jest. Drwina i szydera w pierwszym akapicie, ale już w drugim i podtytule pełny szacunek. *Wykrywalność najcięższych przestępstw wzrasta lawinowo*. Tak to brzmiało, czy jakoś równie tabloidowo? Zastanawiała się, jak coś może wzrastać lawinowo. Przecież lawina zawsze schodzi

w dół a nie się wznosi. Z drugiej strony schodząc narasta, więc może wcale nie ma w tym sprzeczności. Kolejny tekst miał jeszcze bardziej wymowny tytuł: *Młoda komisarz wprowadza nowe porządki w wydziale*. Była dla gazet wdzięcznym tematem: gruba, brzydka, ogromna, charakterystyczna i z wynikami. Młoda, doceniona. Najmłodszy szef wydziału w całej policji. Potem najmłodszy naczelnik zarządu regionalnego CBS. Na dodatek kobieta. Szefowie potrzebowali kobiet z wynikami, żeby się pochwalić w centralach, w Brukseli, w Niujorku. Żeby można było powiedzieć: „no jak to u nas nie ma parytetów jak są”. Jedyna urodzona po grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego. Tym pamiętnym grudniu, co wraca do dziś. Najwięcej dyplomów, ukończonych szkoleń, kursów, medali. Nielubiana przez przestępców, ukochana przez współpracowników. Miała w sobie coś takiego, że szybko zjednywała tych właściwych ludzi. Dawała nadzieję na zmianę, na to, że w końcu nadeszły nowe czasy. Profesjonalistów i specjalistów, a nie układowczyków i partyzantów. Błyskotliwa, błyskawiczna kariera pod lupą dziennikarzy i zmieniających się komendantów. W końcu ostatni jej akt, skutkujący aferą głośną na całą Polskę i słynnymi okładkami, jak ta z „Faktu”, gdzie zdjęcie jej potężnej twarzy przerobiono na niemal demonicznego pogromcę wszelkich układów.

Gruba Mona znów dała radę. Pogoniła bandziorów, szpiegów i polityków.

Sprawa, która powinna zepchnąć ją w niebyt, skutkować niepamięcią, a dzięki niezwyklej wolcie, stała się kolejną katapultą w karierze.

Na ile ma związek z jej obecną pozycją i sytuacją?

– Jak się pani czuje w komendzie głównej? – zapytał nadinspektor zaraz, gdy kanapeczka zniknęła w jego gardle. Szybko zagryzł rogalikiem. W kąciку ust został ślad po budyniu i mikropyłek pudru.

– Jak wrzucona na głęboką wodę – znów skromność. Z pewnością inspektorzy dobrze wiedzieli, że przed tygodniem zanotowała kolejny sukces, gdy zespół wydziału pościgowego pod jej kierownictwem zamknął ciągnącą się od prawie dziesięciu lat sprawę gangu Młota. Nieuchwytnego Młota, który okazał się zwykłym młotem. Tępy i głupim, a przez to tak trudnym do złapania. Wszystkim wydawało się, że to jakiś wielki taktyk. Dopiero Mona postawiła odważną hipotezę, która okazała się prawdziwa i doprowadziła do rozbicia tej siejącej postrach na Mazurach grupy. – Powoli się odnajduję.

– Chciałbym, żeby każdy się odnajdywał w takim tempie – po rogaliku przyszedł czas na bajaderkę. Nadinspektor musiał zobaczyć jej wzrok, bo sięgnął po tacę ze słodkościami i jej podsunął. – Może jednak? Pyszne są szczególnie te oblane czekoladą, choć kokosowe też całkiem niezłe.

Mona próbowała przełknąć ślinę, ale poczuła w gardle tylko suchą pustynię. Odkasznęła.

– Nie, naprawdę dziękuję – zerknęła znacząco na zegarek. – Możemy...

– A, tak – nadinspektor odłożył talerzyk, wytarł kąciuki ust palcem wskazującym i kciukiem, oblizał, nabrał powietrza, zasłonił usta grzbietem dłoni, pozwolił, by mu się zasłodzoną kurweczką odbiło i w końcu przeszedł do sedna:
– Co pani wie o porwaniach dla okupu?

*

Coś było nie tak. Eliza Wais stanęła przed witryną i przez chwilę udawała, że ogląda sukienki ślubne. W rzeczywistości starała się dojrzeć w szklanym odbiciu przyczynę towarzyszącego jej niepokoju. Coś, co da odpowiedź, dlaczego czuje się tak, a nie inaczej.

Bez powodzenia.

Nikt za nią nie szedł, nikt nie szpiegował, nikt nie patrzył.

Odczekała kilka minut, podeszła do kolejnej witryny, następnej, w końcu weszła do butiku z ciuchami „Prosto z Milanu”. Zza wieszaków z ubraniami obserwowała ulicę i przechodniów starając się jednocześnie sprawiać wrażenie rzeczywiście zainteresowanej ciuchami. Było to o tyle trudne, że „Prosto z Milanu” raczej zaopatrywał się w Wólce Kosowskiej, ubrania były marnej jakości, a pracownicy butiku z włoską stolicą mody mieli styczność co najwyżej przez Fashion TV. Ekspedientka szczęśliwie była bardziej zainteresowana żuciem gumy niż jej osobą i gustem. Dopiero po dobrych pięciu minutach rzuciła niechętnie „może w czymś pomóc” i uspokojona krótkim, stanowczym zaprzeczeniem wróciła do uważnej lektury horoskopu gwiazd w „Na żywo”.

Na zewnątrz nic się nie działo.

Nikt nie zachowywał się podejrzanie. Musiało jej się wydawać. Czyżby umysł – pod wpływem ostatnich wydarzeń – projektował teraz sztuczne zagrożenia? Bardziej prawdopodobne, że była zwyczajnie kiepskim agentem.

Wyszła, ruszyła szybkim krokiem w kierunku portu, zmieniła kierunek. Jak szpieg.

Ponownie niczego nie dostrzegła.

Może tak jest, że jak się masz czego wstydzić, to zawsze będziesz miała uczucie, że ktoś to widzi, obserwuje, uważnie dokumentuje każdy twój ruch? Nic nie dzieje się w całkowitej pustce, w bezpieczeństwie nieświadomości. Zawsze jest jakiś świadek, choćby było to tylko własne sumienie.

Czy jednak rzeczywiście miała się czego wstydzić?

Weszła do kolejnego sklepu i spojrzała w lustro. Patrzyła na nią pozornie szczęśliwa, ładna, ciekawa twarz aktorki lub modelki. Umalowana, uczesana, wypielęgowana. Nikt chyba nie dostrzegał, w jakim napięciu ostatnio żyła i jak bardzo wpływało to na jej samopoczucie. Staranny makijaż coraz słabiej skrywał

zmęczenie i napięcia. Podpuchnięte oczy z trudem starały się udawać wypoczęte i bystre.

– Nic o mnie nie wiecie.

Musiała powiedzieć to na głos, bo dziewczyna z obsługi spojrzała na nią wyraźnie zaniepokojona.

– Przepraszam – bąknęła i wyszła pospiesznie.

Ostatnie spojrzenie za plecy, po czym ruszyła już bez kluczenia wprost do celu, budynku z wielkim, rozświetlonym napisem nad szerokimi drzwiami.

CASINO.

Było w tym coś przewrotnego. Zaraz znajdzie się w miejscu, w którym można wygrać lub przegrać bardzo dużo, może wszystko.

Choć bardzo się starała, nie mogła pozbyć się tych wszystkich natrętnych myśli. Źle robisz, Eliza! Źle! – Powtarzało echo w jej głowie. Nie powinnaś tam iść, nie powinnaś dawać się ponownie wplątać w tę sprawę, nie powinnaś... zdradzać. Zdrada to największa potworność, nawet jeśli nie jest fizyczna, nawet jeśli nie dotyczy spraw najważniejszych. Zdrada to potworność. Coś, czego nigdy nie akceptowałaś i do czego nigdy byś nie dopuściła.

Po tym, jak zobaczyła tę gazetę z zajawką tekstu o wydarzeniach sprzed roku, musiała jednak zareagować, musiała coś zrobić. Ojciec nie wiedział przecież, jakie ma znaczenie ten tekst. Nie zrozumiał tajnego przekazu. Nie miał pojęcia, że jego gość nieprzypadkowo zostawił mu tę gazetę.

Ale tego wszystkiego nie mogła mu wyjaśnić.

Nie mogła opowiedzieć mu o sobie, Arturze, powodach ich rozstania. Nie mogła opowiedzieć o Marcie. Przymknęła oczy, przywołała śliczną twarz nastolatki. Seksowna blondynka o niezwykłych oczach, na żywo znacznie ładniejsza niż na zdjęciu. Jednak to wizerunek z fotografii zapamiętała, a nie obraz z realu. Może dlatego, że na żywo widziała ją tylko raz. Wtedy, właśnie w kasynie, z Arturem. Choć on upierał się, że to pomyłka, w końcu przyznał. Znał ją, słabo znał. Kłamał. Dziś to wiedziała. Ale wtedy... wierzyła mu. Była pod zbyt dużym wpływem tego pięknego, wspaniałego mężczyzny, by nie wierzyć. Dlatego nie reagowała na tajne narady w kasynie, nerwowe działania ochrony, nocne zjazdy prawników, detektywów, policjantów. Udawała, że tego nie widzi.

Wzdrygnęła się.

Nie, ojciec by nie zrozumiał, dlaczego postąpiła wtedy tak, jak postąpiła. Musiała sama to załatwić. Ojciec miał dość kłopotów, nie mogła obarczać go kolejnymi.

Obeszła budynek, minęła główne wejście do kasyna, stanęła przed bocznymi drzwiami do biur. W jednym z pokoi czekał na nią Artur. Piękny mężczyzna z jej marzeń. Mężczyzna, którego nie widziała prawie rok. Mężczyzna, którego nigdy już nie chciała oglądać, a jednak musiała.

Westchnęła i nacisnęła dzwonek.

*

– Ona – oznajmił Niebieski.

Brązowy cmoknął z uznaniem.

– Niezła.

Różowy ledwie zerknął na zdjęcie. Skinął głową i wbił wzrok w ziemię. Niebieski uważnie obserwował jego reakcje i wciąż się zastanawiał, czy nie popełnił błędu. Znał Różowego od lat, zrobili razem cztery roboty w Niemczech. Wykorzystał go wtedy i nie miał prawa odczuwać zawodu. Co prawda Różowy wpadł przy ostatniej akcji, ale się nie wysypał, co na dzień dzisiejszy było kluczowe. I to, że w ogóle był. Kudłaty miał rację, Niebieski potrzebował Różowego i nie miał specjalnego wyboru. Czy jednak w tak poważnej robocie może liczyć na kogoś takiego? Lekko przygłupiego, niezbyt sprawnego i raczej miękkiego zawodnika?

– Chętnie popilnuję – Brązowy zarechotał i mocno uderzył Różowego w plecy, wywołując skrzywienie na jego twarzy. Niby przyjacielski, żartobliwy gest tak naprawdę miał na celu podkreślenie przewagi fizycznej i formalnej. Brązowy obsikiwał krzaczek. Jasno dawał Różowemu znać, że on jest tu ważniejszy, że jest zaraz po Niebieskim.

Pod pewnymi względami Brązowy nie miał sobie równych. Trudno było znaleźć w okolicy kogoś o takich gabarytach i cechach bandziora. Wielki, umięśniony, wytatuowany, śmierzący. Prawdziwy kozak. Jednocześnie głupszy jeszcze od Różowego. I wierniejszy.

Może to idealny zestaw?

Siedzieli przy stoliku w drewnianej wiacie na leśnym parkingu. Brązowy przyszedł pierwszy. Niebieski uśmiechnął się na wspomnienie, jak tamten przemierzał krzaki koło placu parkingowego, wpatrzony w ziemię, jakby szukał grzybów, choć w kwietniu żadnych grzybów nie mógł znaleźć. Gdyby przypadkowo napatoczyły się psy, jak nic zwróciłby uwagę na takiego dziwnego, podejrzanie zachowującego się typa. Różowy pojawił się kwadrans później, pięć minut przed umówioną godziną. Niebieski wyraźnie podkreślił, że mają się nie spóźnić. Sam poczekał jeszcze kilkanaście minut, uważnie monitorując okolice. Żaden nie przyciągnął ogona. Choć dziś, przy tym poziomie zaawansowania techniki, nigdy nie wiadomo. Zawsze może być jakaś pluskwa, kamera, satelita czy dron. Niebieski uważnie śledził doniesienia o nowych technologiach wykorzystywanych przez policję, przeglądał fora kryminalistyczne, blogi ekspertów i dziennikarzy śledczych, strony z przetargami, budżety i ogłoszenia.

Wychynał w końcu zza drzew. Spuścił Atosa. Pięcioletni labrador poczekał na pozwolenie i pobiegł obsikać parę krzaków. Był dobrze wyszkolony. Posłuszny, jak wszystkie stworzenia ze stada Niebieskiego.

– Jak zakupy?

Zdali mu relacje z poczynionych przygotowań. Niebieski wyjął zeszyt i stawiał ptaszki przy kolejnych punktach. Mieli już łańcuch, kajdanki, środki chemiczne, gaz, część komórek i kart pre-paid.

– Sprawdziłeś ten dom od twojej kuzynki? – zapytał Różowego.

Wspólnik potaknął niechętnie, wyjął z kieszeni wydruki z ogłoszenia na Allegro zawierające opis działki, domu i dwa słabej jakości zdjęcia.

– Jakies dwieście metrów od innych zabudowań, ale dość mały. No i nie ma garażu.

Niebieski skinął głową. Nie nadawał się.

– A ty?

Brązowy uśmiechnął się znacząco.

– Baśka się sprawiła – przypomniał sobie wczorajszą wizytę u kochanki. Domek letniskowy, którym dysponowała, wydawał się idealny do ich planów. Budynek był położony nieco na uboczu, nowy, jeszcze niewykończony, miał garaż w bryle i niewielkie, pozbawione okien pomieszczenie w piwnicy, które w przyszłości będzie garderobą.

Rozmawiali jeszcze godzinę o sprawie i skurwielu. Na koniec Niebieski przypomniał, że to dopiero początek. Zrobią duże pieniądze, prawdziwą karierę. Muszą jedynie go słuchać, postępować zgodnie z planem i zachowywać się rozważnie.

Objęli się jak bracia, pokleпали po plecach, wymienili silne uściski. Bracia – Niebieski uśmiechnął się szyderczo, patrząc jak Brązowy i Różowy idą do pozostawionych w drugiej części parkingu aut. Wydawało im się, że są braćmi. Nie wiedzieli, że odgrywają jedynie rolę pionków w grze. Niebieski zastanawiał się, czy wykonają właściwie jego polecenia. Obaj byli znacznie głupszy, ale jak do tej pory nie miał z nimi kłopotów, jeśli wystarczająco jednoznacznie opisywał swoje oczekiwania.

Dostali wszystko na papierze. Pełne wytyczne, dokładne parametry. Kupić dwie lampki, parę kamer i walkie-talkie to chyba nie problem?

Spojrzał w zeszyt i dopisał dwie rzeczy, które przyszły mu teraz do głowy. Chwilę pocierał róg kartki kciukiem, po czym obrócił zeszyt i otworzył z drugiej strony. Tu zapisywał kwestie dotyczące innego tematu. Zagryzł wargę, jakby coś nie dawało mu spokoju, jakby miał naprawdę poważny dylemat do rozstrzygnięcia.

Zawołał psa, podpiął smycz do obroży, wrócił do domu. W kanciapie w piwnicy zamknął drzwi od środka, choć nikt – poza nim – nie miał prawa tu wchodzić bez pozwolenia. Sięgnął po jeden z kupionych przez Różowego

telefonów, włożył nową kartę SIM, uruchomił aparat, poczekał, aż zaloguje się do sieci. Wystukał na klawiaturze dobrze znany mu ciąg cyfr i nacisnął przycisk WYŚLIJ.

Pusty esemes powędrował tam, gdzie miał dotrzeć. Do człowieka o dziwnym pseudonimie i jeszcze dziwniejszym imieniu.

Najgroźniejszego człowieka, jakiego Niebieski kiedykolwiek poznał.

*

Kobieta o nic go nie podejrzewała.

Zachowywała się dokładnie tak, jak przewidział. Hamulce puściły jej przy trzecim drinku, choć być może była zdecydowana już wcześniej. On dość chłodno reagował na jej wyraźne sygnały. Jedyne gdy tańczyli, dał znać, że nie jest obojętny, że ta noc będzie należała do niej. Wiedział, że w knajpie nie ma kamer, a klientela nie będzie zeznawać, więc nie przejmował się specjalnie, czy ktoś go zobaczy i zapamięta. Zresztą prawdopodobnie nigdy nie będzie żadnego śledztwa.

Nie zgodził się jechać taksówką. Zaproponował spacer, a ona uznała, że to bardziej romantycznie. Noc była spokojna i wiosenna, choć zapowiadano powrót przymrozków i śniegu. Wtedy pocałowali się po raz pierwszy i on zaproponował, żeby poszli do niego zamiast do niej. Wahala się tylko chwilę. Wskazany przez nowo poznanego mężczyznę dom był na tyle blisko hotelu, w którym nocowała, że w razie potrzeby mogła wrócić pieszo. Ale nie chciała wracać. Była pod wyraźnym urokiem przyszłego kochanka. Chciała zapomnieć, zatracić się, zaszaleć. Pragnęła przeżyć coś wyjątkowego.

Już tak dawno tego nie przeżywała.

Zaniepokoiła się tuż za bramą. Dom był okolony wysokim murem i wybudowany dość daleko od ulicy. Właściciel najwyraźniej cenił sobie spokój i chronił przed ewentualnym wścibstwem sąsiadów. Jakoś nie pasował jej do nowo poznanego mężczyzny.

Gdy przekroczyli próg, zatrzasnął drzwi i przekręcił zamek. Jeszcze chwilę udawała rozbawioną, pozwoliła sobie na jakiś żart z jego „ostrożności”, po czym, gdy weszła do pokoju, poczuła już tylko strach.

Pomieszczenie i wszystkie meble były szczelnie zasłonięte grubą folią malarską. W oknach zaciągnięto żaluzje.

Wiedziała już, jak to się zakończy.

O dziwo nie zareagowała histerią, nie zdobyła się na żadną gwałtowną reakcję. Usiadła ostrożnie na fotelu, poprawiła folię, która zaczepiła się o oparcie i pokręciła głową zadziwiona własną głupotą. Tyle czasu uciekała, tyle czasu pilnowała się, by w końcu wpaść w tak durny sposób.

– Więc to on cię przysłał?

Nikifor zastanawiał się, czy powiedzieć jej prawdę, czy w ogóle powinien z nią rozmawiać, czy zakończyć sprawę.

Ostatecznie podszedł do barku, wyjął butelkę cytrynowki i podał dziewczynie.

– Nie mam szklanek – skłamał.

– Jasne – wypła. – Ile ci zapłacił?

Dużo – pomyślał Nikifor, ale nie odpowiedział. Patrzył na kobietę próbując odgadnąć, jak się dalej zachowa, czy będzie chciała oszukać los, przekupić go w jakiś sposób, czy zaraz dopuści histerię do głosu, zacznie płakać, błagać. A może zaatakuje? Butelką? Kopniakiem? Pazurami?

Co zrobi?

Upiła kolejny łyk. Oddała mu butelkę.

– Mogę zapalić?

Wzięła podanego papierosa i paliła zaciągając się dymem z rosnącą nerwowością. Ostatni papieros w jej życiu. Ten słodki, mdlący smak. Coraz bardziej mdlący... Nikifor obserwował, jak dłoń zaczyna jej drżeć. Jeszcze chwilę i się rozklei. Albo coś wymyśli. Był pewien, że intensywnie próbuje znaleźć rozwiązanie, wyjście z sytuacji, którego przecież nie było.

Nie czekał dłużej. Obszedł fotel, wyjął z kieszeni nóż o krótkim, szerokim, nieregularnym ostrzu. Zrobił mu go kiedyś, dawno temu przyjaciel pracujący w kuźni w szkolnym warsztacie. Wzorzec i schemat wydobyl z forum sił specjalnych jednego z państw nieprzestrzegających praw człowieka. W tym państwie wiele osób ginęło od ciosów noży, postrzałów i wybuchów bomb. Nóż miał lekko wygięte, bardzo ostre zakończenie. Był twardy, nie uginał się pod naciskiem. Nie można było go złamać czy wygiąć.

Mocno chwycił kobietę za włosy, ścisnął przytrzymując głowę. Uniósł ramię, napiął mięśnie. Uderzył po raz pierwszy. Krótki, sprężysty cios, jak ukąszenie węża. W szyję, tuż poniżej szczęki. Nie trafił w tętnicę. Drugi cios i trzeci prawie w to samo miejsce. Krew trysnęła gwałtownie z przebitej *sinus caroticus*. Kolejne uderzenie poraziło nerw błędny. Papieros wypadł jej z rąk, trafiając w rosnącą kałużę krwi. Nikifor poczuł nieprzyjemny, słodki, mdlący zapach i o mało nie zwymiotował.

Tyle lat wprawy i wciąż ten sam odruch.

Położył ciało na ziemi i czekał aż całkowicie znieruchomieje. Oddychał coraz spokojniej. Myślał już o tym, jaki kwiat zasadzi na jej cześć. W ten sposób odblokowywał się, odrzucał zbrodnię, nie pozwalał ciału na słabość.

Arkotis. Arkotis hybrida. Żółto czerwone kwiaty. Długie szypułki. Odważne, nietuzinkowe, odrobinę przypominające pospolitą gerberę, ale jednak znacznie bardziej szlachetne. Liście zielone, owłosione, pierzasto kłapowe. Wyjątkowa. Taki

kwiat powstanie na TWOJĄ cześć.

Potem próbował przywołać inne wspomnienia. Filmy, książki. Nie potrafił.

Czerń, próżnia. Całkowita pustka.

Staję się człowiekiem wypranym z emocji. Już lepiej było puścić tego pawia.

Tylko kwiaty mnie ratują.

Wyciągnął spod stołu dużą torbę nurkową. Zapakował ciało. Założył strój ochronny i zebrał całą pozostałą folię. Uważał, żeby nie zostawić żadnych śladów. Wkrótce wszystko wyląduje w worku, oblane chemikaliami niszczącymi DNA, wraz z czekającymi w samochodzie odważnikami. Stacja docelowa: dno jeziora pięćdziesiąt kilometrów dalej.

Dno głębokiego jeziora.

Prawdopodobnie nikt nigdy się o nie nie upomni. Nikt nie sprawdzi jego ostatniej drogi. Nikt nie będzie grzebał w tym domu, w klubie, w jej życiorysie, w całym tym syfie. Tyle ludzi w Polsce znika co roku. O tylu nikt się nie upomina. Ona w zasadzie już dawno zniknęła.

Gdy kończył, poczuł mrowienie w kieszeni spodni, w której trzymał telefon. Wibracje sygnalizowały nadejście wiadomości tekstowej.

Zanim wyjął aparat i otworzył pustego esemesa, spojrzął po raz ostatni na torbę z ciałem i pożałował, że nie powiedział kobiecie prawdy.

Zasługiwała, żeby dowiedzieć się, kto zlecił jej zabójstwo.

Rozdział 4

[18 maja, środa, południe

Firma leży i kwiczy, a ty się fochasz – tak mi dziś wygarnął. Co miałam odpowiedzieć? Żeby sobie poszedł do tamtej? Wiesz, do której? Do tej, o której ci pisałam w nocy, jak mi nerwy puściły. U niej by miał może lepiej. Może ona by go lepiej rozumiała, lepiej wspierała. Nie fochała się tak. Wiem, co odpowiesz. Łatwo mi pisać, skoro poznałam sekret. To już mnie nie bierze. Te wszystkie goniące za nim, chodzące za jego pieniędzmi. One już mnie nie ruszają od tamtego. Sekret mnie uleczył. Ale powiem ci, że wcześniej w zasadzie też tak miałam. Dlaczego? Nie wiem. Jakoś byłam go pewna. Wierzyłam. Czulałam, że nic się nie stanie. Że sobie na bok nie pójdzie. Instynkt. Tylko tak to mogę wytłumaczyć, a pewnie ty byś powiedział: po prostu przeczuwałaś sekret. Poznałaś go, zanim ci go wyjawiał.

Jeszcze dzień i może dam się udobruchać, bo sama już mam siebie dość. Tarczyca w porządku. O dziwo. Barry śpi. Micha od godziny gapi się przez okno. Eliza na uczelni, Michał w szkole. Za dużo mam czasu na myślenie. Kryminał obejrzę jakiś, a potem poczytam. Też kryminał. Może go przy tym zamorduję. Ciekawe, jak on by to zrobił.

Jak on by mnie zamordował?]

Chcą mi to zabrać – Daniel mimowolnie spoglądał na ekran telewizora wyświetlający obraz z kilku kamer monitorujących hale fabryczne. Choć ze wszystkich sił próbował, nie potrafił skupić się na nudnej, monotonicznie prowadzonej prezentacji.

Czają się, skradają, kryją, szykują pułapki, podstępny i prowokacje, by w odpowiednim momencie zaatakować. Odebrać jego własność, przekreślić dwadzieścia lat harówki, wziąć, zagarnąć, zagrabić.

Kto?

Pałucki? Hausberger? Jakiś agent, polityk, urzędnik, prawnik? Mafia, gang, giełdowa spółdzielnia, sekta? Inne sępy? Ktoś znający jego tajemnicę sprzed roku? Ktoś wiedzący o nim może więcej, niż on sam?

Dlaczego?

Bo ma więcej od innych, bo mu się udało bardziej, bo stworzył coś z niczego, bo mu się chciało i był odważniejszy? Bo wszedł komuś w drogę? Bo swoimi działaniami przywołał zło?

Zło przybyło samo, niezaproszone. Musiał zareagować.

Więc teraz zapłaci ten rachunek.

Zapłaci.

Jak i kiedy?

Nie wiedział.

Nie znał odpowiedzi na żadne z kotłujących się w głowie pytań.

Paranoik.

Ania miała rację. Stawał się paranoikiem, ale czy nie miał podstaw? Łatwo jej oceniać, jak nie zna szczegółów, nie zna sytuacji, nic nie wie o nim, o Elizie, o tych zdarzeniach sprzed roku.

Nie wie? Na pewno?

Wciąż miał wątpliwości, tym bardziej, że ciągle była obrażona i nie pozwalała mu się przeprosić. A może za słabo próbował? Nie, przecież chciał zakopać topór wojenny, przecież obiecał, że się zmieni. Wiele razy obiecywał? Owszem, ale tym razem...

Ech, może już lepiej wrócić do paranoi.

Może to któryś z was za tym stoi?

W sali konferencyjnej siedziało ich dziewięcioro. Poza nim, ojcem i Rozmusem, kadrowa, księgowa, mecenas od zamówień, główny technolog i dyrektor handlowy.

Dyrektor zakończył prezentację na slajdzie z przyszłymi przetargami na gadżety reklamowe. Trzy duże postępowania. Trzy duże kontrakty na tapecie. Dają jakąś tam nadzieję na zamówienia, na pracę, na przyszłość. Przyciągną jednak dużą konkurencję. Trzeba będzie pogodzić się z kolejnym obniżeniem zysku, chyba że... Tak, to niekończenie zdań. Zawsze coś można dać pod stołem, skorzystać z usług Hausbergera czy innego załatwiacza? Czy tak? To proponujesz? To ma oznaczać zawieszony w próżni „chyba że”?

– Marża dwadzieścia procent – Daniel podjął ostateczną decyzję. Nawet jeśli przez ostatnie dni się wahał, ta prezentacja dyrektora przesądziła. – Od dziś interesują nas tylko projekty z solidną marżą – Daniel zamknął teczkę i rzucił ją na stół. – Żadnych odstępstw, upustów, machinacji księgowych i odłożenia kosztów na później. Nie będziemy bili się z Pałuckim i innymi. Chcą się zarzynać ceną, proszę bardzo.

Handlowemu odebrało mowę.

– Jaki mamy następny punkt?

Skończyli naradę przed południem i wszyscy, poza Danielem, wyszli. Czekał

próbując ułożyć sobie to w głowie. Rozległo się ciche pukanie. Paweł Rozmus uchylił drzwi, spojrział pytająco i wślizgnął się do środka bez zaproszenia. Stały punkt programu. Po naradach z dyrektorami, Rozmus przychodził i omawiali wszystko jeszcze raz. Tym razem podejmując ostateczne decyzje.

– Co robimy?

Daniel uśmiechnął się zagadkowo.

– Przystawimy się na produkcję kamizelek.

Rozmus nie złapał żartu. Bo też nie miał szans.

– Kuloodpornych – dodał Wais.

Teraz już większe. Nagle zrozumiał. Aha.

– Wkręcasz mnie?

– I tak, i nie. Wiesz, że Michał codziennie zawraca mi głowę swoimi pomysłami?

Była to prawda. Mimo dopiero czternastu lat, syn nieustająco atakował Daniela świetnymi „biznesplanami”. A to chciał produkować telefony komórkowe. A to kręcić filmy reklamowe. A to sprzedawać kolorowe gwoździe. Chciał już, w tej chwili pójść śladem ojca i stać się biznesmenem. Zarobić swoje pierwsze pieniądze, dorównać ojcu, a następnie go przeskoczyć. Miał wielkie ambicje i Daniel to doceniał. Cierpliwie wysłuchiwał każdego, nawet najbardziej absurdalnego pomysłu, po czym okrutnie niszczył go precyzyjną argumentacją. Nie masz funduszy, doświadczeń, najpierw się czegoś naucz, a dopiero potem udawaj, że się na tym znasz. Ale kilka dni temu Michał zaskoczył ojca i zaprezentował pomysł, który wcale nie musiał być wzięty z takiego kosmosu.

– Wyobraź sobie, że przeczytał na naukowym portalu artykuł o wynalezieniu jakiejś cieczy, która pod wpływem uderzenia twardnieje jak skała. Substancję omawiał doktorant z uniwerku. Michał napisał do niego z pytaniem, czy mają pomysł na biznesowe wykorzystanie wynalazku. Coś tam niby mieli. Wtedy on zaproponował im deal, że wykorzysta ich substancję do produkcji kamizelek kuloodpornych. I wyobraź sobie, że na to poszli. Wysłali mu próbki, a on zaczął się bawić, tworząc „prototyp”. Uważa, że jest w stanie stworzyć znacznie tańszą, cieńszą i lżejszą kamizelkę od obecnie używanych.

– Nieźle.

Może i nieźle. Tylko co z tego?

– I co ja mam z tym zrobić?

– Nie wiem. Może wydział mu na hali jakieś laboratorium.

To jest pomysł. Może Michał wysadzi wszystko w cholerę i po kłopotcie.

A może mu się uda i rzeczywiście przebiję ojca. To by było. Byłby w stanie zaakceptować sukces syna, gdyby towarzyszyła mu jego własna porażka?

Rozmus zerknął na zegarek, sugerując, że nie ma za wiele czasu na mówienie o bzdurach. I wtedy, zupełnie przez przypadek, Daniel nagle coś

zrozumiał. Zrozumiał, że choć koncept Michała nijak ma się do jego biznesu, to jednak na coś może go naprowadzić.

Już naprowadził.

Przypomniał sobie duńską prezentację sprzed kilku miesięcy, którą wtedy uznał za zbyt odważną.

Oto jak jedna sekunda, jedna myśl może zmienić świat.

– Odwołaj spotkania – poprosił.

Rozmus chciał zaprotestować, ale widząc nieustępliwą minę Daniela zrezygnował zniechęcony.

– O co chodzi?

– I nie umawiaj się z nikim na kolację.

– Aż tak?

Daniel skinął głową.

Od dwudziestu lat nie miał ważniejszej kwestii do omówienia.

*

Z Komendy Głównej do mieszkania na Służewie miała niespełna trzy kilometry, a jechała prawie pół godziny. Cholerne korki. Szybciej byłoby tramwajem, a nawet pieszo. Warszawa o tej porze dnia była przesiąknięta wilgocią, złością, podłością i całym tym syfem wylewającym się z ludzi, którzy mieli już wszystkiego dość i chcieli zwyczajnie odpłynąć.

Ona też.

Choć w sumie się nie denerwowała, pragnęła jedynie pomyśleć w samotności. Narada u nadinspektora była dość zaskakująca, złe zadanie również, późniejsze wydarzenia jeszcze bardziej. Nie wiedziała, czy ostatecznie wręczony jej w teczce rozkaz traktować jak awans czy degradację.

Niby awans, w końcu dostała kolejną gwiazdkę i spore uprawnienia. Ostatecznie zostanie przeniesiona do stolicy, zajmie przestronny gabinet z zakupionymi za miliony złotych zabezpieczeniami antyszpiegowskimi, którym nigdy nie zaufa.

Pani podinspektor. Kto by się spodziewał w tak młodym wieku? Naczelnik zespołu do spraw uprowadzeń. Kto wie, czy nie przyszedł szef specjalnego unijnego centrum, nowo tworzonej rządowej agendy.

Przepustka do kolejnych nominacji na szefa wydziału, może całego CBŚ, a później i KGP. Niemożliwe? Ile razy po kolejnych sukcesach zadawała sobie to pytanie. Czy, gdy siedziała na dworcu w Koluszkach, wyobrażała sobie, że będzie tu i teraz? Że za chwilę zajmie kolejny przestronny pokój w komendzie głównej, dostanie gromadę potrzebnych i mniej potrzebnych współpracowników, szereg

możliwości, nowinek, gadżetów, dość duży margines wolności. Każdy by się cieszył.

Tyle że coś za coś. Awans oznaczał konieczność przekazania prowadzonych spraw następcy, zamknięcia drzwi do nieposprzątanego pokoju, a ona nie lubiła zostawiać za sobą bałaganu. Zawsze wszystko kończyła, dzięki temu też zaszła tak wysoko. Jednak po przekroczeniu pewnego progu stało się to niemożliwe. Musi zacząć akceptować kompromisy. Nie może wszędzie wietrzyć spisków. Nie może, wręcz nie wolno jej myśleć, że jest jedyna, niezastąpiona. Oficer, który przyjdzie po niej z pewnością poradzi sobie z bałaganem, tak jak ona poradzi sobie z tym, co zostanie w nowym wydziale.

Jej przypadek nie jest wcale jednym z tych, które tak dobrze znała i które krytykowała. Nie dostała awansu na wyrost. Nie dostała gwiazdki za grzeczność. Nie uczestniczy w firmowo-politycznej korupcji.

Czyżby?

Myślała, myślała, w końcu dojechała.

Sukces. Ani jednego przekleństwa. Ani jednego mentosa czy tik-taka. Kolejna pieprzona jedna kaloria została zwyciężona. Wróć. Po prostu kolejna jedna kaloria.

Wchodziła po schodach zastanawiając się, czy ON wciąż tam jest. Czy leży w łóżku, albo siedzi za stołem i na nią czeka. Czyta książkę, zbija baki, ogląda telewizję. A może wyszedł zaraz po niej, tym razem już na zawsze i nigdy już go nie zobaczy.

Nie, nie zrobił tego, ten strach miała już za sobą.

Choć... niepewność zawsze zostanie.

Nacisnęła klamkę. Zamknięte. Oczekała. Nikt nie otwierał od środka. Nie słyszała żadnych głosów. Żadnych kroków. Sięgnęła po klucze, otworzyła. Wciąż zero głosów, ale wiedziała już, że nie jest sama. Przeczucie. Taki dziwny szósty zmysł. I zapach. Pachniało trochę kawą, trochę pieczywem, trochę mężczyzną.

ON. Wciąż tu był.

Siedział na kanapie, w samych bokserkach. Goła kłata, masa mięśni. Włosy na brzuchu i na piersiach. Trochę tłuszczu. Nie za dużo. Dziara na ramieniu: orzeł w locie trzymający w szponach tarczę z numerem i herbem jednostek desantowych. Napakowany, lekko klockowaty. Wolalała szczuplejszych, ale i tak było dobrze. Nieprawdopodobnie dobrze. W porównaniu z nią nie było o czym mówić. Lepsze ciało niż tego gogusia z komendy. Jak je wyhaczyła? Dlaczego jej się oddało? Był tu z nią z wyrachowania, tylko dla kasy, awansu czy było coś jeszcze?

Włączony telewizor pokazywał sceny z jakiegoś starego filmu. Kanał MGM. Coś dobrego, bardzo dobrego.

– Co oglądasz?

– Nie wiem – ON wzruszył ramionami. – Leci sobie.

Podeszła. Nacisnęła przycisk w pilocie. Na niebieskim tle pojawiła się informacja. *Rok 1984*. Orwell. Ekranizacja. Dobra ekranizacja. Że też od razu nie zgadła, nie poznała tego charakterystycznego, klimatycznego kadru, tych twarzy Hurta i Burтона, tej niebywale przygnębiającej i zarazem uzależniającej atmosfery.

– Dlaczego nie włączysz dźwięku?

– Lubię ciszę.

Aha.

W sumie ON zaskakiwał ją na każdym kroku. Również teraz. Ale w zasadzie dlaczego miała się tym przejmować? Dlaczego miała zadawać wciąż te same pytania? Nawet jeśli obrabia ją tylko dla kariery, zysków, gwiazdek na pagonach, to ważne, że tu jest. Tu i teraz. I nie daje jej odczuć, że jest gruba, dziwna, źle pachnie, źle się zachowuje. Jest. Po prostu jest.

– Mogę? – Walnęła się obok. Kanapa jęknęła. Oj, jak ciężko jęknęła. Mona zawstydyła się, ON nie zareagował. Wyłączyła pilotem światło. Nowoczesność.

John Hurt właśnie przekraczał kolejny próg czyszczenia mózgu. ON nie wydawał się tym specjalnie zainteresowany, poruszony, zszokowany. Film był obok. Leciał, bo leciał. Mona także nie bardzo mogła wejść w klimat z marszu. W końcu film się skończył. Na ekranie wyświetlono reklamy. ON przełączył na jedynekę, na której był jakiś teleturniej. Dwójka nadawała serial. Na kolejnym kanale zaczynała się właśnie powtórka programu śledczego „Nocna zmiana”, który oglądali wczoraj wieczorem.

Wyłączył telewizor. Zapadła całkowita ciemność. Szarobura, niebieskawa, późnozimowo-wczesnowiosenna. Mona mocno pociągnęła nosem wdychając ten jego niesamowity, nieprawdopodobnie pociągający zapach. Zapach mężczyzny. Niepokojący. Jedyne w swoim rodzaju, wspaniałe, tak bardzo jej potrzebny.

– Co tam na górze? – zapytał ON.

– Tajemnice.

– No ba – bąknął jakby był robotem z „Gwiezdných wojen”.

Wiedział, że i tak mu powie. Jak zawsze. Chwilę trzymała głowę na kłódkę, a ON nie wydawał się specjalnie zainteresowany. Jakby to jej bardziej zależało na tym wyznaniu tajemnic, omówieniu sekretów. Drań. Wkurzała ją ta obojętność, ale co miała na nią poradzić.

– Mają nową sraczkę.

– Na co?

Zawahała się. Nie tyle z powodu tajemnic. Zwyczajnie chyba nie miała o tym ochoty gadać po tylu godzinach spędzonych w centrali.

– Porwania.

ON pomilczał jak to ON.

– Olewnik – mruknął zniechęcony. – Znowu? Kolejna komisja? Nuda.

– Olewnik to tylko jedna sprawa.

Ale za to jaka – dodała w myślach.

– Jedna – przyznał. – Jedna ujawniona. Syfu jest dwa wagony więcej, co nie?

– Nie o to chodzi.

– A o co? – ON nagle pojął. Walnął się, jaki to on głupi. – Statystyki?

Jak ON to dobrze zna. Niby zwykły agent, zwykły podoficer, a jaki wyrobiony w policyjnych układankach na wyższych szczeblach. Dla góry liczyły się tylko liczby. Panowie Excele wygrywali z panami zaangażowanymi. Zawsze i wszędzie. Ministrowi nie pokazujesz krwiaków, siniaków i nacięć na rękojeści rewolweru, tylko bilanse i zestawienia: wykrywalność ma rosnać, przestępczość spadać. I nikogo nie interesuje psychologia prawdy, banał i sztuczna pustka takich stwierdzeń. Przypomniała sobie te wszystkie tabele wyświetlane na naradzie, te porównania o rosnących w setkach procentów słupkach i uśmiechnęła się.

– Statystyki – przytaknęła.

– I co ty masz na nie poradzić?

Mona nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Może dlatego MU się ponownie przyjrzała. Piękny, wymuskany, ale jednocześnie coś w nim było. Coś więcej niż ciało i chęć kariery. Nie chciała dopuścić tego do myśli, ale chyba jej na NIM zależało.

Cały ON. Uśmiechnęła się na te nazywanie go w myślach wersalikami. Początkowo tylko ON tak sobie w mózgu pisała, bo nie chciała go nazywać tak jak inni: ksywką Diesel. W półświatku wszyscy tak na niego wołali. Skąd ta ksywka? Solidny jak diesel, silny jak diesel, śmierdzący jak diesel: paliwem, smarami, nieczystościami? Ileż to lat tkwił w tym przestępczym rynsztoku, rozpracowując gang za gangiem, mieszając role i stopniowo zatracając własną osobowość? Jednak prawda była inna. Zwyczajnie był podobny do tego aktora, który tak się nazywał. ON może tego podobieństwa nie dostrzegał, ale inni tak. Mona obiektywnie też musiała przyznać, że coś w tym jest.

Poza tym był taki amerykański. Nosił amerykańskie okulary, amerykańskie buty, amerykańską skórę. Pasował na aktora do amerykańskiego filmu.

Diesel.

Ale ona chciała mieć coś w nim tylko dla siebie. Choćby swoje przezwisko.

Stali wtedy na stacji benzynowej, w jego starym fordzie, ON tankował olej napędowy, ona zapytała go o ksywkę. ON odparł i wyznał, że go to wkurza. I wówczas Mona pomyślała, patrząc na dystrybutor z paliwem: będę cię nazywała ON.

Ciekawe, czy jemu by się to spodobało?

Ostatecznie jedynie w myślach tak do niego mówiła. Na głos pozostawał dla niej po prostu Piotrem, czasem Piotrkiem, rzadziej Piterem. Piotr Diesel ON. Tylko w złości krzyczała czasem, jak teraz:

– No właśnie, Diesel. Coś mam.

Westchnął, mruknął, chrząknął. Wstał. Może urażony, a może wcale nie. Niechętnie, leniwie. Poprawił koszulkę, w końcu zaczął się ubierać.

– Idę na nockę – wyjaśnił choć nie musiał. Przecież wiedziała. Idzie, jak zawsze idzie. Założył buty, koszulę, lejce do broni, w końcu sprawdził glocka, przeładował, zwolnił zamek, zabezpieczył, schował. Był gotów do nocki. Gotów.
– Nie daj im się, Mona. Nie daj.

Dobra, Diesel, nie dam.

ON wyszedł.

Mona została sama, jak niemal co noc. Nie całą, wróci nad ranem albo i nie wróci. Wślizgnie się do łóżka cicho jak szpieg, pocałuje, dmuchnie lekko w kark, przytuli. A potem zrobi więcej, jeśli ona pozwoli, albo nie zrobi. Delikatnie lub gwałtownie. Jak ona będzie chciała lub jak sam będzie chciał.

Zastanawiała się, czy ją tam zdradza z królowymi nocy. Niby nigdy nie wyczuła. Nie zobaczyła śladów, nie wywąchała zapachów. Nawet jeśli, to czy ma ją to obchodzić? Ważne, że jest, że wraca, że traktuje ją jak... No właśnie, jak? Jak kumpla? Bo przecież nie jak narzeczoną, nawet nie jak kochankę. Są tylko kumplami. I sypiają ze sobą po kumpelsku. Ale przecież lepsze to niż nic. Lepsze?

Wstała, sięgnęła do torby. Wydobyła paczkę dokumentów. Większość była jawnymi aktami. W środku jednak schowała niewielką teczkę, która miała zupełnie inne oznaczenia i pieczętkę TAJNE wraz z podstawą prawną u góry po prawej stronie. Teczkę, która miała pozostać za zamkniętymi drzwiami jej poprzedniego gabinetu. Teczkę, której nie wolno jej było więcej dotykać i której nie powinno tu być. Otworzyła ją i przejrzała po raz setny w tym miesiącu.

Nie wiedziała, co zrobić z tym syfem.

Jak postąpić, by jej następcą nie zamiótł go pod dywan?

*

– Zwariowaliście – ucięła Eliza. Ten plan był nie tylko ryzykowny, ale i zwyczajnie głupi. To samo napisała im na Facebooku, gdy rezygnowała z tajnej grupy stworzonej przez Radka. Konspiracja w ich wydaniu była jej zdaniem nie tylko dziecięca, prymitywna, idiotyczna, ale też groziła poważnymi konsekwencjami. Nie mieli piętnastu lat, by robić takie rzeczy. Nie lubiła spisków i manipulacji. Szczególnie teraz, gdy sama miała problem, o którym z nikim nie mogła porozmawiać. Teraz, mając ponownie na głowie Artura, nie chciała się mieszać w nic nowego.

– Dlaczego? – Zapytał Radek.

Miała mu tłumaczyć? Co by zrobił, gdyby powiedziała mu prawdę?

– Ja odpadam. Róbcie, co chcecie – krzyknęła, wyszła ze stajni i ruszyła na

padok.

Devil czekał grzecznie tak, jak go zostawiła przy myjce. Wysoki, dobrze odżywiony ale smukły, starannie wyczesany, zadbane, błyszczący, wystrzyżony i ułożony prezentował się niezwykle okazale. Jej ukochany ośmioletni ogier hanowerski, prezent od ojca na siedemnaste urodziny. Trzy lata razem. Trudne lata, bo koń bywał krnąbrny i nieposłuszny. Mimo wielu trenerów i poświęconej pracy, wciąż zachował charakter. Nadano mu imię od diabelskiej mocy, jaka w nim tkwiła. Ona czasem w myślach nazywała go po prostu Kary.

– Pamiętaj o piętach – usłyszała za plecami głos trenerki, zmierzającej do grupy dzieci jeżdżącej w kółko na ujeżdżalni. Przystanęła przy chłopaku kończącym przejazd na parkurze. Eliza uśmiechnęła się i krzyknęła: – Pięty do dołu, noga głęboko, łydka cofnięta, ręce przed siebie.

Trenerka pomachała do niej wesoło. Zrobiła groźną minę niby zła, że Eliza nie pilnuje swojego nosa, po czym wyprężyła piersi.

– Ty, Elizka, pamiętaj o cyckach. Plecy prosto, kuper pod siebie, cycki do przodu – a potem rzuciła w kierunku jeźdźca: – Nie zakleszczaj się kolanami. Łokcie przy ciele, przy ciele, matole. Ramiona do tyłu. Nie spinaj się tak.

Eliza poklepała Karego po szyi i nagle jej się wszystkiego odechciało. Zapął do jeżdżenia, szczególnie do sportowego jeżdżenia, minął już dawno. Ojciec jednak upierał się, by nie rezygnowała tak szybko. W końcu zdobywała kiedyś nawet medale.

Radek stanął przy wejściu na parkur, na którym trenerka ustawiła dla niej stacjonatę i kilka mniejszych przeszkód. Przekonywała, że skoro tak dawno nie skakała, powinna potrenować na sześćdziesiątkach.

Zastąpił drogę. Przytrzymał, objął.

– Bez ciebie się nie uda.

Radek i ona. Ile to już lat byli razem? Ile razy się rozstawali i potem wracali do siebie? Z przerwą na Artura będzie z pięć. Ufała mu, może nawet kiedyś kochała. Na pewno byli najlepszymi przyjaciółmi. Kiedyś. Teraz... byli ze sobą co najwyżej z przyzwyczajenia. Jakby w jakiejś poczekalni. On na coś czekał, ona też. Może oboje z nadzieją, że jednak się do siebie z powrotem przekonają. Ale raczej z przeświadczeniem, że to nigdy nie nastąpi. Miłość na przeczekanie. Miłość skazana na porażkę.

Miała tę świadomość szczególnie teraz, po akcji z tabloidem i Arturem.

Nic się niby nie zmieniło, nie wydarzyło się nic szczególnego, ale ona... wiedziała.

Wiedziała, że to nie jest właściwa droga.

Musiałyby się wydarzyć jakaś tragedia – pomyślała. One podobno mają moc sprawczą, potrafią naprawić rzeczy nienaprawialne. Tyle że się nie wydarzy, bo tragedie nie przychodzą na zawołanie. W tej jednej chwili, w nagłym przypływie

szczeroci, pomyślała, żeby powiedziec mu o wszystkim. O gazecie, internecie, spotkaniu w kasynie. Bez wyjasnienia, bez tłumaczenia swoich motywacji. Same fakty, jak to on lubil mowic. W sadzie licza sie fakty, nie odczucia. Mozna wyjasniac motywacje, mowic o zamierzeniach, planach, ale faktow nic nie przekresli. Sa swiadczeniami same przez sie. Przemawiaja do sadu i lawnikow, jesli chodzi o najciezsze przypadki. Czy to byl jeden z nich? Czy to by ostatecznie zakonczylo ich zwiazek? Czy uznalby to za zdrade? A moze jednak poprosil o motywacje i wyjasnienia, a potem je przyjal, uwierzyl w nie? Czy by to nim wstrzasnelo? A moze wstrzas obudzily w nim wreszcie męzczyzne?

– Beze mnie – powtorzyła.

– No nie badz taka. Zgodz sie.

Objal ja, przytulil.

Jak dawniej.

I poczula sie jak dawniej.

A moze bardziej: poczulaby sie, gdyby wciaz byla nastolatka.

Ale nie byla. Dzis... nie byla juz mala dziewczynka.

A on pozostawal chlopcem.

Innym niz Artur, ale wciaz tylko chlopcem.

Zagryzla warge i milczala.

Czekala, az ja pusci.

Az sam zrozumie, ze jej sie to nie podoba.

Ale Radek nie rozumial.

Czekala wiec i milczala, az zniecierpliwiony Devil glosno parsknal, a Radek odskoczyl wystraszony.

*

Wspinali sie dobre dwadziescia minut. Na gorze Niebieski wyciagnal komorkę i sprawdzil lokalizacje za pomoca GPS. Potem rozgladal sie jeszcze chwile usilujac zapamietac jak najwiecej szczegolow. Ulozenie galęzi drzew, skupiska krzakow, wieksze kamienie i konary, rzezba terenu z kolejnych perspektyw. Wyjal farbe fluorescencyjna, zszedl pol pietra nizzej i zrobil na jednym z drzew znak, jaki czesto zostawiaja harcerze przy podchodach. Wrocił.

– Kopcie – polecil.

Brązowy splunal w dlonie, ujal stylisko, wbil szpadel w ziemie najglebiej jak umial. Różowy niechetnie dolaczyl do niego, nie bardzo starajac sie dotrzymac kroku silniejszemu męzczyznie. Kopali prawie godzine, odpoczywajac co kilka minut i palac papierosy. Mimo to byli mokrzy od potu, gdy skonczyli. Powoli, ostroźnie umieścili skrzynie w dole. Brązowy siegnal po lopate, jednak Niebieski

go powstrzymał.

– Poczekaj. Cyknę fotkę.

Kazał im wbić łopatę, odejść na bok, po czym fotografował „grób”.

– Możecie zakopać – zakończył.

Zakopali skrzynię, pozostałą ziemię spakowali w worki i rozrzucili z dala od kryjówki. Niebieski w tym czasie zebrał liście i suche gałęzie, którymi zakamuflował rozkop.

Potem pojechali jeszcze raz obejrzeć dom. Różowy czekał w garażu, podczas gdy Brązowy z Niebieskim poszli do kanciapy na górze. Niebieski sprawdził, jak trzymają zamontowane do podłogi i ścian kotwy. Przesunął butem gruby, przeciągnięty przez uchwyty łańcuch zwieńczony metalową obrozą. Usiadł na materacu.

– Całkiem wygodnie.

Gdy zeszli na dół, kazał Brązowemu poczekać i poszedł do samochodu. Wrócił z solidnym, okazałym futerałem.

– Co to? – mina Różowego zdradzała rosnący niepokój.

Niebieski wyjął metalowy przyrząd o dwóch długich na prawie metr ramionach i elipsowatych ostrzach.

– Sekator – odparł Niebieski, jakby to była szczoteczka do zębów. – Chcesz wypróbować?

Niebieski chwycił ramiona sekatora i zbliżył go do dłoni Różowego, który pospiesznie zacisnął pięści i schował je za plecami. Brązowy zarechotał, ale sam instynktownie zacisnął pięści. *Pan Blue* nawet się nie uśmiechnął. Zimny sukinkot. Gwałtownie nacisnął ramiona sekatora. Ostrza otarły się o siebie. Przejmujący zgrzyt przeszył ciszę i wciąż dźwięczał im w uszach. Nieprzyjemny dźwięk podkreślił jeszcze brzęk sprężyny wspomagającej powrót ramion do stanu wyjściowego. Jedno cięcie, drugie.

– Rach, ciach i po paluszkach...

– Kurwa – przeklął Brązowy i włożył palec do małżowiny. – Przestań, bo mi coś w uchu jebnie.

Niebieski odłożył sekator na stół, wyjął aparat i sfotografował.

– A jak ktoś znajdzie te zdjęcia? – Zapytał Brązowy.

– Kto?

– Bo ja wiem? Ktoś. Jak znajdzie, to nie będzie dowód?

Niebieski popatrzył na niego z góry. Nie odpowiedział. Schował sekator na półkę w garażu i wyszedł. Różowy spojrzał porozumiewawczo na Brązowego. Czarne oczy były jednak puste i bezmyślne. Zapatrzone w Niebieskiego jak w obrazek. Nie miał co szukać tutaj porozumienia.

Niebieski wysadził ich sto metrów od stacji dworca i kazał wrócić do Gdańska kolejką. Tłumaczył, że ma jeszcze coś do załatwienia. Zaparkował po

drugiej stronie stacji i poczekał aż wsiądą do pociągu i odjadą. Potem wrócił do kryjówki w lesie, wspiął się na górę, wyjął lokalizator GPS i ruszył do kolejnego, wcześniej wytypowanego miejsca. Po dwudziestu minutach przystanął, odnalazł skrytkę, sprawdził czy nikt przy niej nie grzebał. Włączył stoper w zegarku i ruszył biegiem do kolejnego schowka, przygotowanego w razie czego. Na miejscu zatrzymał stoper i przyjrzał się dziupli w konarze. Założył rękawicę i sięgnął do środka. W głębi było dokładnie tyle liści ile włożył.

Zwolnił pauzę w stoperze i ruszył biegiem. Po pięciu minutach przystanął, uspokoił oddech, choć nie był specjalnie zmęczony. Był zadowolony z poczynionych przygotowań.

Gotowy na wszystkie ewentualności.

Miał kilka kryjówek na ukrycie kasy, gdyby coś poszło nie tak.

Miał grób.

Miał trzy równorzędne plany.

Do domu wrócił późno. Była dwudziesta druga, gdy cicho otworzył drzwi. Żona była w domu. Uszykowała nawet ciepłą kolację i chyba go prowokowała. Zastanawiał się przez chwilę, czy rzeczywiście nie użyć dziś tych dostarczonych przez Różowego kajdanek.

Alibi.

Nie tej nocy.

Dziś musiał załatwić coś innego.

Poszedł do pokoju syna. Chłopak nie zauważył go albo udawał. Leżał plecami do drzwi w słuchawkach na uszach. Niebieski przez chwilę zastanawiał się, czy słysząc jego kroki na schodach, specjalnie się nie odwrócił i nie założył słuchawek, żeby udawać.

On robił dokładnie tak samo, gdy zbliżał się jego ojciec.

Uśmiechnął się pod nosem i rozejrzał po pomieszczeniu.

Był to pokój zwykłego nastolatka. Na ścianie wisiał plakat Aerosmith, kilka zdjęć z zawodów karate i folderów z filmów z Bruce Lee. Na biurku komputer, zeszyty, książki, trochę luźnych kartek, jakieś rysunki, listy, zestawienia. Jak to mówiło jego czternastoletnie oczko w głowie? Artystyczny nieład. Zestaw głośników z trudem ustawiony w bałaganie, pod nim subwoofer. Plastikowe krzeselko na kółkach oklejone zabawnymi memami i zdjęciami z zawodów. Jedno z nich szczególnie widoczne. Syn odbierający puchar z rąk dyrektora szkoły. Pierwsze miejsce. Był znakomitym sportowcem.

Uśmiechnął się pod nosem. Razem z żoną i synem stanowili doskonały wzorzec politycznej poprawności.

Wzorowa rodzina klasy średniej.

Na pierwszy rzut oka.

Zamknął drzwi i zszedł do swojego gabinetu w piwnicy. Planował poświęcić

dzisiejszą noc na dopięcie całego planu. Gdy jednak usiadł za stołem, jego komórka wydała dwa krótkie dźwięki oznaczające nadejście połączenia. Nie znał tego numeru. Mimo to odebrał i bez słowa przyłożył aparat do ucha.

– Niebieski, to ty? Niebieski? Przyjedź, musisz przyjechać! Ratusz! Z Brązowym nie jest dobrze! On go zabije. Zabije mojego synka... Przyjedź natychmiast!

*

– Wais szykuje coś wyjątkowego – powiedział przybysz.

– To znaczy?

– Coś spektakularnego. Sądzę, że to wartościowe informacje. Pytanie, czy wciąż pana interesują?

Hausberger odczekał chwilę, żeby nie dać po sobie poznać prawdziwych odczuć. Najważniejsze to udawać, że ma się wszystko w głębokim poważaniu. Na niczym nam nie zależy, nic nas nie rusza. Wtedy sprawy idą jak trzeba, same przez się. Chyba że nie idą.

– Niespecjalnie – skłamał. – Odrzucił moją ofertę.

Taktyka negocjacyjna: nie pokazać, że ci zależy. Wręcz przeciwnie: w sumie nie jesteś zainteresowany, jednak z wyraźnym znakiem zapytania, bo przecież nic nie jest wieczne, okoliczności zawsze mogą się zmienić.

– Nie ma pan dla niego innej? – Przybysz uśmiechnął się znacząco. Nie ze mną te numery. Dobrze wiem, w co grasz. Taki przekaz krył ten uśmiech.

– Jeszcze nie wiem – Hausberger zmienił pozycję, oparł dłonie na kolanach i zbliżył twarz do rozmówcy. W sumie nie było sensu dłużej bawić się w grę pozorów. – Na jaką kwotę wyceniłby pan swoją wiedzę?

– Jest bezcenna – twarz rozmówcy poszarzała. Uśmiech stał się nieco sztuczny, sarkastyczny. – Ale skoro pana już to nie interesuje, sprzedam ją komuś innemu.

Hausberger uniósł delikatnie dłoń do góry, powstrzymując gościa. Taktyka lekceważenia nie byłaby słuszną.

– Nie wątpię. Co pan powie na podwojenie poprzedniej stawki?

– Sądzę, że jest potrójnie bezcenna.

Hausberger zawahał się. Musiał przyznać, że wszystkie informacje od rozmówcy się przydały, były rzeczywiście cenne, obiektywnie miały wartość wyższą niż zapłacona za nie kwota, więc teoretycznie osiągał zysk, a przecież każde przedsiębiorstwo prowadzone jest dla zysku.

– Zgoda. Może być przelew? – Hausberger nie czekał na potwierdzenie. Wyjął komórkę i w przeciągu minuty dokonał przelewu na konto wskazane kilka

tygodni wcześniej przez rozmówcę. Było to konto w polskim banku, ale należące do spółki zarejestrowanej w Limassol, której właściciel krył się za cypryjskim prawnikiem reprezentującym sto a może tysiąc podobnych firm. Cypr wciąż był modnym kierunkiem dla firm przykrywkowych. Odświeżył widok i pokazał rozmówcy dane operacji na maleńkim ekraniku.

– Ta technika mnie onieśmiela.

Hausberger położył pomiędzy nimi komórkę, która ciągle błyskała światełkami oznaczającymi nadejście kolejnych wiadomości i powiadomień.

– Mnie z pewnością onieśmiela informacje, które ma pan do przekazania.

Oczekiwał, że rozmówca uwinie się w pięć minut, a dyskusja przeciągnęła się do prawie pół godziny.

Hausberger długo potem patrzył za wychodzącym informatorem. Zastanawiał się, jakie tak naprawdę motywy nim kierowały. Niby tyle wiedział o tym dziwnym, tajemniczym człowieku, niby całkowicie rozpracował go wywiadowczo, a jednak miał wrażenie, że nic nie wie.

Kudłaty był dla niego prawdziwą zagadką.

Rozdział 5

[4 czerwca, sobota, wieczór

Wyjechał. I dobrze. Nie zdążyliśmy się pogodzić. No bo pamiętasz, że przedtem znów się pokłóciliśmy. O Rozmusa tym razem. O to, jaki on przystojny. Podpuściłam go, no co? Gdybym kłamała, to rozumiem, ale prawdę mówię. Przystojny, jak nie wiem co. Podjudzałam, podpuszczałam, aż wreszcie pękł. Wybuchł jak granat w kloace. On, taki nieprzeklinający, taki święty, a żebyś go posłuchał. Uszy by ci zwiędły. A ja ciągnęłam o Rozmusie dalej. Jaki on wspaniały, jak artysta albo lekarz z dawnych lat. Artysta lekarz. Potem przyszedł na zgodę, a ja mu powiedziałam: przeproś. Nie przeprosił. Coś odburknął, ja oddałam. Jak ci już mówiłam, zawsze teraz oddaję. No i od słowa do słowa, znów poszło. Zabrał walizkę i się wyniósł na dzień. Do hotelu chyba poszedł, bo nie do Brzydala. Do Rozmusa chyba też nie (mam nadzieję). Brzydał przylazł o niego pytać. Stąd wiem, że nie do niego. Patrzył na mnie i ślinił się, wyobrażasz sobie? Znów się ślinił, tak jak wtedy, pamiętasz, jak ci opowiadałam. Mimo że przecież mu zabroniłam. Dawno już mu powiedziałam, by się na mnie nie ślinił. Że tylko w myślach? Nie, normalnie też, może nie wprost, ale ja i tak wiem swoje. Ciekawe jakby Daniello zareagował, gdybym mu powiedziała o Brzydalu. Może by go nie ruszyło, wiesz dlaczego, ale jak go znam, to by wybuchł. Poprzestawiałby parę mebli, może coś potłukł i podarł. Gdybym mu wszystko powiedziała. Najgorsze jest jednak to, że coraz bardziej z tym wszystkim czuję się jak jego wróg. A przecież to nieprawda. Przecież wciąż go kocham.]

R. prowadził sporą firmę na Śląsku, dawał pracę około dwustu osobom, większość zysków inwestował w rozwój. Nie kuł w oczy bogactwem, nie żył rozrzutnie, nie szastał forszą. Mieszkał w zwykłym domu jednorodzinnym, unikał garniturów za dziesięć tysięcy dolarów, wakacje spędzał nad polskim morzem, jeździł dobrym, ale nie wybijającym się z przeciętności volvo. Można powiedzieć, że jak na możliwości, żył skromnie. Nie uchroniło go to przed nieszczęściem. W końcu lat dziewięćdziesiątych porwano mu syna, żądając prawie pół miliona dolarów okupu. Zapłacił. Dziecka nigdy nie odzyskał. Sprawców nie ujęto.

Córkę P. porwano dwa miesiące później i przetrzymywano w specjalnie przystosowanym kurniku. Wróciła do domu w zamian za trzydzieści tysięcy funtów. Trzej bandyci zostali złapani dwa dni później, część pieniędzy zwrócono.

Córka do dziś nie wychodzi sama z domu.

Biznesmen S. zapłaciłby każdą sumę za syna i nie potrzebował żadnych ponagleń. Mimo to porywacze przed przekazaniem żądania obcięli dzieciakowi palec. Okup zapłacono, sprawcy pozostają na wolności. Syn ma nowy palec przyszyty w szwajcarskiej klinice. Ojca niepokoi, że pasjonuje się przemocą.

Magnat telekomunikacyjny przekazał milion dolców za zwrot dziecka. Sprawców ujęto. Część pieniędzy odzyskano. O dziecku nic nie wiadomo. Przebywa w USA. Jeden ze sprawców popełnił samobójstwo, drugi umarł po połknięciu części widelca, trzeci żyje – przebywa w jednym z gorszych zakładów karnych na południu.

Syn lekarza z W. został przez porywacza wykorzystany seksualnie. W trakcie nieobecności pozostałych porywaczy, pilnujący go troglodyta zmusił dziecko do tak zwanych innych czynności seksualnych (odbył stosunek oralny).

Prawniczka z M. musiała błagać współnika o zapłacenie haraczu. Tydzień po przekazaniu pieniędzy i odzyskaniu wolności zginęła w wypadku samochodowym. Była pod wpływem alkoholu.

Przedsiębiorca L. zgłosił na policję porwanie syna, gdyż nie był w stanie zapłacić nawet części żądanej kwoty. Wyjaśnił, że wcześniej porwano go dwa razy, czego nie zgłaszał z powodu nieufności do policji. Wszystkie pieniądze, jakie miał, już zapłacił i teraz nie był w stanie zdobyć sumy potrzebnej do uwolnienia dziecka. Porywacze po krótkich negocjacjach wypuścili zakładnika. Zostali zatrzymani.

W przypadku Z. policja doskonale zabezpieczyła miejsce przekazania pieniędzy i ujęła osobę, która próbowała je podjąć. Jednocześnie zatrzymano krążącego w pobliżu recydywistę. Obaj zatrzymani milczeli przez całe śledztwo i nie ujawnili miejsca przetrzymywania zakładnika, który przez błąd policji prawdopodobnie zmarł w męczarniach. Do dziś nie odnaleziono ciała.

Mona głośno i ze złością wypuściła powietrze.

Takie przypadki szczególnie ją wku... wkurzały.

Od rana przeglądała akta prawie dwustu spraw porwań dla okupu, które zostały zarejestrowane od połowy lat dziewięćdziesiątych. Smutnych, dziwnych, zabawnych. Z tragicznym finałem i takich, które pozornie skończyły się szczęśliwie. Wykrywalność na poziomie sześćdziesięciu procent, podobnie jak w przypadku innych przestępstw. Odsetek skutecznych skazań również. Wyroki? Od roku w zawieszeniu do dziesiątki bez. Do zeszłego roku porwania traktowano jak występki, kary były stosunkowo niewielkie, podobne jak za kradzież. W końcu 2009 r. zwiększono maksymalny i minimalny wymiar. Pozbawienie wolności dla okupu uznano też za zbrodnię, dzięki czemu bandyci nie mogli liczyć na kary w zawieszeniu.

Dobry ruch, ale nie wystarczający – pomyślała. Statystyki zareagowały jakby odwrotnie do oczekiwań.

Najwięcej czasu poświęciła serii porwań na Mazurach w latach 1998–2000. Jak można było pozwolić gangowi złożonemu z siedemnastu osób na ponad dwadzieścia zarejestrowanych uprowadzeń? Ile było tych niezgłoszonych? Pięćdziesiąt? Sto? Więcej? Co robiła wtedy policja, skoro przedsiębiorcy musieli wziąć sprawy w swoje ręce i zorganizować się we własną grupę obronną? Czy wobec tak rażących zaniedbań, mają prawo oczekiwać od ludzi, że im zaufają, uwierzą, powierzą życie swoje i swoich dzieci? Czy w ogóle mają do czegośkolwiek prawo?

– Niezły bajzel, prawda? – Czy ja wiem – mruknęła. Oderwała wzrok od akt i obróciła fotel o sto osiemdziesiąt stopni. W drzwiach stał trzydziestoletni, szczupły, przystojny mężczyzna. Miał krótkie, ciemne, proste włosy i był bardzo... proporcjonalny. Jedna część ciała dokładnie odpowiadała drugiej. Mona mogła pójść o zakład, że lewa stopa ani o milimetr nie różniła się od prawej. Skoro oczy, usta, ramiona, uszy, wszystko tak do siebie pasowało, to zapewne podobnie jest ze stopami. Idealny, jakby zaprojektowany przez komputer. Gdyby miała go obsadzić w jakimś filmie, dałaby mu rolę Hitlerowca.

– Prygiel – przedstawił się – Karol Prygiel z prokuratury apelacyjnej. Zdaje się, że mamy razem pracować.

– Zdaje – przyznała Mona. Wstała. Ciężkie ciało zaskrzypiało we wszystkich stawach. Wyciągnęła dłoń do mężczyzny. Ujął ją mocno i silnie potrzęsnał. Nareszcie jakiś normalny facet, a nie pierdoła w rurkach.

– Mów do mnie Prygiel, proszę. Nie znoszę swojego imienia.

Dziwne. Karol to chyba całkiem sympatyczne imię, chyba że jest się jakimś radykalnym wrogiem kościoła katolickiego i Familiady. Prygiel za to brzmiał jakoś tak nieszczególnie, wręcz wulgarnie. Może jakaś forma samobiczowania? Spokojnie, chłopcze, Hitler kaput, dziś już można wyglądać jak rasistowski półdupek i nikt cię za to nie wybatoży.

W ogóle prośba wydała jej się dziwna, jednak skinęła głową i nie dopytywała o powody.

– Czemu uważasz, że to taki bajzel?

– Gorący kartofel. Z jednej strony problem w zasadzie marginalny, politycznie niewygodny, społecznie pomijalny, bo co to za skala dwieście zdarzeń w ciągu tych kilku lat. Z drugiej każda z tych spraw może stać się głośna i zakończyć nasze kariery.

– Dlatego nas powołano...

– Na twoim miejscu tych, którzy tak zdecydowali, zaliczyłbym raczej do wrogów niż przyjaciół. Wiesz, że większość ludzi słyszała o porwaniach dla okupu, ale zaledwie niewielki odsetek uważa, że to u nas istotny problem. A jeszcze mniej, że ktoś z jego otoczenia jest nim zagrożony.

– No tak, zło zawsze mieszka u sąsiada – przyznała Mona.

– Większość też myśli – zakończył Prygiel, – że tym, których to spotyka, się zwyczajnie należy.

– Tak?

– Wzbogacili się za bardzo, to mają za swoje. Myślenie jest takie proste, a czasem jeszcze prostsze: pewnie sami kradli, to teraz ich okradają. Co nam, zwykłym ludziom, do tego?

– Jak w wojnach gangów? Niech się mordują nawzajem.

– Właśnie. Problem w tym, że statystyki nie kłamią. Jeśli mamy wzrost porwań o kilkaset procent w ciągu paru lat, to za chwilę możemy mieć tu prawdziwy Meksyk. Oglądałaś „Człowieka w ogniu”?

– Tego o Meksyku? Tak. Widziałam też włoski pierwowzór.

– To wiesz o czym mówię.

– Podejrzewam.

– Jak ta nasza Zielona Wyspa będzie się dalej tak rozwijać i tworzyć takie społeczne podziały, to jak nic będziemy mogli czerpać stamtąd wzorce. I problem nie będzie dotyczył tylko tych z ferrari i lamborghini. Wręcz przeciwnie. Oni zatrudnią sobie ochronę, staną się ostrożniejsi, bardziej przezorni, będą mieli spokój. Za to na celowniku znajdą się dzieciaki lekarzy, prawników, a potem może nauczycieli i sklepikarzy.

– Już są.

– Im – Karol zrobił nieokreślony ruch ręką, który miał oznaczać, że mówi o całej iluzorycznej widowni – wydaje się, że to jest poza nimi, że ich dotykają co najwyżej włamania i kradzieże aut. Tymczasem...

– Kradzieże aut przestają się opłacać, włamania też...

– A kara za to i za porwanie jest niemal taka sama. Włamiesz się, zrobisz skok na sklep, ukradniesz radio czy samochód i dostaniesz tyle samo, co za porwanie. A co ci się bardziej opłaca? Prawda jest taka, że jak nie zareagujemy, to będziemy mieli z porwań istotny problem społeczny. Przestępcy zaczną się specjalizować, profesjonalizować i jednocześnie polaryzować. Ci lepsi staną się nieuchwytni, ci gorsi bardziej okrutni i bezwzględni. Olewnik przestanie być sztandarowym przykładem nieudolności i bestialstwa. Zyskamy setki nowych. No i rozumiem, że masz do tego nie dopuścić, szefowo?

Prowokuje mnie? Chce wyczuć dystans? Co prawda formalnie została powołana na przewodniczącą zespołu i sam minister, a nie tylko komendant główny, określił tu jej kompetencje, jednak każdy z tych przydzielonych jej agentów, prokuratorów i funkcjonariuszy mógł się wypiąć na jej rozkazy, pokazać środkowy palec i powiedzieć: możesz sobie porządzić swoim paluszkiem w majtkach. Bo przecież na skargę do ministra nie pójdziesz. Z tego jesteś znana, że nie chodzisz na skargi. Co najwyżej sama zrobisz to, co należy do innych, prawda? Tak właśnie dotąd postępowałaś. Jak cię olewano, to brałaś wszystko na

siebie. Jakbyś nie rozumiała, na czym polega szefowanie. Szef, który nie potrafi delegować zadań, tylko sam je wykonuje, to zły szef. Kiepski z ciebie zarządca, Mona. I tyle.

To dlaczego wygrywałam?

– Podobno.

Prygiel pokiwał głową, chyba zamierzał wyjść z pokoju ale nagle się odwrócił i powiedział:

– Jest coś pocieszającego.

– Tak.

– Przejrzyj dokładniej akta, a zobaczysz, że pierwsze porwania niemal zawsze kończyły się zabójstwem zakładnika.

Zastanawiała się, czy prokuratorowi chodzi tylko o te porwania z czasów PRL, czy też o nowe czasy? Mimo że przebrnęła już przez historyczny rys w aktach, pamiętała te najstarsze przypadki jak przez mgłę. Młody chłopak, szesnastoletni syn opozycjonisty, za którego zażądano okup, ale prawdopodobnie był to tylko kamuflaż do mordu politycznego. Dzieciaka ogłuszono i zasztyletowano wyjątkowo okrutnie już w dniu porwania. Ciało wepchnięto do ubikacji w piwnicy jakiejś rudery. Sprawców nie ujęto i nie osądzono. Zatrzymano jedynie jednego z podejrzanych, a tuż przed procesem wycofano akt oskarżenia.

Do dziś rodzinie nie udało się skłonić państwa do wyjaśnienia zbrodni.

Który to był rok? Pięćdziesiąty szósty czy siódmy? W tym samym porwano siedmioletnią dziewczynkę w Poznaniu. Niestety i tu doszło do zabójstwa, którego sprawcą okazał się dalszy krewny.

Trzydzieści lat później uprowadzono dla okupu a potem zamordowano sześćdziesięcioczeroletnią lekarkę. Porywacz został ujęty. Nie przyznał się do zabójstwa. Twierdził, że przekazał uprowadzoną innemu tajemniczemu szantażyście. Ciało nie było. Sąd skazał go tylko za uprowadzenie.

Wreszcie ostatnia sprawa. 1984 rok. Jak u cholernego Orwella. Uprowadzony przez esbeków Jerzy Popiełuszko. Ksiądz, charyzmatyczny, przyciągający tłumy wiernych kapelan Solidarności. Torturowany i bestialsko zamordowany przez esbeków. Bezpieka też próbowała dezinformować, żądając okupu w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Sprawa pozornie rozwiązana, sprawcy osądzeni i skazani. Pozornie, bo wątpliwości, czy ktoś jeszcze nie był zamieszany i nie stał za nią, pozostały.

A potem, w nowej Polsce? Jeśli się nie myliła, ci faktycznie porywani dla okupu w większości odzyskiwali wolność. Gorzej było z osobami uprowadzonymi w wyniku porachunków w gangach.

Uznała, że na razie nie będzie wchodzić z Prygłem w zbyt szczegółową dyskusję i zdradzać, co dokładnie wie.

– Teraz już nie zabijają?

– Nie. Teraz prawie zawsze wypuszczają ofiarę. Cywilizuje się to w kierunku zwykłych biznesowych transakcji. Kwestia kwalifikacji. Tyle że to nie zmienia nic w odczuciach ofiar. One nie traktują tego... biznesowo. Każda przeżywa traumę, małżeństwa się rozpadają, dzieci sikają w łóżka, boją się wychodzić z domu, nie są w stanie normalnie funkcjonować. Większość porwanych jest już skażona do końca życia. Jak to by powiedział jakiś poseł: są zarażeni anomalią.

Mona tylko pokiwała głową. Co mogła dodać?

– Jest też coś jeszcze bardziej niepokojącego.

– Tak?

– Do dwutysięcznego roku liczba porwań stale rosła ze sporą dynamiką, potem zaczęła się wahać z tendencją spadkową.

– To chyba dobrze?

Kiwnął powoli głową.

Może i dobrze, ale...

– Od dwóch lat znów rośnie. I to dramatycznie. Pamiętasz, jak mówiłem ci o tym radykalizowaniu się sprawców. To następny etap, który dostrzeżemy po latach w...

Nie dokończył. Mona uśmiechnęła się i sama dodała:

– Statystykach?

Odpowiedział tym samym. Nie ma to jak dobrze się rozumieć. Pomiędzy nami urzędasami. Statystyki są najważniejsze.

– Pewnie dlatego tu jesteście.

Zespół. Godzinę później odbyła się pierwsza narada zespołu. Dwóch prokuratorów, trzech agentów Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jeden były sędzia, jeden policjant, wyglądający na lekko szalonego psychiatrę, wykładowca ze szkoły policyjnej i profiler w jednym. Max. Zadziwiające, że właśnie jego zapamiętała. A może wcale nie takie niezwykle. Wariatów się pamięta, normalnych trzeba sobie przypominać po kilka razy. A Max wyglądał jak stuprocentowy szalony nieudacznik: chudy, wysoki, pokręcony, źle ogolony i fatalnie ostrzyżony. Za długie siwiejące włosy, siwiejąca broda, siwiejące ramiona i wielkie połacie łysiny w mózgu. Podejrzewała, skąd się wzięły, bo trudno było nie podejrzewać, czując w jego pobliżu zbyt intensywny zapach wody kolońskiej i wczorajszego dnia.

Poza nią, tylko jedna kobieta – Iwona z ABW. Wyciszona, wycofana. Ładna. Nie, nie ładna. Piękna. Czarna. Podobna trochę do Binoche. Wspaniałe, mądre, francuskie oczy. Duże, czarne, śledzące. Pełne pytań i dwuznacznych odpowiedzi. I jakaś skaza w twarzy, całej postaci, postawie, ruchach, we wszystkim.

Imię zapamiętała, bo przedstawiła się z ironią świadcząca o dystansie do siebie:

– Iwona. Wiem, głupie imię. Głupio mieć na imię jak syntezytor mowy.
Max, Prygiel, Iwona i pozostali.

A ona? Czy ją zapamiętają, czy zapomną zaraz po odbębnienu obowiązków? Pewnie zależy, jak im będzie szło i ile czasu utrzyma się ta cała przedziwna konstrukcja zespołu do spraw uprowadzeń.

Chrząknęła.

Wszyscy zamilkli.

Patrzyli na nią.

Czekali, co powie.

Znów chrząknęła.

– Proponuję zrobić najpierw porządną kwerendę tego... bajzlu – spojrzała na stertę dokumentów. Wszystko miała w postaci elektronicznej, ale z papierami lepiej się pracowało. – Może podzielimy dokumentację na trzy grupy? Pierwsza przeanalizuje sprawców, okoliczności i powiązania. Druga zajmie się ofiarami. Trzecia weźmie na tapetę legislację, procedury i... skuteczność działań organów ścigania oraz sądów. Co wy na to?

– Są opracowania książkowe – zasugerował jeden z prokuratorów.

Skinęła głową powstrzymując się od złośliwej odpowiedzi. Zboczeńcy najpierw czytają książki, ale potem i tak wolą sami zgwałcić czy obciąć komuś głowę.

– Sama wyciągam wnioski.

Nikt jej nie odpowiedział. Gdy Mona wychodziła z konferencyjnej, ktoś za jej plecami zażartował:

– Skuteczność w nieskuteczności?

*

Brażowy leżał nieruchomo na podłodze. Jego twarz pokrywała gruba skorupa krwi. Iwan siedział obok przy brudnym, zabałaganionym stoliku i polewał wódkę. Przy każdym kieliszku rzucał do Brażowego coś w stylu:

– No i widzisz, kurwa, co zrobiłeś?

Niebieski rozejrzał się, ostrożnie wchodząc do meliny. Dał znać matce Brażowego, żeby została za drzwiami. Zrobił uspokajający gest: wszystko będzie dobrze, nic mu nie jest. Kobieta ledwie mogła utrzymać się na nogach z nerwów. Roztrzęsiona, zapłakana. Wbijiała sobie do krwi pazury w dłoń. Już widziała swojego synusia w grobie. Niebieski ją uspokoił. Na tyle, ile mógł. Nikt nie mógł bardziej. Niebieski miał rzeczywiście dar.

Zamknął drzwi. Z obrzydzeniem chłonał odrzucające zapachy i scenerię z poprzewracanymi butelkami, walającymi się na ziemi resztkami jedzenia,

śmieciami, brudnymi ubraniami.

Brązowy poruszył się, oddychał. Nie było tak źle. Chyba.

– Cześć, Iwan.

Pijany bandzior spojrzał na niego spode łba.

– Cześć – Iwan chyba go rozpoznał, ale zachował spokój. Poszukał wzrokiem jakiejś broni na stole. Butelka, dobra była butelka. Skupił na niej wzrok o sekundę za długo. Niebieski wiedział już, że jeśli dojdzie do bójki, Iwan zamarkuje cios, a potem rzuci się po butelkę. Nie zamierzał się bić z Iwanem, nie chciał się mścić. Przynajmniej nie w ten sposób. – Tylko sobie nie myśl, kurwa...

Iwan. Trzydzieści dwa lata. Zakapior i morderca. Co najmniej trzy zabójstwa na koncie dla grupy mokotowskiej. Od roku żołnierz u tego nowego prymitywa z Helu, co z alfonsa urósł na jednego z hersztów Trójmiejskiego podziemia. Prymitywny, zboczony, głupi. Jak popije, nieprzewidywalny. Zastraszony i zdominowany staje się całkowicie podporządkowany i potulny. Ale weź tu go zastraszyć i zdominuj.

– Nie myślę.

– I tak go zajebię – kopnął Brązowego. – Słyszysz, jebany skurwysynu. Zajebię cię, zajebię.

– Pewnie, że go zajebiesz – Niebieski zastanawiał się, czy w bezpośrednim starciu, tu i teraz, pokonałby Iwana. Bandzior był znacznie silniejszy, cięższy, miał większe doświadczenie, całkowicie nieporównywalne do Niebieskiego w zakresie bójek ulicznych. Nie raz go połamano, wybito mu zęby, pokiereszowano. Niebieski nie miał co startować. Ale Iwan był pijany, a Niebieski trzeźwy, przez co szanse rosły może nawet do pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Tyle że ewentualna wygrana z Iwanem nie skończyłaby problemu. Wręcz przeciwnie, ściągnęłaby kolejne kłopoty. Nie potrzebował ich.

– Nie oddaje skurwysyn – wyjaśnił Iwan. – Ile razy mam powtarzać, że nie jestem frajerem. Jak się jest winnym, się płaci, nie? No powiedz sam! Płaci się, do kurwy nędzy, czy się nie płaci prawidłym chłopakom?

– Pewnie, płaci się – przyznał Niebieski.

– No – Iwan polał. Wypił.

– Dużo ci jest krewny?

Iwan wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem?

Chyba nagle dostał jakiejś zajawki. Poczł ponownie, że Niebieski może być dla niego zagrożeniem, bo w końcu chwycił tę pustą butelkę od wódki, umieścił ją pod pachą, jakby chował broń, zataczając się i potykając uciekł z pokoju.

Niebieski upewnił się, że nie wróci, pochylił nad Brązowym i obejrzał jego twarz. Rany były powierzchowne. Przez dużą ilość zakrzepłej krwi gorzej to wyglądało, niż było w rzeczywistości.

– Nie masz z kim, kurwa, pić, pajacu?

Brązowy nie odpowiedział. Spał.

Najebany jak autobus, po prostu beczelnie kimał.

Jego matka umierała z nerwów, Niebieski musiał przejechać pół miasta na ratunek, a on sobie po prostu kimał.

Niebieski podszedł do okna i patrzył na zataczającą się po ulicy postać Iwana znikającą w mroku.

Wtedy przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł.

*

Uda się. Musi się udać.

Daniel od lat nie czuł podobnego przyływu adrenaliny.

Wyrzucił całkowicie z myśli gazetę, lobbystów, cwaniaków, ludzi i zdarzenia, które przecież tak naprawdę, w zestawieniu z całą jego historią, były nieistotne.

Anię też. Na chwilę.

Może problemy są potrzebne? Pozwalają naprostować skrzywione rzeczy, które wcześniej zostawialiśmy w spokoju uznając, że wady nie są na tyle istotne, by na nie jakoś przesadnie reagować. Gdyby nie występowały, gdyby sprawy szły tylko z górki, nasze życie stałoby się puste, monotonne, przykre?

Dwadzieścia lat względnego spokoju. Zapomniał już jak to jest walczyć naprawdę o przeżycie. Były trudne momenty, może nawet podobne do tego, ale nigdy nie miał poczucia, że lejce aż tak wymknęły mu się z rąk, powóz jedzie sam, konie rozpędzają się coraz bardziej, a każda próba ich zatrzymania może skończyć się bolesną kraksą, upadkiem pod rozpędzone koła, połamanymi gnatami i rozbitym łbem.

Do dziś.

Dziś było inne. Dziś było nieprzewidywalne. Mogło przekreślić wszystko, co osiągnął. Nie lubił tego dziś, a jednocześnie strasznie go napędzało, pociągało, podniecało.

Dziś było jak owoc zakazany.

Zamknął oczy, próbując się wyciszyć. Za kilkadziesiąt minut, w Berlinie, mieli z Rozmusem jedno z dwóch kluczowych dla rozwoju firmy spotkań. Nakręcał się nimi, być może nieco na wyrost, ale taki już był. Lubił sam sobie wmawiać, że coś ma wyjątkowe znaczenie, że dzieje się coś niezwykłego.

Działo.

Z Sopotu do Warszawy pojechali samochodem. Prowadził Rozmus. Znał dobrze trasę. Co najmniej raz w tygodniu wizytował stołeczne biuro firmy. Mieli

odbębnić jedną naradę z zespołem i szybko ruszyć dalej, do Amsterdamu, a następnego dnia do Kopenhagi. Napięty, ryzykowny harmonogram, w którym jedna zbyt duża obsuwa, jedno nawet przypadkowe niepowodzenie, groziło całkowitym kataklizmem.

Daniel nie mógł się już doczekać. Czuł, że postępuje właściwie i stąd ta niecierpliwość. Pragnął przekonać się już, natychmiast, czy się nie pomylił. Czy fortuna wciąż jest po jego stronie.

Poza nim i Rozmusem w *business-class* leciało sześć osób, w tym dwóch znanych warszawskich biznesmenów, którzy zachowywali się niegrzecznie i głośno. Zupełnie nie przejmowali się tym, że wszyscy pozostali słyszą ich rozmowy o korumpowaniu ministrów, ustawianiu przetargów i pozorowaniu uczciwości w rynkowych rozgrywkach.

– Tak to działa – mruknął Rozmus.

– Wątpię – odparł Daniel nie otwierając oczu. Nie usiłował zasnąć, ale tak lepiej mu się myślało. Plany i projekcje pozwoliły mu zapomnieć o kłopotach. W wyobraźni widział już nowe wyzwania. Patrzył do przodu.

Otworzył na chwilę oczy i wtedy ją zobaczył.

Odniosł wrażenie, że ukradkiem spoglądała na niego i tylko udawała, że czyta gazetę. Trzydzieści parę lat, długie, lekko falujące, czarne włosy. Ogromne oczy o barwie migdałów z odcieniem suszonych daktyli. Egzotyczna uroda, trochę południowa, trochę arabska. Szczupła, niezła figura. Coś pociągającego w twarzy i całej postaci. Kobieta, za którą oglądają się mężczyźni. Która skupia na sobie ich wzrok. Której się nie odmawia. Czyżby?

Zadał sobie właśnie to pytanie. Czy by jej odmówił?

Ileż to miał już podobnych okazji podczas biznesowych rautów i wyjazdów? Setki albo i tysiące, w stu miejscach, w stu różnych plenerach i okolicznościach. Ania o tym wiedziała. Czasem nawet podpuszczała go, ale o dziwo nie sprawiała wrażenie zazdrosnej. Czasem nawet miał wrażenie, że chce go popchnąć do zdrady. Szczególnie ostatnio. Czy fakt, że nie dopytywała, nie okazywała zazdrości, powinien go jakoś niepokoić? Czy wręcz przeciwnie? Może jej postawa była właśnie wyrazem największego zaufania? Wiem, że mogę na tobie polegać. Ufam ci, dlatego możesz wszystko, bo przecież mnie nie zawiedziesz. Czy potrzebował czegoś innego? A może sama miała coś do ukrycia?

Każdy przecież ma swoje tajemnice.

Nagle znów zaatakowały go obrazki przypominające wydarzenia sprzed roku. Już zdołał je wyrzucić z pamięci, zakopać głęboko, zapomnieć o tej nieszczęsnej dziewczynie. Ale – jak przestrzegał Biernat – niezłałatwione do końca sprawy zawsze wracają.

A ta przecież nie była załatwiona.

Przeszył go gwałtowny dreszcz. Zagryzł wargę niemal do krwi.

Ania. Myśl o Ani a nie o tej...

Ona się nie liczy. Nie ma żadnego znaczenia.

Nigdy tak naprawdę się nie wydarzyła.

Jest marą, Ania rzeczywistością.

Ania i on. Ich początki. Próbował za wszelką cenę przywołać wspomnienia o ich pierwszej randce, pierwszym pocałunku, uścisku. Dwadzieścia lat temu. Tyle czasu minęło, a jemu jakby mignęło. Czas przeleciał przez palce, jak strumień wody. Ania wcale się nie zmieniła. Wciąż była tak samo dobra, tak samo czuła. Dla innych, bo on... nie miał czasu. Za mało uwagi jej poświęcał, za bardzo gubił się w kolejnych przedsięwzięciach. Ale czy ona tak naprawdę próbowała to zmienić? Tylko ciągle kłótnie, ciągle przeciąganie liny. To oferowała. Daniel tyle razy chciał to zmienić, a ona zawsze trzymała swoją stronę.

Nie dogadamy się i niech tak pozostanie.

Bóg mi świadkiem, że chciałbym inaczej.

Bóg jest dobrym świadkiem. Stawia się zawsze na każdej rozprawie i nigdy nie kłamie. Tylko dlaczego sędzia mu nie wierzy?

Gdy lądowali, był przekonany, że Berlin stanie się nie tylko cezurą w jego działalności, ale też pierwszym przystankiem na drodze ku odkupieniu.

Na Schiphol czekała na nich limuzyna i dwóch dobrze ubranych Holendrów. Do wieczora oglądali maszyny i prezentacje pokazujące ich możliwości w różnych konfiguracjach. Daniel nie przyjął zaproszenia na kolację, zostawił na niej Rozmusa. Wyglądał na trochę nieobecny. Przeprósł, tłumacząc się zmęczeniem. W rzeczywistości nie mógł wyrzucić z myśli jakiegoś dziwnego przeczucia, że swoim działaniem sprowokował coś, czego pożałuje. Poza tym nie chciał prowadzić dalszych negocjacji przed obejrzeniem maszyn u konkurenta holenderskiej firmy w Danii.

Wtedy będzie gotów.

Zadzwoń do Ani. Uspokoi myśli. Skupi się na sprawie.

A potem odwróci priorytety.

Po chwili wahania wszedł do internetu i w wyszukiwarce wpisał dwa hasła. Kliknął zakładkę GALERIA. Patrzył w oczy młodej dziewczyny.

Marta.

Nie zasługiwała na to, co ją spotkało.

On też nie powinien pewnie robić tego, co zrobił.

Ale stało się.

Dziś nikt już tego nie odwróci.

Po prostu trzeba zapomnieć.

Iść dalej.

Wziął prysznic i zszedł do baru na drinka.

Potrzebował rozluźnienia, odskoczni.

Zapomnienia.

Siedziała tam. Samotna, wyczekująca. Czarnowłosa kobieta o pięknych, dużych oczach. Kobieta z samolotu.

Przypadek? A może przeznaczenie?

Tym razem nie uciekła wzrokiem, nie bawiła się w żadne podchody. Rzucała wyzywanie. Podejmiesz je czy stchórzysz?

Ujarczmisz kobietę, która zawsze dostaje to, czego chce?

*

Czerwone. Zapaliło się w tej samej chwili, w której Eliza Wais pomyślała, że nie powinno jej tu być. Nie powinna jechać tym samochodem, siedzieć obok tego mężczyzny. Powinna zamknąć tę sprawę dawno raz na zawsze, a teraz, kiedy wróciła, co najwyżej pójść na policję.

Ale zrobiła inaczej.

– Musisz się zgłosić – powiedziała.

Artur zacisnął mocno dłonie na kierownicy. Spojrzał na nią tymi swoimi cudownymi, pięknymi oczami. Czarne. Niezwykłe, świdrujące, uwodzicielskie. To one ją zdobyły. A potem jego delikatność, subtelność, brak tej samczej, głodnej chciwości. Był mężczyzną tyleż tajemniczym co frapującym. Sprawił, że zakochała się na zabój, że przez pierwsze dwa tygodnie nie była w stanie myśleć o nikim i niczym innym. Miłość totalna. A potem...

Przeszło. Jej. Jemu. Im.

Może nigdy tego nie było.

Nie było miłości.

Tylko zauroczenie.

– Musisz!

– Nie mogę. Już ci mówiłem...

– Wcześniej czy później i tak do ciebie dotrą.

Zrobił zdziwioną minę. Niby dlaczego? Skoro przez rok nie dotarli... Tylko dlatego, że ktoś zostawił jakąś głupią gazetkę twojemu ojcu? A co mnie to obchodzi? Mnie nie ma w tym temacie i nie będzie. Nie muszę się nigdzie zgłaszać. Nie jestem zamieszany. To... już bardziej ty jesteś. Ty i twój... tatuś.

– Mój ojciec ma kłopoty – nie dodała: przez ciebie. A powinna. To i jeszcze wiele rzeczy powinna powiedzieć temu gogusiowi. Tata ma kłopoty, o których nawet nie wie i które mogą być gorsze niż te wszystkie biznesowe roszady. Tata nie zasłużył na nie. To jej sprawa. Jej i Artura.

– Poradzi sobie – uciął.

– Jeśli...

– Posłuchaj...

Słowo. Milczenie.

– No co?

Artur wciąż odpowiadał półsłówkami, podobnie jak przy pierwszym spotkaniu w kasynie unikał deklaracji i otwartej rozmowy. Zapewniał tylko, że jest niewinny. Nic nie zrobił tej dziewczynie. Nie ma z jej zaginięciem nic wspólnego. Ale ona ciągle miała wrażenie, że ma coś na końcu języka. Chce jej o czymś powiedzieć. O czymś, czego ona nie wie. Tylko... boi się. Jak tylko zaczyna, jak tylko wpada na tę myśl, strach go paraliżuje.

Ma coś do ukrycia.

To jasne.

Tylko co?

– Nic. Po prostu zapomnijmy o tym.

Próbowała go naciskać, ale bez skutku. Nagle dopadło ją zniechęcenie. Świadomość porażki. Nie powinna odgrzebywać przeszłości, nie powinna chodzić do kasyna, wsiadać do samochodu Artura. Powinna to zamknąć na cztery spusty. Dlaczego właściwie ma się przejmować jakąś obcą kobietą? Obcymi ludźmi? Sprawą, która jej nie dotyczy? Przecież ona nie jest niczemu winna. A ojciec? Opowie mu po prostu prawdę, uświadomi i razem coś wymyślą. Nie pozwolą się szantażować.

– Pójdiesz na policję!

– Nie.

– Tak. Masz... trzy dni. Jeśli tego nie zrobisz, ja złożę zeznania.

– Ale...

Nie czekała, co powie. Wysiadła z samochodu. Pierwsze sto metrów prawie biegła, dopiero po paru zakrętach zwolniła próbując uspokoić oddech. Głowa nie pomagała. Nic nie było proste. Doszła do domu nie będąc ani trochę mądrzejsza niż godzinę temu, dzień temu, tydzień temu. Nic się nie ułożyło. Postanowienie sprzed chwili też zaczęło umykać. Już nie była go taka pewna.

– Dobrze, że już jesteś – powiedziała mama na progu. – Wszyscy na ciebie czekają.

– Jak to wszyscy?

Boże, nie chciała nikogo, a już na pewno nie wszystkich. Co oni tu robią? Jak śmieli znów się do niej wpraszać? Z zaskoczenia. Kiedy ona zwyczajnie potrzebowała pobyć sama, przemyśleć.

Gdy jednak zobaczyła Radka i innych, nagle poczuła się bezpiecznie.

Na basenie czekała cała jej ekipa. Wszyscy już w szlafrokach, rozbawieni, lekko na rauszu. Impreza basenowa. Trzymali się razem od wielu lat i żadne konflikty, potyczki ich do końca nie poróżniły. Nagle poczuła, że to są jej przyjaciele. Mogła na nich polegać. Mogła im wszystko opowiedzieć. Nawet to,

o czym powinna donieść na policję. O czym przed chwilą rozmawiała z pięknym Arturem.

– Drinka? – zapytał Radek podając jej koktajl owocowy z niewielkim dodatkiem tequili. Mrugnął okiem, a potem szepnął, że w nocy mogą wypróbować kajdanki i kominiarki kupione na Allegro. Zagramy w policjantów i złodziei? Zrobimy przebieranki?

Naprawdę go to bawiło. Mimo że ciągle powtarzała, że nie chce w tym uczestniczyć, że drażni ją ten temat, on ciągle robił swoje.

Popatrzyła po obecnych i pomyślała, że może jest przewrażliwiona. Może zbyt surowo traktuje Radka i ocenia innych.

– Czemu nie. – Instynktownie spojrzała w kierunku salonu. Mimo że już dawno nie musiała prosić mamy o zgodę, wciąż łapała się na podobnych, wyrobionych przez lata schematach. Traf chciał, że pani Wais – jak ją czasem złośliwie nazywała – akurat podchodziła do barku i sama nalewała sobie alkohol. Eliza patrzyła z niepokojem, jak szklanka niemal do połowy wypełnia się trunkiem. Nigdy dotąd nie widziała, żeby mama nalewała sobie aż tak dużą porcję.

*

Kota nie ma, myszy harcują – pomyślał Michał. Nie podobało mu się, że Eliza i mama imprezują, kiedy tata wyjeżdża walczyć o firmę. Tak, walczyć. Mógł udawać, nie przyznawać się do prawdy, ale Michał wiedział swoje. W przeciwieństwie do kobiet. One nie bardzo przejmowały się problemami firmy. Nic nie wiedziały o wojnach. To on, najmłodszy, musiał pomóc ojcu je rozwiązać, pomóc zwyciężyć.

Przynajmniej tak mu się wydawało.

Założył dres, buty sportowe i wymknął się drzwiami garażowymi. Noc była ciepła, wręcz upalna, choć kilka tygodni temu jeszcze padał śnieg. Pierwszy raz w jego życiu święta wielkanocne w kwietniu były białe. Po słabej zimie, zaskakująco ciepłych feriach, przyszła mroźna wiosna. Ale teraz wszystko wróciło do normy, lato nadeszło szybciej niż w kalendarzu. Na czerwiec zapowiadano niemal tropikalne upały.

Potruchtał przy murze do bramy, przeszedł na posesję sąsiadów, skąd łatwiej było mu się wymknąć na miasto.

Czekał na niego dwie przecznice dalej.

Dawno się nie widzieli i teraz Michał był trochę zdezorientowany. W końcu nigdy tak naprawdę nie byli przyjaciółmi tylko kolegami. Czego więc chciał? Twierdził, że czegoś ważnego. Że ma coś, co może pomóc. W jego planach. Jego i ojca.

Co to mogło być?
Był tajemniczy, nie chciał powiedzieć.
Później.
Musi się upewnić, że Michał go nie wycycka.
Tak, to właściwe słowo.
Bo on nie da się nikomu wycyckać.

*

Partnerzy Grupy Doradczej Wenecja nie lubili niezapowiedzianych, nagłych narad, ale rozumieli ich konieczność. Chyba też zdawali sobie sprawę, że grunt powoli pali im się pod nogami i muszą szukać rozwiązań. Mogli udawać, że wszystko jest w porządku, żartować z innych, pocieszać się fałszywymi komplementami, grać niewzruszonych i nietykalnych, ale spojrzenie w bilanse nie kłamało. Potrzebowali pieniędzy, kontraktów, zleceń. Dużych, długoterminowych klientów. Koszty rosły za szybko, a dawni kontrahenci byli coraz mniej szczerzy. Zmiany w zarządach kilku spółek i tarcia w rządzie także powodowały odpływ pieniędzy. Przestało starczać na ośmiorniczki, weekendy na Malediwach i imprezy z body sushi. Szybko musieli coś zmienić. Potrzebowali nowych... ofiar.

– Temat Waisa nagle przyspieszył – powiedział Hausberger. – Musimy szybko zareagować.

– Co się stało?

– Jak wiecie, firma przechodzi poważny kryzys. Mieliliśmy wątpliwości, czy w ogóle się wybroni.

– Teraz są mniejsze?

– Pomysł Waisa na wyjście z kryzysu jest... ciekawy. Otwiera się dla nas pewna furтка. Chyba warto skorzystać.

– Przejdź do rzeczy.

Hausberger obliznął usta i zaczął mówić. Nie znał się specjalnie na tym biznesie, w zakresie funduszy unijnych też miał sporo braków, więc początkowo wychodziło trochę niezgrabnie. Szybko jednak złapał rytm i zaprezentował to, co usłyszał od Kudłatego bez większych przekłamań.

– Figurant stawia wszystko na jedną kartę?

– Na to wygląda.

– Cóż, zatem nie może się to odbyć bez nas.

*

Daczę wybudowano na najwyższym wzniesieniu w okolicy, dzięki czemu z umieszczonego na piętrze tarasu rozpościerał się widok niemal jak z baszty warownego grodu. Nikifor kupił posiadłość właśnie dlatego, znacznie przepłacając. Zupełnie nie miał dla niego znaczenia fakt, że dom zaprojektował znany krakowski artysta, ani że później jego właścicielami byli kolejno dwaj komunistyczni dygnitarze, odnosząca umiarkowane sukcesy sceniczne aktorka i popularny, choć znany głównie z jednego przeboju, piosenkarz.

To wszystko wliczono w cenę, ale dla Nikifora liczył się ów wspomniany na wstępie widok z tarasu na kaszubskie krajobrazy. Siedząc na nim, miał wrażenie przebywania na bocianim gnieździe gdzieś na oceanie. W zasięgu wzroku nie było żadnych zabudowań, nic nie mąciło spokoju. Jedynie podmuchy wiatru rytmicznie przetaczały się po wierzchołkach drzew, dywanach zbóż i traw, rozganiały mgłę, płoszyły dzikie zwierzęta i stada ptaków. Chwilami wiatr cichł i wtedy wszystko zamierało, jakby to coś wiecznego panujące nad światem włączało stop–klatkę. Dzicz, szachownice dzikich łąk i gęstych lasów przedzielone błękitnymi plamami jezior, oczek wodnych i torfowisk.

Żaden intruz nie był w stanie zbliżyć się do domu bez zwrócenia uwagi właścicieli, jeśli tylko zadbali o odpowiednie zabezpieczenia. Nikifor zadbał. Zaraz po zakupie domu, zainstalował zestaw kamer monitorujących całą okolicę.

Kilka miesięcy później kupił izraelski system zarządzający monitoringiem i wzbogacił infrastrukturę o czujniki ruchu, dźwięku oraz zestawy termowizyjne.

Dane z czujników i rejestratorów przetwarzały dwa potężne serwery IBM ustawione w specjalnym pomieszczeniu w piwnicy. Serwery i inne urządzenia były podłączone do generatora prądu za pośrednictwem awaryjnych zasilaczy UPS. W wypadku nagłego odcięcia energii system przełączał się automatycznie na własne zasilanie. Serwery backupowały się wzajemnie, zapewniając ciągłość pracy.

Majątek wydany na zabezpieczenia nigdy właściwie nie przyniósł zwrotu w postaci wykrycia jakiegokolwiek zagrożenia. Nikifor jednak nie żałował zainwestowanych pieniędzy. Hołdował zasadzie: jeśli coś uratuje ci życie choć raz, jest to rzecz bezcenna.

Podobnie jak miejsce w historii. Jego najbliższym sąsiadem, mieszkającym niemal dwa kilometry w kierunku Kartuz, był gdański biznesmen, który postanowił odbudować populację raków w kaszubskich jeziorach. Człowiek ten wydawał fortunę na badania i prace naukowców w tej dziedzinie, zupełnie nie dbając o to, czy poświęcenie tych środków przyniesie mu kiedyś zysk lub sławę.

Zaimponował Nikiforowi tak, że ten postanowił też znaleźć sobie podobne zajęcie. Coś całkowicie nietuzinkowego. Abstrakcyjną, mało popularną pasję, która sprawi, że ludzie uznają go za geniusza lub szaleńca.

Tak został ogrodnikiem nie tylko z przykrycia i o dziwo odnosił w nowym zawodzie niemal takie sukcesy, jak w starym. Wbrew pozorom, Nikifor był

człowiekiem wrażliwym i zasmuconym koniecznością odbierania innym życia.

Spojrzał w kierunku ogrodu.

Arkotis hybrida już zakwitła.

Wybijała się teraz wyraźnie z rzędu innych, szczególnych, wyjątkowych dla Nikifora kwiatów. Była zdecydowanie piękniejsza od begonii, niemal równie bliska jego sercu, co Iksja i tylko nieznacznie ustępowała najukochańszym srebrnikom i trójsklepkom.

Telefon zabrzączał sygnałem nadchodzącej wiadomości dokładnie w chwili, gdy postanowił, że wykona jeszcze dwa, góra trzy zlecenia i całkowicie poświęci się firmie ogrodniczej.

Jeszcze tylko dwie sadzonki z przymusu, wszystkie pozostałe będą już wynikiem pasji.

Długo patrzył na wyświetlacz, nie wchodząc w folder wiadomości. W końcu zdjął blokadę i kliknął w ikonkę powiadomień.

Ekran wyświetlił ciąg cyfr. Po wpisaniu pod nie liter z wzorca, przekazanego mu przez pośrednika, stał się adresem bloga na stronie amerykańskiego portalu. Gdy wszedł do sieci i wpisał adres, ekran pokazał tylko jeden wpis w języku polskim. Zawierał kilka zdjęć i serię informacji. Nikifor przewinął je na sam dół, gdzie licznik rzekomych odwiedzin podawał najbardziej interesującą go liczbę oznaczającą wysokość kontraktu. Kwota była zadowalająca.

Sięgnął po telefon i wysłał krótką wiadomość tekstową, oznaczającą przyjęcie zlecenia. Zamierzał wylogować się z sieci, ale wtedy zadzwonił jeszcze jeden telefon. Tym razem był to numer zupełnie mu nieznan.

Wahał się licząc w myślach. Jeśli doliczy do ośmiu, a telefon nie przestanie dzwonić, odbierze.

Nie przestał.

Odebrał, nikt się jednak nie odezwał.

Tkwili tak w milczeniu. W końcu dzwoniący bez słowa zerwał połączenie.

Chwilę później otrzymał z tego samego numeru pustego esemesa. Zastanawiał się, czy oddzwonić, ale nie zrobił tego. Może to zwykła pomyłka. Odłożył telefon i wrócił do przeglądania strony na blogu.

Wyświetlił zdjęcie kobiety, która za kilka dni straci życie, bo ktoś tak postanowił i za to zapłacił. Nie czuł dla niej współczucia. Niewinni nie otrzymywali wyroków. Niewinnych nie zabijano. Jeśli nie zrobiłeś czegoś złego, nie płacono za twoje zabicie.

Kobieta, mężczyzna?

Co za różnica jeśli zasłużyli?

Mimo to poczuł się dziwnie skołowany.

Zabójcy na zlecenie nie powinni zbyt dużo czytać, podobnie jak nie powinni przebywać w odludnych miejscach, skazujących ich na melancholijne

przemyslenia. Zabójcy na zlecenie to w ogóle dziwna grupa zawodowa.

Znów spojrzał w twarz swojej przyszłej ofiary.

– Co i komu zrobiłaś, dziewczyno?

Część druga

W trakcie

Czerwiec

Rozdział 6

[8 czerwca, środa, świt

Przepraszam, że tyle milczałam. W firmie zadyma za zadymą, wszyscy do mnie walą i proszą o jakieś podpisy, chcą wykorzystać nieobecność Daniello, bo wiedzą, że ja nie odmówię. Kiedy wróci, będzie miał co odkręcać, co nabroiła dobra Ania wszystkim idąc na rękę, urlopy podpisując, zwolnienia i premie.

Nie czułam się najlepiej. Noc nieprzespana. Kolejna. Z psem wczoraj i przedwczoraj nikt nie poszedł na dłuższy spacer, bo nie byłam w stanie, a Eliza nie mogła. Dziś ma iść i pewnie też będzie się próbowała wyłgać egzaminem albo zabalowaniem. Za często baluje, zdecydowanie za często. Ale jak jej mówię, to się puka w czoło albo palcem na oko wskazuje. I kto to mówi? Jutro moja kolej, w piątek znów Elizy. Na miasto ostatnio nie wyjeżdżałam poza fabrykę, wiesz dlaczego. Wczoraj przeczytałam trochę, pooglądałam, potem siedziałam w ogrodzie. Michaś pałę ze szkoły przyniósł. Polski. No orłem to z polskiego nie będzie. Za to z techniki celujący. No ale co mi z techniką, jak to z polskiego ma zagrożenie. Powiedział, że się poprawi, a potem wybuchł, że w ogóle go szkoła nie interesuje, bo on jest biznesmen, znaczy się przedsiębiorca. W ślady ojca pójdzie i miliony będzie robił. Wkrótce zobaczę, co wymyśli. Już wkrótce. Pięknie wczoraj było, ciepło. Dziś też tak się zapowiada. Pod kocem spędzę sobie dzionek na leżaczku, na słońcu. Naładuję baterijki do pełna. A potem znów ucieknę w kryminał, a może w romans. Tak, tym razem romans będzie dobry. Daniello nie ma, czas na romanse :). Aha, miałaś rację, negroni lepsze od mojito.]

Nie zadzwonił. Zamierzał wykonać telefon z samego rana, tak żeby złapać Anię jeszcze przed wyjściem z psem, ale ostatecznie zrezygnował.

Myślał o tym przez całą tę bezseną noc.

Co powinien zrobić? Czy posłuchać Biernata? Zastosować tak radykalne rozwiązanie?

Miał wątpliwości.

Przecież sam Biernat kiedyś radził, by nie łączyć biznesu z emocjami i prywatnymi sprawami.

To tylko interesy.

A teraz...

Nie, musi to wszystko przemyśleć jeszcze raz.

Pytań było zbyt wiele.

Zaczynał je przerzucać na innych, jakby chciał pozbyć się odpowiedzialności. I to też nie było dobre. Przeczekać. To jedyny sposób.

Zajmij się wreszcie tym, po co przyjechałeś. Napraw coś, zamiast ciągle psuć.

Nie prowokuj kolejnych niepotrzebnych kłótni.

Wrócisz, naprawisz.

Będziesz prawdziwym mężczyzną.

Odnajdziesz swoje przeznaczenie.

Staniesz się ponownie wspaniałym ojcem i mężem.

„Mężczyzna, który nie jest ojcem dla swoich dzieci, nie może nigdy być prawdziwym mężczyzną.”

Tak jak ten, który nie spędza czasu z rodziną.

Umył się, ogolił, zszedł na śniadanie. Rozmus już czekał przy stoliku. Uśmiechnięty, wypoczęty, wyraźnie rozbawiony. Gęsta broda i wspaniałe, kręcone włosy same mu się układały. Nie musiał poświęcać wiele czasu na poranną pielęgnację. Zdaje się, że w przeciwieństwie do Daniela, miał udaną noc.

Wais poszukał wzrokiem przyczyny jego samopoczucia, ale jej nie znalazł.

– Może przesuniemy wyjazd o jeden dzień? – zaproponował.

Paweł uniósł brwi zaskoczony.

– Dlaczego? Musimy jak najszybciej podjąć decyzję.

Jest nie do zdarcia – pomyślał Daniel. Firma i misja zawsze na pierwszym miejscu. Wtedy nagle doznał olśnienia. Dlaczego nie wpadł na to wcześniej? Dlaczego ciągle, uparczywie trzymał się przeświadczenia, że firma to on, że jest od niego uzależniona jak niemowlę, że bez niego zostanie kaleką. Pozbawioną oczu, uszu, rąk, serca.

– Dlaczego nigdy nie poprosiłeś o opcje?

Rozmus spojrzał zaskoczony. Wyglądał na lekko zbitego z tropu. Jak złapane za rękę na kradzieży dziecko. A przecież Daniel nie miał nic złego na myśli.

– Po co mi... opcje? – bąknął.

– Czemu przez te wszystkie lata nie zapytałeś o udziały w firmie? Czemu nie namawiałeś mnie na przekształcenie w spółkę akcyjną i przydział kadrze części akcji? Przecież chodziłeś na te wszystkie kursy zarządzania, gdzie was tego uczą...

– w głosie i akcencie Daniela nie było podejrzliwości, więc przyjaciel szybko odzyskał rezon.

– Zrobiłem nawet MBA – wrócił stary, pewny siebie, lekko ironiczny Rozmus.

– No więc, dlaczego?

Rozmus wahał się.

– Nie wiem.

– Nie wierzę.

Rozmus wzruszył ramionami.

– Zarabiam wystarczająco.

– Ja mam więcej.

– Nie jestem tobą.

– Każdy chce więcej.

– Być może.

– To chyba normalne, żeby chcieć... – szukał właściwego słowa, dlatego

Rozmus mu pomógł:

– Być tobą?

– Nie – skłamał. Właśnie o to chciał zapytać.

Rozmus wzruszył ramionami.

– No dobrze, jak tak koniecznie chcesz, to się nad tym zastanowię – zażartował. – Muszę tylko pomyśleć, czy chcę dziesięć procent czy pięćdziesiąt.

– Chcę, żebyś przejął firmę – palnął nagle Daniel.

– Co?

– Nie żartuję. Chcę, żebyś został prezesem i udziałowcem spółki. Będziesz miał całkowicie wolną rękę.

– Firma to ty.

– Nieprawda. Dziś firma to przede wszystkim ty. A ja cię ograniczam. Przejmiesz stery, ja się wycofam. Przejdę z ojcem do rady nadzorczej, a potem całkowicie się usunę. Możesz zrobić przekształcenia, pójść na giełdę, co tylko chcesz.

Rozmus poszarzał na twarzy. Chyba nigdy nie spodziewał się takiej propozycji, a już na pewno nie w takich okolicznościach, przy śniadaniu w hotelowej restauracji, w dniu, w którym mieli zdecydować o najważniejszych ruchach na przyszłość, o inwestycji, która miała ich uratować lub pogrożyć. Nie wiedział, czy to nie jakaś prowokacja, czy Wais nie próbuje go jakoś podpuścić. Z drugiej strony znał go wystarczająco dobrze, by nie zarzucać czegoś podobnego. Nie. To nie była podpucha ani dowcip. Wais nie chciał zrzucić na niego odpowiedzialności za ewentualną klęskę, nie próbował uciec od konsekwencji swoich decyzji.

Dlatego Rozmus zebrał myśli i odpowiedział najszczerzej, jak potrafił.

*

ON miał koszmar. Walczył chyba z kimś, uciekał, w końcu obudził się z krzykiem. Nie przytuliła go, nie pogłaskała po twarzy, nie szeptała uspokajająco, jak do dziecka. Nie lubił takich ckliwości, a ona bała się odrzucenia. Bała się zrobić cokolwiek, co by go mogło spłoszyć. Choć może jeszcze bardziej bała się do tego przyznać przed sobą i przed nim.

Zamknął oczy, próbował zasnąć. Bez skutku, bo po chwili znów patrzył w sufit. Oczy mu błyszczały, jakby strop nie był szary i zwyczajny, tylko wypełniony gwiazdami, drogami mlecznymi, spadającymi meteorytami. W końcu zerknął na nią. Patrzyli sobie w oczy w milczeniu i wtedy pomyślała, że naprawdę jest jej bliski. Zaraz się przestraszyła tej myśli, bo co, jeśli go straci, jeśli odejdzie, znudzi się nią, przestanie potrzebować tego, co ona mu daje.

Ona już jest uzależniona, a z każdym dniem uzależnienie postępuje. Jediną rozsądną reakcją byłoby to przeciąć, wyrzucić go z serca, myśli, domu. Usunąć, jak wirus, złośliwą aplikację, ciasteczka w przeglądarce. Bo przecież oczywiście jest, że wcześniej czy później ją zostawi. Jak wszystkie poprzednie. Stanie się tylko kolejnym nacięciem na jego dumnym instrumencie. Kolejną odnotowaną, pewnie niespecjalnie istotną, rzadko wspomnianą, prowincjonalną stacją.

– O czym myślisz?

Nie powiem ci, o nie. Pomyślała, żeby zapytać go o Maxa, może kiedyś miał z nim do czynienia. Może kiedyś pracował też z Prygłem? Ale przecież nie potrzebowała wypytywać, robić researchu. Przecież jej instynkt działał jak trzeba. Zaufała dwóm, pozostałych przesunęła do zbioru „kto wie, może kiedyś”. Na razie byli zwykłą niewiadomą. Nawet jedyna poza nią w tym gronie kobieta o imieniu jak syntezator mowy. Iwona. Na razie też nie wybrała sobie wrogów, potencjalnych kretów i innych szuj.

– Pracowałeś kiedyś przy jakimś porwaniu? – Zapytała.

Spojrzał na nią tym swoim baranym, powolnym, wolno kumającym wzrokiem.

– Ja? – wycedził. – Jestem od dilerów i dziewczynek, zapomniałaś?

Nie wspomniał o zabójcach, a przecież od nich też był. Miał z nimi na pieńku albo sztamę. Znał ich, część lubił, innych nienawidził. W zasadzie niewiele się od nich różnił.

– Poważnie pytam.

Milczał. Już myślała, że nic nie odpowie. Zamknie oczy, zaśnie albo przejdzie na jakiś zupełnie abstrakcyjny temat. Tak miał. Czasem, gdy rozmawiali o czymś poważnym, on nagle zapominał, o czym mówił, gubił wątek i wypalał coś w stylu: „wiesz, że mam uczulenie na truskawki. Najlepsze jest to, że wcale ich nie lubię, ale będąc dzieckiem jadłem specjalnie, żeby wywołać reakcję alergiczną i mogłem pozwolić im wszystkim się nad sobą poużalać. A ja miałem ubaw.”

– Raz. Porwali syna takiego jednego gangusa. Było mu chyba Pietia, czy

jakoś tak. Mało znany, mało ważny. Wzięli dzieciaka, żeby Pietia oddał kasę z jakiegoś tira, co go niby rąbnął z kumplami. Pobili gówniarza i zrobili mu zdjęcia. Grozili, że jak Pietia nie odda, to wyłupią mu oczy i prześlą matce. Różne takie chwytły. Na koniec wysłali zdjęcie odrąbanego palca u nogi.

– Jak ci z Mokotowa? – przypomniała sobie gang obcinaczy palców. Dziewięciu bandziorów, kilka przetrąconych życiorysów, parę odrąbanych palców, jedna śmierć. Udowodniona jedna, bo może w lasach i jeziorach było więcej.

– Taki wzorzec. Tyle że ci z Mokotowa rzeczywiście obcinali.

– Oczu nie wyłupywali – Próbowała sobie przypomnieć, czy gdzieś w aktach natrafiła na tę sprawę. Nie, chyba nie.

– No... nie. Palca też tak naprawdę nie obcięli. Przynajmniej nie temu dzieciakowi, bo czy to był prawdziwy palec na zdjęciu, nie wiem.

– Pietia oddał kasę?

– Oddał. Zesrany do nas zadzwonił i obiecał zeznawać w koronce, jeśli pomożemy dzieciaka odzyskać. Pomogliśmy. Gówniarz wrócił do domu mocno wystrachany, ale żywy.

– Pietia zeznawał?

– Szybko zaczął kłamać. Kombinował jak się da, żeby nie wyjść na kapusia. Wiesz co? Dzieciak niby wyszedł z tego bez szwanku, ale w sumie to cały czas jest jakby... na haju. Podobno, tak mówiła mi ostatnio psycholka. – Jak każdy agent pod przykryciem, ON musiał zaliczać cykliczne sesje z psychologiem policyjnym. – Wyobraź sobie, że śpi z matką do dziś. Duży dzieciak, chłop. A śpi z matką. Zjebali mu przez starego gangusa życie.

– Przez gangusa?

– No przecież gdyby nie był gangusem, to by go nie porwali.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

– A gdyby był zwykłym biznesmenem, albo politykiem, a może lekarzem?

To samo byś powiedział?

– Jak nie wyzywasz losu, to cię nie rąbią.

– A Olewnik?

– Miał swoje za uszami.

– Niby co?

– Gdyby się nie kumał...

– Z glinami się kumał.

– Właśnie.

Leżeli jeszcze przez chwilę. Słońce zaczęło nagrzewać ciężką zasłonę, zwiastując upalny dzień. Z otwartego okna dochodziły pierwsze niemrawe odgłosy poranka: gdzieś brzęczał dzwonek w tramwaju, ktoś zapalał auto, jakiś dozorca zły na poranek głośno upominał dostawcę pieczywa, że ten stanął w bramie jak baba.

ON zamknął oczy, chyba znów zasnął albo udawał, że śpi.

Ostatni raz go pogłaskała, ziewnęła, wstała. Spojrzała na zegarek. Piąta rano. Jeszcze dwie godziny do wyjścia. Zrobi sobie kawę i zje serek z dietetycznego przydziału. Żadnego chleba, tłuszczu, mięsa, jajek, żadnych złych kalorii. Tylko to, co trzeba, żeby kolejny kilogram poszedł w diabły.

Da radę, da.

Przeszła do kuchni, sięgnęła po szklanę, a potem, z wahaniem do szuflady i wyjęła akta, do których ciągle wracała myślami. Akta, których kopii nie powinna trzymać w domu. Ale przecież nie wzięła ich dla szantażu czy w innych niecznych celach. Wręcz przeciwnie. Wzięła, żeby nikt nimi nikogo nie mógł szantażować, żeby nikt nie wykorzystał ich w nikczemny sposób. Ale też, żeby nie zniknęły.

Zerknęła jeszcze do sypialni upewniając się, że ON nie wstaje, zaparzyła kawę i zasiadła nad teczką. Poza oznaczeniami określającymi wysoki stopień tajności, miała kilka innych pieczętek na okładce i odręcznie wypisany mazakiem kryptonim.

Teresa

Otworzyła teczkę, przerzuciła pierwsze kartki skupiając się na stronie dwudziestej pierwszej. Przedstawiała niezbyt dobre odbitki zdjęć trzech mężczyzn w towarzystwie znanego gangstera. Siedzieli za suto zastawionym stołem. Uśmiechnięci pili wódkę. Na następnej stronie była fotografia z innego ujęcia, dzięki czemu w tle widać było tańczącą przy rurze nagą kobietę o pięknym, błyszczącym, zgrabnym ciele. Mona z zazdrością przełknęła ślinę. Wyobraziła sobie siebie na tej rurze i zrobiło jej się niedobrze. A kysz – przegoniła perwersyjną nutę i przyjrzała się gangsterowi. Dziś był świadkiem koronnym. Jednak nic nie zeznał ani o tym zdjęciu, ani o osobach na nim przedstawionych. Następna strona w aktach za to mówiła o nich wiele.

Mona zagryzła wargę patrząc na zeskanowaną fotografię tych samych trzech mężczyzn z policyjnego czasopisma. Byli w galowych policyjnych mundurach korpusu starszych oficerów. Każdy miał belki i gwiazdki na pagonach. Jeden szczególnie dużo gwiazdek.

Wszyscy złożyli wyjaśnienie do akt. Można je było przeczytać na następnej stronie. Gładkie, okrągłe zdania, jak to przypadkiem natknęli się na policyjnego informatora podczas świętowania urodzin jednego z nich.

Idealnie dopasowane, żadnych luk, wszyscy mówili to samo.

Wyjaśnienia, które można było uznać za całkiem wiarygodne.

Można.

Problem w tym, że to były kłamstwa.

Mona gwałtownie zamknęła akta, pospiesznie zawiązała je na sznurek, wstała. Nic nawet nie skrzyknęło w jej stawach. Podeszła do szafki i umieściła teczkę pomiędzy ścierkami i małymi ręcznikami kuchennymi.

Szafa Mony.

Ile takich szaf z tajemnicami jest w tym kraju? Ile szafiarek trzyma kwity na możliwych świata?

Zamknęła drewniane drzwiczki i zerknęła na kalendarz. Ósmy czerwca. Imieniny Marii i Seweryna. Uśmiechnęła się. Jest chyba taka aktorka: Marysia Seweryn. W kalendarzu był też zapis różnych zdarzeń z tego dnia. W jednej z rozgłośni radiowych nawet jakiś gość wymyślił sobie taki program: wyczytywał z encyklopedii zdarzenia z danego dnia i uważał, że to zabawne.

Może i było.

Ósmy czerwca. Dzień krótszy od najdłuższego w roku zaledwie o parę minut. Jej kalendarz podawał, że tego dnia zmarł Mahomet, a kilka wieków później urodził się Schumann. Co innego jednak zwróciło jej uwagę: według informacji w kalendarzu, właśnie ósmego czerwca, w końcu lat czterdziestych miała w Anglii premierę powieść Orwella „1984”. Czy to jakiś znak? Popiełuszkę też porwano w 84, tyle że nie w czerwcu tylko jakoś jesienią. Jak wróciła na chatę w dniu, gdy dostała awans i przydział, ON oglądał film według Orwella.

Czy coś się dziś zdarzy?

Ósmy czerwca.

Dzień oceanów i cyrku bez zwierząt – ostatnia nota w kalendarzu. Dziwne, nie wiedziała, że cyrkowcy męczą zwierzęta. Musi to sprawdzić. Dzień cyrku bez zwierząt.

Ósmy czerwca.

*

Świtało już.

Niebieski czekał na nich w garażu. Przyjechał godzinę przed czasem. O czwartej nad ranem. Kilkanaście minut później było już widno. Różowy ziewał, ale przynajmniej się starał. Brązowy był wyraźnie nie w sosie.

– Kurwa, dla mnie to za rano.

– Poproś, żeby później wyprowadzała psa – mruknął sarkastycznie Niebieski. – Mam nadzieję, że będziesz miał okazję.

– Pewnie. Pewnie, że poproszę – zarechotał w odpowiedzi i zacisnął pięści. – Już ja ją poproszę.

Kawa. Dwie kawy. Podwójna kawa. Tania, tłusta. Oczka tłuszczu wyraźnie inaczej odbijały światło wschodzącego słońca.

Wypili, zjedli po kanapce. Niedbale posmarowane pasztetem, nierówno ukrojone kromki. Byle jak. Pomidor przekrojony na cztery. Też nierówno, niedbale. Brązowy skończył najszybciej. Nie miał apetytu. Zastanawiał się, czy to prawda, że jak się zje, to postrzał w brzuch może sprawić, że człowiek będzie nie do uratowania. Gdzieś tak przeczytał. Że przed akcją mądrzy ludzie nie jedli i dzięki temu ratowali życie nawet przy groźnych ranach.

– Nikt cię nie postrzeli – uspokoił Niebieski, gdy Brązowy zaczął pierdolić, strasząc Różowego i jemu odbierając apetyt.

– No ja myślę.

– To nie kracz.

Rozłożył na metalowym stole plan z mapą i jeszcze raz powtórzył opowiadaną przez trzy ostatnie dni legendę. Nudziło ich to wyraźnie, ale w wypadku jakiegoś wtopy, plan mógł okazać się zbawienny. Dobry strateg przewiduje możliwe porażki a nie sukcesy. Wtedy zawsze się udaje. Scenariusze klęsk pozostają niewykonane.

– A jak dziś nie przyjdzie? – zapytał Różowy.

Pan Blue zamyślił się. W sumie postanowił, że dziś zrobią tylko próbę, a dopiero jutro zaatakują, ale nie chciał tego mówić współnikom. Mają wiedzieć, ile trzeba. Nie więcej.

– Przyjdzie – mruknął.

Wsiadli do jeepa i ruszyli. Za czterdzieści minut będą na miejscu. Bliscy sukcesu. Bliscy swojego pierwszego miliona euro. Tak myślało dwóch.

Trzeci, najważniejszy, wiedział, że to nieprawda.

Nie dziś i nie milion.

Był ósmy czerwca. Rano.

*

Ból głowy. To on ją obudził. I świadomość, że dziś ma egzamin. Metodologia i statystyka – największa, najbardziej upierdliwa kobyła na roku. Trudny egzamin. Temat pełen niuansów i pułapek.

Cholera. Nie powinna wczoraj pić. Nie powinna siedzieć do późna.

Ósmy czerwca. W kalendarzu był oznaczony ptaszkiem. Więc na dodatek dziś jej kolej na wyjście z psem. Czy jak ma się zły dzień, wszystko musi iść nie tak? Uruchomiła laptopa i sprawdziła skrzynkę mailową. Tylko spam. Miała już wyłączyć komputer, gdy pomyślała o Arturze. Otworzyła folder z pobranymi dokumentami i kliknęła dwukrotnie w pdf z zeskanowanym artykułem z tabloidu.

UPROWADZONA

Mimo krzykliwego tytułu, dziennikarze w sumie nie mieli do niego prawa. Pisali o zaginionej Marcie F. Nie było żadnego dowodu na to, że została uprowadzona. Ani że została zamordowana. A jednak to właśnie sugerowali. Uprowadzona, być może zamordowana. Najprawdopodobniej zamordowana.

Po raz kolejny postanowiła, że tak tego nie zostawi.

Wstała niechętnie, założyła dres i wyszła z pokoju powłócząc nogami, ostentacyjnie szurając kapturami i ziewając. Barry już czekał przy wejściu. Grzeczny, jak zawsze. Śmiesznie rozwarty pysk, lekko, pytająco przekrzywiony w bok łeb, zwisający niemal do ziemi jęzor. Jeśli będzie trzeba, będzie tak czekał i do dziesiątej, a może i później. Nie ma mowy o żadnym nabrudzeniu.

Dumny i kochany.

Mama krzątała się w kuchni. Też miała na sobie dres.

– Cześć.

– Cześć, córcia.

Westchnęła. Jak zacząć? Może prosto z mostu?

– Nie zastąpiłabyś mnie? Wyjdiesz z nim?

Mama zareagowała, jakby została odcięta od prądu. Robot zastygł w pauzie, z nożem w jednej ręce i pomidorem w drugiej.

– Robię sałatkę na śniadanie.

– Widzę.

– Dla was.

– Zjemy z przyjemnością. Ale mogłabyś? Egzamin dziś mam. Bym się trochę poduczyła...

Pauza zwolniona, prąd przepuszczony. Mama ciachnęła kilka razy pomidora i wrzuciła go do miski z sałatą.

– Jeszcze ser i bazylia...

– Mamo...

Traktuj mnie poważnie, mamo. Tego jednak nie powiedziała na głos. Bo i po co. Wiedziała już, że przegrała.

– Nie. Dziś twoja kolej.

Ostatnia szansa.

– Ale... boli mnie głowa. I mam egzamin.

Ania zawahała się. Pomyślała, że musi być twarda. Mogła jej pomóc, ale są pewne zasady, których nie powinna naginać.

Nie można ciągle łamać zasad.

– Twoja kolej – ucięła.

*

Przejechali pod wiaduktem i zaparkowali na poboczu. Różowy otworzył bagażnik. Tak miał zostać. Wszedł na górę, między drzewa i schował się za jednym z nich. Brązowy założył kamizelkę z krzykliwym napisem POLICJA. Mocno nasunął na czoło czapkę z daszkiem. W kieszeni miał kominiarkę. Tuż przed akcją zamienił czapkę na nią.

Schował się przy wiadukcie.

Niebieski wyjął dwa pistolety, jeden wręczył Brązowemu, drugi przeładował, zabezpieczył i schował za pasek, założył na ramię pokrowiec z dętki na wypadek, gdyby pies, ogromny leonberger, okazał się agresywniejszy niż przypuszczał.

Przygotował butelkę z gazem. Kominiarkę też trzymał na razie w kieszeni.

Odliczali w myślach.

Wszyscy.

Może przyjdzie, a może nie.

Każdy z nich myślał o tym inaczej. Różowy chciał, żeby przyszła, bo potrzebował tej kasy. Jednocześnie coś w nim bardzo chciało, żeby nie przyszła, bo nie chciał przekroczyć pewnej granicy, której bał się przekraczać. Brązowy chciał, żeby przyszła, jednak wołałby, żeby to się stało dopiero jutro. Albo pojutrze. Żeby stało się raczej później niż wcześniej, nawet jeśli to by im pokrzyżowało plany. Bo przecież zawsze lepiej później niż wcześniej.

Jedynie Niebieski analizował to na chłodno. On jako jedyny wiedział wszystko.

Jeśli dziś, będzie sygnał. Jeśli nie dziś, będzie próba.

Poczuł wibrowanie w kieszeni.

Serce minimalnie przyspieszyło.

Na sekundę.

Jednak dziś.

Dziś jest dobry dzień. Jak to było w piosence: dobry dzień na umieranie. Dobry dzień do zarobienia miliona.

Usłyszał w oddali jakiś trzask, szum i spojrzał w kierunku punktu obserwacyjnego na górze, gdzie czekał Różowy.

– Jest – prawie krzyknął. – To ona. Z psem.

Zobaczyli kobietę z ogromnym, znudzonym, ciężko człapiącym brązowym futrzakiem bardziej przypominającym lwa niż psa.

Szła w ich kierunku.

Rozdział 7

[8 czerwca, środa, rano

To jeszcze ja na chwilę. Tylko na chwileczkę, jak wrócę napiszę więcej, ale musiałam ci donieść jak najszybciej, że znów się zламаłam. Idę z Barrym. Jak wrócę, opowiem ci tajemnicę.]

Wyczekała ją do ostatniej chwili, stanęła w drzwiach, odebrała smycze i odesłała na górę ruchem głowy.

– Wracaj do łóżka.

Eliza uśmiechnęła się szeroko. Przeczuwała, że tak się to skończy. Mama już taka była. Ania samo dobro. Niby twarda, jednoznaczna, stanowcza, czasem nawet nieźnośnie, wrednie apodyktyczna, a po chwili zwyczajnie... słodka. Uwielbiała takie zagrywki, nagłe zwroty, zmiany nastrojów i zdań w ostatniej chwili.

– No już, uciekaj!

– Dzięki, mamó.

*

Biegła po schodach na górę. Jej słodka dziewczynka. Kobietka. Jak szybko się nią stała. Jedno mrugnienie okiem temu była małym szkrabem, podlotkiem, który szukał jej ramion, przytulachów, dziecięcych zabaw. A teraz? Prawdziwa kobieta. Ze wszystkimi zaletami i wadami.

Nie powinna jej tak odpuścić, choć z drugiej strony rozumiała, że Eliza powoli ucieka spod jej kurateli. Jej dzieckiem pozostanie na zawsze, ale w pewnym momencie przestanie być podopieczną, stanie się partnerem. Anna straci nad nią jakąkolwiek władzę.

Jeszcze ma. Ale już niedługo.

Musi zdawać sobie z tego sprawę. Musi się z tym pogodzić.

Dziś jednak nie o to chodziło. Dziś zwyczajnie chciała wyjść z psem. Nawet gdyby Eliza nie poprosiła o zmianę i tak by ją zastąpiła. Potrzebowała tej godziny w dziczy, nad jeziorem. Chciała przemyśleć ostatnie dni, postępowanie Daniela, te wszystkie tajemnice, które krył jak dziecko, własne rozterki. Wiedziała, że nie znajdzie odpowiedzi na większość pytań, ale to nie miało znaczenia. Ważne, że

oswoi się ze znakami zapytania.

Przeszła koło leśnego parkingu, dróżką w dół, w kierunku zejścia do morza. O tak wczesnej porze nie było tu nikogo. Nawet inni właściciele psów pojawiali się dopiero godzinę później.

Przeszła pod wiaduktem.

I wtedy się zaczęło.

*

Rozmus odmówił.

Nie chciał ani udziałów, ani wyższego stanowiska.

Jest dobrze, jak jest.

Nie jest i nie będzie prezesem. Prezesi są nudni i szybko umierają na zawał albo wylew. Mają żylaki i problemy z potencją. Generalnie są do kitu. Żartowniś. Jeśli zapragnie być właścicielem, to sobie założy swoją firmę. Ale na razie nie spieszy mu się do grobu. W ogóle mu się nigdzie nie spieszy. Żyje mu się dobrze, tak na luzie, bez zobowiązań, bez zawałów, bez bezsenności.

Nie ma potrzeby tego zmieniać.

– Dziś pracuję dla ciebie i nic innego mnie nie interesuje.

Mówił prawdę czy grał?

Czy za tym sztubackim poczuciem humoru, tymi uśmiechami, poklepywaniami, przyjacielskimi gestami, kryła się jakaś prawda o nim samym?

Może rzeczywiście stał się kimś nieznośnym. Kimś, kim inni wcale nie chcą zostać, z kogo nie chcą brać przykładu, kogo nie tylko nie podziwiają, nie szanują, ale kogo też zwyczajnie się boją?

Boisz się mnie, Paweł?

Nie zapytał. Nie przeszło mu przez gardło.

Ale gorycz pozostała.

I jakaś ulga.

Dziwne. W zasadzie Daniel oczekiwał odmowy. Jednocześnie propozycja była jak najbardziej szczerą. Gdyby Paweł się zgodził, Daniel oddałby mu firmę. To nie była podpucha czy intryga. Uważał, że Rozmus rzeczywiście będzie najlepszym szefem firmy.

Długo rozmawiali poprzedniego dnia. Tego poranka przy śniadaniu, potem podczas kolejnej wizytacji w fabryce pokazowej u Duńczyków. Tym razem Daniel zgodził się na kolację. Oferta była droższa, ale ostatecznie, biorąc pod uwagę całość parametrów i warunków umowy znacznie lepsza niż Holendrów. Rozmus też był tego zdania.

Przy kolacji gospodarze zachowywali się z dużym dystansem, wyglądali na

wyraźnie spiętych. Im też chyba zależało na dealu. Mieli najlepsze maszyny na świecie, ale wzrost kursu franka mocno podkopał pozycję negocjacyjną. Jakość nie zawsze zrównoważy wzrost cen. Nawet szejkowo ostatnio patrzyli w portfele. Ropa potaniała, ludzie przestali być tak rozrzutni. A co dopiero ci z tej biednej Europy Wschodniej.

Ósmego czerwca obudził się skoro świt, jak zwykle.

Bezsenność była problemem od dawna. Od dawna spał po kilka godzin i nie odczuwał braku snu. Wiedział, że to tylko pozory. Kiedyś organizm upomni się o swoje. Ale dziś był jaki był. Nie potrzebował snu.

Za to potrzebował pewności siebie. Tego swoistego poczucia bezpieczeństwa. A nigdzie go nie znajdował.

Westchnął ciężko.

Sięgnął po telefon.

Zadzwoił najpierw do Ani, ale nie odebrała. Zawahał się, bo było jeszcze bardzo wcześnie, ale w końcu wybrał numer do Elizy. Bez skutku. Ona też nie odebrała.

Poszedł pod prysznic, zszedł na śniadanie. Nie spieszył się. Zjadł jajka i trochę wędliny, kromkę chleba, pobawił się sałatką, owocami, wypił słabą kawę po amerykańsku. Wrócił na górę. Spojrzał na telefon. Ktoś dzwonił. Ale nikt z rodziny. Nie znał tego numeru. Zawahał się, czy oddzwonić, ale ostatecznie uznał, że to jakiś ankieter.

Usunął numer z listy połączeń.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Rozmus. Uśmiechnięty, wypoczęty. Drań.

– Gotowy? – zapytał.

Wtedy komórka ponownie rozbrzmiała najnowszym przebojem Amy Winehouse, który Daniel miał ustawiony jako dzwonek dla nieznanych numerów. Amy była taka niepokojąca, taka nieoczywista. Jak nieznany numer telefonu, który może oznaczać coś dobrego albo coś złego.

Raczej nigdy obojętnego.

Nieznanych numerów nigdy nie traktujesz obojętnie. Albo się na nie złościś, albo się do nich uśmiechasz. Pomyślał o kobiecie o czarnych włosach i migdałowych oczach. Nieznajome bywają pociągające i drażnią, jeśli nie przekonasz się, co tkwi pod opakowaniem.

Odrzucić połączenie? – Pytała komórka.

*

Krzyk, syk, huk!

Postaci nadbiegające ze wszystkich stron. Czarne, uzbrojone. Kominiarki, kamizelki, pistolety, pałki. Dziwadła.

Cios!

Pierwszy, drugi.

Ziemia ucieka spod nóg. Jej smak w ustach. Krople rosy z drobinkami piasku na twarzy. Wirowanie w oczach. Drzewa, pagórki, wawóz, wiadukt. Morze szumiące tak blisko, tak kojąco, bezpiecznie.

A teraz...

Coś w piersi łomocze, oddech zamiera. Jak ciężko w płucach, jak ciężko. Zaciska powieki. Mocno. Jakby chciała powiedzieć: nieprawda, to się nie dzieje, tego nie ma. Nieistnienie. Fantastyka. Sen. Mara. Tego nie ma. Jest...

– Policja, policja, policja!

Krzyczą.

Oni krzyczą. Nie ona. O dziwo, bo przecież to ona powinna wzywać pomocy. Szok. Odbiera jej prawo do obrony. Prawo do krzyku. Nakaz walki. Walczyć nie ma sensu. Krzyczeć nie ma sensu. Jest...

*

Policja, policja, policja!

Kobietę jakby zamurowało. Różowego też, gdy ją lepiej obejrzał. To nie ona! Tamta też miała być czarna, ale bardziej długowłosa, szczuplejsza. Dużo młodsza. To nie ona, kurwa! Chciał krzyczeć do Niebieskiego, ale głos zamarł mu w gardle. I tak było za późno.

Coś huknęło, syknęło, walnęło.

Pan Blue walczył już z psem, a *Brazowy* właśnie przewracał ją na ziemię. Zarzucił worek na łeb. Uderzył. Przycisnął kolanem, całym ciałem.

– Leżeć, kurwa, leżeć.

Policja! Policja! Policja!

Pies był tak zdezorientowany i wystraszony nagłym atakiem, że nie był w stanie bronić pani. Zbyt bezpieczne miał dotąd życie. Nikt nie szkolił go do walki. Niebieski szybko sobie z nim poradził gazem. Całą puszkę opróżnił. Psikał aż futrzak zniknął w lesie.

Gaz.

Gaz. Gaz. Gaz na ulicach – zanucił Różowy.

Zawsze jak coś szło nie tak, nucił sobie Kazika.

To go uspokajało.

A tu kurewsko szło nie tak.

Porywali inną babę.

Nie tę, co trzeba.

Drżał na to, co powie potem Niebieski, gdy się zorientuje.

Zabije go, że ich nie ostrzegł, że nie zauważył.

Gaz gryzł w oczy i gardło Różowego. Usłyszał szczęk metalu, gdy Brązowy uderzał o udo kajdankami. Z trzaskiem zamknęły się na przegubach dłoni.

– Panowie...

– Milcz!

*

Worek na głowie. Dwa ruchy, coś zaciska się na szyi. Ciemność. Niewidzenie.

Świat zniknął.

W poszewce na poduszkę. W smrodzie niemytego, ludzkiego ciała. W melancholijnych, wilgotnych zapachach poranka.

Świt był słoneczny, radosny, piękny, a tu...

Czarno się zrobiło, ciemno.

Ucisk na plecach, kolanem naciskają albo stopą, a może jeden kolanem, drugi stopą. Nie wie, nie jest pewna. Ramiona do tyłu. Wykręcają, trzymają, ściskają. Boli. Oj, jak boli.

Policja? Jaka policja tak postępuje? Jaka?

Kajdanki. Szczęk. Dźwięk metaliczny, nieprzyjemny, wywołujący przenikliwy dreszcz. Świst, syk. Jakby ktoś psikał dezodorantem. Trzeci. Dwóch ją trzyma, trzeci psika. Swąd dochodzi, szczypie w nos, w gardło, zaciska się dłoń na szyi. Pies szczeka, piszczy. Barry. Coś mu się stało, ktoś coś zrobił. Kto? Co?

Silne ramiona uniosły ją w górę, przetransportowały o kilkanaście metrów, rzuciły na metalową podłogę. Usłyszała skrzypienie drzwi. Ktoś przytrzymał jej głowę przy podłodze. Ktoś przykuł kajdanki do wystającego z podłogi haka, który wbił się jej w biodro.

– Milcz, jeśli chcesz żyć! Cokolwiek by się działo, milcz! Rozumiesz?

Skinęła głową, choć nie była pewna, czy dostrzegą ten gest przez poszewkę.

Czuła swąd benzyny i gazu. I jakiś dziwny, mdlący zapach środków dezynfekcyjnych, jak na basenie, tylko bardziej nieprzyjemny.

I strach.

O Barryego.

I o Michę, bo kto Michę dziś nakarmi, jak Lizunia na uczelnię pójdzie, no kto?

Ale co ja o jedzeniu?

Żeby chociaż Barry przeżył.

Musiał przeżyć.

Czekali na coś. Nie wiedziała na co. Przez worek nie mogła dostrzec, że jeden z oprawców w gumowych rękawiczkach rozsypuje na ziemi włosy wyjęte z niewielkiego woreczka.

Usłyszała stłumiony odgłos otwieranych drzwi i głośny huk, gdy ktoś je z impetem zamknął.

Silnik zawarczał i znów ją zemdliło.

Ruszyli.

Samochód z dużą prędkością pokonywał wertepy leśnej drogi, a potem prowincjonalne uliczki jej bogatego, oddalonego od wszelkiego zła, bezpiecznego miasteczka.

Jechali, jechali, jechali.

Bardzo długo jechali.

*

Zaczęło się.

Wais odebrał telefon, chwilę słuchał trzasków i dziwnych głosów zniekształconych modulatorem. Dochodziły też do Rozmusa, ale ten nie był w stanie zrozumieć słów. Widział za to zmieniającą się twarz Daniela. Zbladła, zaczęła drzeć. Nigdy dotąd nie widział go w tym stanie. Nigdy dotąd Daniel aż tak się nie zmienił. Nagle zgiął się jak scyzoryk i upadł. Potem zaczął wierzgać, jakby tona żelastwa uniemożliwiła mu wstanie i złapanie oddechu.

Rozmus podskoczył, chciał mu pomóc, ale Wais odepchnął go. Chciał chyba krzyknąć, lecz z gardła wydobył się tylko charkot. Gestem dłoni poprosił, żeby się odsunął. Potrzebował przestrzeni. Powietrza. Oddychał. Przymknął oczy. Próbował się uspokoić.

Dla Rozmusa było to tak niecodzienne, tak niezwykle w wypadku Waisa, że pomyślał, że szef robi mu jakiś kawał, udaje.

Dziwnie przecież się zachowywał od wielu dni.

Więc może to jakaś kolejna... prowokacja.

Gra.

*

Spokojnie, uspokój się! Myśl. Policz do dziesięciu. Pomyśl, że to tylko gra. To się nie dzieje naprawdę.

Potrzebował jeszcze chwili. Sekundy, może pięciu, dziesięciu.

Musiał się przygotować.
– Nic nie rozumiem.
Za spokojnie, cholera. To zabrzmiało za spokojnie.
Zerwał połączenie.
Spojrzał na Rozmusa. Dyrektor kompletnie nie wiedział jak się zachować.
Kolejne ukłucie w piersi.
Serce wytrzyma?
Uspokój się, do cholery!
Pomyśl, że to... sprawa biznesowa. Może najważniejszy projekt w życiu, ale
zawsze kolejny może być jeszcze większy.
Biznes.
Tylko tak sobie poradzisz. Tylko tak wygrasz.
– Co się dzieje? – Zapytał Rozmus.
Głos porywaczy ponownie dźwięczał mu w głowie.
Słowa, które już kiedyś słyszał.
Rozpoczęła się gra o milion.
Milion euro.

*

Niebieski odłożył telefon. Uśmiechnął się nieszczercze i powtórzył zdanie,
które wiele razy w ciągu ostatnich miesięcy wypowiadał treningowo przed lustrem:
– To dopiero początek, skurwielu!

Wszystko się dobrze ułożyło. Porwali właściwą kobietę, choć Brązowy
i Różowy będą myśleli inaczej, co tym bardziej się przyda. Niebieski o wielu
rzeczach im nie mówił. Nie mówił, że mają jeszcze jednego wspólnika, który ma
nad częścią spraw kontrolę. Który dał dziś sygnał, że to będzie ONA a nie inna.

Przekonał ich już, że skurwiel i tak zapłaci. Według nich za córkę zapłaciliby
szybciej i chętniej, ale on wiedział, że jest inaczej. Ona jest gwarancją kasy. Jeśli
nie dostaną okupu normalną drogą, zapłaci w inny sposób. Byle kasa się zgadzała.
A przy tym stara jest wyraźnie spokojniejsza, mniej groźna, bardziej
przewidywalna.

Dla Brązowego i Różowego dobre argumenty.

Może nawet przeżyje.

Córka poszłaby do piachu na pewno. Stara... to zależy.

Obaj powinni się cieszyć.

Dziś Niebieski odegrał przed chłopakami niezły teatrzyk. Dla niepoznaki
lubił się czasem tak nakręcić. Powiedzieć coś bardziej dosadnie. Zagrać furiata.
Czasem musiał. To działało na takich jak Różowy i Brązowy. Prawdziwy Niebieski

by na nich nie podział. By ich zastanowił, a potem wystraszył.

Uciekliby w ciągu paru minut.

Nie miały z nich żadnego pożytku.

Prawdziwego Niebieskiego tak naprawdę jeszcze nikt nie poznał.

*

Policjant nazywał się Gebert. Wielki, potężny, zwalisty. Mówił powolnie, wyraźnie, jakby bez emocji. Na twarzy malowało mu się zmęczenie, choć chyba usiłował je ukryć. A może Daniel źle zinterpretował te westchnięcia i grymasy.

Kazał mu kluczyć taksówkami, a potem odebrał na stacji benzynowej. Gdy jechali do specjalnego lokalu operacyjnego, Daniel spoglądał w tył w poszukiwaniu szpiegów. Miał wrażenie, że rozpoznaje jeden z samochodów, ale gdy skręcili, tamten nie pojechał za nimi.

Może już ktoś inny był na ogonie.

Gebert próbował coś mówić, pocieszać.

Barrego znaleźli w lesie sąsiedzi. Odprowadzili. Psu nic nie jest, dobry znak. Wystraszony tylko, ale jutro mu przejdzie. No może pojutrze.

Daniel milczał. Tak naprawdę nie słuchał policjanta. Cały czas myślał o czymś zupełnie innym.

O czymś, co wydarzyło się przed rokiem.

Rozdział 8

[brak wpisu od użytkownika Anna]

Poranne planowanie trwało niespełna pół godziny. Mona mówiła najmniej. Z dystansu patrzyła jak jej współpracownicy tworzą podgrupy, ustawiają i przejmują poszczególne role, dzielą abstrakcyjną władzę. Prygiel wyraźnie miał ochotę na rolę jej zastępcy i przejęcie kontroli nad grupą. Zapewne przyjął, że jako prokurator ma do tego pełne prawo. Faceci z ABW nie wychylali się. Dla nich udział w zespole był przyjemną odskocznią od codzienności. Mało roboty, dużo niekontrolowanych godzin do wpisania w grafik. Sędzia olewał wszystkich i odpowiadał jedynie na pytania. Poza tym milczał. Wyraźnie nie chciał dać się zepchnąć do roli popychadła, podwładnego, ani nie próbował narzucić swojej woli innym. Sędzia jest niezawisły. Sędzia sam decyduje. Sędzia generalnie ma wszystko w nosie.

No tak, tak najlepiej.

Iwona, jak przystało na syntezytor mowy, jedynie czytała na głos, a jednak to właśnie ona zaczęła zyskiwać największą sympatię Mony. Coś czuła, że będzie mogła na niej polegać. I to mimo pewnych podejrzeń, których nabierała patrząc w oczy dziewczyny, reagujące na takie badawcze spojrzenia pospieszną rejteradą.

Max silił się za to na jakieś bon-moty, ale wychodziło średnio. Nawet kolegów gliniarzy nie był w stanie rozbawić. Mona postawiłaby pół majątku, że był na kacu. Kto wie, czy nie miał jeszcze jakieś pozostałości z pochłoniętych w nocy promili.

Powinna na następny raz przynieść alkomat?

Uśmiechnęła się na tę myśl. Takim ruchem szybko zyskałaby sławę na korytarzach przy Puławskiej i na forach internetowych. Już wyobrażałaby sobie te memy przedstawiające grubą, opasłą jak świnia policjantkę robiącą sobie dobrze za pomocą urządzenia do testowania trzeźwości. Jak by podpisali? Pani inspektor dmucha, że aż miło.

Spojrzała na Iwonę i dodała w myślach: i testy na obecność narkotyków.

Odnutowała też coś jeszcze, do czego wcale nie miała ochoty się przyznać: Prygiel zaczął ją wkurzać. Ten doskonały, symetryczny, proporcjonalny piskorz miał coś na sumieniu. Nie jest dobrze, jeśli ktoś, kto w miarę chce coś zrobić i pomóc, wywołuje takie odczucia.

– Do zobaczenia jutro – rzuciła na koniec i wyszła pierwsza z sali dobrze wiedząc, co pomyśla. Dowódca zawsze wychodzi na końcu. A ona przecież była

dowódcą. Dlaczego sobie poszła? Czy to lekceważenie czy coś innego?

Będziecie mieli o czym myśleć. A może przy okazji weźmiecie się do roboty.

Wyszła z tego nieprzyjemnie zimnego, wypełnionego spiskami i intrygami trójzębnego budynku KGP, przeszła kawałek Puławską, obesza kompleks budynków Ksawerów i Wielicką, minęła ogródki działkowe i odnalazła stojący na parkingu naprzeciwko spółdzielni mieszkaniowej samochód Staszka.

Znali się z dziesięć lat. Ich drogi przecinały się co najmniej pięć razy, poza tym utrzymywali kontakt mailowy i telefoniczny. Nigdy nie łączyło jej ze Staszkiem coś bliższego, ale oboje sobie ufali. Oboje chcieli też coś osiągnąć i zdawali sobie sprawę, że w tym świecie pijawek, podstępów i szpicli potrzebują sojuszników.

Monie szło chyba lepiej, dlatego teraz pomyślała o zazdrości. Czy z zazdrości Staszek mógłby ją zdradzić? Czy mógłby ją w coś wplątać? Wykorzystać zaufanie do zastawienia pułapki? Postawiła się w jego sytuacji i szybko odpowiedziała. Nie. Na Staszku mogła polegać.

Przybili piątkę, a potem Staszek pchnął pięścią jej ramię.

– Nowa gwiazdka. Gratuluję.

Mona nie była pewna, czy to sarkazm. Zważywszy na znane im obojgu okoliczności, na dwoje babka wróżyła. Może dlatego nie miała ochoty na gierki i rozmowy o niczym.

– Jak nasza sprawa?

Staszek mocno zacisnął szczękę. Zbliżył do niej twarz i powiedział cicho:

– Nie wiem. Pilnują się, żeby nikt niepowołany nie zaglądał.

Mona nie uwierzyła.

– Kłamiesz.

Staszkiem coś poruszyło gwałtownie.

– Nie kłamię, naprawdę pilnują.

– Kłamiesz, że nie wiesz.

Chciał znów zaprzeczyć, ale tylko zwiesił głowę. Dobra, przegrałem.

– No więc? – ponagliła.

– Kiepsko.

– Brali?

– Na to wygląda.

Westchnęła.

– Skurwysyny.

Staszek uniósł dłoń jakby chciał ją powstrzymać przed ferowaniem wyroków.

– Poczekaj. – Na co?

– Może jest jakieś wyjaśnienie.

– Niby jakie? Tworzyli specjalny fundusz operacyjny? A może robili prowokację przeciwko... właśnie, kogo wymyślą? Kogo wrobią, żeby ratować tyłki? Jakiegoś koronnego? Złodzieja samochodów? A może narkomana? Kogo przekonają, że ich niewinność jest ważniejsza od prawdy?

– Mówię: poczekaj.

– Mówisz: nie wychylaj się. Rób swoje i się nie wychylaj, tak?

– Tak.

Zadarła głowę i popatrzyła w sufit.

– Wiesz, że Dawidiuk jest wymieniany wśród kandydatów na szefa CBS?

Staszek powoli, z wyraźną rezerwą skinął głową.

– Mówią nawet, że może zostać pierwszym psem – szepnęła.

– Nie sędzę.

Mona walnęła się w kolana. Cóż, nie było nic więcej do dodania. Otworzyła drzwi, postawiła stopę na ziemi, cofnęła ją i powiedziała cicho:

– Staszku, ja mam wrażenie, że oni już mnie przesuwają dalej, żeby się ubezpieczyć. I boję się, że ciebie też przesuną...

Uśmiech na twarzy Staszka był tak nienaturalny, że aż ją onieśmielił.

– Cóż, zawsze lepiej iść do góry niż do piachu.

Zdanie zabrzmiało dobitnie i Mona zamierzała odpowiedzieć równie mocno, odwołać się nie tyle do sumień, moralności, przyzwoitości, co do zwykłej potrzeby posiadania twardej dupy, jaj na miejscu i gry do jednej bramki, ale w tym momencie odezwała się jej komórka. Gdyby nie była tak zażenowana, pewnie odrzuciłaby połączenie.

– Halo?

– Jesteś w pobliżu, szefowo? – zapytał Prygiel. – Jeśli nie, to wracaj szybko.

– Co się stało?

– Mamy chyba wyjątkowe *case study* na żywo – zażartował prokurator.

– W Sopocie. Porwano kobietę, żonę milionera.

*

W środy o tej porze Hausberger grał w tenisa i nie odbierał telefonów nawet od wiewiórek. Pech chciał, że dzisiaj mu wyjątkowo nie szło i musiał symulować uraz kolana. Przegrał pierwszego seta do dwóch. W drugim było już trzy zero. Przegrać do zera to byłby wstyd. Już lepiej skreczować. Nawet jeśli ten chuj pułkownik pomyśli, że jestem niehonorowym wałem. A on, biorąc w łapę od Niemców przy tych wszystkich ustawkach na systemy obrony, jest honorowy? Gębę wycieracie polską racją stanu, interesem narodowym, towarzyszu pułkowniku, ale najważniejsza jest racja waszego portfela, prawda? Przyganiał

kocioł garnkowi.

– Przepraszam, pułkowniku, ale chyba nie dam rady – krzyknął do rozochoczonego przeciwnika, który wciąż rozgrzany i świeży nie schodził z kortu. Zerknął na komórkę i w końcu odebrał. Po minucie wiedział już, że na pewno nie da rady dokończyć meczu. Informacje od wiewiórki były zbyt istotne. Musiał natychmiast wziąć się do pracy. Przeprosił, pokazując znacząco na kolano. Po czym lekko kuśtykając ruszył do szatni.

Pułkownik patrzył za nim z urazą i pogardą.

Kolano? Akurat.

Przeciwnik, który jeszcze niedawno tak kulał, gdy już docierał do szatni, prawie biegł, jakby właśnie na aukcji wystawiano tam piętnastoletnie dziewice.

Pieprzony symulant.

*

Zimno, jak zimno, choć gorąco.

Dreszcze, ciągle dreszcze.

Łańcuch na szyi. Ciemność, mała komórka, piwnica. Wilgotna, niewykończona, śmierdząca.

Żadnego okna, żadnych mebli, stołu, krzeselka, nic. Tylko materac na podłodze i ten łańcuch przypięty do ściany. Ciągle na jej szyi, ciężki, uwierający.

Ona i myśli. Te przeklęte myśli, że to przez niego, przez jego interesy. Cierpi nie za swoje. Musi cierpieć, bo on chciał więcej. Pieniądzy, sukcesu, władzy.

Po co to komu, po co?

Tylko żeby rządzić. Żeby poruszać kukiełkami. Ustawiać innych, rozkazywać, pokazywać swoją moc. Po to?

Nierówne ściany. Zaduch, potworny zaduch i gorąco. Piekielne gorąco. A jednak przechodzą ją dreszcze.

Potrzebuje ruchu. W innym wypadku robi się jej zimno. Nawet w upale. Nawet gdy w pomieszczeniu panują zaduch i nieznośne gorąco.

Depresja hormonalna.

Bezwzględny, cichy zabójca.

Pasożyt.

Jeśli nie dostanie swojej dawki Anafranilu, umrze i nic nie będzie miało znaczenia.

Umrze.

Brak powietrza.

Żadnego okna, wentylatora.

Jeszcze chwila i się udusi.

Krzyczy.

Raz.

Drugi.

Przychodzą.

Wysłuchują. Wahają się, co zrobić. Niebieski im przecież nie pozwalał na żadne udogodnienia dla niej. Ma czuć, że to nie sanatorium. Ma się męczyć. Ma płakać i cierpieć.

Jest tu po to, by cierpieć.

Litują się w końcu, na chwilę otwierają na oścież drzwi.

Przystawiają wiatrak. Czarny, tani, głośny.

Na chwilę.

Żeby nie zdechła.

Nie za szybko.

Szum prostego elektrycznego silniczka i wirników zagłuszony przez wciąż włączone radio.

Hałaśliwa muzyka, jeszcze głośniejsze reklamy. Czasem wiadomości.

Jeśli nie umrze z wycieńczenia, nie udusi się, nie rozdygocze na śmierć z febry, to jej głowę rozsadzi ta muzyka, te reklamy.

Wiadomości.

Żadnej o porwaniu. Nikt nie alarmuje: w Trójmieście wprowadzono żonę znanego przedsiębiorcy. Daniel nie jest wystarczająco znany? Nie jest oligarchą, nie handluje z politykami, nie oszukuje na podatkach, nie próbuje dorobić się na państwowym? Nie są dość interesujący dla mediów? W ogóle są zwyczajni. Nie mają wrogów, nie mają wielkiego majątku. Nie tak wielkiego, by przyciągał porywaczy.

Dlaczego ich to spotkało?

Przecież wie.

Podejrzewa.

Dużo i mało.

Podejrzzenie.

Jedno. Może dwa.

On i ona.

Zamyka mocno powieki, otwiera.

Co z Barrym, co z Michą?

Co z Lizunią i Michałem?

Ciemno, szaro, noc. Wieczna noc.

Światło. Na chwilę zapalone. Wyławia ściany pomalowane na zielono, sufit biały.

Podłogę wyłożoną czarną folią.

Pomyślała, że to może być worek na zwłoki.

Jej zwłoki.

Dreszcz.

Nawet on, jak każdy ruch, rejestrowany przez dwie kamery umieszczone nad drzwiami i świecące rzędem czerwonych lampek.

Gdy wchodzi, każą wkładać na głowie poszewkę od poduszki. Potem mówią przez jakieś dziwne urządzenie. Megafon, brzmi jak megafon. Ostrzegają i uspokajają.

Chcą pieniędzy. Tylko ich pieniędzy.

A ona im nie wierzy.

*

Ile by dała, żeby to się nie wydarzyło?!

Żeby rano nie zamieniła się z mamą.

Oni chcieli porwać ją, nie mamę. Ją. To ona powinna teraz cierpieć.

A najgorsze, że nikomu nie mogła o tym powiedzieć.

Teraz musiała zachować milczenie.

Wymyślić rozwiązanie.

Wymyślić? Łatwo powiedzieć.

Łatwiej milczeć.

Przynajmniej na razie, dopóki się z nią nie skontaktują i dopóki nie powiedzą, czego naprawdę chcą. Bo nie ulegało dla niej wątpliwości, że pieniądze są tylko ściemą. Przeznaczoną dla innych zasłoną. Oni chcieli jej milczenia. Chcieli, by obiecała, że nie puści pary z ust.

Cholerny Artur. Chrzaniony piękniś.

Jednak źle go oceniła. Jego i jego tatusia.

Dranie. Porwali jej mamę. Jak mogli? Jak mogli to zrobić?

Leżała pod kołdrą i drżała wspominając ten ranek. Prośbę do mamy o wyprowadzenie psa, potem ten niepokojący telefon od ojca. Początek rozmowy, gdy jeszcze nie powiedział jej wszystkiego tylko pytał o mamę, o psa, a ona już przeczuwała, że coś się stało. COŚ. W końcu te trzy zdania.

Porwali mamę.

Chcą pieniędzy.

Miliona euro.

Pierwsza myśl: niemożliwe. Druga: Boże, ale zaważyła. Trzecia: tato, nie chodzi o pieniądze.

Myśl! Myśl! Myśl!

Musiała sobie to ułożyć.

Nie wolno jej było popełnić błędu.

Od jej decyzji zależało życie mamy.

Spojrzała na Radka, który nie bardzo wiedział, jak się zachować. Przyjechał tu pocieszać, ale widać było, że marzy, by jak najszybciej zniknąć. To znikaj. Na co czekasz?

– Może herbaty? – Zapytał.

Aż prychnęła. Herbaty? A potem pomyślała, że jest niesprawiedliwa i po raz któryś od roku zapragnęła mu powiedzieć. O wszystkim.

Co byś zrobił, gdybym powiedziała ci prawdę?

I zaraz sobie odpowiedziała. Ze smutkiem, z ponurą świadomością swojego beznadziejnego położenia.

Nic. Nic byś nie zrobił, prawda?

Tacy jak ty zawsze czekają na innych.

*

Jechali w kolumnie trzech pojazdów. Pierwszy radiowóz przewodnik. Drugi ministerialny bus z dwoma agentami, Prygłem, Maxem i policjantami z wydziału antyterrorystycznego. Sędzia przydzielony do zespołu pozostał w Warszawie (z trywialnym uśmiechem komentując: „ja tu tylko sprzątam”). Mona i Iwona zamykały stawkę w nieco wysłużonym volkswagenie. Mona prowadziła i nie chciała zmiany. Uparła się, by jechać bez kierowcy. Lubiła prowadzić.

Specjalnie to tak zorganizowała. Chciała pogadać z kobietą synteizatorem. W cztery oczy.

– Nie przeszkadzają ci te żarty?

– Że niby jestem jak maszyna do mówienia?

– No.

– Dlaczego mają przeszkadzać? – Iwona dobyła głos z głębi gardła, dzięki czemu przybrał skrzeczącą, mechaniczną barwę. Brzmiała jak robot z dźwięcznym akcentem Krystyny Czubówny. – Lepsze takie dowcipy, niż z przeładowaniem czy odbezpieczeniem broni. Ostatnio kumpel wystrzelił przez to na korytarzu i teraz ma dyscyplinarkę. Najgorsze jest to, że z żartów wszyscy się nabijają, od dołu do góry, a jak coś się spieprzy...

Żartownisie znikają, a pojawiają się szuje – dopowiedziała Mona w myślach. W każdej formacji aż się od nich roiło. I moda nie mijała, mimo że czasem żarty kończyły się tragediami. Mona zastanawiała się, czy gdyby komendanci tak bardzo stawiali na powagę i profesjonalizm, dałoby się wytrzymać w mundurze. Jak w koszarach siedzi kilkuset chłopca, muszą pożartować. Taniej wychodzi.

– Numery...

– Im głupsze, tym ich zdaniem zabawniejsze.

- I ty się wykupiłaś syntezatorem?
- Podoba im się, że mam dystans.
- A masz?
- Szczerze? Wisi mi to. Mam w nosie, że sobie wymyślili ten syntezator.

Dogadujemy się na innych płaszczyznach i to jest najważniejsze.

Inne płaszczyzny.

Mona przejrzała przed wyjazdem dość dokładnie akta Iwony. W służbie była od prawie dziesięciu lat. Samotna, bezdzietna. Żadnych wzmianek o złym prowadzeniu się. Lesba? Zaczęła od prewencji w Szczecinie, potem zrobiła szkołę i kursy w Legionowie. Dostała się do ABW. Od sześciu lat w strukturach agencji, przechodząc kolejno przez kilka departamentów: od centrum antyterrorystycznego, przez kontrwywiad, aż do postępowań karnych. Jakiś czas temu próbowali ją podkupić do CBA, ale się nie dała.

- Dlaczego nie poszłaś do Kamińskiego?
- Nie interesuje mnie polityka.
- CBA walczy z największą plagą w tym kraju – wystrzeliła sloganem partyjnym.

Iwona spojrzała upewniając się, czy żartuje, czy mówi poważnie. Ale nie dała się podpuścić.

- Wolę bezpieczeństwo narodowe – mrugnęła okiem.
- To może powinnaś spróbować u prezydenta albo w borowikach?
- Mi tam w „abwerze” dobrze.

Przez chwilę milczały i Mona zastanawiała się, czy Iwona też ją sprawdzała, czy odszukała jakieś ogólne informacje, a może zajrzała dzięki swoim relacjom do teczek personalnych czy baz danych w systemach.

– Co wiemy o tym Waisu? – Agentka zmieniła temat, przechodząc do sprawy.

- Fabrykant z Sopotu.
- W Sopocie są fabryki? Co produkuje?
- Gadżety. I zabawki. Zatrudnia ponad sto osób, od dwudziestu lat w biznesie. Mieszka zaraz za miastem, w luksusowej posiadłości. Bogaty. Bardzo bogaty. Kilka samochodów, kasa na koncie, dwójka dorosłych dzieciaków: czternastoletni chłopak i dwudziestoletnia córka. Żona – jedna i ta sama od dwudziestu lat...

- Porwana żona...
- Porwana – powtórzyła bezwiednie. – Czterdzieści lat, zadbana, atrakcyjna.

On... też całkiem w porządku.

Uśmiechnęły się znacząco.

- Gangster?

W systemach nie było o tym śladu. Żadnych zgłoszeń, konfliktów

z sąsiadami, doniesień, anonimów. Staszek też nic nie wiedział. Mona na razie czekała na sygnały z innych źródeł.

– Ty mi powiedz.

Iwona uśmiechnęła się z wyższością.

– Nasi nic o nim nie mają. Nawet dziwne.

– Dlaczego?

– Od dwudziestu paru lat w biznesie i żadnej wpadki? Żadnego otarcia się o służby, nielegalnego lobbingu, wyłudzeń, powoływania się na wpływy? Żadnego wniosku o kancelarię tajną, sygnałów o ustawianiu przetargów, nawet fałszywych doniesień. Całkowicie czysta kartoteka. W kraju donosiciele to nie jest normalne...

Mona zamyśliła się. A więc jej towarzyszka dobrze sprawdziła Waisa, a na początku rozmowy udawała, że nic o nim nie wie. Jednak czy to powinno być podejrzane? W końcu ona sama też tak działała. Lubiła mieć „swoją” wiedzę i nie zdradzać się z nią do momentu, gdy nie przyjdzie na to czas. Iwona postąpiła dokładnie tak samo.

– Aż za czysty?

Iwona skinęła głową. Przez chwilę milczały. Mijany drogowskaz pokazał, że pozostało im już kilka kilometrów do zjazdu z autostrady. Chylące się ku zachodowi słońce odbijało się od blaszanych dachów coraz większych skupisk zabudowań. Wtedy Iwona zapytała:

– To prawda, co o tobie mówią?

– A co mówią?

Sekunda zawahania. To nie miało być takie zwyczajne, nic nie znaczące pytanie towarzyskie.

– Że jesteś z Dieslem?

Serce ruszyło i po chwili waliło jak taran. Skłamać? Nie. Lepiej samemu zapytać.

– Znacie się?

Iwona o dziwo odpowiedziała najnaturalniej w świecie:

– Z Dieslem? A kto go nie zna.

Miała to na końcu języka. Kolejne pytanie. W głowie bez cenzury, wulgarne. Gdyby je zadała, pewnie by złagodziła. Miał cię? Też z nim byłeś? Też byś odpowiedziała w tym stylu: a kogo on nie miał?

– No tak – mruknęła jednak tylko.

– Fajnie. Fajnie że jesteście razem – zakończyła Iwona. – Pasujecie do siebie.

Mona poprawiła swoje ciężkie ciało. Poczula się, jakby dostała prztyczka w nos. Nie ma co, niezła z nas para. Diesel w skórzanej kurtce i okularach Cobry, z prywatnym Rugerem GP100 za paskiem, z tym całym amerykańskim wdziękiem, charyzmą playboya, manierami Jamesa Bonda, setkami zaliczeń i sławą casanowy.

Przystojniak znany we wszystkich komisariatach, nawet tych prowincjonalnych. Legenda. Pieczętka użytkowa na co zgrabniejszym tyłku koleżanek z prewencji, wydziałów dla młodzieży, resocjalizacji i innych.

Kiedyś niczym marynarz: żona w każdym porcie.

Ktoś taki...

...i ona. Otyła, zmęczona, zrezygnowana, na diecie.

Wiecznie na diecie.

Akurat do siebie pasowali! Mona miała ochotę uchylić palcem powiekę i zapytać: „a czołg mi tu jedzie?” Albo powiedzieć wprost: nie ściemniaj, obie dobrze wiemy, że jest inaczej. Że Diesel dyma mnie dla kariery albo z jakiejś innej perwersji. Tylko tak można to wytłumaczyć, prawda? Zamiast tego skinęła głową i wyszeptwała:

– Dzięki.

*

Pierwsze przesłuchanie.

Daniela zaskoczyło, że tyłu ich tu było. Spodziewał się Geberta, może jakiegoś innego gliniarza, prokuratora. Dwóch, trzech osób. Tymczasem w przestronnej sali w lokalu operacyjnym CBS czekał na niego prawdziwy komitet powitalny. Doliczył do dziesięciu i przestał, żeby nie wybuchnąć gniewem. O co tu chodzi? Mieli utrzymywać wszystko w tajemnicy, a brakuje tylko telewizji i relacji na żywo.

Zaraz jednak pomyślał, że to może świadczyć o wyjątkowo poważnym potraktowaniu sprawy. Albo o tym, że mu nie wierzą. Tabloid. Wystarczyło, że na sekundę przymknął oczy, a go zobaczył. Okładkę sprzed roku i ten niepozorny tekst poniżej głównej wiadomości. Artykuł o zaginionej nastolatce.

– Grożą, że jeśli pojawi się policja, zabiją moją żonę – powiedział, siląc się na spokój. – Twierdzą, że mają źródła w... policji.

– Wiemy – kobieta wyglądająca na szefową podeszła, przedstawiła się i przywitała. Podinspektor Monika Jakaśtam. Lankosz? Chyba tak. Bez znaczenia. Komenda główna, naczelnik wydziału. Nie miała munduru tylko czarną spódnicę, garsonkę i grafitową bluzkę, z trudem pomniejszającą ogromne piersi. Monika, ładne imię. Ona też całkiem sympatyczna. Może nieco za okrągła twarz, zbyt wycofane, za skromne, mało przekonujące spojrzenie. Same oczy miłe, duże, uczciwe. W takich sytuacjach jak ta wolał zdecydowanie facetów, ale coś było w tej Monice. – Stąd nic nie wycieknie.

Mona mówiła z przekonaniem, choć wcale nie była taka pewna. Nie знаła tych ludzi z Gdańska. Nie znała swoich nowych współpracowników. Nie wiedziała,

komu rzeczywiście może ufać. Ale nie miała wyjścia. Nawet jeśli się myli, a facet uzna ją potem za świnię, musi grać ze swoją drużyną do tej samej bramki. Do końca, a nawet dłużej. Bo śmierć ofiary niczego nie zmieni.

– Błefują.

– Pewnie tak – odparł Daniel. Chciał w to wierzyć.

Mona rozejrzała się po obecnych. Najdłużej patrzyła na Geberta, którego znała z opowieści znajomych. Gliniarz niemal zrosnięty z mundurem. Przysłowiowo, bo oficjalny strój zakładał tylko z musu – dziś zamiast niego miał zniszczoną marynarkę i za szerokie spodnie. Sukcesami mógł sobie wytapetować pokój. O porażkach w takiej sytuacji zapominano. Przynajmniej na górze. Bezwzględnie mu ufała. Poza nim było jeszcze czterech gliniarzy z Gdańska. Doświadczonych, z czystą kartą, raczej poza podejrzeniem.

– Tu nie znajdzie pan zdrajcy – zapewniła. – Jeśli porywacze się dowiedzą, to nie od nas.

– Jeśli się dowiedzą, pytanie od kogo nie będzie miało znaczenia – zaznaczył ponuro Daniel.

– Nie sądzę – zaprzeczyła Mona. Wiedziała więcej od Daniela, bo przed przesłuchaniem mieli już wstępną naradę, na której przeanalizowali list od porywaczy. Wais jeszcze go nie widział. List dostarczył im dużo wskazówek. – Uważamy, że padliście państwo ofiarą typowych porywaczy ekonomicznych. Oni nastawieni są na zysk i nie użyją przemocy.

– Przynajmniej dopóki nie będą musieli – wtrącił Prygiel.

Mona strzeliła piorunującym wzrokiem. Prygiel to olał. Grał idiotę, który niby nie wie, co zrobił. Udawał, że to zdanie bez znaczenia, a dobrze wiedział, jakie wywrze wrażenie na przesłuchiwanym. Już dość przeszedł. Nie było potrzeby wyprowadzać go z równowagi.

Daniel jednak jakby nie dosłyszał. Wiedział przecież, że się mylą.

– Pan uważa inaczej? – Zapytała Mona.

– To znaczy?

– Podejrzewa pan kogoś o zlecenie porwania? Miał pan z kimś konflikty? Jest pan komuś winien pieniądze?

Pytania. Dziesiątki pytań, na które nie znał odpowiedzi lub których nie chciał udzielić. Nie, nie był nic nikomu winien. Nie, nie ma wrogów. Nikt mu nie groził. Przeciwnicy biznesowi? Są, jak u każdego. Ale... żaden z nich nie posunąłby się do czegoś takiego. Chyba. Pracownicy? Czy źle kogoś traktował? Wyrzucił, pobił, upokorzył? Nie, po trzykroć nie.

Mona słuchała, pytała i sprawiała wrażenie, że mu nie wierzy.

Poczuł się winny.

Uciekł wzrokiem w podłogę.

– Chcę tylko, żeby wróciła do domu.

Zabrzmiało szczerze. Mona wciąż patrzyła, jakby chciała mu przekazać: zaufaj mi, powiedz prawdę, to może być ważne. Ale może to było tylko takie standardowe spojrzenie, którego uczą na kursach z przesłuchiwania. A nuż delikwent się wysypie z czymś, czego nie wiemy i za co będziemy mogli go potem pociągnąć.

– Wróci – zapewniła w końcu. – Jeśli pan zapłaci, na pewno.

– Zbiorę milion euro w trzy dni.

– Nie damy im miliona – wtrącił Gebert i szybko dodał, żeby nie było nieporozumień, że to jakaś nieczysta gra: – Nigdy nie daje się całej kwoty.

Tik. Miał wrażenie, że na jego twarzy pojawił się nerwowy tik, których przecież nigdy nie miał. Ale też nigdy nie był w takiej sytuacji. Od dawna nikt nie wydawał mu poleceń. To on był szefem. On dowodził. A tu...

– Jesteście pewni, że przez to nie zrobią jej krzywdy?

Mona przypomniała sobie sprawę pewnego Hindusa, porwanego przez pomyłkę. Porywacze chcieli uprowadzić syna bogatych biznesmenów, a zamiast niego wzięli pracownika, który był niemal zupełnie bez kasy. Zażądali dwóch milionów, rodzinie udało się zebrać znacznie mniej. Przekazali wszystko, co mieli. Chłopaka jednak nigdy już nie zobaczyli. Tylko wiadomość od porywaczy: „Okup w kawałkach, dzieciak w kawałkach”.

– Komisarz ma rację – potwierdziła. – Oni też znają reguły gry. Nigdy nie dostają całej sumy. Zadowolą się znacznie mniejszą kwotą. Gdyby pan im przekazał milion co do grosza, mogliby uznać, że wyciągną jeszcze więcej. To by opóźniło uwolnienie zakładnika, a może...

Mona w porę ugryzła się w język. Nie mów wszystkiego, co myślisz.

Ale od czego był Prygiel?

– ...doprowadzić do okaleczenia i zabójstwa – dodał zimno prokurator.

– Decyzja o dalszym przetrzymywaniu zmieniłaby całkowicie reguły gry – podjął psychologicznie Max. Pewnie sobie pomyślał, że warto zaznaczyć obecność. Na wypadek, gdyby ktoś kiedyś chciał ich rozliczyć. W końcu narada była nagrywana. Tak więc jestem. Oto ja, psycholog doktor Max we własnej osobie. Lekko skacowany (jak zawsze), lekko zagubiony (jak niekiedy), mocno leniwy (jak zazwyczaj). Mam coś do powiedzenia. – Pan byłby bardziej wycieńczony, oni pozbawieni skrupułów. Początkowa determinacja mogłaby się przerodzić w chęć osobistego rewanzu. Mamy do czynienia prawdopodobnie z inteligentnym, bezwzględnym psychopatą, który mógłby potraktować to jak pojedynek.

– A teraz nie traktuje? – zapytała Iwona.

Max spojrzął na nią, jak na blondynkę. Mało co nie cmoknął. Mona przeklęła w myślach, choć obiecała, że nie będzie. Kutas zasłużył.

– Teraz chce tylko zarobić. Jak najmniej ryzykując – Max znów patrzył na Daniela, potem na stół, na leżącą przed nim kserokopię jakiegoś dokumentu.

Daniel zauważył, że ten sam wydruk leży przed każdym z policjantów. List. Przypomniawszy sobie, że przekazał policji informację o liście pozostawionym w śmieciach, który na jego prośbę odebrał sąsiad. On nie miał jeszcze okazji go przeczytać. – Z listu porywaczy wynika, że doskonale orientują się w przepisach i procedurach. Wiedzą, że dobrze traktując zakładnika, mają spore szanse na złagodzenie kar w wypadku wpadki. To profesjonaliści. Jeśli nie będą musieli, na pewno nic jej nie zrobią. Zwyczajnie mniej im grozi.

– Ile?

– Do piętnastu lat, a realnie jeszcze mniej. Znacznie mniej.

– Jeśli nie mają recydywy i dobrze to rozegrają, mogą się zmieścić w trójce – dodał Prygiel. Uśmiechnął się szeroko. Mona poważnie zaczęła się zastanawiać, czy on jednak w młodości nie zderzył się czołowo z dziesięcotonowym tirem. – Przyznajmy, nie za wiele. W więzieniu o złagodzonego rygorze, może półotwartym. Za to pocieszający jest fakt, że dzięki zmianie kwalifikacji wykluczono możliwość warunkowego zawieszania kar wobec takich przestępców. Pójdą siedzieć!

Prygiel świetnie grał idiotę. Zadowolony z siebie odsunął nieco krzesło od stołu i założył nogę na nogę. Daniel napiął mięśnie i wypuścił głośno powietrze. Pocieszający? Naprawdę ten żartowniś użył tego słowa? Prygiel wyraźnie go prowokował, chyba też nie lubił. Może chciał mu dać znać, jak mało tu znaczą jego pieniądze. Albo może podejrzewał o coś?

A ona? Spojrzał na Monę. Czy ona też tak myśli? Czy ona też go podejrzewa?

– Chcę tylko, żeby Ania wróciła do domu – powtórzył. Wskazał na leżące przed policjantami ksero. – Mogę w końcu zobaczyć ten list?

Rozdział 9

[brak wpisu od użytkownika Anna]

MAMY JĄ!
TO DOPIERO POCZĄTEK TWOJEGO CIERPIENIA!
POSTĘPUJ ZGODNIE Z INSTRUKCJAMI
NIE ZAWIADAMIAJ POLICJI
JEŚLI TO ZROBISZ ONA ZGINIE
ZANIM NAS OSZUKASZ WYBIERZ UCHO, KTÓRE OBETNIEMY
A MOŻE WOLISZ PIERŚ?
PRZYJRZYJ SIĘ SWOIM PALCOM
POMYŚL O JEJ PALCACH
POMYŚL O JEJ PIERSIACH
ZAMKNIJ OCZY I WYOBRAŹ SOBIE JAK JĄ RUCHAMY
WYRUCHAMY JĄ WSZYSCY
JEST NAS DUŻO
DUŻO BĘDZIE CIERPIAŁA
ALBO MIAŁA DUŻO PRZYJEMNOŚCI
CO WOLISZ
WEZWIESZ PSY MASZ TO JAK W BANKU
TYLKO POMYŚL O TYM
I O TYM JAK CIĘ OBSERWUJĄ I PODSŁUCHUJĄ
OD CHUJĄ OBCYCH LUDZI W TWOIM DOMU
POMYŚL
NIE BĘDZIESZ WIEDZIAŁ KTO PRZYJACIEL A KTO WRÓG
KTOŚ OD NAS BĘDZIE TAM
Z TOBĄ CAŁY CZAS
DASZ DUPY, ONA ZGINIE
A WIESZ CO ZROBIĄ WTEDY PSY
ODHACZĄ KOLEJNĄ SPRAWĘ I POWIEDZĄ
PRZYKRO NAM
ICH TO W ZASADZIE NIE OBCHODZI.
TEMAT JAK TEMAT. ODHACZYĆ I ZAPOMNIEĆ.
TEGO CHCESZ?
CZY ŻEBY WRÓCIŁA?
TERAZ CZYTAJ UWAGA, BO JAK NIE...

* „ZAJEBIEMY JĄ ZERŻNIEMY POTNIEMY A POTEM DOBIERZEMY SIĘ DO CIEBIE I BACHORÓW”

List był dużo dłuższy, podawał szczegółowe instrukcje postępowania i znaki, które miał zapamiętać. Pięć wykrzykników. Tylko na takie esemesy powinien reagować.

ROZUMIESZ SKURWIELU?

Daniel siedział sam w jakimś niewielkim pokoiku i czekał na dalsze polecenia. Zastanawiał się, czy go obserwują. Czy badają jego reakcje? Czy uwierzyli w jego wersję i wyjaśnienia?

Wyglądał na przybitego. Był przybity, wykończony.

Ale czy uwierzyli?

Bo jeśli nie...

Za chwilę mieli przewieźć go do domu. Ale wcześniej chciała z nim porozmawiać ta kobieta.

Monika. Mona, jak o niej mówili inni gliniarze. Komisarz czy inspektor. Szefowa zespołu.

Miał dziwne przecucie, że los się do niego uśmiechnął w tym względzie. Dobrze, że to ona kieruje sprawą. Kobieta bywa łatwiejszym przeciwnikiem i bardziej lojalnym sojusznikiem.

Kim będzie dla niego?

Czas płynął przeraźliwie wolno.

Pytania się mnożyły.

Przyjdzie czas na ich zadanie.

I, jeśli będzie trzeba, wymuszenie odpowiedzi.

„Zemsta to potrawa, która najlepiej smakuje na zimno.”

Coś cykało mu w głowie. Sekundy dzieliły się po wielokroć. Wskazówka zegarka jakby przeskakiwała o jedno pole i zaraz cofała o dwa.

Zaczął czytać kolejny raz.

*

Teraz rozumiem, skąd ta sława – Gebert uważnie śledził każde słowo i ruch tej siksy nadzwyczaj szybko wyniesionej na piedestał najmłodszej podinspektor w całym burdelu. I chyba bez dawania dupy. Czy właśnie za to ją szanowano? Czy to dzięki takiemu podejściu Mona zyskiwała sławę żelaznej damy kryminalistyki w każdym nowym miejscu, w którym lądowała?

Nie ulegała emocjom, uczciwie rozdzielała zadania, wszystkich traktowała fair. U niej nie było, że ktoś jest czyimś synem, protegowanym, kochankiem. Miał zapierać się, jak cała reszta. A jak się obijał, to dostawał kopa w tyłek. Zasłużonego, uczciwego.

Dzięki temu inni stawali murem za jej plecami. Dzięki temu sępy, lizusy i układowczyki mogli jej naskoczyć.

Nie ma co, nawet na nim robił wrażenie sposób dyrygowania kilkunastoma osobami, często bardziej doświadczonymi, zahartowanymi w bojach, przywiązanymi do niezależności i osiągniętej pozycji, wytrwałych w pozorowaniu roboty i zaciekłych w przekonaniu o swojej nieomyślności, zatwardziały drani i pokrętnych bubków. Trafnie oceniała i wykorzystywała niuanse zależności, podległości, sympatie, animozje i uprzedzenia.

Szacun, pani inspektor – jakby to powiedzieli młodzi. Duży szacun. Do diabła, ona kiedyś zostanie komendantem głównym. Będzie pierwszą babą na tym stanowisku. I kto wie, może nawet te wszystkie spiskujące, przeżarte alkoholem, patologiami, potrzebą rywalizacji i podkładania świń węże ją zaakceptują.

Jeszcze nigdy w historii policji w tym kraju nie było komendanta, który zyskałby bezinteresowne uwielbienie poddanych. Ona byłaby pierwsza.

Więc pewnie nie będzie – skonstatował ze smutkiem.

– Pogrzebię – zaproponował. – Ja i moi ludzie. Znamy okolicę.

– Tylko ostrożnie. Pamiętajcie, że działamy nieoficjalnie. Zakładamy, że o nas nie wiedzą – Mona już zostawiła Geberta i rozdzielała kolejne zadania.

Iwone i jej dwóm partnerom z ABW poleciła obejrzenie nagrań z monitoringu miejskiego.

– Zbierzesz dane ze wszystkich serwerów, także tych prywatnych i z agencji ochrony. Jeśli ktoś zapyta po co, rutynowa kontrola. Każdy ślad jest ważny, szukamy ludzi, którzy śledzili Waisa na lotnisku lub w trasie z lotniska do nas. Nie lekceważymy żadnego sygnału.

– Jasne – mruknęła Iwona. Ona i agenci nie byli zachwyceni koniecznością przesłania dziesiątek nagrań. Ale lepsze to, niż biegać w obcym mieście i wypytywać nie wiadomo kogo nie wiadomo o co.

– Czy mamy już dane z monitoringu w okolicy porwania?

– Działamy ostrożnie, więc... – napomknął Gebert.

– Pochodźcie po sąsiadach, popytajcie o kamery. Może ktoś coś widział.

A miejsce zdarzenia?

– Technicy byli tam w przebraniach sprzątaczy.

– Jakie efekty?

– Znaleźliśmy sporo włosów, ślady opon, trochę odcisków butów. Próbkę już są w laboratorium. Jutro przejrzymy jeszcze raz w przebraniu geodetów. Wszystko będzie wkrótce opisane. Wstępne wyniki dostaniesz natychmiast, jak będą.

– Super. Max!

Max stłumił ziewnięcie. Był śpiący. To znaczy miał ochotę na jednego. A potem na sen.

– Tak?

– Przeanalizowałeś już to pismo od porywaczy?

Uniósł do góry brwi, co miało znaczyć: niby jak, kurwa, przecież dopiero co je dostałem.

– Zerknałem...

– To zerknij z łaski swojej uważniej.

– Wolałbym jutro. Dziś jestem... zmęczony.

– Jutro będzie futro. Ile potrzebujesz?

Max chrząknął.

– Dwie godziny. Ale jutro...

Mona spojrzała na zegarek.

– O dwudziestej drugiej wpadnę do ciebie na drinka.

– Jak miło...

– Masz mieć gotową analizę. Chcę wiedzieć, kto, twoim zdaniem, to pisał, jakie ma wykształcenie, co zamierza, czego możemy się po nim spodziewać i...

–... gdzie go szukać, jak wygląda i czy ma dużego? – Max wyszczerzył poźółkłe kły. O dziwo, były w całkiem niezłym stanie jak na takiego obwiesia. Żadnych ubytków, skaz, równa klawiatura. Czym je konserwujesz? Bo chyba to nie zasługa pasty?

– Czytasz mi w myślach.

– Czyli mam zabawić się w jasnowidza?

– A nim nie jesteś?

Max udał, że jest urażony.

– Ulubione perfumy też cię interesują?

– Zrób, co do ciebie należy – ucięła Mona z taką miną, jakby w niego nie wierzyła. Max poczuł się głupio. No tak, jak przystało na profesjonalistkę Mona sprawdza wszelkie hipotezy, wykorzystuje każdą możliwość, ale tak naprawdę zupełnie mi nie ufa. Nie wierzy, że jestem w stanie coś więcej wyczytać z tego listu niż ona. Chce mnie sprowokować, żebyśmy pokazał, na co mnie stać?

Ugryzł się pobudzająco w wargę i mruknął:

– Jak znam życie, znajdziecie ich dzięki tym... analizom.

– I dziękujemy. Dość żartów, Max. Całkiem poważnie ci powiem, że analiza psychologiczna może być naprawdę kluczowa dla wytypowania podejrzanych.

– Będzie kluczowa – Max poczuł się teraz doceniony.

– Tylko jeśli ją przeprowadzi prawdziwy fachowiec. Taki jak ty, Max.

Gebert omal nie oblał się kawą. Większość wyszczerzyła kły. Max nie

załapał.

– No pewnie. Dwie godziny?

– Dwie.

– Będziesz miała tę analizę.

Mona skinęła głową. Popatrzyła po twarzach obecnych. Co dalej?

– Kto przewertuje bazy danych przestępców z Sopotu?

– Ja mogę – niechętnie zgłosił się gliniarz z Gdańska.

– Już mówiłem, że weźmiemy to na siebie – potwierdził Gebert, dając jednocześnie znać, że podzieli pracę pomiędzy swoich ludzi. Tak było najlepiej, w końcu on ich zna. Wie, na co którego stać, kto jest ambitny, kto leniwy, kto przygłupi, a kto kupił sobie maturę. Mona skinęła głową.

– W ponad połowie przypadków porwań w Polsce sprawcy byli notowani i znali ofiary – nie powiedziała: przyłóżcie się, ale to było jasne.

– Pewnie.

– Sprawdźcie też, proszę, czy nie pojawiły się ostatnio jakieś ogłoszenia o wynajmie mieszkania w okolicy domu Waisa. Jeśli tak i zostało wynajęte, niech ktoś odwiedzi nowych lokatorów.

– Elektryk posprawdza liczniki – przytaknął Gebert.

– Po nim przyjdzie gazownik – dodał któryś z jego ludzi.

– Tylko pamiętajcie: nawet jak ich namierzemy, nic nie robimy. Żadnej samowolki, żadnego zatrzymania czy prowokacji.

– Uwolnienie zakładnika jest priorytetem.

– Aha, sprawdźcie też kradzieże samochodów, ewentualne interwencje, nieudane próby kontroli drogówki, mandaty, ostatnie doniesienia. Gdzieś może być ślad. Stawiam wódkę, że posłużyli się kradzionym autem. Sąsiadów i pracowników popytajcie też o konflikty Waisa i... sami wiecie. Tylko ostrożnie. Prygiel!

– Tak, szefowo? – „Szefowo” zabrzmiało mocno sarkastycznie, może dlatego odpowiedziała w podobnym tonie:

– Mogę o coś poprosić pana prokuratora?

Prygiel odłożył telefon, którym się bawił przez cały czas, poprawił marynarkę. Wyglądał teraz na przesadnie skupionego.

– Mówiłem, że możesz na mnie polegać. Niepotrzebna złośliwość z tym... panem prokuratorem.

Podobnie jak z „szefową”.

– Mógłbyś zająć się logowaniami komórek? Część danych, o które poprosiliśmy, pewnie już spłynęła, trzeba by je przejrzeć i porównać...

Skinęła głową, choć chyba niespecjalnie wierzył w sens tej pracy. Ale nie patrzył na nią z góry. W jego postawie nie było niczego z tej tak znanej jej komputerowo niemal zaprogramowanej funkcji w prokuratorskim umyśle, która krzyczała: jak to, ja, prokurator, mam sam się zniżyć do działań dochodzeniowych?

Od czego masz tych z ABW i swoich ludzi z CBS? Prygiel chyba jednak był w porządku, choć zakończył bez wiary:

– Wątpię, żebyśmy cokolwiek znaleźli.

– Może da się skojarzyć jakieś numery z miejsca zdarzenia z tymi z okolicy albo z otoczenia figuranta – Mona wyrwała kartkę z notatnika, zapisała na niej numer telefonu i wręczyła ją Pryglowi. – To jest taki artysta od nas, co potrafi niesamowite rzeczy wyczyniać z danymi od operatorów. Nie wiem, jak on to robi, ale wyczytuje z cyferek takie poematy, że ja zupełnie tracę rozum. Spróbuj się z nim dogadać. Możesz się na mnie powołać.

– Artysta?

– No.

– A on wie, że bez zgody sądu to nielegalne?

– Z biurokracją sobie poradzisz. Zawsze można wykorzystać ten paragraf, który stosowaliście do inwigilacji dziennikarzy – Mona mrugnęła okiem. Nie sądziła, żeby Prygiel miał z tym lub podobnymi nielegalnymi działaniami coś wspólnego, ale lubiła drażnić się z współpracownikami w ten sposób. Jednym z najważniejszych jej celów edukacyjnych było wyrobienie w podwładnych dystansu do siebie.

Prygiel aż prychnął, ale zaraz... pojął. No dobra, szefowo, celny żart.

– Po co śledzić dziennikarzy, jak można bezpośrednio skupić się na źródłach – szepnęła. – U nas w prokuraturze najlepiej widziane jest podsłuchiwanie szefów i pisanie na nich raportów. Donosiciel dla każdego karierowicza jest cenniejszy od złota. A jak jest w policji?

Mona skinęła tylko głową. Riposta była udana i kończyła temat. Nie miała jak go spuentować, nie wchodząc w dłuższą dyskusję i nie wyjaśniając pozostałym, że właśnie dlatego dostała awans. Dlatego, że szpiegowała i donosiła na własnych szefów.

– Wszystkie chwytaki dozwolone – szepnęła i spojrzała na agentkę ABW – Iwona!

– Tak?

– Po przejrzeniu nagrań, wrzuc proszę Waisa na bęben i przemagluj dokładnie w waszych bazach.

– Już mówiłam... – Iwona chciała chyba nawiązać do ich rozmowy w aucie, więc Mona szybko przerwała:

– Popytaj o niego. Sprawdź też bank: kto ma dostęp do jego konta, kto wchodził na nie w ciągu ostatnich... powiedzmy trzech miesięcy. Każda z tych osób ma być sprawdzona. Aha, jak znajdziesz chwilę, zapytaj o możliwość użycia tego drona, który agencja dostała od Amerykanów. Chętnie byśmy go pożyczyci.

– Na razie bawią się nim na poligonie. Jest kolejka.

Kilku policjantów roześmiało się głośno. Żarty o kolejarzach były modne

szczególnie w męskiej części koszar. Ucichli szybko na jedno spojrzenie Mony. O dziwo, zamiast ją to natchnąć siłą, przygnębiło. Niedobrze, jeśli nie żartują z ciebie. To znaczy, że do seksu się nie nadajesz. Natychmiast poczuła głód, jak zawsze, gdy była zła. Głód, cholerny głód.

– Gebert! Jak będziecie chodzić po okolicy, zwróćcie uwagę na miejsca, z których można obserwować dom Waisa. Dam głowę, że jakoś go monitorują.

Gebert skinął z uznaniem. Widząc, że narada ma się ku końcowi rzucił:

– Hipotezę samouprowadzenia odrzucamy całkowicie?

Mona zawahała się. Oczywiście taką też powinni postawić. Kiedyś niemal zawsze była sprawdzana na początku. Pierwsze, co macie zrobić, to zweryfikować, czy gość nie robi się sam dla ubezpieczenia czy z innych powodów. Sprawa Olewnika to zmieniła. Dbałość o własne dupy to zmieniła. Tłuste i chude. Dupy były najważniejsze.

– Raczej odpada – przyznała. – Za duża komplikacja, zbyt wiarygodnie wszystko wygląda.

– Sprawy firmowe? Szantaż biznesowy? Zemsta?

– Sama się tym zajmę, ale oczywiście pytajcie o wszystko.

– A rodzina?

Z tym nigdy nie było pewności. Ile to razy żona okazywała się współniczką, ciotka informatorem, a wujek pomagierem chętnym do podziału. Często nawet nie chodziło o pieniądze, tylko o zawiść i zwykłe ludzkie pragnienie czynienia zła. Także bliskiej osobie.

– Na nią przyjdzie czas. Na tym etapie zakładamy jednak...

– ...dobrą wolę? – pomogła Iwona.

– Zobaczymy – zakończyła. – No to... do roboty!

Prygiel, który po odnotowaniu poleceń–prośb Mony i krótkiego spięcia w sprawie podsłuchów, intensywnie skupiał się na jakichś obliczeniach, uniósł do góry rękę, prosząc o uwagę. Pozostali zamarli.

– Tak? – ponagliła Mona.

– Nie zmieszczą się – szepnął Prygiel.

– Co?

– Kasa. Milion euro nie zmieści się w jednym plecaku. Nawet w dwóch będzie trudno. Jak policzycie wagę i objętość kwoty, będziemy mieli kłopot w upakowaniu ich do jednego plecaka. Realnie będzie kłopot nawet z dwoma.

Mona westchnęła. Nie chciała nikogo zrażać, ale pomyślała sobie o tych tysiącach papierków, które trzeba będzie zeskanować, opisać, oznaczyć. Każdy banknot. Jeśli dojdzie do przekazania okupu, cały zespół będzie musiał nocami przygotowywać dokumentację. Przeje... przechłapanie.

– Jaki z tego wniosek?

– To dyletanci. Nie wiedzą nawet, ile to jest milion euro.

Rozdział 10

[brak wpisu od użytkownika Anna]

Wais zgodnie z jej prośbą czekał w niewielkim pokoju. Siedział na drewnianym krzeselku. Obok stał składany stolik, na którym dyżurny zostawił mu butelkę wody i kilka plastikowych kubków. Zdążył zadzwonić do dzieci i ojca. Zaraz się z nimi spotka. Wcześniej jednak musieli wyjaśnić parę kwestii.

– Dobrze by było, gdyby pan mi powiedział prawdę – zaczęła prosto z mostu.

– Mówię – odparł krótko. – Nie mam nic do ukrycia.

Przynajmniej dopóki nie zamykam oczu.

Ale i tak nic ci nie powiem o zdarzeniach sprzed roku.

Patrzyła badawczo w jego oczy. Z trudem wytrzymał to spojrzenie. Przez nie poczuł się winny.

– Potrzebuję odpowiedzi na szereg pytań. Trudnych.

– Odpowiem. Powiem prawdę.

Kłamca z ciebie, Wais. Nawet w takiej chwili kłamiesz.

– Nie tylko o same zdarzenie, ale i o pana pożycie z żoną, o dzieci, o firmę. Być może gdzieś tam jest przyczyna pana kłopotów.

– Może – przyznał Daniel. – Co chce pani wiedzieć?

Przez następną godzinę opowiadał jej o związku z Anią, dzieciach, małych i większych utarczkach. Nie szło najlepiej. Nie bardzo lubił mówić o sobie, szczególnie o problemach, a te najbardziej ją interesowały. Starał się. Starał się wyjść ze swojej skóry, spojrzeć na nich z zewnątrz i powiedzieć prawdę w zakresie, w którym uznał za stosowne. Ale wychodziło... średnio. Kochał Anię, był jej wierny – podkreślał może za często. Miał pewność, że w drugą stronę jest tak samo – to powiedział tylko raz. Żadnych kochanków, zdrad, długich rozstań – nawet się nie zająknął. Owszem, zdarzało mu się wyprowadzać z domu na jedną – dwie noce. Takie to zwyczajne. Był cholerykiem. Wybuchał. Ale to były raczej kontrolowane wybuchy nastawione na wywołanie określonej reakcji. Chciał jej dać znać, że jest zły, to robił coś, co miało to potwierdzić. Nic poważnego. Nigdy nie uderzył też żony. Nigdy nie doszło do żadnych rękoczynów. Nie było zemsty, przemocy psychicznej czy fizycznej. Może pani zapytać, kogo chce, a gdyby ktoś twierdził inaczej, na pewno kłamie. Moja prawda jest najważniejsza i jedyna!

– Tworzyliśmy związek partnerski – zakończył. W gardle mu prawie zaschło.

– Tworzycie – poprawiła. Nie uznała tego przejęzyczenia za jakąkolwiek poszlakę. A może powinna?

– Tak, chodzi mi o to, że...

Uniosła dłoń, żeby powstrzymać tłumaczenia.

– Proszę powiedzieć coś więcej o tym pana nocowaniu poza domem.

Co miał powiedzieć? Po prostu jak go szlag trafiał, to wolał wyjść niż się dalej kłócić. Nocował w firmie, u ojca lub w hotelu.

– To było raptem kilka razy. Nic wielkiego, nic znaczącego. Nigdy nie trwało dłużej niż dwie, trzy noce.

– Wracał pan z kwiatami?

Uśmiechnął się.

– Nie. Po prostu wracałem.

– Przeprasziny trudno przechodzą panu przez gardło, prawda?

– Jak nie jestem winien, to trudno przeproszać.

– Ciężko dostrzec własną winę?!

– Nie jest tak, że jestem bezkrytyczny wobec siebie.

– Jasne. Kłopoty z dziećmi?

Kłopoty? Każdy chyba chciałby mieć takie. Może że są za ambitne. Nie szła mu najlepiej opowieść o Michale, o tym, jak bardzo chce być samodzielny, jak chciałby już być na swoim, pracować, zarabiać.

– A Eliza?

Eliza, Eliza, Eliza. Co mógł powiedzieć o własnej córce? Miała pełną wolność, była dorosła. Wkrótce na zawsze wyfrunie z domu. Chce zostać psychologiem. Co dalej? Na razie za wcześnie rozstrzygać. Chłopcy? Miała kilka związków. Jednego nie bardzo popierał, bo chłopak był synem właściciela kasyna i sieci salonów z automatami do gier. Ale to się skończyło. Kiedy? Jakiś rok temu, może wcześniej. Nie, nie sądzi, żeby ten dzieciak miał coś wspólnego z obecnymi zdarzeniami, ale zapyta Elizę. Tik. Zauważyła?

– Obecnie jest z Radkiem – dodał szybko. – Radek pracuje w mojej firmie, tu się poznali.

Mona rejestrowała każde słowo. Uważnie przyglądała się twarzy Daniela, próbując odczytać z niej jakąś fałszywą nutę. Gdy mówił o tym poprzednim chłopaku Elizy i o Radku coś takiego się pojawiło, ale tylko na sekundę. Nie była pewna. Może nie miała racji.

– Kierownik? Dyrektor? Jest kimś na stanowisku?

Rozbawiło go to zdanie. A może chciał tym wybuchem śmiechu coś przykryć. Coś, co chciał ukryć.

– Nie, to młody dzieciak, studiuje z Elizą i dorabia. Pracuje fizycznie.

Mona zawahała się, jednak zadała to pytanie:

– I panu to nie przeszkadza?

– Dlaczego miałoby przeszkadzać? Że niby mam chcieć księcia z bajki na białym koniu, z fakultetem Oxfordu, tatą dyplomatą i ferrari w posagu? Nie, Eliza sama decyduje, a Radek to dobry chłopak.

– A ten poprzedni?

Błysk w oku. Coś tu nie grało – zanotowała w myślach.

– Bez znaczenia. Już mówiłem. Eliza od dawna się z nim nie widuje.

– Nazwisko?

– Nie pamiętam. Zapytam ją, to pani podam.

Kłamstwo. Gdzieś tu tkwiło. Nie chodziło o to niepamiętanie nazwiska. To też mogło być kłamstwem, ale w relacji Wais – ten dzieciak musiało być coś jeszcze. Coś ukrytego. Tylko co?

– Artur – dodał Daniel, jakby rozumiał, że przyjął złą strategię. – Chłopak miał na imię Artur.

– Przejdźmy do firmy – Mona chwilę zbierała myśli. To mógł być istotny wątek. Szczególnie po przejrzeniu forów internetowych zakładanych przez ludzi oceniających pracodawców. – Pracownicy nie mają o panu zbyt dobrego zdania.

Twarz Daniela zmieniła się błyskawicznie. Nagle z tego przestraszonego, mocno trafionego, zniszczonego człowieka wyszła sprowokowana, rozjuszona bestia, sprężona do skoku, gotowa do walki na śmierć i życie. Błysk w oczach omal nie poraził jej prądem. Tak, był jak zraniony drapieźnik. Jeden krok za daleko i zaatakuje. Jednak nie odpowiedział. Może powinna bardziej go sprowokować?

– Narzekają, że jest pan wybuchowy, gwałtowny, zbyt wymagający, przesadnie skrupulatny...

– Płacę na czas.

– Tak, ale...

– Jestem uczciwy – przerwał. – Uczciwie oceniam.

– Nie wszyscy tak uważają.

– Wielu byłych pracowników szkaluje pracodawców.

– Byłych – powtórzyła jakby chciała zasugerować, że wie, że wcale nie są byli. Nie wiedziała. – Czy z kimś szczególnie się pan spiał? Ktoś może się mścić?

– Już mówiłem, że nie...

– Na rynku też podobno nie brakuje panu wrogów.

– Chodzi pani o Pałuckiego?

Przez kolejne parę minut opowiadał o sporach z konkurentem, o walce w branży i innych kwestiach związanych z prowadzoną działalnością.

– Pałucki rzeczywiście uważa, że ja jestem jego głównym problemem. Że podbieram mu ludzi, projekty, klientów. Z jego perspektywy tak to wygląda, dlatego próbuje na siłę się odgryzać i psuje rynek dając dumpingowe ceny.

– Prawda jest inna?

– Rynek wymusza zmiany i jeśli nie znajdziemy na to lekarstwa, to wszyscy

pójdziemy z torbami.

– Więc pan i Pałucki jedziecie na jednym wózku?

– Jechaliśmy.

– To znaczy?

Zawahał się. Wyraźnie.

– Podjąłem decyzję o zmianie profilu działalności. Wkrótce przestanę konkurować z Pałuckim.

– On o tym wie?

– Nie.

– A jak się dowie, to się ucieszy?

– Raczej nie. To taki człowiek, że będzie wszędzie widział spisek. Jak mi się powiedzie, to uzna, że to jego kosztem.

– Czyli nie będzie pan już produkował maskotek i gadżetów?

– Chcę wybudować nową fabrykę, zmodernizować całkowicie linię produkcyjną i produkować też duże instalacje. Na przykład place zabaw czy zjeżdżalnie. Znacząco poszerzam działalność.

– Dużo pan inwestuje?

– Wszystko, co mam – i znacznie więcej, dodał w myślach, ale nie chciał rozwodzić się na temat finansowania długiem.

– Poradzi pan sobie bez tego miliona euro?

– Nie – krótka, szybka odpowiedź. – Jeśli nie będę miał wkładu własnego, cała inwestycja pójdzie do piachu. Ten milion może pograżyć firmę, zniszczyć zakład, pozbawić pracy ludzi...

– Mimo to pan zapłaci?

– Ania jest dla mnie najważniejsza. Zrobię dla niej wszystko.

Dla niej wszystko zabrzmiało tak przekonująco, że Mona mu uwierzyła.

Nie kłamał. Mimo to złapała się na tym, że ani przez chwilę nie miała ochoty położyć mu pocieszająco dłoni na ramieniu i podnosić jakoś na duchu. Może przyczyną jej nastawienia był fakt, jak różne światy reprezentują? A może nie była zwyczajnie za dobra w pocieszaniu, współczuciu, zrozumieniu?

Skinęła tylko głową i zakończyła rozmowę informując, że za chwilę jeszcze zajmą się Danielem technicy. Wstała, podała mu dłoń i ruszyła do wyjścia.

– Pani... komisarz? – Zawołał za nią.

Mona nie poprawiła, że jest podinspektorem.

– Tak?

– To prawda, co napisali?

Mona pytająco uniosła do góry brwi.

– Kto?

– Porywacze. Napisali, że was to nie obchodzi? Że jeśli Ania zginie, powiecie po prostu: przykro nam i odfajkujecie sprawę, przechodząc do następnej?

To prawda?

Co miała odpowiedzieć? Tak, panie Wais, jest pan obiektem doświadczalnym, który mojemu zespołowi specjalnej troski spadł po prostu z nieba. To byłaby prawda?

Bąknęła coś mało zrozumiale.

Oczywiście, że nie. Znaczy się, niech pan sam sobie odpowie.

Wyszła.

Trzask drzwi długo jeszcze dźwięczał Danielowi w uszach.

*

Z technikami poszło znacznie szybciej. Wyjaśnili mu wszystkie zasady i przekazali instrukcje postępowania. Taksówką przewieźli do firmy, skąd wziął samochód. Sprawdzili, czy w aucie nie ma podsłuchów, następnie zainstalowali swoje. Zabrali wszystkie rzeczy do analizy. Daniel przyglądał się temu ze spokojem. Kiedy jednak technicy wyciągnęli ze schowka parę śmieci, a w nich starą gazetę, poczuł szybsze bicie serca. Cholera, Eliza schowała ją w schowku, zamiast wyrzucić. Udał, że nic o niej nie wie i spokojnie patrzył, jak łąduje w torebce na dowody. Chwilę później pozwolono mu odjechać z agentem w bagażniku. Latos, oficer od Geberta. Młody, grzeczny, sympatyczny. Nie wyglądał na policjanta, bardziej na studenta. Zero mięśni, łagodna twarz z rzadkim zarostem i sympatycznym wyrazem, okulary, inteligentne oczy. Żaden twardziel. Wysiadł dopiero w garażu. Wcześniej kazał zasłonić wszystkie okna. Zaciemnienie, jak podczas wojny.

Od dziś, aż do końca, do uwolnienia Ani, miał być z nimi. Tak jak napisali porywacze. Jak cień, duch. Niby łącznik i pomocnik, zapewniający wsparcie i radę. Tak należało go przyjąć, ale Daniel nie potrafił pozbyć się ziarna niepewności. A jeśli to będzie szpieg? Wróg? Jeśli mu zaufa, a on wykorzysta to zaufanie przeciwko niemu?

Obserwacja i podsłuch 24 na dobę... Nie będziesz wiedział kto przyjaciel, kto wróg...

Tak to brzmiało?

Powoli się uspokajał.

Miał wielką ochotę zadzwonić do Biernata i zaprosić go na drinka. Wiedział jednak, że nie może. Gliny zabroniły kontaktu z kimkolwiek. Biernat też by mu zabronił. Gdyby złamał zakaz, narobiłby kłopotów sobie i przyjacielowi.

Musi to wytrzymać, przeczekać.

Gdy przyjechał ojciec, siedział na basenie ze szklanką wypełnioną whisky. Ojciec nie skomentował. Stał i patrzył z wyrzutem. Daniel westchnął i zapytał:

– Napijesz się?

*

Niebieski zakończył obserwację. Odłożył lornetkę.
Poczuł szybsze bicie serca. Przez jedną krótką chwilę.
Serce dało sygnał, że je ma, potem znów skamieniało.
Są.
Psy są z nim.
To oni kazali Waisowi spuścić rolety.
Pewności nie ma.
Ale i nigdy nie będzie.
Aż do końca.
Zaczyna się prawdziwy pojedynek.
Gra rozpoczęta.

*

Nie należał do tych, którzy posyłali całusy przez telefon. Nie cmokał, nie tulił, nie szeptał sprośnie. Krótkie zdania, precyzyjne informacje. Minuta, góra dwie i po zabawie. Wysłów się, przekaz, co masz do powiedzenia, żegnaj. Mona w zasadzie to rozumiała. Co nie przeszkadzało jej pomarzyć, żeby czasem ON zamieniał się w aktora francuskiego filmu. We francuskich filmach pada średnio trzy razy więcej słów niż w każdej innej kinematografii. Potrzebowała jakiegoś francuskiego filmu.

– To jak, powiesz mi w końcu to swoje życzenie?! – westchnął ON.

– Obejrzyj dla mnie jakiś francuski film.

– Jaki?

– Obojętnie. Obejrzyj i... wsłuchaj się w dialogi.

– Wiesz, że lubię oglądać bez dźwięku.

– Jeśli trafisz na francuski, obejrzyj z dźwiękiem.

– Niech będzie – „obiecał”. Zamilkł. Mona pomyślała, że powinna go jeszcze jakoś przytrzymać, zachęcić, powinna zrobić COŚ, żeby nie uciekł.

Za późno.

– Muszę lecieć – zakończył.

– Wiem, nockę masz.

– No. Grzeczna bądź. Żeby mi się tam żaden z Gdańska nie plątał...

– Idę spać – skłamała.

– To pa.

– Pa.

Odłożyła telefon i spojrzała na zegarek. Dwudziesta pierwsza trzydzieści. Miała jeszcze pół godziny. Pokój hotelowy wydawał się taki zimny. Jedyńka. Skoro to jedynka, to po co jest podwójne, wielkie, małżeńskie łóżko? Włączyła telewizor. Na ekranie pojawiła się zachęta do wykupienia serwisu porno. Uśmiechnęła się złośliwie. Ciekawe jak by to wyglądało na fakturze. Podinspektor z wykupionym kanałem pornograficznym podczas specjalnej akcji. Mieliby na nią pierwszego haka. Mogliby sprzedać tabloidowi. Wyłączyła ekran startowy i przerzucała kanały normalnej telewizji. W kanale premium leciał jakiś dziwaczny, grecki film „Kieł”. Przypominał jej obrazy Greenawaya, na które kiedyś chodziła samotnie, usadawiając swoje sto kilo w ostatnim rzędzie kina studyjnego. Może dlatego szybko przełączyła. A może dlatego, że film o odizolowaniu rodziny od świata wydał jej się zbyt bliski porwaniom, którymi miała się teraz zajmować. Dwa kolejne kanały były niezaprogramowane i oferowały tylko szum. Taki dobry hotel, z możliwością wykupu kanału pay-per-view, a ma taki bałagan w telewizji. Przełączyła na program sportowy, potem znów na filmowy. Nic. Na informacyjnym leciał jakiś reportaż o eutanazji, bo niedawno zmarł lekarz, który uśmiercił na życzenie ponad sto osób. Drugi kanał z wiadomościami skupiał się na podsumowaniu wydarzeń krajowych. Coś o hazardzie, potem o Rosji, w końcu materiał omawiający ujęcie ukrywającego się od lat gangstera.

„Remigiusz M. żył sobie spokojnie pod przybranym nazwiskiem, gdy do jego drzwi zapukali policjanci z wydziału pościgowego. Gangster był całkowicie zaskoczony i nie stawiał oporu. Przy zatrzymaniu upierał się, że zaszła pomyłka. Po przedstawieniu zarzutów przyznał się i złożył wyjaśnienia. Sukces zawdzięczamy inspektorowi...”

Na ekranie pojawiła się twarz Dawidiuka. Laska z offu pieprzyła kolejne farmazony. W końcu – powołując się na reporterów z Gazety – zakończyła, że Dawidiuk jest jednym z najzdolniejszych polskich policjantów, typowanym do objęcia w przyszłości najwyższych stanowisk w polskiej policji.

– Akurat – mruknęła Mona i przełączyła na filmowy.

„Kieł” akurat się skończył, a na dole ekranu widniała zapowiedź:

Za chwilę: Francuski thriller „Dla niej wszystko”.

Aż miała ochotę przetrzeć oczy zdumiona.

Dla niej wszystko?

Pomyślała, żeby wysłać esemes do Diesla. Zrezygnowała.

Zadała sobie to pytanie. Czy Diesel by dla niej zrobił wszystko? Czy chociaż obejrzałby film? Jak ona dla niego? Zrobiłaby? Wszystko?

Jak ten Daniel dla swojej żony?

Wszystko? Co oznacza w jego przypadku wszystko?

A co by mogło oznaczać w jej przypadku czy Diesla?

Podeszła do laptopa, wyrwała system z uśpienia i zalogowała się na fikcyjnym koncie na portalu Gazety. Odnalazła jednego z autorów artykułu o Dawidiuku i wysłała do niego krótkiego maila. Początkowo chciała tylko podać w nim sygnaturę sprawy, ale uznała, że dziennikarz może być za słaby, by się zorientować, o co chodzi. A jeśli zada złe pytania, to rzecznik go spuści w spłucze.

„Zapytaj o sprawę o kryptonimie <<TERESA>>.”

Chwila wahania i załączyła jeszcze trzy kluczowe skany dokumentów wyciągnięte z maleńkiego pendrive, którego trzymała w czarnym futerale na odznakę i legitymację policyjną.

„Przeczytaj, zapytaj.”

Kliknęła WYŚLIJ.

Dziwnie się czuła. Serce jej waliło, jakby zrobiła coś bardzo naganego. A przecież to nie było nic złego. Chce tylko sprawiedliwości.

Na pewno?

Sumienie to niezły padalec. Czasem ma w dupie intencje. Interesują go tylko czyny.

A czyn Mony był podły.

Obyś się na tym nie przejechała.

Zapomnieć, teraz tylko zapomnieć.

Spojrzała na zegar. Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt. Mogła powoli się zbierać. Zapięła spodnie, wciągnęła brzuch i przyjrzała się sobie w lustrze. Potem wzięła tabletkę–cud (chudniesz kilogram dziennie bez efektu jojo, jeśli nie – zwracamy kasę), założyła żakiet i westchnęła.

– No Max, mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz. Może dzięki tobie zapomnę o tym, co zrobiłam.

Wyszła, ale zanim zamknęła drzwi, cofnęła się do pokoju, włączyła telewizor i kliknęła opcję odblokowującą kanał porno. Podała numer pokoju, dwukrotnie zaakceptowała informację o płatności. Wyłączyła głos i wyszła dziwnie z siebie zadowolona. Droga komisjo etyki, to niemożliwe, żebym oglądała tej nocy porno, a to dlatego, że całą spędziłam u Maxa. Drogi Dieslu, cóż za potworne oskarżenia, że przebywałam w nocy z Maxem. Oglądałam porno i mam na to dowód.

Niestety, żadne alibi się nie przyda. Komisja etyki nie dostanie faktury za oglądanie porno, bo hotel zadba jak zwykle o dyskrecję sumując opłaty bez wyszczególnienia wykorzystanych „opcji”, a ON nie zapyta jej o to, z kim i jak spędziła noc.

Słodkie tajemnice.

*

Jednak to on jest moim najlepszym przyjacielem – pomyślał Daniel, ściskając ojca. Podziwiał i kochał go ponad wszystko. Po stracie mamy, był najważniejszą osobą w jego życiu. W takich chwilach rozumiał to bardziej, niż kiedy pytał o radę, a potem tylko czasem z niej korzystał.

Stary, uparty niemal jak syn, gdy trzeba stanowczy, nieustępliwy, wredny, twardy jak skała, mściwy i apodyktyczny despota stwarzający na co dzień pozory ciepłego i miłego starszego pana. A może tylko Daniel chciał go takim widzieć?

Może w ten sposób sam siebie usprawiedliwiał?

Wolno podszedł do leżaka, usiadł niepewnie, wziął od syna szklankę z whisky, mruknął coś, że nie powinien i wypił jednym haustem palącą ciecz. Skrzywił się.

– I za to płacisz taki majątek?

– Najlepsza, czterdziestoletnia whisky, tato. Ją się smakuje, a nie wali na raz.

– Zwykły bimber.

– Bimber – ciekawe, co o takiej ocenie powiedzieliby ci wszyscy smakosze z klubów biznesu i kółek lobbingowych, dla których go kupował.

Dolał ojcu i sobie alkoholu. Pomyślał, że gdyby przyszedł jeszcze Biernat, zrobiłoby się przyjemnie, jak dawniej. Jeszcze kilka miesięcy temu tak przesiadywali, ale potem ojciec wkurzył się na Biernata i więcej nie przychodził. Nie ufał mu. Twierdził, że źle mu z oczu patrzy. Że Biernat jest pokrętnym, szczwanym lisem, który szuka dla siebie szansy, chce go wykorzystać, zrobić w coś, przekreślić. Nie ufaj mu – taką radę dał Danielowi. Tym razem nie skorzystał.

– Po co ta policja?

Cały ojciec.

– A co miałem robić?

– Zadzwoń do mnie.

– Zadzwoń.

– Za późno.

– Nie było czasu.

Skinął głową, ale w tym geście było coś karcącego. No tak, nie wierzysz już w ojca, nie wierzysz, że jak jest mało czasu, to jego rada może być najlepsza.

– Mleko się rozlało. Trudno.

– Pomogą nam – Daniel nie był wcale tego taki pewien. Spojrzał w bok, w kierunku wejścia jakby poszukiwał tam szpiegującego Latosa, który zaszył się w pokoju na górze i pewnie już spał.

– Może – westchnął ojciec. – Dzwoniłem do Ruskich. Zapewniają, że to nie

oni. Poprosiłem chłopaków z lakierni, żeby popytali... wiesz, oni mają różne takie... kontakty. Kasjer obiecał, że zadzwoni rano. Ale twierdził, że to wygląda na jakichś nowych. Na mieście nic nie wiedzą. Cisza.

Oj, tato, gdybym tylko mógł ci powiedzieć prawdę.

– Pałucki? – zapytał ciągnąc grę ojca.

– No co ty. Nie ta liga.

– To może ten wał z Warszawy.

– Ten... Hausberger?

– No.

– Nie, raczej nie. Zrobił przecież dopiero pierwsze podejście. Po co miałyby reagować tak nerwowo? Co by mu to dało?

– Prawda. Ten winny...

– ...co odniósł korzyść.

– Może więc to przypadek? Chcą tylko pieniędzy.

– Może.

– Wiesz, że dokładnie tyle chciał prowizji? – Daniel wrócił do wątku Hausbergera. – Milion euro, te pięć procent od pierwszej umowy to było właśnie milion euro.

Ojciec przytaknął.

– I co? Myślisz, że w ten sposób by sobie ją wziął? Tak ryzykując?

– Skoro nie dałem po dobroci...

Stary Wais pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Załatwię go, tato – syknął Daniel.

Cii. Stary przytknął palec do ust. Pokazał na drzwi, potem na sufit. Podśluchy. Już tu mogą być. Nie powinien mówić zbyt wiele.

– Nie daruję. Dorwę i...

– Wiem, synu.

Znów cisza. Tym razem jednak ojciec ją przerwał. Szeptem. Najcichszym, jaki umiał wydobyć z krtani.

– Ale po gliny niepotrzebnie dzwoniłeś...

*

Iwona i agenci szybko uporali się ze zleconymi zadaniami. Oni poszli na miasto, chcieli pozwiedzać parę nocnych klubów i skończyć gdzieś na plaży w Sopocie. Iwona została, nie miała ochoty na żadnego z nich. W sumie nie bardzo się dogadywali.

Poza tym musiała pomyśleć.

Wahała się, komu w zespole mogła ufać, kogo traktować z rezerwą, a kogo

wpisać na listę alertów. Zawsze tak postępowała, przy każdym zadaniu. I zawsze okazywało się to słuszne. W każdej grupie osób zdarzały się świnię i prawdziwi przyjaciele.

Pomyślała o Monie.

W zasadzie robiła dobre wrażenie. Była kompetentna i stanowcza. Nie wahała się, jak większość wyrachowanych, dwuznacznych sukinsynów, którzy osiągnęli jej pozycję drogą intryg i podstępów, szli po trupach, poświęcali znajomych i robili wszystko dla własnej kariery. Tego nie robi. Była też odważna. Gotowa poświęcić wszystko, jeśli była przekonana do danego działania.

Iwona zastanawiała się, czy to dobrze.

Idealiści bywają groźniejsi od kretynów i tchórzy. Odważni zrobili w dziejach świata tyle dobrego, co złego. Potrafili doprowadzić do zguby całe narody.

Westchnęła. Uruchomiła komputer, zalogowała się do systemu ABW i sprawdziła, czy są już jakieś wstępne dane z badania śladów. Nie było. Dla pewności kliknęła listę dowodów. Były wszystkie. Żaden nie zniknął. Na razie nikt chyba nie działał przeciwko drużynie. Kret, jeśli jest, się nie ujawnił. Miała już wyłączyć komputer, gdy coś zwróciło jej uwagę.

Szósty zmysł. To on podpowiedział jej to kliknięcie. Otworzyła kartę dowodu numer trzydzieści sześć. Była to gazeta znaleziona w samochodzie Waisa. Stara gazeta. Dziwne, że woził ją tyle czasu w schowku.

Postanowiła, że przeczyta gazetę i przeanalizuje treść artykułów. Miała zacząć od głównego tekstu o zamordowanym przez mafię biznesmenie, ale dość szybko szósty kazał jej się skupić na jednym z pobocznych artykułów.

I już po chwili była pewna, że to nie przypadek.

*

Woda kolońska w stężeniu razy dwa. Drzwi do pokoju Maxa zastała uchylone, jakby lokator był pewien, że tylko jedna osoba może z nich skorzystać. W środku jeszcze gorzej. Woda kolońska – nasycenie cztery razy ponad normę albo i lepiej. Kleista zawiesina w powietrzu. Na stoliku napoczęta butelka wódki. Jakaś dziwna, musiał ją przywieźć ze sobą.

– Nie martw się, moja. Nie z hotelowej lodówki. Nie będziesz musiała płacić z budżetowych...

– Na wódkę nas stać – mruknęła.

– Nie znasz moich możliwości – uśmiechnął się Max. – Kiedyś, na szkoleniu w Skopie, zostawili mnie z taką lodówką i...

Mona przerwała mu gestem dłoni, podeszła do lodówki, otworzyła ją

i wyjęła sok pomidorowy.

– Postawisz mi?

Spodziewała się odpowiedzi w stylu: to marnotrawstwo wydawać za sok pięć razy więcej niż kosztuje. Jednak skinął głową i dodał zaczepnie:

– Może każde z nas coś postawi.

Spojrzenie zboka mówiło: lubię takie pulchne pączuszki. Uwielbiam jak kobieta ma to i owo na swoim miejscu. Co to za przyjemność z deską?

Mona usiadła.

– Zacznijmy od listu. Postawisz... jakąś teorię?

Max rozłożył kserokopię na stole. Trzy kartki.

– Nie ma co, rozpisali się. Długość listu świadczy, że rzeczywiście liczyli na przekonanie figuranta. Chcieli go psychologicznie załatwić i gdyby dostał ten list przed telefonem do nas, może nawet by się udało.

– Myślisz?

– Bardzo inteligentnie to napisano. Krótkie zdania, pomieszane stylistycznie, ale rzeczowe, konkretne, przemawiające do wyobraźni. Groźby wymieszane z konkretami. To jednocześnie pobudza emocje i skłania do racjonalnego myślenia. Moim zdaniem pisała to osoba ponadprzeciętnie inteligentna, zapewne dobrze wykształcona, nie zdziwiłbym się, gdyby z dyplomem wyższej uczelni. Kierunek raczej nie ścisły, może jakiś sportowiec, może humanista. Sporo błędów. Jednak według mnie celowych. Moim zdaniem facet nie robi byków, ale tu świadomie je wstawił, żeby nas zmylić albo potem podważyć dowód. Wiele razy celowo próbuje mylić tropy.

– Więc może bardziej do nas adresuje ten list niż do niego?

– Może. Ten facet to prawdopodobnie niezły manipulator.

– Facet? Jesteś pewien?

– Styl męczyzny. Słownictwo też. Nie chodzi o przekleństwa, bo to kobiety też potrafią, tylko o rytm pisania. Typowo męski. No i kobieta nie użyłaby pewnych słów w danym kontekście.

– Wyruchamy?

Spojrzenie. Przełknięcie. Głodne oczy. Głodne. Ech, pączuszku, w twoich ustach nie brzmi to za ładnie, ale jaki daje przekaz.

– Na przykład. Ciekawe są też pewne frazy. Tak jak powiedziałaś, jakby skierowane nie do figuranta, tylko do nas. O tu zobacz – pokazał jej fragment o wyjazdach do Warszawy. – To ma sugerować, że oni przez dłuższy czas obserwowali tego biznesmena, szczególnie w Warszawie. W podtekście są z Warszawy.

– Są z Sopotu – powiedziała z przekonaniem Mona. – To znaczy z Trójmiasta.

– Też tak sędzę. Dają dość niezgrabne, fałszywe wskazówki.

– Czyli mamy do czynienia z dobrze wykształconym, inteligentnym porywaczem?

– Tak sądzę. Ale szczęśliwie geniuszem zbrodni raczej nie jest. Możesz oczekiwać, że wcześniej czy później popełni błędy.

– Karany?

– Nie wiem. Stawiam, że nie. Wydaje się dość pewny siebie i pisze o więzieniu i procedurach jak z książek. Dla mnie nie siedział.

– Może jakiś student?

– Kto wie. Jeśli tak, to raczej wieczorową porą.

– Wiek?

– No właśnie mało studencki. Stawiam, że koło czterdziestki. Dobór słownictwa raczej naturalny i mało młodzieżowy. Charakterystyczny dla osób urodzonych przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym i po siedemdziesiątym.

– Typ przywódczy?

– Na pewno. Ma dwóch, trzech pomagierów, choć może tylko jednego, żeby nie narazić się na zarzuty z paragrafu o grupach przestępczych. Psychopata. Uważaj na niego.

– Będę. Coś jeszcze?

– Pytaj.

Pomyślała, że mogli tak w kółko, tylko do czego to zmierzało. Niby analiza Maxa była dość konkretna, jednak jakby ją rozbić na części pierwsze, pasowałyby do połowy przestępców w kraju. Tych odrobinę myślących.

– Morderca? Sądzisz, że jest zdolny do zabójstwa?

– Jak każdy psychopata.

– To znaczy?

– Już powiedziałem. Każdy psychopata jest zdolny do zabójstwa.

Rozdział 11

[brak wpisu od użytkownika Anna]

Cierpiała. Jak bardzo cierpiała. Gorąco i zimno. Pot i smród. Ciągłe i na przemian. Głośno, cicho. Wiatrak, radio. Cierpienie. Nieustające cierpienie. Jedna jedyna stała w świecie zmiennych strachów, mar i wijących się paskud.

Umrę, za chwilę umrę!

Zróbcie coś, bo umrę.

Lek. Nie działał. Przywieźli jej. Dali. Ale nie działał.

Albo coś innego działało.

Zimno, jak zimno.

Koc. Potrzebuje koca. Kołdry. Ciepła. Trzydzieści pięć stopni w cieniu, a jej jest zimno. Duszno i zimno.

Jest gorąco jak w piekle – odpowiada Brązowy.

Brązowy. Brązowy się stara. Rozmawia z nią. Nie rozumie, ale się stara. Tłumaczy. Wydaje rozkazy Różowemu. Razem próbują ulżyć. Ratować ją, by – jak to oni mówią – nie zdechła. Nie może zdechnąć. Przynajmniej nie za wcześnie. Dowodu życia potrzebują przecież. Chyba są w tym staraniu niezdychania szczerzy. Chyba nawet im zależy. Ale też cały czas nie rozumieją. Dlaczego jest jej zimno, skoro jest gorąco?

Choroba, przecież wiedzą.

Lek nie pomaga.

Cały czas nie pomaga.

Bo to się dzieje w głowie. Głowa nie dopuszcza leku. Głowa nie pozwala pomóc.

Zimno. Dreszcze. Śmierć.

Ona ją uwolni.

Od łańcucha, od kotw, od kajdan, od wiatraka, od radia, od smrodu, od myśli, od miłości. Od Brązowego, Różowego i Niebieskiego.

Szefa.

Niebieski to Boss.

Niebieski to zło.

Czyste, przerażające, zimne, okrutne, bezwzględne.

Zło.

Błękit oznacza chłód.

Pełźnie pod drzwi ten błękit. Siedzi za nimi. Nasłuchuje. Wącha. Oblizuje.

Wszystkimi zmysłami chłonie jej strach.
Jej pragnienia, potrzeby. Jej nadchodzącą śmierć.
Radio ścisza. Puka. Nakazuje. Zakładać worek nakazuje. Worek? Jaki worek? Poszewkę, kurwa, poszewkę. Czerwoną poszewkę na łeb. Już. Natychmiast.

Zakłada.

Skrzypią drzwi.

Wchodzi.

Pachnie nie śmierdzi.

Ale pachnie brzydko.

Pachnie złem.

Siada.

Megafon włącza. Szumi.

Patrzy na nią. Ona czuje, że on patrzy. Głęboko nabiera powietrza. Wącha. Chłonie. A potem szepcze. Szepcze, by mu uległa. Przez ten megafon szepcze, przez co on skrzeczy jakby robot mówił, nie człowiek. Robot nie ma duszy. Robot nie ma serca. Robot nie ma sumienia.

Radzi, by się całkowicie poddała. Przyłączyła się do nich. Oddała złu. Związała się z nim, skumała.

Potem milczy, długo milczy, aż w końcu znów skrzeczy:

Powiedz mi!

Co ma powiedzieć?

Ale przecież wie, o co mu chodzi. Wie, czego chce.

Powiedz!

O nim ma opowiedzieć. O Danielu. O złu. Zło szuka zła. Zło prowokuje zło. Zło przyciąga zło.

Będzie łatwiej, jak opowie.

Opowiedz o tym.

Zrobi ci się łatwiej na sercu, jak wyznasz wszystko.

Co wiesz. I czego się domyślasz.

Nic nie wie, odpowiada.

Czuje go coraz bliżej. Przy uchu. Jego usta przy jej uchu. Wącha ją. Próbuje wywąchać kłamstwo.

Usta.

Szepczą, syczą wężowo, kuszą diabelsko.

Obiecują.

W zamian za jej zwierzenia obiecują inne.

Takie, których nigdy nie chciałyby słyszeć i które musi usłyszeć.

Opowiedz!

Zrób to.

A ja...
Opowiem ci...
O jego zdradach...
Opowiem.

*

Skończyła z mężczyzną. Długo to trwało, bo był wymagający, ale w końcu się udało i jego zadowolić.

Pomyślała, że winą jest brak zaangażowania.

Gdyby bardziej się angażowała, szło by znacznie szybciej. Więcej klientów mogłaby umawiać, więcej obsługiwać. Zarabiać dla drania więcej pieniędzy.

Ale przez to nie mogła się skupić, nie mogła oddać całkowicie pracy.

Musiała ciągle myśleć. O nim i o Adamie.

Czy Adam się domyśla jej relacji z ojcem? A jeśli tak, czy podejrzewa, w jak chorym i patologicznym układzie tkwią? Nie, na pewno nic nie wie. W końcu ona bardzo dbała o pozory, tak jak dbała, by nikt nie podejrzewał jej o coś w pracy. Dlatego zawsze umawiała się z klientami w gabinecie, nigdy w godzinach nocnych, a nawet nie wieczornych. A że obsługiwała głównie mężczyzn?

Cóż, dziś nikogo nie dziwili mężczyźni z zadbanymi paznokciami i gładkimi dłońmi.

Tak, dbała, by nikt z jej otoczenia nie miał żadnego powodu się zastanawiać, kim tak naprawdę jest.

Klient poprawił ubranie, zostawił napiwek i zadowolony spojrzął w lustro.

Wyszedł.

Miał ślad po obrączce na palcu. Pewnie zaraz za progiem włoży ją z powrotem i wróci do swojego życia, w którym czegoś mu brakowało, co wyczuwała przez cały czas, gdy wykonywała dla niego usługę.

Miły. Był miły, może nawet za miły.

Zadrżała na myśl, co by z nim zrobił jej mąż.

Klient był już za bramą. Zerknął w stronę okien, pomachał ręką.

Poczekala, aż zniknie, przebrała się i ruszyła do samochodu. Dziś nie miała już więcej klientów, przynajmniej na razie. W drodze do domu cały czas myślała o synu i – jak tylko dojechała – ostrożnie przeszła do jego pokoju.

Delikatnie zapukała i nie czekając na pozwolenie uchyliła drzwi.

Adam siedział przy komputerze. Grał w Counter-Strike'a. Karabiny i wybuchy dudniły głucho potęgowane przez kupiony mu ostatnio w prezencie wzmacniacz basu. Nie, niczego się nie domyślał.

Tak wyglądało.

A jeśli było inaczej? Jeśli tylko udawał?

Westchnęła, przymknęła oczy, by powstrzymać napływające łzy.

Co się stanie, jeśli ktoś ją zdradzi?

Jeśli powie jej o niej i o ojcu albo jeszcze gorzej rzuci cień podejrzenia na pracę.

Jeśli będzie to ciągnąć, wcześniej czy później ktoś zauważy, ktoś ją oskarży. Zaatakuje oszczerstwami, a może faktami.

Co wtedy ma zrobić?

Gdy zaczną go wytykać palcami? Kiedy pojawi się pierwszy liścik przyczepiony do szafki w przebieralni po wuefie?

Dzieciaki są okrutne. Wystarczy, że poczują krew, a nie będą miały skrupułów. Nie zostawią tematu. Będą drażnić, wysysać do ostatniej kropli. Zrobią wszystko, by go upokorzyć do końca.

Czy wytrzyma?

Był taki piękny i niewinny. Oczko w jej głowie.

Jej...

...i taty.

Wzdrygnęła się na tę myśl.

Ojciec udawał, że wychowanie syna należy do niej. Usiłował sprawić wrażenie, że go to nie interesuje, nie wtrąca się, pozwala na wszystko. Reagował tylko w wypadku, gdy syn potrzebował jego twardej ręki, stanowczej reakcji, kary. Potem znów zostawiał go jej. Ale to były tylko pozory. Wiedziała o tym. Wiedziała, że czeka na odpowiedni moment, jak w średniowieczu, by przejąć jego wychowanie. By zacząć wkładać mu do głowy różne własne choroby. Ten moment właśnie nadchodził. Zbliżał się wielkimi krokami. Nie, już się rozpoczął. Kilkakrotnie była już świadkiem takich lekcji i przeraziła się nie na żarty. Próbką wystarczyła, by się przeraziła. Nie chodziło nawet o to, czego go uczył, jak pchał go w ramiona różnych trenerów szkół walki i psychologicznych gier. Bardziej niepokojące było to coś w ich relacji. Coś nienazwane, trudne do pojęcia przez zwykłych ludzi. Przez ludzi takich jak ona.

Była jedna taka chwila, gdy to zrozumiała. Gdy patrzyła na nich i widziała dwie obce osoby. Należeli do innych światów. Ona to wiedziała i on to wiedział. A Adam zaczynał pojmować.

Wtedy pomyślała, że ma ostatnią szansę, by to przerwać.

Powinna jak najszybciej spakować siebie i Adama.

Uciec.

Jak najdalej.

Nie zrobiła tego.

Straciła szansę.

Była za słaba.

Tłumaczyła sobie, że to i tak by nic nie dało, bo on by ich znalazł. Wcześniej czy później. A wtedy...

Jednak to było kłamstwo.

Po prostu brakowało jej odwagi. Była słabą, tchórzliwą kobietą niezdolną do walki o własne życie i życie swojego dziecka.

Poczuła jak łza spływa jej po policzkach.

– Co tam, mamó? Co się stało?

Podeszła do syna i przytuliła go. Mocno, najmocniej jak potrafiła.

Adam pozwolił jej na to, jednak więcej nie dopytywał. On też nie chciał dopuścić pewnych myśli do głosu. Udawał, że nie rozumie.

Łza wyschła. Pięść na gardle zwolniła ucisk.

Puściła syna. Odwrócił się bez słowa i nacisnął przycisk nowej gry.

Żołnierze nawoływali się po rosyjsku. Huk wystrzału wstrząsnął nią. Jeden, drugi. Zmienił się w prawdziwą kanonadę przerywaną przekleństwami.

Blać. Blać. Blać.

Nie zareagowała. Udawanie weszło jej w krew.

Wyszła.

Zamknęła drzwi i znów poczuła jak łzy wypływają jej z oczu, a pięść ponownie zaciska się na krtani.

Jak mogła dopuścić do tego wszystkiego.

Do tego, w jaki sposób drań ułożył ich życie.

*

Kasa. Udawał, że ją zbiera, że walczy w bankach o zamknięcie inwestycji i lokat. A tak naprawdę dawno już czekała.

Ale tego nie mógł nikomu powiedzieć.

To mogłoby być zbyt podejrzane.

Zaczęłyby się pytania, dlaczego miał przygotowaną dokładnie taką kwotę.

Próbował skupić całą złość na bankach, żeby nie myśleć o tych ciągle trapiących go pytaniach. Chciał wyrzucić z głowy Hausbergera, gazetę, inne rzeczy i podejrzenia.

Nie mógł.

Wiedział przecież, że sprawa ma drugie dno.

Ono wyjdzie, ukaże się, jak już zapłaci.

Oby nie wcześniej.

Nie za wcześnie.

*

Max unikał jej wzroku. Mona prowokowała go ironicznym uśmiechem, odważnie wyzywała wzrokiem. No dalej, wyrzuc z siebie całą złość, pokaż jaki jesteś... wielki. Możesz mnie przecież wyzwać od tłustych suk, wrednych małąp, brudnych hipopotamów czy wyliniałych krów. Możesz się wykazać.

Iwona też chyba dostrzegała, że coś nie gra, bo w pewnym momencie złapała ją w socjalnym i zapytała:

– Obwieś cię molestował czy co?

Mona miała wielką ochotę opowiedzieć jej, jak wczorajszej nocy zachęciła Maxa do uwodzicielskich gier, jak grą w dwuznaczności doprowadziła go do gotowości bojowej, jak wysłała pod pospieszny prysznic, po czym zrobiła najwredniejszego psikusa, na jaki było ją stać. No i w końcu opowiedziała.

– Naprawdę to zrobiłaś?

Skinęła głową.

– No to po Maxie. Już na nic się nie nada. Zniszczyłaś gościa. Jak to dziś mówią internetowe dzieciaki: zmiądzzyłaś po całości. Zaorałaś na amen.

– Spokojnie. Mam na niego jeszcze lepszego haka.

Mona wyjęła komórkę i pokazała Iwonie zdjęcie.

– Nie wierzę – niemal zakrzyknęła agentka.

– On i jego ego – zakończyła Mona.

Wróciły do pokoju operacyjnego, w którym Mona kazała umieścić dwie szerokie tablice: jedną do rysunków i schematów, drugą do wklejania wycinków z raportów, gazet, listów, zdjęć. Obie zajmowały niemal całą dłuższą ścianę pomieszczenia. Powoli zapełniały się danymi. Mogli nawet mówić o pierwszych sukcesach. Śladów na miejscu uprowadzenia było całkiem sporo i mieli dużo materiału porównawczego. Zebrali odlewy z odcisków opon, obuwia, włosy i włókna pozostawione na krzakach, sporo mikrośladów. Gebert i jego ludzie z samego rana przynieśli płyty dvd z zapisem monitoringu kilku posesji, które mogły zarejestrować samochód porywaczy. Pół godziny później mieli pierwsze zdjęcia przejeżdżającego szybko jeepa. Niestety za szybko, by odczytać tablice rejestracyjne czy jakieś szczegóły. Ale wystarczające do określenia marki pojazdu. Dobre i to. Tym bardziej, że zakładali, że auto było kradzione, tablice również.

Prygiel udawał, że się starał, skontaktował się z Artystą, jak prosiła Mona, ale niewiele ustalił.

– Artysta twierdzi, że potrzebuje więcej czasu na analizy – uciał.

Wyglądał na obrażonego, na dodatkowe pytania odpowiedział wymijająco, po czym stwierdził, że musi przypilnować jakieś śledztwo w Warszawie, więc wyjeżdża na parę dni.

– Obędziecie się beze mnie. W końcu mieliśmy być jedynie grupą

analityczną a nie operacyjną.

Mona nie skomentowała. Jakoś wcześniej twierdziłeś inaczej. Co się zmieniło?

Chwilę później Iwona przekazała im analizę z monitoringu miejskiego i wtedy Mona wpadła na głupią myśl: a może Prygiel jest zwyczajnie zazdrosny, że ona zbliżyła się tak do agentki ABW zamiast do niego?

– Coś znalazłaś?

– Sama zobacz.

Mona była pod wrażeniem, jak skrupulatnie Iwona podchodziła do zleconych zadań. Z wielką precyzją odpowiadała na postawione pytania. W punktach opisała wnioski, ilustrując je zdjęciami i odnośnikami do fragmentów z poszczególnych ujęć. Nikt w policji nie pracował tak dobrze. Musiała oddać, że czegoś ich tam jednak uczą w tym ABW.

– Świetna robota – pochwaliła.

– Mamy jedno auto pokrywane się z wzorcem ze zbioru A – Iwona rozejrzała się, czy inni jej słuchają. W zasadzie mówiła do Mony, ale to powinno zainteresować pozostałych.

– Zbiór A? – rzucił ktoś z boku, jakiś gliniarz od Geberta.

– Osoby bezpośrednio związane z ofiarami: najbliższa rodzina, przyjaciele, bliscy znajomi. W zbiorze B mamy sąsiadów, pracowników, kontrahentów. Zbiór C to osoby obce, które jednak mogły mieć styczność z ofiarami.

– I mamy kogoś z A?

– Tak, bliskiego znajomego rodziny. Dokładnie córki. Zarejestrowała go kamera numer trzynastcie. Niestety wcześniejszego ujęcia nie ma. Może pojawiło się nagle z którejś z niemonitorowanych ulic. Może ruszyło gdzieś spod lotniska, tam tylko główny parking ma kamery.

– Ale jechało za Waisem? – upewnił się Gebert.

– Tak. Aż do centrum. Dwa samochody za taksówką z Waisem. Potem uciekło w prawo. Nie szukałam dalej.

– Właściciel auta? – Mona próbowała cofnąć się do wniosków, ale komputer się zawiesił. Iwona uśmiechnęła się i pokazała na głowę, jakby chciała skomentować: szczęśliwie mózg się nie zawiesza.

– Patryk Milecki, pseudonim Perez – Iwona wskazała na zawieszony komputer. – Student, dwadzieścia pięć lat. Nie karany, drobne problemy z prawem. Parę mandatów, bójka na ulicy przed klubem nocnym, nic wielkiego.

– Zaczyna się od nic wielkiego, kończy na porwaniu – podsumował ten od Geberta.

Komputer się odblokował i Mona mogła przejść do podsumowania. Na ostatniej stronie Iwona umieściła listę z trzydziestoma sześcioma nazwiskami.

– To lista osób z roku Elizy Wais i innych bliższych znajomych. Objęcie

wszystkich inwigilacją jest bez sensu, ale listę zamieściłam, bo może komuś coś się rzuci w oczy. Proponuję jak najszybciej przesłuchać Elizę pod kątem wytypowania osób do objęcia nadzorem. Obserwację Pereza już oczywiście zleciłam. Mamy na podsłuchu jego telefonu, dwóch agentów nie odstępuje go na krok. Papierkowa robota też zrobiona, dokumentacja poszła do sądu. Jesteśmy przygotowani do szerszych działań po przesłuchaniu córki Waisa.

– A jeśli jest zamieszana? – zapytał Max. Wąż wychynął z dziury i zasyczał. Słabiutko.

– Na razie i tak musimy poczekać, bo ojciec kazał ją i syna wywieźć do Ełku. Jest pod opieką ciotki i ochrony. Odczekamy dzień, dwa, a potem delikatnie ją wybadamy.

– Mamy się z nią niańczyć? – Iwona spojrzała na Monę nieustępliwie.

Policjantka odniosła wrażenie, że agentka chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnowała. Zanotowała sobie, żeby do tego wrócić później, gdy będą same.

– Jak już ją dorwiemy, to nie. Ale teraz... trzeba postępować ostrożnie.

Na ekranie komputera pojawiła się twarz Elizy Wais.

– Ładna – zauważył jeden z agentów. – I medialna. Jeśli to ona, będziemy mieli na głowie wszystkie media w kraju.

Mona przytaknęła.

– Pasuje na *femme fatale*.

*

Nie lubiła takich sytuacji. Czowała się osaczona. Nie dość, że wywieziono ich do ciotki do Ełku, musieli się ciągle tłumaczyć i wysłuchiwać tych wszystkich „jak mi przykro”, to jeszcze miała na głowie Radka i jakiegoś ochroniarza wynajętego przez ojca. Majkel – taką miał ksywkę. Wielki na dwa metry, potężny, ciosany grubą kreską. Gęba bandziora. Przypominał jej gościa z komiksu. Sin City. Wredny typ wcale nie udający, że jest inaczej. Ma dbać tylko o ich bezpieczeństwo, a nie rozbawiać czy pocieszać.

Musiła się niezle postarać, żeby choć na chwilę zostać sama. W łazience zrobiła sobie kąpiel, weszła do wanny, założyła słuchawki, podpięła je do telefonu i odszukała z folderu wideo filmik o nazwie MARTA1. Skopiowała go dawno temu z telefonu Artura i nigdy nikomu nie pokazała. Jeszcze dwa dni temu chciała przekazać policji, a dziś wiedziała, że tego nie zrobi. Bo jeśli to dlatego porwali mamę?

Nacisnęła ODTWÓRZ.

Postać Marty ożyła na ekranie. Dziewczyna uśmiechała się do kamery. Próbowwała się zasłonić, machała rękami, jakby opędzała się od komarów. Potem

się roześmiała. Pięknie. Była piękna. Niewinna. Głupia.

„Przestań” – zawołała. – „Nie kameruj.”

Ale on nie przestał. Odsunął dziewczynę i dalej ją filmował. Nagą. Całkowicie nagą.

Potem skierował kamerę na siebie, ale rozmazana twarz była nie do rozpoznania.

Filmik się urwał.

Dziewczyna zniknęła. Z filmu. Z życia Artura. W ogóle z życia.

Nikt nie znał jego roli. Nikt się jej nie domyślał. Tylko ona.

Więc może to dlatego?

Tylko skoro wiedziała o tym jedynie ona, Artur, może jego tatuś, to skąd się wzięła na biurku ojca gazeta z artykułem o tej sprawie? Przypadek? Takie się nie zdarzają. Czyżby ojciec też coś ukrywał albo prowadził z nią jakąś grę? Nie, chyba nie. Nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi. Prawdopodobnie był całkowicie nieświadomy powagi sytuacji i tego, w co się wplątali. Inaczej przeprowadziłby z nią poważną rozmowę. Zawsze w takich sytuacjach tak postępował. Doprowadzał do konfrontacji, nie wyciszał, nie łagodził. Wszystko na jedną kartę. W życiu, biznesie, miłości. Taki był.

Eliza poczuła, że powinna szczerze porozmawiać z ojcem. Musi mu powiedzieć. Wszystko. Całą prawdę.

I zrobi to.

Zrobi.

Jak tylko wróci do domu.

*

Iwona zaczepiła ją przy wyjściu z budynku. Mona zerknęła na zegarek. Umówiła się z Pałuckim na czwartą, była piętnasta dwadzieścia. Wujek Google jej wyliczył z automatu, że do firmy drukarza dotrze w ciągu kwadransa. Miała więc teoretycznie trochę czasu, jednak nie chciała się spóźnić.

– Coś ważnego?

Po minie poznała, że jednak tak. Dlatego wzięła agentkę pod ramię i zaciągnęła do samochodu.

– Porozmawiamy w drodze. Pomożesz mi w przesłuchaniu Pałuckiego.

– Mam być dobrym czy złym gliną?

Mona odpowiedziała dwuznacznym spojrzeniem: pokaż cycki, a na każdego podziałasz. Iwona speszyła się, oblała delikatnym rumieńcem. A może był to wynik złapanej w ciągu ostatniego dnia opalenizny. Jej skóra była blada i szybko przybierała różowy odcień. Egzotyczny brąz musiał poczekać w kolejce. Mimo to

wyglądała z tym uroczo, dużo bardziej seksownie. Poprawiła bluzkę. Naprawdę, dziewczyno, mogłabyś być Juliette.

Jakaż ona piękna – pomyślała z zawiścią.

Wyjechały z parkingu w milczeniu. Mona włączyła się do ruchu i wbiła w pierwszy korek.

– Więc?

– Coś mnie zastanowiło – szepnęła tym swoim syntezatorowatym głosem.

– Tak?

– Podczas instalowania sprzętu w samochodzie Waisa znaleźliśmy starą gazetę. Wyglądała na taką, która leżała tam już od dłuższego czasu. Wais zresztą wydawał się zmieszany, gdy ją dołączyliśmy do dowodów.

– Co w niej takiego niezwykłego?

– Jeden z artykułów.

– O porwaniach?

– Nie do końca. Kojarzysz sprawę Marty Furman?

Mona próbowała odszukać ją gdzieś w zakamarkach umysłu.

– Była dość głośna na Pomorzu – pomogła Iwona. – Nastolatka zniknęła bez śladu w drodze z dyskoteki do domu. Wszystkie media o tym trąbiły. Dla nich to fajna historia. Młoda, ładna laska nie dociera do domu, jest wiele możliwości, wielu podejrzanych, wiele opcji. Można mnożyć teorie, wypytywać ekspertów, ściągać detektywów. Cały ten teatrzyk...

Mona skinęła głową. Przypomniała sobie. Rzeczywiście rozkręcono wokół tej sprawy niezły teatrzyk. I to serialowy. Początkowo nie było dnia w telewizji bez informacji o zaginionej. Detektywi, negocjatorzy, antyterrorysty. Koledzy z klasy, nauczyciele. Obcy przechodnie, psychologowie. Specjaliści od kreowania wizerunku, jasnowidze i paranoicy. Zwykle szuje i intelektualni troglodyci. Gwiazdy i perły nowoczesnej filozofii. Milion teorii o ucieczce z domu, zakazanej miłości, porwaniu, handlu żywym towarem, utracie tożsamości, wypadku, morderstwie, gwałcie. Przemieszane przez wszystkie możliwe zależności.

– Stokrotka – mruknęła.

– Taką miała ksywkę. Z tego co wiem, sprawę zaksięgowano też pod tym kryptonimem. Dziewczyny szukano w lasach przez kilka tygodni, przeskanowano jeziora, użyto śmigłowców, podczerwieni, georadaru. To były największe poszukiwania od lat. Wszyscy się w to zaangażowali. Głośno było.

– I myślisz, że to ma coś wspólnego z naszą sprawą?

Iwona popatrzyła w okno. Stanęli na światłach przy ruchliwym przejściu i kilka osób im się przyglądało. Mona instynktownie zapamiętywała szczegóły twarzy, jakby spodziewając się, że kiedyś może mieć z tego pożytek. Iwona chyba robiła tak samo. Nigdy nie wiesz, gdzie czai się szpieg, kiedy wejdiesz w pułapkę.

– Wydało mi się dziwne, że Wais wozi w samochodzie egzemplarz starej

gazety z artykułem o tej sprawie, a nagle sam pada ofiarą... zniknięcia żony.

– Porwania – poprawiła Mona.

– Może.

– Co sugerujesz?

– Może przeczytał coś w gazecie i sobie pomyślał...

– Że uprowadzi żonę, zamorduje ją i sfinguje porwanie dla okupu?

Iwona spojrzała na nią odważnie.

– Właściwie... czemu nie?

– Zbyt dużo innych dowodów i zaangażowanych osób. Nie mamy specjalnych podstaw do kwestionowania wiarygodności przyjętej na razie oficjalnej wersji. Poza tym, gdyby tak zrobił, na pewno nie zostawiłby nam śladu w postaci gazety. No i kluczowy dowód łamiący twoją teorię: porwana żyje, mamy dostać tego dowód.

– No... tak – przyznała.

Chyba że nagle dowodu nie będzie albo Wais chciałby zostać złapany – sama sobie odpowiedziała Mona. Im bardziej zorganizowany i przebiegły przestępca, tym częściej podejmuje grę z policją. Ileż to mieli takich przypadków na szkoleniach? Z życia, nie z science fiction. Może dlatego podjęła:

– Mimo to coś ci się szwenda po głowie?

– Tak. Za dużo tych przypadków. Ta gazeta, kolega Elizy jeżdżący za Waisem. To... dziwne.

– No więc?

– Może...

– No powiedz wreszcie – ponagliła.

– Trochę to spiskowe, co wymyśliłam.

Trochę? – Mona uśmiechnęła się szeroko.

– Powiedz – poprosiła.

Iwona chwilę się zbierała, potem zrobiła taki swój charakterystyczny gest odgarniania grzywki czarnych, błyszczących włosów na bok, przybrała zadumaną, romantycznie zagubioną minę Juliette i wypaliła:

– Co ty na taką hipotezę: Wais jest jakoś zamieszany w zaginięcie Marty F., może była jego kochanką, może ją nawet zamordował i mu to uszło na sucho, ale dowiedziała się o tym jego żona i musiał ją uciszyć. Może córka też gra w tym rolę, może jest po jego stronie, a może gra w drużynie mamy albo kogoś jeszcze. Gdyby Wais zamordował żonę, by się wydało. Więc wymyślił sobie porwanie, wynajął jakichś gości, żeby zrobili wykon. Na koniec mają ją zamordować, on odegra scenkę zrozpaczonego męża, po czym wróci do normalności. Dodatkowo sobie wyprowadzi z firmy milion euro bez podatków i podzieli się z bandziorami. A może tylko zapłaci jakieś drobne za wykonanie zadania. Stawiam, że będzie się upierać, by jednak zapłacić cały okup, a nie tylko to, co ustaliliśmy. Ofiary nigdy

nie odzyskamy, więc nie będzie mogła zeznawać. Porywaczy też nie złapiemy, o co zadba Wais myśląc nam tropy lub ich też wykańczając. Pozostaje tylko pytanie o rolę córki.

Mona przez chwilę zastanawiała się, czy Iwona nie robi sobie jaj. Może ma włączoną kamerę i za chwilę wrzuci filmik na You Tube z hasztagiem: *#wkręciłamszefową*.

– Ty tak poważnie?

Iwona zrobiła minkę Juliette. Ech, Juliette, moja Juliette.

– No.

Pierwsza myśl: potraktować to serio, sporządzić raport, plan śledztwa i wysłać do jakiejś sejmowej komisji albo do mediów. Ale by się działa.

Druga: a jeśli coś w tym jest? Jeśli w tej nieprawdopodobnej historii jest choćby ziarno prawdy? Co się stanie, jeśli Mona ją teraz zlekceważy, a potem przez to komuś stanie się krzywda? Cholera, czasem najbardziej nieprawdopodobne teorie się potwierdzały, a te doskonale pasujące okazywały się zupełnie nieprawdziwe. Po to mają głowy, żeby sobie w nich przemielić każdą potencjalną teorię. Tak ich uczono. Postaw hipotezy, nie rezygnuj z żadnej, a potem kolejno wykluczaj. Na podstawie dowodów, nie widzimi się.

Tyle że...

Jeśli na poważnie potraktuje hipotezę sprawczego udziału Waisa w całym zamieszaniu, za kilka miesięcy to ona może pójść pod pręgierz. Ktoś to wyciągnie, pośle do mediów.

Zacznie się drugi Olewnik.

Jakie tytuły przeczyta w mediach? ZAMIAST RATOWAĆ PORWANĄ, WRABIAŁA MĘŻA. Oto nasza policja. Rzucą się na nią, zagryzą. Stado psów. Przełożeni nie będą mieli wyjścia. Poświęcą ją. Zmuszą do przejścia na emeryturę. W najlepszym razie. Bo może też stać się podejrzaną.

Sprawa Olewnika była pouczająca.

– Kiedy zniknęła ta Furman?

– No właśnie to też jest ciekawe. Zaginięcie zgłoszono siódmego czerwca rok temu. Dziewczyna ostatni raz była widziana dzień wcześniej.

– Szóstego – Mona powiedziała do siebie, żeby zapamiętać.

– W nocy. W nocnym klubie.

– Hm, od biedy może być jakaś zbieżność dat. Zdarzenia rok po roku, mniej więcej w tym samym okresie.

– Właśnie.

– Kto wie, może masz rację. Na razie traktujemy Waisa z dystansem. Spróbujmy go delikatnie wy badać i wypytać o te wydarzenia sprzed roku.

– Ale córkę musimy przycisnąć jak najszybciej.

– Za chwilę. Przygotujmy się do tego.

Dojechały za dziesięć czwarta. Popołudniowe słońce wciąż grzało, jakby była punkt dwunasta. Pałucki stał w recepcji swojego nieklimatyzowanego biurowca. Przedpotopowiec czy masochista? Mały, chudy, siwiejący. W tanim, szarym garniturze ze sztucznego materiału. Spocony. Mocno spocony. Człowiek jakby wyjęty z tłumu. Równie dobrze mógłby być urzędnikiem, szeregowym policjantem, jak drobnym rzeźmieszkim. A najprawdopodobniej był po prostu zwyczajny. Niczym się nie wyróżniał. Mona była pewna, że zapomni tę twarz po godzinie od zakończenia przesłuchania. Ktoś taki mógł zaplanować i sterować porwaniem? Wątpliwe.

Nerwowo przestępował z nogi na nogę. Nie wiedział, czego dokładnie chciał, ale hasła: policja i CBS działały jak na byka. Gdyby Mona dodała, że Iwona jest z ABW, pewnie by popuścił. Czy to znaczyło, że miał coś na sumieniu? Może, ale raczej w kierunku podrabiania podpisów czy dopisywania zer w dokumentach księgowych, a nie w twardej gangsterce.

– Nie robię żadnych przekrętów – zaatakował na samym początku. – Jeśli ktoś tak twierdzi, to kłamie. Wais? To on was nasłał? Jeśli tak, to chętnie o nim opowiem. To on jest tym złym. On robi ciągłe wałki. Jego wina. Ja nie mam z nimi nic wspólnego.

– Spokojnie, panie Pałucki, o nic pana nie oskarżamy.

– Bo nie ma o co. To Wais...

– Jesteśmy w innej sprawie – usadziła go Mona. W gabinecie, do którego je zaprowadził, panował straszliwy zaduch i pomyślała, że jeśli szybko się nie uwiną, to za dwa kwadransy utoną w pocie. Skamienieją, jak ta brudna, wielka maskotka przypominająca pingwina utaplanego w ropie naftowej, stojącego w rogu. Jeśli Pałucki produkuje takie gadżety czy maskotki, to jego dni są policzone. A ich? Jak to by wyglądało w statystykach? Na pewno mało pachnąco.

Pałucki przygotował się do kolejnego ataku, ale zrezygnował.

– Tak, jakiej? – Zapytał nieco spokojniej.

– Zaginięcia – Mona nagle wpadła na ten pomysł. Początkowo chciała go zwyczajnie wypytać o kontakty z Waisem, o alibi na czas porwania, ale nie informować zupełnie w jakiej sprawie przyjechali. Nieoczekiwany atak na Waisa sprawił, że musiała zmienić strategię. – Słyszał pan o sprawie Marty F.? Marty Furman?

Zrobił minę, jakby ktoś puścił bąka. A może poczuł własny zapach. Za pięć minut nie będziemy się od niego niczym różnić – spojrzała na Iwonę, wyraźnie zaczynającą blednąć, choć jej twarz i tak była biała jak pergamin.

– Tej dziewczyny z Przymorza?

– Tak.

Kolejna mina oznaczała: kto nie słyszał. Jednocześnie wydawał się nieco urażony jakąkolwiek sugestią, że może być w to zaplątany. Jest porządnym

drukarzem, jak można w ogóle pytać go o jakieś zaginięcie młodej dziewczyny powiązanej z półświatkiem, no bo przecież nocne kluby to prostytutka, narkotyki, bandytka, czyli półświatek.

Wzruszył tylko ramionami, jakby to było jasne, że wie, o co chodzi, bo przecież w Gdańsku było o tym głośno. Dziewczyna wyszła z klubu i nie wróciła do domu. Zniknęła. Ale co jemu do tego? Dlaczego on miałbym się w tej kwestii wypowiadać? Dlaczego przyjechały do niego skoro on, porządny biznesmen, nie znał tej Marty, nie ma pojęcia ani o jej życiu ani o zniknięciu?

– Są poszlaki wskazujące na powiązanie tej sprawy z pana firmą – dodała z poważną miną Mona.

– Niemożliwe, nie znałem jej, nie mam z tym nic wspólnego.

Mona pozostała niewzruszona. Z bardzo poważną miną nakazała:

– Proszę po prostu odpowiedzieć na pytania.

– Eee – chyba rozważał, czy nie zagrać jakimś filmowym: „czy powinienem wezwać adwokata?” – Dobrze.

– Gdzie pan był ósmego rano?

– Ósmego? Czerwca? Tego roku czy...?

– Tak, tego.

– A, w Warszawie. Otwierali oferty w przetargu na dostawę koszulek dla jednej ze spółek PGNiG. Od rana tam siedziałem. Do Warszawy pojechałem dzień wcześniej, nocowaliśmy w hotelu, nie pamiętam nazwy, tam niedaleko lotniska, naprzeciwko siedziby IBM. Novotel. Chyba tak się nazywa.

Dużo szczegółów. Przygotował się? A może po prostu ma dobrą pamięć. Inna sprawa, że jeśli stałby za porwaniem Anny Wais, to by sobie alibi na pewno przygotował. No bo przecież sam nie porywał, choć... kto wie. Alibi przynajmniej wykluczało to ostatnie.

– Wygrał pan? – wtrąciła Iwona.

– Eee, tego tak z góry się nie wie. Miałem najlepszą ofertę. Znaczący się najtańszą – zrobił minę, jakby chciał dodać: nieźle będę musiał dołożyć, ale jakoś sobie odbiję może w zamówieniach dodatkowych. – Teraz wybiorą albo i nie wybiorą, potem trzeba poczekać na protesty i awantury w KIO. Krajowa Izba Odwoławcza...

– Wais też złożył ofertę?

Przez chwilę przemknęło przez tę pospolitą twarz coś wyjątkowo wrednego. Jakiś odcień nienawiści zabarwiony zawiścią i złośliwością. Jednym zdaniem: polskie barwy narodowe.

– Właśnie to dziwne, ale nie, nie złożył.

– Dziwne?

– Ostatnio składał zawsze. Dlatego dziwne.

– Może ktoś go zastraszył? – Zasugerowała Mona.

– Co pani? Że niby ja? Nikogo nie zastraszałem?

– Nie groził mu pan? – Mona zerknęła w notatki i podała ciąg cyfr, jakby chciała zasugerować, że są one związane z groźbami. Że z podanego numeru ktoś wykonywał określone połączenia. – To pana telefon?

Przerażenie. Wyraźne przerażenie. Połączone z niedowierzaniem i przeświadczeniem, że ktoś go wrabia i to na tyle skutecznie, że to może się źle skończyć.

– No nie, co tu się dzieje?

– Proszę odpowiadać na pytania. Pański czy nie pański?

– Mój.

Mona coś zapisała.

– I twierdzi pan, że nie groził Waisowi?

– W życiu...

Iwona stanęła za jego plecami. Teraz już trząsał się jak osika. Spoconemu, śmierdzącemu, nagle zrobiło się zwyczajnie zimno. Klimatyzacja, człowieku – pomyślała Mona, – musisz sobie założyć klimatyzację, bo wypadniesz z rynku nie przez konkurencję, tylko przez smród. Ale wcale nie było jej do śmiechu, czuła już mokro nie tylko pod pachami, ale i w majtkach. Przed powrotem do firmy trzeba będzie wziąć prysznic. Może w pokoju u Maxa. Znow się uśmiechnęła na wspomnienie wczorajszego „prysznic”. Zimnego prysznic. Zaraz też pomyślała o Dieslu. A co, jeśli maltretowanie facetów wejdzie mi w krew?

– Co pan sądzi o porwaniach dla okupu? – Walnęła uważnie obserwując reakcję. Była już jednak prawie pewna, że Pałucki jest poza podejrzeniem. Może dlatego wypaliła z tym porwaniem.

– No co pani?

– Nikt pana nie szantażował? Nie bał się pan tego?

– Ja? Dlaczego miałbym się bać? Ledwie wiązę koniec z końcem. Okup? – prychnął. – Chyba musiałbym sam wydrukować kasę.

Mona rozejrzała się znacząco. W gabinecie nie było może luksusów, ale biurko i fotel prezesowski sprawiały wrażenie solidnych. Kanapa i skórzane fotele pod ścianą też. W barku niezłe alkohole. Część produkcyjna, przez którą wcześniej przechodziły, nieco zabałaganiona, chaotyczna, ale wypełniona ludźmi, pracą, sprzętem. Nie była to firma pierwszej czystości, wielkości i blichtru. Ale jednak te parę maszyn stało, parę biur było, coś się kręciło. Milion z tego można byłoby wycisnąć na okup. A może i parę milionów.

– Na pewno? Całkiem niezłe to wygląda.

– Pozory. Wszystko na kredyt. Mamy spore wydatki i... cóż, ostatnio nie idzie nam najlepiej – wyznał jakby zawstydzony. Lepszy wstyd niż podejrzenie. Teraz mówił prawdę. Nie chciał niczego ukrywać, żeby sobie te bezczelne policjantki nie pomyślały.

– A Wais? On byłby dobrym kandydatem do porwania? W ten sposób rozwiązałyby pan sobie problemy? Dorobił i jednocześnie osłabił konkurenta?

Pałucki zachwiał się i szybko poszukał krzeselka. Zrobił się bładny na twarzy. Miał wyraźnie dość. Zwiesił głowę i powiedział coś, czego chyba nie zamierzał im mówić.

– Ja nic nie zrobiłem. Nie będę też na nikogo donosił. Ale źle panie szukają.

– Źle.

– Powinny panie przyjrzeć się Waisowi, a nie mnie. Od dawna mu odbija. Zadaje się z podejrzanymi typami, działa jak mafioso. Wiedzą panie, że on ciągle łązi z tą książką Puzo w teczce – tym „Ojcem chrzestnym”? Sypie cytatami jak z rękawa. A teraz jeszcze to...

– Co? – nacisnęła Mona.

– Miałem nikomu nie mówić.

– Obawiam się, że nam pan musi.

– No więc... więc... Proszę sobie wyobrazić, że skumał się z jakimiś gangsterami z Warszawy. Nasłał na mnie takiego jednego. Niby przyszedł tylko pogadać, złożyć propozycję, zaoferować współpracę, ale ja się na takich znam i wyczułem, że to szpicel i że przyszedł mnie nastraszyć. No i przestraszył, cholera.

– Co to za gość? Ten, którego na pana nasłał Wais.

– Pierwszy raz go widziałem... Nic też o nim nie słyszałem, a jak próbowałem podpytać, to nikt nic nie wie...

Pałucki wstał, podszedł do stolika i sięgnął po leżącą na wierzchu wizytówkę. Było na niej tylko imię, nazwisko i numer telefonu komórkowego.

– To on.

– Hausberger – mruknęła Mona. Wizytówka i nazwisko wydało jej się strasznie dziwne.

*

Wyjechali późno w nocy. Ojciec uznał, że bezpośrednio zagrożenie minęło i chce mieć ich blisko. Ją i Michała. W domu będą najbezpieczniejsi. Majkel prowadził dość spokojnie, jakby ojciec uczulił go, że ona nie znosi jeździć z wariatami. Michał siedział obok wpatrzony w szybę. Wydawał się lekko oszołomiony całą tą sytuacją, jakby zagrożenie do niego nie docierało.

Przez chwilę miała głupią myśl: a jeśli on ma z tym coś wspólnego? Czternastolatek porywacz. Tyle wymyślił już tych swoich biznesów i żaden nie wypalił, żaden nie miał tak naprawdę rąk i nóg, więc ojciec go sprowadzał na ziemię.

Poszedłeś po bandzie, braciszku i z kumplami obmyśliłeś plan idealny:

rąbniemy starą, stary zabuli, masz pierwszy milion? Byłbyś do tego zdolny? Byłbyś na tyle wyrachowany, okrutny i nieprzewidywalny?

Ależ bzdury wymyślam – skarciła się.

Michał był dobrym chłopakiem. Czasem nad wiek rozwiniętym, nazbyt ambitnym, ale zdecydowanie nie był potencjalnym bandziorem.

Wszystko przez tę Martę i Artura. Ta sprawa odbierała jej rozum.

*

Żadnego współczucia, żadnego płaczu, żadnego niepokoju.

Tak jakby go to nie dotyczyło.

Jakby działa się w telewizji.

Zastanawiał się nad swoimi reakcjami.

Może był za młody, a może zbyt dorosły? Przedwcześnie dojrzał? Za szybko stał się mężczyzną?

A może jego reakcje – czy też ich brak – wynikają z tego, że wie, że wszystko się dobrze skończy?

Że nic nie mogą zrobić mamie, nic złego się nie stanie?

Michał wpatrywał się intensywnie w szybę, unikając badawczych spojrzeń Elizy. Bał się, że siostra zobaczy w jego oczach tę apatię i pogodzenie. Nie odnajdzie rozpacz, którą przecież tak bardzo chciał w sobie obudzić, z siebie wykrzesać.

Ale się nie dało.

Zobaczył w szybie jej odbicie. Piękna, zatroskana twarz. W Ełku tyle razy płakała i histeryzowała. Pewnie dlatego pomyślał o czymś, czego także nie chciał dopuścić do głosu. Pomyślał, że ona by sobie nie poradziła.

Całe szczęście, że porwali mamę a nie ją, bo ją by musieli zabić.

A mama da sobie radę. Mama jest twarda.

Najsilniejsza z całej rodziny.

*

Research. Pierwszy etap. Skupił się głównie na internecie. Bezpośredniej obserwacji w tej sytuacji nie mógł przeprowadzić. Ofiara była poza jego zasięgiem.

Na razie.

W internecie znalazł o niej sporo informacji. Były zdjęcia, parę notek na lokalnych portalach. Nic wielkiego. Nie była celebrytką, nikim znanym na większą skalę. Ale w dzisiejszym świecie wszechobecnej elektroniki trudno

o anonimowość. Trzeba się naprawdę pilnować, żeby nie zostawiać śladów w sieci.

Raz otwierała wystawę kwiatów. Przecinała wstęgę na zdjęciu. Innym razem lokalny portal dopadł ją przy stadninie koni.

„Jak pani ocenia poziom zawodów?” – Zapytała dziennikarka.

Odpowiedź była zacytowana i nagrana na wideo. Uruchomił odtwarzanie, ale film linkowany do YouTube nie odpalił. Wyrzuciło go na pulpit. Drugi raz nie próbował.

Każdy ruch w internecie robił z kawiarenki w mieście. Znalazł sobie taką bez kamer, inwigilacji, na uboczu. To groziło, że kasjerka, przydzielająca stanowiska i sprzedająca wodę, soki lub kawę, go zapamięta, ale tego się obawiał mniej niż zainstalowanego w większych lokalach monitoringu. Zostawiał wcześniej wszystkie telefony. Zakładał bejsbolówkę i duże okulary. I tak mógł zostać rozpoznany, jednak w sądzie taki dowód miałby o wiele mniejsze znaczenie. Nie będzie sądu. Ale warto być przygotowanym.

Tym bardziej, że tym razem kobieta nie miała zniknąć.

Zawsze długo rozważał podobne zlecenia. Wolał działać dyskretnie i z wyrachowaną precyzją zacierać ślady. Wszelkie przejawy megalomanii i przesady go denerwowały, wprawiały w zły nastrój. Ale w większości przypadków zgadzał się na nie za dodatkową opłatą. Nie marudził.

Tym razem było podobnie.

Ma być zabójstwo, ma być ciało, ma być brutalnie i okrutnie, wszyscy mają od razu wiedzieć, że to profesjonalista zabił. Tylko tak zleceniodawcy osiągną efekt, na którym im zależało.

Tylko w ten sposób przekażą prawdziwemu celowi wiadomość.

Spojrzał po raz kolejny na zdjęcie kobiety.

Ładna, kiedyś może nawet piękna. Teraz, po przejściach, dzieciach i latach wyrzeczeń dla rodziny, trochę zaniedbana. Jednak wystarczyłoby ją oddać na tydzień w ręce fachowców ze SPA i byłaby jak nowa.

Zadał sobie pytanie, czy jest mu jej żal i nie potrafił zmusić się do odpowiedzi twierdzącej. Od lat próbował. Od lat zastanawiał się, dlaczego jest, jaki jest. Dlaczego nie ma dla niego różnicy w zabijaniu kurczaka, komara czy człowieka.

Próbował nawet to wyjaśnić jakoś filozoficznie i religijnie. Ale nie dało się.

To było po prostu w nim.

Gdy wrócił do daczy na Kaszubach znów zadzwonił telefon, którego nie oczekiwał.

Odebrał, wsłuchiwał się w ciszę w słuchawce.

A potem przeczytał wysłanego z tego samego numeru esemesa.

WSZYSTKO GRA!

Wszedł w ustawienia telefonu i zablokował numer, z którego przyszło

połączenie i esemes. Stosunkowo długo rozważał, czy powinien podjąć w związku z nimi jakieś działania. Miał kontakty, które mógł wykorzystać. Jednak przysługi kosztują. Nawet jeśli nie musiałyby od razu płacić. Ostatecznie uznał, że to bez sensu. Jeśli to nie była zwykła pomyłka czy głupi żart, to i tak szanse, że coś ustali, są minimalne.

Postanowił nie reagować.

Wrócił do swoich rozważań.

Wizerunek kobiety, którą miał zabić, znów opanował jego myśli.

Rozdział 12

[brak wpisu od użytkownika Anna]

Adam mocno zacisnął powieki starając się wydobyć z mięśni ukryte siły. Przyspieszył i wygrał na ostatnich metrach. Rzutem na symboliczną taśmę. Na oślep. Ojciec dopłynął niemal całą długość ciała za nim. Popatrzył z dumą na syna. Czternastolatek radził sobie zadziwiająco dobrze, zarówno pod względem siłowym, jak psychicznym. Tak go uczył. Masz zawsze być najlepszy, nigdy nie odpuszczać, nie dawać forów. W żadnej z dyscyplin. Czy grasz w szachy, czy się kochasz, czy jesteś na ringu. Każda walka toczy się na śmierć i życie. Tylko pierwsze miejsce się liczy. Za drugie... jest kara.

Chłopak podciągnął się i wspiął do łodzi, którą wypożyczyli godzinę wcześniej z zapuszczonego ośrodka. Jeszcze było przed sezonem, jeszcze nikomu nie chciało się pracować.

Ojciec wciąż ciężko oddychał. Jedną dłoń zamknął na burcie, drugą wyciągnął do syna.

– Pomóż – poprosił.

Adam opanował odruch i powiedział z powagą:

– Sam sobie radź.

Ojciec nie dał poznać, jak jest zadowolony. Tak go uczył. Z trudem wspiął się do łodzi i chciał sięgnąć po ręcznik.

– Przegrałeś – przypomniał Adam.

– Zimno mi.

– Co mnie to? Powiedziałaś, że kto przegra, nie wyciera się.

Znow lekki uśmiech. Dobrze. Pojętny uczeń.

– Zasady dotyczą ciebie. Ja je ustalam – sięgnął po ręcznik, osuszył ramiona, po czym owinał materiałem biodra. Następnie wyrwał ręcznik chłopcu.

– No co?

– Dlaczego mi na to pozwoliłeś? Dlaczego nie walczysz?

Adam wystraszył się. Wyzwanie zabrzmiało poważnie. Zawsze, gdy takie było, kończyło się źle. Dla niego. Był za słaby, żeby poradzić sobie z ojcem. Dużo starszym, cięższym, zwyczajnie silniejszym. Jego chłopięce ciało nie dawało rady. To jeszcze nie jego liga. Jeszcze.

– Jesteś silniejszy. Nie poradzę sobie.

– Powinieneś walczyć o swoje.

Adam zagryzł mocno zęby. Jesteś moim ojcem, nie podniosę na ciebie ręki.

Nie będę z tobą walczył. To miał ochotę powiedzieć. Wykrzyczeć. A potem... rozplakać się.

Wciąż liczył, że ojciec mu daruje, że ostatecznie zrobi coś, żeby zakończyć spór jakąś dobrą dla nich obu puentą. Żeby ostatecznie to całe zdarzenie było budujące, a nie dołujące. Przecież tak go uczył. Na końcu możesz klepnąć kogoś w plecy i pokazać, że choć zajmujesz wyższą pozycję społeczną, którą wywalczyłeś, to możesz zniżyć się nawet do plebsu.

Takiego cię pokochają.

Ale nie zrobił tego. Szkolenie twardości. Charakteru.

Masz być charakterny.

Adam przypomniał sobie, jak w dzieciństwie ojciec zmusił go do bójki ze starszym o dwa lata sąsiadem. Przegrał raz, drugi. Ojciec nie odpuszczał. Kiedy w końcu Adam, postawiony pod ścianą, zdeterminowany i nabuzowany adrenaliną wygrał pojedynek, ojciec nie był zadowolony, gdyż Adam odpuścił sąsiadowi. Nie wykończył, nie pogrzyżył go do końca. Na koniec nawet podał dłoń.

„Tyle cię upokarzał, a ty okazałeś litość. Litość to słabość. Odpuściłeś, dając mu znak, że jesteś słaby. On się zemści. Tacy jak on, jak... my, rozumiemy tylko język siły. Nie można z nimi grać dyplomacją. Nie można liczyć na współczucie. Oni potrzebują strachu przed silniejszym.”

Kilka dni później sąsiad czekał na niego na leśnej ścieżce z dwoma kumplami. Adam dawno nie dostał takiego łomotu. A kiedy poskarżył się ojcu, ten powiedział, że go to nie obchodzi. Mogłeś sam to załatwić, dużo wcześniej. A tak... radź sobie.

Nieco później, rok albo i dłużej, kiedy Adam znów podpadł, ojciec ścisnął go za szyję i wyznał stłumionym, pełnym sarkastycznej satysfakcji szeptem:

– Jesteś słabeuszem i głupkiem. Sam kazałem tym trzem cię obić, żebyś wiedział, że życie jest podłe. Nie ma sprawiedliwości. Jeśli sobie jej nie wydrzesz, nie doczekasz się. Musisz być twardy i bezwzględny. Rozumiesz?

Nie rozumiał. Był dzieckiem. Wcale nie chciał być bezwzględny.

Za to bardzo chciał, by słowa ojca były kłamstwem.

I tak sobie wmawiał.

Ojciec kłamie, żeby go czegoś nauczyć.

Tak naprawdę nie jest... zły.

Wtedy ojciec powiedział mu o mamie.

Złe rzeczy powiedział mu o mamie.

Tak złe, że Adam powinien znienawidzić ojca.

Nie potrafił zaakceptować tych słów, nie chciał o nich myśleć, nie chciał ich zrozumieć. Nie mógł pojąć, jak ojciec może mu o tym mówić. Mama przecież była świętością.

A potem jeszcze pokazał mu te zdjęcia.

Zdjęcia mamy i...

– Patrz! Musisz patrzeć!

Potem długo milczeli. Adam wiedział, że nic już nie będzie tak samo. Ostatecznie przekroczył granicę niewinności. Ojciec wciągnął go w świat bez skrpułów.

– Jeśli nie będziesz się słuchał, ona się dowie – powiedział na koniec.

– O czym?

– Że ty wiesz i że nic z tym nie zrobiłeś. Że nawet nie chciałeś jej bronić. Zwyczajnie zaakceptowałeś. Nigdy już nie będzie mogła na ciebie spojrzeć bez poczucia winy i wstydu. Nigdy już nie będzie pomiędzy wami tak samo. Jeśli w ogóle jeszcze będzie chciała żyć...

Adam poczuł, jak łzy napływają mu do oczu.

Wspomnienia były tak bolesne, żywe, niemal fotograficzne. Wciąż widział te ujęcia, które powinny spowodować, że znienawidzi ojca.

Poczuł, że mógłby go zabić.

A jednak kochał.

Wciąż, nieprzerwanie, z każdym dniem coraz mocniej.

Pomyślał, że miłość to straszna i piękna rzecz.

Jest taka bezwarunkowa.

Bez względu na to, co zrobi kochany obiekt, jak bardzo jego postępowanie odbiegnie od naszych oczekiwań czy wyobrażeń, i tak wyrzucimy wszystko co złe na margines. Będziemy kochać. Dalej. Nieustająco.

Ojciec spojrzał czujnie.

– Co jest? Będziesz beczeć?

Nie odpowiedział. Ojciec oddał mu w końcu ręcznik, a potem kazał wiosłować. Sam wziął długą linkę, na której co metr zrobił oznaczenia niezmywalnym markerem. Do linki był przymocowany odważnik. Gdy płynęli, ojciec zanurzał odważnik z linką w wodzie, aż poczuł, że naprężenie słabnie. Sprawdzał głębokość. To już trzecie jezioro, które w ten sposób badali.

I ojciec wciąż nie był zadowolony.

– Cholera, za płytko.

*

Planuje. Ucieczkę planuje. Brązowego udusi łańcuchem, Różowego załatwi kopniakiem.

Mae-geri.

Ciosy karate ćwiczyłam z bratem.

Różowy cienias, da radę. Brązowy silny, ale jej przecież nie zabraknie

determinacji. Zarzuci mu łańcuch na szyi, nogami się zaprze, zaciągnie. Coś chrupnie, zakaszle, zarzęzi. Koniec.

Zaczęła się śmiać.

Głupio.

Potem rozpaczliwie.

Ucieczka? Planowała ją, rozważała, ale co ona może, co? Taka słaba i krucha. Jak ma zerwać łańcuch, jak pozbyć się tych osiłków?

Krzyczeć? Jak zacznie, przyjdą i jej założą kaganiec.

Udusi się. Umrze.

Pobiją, palec odetną.

W ziemi zakopią.

Grozili przecież. Sekator pokazywali.

Rach ciach.

I koniec.

Po paluszku. Albo po uchu.

Co obciąć? Co?

Może lepiej umrzeć niż tu tkwić i czekać.

Ale obciąć lepiej nie dać.

Lepiej siedzieć z uchem niż bez.

I czekać.

Na Daniela. Na to co zrobi.

Dla niej.

Czy zrobi to dla niej?

Da im to, co chcą dostać?

Mimo to, gdy radio gra głośno, ona szarpie tym łańcuchem co siłą. Gryzie nawet. Zęby ma mocne, ale stal jest mocniejsza. Pazury też mocne, ale rady nie dają. Nie są w stanie rozewrzeć łańcuchowych ogni. Nie daje rady. Zerwać obroży nie umie. Palce bolą. Zęby bolą. Szyja zaraz obtarta i przeguby też. Paznokcie połamane.

Boli. Wszystko już boli.

Zamyka oczy.

Całe życie przez nie przelatuje. Jak film. Ona, Daniel. Młodzi. Szczęśliwi. Biedni ale szczęśliwi. Dzieci. Pierwsza Eliza. Słodka Eliza. Noce zarywane. Pieluchy wszędzie, kaszki, odżywki, mleczka, musy owocowe, pasty warzywne i mięsne, soczki i herbatki. Daniel zapracowany. Jedna maszyna, druga. Na dwie zmiany praca. Na trzy czasem. Plany i konstrukcje. Marzenia. Wyszarpowanie zleceń. Michaś. Michaś nadchodzi. Pracować trzeba. Dla nich i dla niej. Dla niej wszystko. A tak naprawdę dla NIEGO. Dla firmy. Myśli ciągle krążące wokół zakładu. Tylko on się liczy. I zera na koncie. Jedno zero, dwa. Wciąż zero. Potem coś wskakuje przed. Jedna liczba i druga. Zera też rosną. Jedno, drugie, trzecie,

czwarte.

Pierwszy milion.

Jakiż on był szczęśliwy. Jak chodził z dumną głową. Jak ręce pokazywał.

Tymi rękoma. Tymi. Wszystko sam zrobił. Sam.

A ona?

Nie liczyła się? Jak to nie. Przecież to dla niej. Przecież chciał ją ozłocić.

Dla niej.

To co przed rokiem też dla niej. Dla Elizy i dla niej.

Wiedziała.

Nigdy mu się nie przyznała i nie przyzna, ale wiedziała.

O niej i o tym co zrobił.

Wiedziała też dlaczego.

W tajemnicy.

Bo ktoś jej powiedział.

Ten ktoś.

*

– Kurwa, to agent.

ON nie przebierał w słowach.

– Trzymaj się, kurwa, od niego z daleka. To nie twoja liga, dziecino.

Dziecino? Dawno tak do niej nie mówił. Kiedyś, na początku. A potem nagle przestał, jakby przeskoczyła na kolejny level, zasłużyła, by jej nie nazywał tak lekceważąco, z wyraźnym zaznaczeniem swojej samczej wyższości w pewnych sprawach. Męskie gry, jak je nazywał. Policja, służby, polityka – to były jego zdaniem męskie gry. Nawet jeśli ona osiągała w nich większe sukcesy niż on i tak grała w lidze mężczyzn. Jest wyjątkiem. A wyjątek potwierdza regułę. To nie dla ciebie, dziecino.

– Dzięki – syknęła ze złością, walnęła telefonem o stół i opadła na kanapę.

Demony lubią wracać. Odganasz je, wyrzucasz za drzwi, pozbywasz się raz na zawsze, a potem rano spoglądasz w lustro i nagle znów się pojawiają. Tam, gdzie się ich zupełnie nie spodziewasz. Efekt jojo. Ona coś o tym wiedziała. Właściwie wiedziała wszystko. Była najlepszym ekspertem w policji od efektu jojo.

– Diesel ma rację – poparła Iwona. – Zostawmy go w spokoju.

Tak, tym bardziej, że przecież nie było żadnego konkretnego dowodu na powiązanie Hausbergera z porwaniem. Powinny odpuścić i sobie darować.

– Zostawmy – potaknęła Mona, po czym wrzuciła gościa na bęben i po chwili już wiedziała, że to się tak nie skończy.

W rejestrach policyjnych i ABW wszystkie dane należały do zbioru zastrzeżonego. W takiej sytuacji, po odbębnieniu paru uciążliwych formalności, mogły uzyskać dostęp, ale prawie na pewno informacja o ich zainteresowaniu trafiłaby również do szefa wydziału i oficera prowadzącego Hausbergera. A potem do niego samego. Niby tak być nie powinno, ale... na układy nie ma rady.

Agent.

Jebany przykrywkowiec. Mona zaraz się skarciła. Przecież Diesel też był przykrywkowcem, a jej to nie przeszkadzało. Co ich różniło? Właśnie, że wiele – odpowiedziała sama sobie. Hausberger działał prawdopodobnie jako typowy prowokator w środowiskach biznesowych. Szpicel, gumowe ucho, cwaniak. Formalnie pewnie raczej TW lub kontakt operacyjny. ON był FPP – funkcjonariuszem pod przykryciem. Wyszkolonym, dobrze przygotowanym policjantem, którego zamieniono w drania, któremu dano legendę i narzędzia do wtopienia się w smród i brud. Ściagał dilerów, złodziei, gangusów, bandziorów, morderców.

I to go uprawniało do kumania się z nimi? Wykorzystywania ich metod? Wtapienia się w to środowisko tak, że czasem trudno było odróżnić? To pozwalało mu nie widzieć niczego złego w tym, że pachnie prochami, dziwkami i zakrzepłą krwią? Że czasem myliły mu się role i stawał po stronie zła, zbyt w nie wnikał?

Tak. Bo doprowadzał potem do aresztowań, zatrzymania towaru, innych policyjnych akcji. Czyścił kloakę. Wykonywał swoją pracę.

Tak mogła odpowiedzieć.

A jeśli się myli, co do Hausbergera i ten też jest FPP? Miałby mieć mniej praw, bo jego praca była pozornie mniej efektywna i efektywna? Bo poruszał się w węzowiskach, w których nie zawsze było wiadomo, kto jest dobry, kto zły? Bo nie zawsze jednoznacznie było można określić wagę pozyskanych przez niego i przekazanych informacji?

Nie, nie o to chodziło.

Diesel nawet jeśli naginał prawo, nawet jeśli robił coś złego, nawet jeśli mieszał prywatę z pracą i robił sobie dobrze z dziewczynkami z ulicy, to jednak, gdyby postawiono go przed wyborem, zawsze stanąłby po dobrej stronie mocy.

Była tego pewna.

Prawie.

Przymknęła oczy, przywołując obraz kochanka. Jak zwykle nieco wycofanego, mrukliwego, nieobecnego, tajemniczego. W zasadzie tak niewiele o nim wiedziała. O jego poprzednim życiu, żonie, synu. Może miał nawet więcej dzieci, ale się nie chwalił. Praktycznie nigdy nie mówił o poprzedniej rodzinie. Może ze wstydu, bo przecież wiedziała, że ta dziewczyna pochodziła z nizin, z tak zwanej patologii, że nie była święta. prostytutka. Niełatwo przyznać się do miłości z prostytutką, szczególnie glinie. Można je rznąć, wykorzystywać, nawet stawiać

im lody czy wakacje, ale kochać nie wolno, jeśli nie chce się stać pośmiewiskiem. Gdy kiedyś przypadkiem wypadło mu z portfela zdjęcie syna, też szybko je zabrał. Wiedziała, że odwiedza go dość rzadko, raz na dwa tygodnie. Czasem chodzili razem na basen czy siłownię. Kiedy zaproponowała, żeby przyprowadził go do niej, uciął krótko: „nie”, jakby chciał dać jej znać: to było poprzednie życie, nie wtrącaj się do niego.

Otworzyła oczy usiłując wyrzucić Diesla precz z umysłu.

Lukrowała skurwiela, bo jej robił dobrze.

Ciebie też ktoś lukruje – pomyślała o Hausbergerze, – gdy ustawiasz przetargi, handlujesz danymi, lobbujesz za ustawami, przeszkadzasz w biznesach jednym, żeby pomagać drugim? Jakimi szczytnymi intencjami to tłumaczysz?

– Tak, trzeba cię zostawić – mruknęła i ze sztubackim uśmiechem wpisała nazwisko Hausbergera w kolejnych wyszukiwarkach.

Przez pół nocy szperały z Iwoną w dostępnych publicznie rejestrach i komputerowych archiwach gazet. Iwona była jeszcze bledsza niż wczoraj. Reakcja po odstawieniu jakiegoś katynonu, amfy albo – co gorsza – speedballu? Mona złożyła sobie obietnicę, że porozmawia z nią o tym, ale jeszcze nie teraz. Musiała być pewna, żeby jej nie zrazić. Musiała dobrze dobrać słowa, by rozmowa nie doprowadziła do ostrego konfliktu. Nie zamierzała jej oceniać, chciała tylko zaproponować pomoc. Wiedziała jednak, jaka może być reakcja. Tacy jak Iwona nigdy nie potrzebują pomocy. Przynajmniej tak im się wydaje. Uważają, że to kontrolują, że są poza grupą ryzyka. Oni wiedzą zwyczajnie lepiej.

– Co?

Mona uniosła do góry brwi.

– Patrzysz na mnie – wyjaśniła Iwona. – Dziwnie patrzysz.

– Przepraszam – bąknęła i wlepiła wzrok w ekran komputera, który wypuł im setki informacji na temat Hausbergera.

Szybko doszły do wniosku, że gość starał się nie rzucać w oczy i unikać rozgłosu, ale w dobie internetu się nie dało. Wkrótce dokument w notatniku wypełnił się nazwami firm, linkami do zdjęć i artykułów.

Hausberger fotografował się dość często jak na agenta pod przykryciem. Można powiedzieć, że działał z rozmachem. Zdjęcia w RPA podczas jakiejś wizytacji fabryk używających technologii HP. Raut w Las Vegas z IBM. Zwiedzanie Wielkiego Kanionu helikopterem z logiem Telekomu. Karnawał w Rio z Vivendi. Nocne czuwanie w Rzymie pod skrzydłami Agusty. Ściana płaczu w Jerozolimie z Tewą. Poczta z Tokio z pieczętą Japan Technologies. Masa fotek z premierami, prezydentami, prezesami, wizjonerami i hochsztaplerami.

– To jakiś Forest Gump – mruknęła Iwona.

– Pewnie taka jego rola. Albo część tworzonej legendy.

W rejestrach gospodarczych widniał jako udziałowiec lub członek rad

nadzorczych dziesięciu spółek – większość była wygaszona i raczej nie prowadziła działalności. Telefony nie działały, adresy były nieaktualne.

W wyszukiwarce Ministerstwa Sprawiedliwości nie było dostępnych sprawozdań finansowych. Nieco inaczej z ostatnią spółką, na którą natrafili.

Grupa Doradcza Wenecja – GDW. W spółce aż roiło się od znanych nazwisk. Prezesem był brat byłego szefa BOR, członkami zarządu żony dwóch generałów, prokurę przyznano generałowi Straży Granicznej i byłemu wysokiemu urzędnikowi Ministerstwa Obrony Narodowej. Sama śmietanka.

– Słyszałam o nich – powiedziała Iwona.

Hm, pomyślała Mona, a kto nie słyszał.

– Tak, co?

– Że lepiej się nie przyglądać.

Mona skinęła głową. Chwilę zastanawiała się, co zrobić, po czym zadzwoniła ponownie do Diesla.

– Gadaj, co wiesz! – Nakazała.

– Nic nie wiem.

– Akurat. To po co te ostrzeżenia?

Droczył się przez chwilę. Przekonywał, żeby odpuściła. W końcu jednak wypalił o powiązaniach Hausbergera z samodzielną grupą „D” i departamentem IV dawnego MSW. W dawnych czasach, za komuny. PRL, wciąż niewycyszczony, wciąż pozostawiający swoje odpadki.

Departament IV.

Departament zwalczający kościół katolicki.

Grupa „D”. Najtajniejsza z tajnych.

Grupa odpowiedzialna za porwanie Popiełuszki.

Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty.

Porwanie.

Okup dla ściemy.

Zabójstwo.

Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty.

– Kurwa, kocie, to przypadek – zakończył zrezygnowany Diesel. – Nie jaraj się przypadkami, nie daj się podpuścić.

Ile razy mówiła mu, że nie wierzy w przypadki?

– Nie odpuszczę – szepnęła.

– Sama się podkładasz. Usmażą cię za to.

– To będę usmażona.

Zabluzgał po raz ostatni, a ona ze złością rzuciła telefonem.

Nie mogła tak tego zostawić.

– Cóż, panie Hausberger, pewnie pan tego nie oczekiwał, ale wcześniej czy później będziemy musieli porozmawiać.

Iwona pokiwała głową bez przekonania, potem także wyjęła telefon i zaczęła w nim grzebać sprawdzając pocztę i skrzynkę z wiadomościami. Uśmiechnęła się pod nosem, jakby właśnie otrzymała coś, na co czekała.

– No to mamy nocną wycieczkę – szepnęła odgarniając kosmyk włosów z czoła.

– Gdzie?

– Stary znajomy się odezwał.

– Jest druga w nocy.

– Starzy znajomi już tak mają. Dzwonią o dziwnych porach.

*

Trzysta tysięcy. Tyle włożą w plecaki.

Ojciec chodził po całym domu i się wściekał. On chciał zapłacić wszystko. Nie chciał targować się o mamę. Eliza dobrze to знаła. Nie lubił takich sytuacji. Nie lubił, gdy ktoś miał inne zdanie. Gdy ktoś mu rozkazywał. Oczy mu błyszczały gniewem. I strachem. Chyba coraz bardziej dochodziło do niego, że jest jak pasażer samolotu. Nie wszystko zależy od niego. A w zasadzie nic. To porywacze trzymali stery. Gliniarze ryzykowali, bo mogli. On i mama byli na końcu łańcucha. To inni decydowali za nich. Mówili: kiedy, gdzie, jak. Ojciec mógł tylko na to reagować, zgodzić się lub nie.

Eliza zaś wypatrywała okazji.

Musiała w końcu porozmawiać z ojcem. Powiedzieć mu prawdę. Wyznać stare grzechy. Wiedziała, że się zdenerwuje, że dodatkowo go to przybije, ale nie miała wyjścia. Jeśli to wszystko ma jakiś związek, ojciec musi wiedzieć.

Długo czekała na odpowiednią chwilę. Aż ojciec zostanie sam, ten gliniarz zwinie się do swojej kanciapy, a Michał pójdzie spać.

Nadeszła dopiero o drugiej w nocy.

Ojciec siedział w kuchni, babrał widelcem jakieś stare żarcie, pił herbatę.

– Idź spać – polecił, gdy ją zobaczył.

– Musimy pogadać.

– Elizka...

– Tato, musimy.

Westchnął, jakby chciał zarzucić ją zarzutami. Znów będzie rzucać studia? A może Radka? Może zamiast prawa spodobała jej się indologia albo japonistyka? Tak była nią przecież kiedyś zafascynowana. A może chodzi o jakiegoś dzieciaka, który potrzebuje pilnego przeszczepu? Niedoceniony artysta chciałby zostać sławny za życia a nie po śmierci? Taki temat? Dziś, gdy mają taki problem? Gdy mamę ktoś więzi, a może zabija? Dziś masz jakiś poważny temat?

Jak ona nienawidziła tej apodyktyczności ojca. Pewności, że wie lepiej zanim usłyszy zdanie innych. Każdy macho zna odpowiedzi na pytania zanim się je zada?

– Tak? – Westchnął w końcu.

– To coś ważnego.

Ten wzrok, który tak dobrze znała. Który pojawiał się zawsze w wyjątkowych chwilach, gdy coś groziło jej lub Michałowi czy mamie. Gdy przestrzegał, wydawał polecenia podczas tych kilku nielicznych chwil, gdy naprawdę było źle. Wyczulony, wyostrzony, uważny.

Słuchał jej. Teraz albo nigdy.

– Tato, ja... chyba... chyba... wiem, dlaczego to się stało...

Oczy ojca. Trochę inny błysk. Jakby zaniepokojony. W inny sposób. Jakiś taki... kłamliwy.

– Dlaczego porwali mamę – dodała.

Poderwał się i Eliza przestraszyła się wybuchu. Zaraz na nią naskoczy, nakrzyczy. Dlaczego, głupia gówniario, mówisz mi dopiero teraz? Dlaczego nie powiedziałas od razu? Dlaczego wcześniej nie przyszłaś z problemem? Przecież bym ci pomógł. Czy kiedyś nie pomogłem?

Ale nie zrobił tego. Przystawił krzeselko bardzo blisko, rozejrzał się po kuchni. Jakimś dziwnym zrywem podszedł do zlewu i jednym ruchem odkręcił maksymalnie wodę, by szumiała. Przyciągnął ją bliżej kranu, usiadł i zbliżył usta do jej ucha. Jak kochanek. Kiedyś tak właśnie szeptała z kochankami. Nigdy z ojcem.

– Podśluch – wyjaśnił. – Wszędzie jest podśluch.

Nic mnie to nie obchodzi. Muszę ci powiedzieć i żadne podśluchy tego nie zmienią. Nie mam tak naprawdę nic do ukrycia. Już nie.

– Mów szeptem – nakazał. – Najciszej, jak umiesz.

– Dobrze.

A potem mu powiedziała. Wszystko, od początku do końca.

Wszystko, o czym od dawna wiedział, a musiał udawać, że nie wie.

Kłamca mógł przestać kłamać.

Przynajmniej w niektórych kwestiach.

*

Michał wsłuchiwał się w odgłosy nocy. Nie mógł spać. Przynajmniej to dobre. Skoro nie potrafił płakać, nie umiał cierpieć, to choć mógł pocieszyć się tą bezsennością. Usłyszał jak ktoś w kuchni odkręca wodę. Szumiała strasznie głośno, skoro dźwięk dochodził do jego pokoju, na górę. Chyba nie ten glina. Nawet na

pewno. Z jego pokoju dochodziły stłumione dźwięki jakiegoś filmu. Oglądał coś sobie na komputerze. Pewnie z pirata, jak to gliniarz. Innym nie wolno, ale oni mogą. Niby oglądanie jest legalne, ale czy powinien? Więc wodę puszczał ojciec. Albo Eliza. Albo oboje. Co robią w kuchni o tej porze?

Przymknął oczy starając się skupić i wejść na jakiś wyższy poziom świadomości.

Wierzył, że to możliwe.

I choć się nie udało, nie przestawał wierzyć.

*

Noc była niemal tropikalna. Dwadzieścia parę stopni o drugiej, to się rzadko zdarza nawet w lipcu, a co dopiero w czerwcu. Upał. Taka pogoda wyciągała na ulice Sopotu wszystkie kwiaty nocy. Mona czuła się niezręcznie idąc z Iwoną. Jak przyzwoitka. Gruba, toporna, brzydka przyzwoitka dbająca o to, by jej piękna, wiotka, seksowna towarzyszka nie zrobiła jakiejś głupoty.

Stary znajomy Iwony czekał przy stoliku na dworze w niewielkim barze z bliskowschodnim żarciem. Stary Syryjczyk chrześcijanin robił prawdziwe kebaby, nie takie jak te wszystkie świństwa taśmowo wyrabiane w barach szybkiej obsługi.

– On tu naprawdę robi wszystko tradycyjnie. Nawet sos miesza sam z jogurtu i jajek, a nie jak ci wszyscy – zrobił nieokreślony gest. – Zjecie kebaba?

Iwona zamówiła, Mona przełknęła ślinę. Patrzyła dłuższą chwilę w stronę morza. Przez to, że najbliższe budki i lokale były dość mocno oświetlone, widziała tylko czerń tam, gdzie czaiła się słona otchłań. W oddali, jakby w kosmosie błyskało światło jakiegoś kontenerowca.

– Uwielbiam tu siedzieć – Stary znajomy wskazał w bok na dwa spore budynki błyskające światłami i huczące głośnym techno. – Bar z kebabami za dziewięć zeta, a obok dwie najdroższe dyskoteki w Trójmieście. Na dziś. Wjazd pięć dych, piwo i woda po dwie dychy za działkę. A tu dwa razy taniej. I nie trzeba tańczyć. Wystarczy posiedzieć, poczekać, a zawsze trafi się jakaś urażona, której ktoś zaszedł za skórę i chce się zemścić z gościem od kebaba. Tak, żeby kochasia-wkurwiciela zalała prawdziwa krew.

– Zawsze byłeś oszczędny – mruknęła Iwona niezbyt grzecznie. Mona zarejestrowała, że przywitali się dość chłodno. Żadnych pocałunków, żadnego misia, miziania, nawet zero znaczących uśmiechów. Zwykły uścisk dłoni. Sekunda i już po. Szybki numererek.

– Taki jestem – przyznał.

– Berek, Mona – przedstawiła ich sobie i wyjaśniła, że Berek jest

z delegatury gdańskiej. Ksywka stąd, że woli gonić niż łapać.

– Jak wszyscy – roześmiał się Berek. – Każdy woli gonić niż łapać, ale nie każdy się do tego przyznaje.

– Poza tobą.

Berek popatrzył w pustą szklankę po piwie.

– Postawicie chociaż piwo?

Mona westchnęła, zamówiła trzy piwa i nachyliła się w kierunku Berka.

– Chcemy pogadać o Stokrotce.

– Przecież wiem – westchnął. – Dziwna sprawa.

– Chodziłeś przy niej?

– Cała delegatura chodziła. Nie tylko my. Policja, cebeesie, wojskowi. Jak były poszukiwania to ze dwa tysiące luda łąziło po lasach, po klubach, po knajpach, dziurach, tu też, na plaży. No i w komputerach też łąziła. I nic. Jak dla mnie to panna się urwała i siedzi gdzieś w Paryżu albo daje dupy w Mediolanie. Ładna była, prawda, więc ma możliwości.

– Nie pierdol – upomniała Iwona. – Gdyby żyła, byłyby jakieś sygnały.

– Przecież były. Ciągłe są. A to ją ktoś widzi tu, a to tam. Nieprzypadkowo wymieniłem ten Paryż i Mediolan. O Dubaju też pisano. Może robi za syrenę w basenie jakiegoś szejka. Albo czyści mu jacuzzi.

– Ale to pudła.

– Pudła – przyznał. – Niektórzy żartują, że nasi przyjmowali zgłoszenia, żeby sobie pojeździć po kurortach. Nieprawda. Rzeczywiście jej szukali. Kto by znalazł, byłby sławny. Dupczenie na boku, wykorzystywanie środków z funduszy operacyjnych i inne nawigacje są fajne, ale najważniejsze było ją znaleźć. Gdyby komuś się udało... o, to byłoby coś. Sława, te sprawy, rozumiecie...

– Dlaczego się nie udało?

– Trupa ciężko znaleźć. Szczególnie jak się szuka żywego.

– Mówiłeś, że twoim zdaniem siedzi w Paryżu czy...

– Taka gra w słowa. Wersja oficjalna.

– A nieoficjalna?

Berek się zafrapował.

– Chyba lepiej o niej nie gadać.

– Dlaczego?

– Bo wszystkim zależy, żeby temat umarł. Czy Marta żyje, czy nie, to temat jest niebezpieczny i lepiej, żeby nie dychał. Zamknięty w lodowie nie śmierdzi. Jak nie śmierdzi, to nikt się nie zarazi. Jak nie ma zarazy, to nie ma choroby. Taki los śmierdzących spraw. Ona to... ona, jakby w tym wszystkim jest najmniej ważna.

– A co jest ważne?

– Jak chcecie wiedzieć, to może jednak postawicie mi drinka o tam, w środku – wskazał najbliższą dyskotekę z wielkim napisem DISCO CASINO. –

Macie budżet, mam nadzieję?

Berek dopił piwo, wstał gwałtownie nie czekając na ich odpowiedź i ruszył w kierunku budynku kasyna z dyskoteką. Mona spojrzała znacząco na Iwonę. Ty Juliette wejdiesz bez problemu, ale ja? Kto wpuści takiego wieloryba? Poza tym, czy jesteśmy dobrze ubrani. Do disco może i tak, ale do kasyna?

Nie martw się, w razie czego pokażesz szmatę – wyczytała w oczach partnerki. Odznaka CBS widać coś znaczy. Wciąż można na nią wejść do knajpy, dostać stolik, nawet jak jest tłok, flaszkę gratis, a faceci czasem i panienkę zaliczą. Jeśli stać ich na napiwek.

Ochroniarz przybił piątkę z Berkiem i nie robił żadnych kłopotów. Nie zapłacili nawet za wejście. W środku huczało od głośnego techno. Takie czasy. Kiedy ja ostatnio byłam w dyskotekce – pomyślała Mona. Nawet zawodowo nie chodziła. Iwona za to wyglądała na całkiem obytą. Poruszała się w rytmie tego cholernego techno, z gracją mijając grupki tańczących, dyskutujących i obściskujących się par. Golizna, alk, głośna muza, błyski i dymy. Berek szedł jak taran do części z rezerwacjami. Dwa stoliki wciąż były wolne. Usiadł przy jednym i skinął na kelnera.

– Wóda czy piwo? – Zapytał dziewczyn.

– Zostańmy przy piwie – zaproponowała Mona.

Nie był zachwycony, ale zamówił trzy browary. Poczekał na kelnera. Mona rozejrzała się po lokalu. Jakies dwie setki roznegliżowanych małolatów szukały swojej przyszłości lub ją grzebały. Nieco w prawo od baru znajdowało się zejście do Piekielka z kasynem. Wielki napis CASINO świecił się imitacją żywego ognia. Światła stroboskopów przeszywały pomazany czerwienią i błękitem półmrok jak promienie laserów w Gwiezdnym Wojnach. Pod sufitem podwieszono trzy klatki, w których tańczyły zgrabne, błyszczące od olejków kobiety. Jedna chyba nie miała na sobie nic, dwie pozostałe założyły skąpe stroje kąpielowe. Mona skonstatowała, że zużyty na nie materiał spokojnie zmieściłby się w pudełku od zapalek. Wzdrygnęła się na myśl, co by było, gdyby ona musiała założyć taki kostium, a co gorsza wdrapać się do klatek i zatańczyć dla tłumu. Cóż, może byłaby zjawiskiem, jak w cyrku. Może przyciągnęłaby jeszcze większą widownię spragnioną osobliwości.

– Gwiazdeczki – mruknął Berek. – Ściągają je tu z okolicznych liceów, ale czasem trafiają się i gimnazjalistki. Szesnastki są najmodniejsze. Młodsze też się zdarzają, ale szef się wkurza. Gówniary bywają nieprzewidywalne, upijają się za szybko i paplają zmyślając różne bajki o kokainowych orgiach i swingerskich zabawach.

– Marta była jedną z nich?

– Nie – Berek uśmiechnął się oblesnie. – Za stara...

– Miała siedemnaście lat.

Jeszcze szerszy uśmiech odsłaniający zepsute zęby. Żartował, ale w sumie najlepsze są prawdziwe żarty.

– Ten klub jest znany w całej Polsce. Na weekendy zjeżdżają tu jelenie z Wawy, Krakowa czy Wrocławia. Rzucają tysiącami, żeby się popisać. Laski naciągają ich na drinki, a potem ciągną na noc do kasyna i piekielka – wskazał w dół. – Tam jest około dziesięciu pokoi na dymanko. Z łazienkami, w standardzie czterogwiazdkowego hotelu. Bierzesz panienkę i sobie używasz. Rano portfel robi ci się lżejszy o dwa tysie albo i lepiej, ale jesteś zadowolony, bo po dobrej imprezie z najlepszym alkiem i koksem, zaliczasz fajną laskę w luksusowych warunkach. Panna dostaje jedną trzecią z jelenia, jak ma dobry układ to połowę. Czasem nie za wiele, ale zdarzają się klienci bardzo rozrzutni. Słyszałem o rachunkach na kilkaset tysięcy złotych. Takiego trafić, to jest złoty strzał.

Mona kiwnęła wolno głową. Niby można było to podciągnąć pod prostytutkę a właścicieli i naganiaczy pod sutenerów czerpiących korzyści z nierządu. Tyle że w żadnym sądzie prokurator nie wygrałby takiej sprawy.

– Świata nie naprawimy. Jaka była rola Marty, skoro nie była jedną z nich?

– Przypadkowa.

– To znaczy?

– To nie była zwykła małolata, co dawała po klubach. Żadna cichodajka, galerianka, nawet niespecjalnie imprezowa dziewczyna. Zwyczajna nastolatka zakochana w „Małym księciu”, powieściach Schmitta i piosenkach Bruno Marsa. Reportaże jej nie wybielały: rzeczywiście nie miała nic wspólnego z tym... tutaj. No, prawie nic...

– Prawie? Mów w końcu, o co chodzi.

– O miłość – Berek zrobił rozmarzoną minę, jakby to słowo znaczyło coś rajskiego, nieosiągalnego, co jednocześnie tacy faceci jak on lekceważą i olewają. Berek był typem, który zaraz po wejściu do łóżka z dziewczyną mówi, że nie lubi się całować, więc przechodzimy do roboty. – Zakochała się w niewłaściwym człowieku. W kimś, w kim nie powinna się zakochać.

– W kim?

Berek wyjął komórkę, wszedł na Facebooka i odszukał profil bardzo przystojnego, męskiego, dobrze ubranego faceta po trzydziestce, a przed czterdziestką. Miał blond włosy prawie do ramion, modnie przedzielone i zaczesane. Prawie jak Diesel – pomyślała Mona. Prawie czyni różnicę. Na szczęście.

– Kojarzycie tego gościa?

– Alfons?

– Oj, obraziłby się. On się nazywa menedżerem. Menago. Taką ma ksywkę. Agent przyszłych gwiazd. Rozповіда, jak to z nich robi modelki, aktorki, piosenkarki i celebrytki. Niektórym rzeczywiście udostępnia swoje kontakty. Inne

bzyka pewnie za free. Jeździ kabrioletem. Śpi na jachcie. Fotografuje się tylko na motorach. Lepszy zawodnik.

– Alfons – powtórzyła, tym razem nie pytając, Mona.

– Nie, nawet procentu nie bierze. On naprawdę uważa, że pomaga tym dziewczynom. Ściąga je do klubów, załatwia kontrakty, rozmowy, spotkania. Wsiąkł w to całe towarzyszo i się w nim wymieszał.

– Z czegoś żyć musi.

– Kluby mu płacą. Nie jakieś ustalone stawki, ale jak patrzę na życie gościa, to podejrzewam, że całkiem niezłe. Za ściąganie dziewczyn, zrobienie imprezy, przyciągnięcie znanych osób, z którymi się kuma. On to podpatrzył na imprezach house w Niemczech. Organizuje coś podobnego, a że mu się udaje, to właściciele dyskotek się dzielą, zlecają następne zamówienia i cieszą z kolejnych imprez realizowanych na bogato. Menago ma dobrą prasę.

Niezła partia dla młodej laski – pomyślała Mona. Że też takie mendy przyciągają te najfajniejsze, najbardziej niewinne. Nie miałaś się w kim zakochać, dziewczyno?

– Niech zgadnę – odpowiedziała. – I to jest problem w sprawie Marty?

On albo bardziej to, kim jest i kogo zna – odpowiedziała w myślach. Nikt nie chce być zamieszany w handel żywym towarem, prostytutkę, narkotyki, a już na pewno nie w zaginięcie i potencjalne morderstwo. Taki Menago mógł mieć w komórce kontakty do ministrów, aktorów i celebrytów.

– Wręcz przeciwnie.

– Jak to?

– Są ludzie, którym się podobały sugestie, że Marta może być jego ofiarą. Menago jednak... był poza podejrzeniem. W czasie, gdy zniknęła Marta, on przebywał we Włoszech.

– Na pielgrzymce?

– Żebyś wiedziała. Wyjechał na wycieczkę z kurią. Ktoś go wkręcił jako opiekuna.

– Nie wierzę – warknęła Mona.

Berek roześmiał się głośno.

– Kto wie, może rzeczywiście próbował się nawrócić...

– Akurat – mruknęła Iwona.

– ...albo, co bardziej prawdopodobne, wyszukiwał dziewice dla szejków z Kataru. Dziewice zawsze w cenie, zupełnie nie wiem dlaczego.

Mona miała ochotę strzelić mu w pysk. Musiała się naprawdę postarać, by tego nie zrobić.

– Przecież żartuję – dodał Berek widząc jej minę. Poprawił się na siedzeniu.

– Ale... to nie Menago miałem na myśli, mówiąc że Marta zakochała się w niewłaściwym facecie...

Moną coś wstrząsnęło. Nie lubiła takiego kluczenia. Berek mógł sobie zasługiwać na swoją ksywkę, ale nadszedł czas, by go przycisnąć do muru i w razie potrzeby chwycić za szyję.

– A kogo?

Wahał się chwilę, jakby sugerując, że wciąż ma wątpliwości, czy może im powiedzieć. W końcu zniżył głos do szeptu i przeszedł do sedna:

– Menago rzeczywiście próbował wciągnąć Martę Furman w swój świat, obiecywał karierę w Mediolanie, wielkie pieniądze, sukcesy, filmy i inne akcje, ale dziewczyna stała twardo na ziemi i nie pozwoliła się omamić. Urok Menago na nią nie działał. Trzymała dandysa na dystans, wiedząc, co to za typ.

– Jednak...

– Jednak takich wątpliwości nie miała wobec najlepszego kumpla Menago. W sumie nic dziwnego, bo to niezły gładysz i... jak to się mówi: z dobrej rodziny. Znaczą się kasiasty, z furą, na której widok laski zapominają, że już mają chłopaków.

– A mówiłeś, że twardo stapała po ziemi – wspomniała Iwona.

Berek pokiwał głową i jakby trochę posmutniał. Jakby zdał sobie sprawę, że są dziewczyny, które nie lecą na kasę i furi, ale które nigdy nie zainteresują się kimś takim jak on.

– Bo stapała i samochody nie robiły na niej wrażenia. Modelowa uroda nowego znajomego też nie. Spodobało jej się... jego wnętrze. Poetycko–romantyczne. Pisała o tym koleżankom na fejsie. Cała w kwiatuśkach i rumieńcach wyznawała, jak to się zabujała na amen.

– Co to za gość?

Berek chrząknął.

– Poeta.

– Berek – upomniała Iwona.

Przykrywkowiec skinął głową w kierunku napisu CASINO.

– Martę Furman po raz ostatni widziano tam w Piekiełku, w kasynie. Kasyno należy do sieci hazardowej Huberta Wilkosza, którego możecie sobie poszukać na listach „Wprost” i w różnych innych rankingach. Hubert ma jednego syna, podobno ukochanego. Ten syn ma jednego najlepszego przyjaciela.

– Przyjaciół ma ksywkę Menago? – Zakończyła Iwona.

Kolejny bogaty chłoptaş do przesłuchania – pomyślała Mona. Kolejny kłopot, może większy niż samo porwanie. Może jednak nieprawdopodobna na pierwszy rzut oka teoria Iwony wcale nie jest taka szalona.

– Syn Wilkosza jest w aktach persona non grata – ciągnął Berek. – Żeby zapewnić mu alibi, ktoś dopisał go do tej wycieczki do Włoch, tej samej, na której był Menago. To umożliwiło adwokatowi skuteczne blokowanie przesłuchania. Żeby nie było: nikt specjalnie nie próbował, bo skoro dwaj przyjaciele sobie

pojechali na wycieczkę, to jak mogą być zamieszani w jakieś zaginięcie w tym czasie. Żelazne alibi czasem rdzewieje, ale dopiero po latach. Adwokat Wilkoszów w ogóle kazał im się wypierać tej znajomości, więc się wypierają. Nie znają, nigdy nie widzieli, nie wiedzą, o co chodzi. Więc po co przesłuchiwać i mnożyć nieważne zeznania... Ale wiecie co... to bujda. Alibi ściemnione i kupione u księdza i paru dzieciaków, którzy potwierdzają, że znali obu „tych panów” i widzieli ich w autokarze i w Rzymie. Artur Wilkosz był w Gdańsku w dniu zaginięcia Marty Furman, widywał się z nią, być może sypiał i żadne ściemy tego nie zmieniają. Artur Wilkosz powinien być przesłuchany w charakterze świadka, a może nawet podejrzanego. Artur Wilkosz ma sumienie przeżarte niezadanymi przez nas pytaniami...

Mona przymknęła oczy, bo coś się dobijało do jej głowy. Nie od razu zrozumiała, co.

Artur... Artur Wilkosz, syn majątnego właściciela kasyna, milionera z listy „Wprost”, znanej i wpływowej osoby. Dobra partia.

Wreszcie zrozumiała.

Artur. To imię. Nie musiała zadawać więcej pytań. Nie musiała pytać Berka o Waisa. Wiedziała już, jaki jest związek tych dwóch spraw.

Nie ma przypadków.

Czasem tylko ktoś je użytkowo produkuje.

*

– No to się zesrało – mruknął Gebert.

A wszystko wydawało się takie proste i oczywiste. Sprawa – przy całej swojej powadze i tragizmie – dotąd układała się jak w zegarku, wyglądała na jednoznaczny i rokujący pozytywne rozwiązanie. Wais miał najeść się strachu, stracić trochę hajsu, posiwieć. Córeczka i synek dostaliby kosztowną szkołę prawdziwego, mocnego życia. Żonka może wróciłaby z jakąś psychozą.

Nic wielkiego.

Nie współczuł ofiarom, był na to za stary. Zbyt dużo zła widział, by się nad nim pochylać, przejmować. Jeśli pogodzisz się z faktem, że zło istnieje, przestaje na ciebie oddziaływać. Staje się częścią rzeczywistości, nefajnym, mrocznym, niechcianym, ale zwyczajnie obecnym fragmentem nocy. Świadomość sprawia, że unikamy rozczarowań.

Tak czy inaczej, wszystko zakończyłoby się dobrze. Przekazaniem okupu, odzyskaniem zakładnika, odtrąbieniem w mediach sukcesu przez rzecznika prasowego.

Gebert wyszczerzył zęby widząc w wyobraźni tę wypielęgowaną, gładko

ogoloną twarz pierwszego policyjnego celebryty.

Zapewne złapaliby też sprawców, bo... już w zasadzie ich mieli. Trzy dni śledztwa, a tyle ustaleń. Włosy na miejscu zbrodni, chłopak śledzący Waisa z lotniska, zakupy na Allegro nie pozostawiające żadnych wątpliwości. Mieli ich. Mieli ich, cholera, na widelcu.

Wydawało im się, że są cwani, a byli... nawet nie nieostrożni. Byli zwyczajnie głupi, bo jak nazwać kogoś, kto używa telefonów na kartę, żeby nie dać się złapać, ale dzwoni na numery zarejestrowane na prawdziwe osoby?

Tak, znaleźli tutaj taki kwiatek.

Wszystko się składało. Gebert już widział siebie i cały zespół na uroczystej ceremonii wręczenia nagród i wyróżnień.

I awansów.

Nie to żeby jakoś specjalnie na nie liczył, ale z wsparcią dwoma belkami gwiazdką podinspektora czułby się znacznie lepiej niż z czterema ośmioramiennymi kleksami nadkomisarza. Skoro ta gówniara z Warszawy tak szybko zasłużyła, to on – ze dwa razy pewnie starszy – był gorszy?

Taki piękny sen zepsuty o poranku.

– Zesrało – przyznała Mona.

Siedzieli w trójkę w gabinecie, który przydzielono Monie. Ona, Iwona, Gebert. Właśnie opowiedziały mu o gazecie, rozmowie z Pałuckim, nowych hipotezach, wreszcie o Hausbergerze i na końcu, co gorsza, o sprawie Marty Furman.

Tego Hausbergera mógł przeboleć, jednak Marta Furman to był zapalnik do prawdziwej bomby. Przechodzili to już rok temu. Przez wiele miesięcy musieli chodzić jak po polu minowym. Nikt nie lubi takich spraw, nikt nie chce, żeby mu w aktach grzebali politycy, media i skurwysyny lobbyści. Nikt nie chce mieć na karku całego tego syfu, który oglądają w telewizjach informacyjnych.

Patrzył więc na te dwie kobiety z wyrzutem. Baby zawsze muszą nasmrodzić, popuścić, zaślimaczyć coś, co jest czyste, sterylne, nieklejące, zwyczajne. Zawsze chcą drażnić, szukać tam, gdzie nie trzeba. Gdyby siedziały na dupie, mieliby taką piękną i czystą sprawę z szansami na szybkie wyjaśnienie, złapanie winnych, zamknięcie.

A tak, dupa.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Tylko my dwie. Ale powinnyśmy powiedzieć Pryglowi i innym z zespołu.

Gebert pokiwał głową. Nie powiedziały tego wprost, jednak właśnie prosiły go, żeby zataił informacje przed ludźmi z Gdańska. Gdyby się nie zgodził, odsunęłyby go od sprawy, zleciły dalsze czynności jakiejś delegaturze szczecińskiej czy poznańskiej, a może nawet białostockiej. Nie chciały tego, bo przecież to kłopot. Ten gest oznaczał też zaufanie do niego, więc mógł go uznać za

miły, szczerzy. Oczekują jedynie, żeby nic nie mówił przyjaciołom i przełożonym. Jeśli nie chce mieć tu jeszcze większego syfu, lepiej, żeby je posłuchał – to miały do przekazania.

W sumie miały rację, sam by postąpił podobnie, jeśli nie identycznie.

Zgoda, nie było wyjścia.

– Co robimy?

Mona instynktownie spojrzała w kierunku teczki ze zdjęciami, na której ułożyła fotografię Elizy Wais.

*

Wolna. Wkrótce będzie wolna.

Brażowy śmieje się głośno, cieszy, rechocze.

Pieniądze są. Pieniądze!

Wolność nadchodzi!

Ciesz się, ciesz!

Dużo do niej mówi. Przez megafon jak zwykle, ale mówi. Gdy Niebieskiego nie ma, zostawia Różowego, bo mu się Różowy nudzi, bo Różowy działa mu na nerwy, bo Różowy – co tu owijać w bawełnę – go zwyczajnie wkurwia.

Kłamie, więcej kłamie niż mówi prawdę.

O tym gdzie są, kim są, co robią.

O pociągu, co go słyszy za oknem, o tym domu, w którym mieszkają, o wiosce, bo są we wiosce, a nie w lesie jak mówi, o stadninie koni, którą słyhać i czuć, o ludziach, co przyjeżdżają i co ich słyhać, i których można by wykrzyzczyć, wezwać na pomoc, gdyby nie była taka słaba, taka poddana, taka obolała, z połamanymi paznokciami, bolącymi zębami, osaczona i zduszona.

Dużo kłamie, więc może i o tej wolności też kłamie.

Ale z pieniędzmi to prawda.

Ona wie, że prawda, bo wie, że Daniel zapłaci.

Inny by może nie zapłacił. Za te wszystkie kłótnie, nieporozumienia, za to że ma swoje zdanie i nie zawsze jest łatwa, miła, potulna, spacyfikowana, za choroby wreszcie, za różne odcienie, za humory. Inny by nie zapłacił. A Daniel zapłaci.

Każdą kwotę.

Brażowy musi zapalić. Odpina łańcuch, bierze ją ze sobą na tego papierosa.

A potem się rozczuła i ku jej zdumieniu mówi, że przecież nie muszą być wrogami. Że jak już skończy się ten koszmar, mogą się zaprzyjaźnić. Że on ją obroni. Przed Niebieskim i przed innymi. Że kiedyś w przyszłości, może ją ochronić własną pierś, jeśli tylko zechce.

Bełkocze tak, a ona zastanawia się, czy to jakaś gra, czy może Brażowy

zwariował.

I czy to jakaś szansa dla niej.

Na uduszenie go, skopanie Różowego.

Na zerwanie worka z głowy.

Na ucieczkę.

I ciągle myśli o tych koniach i ludziach za oknem.

O tym, że gdyby teraz zerwała ten worek, wyrwała łańcuch z rąk Brązowego, zakrzyczała o pomoc, może by się wszystko skończyło.

Tak albo inaczej.

Jedna decyzja, jeden ruch.

I koniec.

Taki albo inny.

Rozdział 13

[brak wpisu od użytkownika Anna]

W pokoju przesłuchań czekały na nią cztery osoby: dwie kobiety i dwóch facetów. Jedna z tych kobiet była zapewne tą, o której mówił jej ojciec. Druga, młodsza, ładniejsza, przypominała jej jakąś francuską aktorkę. Jeden z mężczyzn był proporcjonalny. Przedstawił się, ale nie zapamiętała nazwiska. Powiedział, że jest prokuratorem. Drugi wyglądał na starego obwiesia, pijaka. Nie podał jej ręki, nie powiedział imienia czy nazwiska. Siedział trochę z tyłu. To on ustawił kamerę. Zdziwiła się, że chcą nagrywać. Miała też wrażenie, że więcej osób obserwuje ją przez lustro weneckie ukryte w ścianie. To nie miało być zwykłe przesłuchanie. Oni wiedzieli. Wiedzieli, że coś ukrywa. Mogli udawać, ale ona się zorientowała.

Tyle że...

...co miała z tym zrobić?

Dzień wcześniej powiedziałabym wam wszystko jak na spowiedzi, ale po rozmowie z ojcem już nie mogę.

Nie mogę narażać życia mamy, mam nadzieję, że to zrozumiecie.

Tak bardzo chciała im dać znać, posłać jakąś wskazówkę, zostawić ślad, sygnał. Nie chciała kłamać i oszukiwać. Ale życie mamy było ważniejsze.

– Mogę mówić do ciebie po imieniu? – zapytała starsza. Miała ochotę odburknąć, że tak pod warunkiem, że zadziała to w obie strony, ale tylko skinęła głową i szepnęła:

– Proszę.

– To oficjalne przesłuchanie. Pouczam cię, że za składanie fałszywych zeznań grozi odpowiedzialność karna.

– Wiem.

– Studiujesz psychologię?

– Tak.

– Chcesz być terapeutką czy pracować z dziećmi?

Co to ma do rzeczy?

– Profilerką.

Ta druga, młodsza zerknęła w kierunku ściany, jakby prawdziwy sędzia miał się za nią kryć. Starsza strzeliła gromem z oczu, a potem podjęła:

– Jak ci idzie? Same piątki?

Na pewno dobrze wiesz – odparła w myślach, była pewna, że policja zrobiła już research w dziekanacie.

– Radzę sobie.

– Dobrze, przejdźmy do rzeczy. Opowiedz nam, co się zdarzyło tego dnia, w środę.

Przymknęła oczy. Tak było łatwiej sobie przypomnieć. W tej chwili chciała mówić tylko prawdę. Opowiedziała im o tym cholernym poranku, wcześniejszym wyjeździe ojca i imprezie. Powiedziała nawet, że to ona miała wyprowadzić psa, ale nie wspomniała, że jej zdaniem to ją chcieli porwać.

– Podejrzewasz, kto mógł to zrobić?

Pewnie, że podejrzewam.

– Nie.

– Mama miała wrogów?

– Nie.

– A tata?

Zawahała się, czy odpowiedzieć zwyczajnie, czy na nich naskoczyć.

– Tata ma wielu wrogów.

– Sądzisz, że któryś mógł stać za porwaniem?

– Skąd mam wiedzieć? To wróżenie z fusów. Po co zadajecie takie pytania?

Skąd ja mam wiedzieć, czy któryś z konkurentów się na tatę zawziął?

Młodsza uniosła uspokajająco dłoń. Starsza patrzyła na Elizę, jakby chciała ją dogłębnie przeskanować. Szczęśliwie to nie działa, stara krowo.

– A twoi znajomi?

– Moi?

– Tak, masz dużo znajomych, prawda?

– Tak.

– Czy któregoś z nich mogłabyś podejrzewać o udział w przestępstwie?

– Porwaniu?

– Przestępstwie.

Znów się zawahała. Nie była pewna, co mówić, żeby im pomóc, a jednocześnie nie zaszkodzić mamie. Żeby nie wprowadzić niepotrzebnego wątku. Tego jednego wątku, o którym nie wolno jej było powiedzieć.

– Nie wiem. Mam różnych znajomych.

– Rozważałaś, czy któryś może mieć z tym związek?

– Słuchajcie, ja nie będę... – nie dokończyła.

– Kablować? Nie będziesz kablować? Wolisz, żeby mama nie wróciła do domu?

– Mówię o wszystkim, co może mieć związ...

– A skąd możesz o tym wiedzieć?

– Z Radkiem... moim chłopakiem... zastanawialiśmy się, czy tak nie jest.

Czy ktoś z naszego kręgu, z naszych znajomych, mógłby to zrobić.

– Jakie wyciągnęliście wnioski?

- Uznaliśmy, że to niemożliwe.
- Dlaczego?
- Po prostu. Tak nam się wydawało.
- A on? Radek?
- Co, Radek?
- Mógłby brać udział w porwaniu?

Roześmiała się gwałtownie. Radek porywaczem. Chyba w bajce o Kreciku.

- Nie. Tego akurat jestem całkowicie pewna. Radek lubi mamę i odwrotnie.

Niemożliwe, żeby miał z tym coś wspólnego.

Starsza spojrzała na młodszą. Ta przejęła pałeczkę.

- Inni chłopcy?
- Inni? Nie ma innych.
- Z nikim więcej się nie spotykasz?
- Jestem z Radkiem.
- A wcześniej?
- Wcześniej... się spotykałam. To... stare dzieje.

Młodsza wyciągnęła laptop na stolik, zalogowała się i odwróciła w kierunku Elizy tak, żeby mogła obejrzeć wyświetlony na ekranie kadr.

– To ujęcie z monitoringu miejskiego. Kamera przed jednym z kasyn należących...

Jakim cudem znaleźli to nagranie sprzed tygodni? Jakim cudem wyłowili ją z tłumu wchodzących?

– Byłam tam tylko raz, żeby porozmawiać – przerwała. Więć wiedzą. Wiedzą wszystko, tylko udają, że błądzą. Jeśli im nie powie, wyjdzie na spiskowca, na kogoś, kto nie chce ocalić mamy. Co robić, dobry Boże, co?

- O czym?

– Artur Wilkosz jest moim byłym chłopakiem...

– Wiemy. O czym z nim rozmawiałaś? – Nacisnęła młodszą.

– No... dobrze, wahałam się, czy do niego nie wrócić. Z Radkiem ostatnie tygodnie nie były najlepsze. Przez przypadek wpadłam na Artura i kilka razy się spotkaliśmy. Ale nie było to nic zobowiązującego czy... intymnego.

- Nie poszłicie do łóżka?

– Nie. Po prostu kilka razy rozmawialiśmy przy kawie czy drinku.

- I poszłaś się z nim rozmówić?

– Tak.

– No i jaki był wynik tych rozmów?

– Już mówiłam: były niezobowiązujące. Ale... nic by z tego nie wyszło.

Było minęło i trzeba to zostawić w spokoju.

Starsza skinęła głową do młodszej. Ta gwałtownie uderzyła w spację i twarz Artura zastąpiło zdjęcie ładnej blondynki. Marta. Więć wszystko wiedzą. Zaraz się

wyda. A ona tego nie przetrzyma. Nie będzie w stanie dalej walczyć.

– Kto to? – zapytała z kamienną miną. W końcu nazywała się Wais. A żaden Wais nie da się zagonić do mysiej nory.

– Nie wiesz?

Właściwa odpowiedź? Jeśli wiedzą, to złapią ją na kłamstwie. Jeśli nie wiedzą... Nie mogli nie wiedzieć, skoro pytają. Zatem wiedzą. Pewnie znaleźli gazetę w samochodzie ojca. Pewnie przegrzebali dysk w jej komputerze. Wiedzą, czego szukała w necie. Jakie filmy oglądała. Jakie reportaże. Pewnie też ściągnęli sobie wszystko z jej telefonu. Zatem nie ma co ściemniać. Wiedzą. Udała, że po bliższym przyjrzeniu, nagle ją rozpoznała.

– To Marta?

Tym razem młodsza zrobiła minę idiotki.

– Marta? Jaka Marta?

Prowokuje ją. Chce konfliktu, starcia, konfrontacji. Nie daj się, Eliza, nie daj.

– Marta Furman? – Powtórzyła wciąż pytająco. – Dziewczyna, która zaginęła przed rokiem?

– Znałaś ją?

– Nie. Nigdy się nie poznałyśmy.

– Więc skąd o niej wiesz? Skąd zainteresowanie nią?

Tu akurat łatwo się obronić. Chyba każdy w Trójmieście poznał tę historię. A pewnie co dziesiąta osoba w Polsce by ją pamiętała i dziś.

– Było głośno o... tym zaginięciu.

Młodsza poprawiła się na siedzeniu, starsza cały czas ją obserwowała. Gówniarz prokurator patrzył na to z wyraźną fascynacją. Obwieś udawał znudzonego i że chce już na piwo.

– W samochodzie twojego ojca...

Szybka, bardzo szybka kwerenda zachowań, które mogły posłużyć im w tym przesłuchaniu. Czytała artykułu, wracała do nich, oglądała filmy. Takie przypadki nie istnieją. Więc zaraz ją przycisną, jeśli... nie przejmie pałeczki.

– Wiem – przerwała. – Znaleźliście gazetę z artykułem o Marcie. Ja ją tam włożyłam. Znalazłam w śmieciach przez przypadek i wtedy sobie przypomniałam, że chyba kiedyś, w jakimś klubie ją widziałam, potem obejrzałam reportaż o niej, a kiedy mama została porwana, obejrzałam ten reportaż jeszcze raz szukając jakichś związków...

– Znalazłaś?

Smutna mina. Najsmutniejsza, na jaką było ją stać.

– Nie. Jak już mówiłam, jeszcze kiedy Marta zniknęła, wydawało mi się... wydawało mi się, że kiedyś ją widziałam przelotnie w jakimś klubie. Tylko tyle.

– Z kim?

– Z nikim. Po prostu... tańczyła, bawiła się w tym samym miejscu.
Przypadek...

Mona była już pewna, że niczego się nie dowiedzą. Ktoś kazał jej milczeć.
Prawnik, ojciec, dziadek, ktoś inny, a może...

– Nie chcesz go w to wmieszać, prawda?
– Nie rozumiem – ściemniła.
– Próbujesz ukryć związek Artura Wilkosza z zaginięciem Marty Furman.
– Nie było takiego związku – odparła nieco za szybko.
– Ktoś ci grozi? Grozi, że jeśli coś nam powiesz, twojej mamie stanie się coś złego? O to chodzi?

– To jakaś... bzdura.
– Na pewno? Dlaczego zatem nie chcesz nam powiedzieć prawdy?
Wszystkiego o tobie, Arturze i... Marcie?

Bo, kurwa, tata mi zakazał. Bo może to mieć znaczenie. Oto dlaczego.
– Nie ma żadnego trójkąta. I nie było.
– A może to była dziewczyna Menago?
O tym akurat mogła mówić.
– Menago to dupek.
– Najlepszy przyjaciel twojego byłego chłopaka.
– Kto wam tak powiedział? Menago próbuje być przyjacielem wszystkich ważnych ludzi, ale nikt go nie traktuje poważnie. To, już mówiłam, to dupek.
– Ten dupek poznał twojego chłopaka z Martą Furman, a potem go krył.

Zmarszczyła brwi.
– Bzdury.
– Jak widywałaś się z Arturem, Menago często wam towarzyszył?
– Prawie nigdy. Artur wiedział, że nie ma pomiędzy nami chemii.
Chwila ciszy.

Strategia przesłuchania: daj ciszy działać.
Młodsza chyba chciała przystąpić do frontального ataku, ale starsza powstrzymała ją gestem dłoni. Nachyliła się nad stołem. Teraz dopiero patrzyła jak jakiś oszołom od parapsychologii.

– Jesteśmy tu po to, żeby pomóc. Musisz nam zaufać.
– Ufam – znów za szybko, równie dobrze mogła wzruszyć lekceważąco–zlewczno ramionami.

– Sprawa Marty Furman może nie wiąże się z porwaniem twojej mamy, ale jeśli jest inaczej, powinniśmy wiedzieć. Wtedy lepiej się przygotujemy. Będziemy mogli dobrać odpowiednie środki. Przecież to rozumiesz, prawda? Porozmawiaj z nami szczerze.

Nie mogę.
– Rozmawiam – zrobiło jej się szkoda tej starszej, więc dodała: – Macie

rację. Artur znał Martę, ale nie byli parą. Jestem tego pewna. Nie byli ze sobą.

Mówiła z pełnym przekonaniem, bo naprawdę w to wierzyła. Więcej: wiedziała. W sumie pomyślała, że gdyby powiedziała im prawdę, być może dałaby Arturowi Wilkoszowi najlepsze możliwe alibi. A jednak ojciec jej zabronił, bo był pewien, że Wilkoszowie tego nie chcą. Nie chcieli alibi. Sami mogli sprawić, że nazwiska Wilkosz w ogóle nie będzie w aktach tego porwania. Tego chcieli, a ona musiała im to dać, jeśli mama ma wrócić do domu.

– Ta sprawa nie ma związku z porwaniem mamy – powiedziała najdobitniej, jak potrafiła.

Spojrzeni po sobie, potem wszyscy na nią. Ich oczy przekazywały same złe emocje. Ale najgorsze było spojrzenie tego obwiesia. Stara i młoda może były trochę złe, trochę jej współczuły. Prokurator pokazywał, że ma to gdzieś i ewentualnie kiedyś wykorzysta cynicznie przeciwko niej albo komukolwiek.

A obwieś patrzył z takim zupełnie pozbawionym emocji przekazem: obys nie oberwała po dupie, dziewczyno, za te wszystkie kłamstwa.

– Niech będzie. Wróćmy do twoich przyjaciół ze studiów.

*

Czym ona się różni ode mnie? Mona początkowo chciała naskoczyć na gówniarę, przycisnąć ją, stłamsić, ale pod koniec przesłuchania zrozumiała, że to bez sensu.

Były trzy możliwości: dziewczyna jest zamieszana i współpracuje z porywaczami (z opcją kierowniczą raczej wykluczoną, ale wciąż możliwą); jest wykorzystywana/zastraszana i szantażowana przez porywaczy; nie bierze udziału w żadnej grze, jest tylko zwykłą ofiarą. W każdej z tych trzech wersji atak byłby błędem. Nawet jeśli była winna, a tym bardziej, jeśli należała do decydentów, otwarty konflikt spowodowałby jedynie całkowitą odmowę współpracy. Z jej strony i starego Waisa. Policja stałaby się wrogiem. Koniec sojuszy, czas na wojnę.

Mimo to miała poczucie, że coś wymknęło jej się z rąk.

Byli blisko jakiegoś małego przełomu. A może wielkiego. Mieli go na widelcu i jakieś zrządzenie losu sprawiło, że go nie odkryli.

Zrządzenia losu.

Jak zwykle pojawiają się, gdy nikt ich nie potrzebuje.

Gryzła przez chwilę ołówek w zębach, a potem wybrała numer komórki Hausbergera.

Najwyższy czas porozmawiać.

Komórka przekierowała ją na recepcję jakiegoś hotelu. Podana swoje nazwisko (bez stopnia) i poprosiła o połączenie z Hausbergerem. Panienska zapytała

w jakiej sprawie. Ona odparła: osobistej. Chwilę czekała.

– Przykro mi, numer nie odpowiada. Pana Hausbergera nie ma. Oddzwoni do pani. Zapisać wiadomość?

– Nie – mruknęła.

– Rozumiem.

– Albo... tak!

– Proszę?

– Niech pani zapisze moje nazwisko i przekaże, że dzwonię z policji. Z Centralnego Biura Śledczego. Dzwonię w sprawie... zabójstwa. Nie, tego niech pani nie przekazuje – uśmiechnęła się. – Niech pan Hausberger do mnie oddzwoni. Jak najszybciej.

Rozłączyła się. Cholera, telefony bez odpowiedniego przygotowania tak się kończą. Popełniła błąd. Nie powinna dzwonić do Hausbergera. Jeszcze nie.

Zalogowała się na GaduGadu i próbowała wywołać Diesla. Nie było go on-line. Nawet nie może się pobrandzlować przez net.

Weszła do sieci i spojrzała na wiadomości.

Jakby wyczuła, że pojawi się coś, co ją na dziś dobije.

Główna wiadomość na Onecie głosiła, że jest nowy kandydat na wiceministra, podsekretarza stanu nadzorującego policję. Inspektor Dawidiuk, zwany też Księciem.

„Diuk znaczy Książę i taki jest właśnie Dawidiuk. Niezależny, silny, odważny. Wszyscy wiedzieliśmy, że kiedyś zostanie szefem policji albo ministrem.” – opowiadał o nim jeden z kolegów z policji.

W dalszej części artykułu różni policjanci mówili o przymiotach Księcia, o jego przygodach przy zwalczaniu mafii, zorganizowanej przestępczości gospodarczej, o kursach w FBI, odznaczeniach za pomoc innym policjom i służbom europejskim. Artykuł był jednoznacznie pozytywny. Ani jednej negatywnej opinii.

Niesamowite, jak to działa.

Jaki kurewski jest ten świat.

Na jej maila z kryptonimem „Teresa”, sygnaturą sprawy i skanami dokumentów dziennikarze nie zareagowali, zamiast tego produkują laurki. Ale przecież nie mogła być pewna, dlaczego tak się działo. W końcu była tylko anonimowym źródłem, które na dodatek gryzło sumienie, że w ogóle to zrobiło. Może dziennikarze zadali pytania, a rzecznik ich zbył. Co mieli zrobić, jeśli nie mieli żadnych innych dowodów poza anonimem? Co innego, gdyby zeskanowała im akta z tajnej teczki i je przesłała. Ale wtedy popełniłaby przestępstwo. Złamałaby tajemnicę. Do diabła, co robić? Nagle pomyślała, że powinna wykonać akcję „Głębokie Gardło”. Zadzwoić do pismaka i z nim porozmawiać. Jeśli będzie trzeba, to się ujawnić. Powiedzieć, kim jest i dlaczego robi, co robi.

Ale przecież dziennikarz jej nie uwierzy. Pomyśli, że jest zawistną suką, która chce wrobić kolegę, żeby ten nie dostał awansu. Kto wie, czy nie zarzuci jej szkalowania oficera z osobistych pobudek. Kto wie, czy nie zapyta: chce pani jego stanowisko? A może to coś bardziej osobistego? Sprawy sercowe, zazdrość?

Zamknęła Onet i już miała wyjść z komputera, gdy zamrugało do niej okienko Gadu–Gadu. Z nadzieją uruchomiła program, ale to nie ON do niej napisał.

<<Nieładnie tak się rozpraszać.>>

Wiadomość została nadana z anonimowego konta założonego na nick *Behemot*. Jej też było... „pod przykryciem”. Logowała się jako *Isztar*. Nie była pewna, czy to żart, czy ktoś znajomy, ale jeszcze niezidentyfikowany.

<<Kto pisze?>>

<<Ktoś.>>

<<O co ci chodzi?>>

<<Zajmij się swoją sprawą... dziecino.>>

Tylko ON do niej tak mówił. Kiedyś, a teraz znów zaczął. Czyżby... Nie, raczej to nie ON. Nagle pomyślała, że jednak wiele by dała, by się myliła. Nawet nie byłaby zła za tę „dziecinę”. Przecież kiedyś, choć wiedziała, że to lekceważące, nawet jej się podobało. ON był opiekunem, kimś czuwającym nad nią. Wtedy właśnie tego potrzebowała i gdy przestał, nawet miała poczucie utraty, choć ze świadomością, że coś się zmienia na lepsze. Tak więc... niech to będzie Diesel. Niech będzie.

<<To ty?>>

<<No pewnie, że ja.>>

<<Jeśli to ty... przestań. Wiesz że nie lubię takich akcji.>>

<<Rób, co do ciebie należy, dziecino.>>

Nie odpowiedziała. Czują się dziwnie. Jednak to nie ON. Nie powtórzyłyby dwa razy. Nie w taki sposób. Chyba.

<<Zapomnij o tamtej sprawie. Zostaw demony. Patrz w przyszłość, dziecino.>>

Na pewno nie ON.

<<Kim jesteś?>>

<<Przecież wiesz.>>

<<Nie.>>

<<Tak.>>

Drugie okno czatowe otworzyło się automatycznie. Gość o nicku *Vegas* napisał:

<<Cześć, już jestem.>>

Vegas był Dieslem. Prawdziwy ON.

<<Pisałeś do mnie z anonima?>>

<<Ja? Nie. A co?>>

<<Nic. Mam chyba jakąś mendę na kompie.>>

Anonim przerwał milczenie:

<<Tylko nie menda.>>

Cholera. Był tu cały czas. Włamał się złamas i siedział na jej dysku.

<<Na razie.>> – napisała do Diesla.

Wyłączyła gwałtownie kabel sieciowy, weszła do opcji i odcięła bezprzewodowy dostęp do netu. Potem szybko wyjęła baterię. Pół godziny później na poczcie pakowała laptopa do paczki dla kuriera. Priorytet, super ważny, super pilny. Z dodatkowym ubezpieczeniem, żeby nie zginął. Jutro rano ma być tam, gdzie ma być. Zawahała się. Jeśli ją obserwują i tak przejmą paczkę. Czy ta przesyłka będzie bezpieczniejsza, niż gdyby przesłała komputer oficjalnym kanałem CBS? Nie знаła odpowiedzi, ale zaufała instynktowi. Pocztownicy potrafią być przyzwoici i działają zgodnie z procedurami. Jeśli ktoś będzie chciał zabrać paczkę, to albo pobije kuriera albo będzie musiał ją zabrać na podstawie jakiegoś dokumentu. Tak czy inaczej zostawi dla niej ślad. Nie zaryzykują aż tak. Zaadresowała na Artystę. Zostawiła przesyłkę i znalazła najbliższy sklep z elektroniką. Kupiła kartę pre-paid i zadzwoniła na numer, który Diesel kiedyś kupił tylko do kontaktu z nią.

– Wiesz, że jeśli to ONI, to i tak mają nas na kablu.

– Nie ważne. Wysłałam komputer do Artysty.

– Dopilnuję, żeby go dobrze przeczesał. Ale nie licz na wiele.

– Nie liczę.

Pomyślała, że ma wielką ochotę, by powiedzieć mu, że go kocha. Bo kochała. Chyba. Jakby zareagował? Zastałaby go jeszcze w domu po powrocie?

– Diesel?

– Tak?

– Brakuje mi cię tutaj.

– Czekam na ciebie, rozpalony i rozgniony, dziecino.

Dziecino, ale inaczej, inaczej niż tam w internecie czy wcześniej, gdy był wkurzony. Pieszczotliwe: dziecino.

– Nie nabijaj się. Poważnie mówię.

Milczał.

– Grzeczna bądź – rzucił w końcu.

– Jestem.

ON rozłączył się bez żadnego pa, całusa, buziaka. Co się stanie, jak kiedyś odejdzie? Wytrzyma to? Nie zwariuje? Rzuci dietę i odzyska te czterdzieści zgubione kilo?

Wróciła do sklepu i kupiła najtańszego laptopa i modem bezprzewodowy.

Czekało ją tej nocy sporo pracy z wgraniem odpowiednich programów

i ustawieniem zabezpieczeń tak, by nawet najlepsi spece z CBS nie mogli się dostać do jej danych.

Trudne, ale nie niemożliwe.

Gdy wróciła do hotelu, zadzwoniła Iwona.

– Nie zgadniesz!

– Nawet nie próbuję.

– Właśnie wracamy z domu Wilkosza.

– No i?

– Wyobraź sobie, że dziwnym trafem Artur Wilkosz wyjechał nieoczekiwanie dziś nad ranem na wyprawę ekstremalną do Meksyku. Będzie nieosiągalny co najmniej przez miesiąc. Stary Wilkosz za to chętnie z nami porozmawia. Bardzo chętnie. Kiedy chcemy i jak chcemy, byle w obecności jego dziesięciu prawników z dwóch najdroższych kancelarii w tym kraju.

Cholera. Ktoś ich sprzedał. Kto?

O Wilkoszu wiedzieli tylko ludzie z jej zespołu i Gebert, jeśli dotrzymał słowa i nikomu nie powiedział od siebie. Zakładała, że dotrzymał. Więc kret jest u nich. Agenci? Sędzia? Iwona? Max? Prygiel? Co ci podpowiada instynkt?

Niby milczał, a jednak coś tam szeptał do ucha.

Dowody, musisz mieć dowody. Nigdy nikogo nie oskarżyłaś, jeśli nie byłaś pewna, pamiętasz? Dlatego tak cię szanują. Dlatego każdy, kto zna cię dłużej, wskoczy za tobą w ogień. Jesteś dla nich uosobieniem najlepszego śledczego. Nie zepsuj tego, dziecino.

Pomyślała o tej biednej kobiecie przetrzymywanej teraz gdzieś w ciemności nie ze swojej winy. Samotnej, stłamszonej, maltretowanej psychicznie a może też fizycznie.

Miała coraz większe obawy, że to się źle skończy.

*

Nikifor przejechał aż trzysta kilometrów, żeby kupić w sklepie samoobsługowym potrzebne narzędzia. Zapakował do koszyka łopatkę ogrodową, solidny szpadel i siekiere, na koniec dołożył jakieś nasiona i dwa worki ziemi do kwiatów. Zapłacił gotówką. Ziemię wysypał dwa kilometry dalej, na leśnym parkingu. Worki wyrzucił do śmietnika na stacji benzynowej. Nasiona wylądowały w drugim śmietniku. Narzędzia zostały w bagażniku.

Podobno większość konkurencji przerzuciło się na internet. Uważali, że elektroniczne ślady są znacznie mniej groźne niż te pozostawione w realu. W sumie trudno było odmówić im racji. Dobrze zorganizowana transakcja na Allegro, z użyciem fałszywych kont i finalizacją w jakimś paczkomacie, była

bezpieczniejsza niż zakupy w sklepie tradycyjnym.

Nikifor jednak uważał inaczej.

Złapał się na tym, że popadał w rutynę. To wyszukiwanie wiejskich sklepów bez monitoringu, z bałaganem w ewidencjach, z kasjerkami kompletnie nie patrzącymi w oczy klientów, choć zapamiętującymi tych w czarnych okularach i czapkach mocno nasuniętych na głowę.

Nudził się. Czasem myślał, że powinien dać im jakąś szansę. Ślad, który pozwoliłby go złapać. Coś, co by nie czyniło go takim doskonałym.

Już raz nie uważałeś i jak się skończyło?

Poczuł dreszcze na ramionach na wspomnienie dwóch lat odsiadki z powodu własnej głupoty.

Dziesięć lat. Tyle minęło. Tak dawno, że teraz się już nie liczy.

Owszem, został skażony. Jest notowany, ujęty we wszystkich ewidencjach. Czasem, nawet dziś, kontrolowany. Gdy dzieje się coś złego, szukają go i zadają pytania. Ale coraz rzadziej. Skutecznie skrył się w swojej samotni. Skutecznie zakamuflował.

Dziesięć lat potrafi zatrzeć wyrok nie tylko papierowo. Sam czasem czuł się zupełnie innym człowiekiem. Jak to powiedział ten aktor ostatnio: to nie ja współpracowałem z SB, to ON. Ten inny ja, inny człowiek. Dziś już nim nie jestem. Obserwuję go z zewnątrz.

Nikifor czuł się tak samo. Był innym człowiekiem, niż ten porywczy, gwałtowny młody gangus, pnący się szybko po mafijnej drabince, odważnie podejmujący wyzwania i... głupio kończący.

Tacy jak ten „on” sprzed lat szybko kończyli. Zawsze znajdowali na swojej drodze lepszych. Żyli pełnią życia, tyle że krótko.

Zrozumiał swój błąd w więzieniu.

Dzięki jednemu człowiekowi.

Uśmiechnął się zagadkowo na wspomnienie pewnej łagodnej, wzbudzającej zaufanie, choć okropnie brzydkiej twarzy.

To dzięki niej był dziś kimś. Zostawił tamtego siebie sprzed lat daleko w przeszłości bez znaczenia.

Był kimś innym.

Znacznie groźniejszym.

*

Kochanek czekał na nią w pokoju. Siedział na łóżku w garniturze, pachnący i czysty, mimo całego dnia spędzonego w ferworze walki. Włączony telewizor nadawał jakiś film. Bez głosu. Czy oni wszyscy muszą oglądać filmy bez głosu?

I tak pachnieć po całym dniu pracy? Zawsze ją to zastanawiało. Jak oni to robią? Tyle godzin w garniturze, w ruchu, w stresie. A mimo to nie śmierdzieli. Wciąż wyglądali świeżo.

– Jak tu wszedłeś?

– Zapominasz, kim jestem.

– Pokazałeś blachę i poszło? Dali ci kartę?

– Pewnie to by zadziało, ale tak naprawdę wykorzystałem to – pokazał jej kartę z dziwnym układem mikroprocesorowym. – W hotelach trzygwiazdkowych zabezpieczenia są naprawdę słabutkie. Ten klucz pewnie działałby i w lepszych, ale jak zostanę komendantem, przykrywkowcy będą spać tylko w pięciogwiazdkowych.

– Nie ma ich u nas zbyt wiele.

– Wybudujemy.

– Nigdy nie zostaniesz komendantem.

Nalał sobie wódki. Wypił. Wstał. Był chyba trochę zły na to przekomarzanie. Albo grał złego. Podszedł do niej, pogłaskał po szyi, ujął szczękę i gwałtownie wpił się w nią, włożył ten ruchliwy język w usta, odebrał oddech. Poddała mu się, pozwoliła by ją rozebrał i wziął od razu, na podłodze, koło łóżka.

Potem leżeli nago na wykładzinie i oglądali telewizję. On i jego Juliette. Tak właśnie pomyślał. Przypominali Ironsa i Juliette ze „Skazy”. On stary, ale wciąż atrakcyjny, chudy, kościsty, przeżywający drugą młodość. Atrakcyjnie męski, dojrzały swoim doświadczeniem i umiejętnościami, z twardymi mięśniami i utrzymującym ciąglą gotowość najważniejszym organie, nazywanym przez tę i inne kochanki centrum dowodzenia. Ona młoda, rozpalona, rozgrzana do czerwoności przez pożądanie, jakie w niej budził. Zastanawiał się czasem skąd się brało. Czy to rzeczywiście kwestia jakiegoś poszukiwania ideału zbliżonego do ojca, jak sądzili psychologowie? Czy może potrzeba tej mądrości, której nabierają mężczyźni dopiero po pięćdziesiątce? Bo przecież nie robiła tego dla kasy i kariery. Nie, chyba nie.

– Ale dywany mają tu całkiem grube – powiedział.

– Wykładziny – poprawiła. – To nie dywan, tylko wykładzina.

– Jaka różnica?

– Taka jak pomiędzy szpiclem a donosicielem.

– Czyli żadna?

– Subtelna.

Roześmiał się. Lubił jej humor.

– Co u twojej żony?

Takie pytania znacznie mniej.

– Skąd mam wiedzieć. Widuję ją rzadziej niż ciebie.

– Mówiłeś, że jej powiesz.

– Teraz...
– Co teraz?
– Wiesz, że nie mogę. Rozszarpaliby nas.
– Wcale nie. To nie Ameryka.
– Nawet nie Anglia.
– Właśnie. Mieliby gdzieś, czy masz jedną kochankę czy dziesięć. Bylebyś się z tym nie krył.

– I nie wykorzystywał zależności służbowych.
– Może powinnam cię oskarżyć?
– O co? O molestowanie?

Przetoczyła się na niego, zacisnęła mocno uda. Znów był w gotowości. Wystarczyło jedno spojrzenie, jeden uścisk, jeden sygnał. Centrum dowodzenia zareagowało jak należy.

– O to, że nie zawsze potrafisz doprowadzić mnie do orgazmu – uniosła się i opadła. Dwa ruchy i centrum dowodzenia działało na sto procent. W niej.
– Ale przynajmniej sprawiam, że skutecznie oszukujesz.
– Staram się.
– Ja też.

Tkwiała tak, patrząc mu w oczy. Podobał jej się. Wciąż był przystojny, męski, silny. Prawdziwy mężczyzna. Chyba go kochała. Ludzie z miłości zaskakują. Dla miłości są gotowi poświęcić przyjaciół, kariery, pieniądze. Dokonują czasem przedziwnych wyborów.

– Więc lepiej wszystkich okłamywać?
– Lepiej nie zadawać pytań.
– Posłuchaj...

Zaczął, ale nie skończył, bo ona rozpoczęła swój taniec i teraz poruszała się już bardzo szybko, jakby jej się gdzieś mocno spieszyło. Czy teraz też oszukiwała, czy rzeczywiście było jej tak dobrze, jak to wyglądało?

Było dobrze. Tak dobrze, jak z żadnym mężczyzną dotąd.

Pomyślała, że jest stworzona do takiej zdradliwej miłości. Że to właśnie ją bierze. Z tą myślą skończyła z krzykiem opadając na spocone, twarde ciało mężczyzny.

Niby stary, a młody.

Niby przekwitły, a wciąż świeży.

Potem przeniosła się do łóżka, a on wstał i poszedł do łazienki.

Wziął prysznic, umył zęby, nałożył kosmetyki, ubrał śnieżnobiałą koszulę i garnitur. Krawat, zegarek, pantofle, obrączka. Znów był świeży, pachnący, jak nowy.

Jak na przyszłego ministra przystało.

*

Było bardzo późno, gdy przyszedł esemes z kodem, który oznaczał, że Hausberger powinien zawiesić wszystkie operacje i natychmiast wyjechać. Najpierw dziwny telefon od kogoś podającego się za policjantkę, a teraz to. Gra zaczęła go dotyczyć bardziej niż tego oczekiwał. Zdecydowanie za bardzo.

Procedury w tej sytuacji były precyzyjne i nie dawały żadnego pola manewru. Kod bezpieczeństwa oznaczał wstrzymanie działań. Powinien następnego ranka kupić bilety do Los Angeles lub Rio i pojechać na dwa tygodnie odpocząć. W trakcie dostanie na pewno kolejne info. Dowie się, co i dlaczego.

Szkoda.

Pomyślał, że ostatecznie może stracić tego Waisa. Nie zdoła dopiąć wszystkich kwestii. Wais wymknie mu się i może nigdy już go nie odzyska.

Ale nie było rady.

Właśnie dlatego tak długo był w interesie i tak dobrze sobie radził, że nigdy nie lekceważył procedur, nie podejmował własnych decyzji.

Korporacje tak działają i rządzą światem.

Warto brać z nich przykład.

Czasem przez to popełniamy błędy, ale w ostatecznym rozrachunku wychodzimy na plus.

Wszedł do internetu. Sprawdził aktualne oferty. Najlepsza wydawała się wycieczka do Tokio. Zastanawiał się, z którą partnerką chciałby spędzić te nieoczekiwane wakacje. Pomyślał o czarnowłosej kobiecie o migdałowych oczach, którą tak często wynajmował dla innych, o której marzył od dawna i której nie mógł mieć. Tych interesów nie wolno mu było łączyć. W końcu dokonał wyboru i zadzwonił.

– Endżel, aniołku!

– Tak, kitu?

– Co powiesz na wyjazd do Tokio?

– Tokio? Mówiłeś, że jak skończysz pracę, skoczymy do Sydney. Prawdę mówiąc...

– Nagły wypadek. Sydney nie ucieknie.

– Aha. Tokio mamy gratis?

– Powiedzmy.

– Skoro tak...

Endżel wyglądała tylko nieco gorzej od czarnowłosej, a Hausberger mógł się założyć, że w wiadomych sprawach nawet ją przewyższała. Choć Hausberger tego nie wiedział. Złapał się na myśli, że chciałby kiedyś się dowiedzieć, spróbować z czarnowłosą. Gdyby nie te procedury.

Nigdy nie łącz prywaty z pracą, zawsze wychodzi źle, nawet jak wydaje nam się po drodze. Co nie znaczy, że w pracy należy rezygnować z przyjemności.

Nie, praca ma być przyjemna.

Ale praca to praca, prywatą to prywatą.

Taki ze mnie Coehlo – pomyślał rozbawiony.

Potwierdził rezerwację i zapłacił za bilety. Dziś Tokio, jutro cały świat. Takie hasło sobie na poczekaniu wymyślił. Tak jak go uczono, starał się nie myśleć o problemach. Jeśli nie masz na nie wpływu, należy je zaakceptować i iść dalej, patrzeć w przyszłość. Rozdrapywanie ran niczemu nie służy. Kłopoty powodują, że człowiek traci swoje wrodzone moce. Potrafią uczynić naprawdę dużo złego.

Nie tym razem.

Hausberger należał do tych, którzy nie byli podatni na kłopoty.

Rozdział 14

[brak wpisu od użytkownika Anna]

Esemes. Nieznany numer, pięć wykrzykników.

Rozkaz.

Dzisiaj ma być gotów. O szesnastej. Przekazuje kasę.

W końcu.

Przez dwa ostatnie dni nie dawali żadnego znaku i Daniel zaczął się poważnie niepokoić. Co, jeśli coś nie zagrało? Jeśli stało się coś nieprzewidzianego? Niezgodnego z planem?

Chodził w nerwach, pewnie z powodu przesłuchania Elizy. Wiedział, że je wytrzymała, nie dała się złamać. Jednak kosztowało ją to masę poszarpanych nerwów, całe morze łez i nieprzespaną noc. Nie mógł jej pomóc, choć bardzo chciał. Tak bardzo chciał objąć ją, przytulić i powiedzieć:

„To wszystko jest nie tak, jak myślisz. To nie twoja wina. To ja jestem winny.”

Ale nie mógł.

Tylko pogorszyłby sprawę.

Musiał być twardy nawet wobec rodziny.

Tylko tak mógł wygrać.

„Są rzeczy, które trzeba zrobić, i robi się je, ale nigdy o nich nie mówi. Nie próbuje się ich usprawiedliwiać. Są nie do usprawiedliwienia. Po prostu się je robi. A potem o nich zapomina.”

Dokładnie tak postąpił.

Zrobił, co należało i zapomniał.

Ale widocznie nie dość dobrze, nie zamknął sprawy, skoro wróciła.

Pojawił się nowy kłopot. Nowy wróg.

Nieodgadniony, nierozpoznany, na razie nieosiągalny.

Nie mógł stanąć z nim oko w oko.

Zaczął więc szukać w okolicy jakiegoś mniej wirtualnego przeciwnika.

I szybko znalazł.

Mona. To ona była winna. Ona skumulowała na sobie całą jego złość.

Niby taka dobra policjantka, a nie potrafi właściwie ocenić znaków i dowodów.

Atakuje dziecko zamiast dotrzeć do prawdziwego celu.

Nie wie, że to jego trzeba przycisnąć, a nie Elizę.

Pewnie że łatwiej naskoczyć na mało doświadczonego podlotka, ale powinnaś spróbować ze mną. Dlaczego tego nie zrobisz?

Wiedział dlaczego. Mogła mu naskoczyć. Nie takie próbowały go przyciskać. Nie z takimi przeciwnikami i negocjatorami rozprawiał się bez trudu. Biznes dużo go nauczył. Więcej niż książki.

Był dla niej za dobry.

I ona też musiała to wiedzieć.

Monę więc ostatecznie uznał za wroga, ale nie mógł skonfliktować się z całą policją. Dlatego dość mocno i wyrachowanie zaczął robić podjazdy pod Latosa i Geberta. Tego pierwszego miał najbliżej. Zgodnie z poleceniami, ciągle był na miejscu, miał go wspierać, słuchać, doradzać. I choć policjant robił wszystko, żeby być profesjonalny, nie mógł odmówić paru wieczornych kieliszków, skoro Daniel potrzebował towarzystwa. Wystarczyło parę godzin i miał go urobionego. Przynajmniej tak myślał. Latos będzie dla niego przyjacielem. Może nie w konfrontacji bezpośredniej z Moną, ale jako świadek czy wyciągnięty z rękawa dzoker mógł się przydać. Jeszcze parę dni i może zostaniemy przyjaciółmi.

Nieco gorzej szło z Gebertem. Właściwie to zupełnie się nie udało.

Stary wyga pozostał zimny i nieufny.

Pytania, jak się zachowa, gdy już nadejdzie moment konfrontacji, nie dawały Danielowi spokoju.

Może dlatego cały dzień chodził jak zombie i nie mógł wytrzymać na dupie do tej szesnastej. Zarażał nie tylko przez dotknięcie. W końcu eksplodował. Przestało go obchodzić, czy jest śledzony, podsłuchiwany, czy komuś zagrozi.

Wybiegł bez pozwolenia z domu jak Sonny tego dnia, gdy go zamordowano, wsiadł w samochód i z piskiem ruszył w trasę, starając się zgubić ewentualny pościg. Nikt jednak za nim nie jechał. Podjechał do supermarketu, kupił kartę telefoniczną i tani aparat. Wybrał numer do klubu Wilkosza i poprosił o połączenie z właścicielem. Oczywiście kretyńcy nie chcieli pomóc. W końcu jednak znalazł się jakiś barman z głową na karku.

– Pan Wais? Ten Wais?

Chwilę później usłyszał głos starego Wilkosza.

– Czemu nie dzwonisz na komórkę, Danielu?

Bo jej nie mam. Wyrzuciłem kilka tygodni po tym, jak Eliza zerwała z twoim synalkiem. I nawet nie wiesz, jak mi ulżyło.

– Zgubiłem.

– W czym mogę pomóc?

– Wiesz, w czym.

Milczenie. W końcu słabe:

– Daniel...

– Eliza nic nie powie – zasyczał. – Nic nie wie i nic nie powie, rozumiesz!?

- Daniel...
- Eliza nie będzie zeznawać. Teraz i nigdy później. Będzie milczeć jak grób.
- Daniel...
- Ja też nie będę się mścił. Zapomnę. Jutro zapomnę. Potraktuję to...

biznesowo.

- Daniel...
- Oddaj mi Anię, draniu!

Tym razem Wilkosz zwyczajnie zamilkł. A potem rozłączył się. A może nastąpiło jakieś niezawinione przez nikogo przerwanie połączenia, bo za chwilę oddzwonił.

- Daniel, posłuchaj. Mam swoje problemy.
- Wiem.

Chyba go zaskoczył, bo Wilkosz zamilkł na dwie sekundy, ale potem wrócił do starej śpiewki bez podjęcia rękawicy:

– Nie mam nic wspólnego z tym, o czym mówisz. Nie mogę ci oddać tego, czego nie mam. Mogę pomóc, jeśli...

Daniel zerwał połączenie i wyrzucił kartę z telefonu. Wrócił do sklepu i kupił nową. Numer, który wybrał, znał na pamięć, nie musiał znikąd spisywać.

– Halou – zabrzmiało.

Biernat zawsze tak reagował na nieznanne numery. Arystokratyczna, wyrachowana, nacechowana wyższością i dystansem pogarda.

- To ja.
- Ja?
- Daniel.
- A, tak, Daniel. Jaki Daniel?

Mógł go nie poznać? Nie. Jest zwyczajnie zły, że nie oddzwonił i nie odbierał wcześniej jego telefonów.

- Przestań. Wiesz jaki.
- Długo nie dzwoniłeś – szepnął, a zabrzmiało: pewnie masz już nowych, lepszych przyjaciół. Po co zatem wracasz do starych? Bo są sprawdzeni? Bo nowi okazali się niewarci twojego zaufania? Co sprawiło, że znów sobie przypomniałeś o starym, dobrym Greku nieprzypominającym Greka.

- Przepraszam. Miałem powody.
 - Tak? Jakie?
- Ostatnia szansa. Ostatnia sekunda by się wycofać.

– Porwali Anię.
Biernat przestał odgrywać szopkę.

- Kiedy?
- Sześć dni temu.
- Dlaczego od razu nie zadzwoniłeś?

Przez chwilę miał ochotę powiedzieć prawdę.

– Zabronili mi – skłamał jednak.

– Policja?

Wahanie. Krótkie.

– Tak.

Potem opowiedział mu część prawdy o sprawie, policji, agentach, przesłuchaniach, ustaleniach policji, w końcu o telefonie do Wilkosza.

– Przepraszam, że cię w to mieszam – zakończył.

– Nie przepraszaj. Po to są przyjaciele. Sprawdzę w swoich źródłach tę łaskę z CBS. Zadzwońię do Wilkosza i się z nim rozmówię. Ale nie daj się ponieść emocjom.

– Co mam robić?

– Słuchaj policji. Na razie. Na razie ich słuchaj.

– Może...

– Tak?

– Może powinienem im powiedzieć o... tamtym?

– Nie.

– Ale...

– Nic nie mów. To nie ma związku. Nic ci nie da.

Wrócił do domu, w którym już zebrał się prawdziwy komitet powitalny. Poza Latosem, byli tam Gebert, Mona, paru innych śledczych. Wyjątkowo ładna policjantka o krótkich, czarnych włosach rozmawiała z Elizą, pocieszając ją i uspokajając.

Nie chciał z nimi gadać.

W gabinecie zamknął oczy i próbował myśleć o czymś innym.

Umysł jednak nie dał się oszukać.

I ciągle to powtarzał.

Spokojnie. Masz wszystko pod kontrolą. Spokojnie.

*

Wais dostał szaleju i miotał się jak w ukropie. Mona przyjęła wiadomość ze spokojem, kazała sprowadzić do domu ofiary psychologa, poprosiła, żeby Gebert pojechał tam dyskretnie z dwoma lub trzema policjantami. W końcu zapakowała się z Iwoną i pojechali wszyscy przebrani za ekipę geodetów. To wydawało się najmniej podejrzane, bo kilometr dalej przeprowadzano prace ziemne.

W sumie nie była zaskoczona wynikłym konfliktem. Coraz częściej myślała o różnych dziwnych teoriach, w których Wais nie był niewinną owieczką. Ale nawet jeśli on nie miał niczego na sumieniu, to przesłuchanie córki zapoczątkowało

inną grę. Nowe pionki na planszy. Już nie liczyła się tylko Ania, ale też Eliza. Co by wybrał Wais? Gdyby okazało się, że życie jednej zależy od śmierci drugiej? Którą by wybrał: matkę czy córkę? Czy można dobrze wybrać, jeśli decyduje się jednocześnie o śmierci kogoś bliskiego?

Przypomniała sobie świetną powieść Styrona. Jaki byłby „Wybór Waisa”?

Wyglądał na takiego, który nie byłby w stanie go dokonać.

Prędzej strzeliłby sobie w łeb. Słabi ludzie tak właśnie postępują. Uciekają od decyzji. Nie chcą rozwiązywać zagadek.

Słabi? Może inni. Kobiety są po prostu inne od mężczyzn. Trzeba to zaakceptować.

Czy jednak inni mają moralne prawo do oceny takiego postępowania? Szczególnie jeśli sami nie doświadczyli podobnych sytuacji?

Jakkolwiek by nie interpretować kryzysu z Waisem, miał dla Mony jeden pozytywny efekt. Wszystkich wywiało z centrali. Wróciła szybko do bazy i była teraz sama w pokoju operacyjnym. Mogła spokojnie pomyśleć.

Bez pośpiechu przejrzała wszystkie zgromadzone dotąd dowody: zdjęcia z monitoringu, ślady opon, logowania, zeznania świadków. Początek śledztwa, a i tak mieli już materiału na dwa tomy akt. Na koniec będzie ich dwieście albo trzysta.

– Odprawiasz czary, szefowo?

Prygiel. Zapomniała o nim. Zniknął ostatnio zdecydowanie za często. Wspaniały, doskonale proporcjonalny w swojej prostocie Prygiel wszedł do sali i usiadł na ostatnim krzeselku przy długim stole. Najdalej jak mógł od niej. Boi się mnie – pomyślała Mona. Albo się brzydzi. Albo śmierdzi. Albo jest tylko człowiekiem.

– Przyłączysz się?

– Nie sędzę. Nie wierzę w czary.

– Może powinieneś. Odrzucać coś z góry, nie znając niuansów...

– Też kiedyś czarowałem.

– Bez powodzenia?

– Zwykle więcej było z tego szkody niż pożytku – chrząknął, dając znać, że kończy z podchodami. – Słyszałaś, że Hausberger wyjechał do Tokio? Na wycieczkę.

Nie słyszała. Przypadek? Kolejny? Dzień przed tym, jak miała poprosić o założenie mu podsłuchów i wezwanie na przesłuchanie? Może to dobrze.

Zostawiła tablice, rozważania i całą sprawę. Podeszła do miejsca zajętego przez Pryglę i usiadła dwa krzeselka dalej. Twarz prokuratora wydała jej się teraz straszliwie sztuczna, wycofana, obca. Ciężka ironia w oczach. Ale ogólnie był to przykry widok oblicza, które nie da się przekonać. Wieczny niewierny.

– Zmieniłeś się.

– Postanowiłem jedynie dostosować się do reguł – odparł poważnie Prygiel.
Ale gęba wcale nie była poważna.

– Jakich reguł?

– Nie polubiłaś mnie na początku, nie polubisz i teraz. Uznałem, że nie warto z tym walczyć. Wiesz, że w dziewięćdziesięciu procentach pierwsze wrażenie wywarne na innym człowieku jest już nie do zatarcia. Albo kogoś polubisz, albo nie.

– Jest te dziesięć procent.

Milczał.

Chrząknęła.

– Nie masz racji.

– W czym?

– Nie nastawiłam się do ciebie negatywnie.

– Kłamiesz, szefowo.

– Nie.

– Kłamiesz i kiepsko ci to wychodzi.

Prygiel wstał i wyszedł bez pożegnania.

*

Nerwowa, straszliwa nerwowa.

Słyszała różne głosy, dziwne. Jakąś szamotaninę na górze.

Pomyślała, żeby krzyknąć.

Ale potem zrobiło się jakoś tak dziwnie cicho.

Radio grało.

Cały czas głośno, poza ciszą wokół.

Pot, ciemność, gorąco.

Zimno. Zimno choć gorąco.

Tym powinna się przejmować.

Nie była w stanie krzyknąć.

Już nie mogła walczyć.

Nie miała dość siły.

Wszystko bolało.

Została pokonana.

A potem znów przyszli, tym razem we trzech i dali jej kartkę papieru i długopis. Światło zapalili, patrzeć wciąż zabraniali, ale na kartkę mogła. I pisać kazali.

Straszne rzeczy pisać.

*

Miała wrażenie, że nie może na nikogo liczyć. Nawet na Diesla. Przeczucia są ważne, ale jedynie dowody się liczą.

Wyszła z komisariatu, poszła do parku i wybrała numer do centrali w Warszawie. Na połączenie z Artystą musiała poczekać nieco dłużej, bo akurat był na przerwie.

– No, witam cię, witam, królowo!

– Wciąż jestem cnotliwą księżniczką, mój mały – odparła Mona.

– Już niedługo.

– Oby.

– Dzwonisz w sprawie kompa?

Uff. Więc dostał.

– Poniekąd, ale chcę pogadać jeszcze o czymś.

– O czym?

– Pamiętasz tego prokuratora, którego poprosiłam o zweryfikowanie danych z logowań komórek?

– Prygiel?

– Tak.

– Irytujący typ.

– Wiem.

– I mimo to chcesz o nim gadać? Jakby był podejrzany, to rozumiem, ale tak...

– Kto wie, może jest podejrzany.

Artysta zawahał się z odpowiedzią. Mimo że autentycznie lubił Monę, nie chciał dać się wplątać w żadną intrygę.

– Słuchaj, Mona...

– Spokojnie, w nic cię nie zrobię.

– Mam nadzieję.

Chwilę się przekomarzali, niby na pograniczu żartu, ale Artysta był coraz ostrożniejszy. Tyle lat w Komendzie Głównej nauczyło go jednego: nie ma ludzi, którym można w stu procentach ufać. Zbyt często się zmieniali, odchodzili, przechodzili na drugą stronę barykady, do polityków, lobbingu, dziwnych agencji. Mona mogła być wyjątkiem albo i nie.

W końcu jednak dał się przekonać i uzyskałszy zapewnienie, że rozmowa nie zostanie przez nią w jakikolwiek sposób wykorzystana, ocenił dość krytycznie Prygla. Szczególnie niekorzystne było pierwsze wrażenie.

– Dlaczego?

– Powołał się na ciebie, przekazał wytyczne, ale potem... wydawał się

kompletnie niezainteresowany wynikami.

– Jak to?

– W zasadzie to chyba mnie nie słuchał. Albo znał z góry odpowiedzi albo uznał, że sobie je wymyśli. Prawdę mówiąc nie miałem niczego szczególnego, ale i tak... wydało mi się to dziwne.

Mona przełknęła głośno ślinę.

– Co z moim kompem?

– Doszedł nienaruszony.

– Zdażyłeś coś zrobić?

– Usunąłem ci już tego syfa i przeinstalowałem w razie czego system, pliki wgrałem z powrotem. Bez przeglądania, jedynie przeskanowane, żeby nic się nie ukryło. Sprzęt do odebrania. Mam wysłać na twój adres w Gdańsku?

– Na razie trzymaj u siebie. Co to za wirus?

– Trojan – poprawił i wyjaśnił, choć nie musiał: – Program szpiegowski, za pomocą którego szpicel przejmuje komputer lub dane.

– Wiem.

– Ten trojan nazywa się London i jest z nim... hm, dość ciekawa sprawa. Otóż staruszek London ma już swoje lata, więc praktycznie wszystkie programy antywirusowe, firewalle, a nawet prościutkie darmowe zabezpieczenia i skanery go wychwytyją i unieszkodliwiają.

– Więc jakim cudem u mnie tego nie zrobiły? Przecież mam tam cały pakiet rozszerzonych zabezpieczeń.

Artysta jakby przez chwilę szukał odpowiednich słów, po czym wypalił prosto z mostu:

– Bo sama go wgrałaś i dodałaś do tak zwanych „wyjątków”. Jak stworzysz wyjątek, antywirus ignoruje zagrożenie.

– Nie zrobiłam tego.

– Rejestry pokazują co innego. Użytkownik MONA we wszystkich zabezpieczeniach utworzył wyjątek, nakazując ignorowanie programu LONDON, jako godnego zaufania.

– Ale...

– Przecież ja wiem, że to nie ty. Usiłuję ci tylko wytłumaczyć, że ktoś zalogował się twoim nickiem i hasłem, nadał sobie uprawnienia administratora, po czym wgrał ci trojana i zezwolił na jego uruchamianie wraz ze startem systemu. Co ciekawe rejestry pokazują, że nie zrobił tego przez sieć.

– Nie rozumiem – mruknęła Mona, choć w zasadzie już rozumiała.

– Musiał fizycznie dobrać się do twojego komputera. To ktoś z twojego otoczenia, Mona. Ktoś, kto jest z tobą blisko, może bardzo blisko, włamał ci się do kompa i zostawił w nim syfa, żeby móc cię śledzić i kontrolować.

Rozdział 15

[brak wpisu od użytkownika Anna]

Esemes:

„Bądź grzeczny! Wykonuj polecenia. Wszystkie. Bez wyjątku.”

Drugi, nakazujący odebranie listu z kosza na śmieci przy dworcu.

Musiał jechać po niego sam. Bez glin.

Śmietnik był stary i wielki.

Musiał wejść do środka.

Śmierdziało.

Śmieci. Przedzierał się przez nie z obrzydzeniem, grzebał, aż w końcu znalazł butelkę.

W środku dwa listy. Do butelki przyczepiona koperta.

Pierwszy list: instrukcje napisane ręką Ani. I pożegnanie.

Z nim i dziećmi.

To już koniec. Czekają ją śmierć. Jeśli nie wypełni poleceń, ona umrze.

W kopercie płyta CD.

Włożył ją w czytnik laptopa.

Tylko jeden plik.

JPEG.

Zdjęcie Ani.

Dowód życia.

Siedziała w łańcuchu na szyi. Trzyma gazetę w dłoniach. Dziennik. Tabloid. Powinien być dzisiejszy lub wczorajszy. Ale nie był. To był ten sam numer, który mu zostawiono. Identyczny. Palec Ani zasłaniał część tytułu UPROWADZONA.

Serce stanęło na sekundę.

Pośpiesznie sięgnął po drugi list. Był znacznie krótszy niż pierwszy. Zawierał tylko dwa zdania. Znaczące zdania.

TERAZ JUŻ WIESZ, ŻE TO KARA ZA TAMTO! ZA TO CO ZROBIŁEŚ!

*

– Pogadamy? Powie nam pan prawdę?

– Co mam powiedzieć?

– Za co chcą pana ukarać?

– Nie wiem.

– Co pan zrobił? Co mają na myśli?

Rozejrzał się niepewnie. Chyba jednak musiał skapitulować. Chyba nadszedł czas. Przymknął powieki, próbując przywołać obraz Biernata. Doradź coś. Podpowiedz.

– Błefują. Rozgrywają nas. Nic o mnie nie wiedzą. Ja nic nie zrobiłem.

Mona westchnęła głośno. Miała ochotę walnąć teczką o stół z całej siły i nakrzyczeć na Daniela. Powinien im zaufać. Jej zaufać. Inaczej przegra. Z drugiej strony przecież go rozumiała. Ona też nie ufałaby glinom, gdyby zrobiono jej coś podobnego. Byłaby dokładnie tak samo nieufna. Bez względu, czy byłaby winna czy nie. To nie miało znaczenia.

– Dlaczego pana żona trzyma gazetę sprzed roku, a nie z wczoraj czy dziś?

– Nie wiem.

– Dowód życia wygląda zupełnie inaczej.

Wzruszenie ramion.

– Mimo to uznaje pan to za dowód życia?

– Tak.

Mona zawahała się. Wiedziała, że w sprawie jest drugie dno, wiedziała, że Wais kłamie. Mimo to była prawie pewna, że jest ofiarą, a nie przestępcą. Instykt. Przeczucie. Dlatego nie chciała go dociskać.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– Pamięta pan, co pan robił w dniach... powiedzmy siódmym... dziesiątym czerwca rok temu?

Tik.

Wiedział, drań. Wiedział, o co pyta.

– Tak. Ktoś mnie już o to pytał.

– Kto?

– Nie ważne. Byłem we Francji. W Paryżu. Na targach. Mam dowody i świadków. Możecie sprawdzić monitoring na lotniskach.

– Sprawdzimy – syknęła. Dawno już sprawdziła.

– Mówię prawdę.

Mona mu wierzyła. Nie na słowo. Miła swoje dowody. Niepodważalne. Skoro miał alibi, a takie alibi było niepodważalne, nie mógł zabić Marty. Mógł zlecić jej porwanie czy zabójstwo, ale nie zabić osobiście.

– Niech pan powie prawdę. Dlaczego miał pan tę gazetę w samochodzie? O co chodzi z Martą? Jaki jest związek? Co mają na myśli porywacze, pisząc, że to kara? Proszę nam pomóc. Przecież od tego może zależeć życie pana żony.

Wais milczał przez chwilę, a gdy otworzył usta, Mona była prawie pewna, że się w końcu otworzy i powie.

Zamiast tego bąknął:
– Nie wiem. Nic nie wiem.

*

– Skupiamy się na przekazaniu okupu – postanowiła Mona. – Potem przyjdzie czas na analizę.

Zdecydowała, że akcją kieruje Gebert, a cały jej zespół wycofa się, choć – w razie potrzeby – pozostaje do wykorzystania.

Gebert podziękował skinieniem głowy. Mądra dziewczyna. On znał tych ludzi, miejsca, miasto. Lepiej sobie poradzi z dowodzeniem. Jej agenci i pozostali członkowie zespołu tylko by się niepotrzebnie plątali. No i denerwowali dodatkowo Waisa, który z powodu przesłuchania córki, przestał im ufać.

Mądra. Mało tak mądrych na wysokich stanowiskach.

Zostawił Waisa z Latosem i pojechał przejrzeć materiały.

Rozpoznali już samochód użyty do porwania. Kilka dni wcześniej ktoś skradł go w okolicach Lęborka. Z posesji. Złodziej włamał się do domu wycinając w oknie otwór. Użyto specjalnego urządzenia do cięcia szkła i otwarcia klamki. Prawdopodobnie jakaś oryginalna konstrukcja, specjalnie przygotowana przez złodzieja. Jakiś McGywer. Technicy już je badali na tę okoliczność. Na razie bez skutku.

Złodziej zabrał kluczyki z domu i uruchomił auto. Właściciel zorientował się dość szybko. Wybiegając z domu o mało co nie przewrócił się na schodach o zastawioną pułapkę – przesunięty do schodów fotel. Zobaczył już tylko tył pojazdu. Nie widział ludzi. Nie ma monitoringu. Zawiadomił policję.

Pościg. Obława. Kontrole. Bez skutku.

Zeznania właściciela trafiły na biurko Geberta wraz z całym aktami sprawy do umorzenia. Pełno takich spraw umarzali, choć ostatnio coraz mniej. Złodzieje samochodów zrozumieli, że „biznes” stał się mało opłacalny. Nie chcą już ryzykować. Za kradzież można iść siedzieć na tyle co za... porwanie.

Myśl.

Jeden dziwny przebłysk, że to może mieć znaczenie.

Złodziej i porywacz. Tak daleko im od siebie. A jednak...

Jeep nie miał zainstalowanej pluskwy do śledzenia przez system GPS. Podobne auto próbowano skontrolować trzy dni temu w okolicach Wejherowa. Nie zatrzymało się. Podjęto pościg. Nieudany.

Kolejna karta w aktach: krótka notka z gdańskiej drogówki o zamiarze kontroli jeepa, który jednak skręcił w drogę na kilkadziesiąt metrów przed stojącym przy drodze patrolu.

Widoczne miejsce – pomyślał Gebert. Kiedyś, jak się kryli za płotem, nie było widać.

Policjant zrezygnował z pościgu. Uznał, że to przypadek.

Potem coś go tchnęło i jednak złożył raport.

Na wszelki wypadek.

Gebert miał dziwne przeczucie, że chodzi o to samo auto.

Złodzieje samochodów – znów ta myśl, że to nie przypadek. Może porywacze wykorzystali jakiegoś złodzieja do kradzieży. Warto to sprawdzić. Może sam porywacz jest notowanym złodziejem? Bzdura. To inna profesja. A co z tym złodziejem od Papały? Morderca generała policji okazał się przecież złodziejem. Szyte grubymi nićmi, ale nawet jeśli to prawda, to był to morderca z przypadku. Nie na zlecenie. Nakryty, wkurzony, zdenerwowany. Zabił.

Tu mają do czynienia z długo przygotowaną, dopracowaną akcją. Złodziej samochodów nie byłby w stanie jej przeprowadzić.

Sprawdzić trzeba, ale nie ma co liczyć na sukces.

Zadzwoił telefon. Specjalna linia. Latos.

– Daniel chce podnieść okup.

– Po co?

– Wzięło go. To... zdjęcie...

No tak – pomyślał Gebert. Bandyty uzyskali efekt. Ofiara jest bliska załamki. Nie myśli, nie działa racjonalnie, nie analizuje. Chce być pewna, że odzyska żonę. Porządny człowiek, tyle że działa głupio. Nie słucha profesjonalistów.

Albo...

Znów ta myśl o podejrzeniach Iwony. Mógłby być aż tak wyrachowany? Może po to się urwał z domu, żeby wydać polecenia bandytom? Kazał im zastosować tę metodę, żeby uzasadnić przed nimi zmianę decyzji? Może robi znacznie więcej fałszywych dowodów, prowadzi grę pozorów. Może to są kłamstwa?

– Do jakiej kwoty?

– Pół miliona.

– Dobrze – odparł Gebert bez entuzjazmu. Kolejny kamyczek do ogródka.

*

Esemes:

„Nie dziś. Jutro!!!!”

*

Puk, puk.
Poszewka na łeb!
Już, teraz!
Weszli. We trzech.
Coś złego się dzieje, myśli. Zaraz ją skrępują, chwycą za dłoń, rozcapierzą palce, wykręcą jeden z nich, a potem... Ciach.
Raz, dwa i ciach.
Słyszała już ten sekator.
Teraz niemal czuła, że jest tam z nimi.
Jeden świst, jedno cięcie.
Krzyk.
Jej palec ląduje w kopercie.
Nieodwracalnie.
Trzask. Elektroniczny, pozbawiony metalicznej grozy. Cichy szum i kilka pryknień mikrofonu.
Modulator. To tylko modulator.
– Musisz wytrzymać jeszcze jeden dzień.
Co odpowiedzieć, co? Żeby ich udobruchać, żeby nie rozwścieczyć? Co?
Jutro... może pójdzie lepiej.
Może.
Wyszli.
Tym razem nie włączyli radia i dobrze słyszy ich kroki na schodach, a potem stłumione głosy. Szepczące głosy o jakimś „Nikiforze”. O kimś czy o czymś.
Nikifor.
Kim lub czym był Nikifor?

*

Siedziba CBS powoli pustoszała. W centrum operacji specjalnych został już tylko Gebert. Mona zastanawiała się, kiedy sypia ten ponury, małomówny człowiek. Ciągle go tu widziała. Czytał jakieś dokumenty. Może miał nowe wnioski, może na coś wpadł? Zastanawiała się, czy nie wejść do środka, nie podpytać. Zrezygnowała, gdy Gebert wiedziony przecuciem podniósł wzrok, spojrzął na nią bez zachęty i powrócił do czytania. Wcale nie chciał z nią gadać.

W pokoju przydzielonym Zespołowi zostali już tylko Iwona i Prygiel. Oboje zajęci sobą. Jakby wyczekiwali, aż jedno zniknie, by drugie mogło się z nią rozmówić. Mona wpadła na głupi pomysł: a co, jeśli oni działają razem? Wrabiają mnie, wpuszczają w maliny, robią w konia? Była coraz mocniej przekonana, że to

Prygiel jest zły, ale dlaczego w zasadzie nie założyła, że złych jest dwoje albo więcej.

Max z pewnością chętnie by do nich dołączył. Swoją drogą ciekawe co robił, bo przez cały dzień go nie widziała.

Może wszyscy są źli, tylko ona dobra?

W końcu Iwona wstała i zaczęła się powoli zbierać.

– Idziesz? – zapytała Monę, po czym zerknęła znacząco na Prygla. Chyba nie chcesz z nim zostać sama – mówiły jej oczy.

– Jeszcze posiedzę – odparła.

Agentka zarzuciła lekką kurtkę i wyszła.

Zostali sami z Prygłem.

Mona oparła się wygodnie i prowokowała go wzrokiem. No dawaj, zaczynaj!

Udawał, że tego nie dostrzega.

– Znasz się na komputerach, Prygiel? – Zawołała.

– A co, potrzebujesz zainstalować jakąś piracką grę?

– Nie, trojana.

– Komu?

– Sobie.

– Sobie to bez sensu, chyba że ma się rozdwojenie jaźni.

– Może mam.

– Wcale bym się nie dziwił.

– To jak, znasz się na instalowaniu trojanów?

– Mogę spróbować.

– Mój nazywa się London.

– Dobry pisarz.

– Dla facetów.

Prygiel roześmiał się głośno. Dziś chyba już tylko dla dzieci, zmuszanych w szkołach do takich lektur. Czy to dobrze, nie jemu oceniać.

– Naprawdę nazywał się Chaney. Może gdyby pisał pod prawdziwym nazwiskiem a nie przejętym od ojczyma, więcej by osiągnął. Chaney brzmi lepiej niż London. Był komuchem, wiesz? Zafascynowany Marksem i podobnymi typami.

– Nie. Ale ty wiesz o nim zadziwiająco dużo.

– Interesuję się literaturą.

– Szczególnie szpiegowską?

– Żebyś wiedziała. To moja ulubiona.

– Prygiel!

– Tak?

– Wiem, że to ty.

– Ja? No pewnie, że ja.

– Nie pogrywaj ze mną.

Milczał.

– Nie wiem, kto za tobą stoi i dlaczego to robisz, ale od dziś zmieniam reguły gry. Mam cię na oku.

– Zabrzmiało jak groźba.

– Myśl, co chcesz. Lepiej uważaj.

Prygiel wstał. Cały proporcjonalny. Wyszedł z drwiącym uśmiechem na ustach.

Mona siedziała w samotności i myślała o tym, jak bardzo się jej to wszystko nie podoba. To że jest daleko od Diesła, w obcym mieście, w obcym gmachu, wśród samych wilków. Na szczęście nie czuła się jak owca.

Była głodna. Gdyby obok stał bar z tłustym żarciem, zamówiłaby całe menu. Kebaba z frytkami, ociekającego tłustym sosem z jogurtu i majonezu. I deser. Zjadłaby jakieś mdłe, tureckie ciasto albo chałwę.

Zatłuściła, zasłodziła, porzygała.

Przełknęła głośno ślinę, spojrzała na pudełko tic-taców.

Pieprzona jedna kaloria.

Jedna... ech, już nawet nie chciało jej się bronić przed przeklinaniem. Co z tego, że bluzga. Jest glina, to bluzga. Co to za glina, co nie bluzga. Że kobieta, to musi być inna? Lubi więc bluzga, gdyby nie lubiła, to by nie...

Pieprzenie o niczym.

Sięgnęła pod pachę i wyciągnęła glocka. Standardowy, policyjny model 19. Piętnaście nabojów w magazynku. Ostatnio opuszczała treningi strzeleckie, ale nie miała wątpliwości, że sobie poradzi, gdyby musiała się bronić.

Przeładowała broń i wymierzyła w ścianę. Miała cholerną ochotę wystrzelić.

Nie była owcą.

– Nawet nie wiesz, jak ostre mam kły, Prygiel. I potrafię ugryźć.

Rozdział 16

[brak wpisu od użytkownika Anna]

Wtorek. Znów się nie udało.

Przez cały dzień kazali mu krążyć po mieście, przesiadać się w taksówki, z tramwaju do tramwaju, aż wreszcie wsiąść do pociągu. Pod siedzeniem znalazł radiotelefon. Włączony, naładowany. Szumiał, skrzeczał. Miał wyrzucić plecaki przez okno, gdy nadejdzie sygnał. Ale nie nadszedł. Przejechał całą trasę i wrócił.

– Próbują nas zgubić – podsumował Gebert.

*

Biegł w tym śnie przez zamglone pole. Wszędzie była mgła i pustka. Nie mógł znaleźć drogi. Nie widział ofiary. Wtedy z mgły zaczęli wychodzić ci wszyscy ludzie, o których chciał zapomnieć, których uważał za przedmioty. Przecież nie byli istotni. To że to on odebrał im życie, nie miało znaczenia. Jeśli nie on, zjawiłby się ktoś inny. Strzelił chyba eksperymentalnie. Chciał się przekonać, co się stanie. Broń zareagowała jak trzeba, pocisk wyleciał z lufy, ale jak tylko znalazł się na wolności zamarł w stop-klatce, stał się tylko nieważnym ujęciem fragmentu świata. Mało istotnym, niedostrzegalnym. A potem rysa na czasoprzestrzeni pękła i pocisk powinien pomknąć dalej. Zamiast tego opadł na ziemię, jak rzucona na wiatr kartka papieru. Nie miał żadnej energii w sobie, żadnej siły. Nie mógł nikogo skrzywdzić, nie mógł obronić Nikifora.

Postaci zaś podchodziły coraz bliżej, wyciągały ku niemu ramiona, obejmowały go, oplatały siecią błękitnawych kończyn. Przygniatały i tłamsiły aż...
... obudził się.

Spocony, rozdygotany.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał zły sen.

Nikifor zerknął na ekran telefonu.

Dziwne, dziś nie otrzymał żadnej wiadomości.

*

Tylko Iwona została z nią na noc. Cała reszta miała w nosie, czy kobietę uda

się uratować. Oni tu byli tylko od statystyk. Od wpisania liczb w odpowiednie rubryki. Potem napiszą nudny raport, zrobią rekomendacje, podpiszą się, wezmą premię i do domu. Wais miał rację: nie obchodziło ich to. Jeśli przegrają, przejdą nad porażką do porządku dziennego. Prygiel wydawał się wyjątkiem, ale go skutecznie zniechęciła. Dziś wyszedł z pokoju najwcześniej. Nawet nie rzucił żadnego żartu czy złośliwości na do widzenia.

Iwona? Może ona była inna? Jej jednej zależało?

A ja? Jaka byłaby odpowiedź, gdybym zadała pytanie sobie i musiała szczerze odpowiedzieć?

Szczerść nie jest dobra dla kobiet po trzydziestce.

Szczególnie dla kobiet policjantek.

A w ogóle dla kobiet z dwoma belkami i gwiazdką na pagonach.

Szczerść kłóci się z rangą.

Grubo po północy dostały info, że znów się nie udało. Na korytarzu wrzało. Zebrani w centrum operacji specjalnych wysypali się na korytarz, umawiali na piwo i wódkę, na dziewczynki, wyścigi samochodowe i nocnego pokera.

Nikt nie przyszedł ich zaprosić.

Rumor ucichł.

Mona zastanawiała się, czy Gebert został jak wczoraj i siedzi tam gapiąc się w monitory i swoje notatki. Wstała i przez chwilę chodziła po pokoju starając się uporządkować zebrane dane na tablicach. Dane dotyczące Marty Furman umieściła na samym końcu, jakby były najmniej istotne. Pod informacjami zapisali kolejne osoby, które należało przesłuchać. Głównie koleżanki zaginionej, pracowników klubu. Ale to pewnie zostawią już prokuratorowi prowadzącemu śledztwo. Może za pół roku się zbierze, żeby wykorzystać nowe informacje. Jeśli rzeczywiście uzna je za tak istotne, jak im się wydawało.

Czas weryfikuje odczucia, czasem grzebie dowody.

Iwona stanęła za jej plecami. Spojrzała na ostatnie nazwisko na liście. Renata Furman, matka Marty.

– Może do niej pojedziemy?

Mona skrzywiła się z niechęcią.

– Teraz?

– Jest pielęgniarzką w szpitalu. Dziś pracuje na nocnej zmianie. Zmęczona?

– Nie bardzo.

– To jedźmy. Zaskoczmy mamę.

Prowadziła Mona. Cały czas miała wrażenie, że Iwona chciała z nią pogadać o czymś zupełnie innym niż o sprawie, przesłuchaniu Furman, porwaniu Anny Wais. Milczała jednak. Dopiero, gdy zaparkowały przed szpitalem, Iwona zapytała:

– Nie brakuje ci Diesla?

Uznała to pytanie za dziwne, ale odpowiedziała:

– Na weekend wracam do Wawy. Czemu pytasz?

Wzruszyła ramionami.

– Tak się zastanawiałam. Mnie... by brakowało.

Otworzyła drzwi i chciała wyjść, ale Mona zatrzymała ją i sama zapytała:

– A ty? Jesteś z kimś?

Juliette spojrzała jej prosto w oczy. Była taka piękna. Taka niewinna. Taka otwarta, potrzebująca, oczekująca. Faceci kochali takie jak ona. Namiętne nimfomanki, czasem infantylne, nigdy nie cyniczne. Rzadko wierne, ale jak zakochane to na zabój. Zdolne do zbrodni z miłości.

– Nic poważnego.

Mona wyczuła kłamstwo. Pytanie wytrąciło agentkę z równowagi.

– Trudny temat?

– Niespecjalnie – Iwona chrząknęła. – Po prostu... ma inną.

– Żona?

Skinęła głową.

– Ale chce być z tobą?

– Tak mówi.

Wszyscy tak mówią.

– Kłamie?

– A kto go tam wie?! Chodźmy już.

Furman miała dyżur na ortopedii. Dawno już wydały leki na noc i z koleżanką przysypiały w dyżurce. Zapowiadała się spokojna noc, bez przygód. Niechętnie wyszła im na spotkanie, gdy zadzwoniono z recepcji. Podały sobie ręce i poszły do pokoju lekarskiego.

– Tylko niczego nie ruszajcie. Szef wścieka się, jakby to był prywatny gabinet.

Usiadły. Mona patrzyła uważnie na tę niską, przysadzistą, otyłą kobietę. Córka w niczym jej nie przypominała. Może trochę z twarzy. Ale się zaniedbałaś, kobieto. Zaraz się skarciła: a co z tobą, jesteś lepsza?

– Chcecie rozmawiać o mojej córce?

Mona skinęła głową.

– Skąd pani wie? – zapytała Iwona.

– Nigdy nie miałam do czynienia z policją poza... poza tą sprawą.

Mona odniosła wrażenie, że kobieta twardo stąpa po ziemi i nie muszą się obawiać żadnego rozklejenia czy hysterii.

Renata Furman bez emocji opowiedziała im o dniu, w którym zniknęła Marta, późniejszych poszukiwaniach i niemocy związanej z brakiem jakiegokolwiek śladu, co naprawdę się stało. Owszem, byli detektywi, policja, różne teorie.

– Ale żadna się nie potwierdziła. Martunia wyszła z domu i nie wróciła –

zakończyła.

– Gdy widziała ją pani ostatni raz wychodziła do kasyna Wilkosza, prawda?

– Tak.

– Próbowala z nim pani rozmawiac?

– A co on winien? Tak, rozmawialismy. Obiecal mi pomoc i rzeczywiscie wynajal nawet detektywow. Pokazal mi monitoring z kasyna i dyskoteki z tego dnia, ale tam nie bylo Marty. Wiec albo nie dotarla do lokalu albo bawila sie gdzieś poza kamerami. Tak czy inaczej niczego nie ustalilismy.

– Czy pani córka chodzila z synem Wilkosza?

Zawahanie.

– Nie. Raczej nie.

– A w domu nie opowiadal, ze kogos poznala?

– Nie. W ogole nie mowila o chlopcach.

Cała rozmowa przebiegła podobnie. Krótkie zdania, zero zwierzeń, generalnie pogodzenie z sytuacją. Córka zniknęła, trudno. Może żyje, może nie. Przykra sprawa, ale trzeba żyć dalej.

– Coś tu śmierdzi – mruknęła Iwona, gdy wychodziły.

Mona skinęła głową. Tak, coś śmierdziało i nie były to chemikalia medyczne.

*

Michał zapukał o trzeciej nad ranem. Musiał słyszeć, że się przewraca w łóżku i włącza cicho muzykę.

– Nie śpisz?! Mogę?

Eliza wzruszyła ramionami.

– Wchodź.

Od jakiegoś czasu nie byli blisko z bratem. Zbyt duża różnica wieku, inne podejście do życia, zainteresowania. Ale był czas, gdy on był jej małym, noszonym na rękach braciszkiem. Teraz właśnie tak się poczuła. Znow potrzebował jej opieki.

– Wypuszczają ją, prawda? Tata ją odzyska?

– Tak. Na pewno. Nie martw się.

Skinął głową, choć wcale się nie martwił.

Przecież to było oczywiste, że tata wygra.

Zawsze wygrywał.

Rozdział 17

[brak wpisu od użytkownika Anna]

Dzień ósmy, środa.

Esemes.

Wiedział, że to już. Że to dziś.

Znów go przewieźli po całym mieście. Gdynia. Obwodnica. Gdańsk. Powrót do Sopotu.

I jeszcze raz.

Policja trzymała się pewnie gdzieś z boku.

Raczej ich tak nie zgubią.

Znów.

To samo.

„Przyspiesz.”

„Szybciej. Jedź na czerwonym. Na czerwonym, kurwa.”

Przejechał.

Truuuu.

Ciężarówka.

Niewiele brakowało.

Naprawdę niewiele.

„Dobrze. Jedź dalej!!!!”

„Szybciej!!!!” „Skręć!!!!”

„W Chłopską... w Pomorską... Dalej...!!!!”

Parking.

Las.

„Na rower, kurwa!!!!”

„Zapierdalaj, kurwa!!!!”

Ciemno. Cholernie ciemno.

Zapalił lampki w plecakach. Ale i tak prawie nic nie widział.

„Teraz!!!!”

Trzask radia. Głos.

„Zostaw kasę, Skurwielu.”

Komenda z listu. Uzgodniona komenda.

Spierdalaj.

Wtedy go zobaczył. Stał tam. Przy drzewie. Chyba. Niemal stopiony z ciemnością.

Daniel nie był pewny.
Po chwili.
Tak. Oczy przyzwyczyły się do ciemności.
Już był pewien.
Patrzyli sobie w oczy.
Żaden nie ustąpił.
Tkwili tak w tajemnym porozumieniu.
Cisza. Chwila. Jedna, dwie, milion.
Zawahał się. Nie był pewien, czy powiedzieć to, co sobie przygotował.
W końcu jednak przyłożył dłonie do ust i krzyknął:
– Powiedzcie Wilkoszowi, że jesteśmy kwita. Zapomniałem już, że go znam.
Jeśli to Wilkosz was przysłał, powiedzcie mu. Dotrzymam słowa. Będę milczał.
Oddajcie mi tylko Anię...
Porywacz nie odpowiadał. Sekunda, dwie, trzy...
Radio.
Zatrzeszczało.
Postać uniosła coś do ust.
Trzask. Dźwięk.
Spierdalaj!

*

– Jak to się zjechał? – zawołał Gebert.
– No zwyczajnie szefie, kamera nie działa.
– Kurwa!
– No.
Dron krążył nad miejscem przekazania okupu i – gdyby działał – widzieliby wszystko w noktowizji. Las, ludzi, auta, kasę. Wszystko by się nagrało, a potem mogło stanowić dowód. Śledziliby drani i w odpowiedniej chwili zgarnęli.
Nici z planu.
I pewnie wszystko będzie na Geberta.
Że niby nie dopilnował, no bo przecież mógł przewidzieć, że dron się spieprzy.
– Kurwa.
Choć bardzo się bronił przed podobnymi myślami, to jednak nie mógł się oprzeć przed obarczeniem winą Mony. To ona mu załatwiła tego cholernego drona. Ona upierała się, żeby poprowadził akcję. Ona zachęcała widmem kolejnej gwiazdki. A teraz to on będzie winny, a ona...
Cholerna blać.

Potem odebrał jeszcze jeden telefon i poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg.

*

Wdrapali się na szczyt góry. Niebieski przystawił palec do ust.

Ciii.

Milczenie.

Nic nie mów!

Lepiej nic nie mówić.

Czekał tam na nich. Brązowy nie wiedział, kim jest.

Wiedział tylko, że zabierze pieniądze.

Zabierze i wypierze.

Dopiero potem podzieli.

Bez nich.

Bał się, że go oszuka.

Ale nie miał wyjścia.

*

Nikifor otworzył oczy.

Nadszedł czas.

Spojrzał na zegarek.

Trzecia nad ranem.

Telefon także wybudził się z uśpienia. Android ściągnął wiadomości z sieci i zamrugał białym światełkiem – sygnałem odebranego esemesa.

Więc znowu.

Nikifor niechętnie sięgnął po aparat.

„JEST TWOJA!!!!!!”

Przez chwilę wpatrywał się w majaczące wciąż w nocnym tańcu literki i pięć wykrzykników.

Odłożył aparat.

Wstał, założył spodnie, stanął naprzeciwko lustra. Tego nie mógł zmienić, choć bardzo chciał wyglądać mniej okazale. Muskulatura, tatuaże i szereg blizn pozostałych po tych starych, przeżytych przed wieloma laty wojnach gangów napiętnowały go na zawsze. Jego ciało było jak mapa oznaczona świadectwami okrutnych zdarzeń.

*

Gebert spotkał się z informatorem przed komendą. Wciąż nie był pewien, czy ktoś nie jest jednak po stronie bandytów. Zawsze zakładaj najgorsze. Szczególnie jak wokół roi się od spisków i przypadków, gdy drony się psują, a kobiety mają okres.

Ubezpieczaj się, przekazuj tylko konieczne informacje, zapamiętaj, co i komu mówisz, by w razie czego móc odtworzyć obieg informacji i zlikwidować przeciek. Codzienna gra pozorów, pułapek, ściem i półprawd, w której tkwił, zrobiła z niego człowieka nieufnego i pozbawionego złudzeń.

– To pewne? – zapytał, choć przykrywkowcowi ufał niemal jak bratu. Wiele razem przeszli i nigdy się na nim nie zawiodł.

Tamten wzruszył ramionami. Jego wiewiórka pracująca u operatora telekomunikacyjnego twierdziła, że pewne. Na razie na gębę. Ale czy był pewien tego, co miał do powiedzenia, to już inna sprawa.

– Oficjałkę dostaniesz po tym, jak prokurator wyda nakaz, ale... cyferki nie kłamią.

Gebert zamyślił się. Informator twierdził, że jeden z porywaczy dzwonił i wysyłał esemesy do jakiegoś znanego policji bandziora. Robił to z używanych do kontaktów z Waisem telefonów na kartę. Dlaczego porywacze byli tak dobrze zorganizowani i uważni, a teraz popełniali prosty błąd? Chyba że to miał być dla nich jakiś sygnał. Jeśli tak, to jaki? Dlaczego zdradzają, że w ich grupie jest były członek najgroźniejszych grup przestępczych? Gangster, zabójca?

– Co wiemy o tym Nikiforze? – zapytał. Myślał, że zna wszystkich groźnych bandziorów w Trójmieście, o Nikiforze jednak ledwie słyszał. Kiedyś. Dawno. Zapomniał.

– Dziesięć lat temu skazany za... porwanie.

– Cholera.

– Podejrzany w kilku innych. W tym jednym ze skutkiem śmiertelnym – Przykrykowiec wymienił nazwisko porwanego, a Gebert natychmiast przypomniał sobie tamtą sprawę. Brat sportowca, podejrzany typ, uprowadzony spod siłowni. Żądanie okupu, podjęcie kasy, cisza. Ciało brata znalezione po miesiącu. Sekcja wykazała, że został zamordowany od razu po uprowadzeniu.

Gebert nie pamiętał szczegółów. Tyle tylko, że było tam podejrzenie o porachunki gangów. Nazwisko czy ksywka Nikifora chyba wtedy nie padły. Szczęśliwie więc nic pewnego, ale skoro informator teraz mówi, to jednak... zamieszany.

– Tego mu nie udowodniono – dodał przykrykowiec. – Potem... niby czysty.

- Niby?
- No tak. Nigdy nie namierzony.
- Ale twierdzisz, że to facet od mokrej roboty?

Informator zawahał się. Co innego wieści od wiewiórek i ewentualnie jakieś własne wnioski na podstawie tego, co pamiętał o Nikiforze sprzed lat, a co innego wrabianie być może niewinnego gościa na podstawie plotek przekazywanych przez gangusów w różnych okolicznościach. To środowisko, podobnie jak glin, żyło z pomawiania, przekręcania, wrabiania, intrygowania. Nic nie było pewne. Zrobienie z jakiejś laski kurwy to podobna norma, jak zrobienie z karka mordercy i gwałciciela. Tyle że laskami i karkami nikt się nie przejmował.

- To znaczy... kiedyś...
- Co, kiedyś? Gadaj, bo nie mam czasu.
- Ktoś mi tam mówił... że niby udaje świętego, ale to lepszy cyngiel. Eksportowy. Unijny. W euro opłacany albo w dolarach. Drogi. Ostrożny i wyrachowany. Zerwał wszelkie kontakty. Z nikim nie chodzi, nie spotyka się, nie podaje ręki. Boją się go na mieście.

Gebert westchnął. Opis pasował do jednej tajemniczej teorii. Cholera. Mamy zabójcę.

– Pamiętam go ze starych lat – kontynuował informator, – jak chodziłem w obyczajówce. Nikifor miał jakiś epizod u Nikosia, ale potem związał się ze Staruchem. Mówili o nim, że zrobi wszystko, że można posłać go na każdą robotę. Wtedy ponoć zabijał bez mrugnięcia okiem, był bezwzględny i zimny jak lód. Wróżono mu...

Informator zastanawiał się, jak to ująć, więc Gebert zakończył:

- Karierę albo szybką śmierć?
- Właśnie.
- Więc może odsiadka uratowała mu życie.
- Jak mówiłem, o zabójstwo go nigdy nie oskarżono, za współudział też nie skazano. Dostał dwa lata za udział w porwaniu. Pilnował syna tego znanego biznesmena od komórek.

Gebert zmarszczył brwi. Pamiętał. Mimo że to już kilkanaście lat, pamiętał. Prosta sprawa. Ktoś ich wtedy wysypał. Nie zdążyli narozrabiać. Zakładnika uwolniono. Porywaczy ujęto. Pilnujących, bo tych, którzy zamawiali, nie. Pilnujący twierdzili, że nic nie wiedzą. Po prostu kazano im tam siedzieć. Nie wsypali współników, ale też nie było dowodów, że celowo utrudniają śledztwo.

– Nie było tam żadnego okrucieństwa, obcinania paluchów czy innych akcji, więc dostał dwójkę nawet mimo braku współpracy. Sędzia chciał chyba wydać wyrok w zawiasach, ale ktoś mu szepnął, że ten Nikifor i dwaj inni złapani to lepsze gangusy. Poszedł siedzieć.

- Dziesięć lat temu? – Upewnił się Gebert.

Informator skinął głową.

– Wtedy wyszedł.

– I od tego czasu czysty?

– No... czysty. Od dziesięciu lat żadnego zatrzymania, za każdym razem, gdy mu się przyglądaliśmy, czysty, więc można nawet łyknąć tę resocjalizację. Wyroki się zatarły, w półświatku w zasadzie nie funkcjonuje. Oficjalnie podobno został... biznesmenem.

– W branży pogrzebowej – mruknął Gebert.

Informator roześmiał się.

– Żebyś wiedział, że blisko. Ma firmę projektującą ogrody.

– Co ogrody mają wspólnego z grobami? – Gebert nie bardzo skumał skojarzenie informatora.

Przykrywkowiec wzruszył ramionami.

– Ogrody mi się zawsze wydawały jakieś martwe. Jak cmentarze.

Gówno – pomyślał Gebert. Gówno wiesz o ogrodach. Ale nie skomentował.

– Ogrodnik? Przykrywka?

– Sęk w tym, że nie. Przynajmniej nie do końca. Ta jego firma naprawdę funkcjonuje. I to podobno całkiem nieźle. Specjalizuje się w tworzeniu różnych konstelacji z rzadkich kwiatów. U nas to jeszcze słabo idzie. Sporo ma za to zleceń w Norwegii i w innych krajach. Urządzanie ogrodów – tak to się nazywa.

– Łatwa przykrywka do prania kasy z mokrej roboty.

Informator nie wiedział, mimo to mruknął:

– No.

– A ty co myślisz? – Zapytał nieoczekiwanie Gebert.

Znów się wahał, czy mu powiedzieć coś więcej o tych... pogłoskach.

– W sensie, czy jest czysty?

Gebert skinął głową.

Informator przecesał dłonią włosy, ziewnął i przeciągnął:

– Z tegoooo... się nie wychodzi.

Pożegnali się, Gebert wrócił do biura i przez następne dwie godziny walczył z myślami. Zerkał na podobiznę Daniela zawieszoną na korkowej tablicy wśród planów, dokumentów, map i numerów telefonów. Może i nie bez winy a może niesłusznie podejrzany?

Gebert podejmował kolejną z serii najtrudniejszych w życiu decyzji. Czy powinien odebrać ofierze resztkę nadziei? Jeśli w ogóle jest ofiarą. Czy miał prawo do takich ocen? Czy miał prawo do dzielenia informacji na te, które należy przekazywać i te, które trzeba ukryć? Jednak info było nieoficjalne. Może się mylą. Może to jakaś... podpucha, zbieg okoliczności, pomyłka?

Fałszywy trop.

Pomyślał, żeby naradzić się z Moną, ale szybko zrezygnował.

Radź se sam. Baba tu na nic. Nawet taka dobra i profesjonalna. Intrygantka, cholera jasna. Nie będzie jej mieszał. Nie teraz, kiedy już tyle się zwaliło. To on kieruje akcją.

Jedyne, co mógł zrobić, to wysłać patrol pod adres zamieszkania Nikifora. Sięgnął po telefon.

*

Muzyka cichnie.

Puknięcie. Jedno, drugie.

Worek. Załóż worek.

To koniec.

Strach. Człowiek mówi bez modulatora. Na żywo, bez trzasków, bez metalicznej barwy.

Czy to oznacza, że chcą się jej pozbyć? Zawsze przecież się pilnowali. Dlaczego teraz tego nie robią?

Na dodatek ma wrażenie, że jest tam ktoś jeszcze.

Czuje inny zapach.

Bardziej intensywny, męski.

Zapach budzący strach.

Czy to ten czwarty, o którym mówili wtedy, gdy zapomnieli włączyć muzykę. Nikifor? Chyba tak go nazwali. A może inaczej.

Nowy jest groźniejszy niż trzy kolory. Tak czuje. Tak jej się wydaje.

Jeden podchodzi, odpina kajdanki, pociąga łańcuch, jakby była psem albo koniem.

No już, idziesz!

Popycha ją.

Idziemy.

Gdzie?

Gdzie idziemy?

Co chcecie zrobić?

Rozdział 18

[brak wpisu od użytkownika Anna]

[Zobacz, do czego doprowadziłaś. Do czego mnie zmusiłaś.]

Mogli tylko czekać.

On i Latos.

Pili.

Nie za dużo.

Milczeli.

Żaden z nich nawet nie próbował nawiązać rozmowy.

Latos wstał, podszedł, poklepał go po ramieniu.

Poszedł do barku.

Druga butelka.

Daniel zamknął oczy i znów ją zobaczył.

Nie, nie Anię.

Blondynkę o niebieskich oczach.

Martę. Martę Furman.

*

Wszystkie światła zgasły. Monitory wciąż emitowały delikatną błękitną mgiełkę.

Gebert został sam.

Widniało już. Cały zespół zabezpieczający przekazanie okupu wrócił do domów po ciężkiej nocy. Teraz mogli tylko czekać.

Ktoś wysłał mu esemesa z knajpy.

„Chodź na piwo!”

Nie miał ochoty pić.

Zgubili Daniela, zgubili porywaczy. Patrol nikogo nie zastał w mieszkaniu Nikifora. Ciemne okna, zero życia, nie mieli nakazu przeszukania, nie mogli wejść. Sąsiedzi nic nie wiedzieli. Nie chcieli gadać, unikali ocen. Jeden tylko powiedział, że mieszkanie od dawna stoi puste. Od tygodni? Nie, od miesięcy. A może i lat. Dawno nie było właściciela.

Więc to tylko meldunek, a Nikifor mieszka gdzieś indziej.
Jutro ustali gdzie, choć wiedział, że to bez sensu. Jutro będzie za późno.
Nie mogli ustawiać żadnych blokad, nie mogli na ślepo teraz ślać patroli.
Dron nie zadziałał.
Nie mieli żadnego śladu.
Poza poszlakami kierującymi podejrzenia na dzieciaki i tego cholernego
Nikifora, którego lepiej, żeby w ogóle nie było.
Pozostało się modlić.
Liczy na to, że informator jednak się pomylił.
Albo wnioski z tej informacji są fałszywe.
Oby.
Żeby chociaż ją puścili.
Bo jeśli nie, afera będzie większa niż z Olewnikiem. I nikt nie będzie chciał
słuchać tłumaczeń czy spychania odpowiedzialności na Waisa i jego tajemnice.
One staną się wrogiem, a nie sprzymierzeńcem.
Media ich rozszarpiają.
Kolejne porwanie z taką wtopą. Na dodatek na taką kasę. Jeden
z najwyższych okupów w historii. Kilkuset policjantów pracujących na darmo. Bez
sukcesu. To jest najgorsze. Świadomość, że w zasadzie zrobili wszystko, co mogli,
a i tak się nie udało.
Złożył ręce i zaczął szeptać modlitwę.
Nie wierzył w Boga. Nie tego wymyślonego przez Kościół.
Modlił się swoimi słowami.
Do własnego Boga.

*

Myje się, myje, bo każą.
Potem ubiera spodnie i bluzkę, zamyka oczy, jak każą, worek zakłada, jak
każą, a Brązowy staje przed nią i psika czymś, psika. Śmierdzącym chemią
gównem psika na nią i na ciuchy. Ona pyta się, po co to, ale Boss milczy, Niebieski
milczy. I innych też pewnie upomina, żeby milczeli, bo milczą.
Zaraz będziesz wolna – szepcze w końcu przez modulator.
Ulga?
Modulator wrócił. Dobry znak.
Stoi tak w worku i czeka i myśli, że kretyńsko musi wyglądać tak stojąc,
z maltretowaną, wypsikana śmierdzącą chemią, drżąca, dobita, gdy oni kręcą się
w kółko gorączkowo, sprzątają, rzeczy do samochodu wynoszą.
To rzeczywiście koniec.

Dostali kasę.

Uwolnią ją albo... tak czy inaczej będzie wolna.

W końcu mają już wszystko w aucie, na koniec ciągną i ją, wrzucają na ziemię, na podłogę i ruszają od razu, szybko ruszają. Jada, długo jada, a może wcale krótko, a tylko jej się wydaje, że długo. Po chwili czuje już las, przez okno wdiera się wszystkimi zapachami, cykaniem i szumem.

I wtedy ona wie, że nie kłamali.

Wie, że to koniec.

Taki czy inny.

Zatrzymują się w końcu. Stają na jakiejś polance, w lesie, a ona coraz bardziej przerażona perspektywą i tym lasem, bo lasu przecież boi się może nawet bardziej niż śmierci, więc błaga, by jej nie wypuszczali w lesie, tylko nie w lesie...

Jakieś dłonie na ciele. Dwie pary dłoni. Unoszą ją, stawiają. Na trawie stoi.

Stoi i czeka.

Nie rusza się, nie mówi, nie płacze.

Oni też nic nie mówią.

Patrzą na nią pewnie. Po raz ostatni patrzą.

A ona w myślach widzi jak któryś jej pistolet do głowy przykładają i waha się, czy nacisnąć spust czy też może jej darować.

Wtedy mimo chemii przeraźliwej czuje ten smród Brązowego i zapach Niebieskiego.

Każą jej odliczać do pięćdziesięciu. Dopiero wtedy może zdjąć worek. Jeśli go zdejmie wcześniej, wróć.

Ma iść w lewo, do wioski jakiejś iść. Ma tam być wioska. Ma być.

Chwila mija i słyszy silnik, słyszy jak odjeżdżają. Głośno, szybko odjeżdżają, a ona stoi tak i liczy. Do stu liczy a potem i do dwustu. Modli się i liczy. Do Pana Jezusa się modli licząc. Potem zdejmuje worek. Światło razi. Pierwszy raz od tygodnia widzi czyste światło dnia. Jasno już jest, widno. Zimno i jasno. I pachnąco. Pięknie pachnąco latem i lasem. Rusza, gdzie kazali. W lewo. Rzeczywiście są zabudowania. Majaczą. Daleko, ale wystarczająco blisko, by przestała się bać.

Jest wolna.

Koszmar się skończył.

Idzie z każdym krokiem coraz szybciej, a gdy dostrzega drogę, zaczyna biec.

Wtedy słyszy pierwszy wybuch.

*

Odkoczyli, gdy pierdolnęło, a potem jeszcze przez dobre pół minuty

wgapiali się w buchające z wnętrza jeepa płomienie. Kłęby gęstego, oleistego dymu strzelały w górę błyskawicznie zasnuwając całe niebo czarną chmurą.

– Pięknie – mruknął Brązowy.

– Co? – Niebieski spojrzał z drwiną. On miał w głowie zupełnie inne obrazy.

– Pięknie – powtórzył Brązowy – się hajcuje.

– No – mruknął Różowy. – Jedźmy już, bo...

Tak, gliny też mogły zobaczyć ten piękny widok.

– A teraz uważnie mnie posłuchajcie – powiedział cicho, niemal szeptem Niebieski. – Od teraz nie macie słowa porwanie w słowniku. Jeśli któryś coś takiego powie, ja będę wiedział, że ma podsłuch. Jeśli któryś zmówi się z glinami, zastrzelę. Koronnemu osobiście wpakuję kulkę w łeb. Nie tylko jemu. Zajebię jego żonę, matkę, wszystkich, na których mu zależy. Zdrajca to... gówno. Nic nie znaczy. Kto zdradzi, się przekona...

Patrzyli obaj z Brązowym na Niebieskiego i wiedzieli, że nie żartuje.

Niebieski był zdolny zabić, był zdolny do wszystkiego.

– No już, do roboty.

Wsiadli do samochodu, którym wcześniej przed nimi przyjechał Niebieski i ruszyli w drogę do Trójmiasta.

*

Coś huknęło po raz drugi.

Słup dymu wyrasta nad lasem.

Patrzy na niego jakby trochę urzeczona, oszołomiona, a potem myśli, że lepiej być jak najdalej od tego dymu, od tego huku.

Więc biegnie.

Jakiś samochód przemyka niedaleko.

Nie widzi go, słyszy. Warkot. Pyr pyr, warkot.

Biegnie. Za wolno, by go dopaść. Pyr–pyr cichnie, zanika. Nie zdoła go dopaść, zatrzymać. Zadyszkuje ma. Zadyszkuje.

Potyka się, prawie wywraca.

Przystaje, oddycha.

Jak ciężko oddycha.

Rusza. Idzie. Wolno teraz idzie. Potyka się, idzie.

Do roгатki dochodzi. Staje przy drzewie i myśli. W prawo, czy w lewo? A może do lasu, a nie do wioski? Może trzeba iść w przeciwną stronę niż kazali, niż radzili. Rada czy rozkaz? Dobro czy zło? Co zrobić, Panie Jezu, co?

Decyzja.

Niech się dzieje wola Boga.

Jeden krok, drugi. Uliczka.
Wąska, zniszczona, poorana bruzdami, wertepami, dziurami.
Nawierzchnia ze dwadzieścia lat nie wymieniana, nie łatana. Więcej dziur niż asfaltu.

Wioska, już wyraźnie widoczna.
Zabudowania. Domy. Stodoły. Pies szczeka w oddali.
Wolność w oddali.
Prawdziwa wolność.
A z tyłu...
Cicho, ale coraz głośniejsze. Nadjeżdża. Coś nadjeżdża.
Samochód nadjeżdża.
Jakiś potężny, duży, terenowy, silny nadjeżdża.

*

Ostatni esemes z nieznanego numeru przyszedł o czwartej nad ranem.
Nikifor był już w drodze.
Wyjechał nieco za wcześnie.
I tak nie mógł spać, więc stwierdził, że się trochę pokręci po mieście. Na wszelki wypadek, gdyby ciągnął jakiś ogon. Nie lubił ogonów. Mimo że od lat był uznawany za czystego, nie dawał policji żadnych powodów do interwencji czy podejrzeń, to i tak od czasu do czasu go śledzili.

Dawniej, ilekroć dochodziło do czegoś poważnego w okolicy, przyjeżdżali i go męczyli, czasem tygodniami próbowali go namierzyć, obserwowali dyskretnie. Wtedy im się urywał. Zmieniał jedno mieszkanie na drugie, korzystał z różnych dziupli i melin, żeby tylko się odpieprzyli.

Dawniej, bo dziś miał już spokój.
Nikogo nie zauważył. Nikt za nim nie jechał.
Prowadził, zastanawiając się nad nowym kontraktem, tymi dziwnymi wiadomościami i głuchymi telefonami.

Czy mają ze sobą coś wspólnego?
Czwarta trzydzieści.
Kilka minut później skręcił w wąską dróżkę, zgodnie ze wskazaniem GPS.
Jechał dobre pięć kilometrów między drzewami, aż zobaczył zabudowania.

Kobieta stała na skrzyżowaniu, przy kapliczce i machała do niego ręką.

Gwałtownie, z nadzieją.

Spodziewała się, że tym samochodem nadjeżdża odmiana jej ponurego losu.

Była taka ufna. Pełna nadziei.

Nie mogła podejrzewać, że za chwilę umrze.

*

Wrócił nad ranem. Świtało. Nie, było całkiem jasno. Od razu poszedł się umyć. Słyszała, jak strumień wody zmywa z niego całe zło, w którym się taplał. Tak, wiedziała, że robił coś złego. Od dawna wiedziała.

Szum wody ustał, skrzypnięcie drzwiczek kabiny, chwila ciszy, następnie ciche kroki. Brzdęk szkła, bulgot nalewanej wódki.

Pił dobry kwadrans. Szybko. Ciągłe sobie dolewał.

Ona wtedy myślała o Adamie.

Żeby nie myśleć o tym, co ją czeka za chwilę.

Kochała syna najbardziej na świecie. Ta miłość dawała jej siłę, żeby przetrwać wszelkie upokorzenia. Do kolejnego dnia.

W końcu skończył.

Udawała, że śpi, kiedy wszedł. Patrzył na nią. Pięć minut, może nawet dziesięć. Zdjął szlafrok, wsunął się cicho pod kołdrę. Wciąż dobrze udawała, że śpi, choć wiedziała, że to na nic.

Dłoń powoli gładziła jej plecy, potem sięgnęła do piersi, pocierała sutki aż bezwolnie stwardniały.

Poczuła gorący oddech na szyi, dłoń była już pomiędzy udami.

Przy całej swej gwałtowności i brutalności, jakaś taka opiekuńcza, przyjacielska. Wiedziała, że to oszustwo, podstęp. Nie potrafiła jednak mu się przeciwstawić. Przypomniała sobie ten pierwszy raz, dwadzieścia lat temu, gdy właśnie tak się czuła. Lekko zaniepokojona tajemniczością mężczyzny, jego znajomymi, podejściem do życia. Dużo bardziej zaintrygowana osobowością, przebojowością i tym czymś, pierwiastkiem męskości, którym Bóg obdarza tylko nielicznych.

Bóg albo diabeł.

Po pierwszej nocy, pragnęła kolejnej.

Wystarczył weekend, by kochała go bezgranicznie.

Tydzień, by stała się jego niewolnicą.

Rok, by uzależniła się totalnie i całkowicie.

Od jego miłości.

Potem mógł z nią już zrobić wszystko.

Z dwóch powodów.

Pierwszym była miłość.

Drugim...

...strach.

W tej lub odwrotnej kolejności.

*

Mona ocknęła się z drzemki. Na dworze było już całkiem widno. Słońce świeciło z pełną mocą. Musiała przysnąć. Pustka tego ogromnego pokoju wypełnionego tylko śladami zbrodni przytłaczała, oplatała mackami, wnikała głęboko w umysł, sączyła w nim czarne smugi, jakby wydobywające się wprost z piekieł. Z korytarza dochodziły pospieszne kroki i nawoływania. To one prawdopodobnie wyrwały ją z głębszego snu. Coś się wydarzyło.

Wyszła z pokoju i złapała za ramię pierwszego z przebiegających policjantów.

– Wróciła?

Spojrzał na nią zaskoczony, jakby nie zrozumiał pytania. Chyba nie do końca był w temacie porwania żony Waisa, choć jej się wydawało, że cała jednostka żyje tą sprawą.

– Co się stało? – dopytała.

– Morderstwo. W lasach pod Wejherowem. Zamordowano jakąś kobietę.

Mona omal nie upadła.

Mocno zacisnęła powieki. Zobaczyła przed sobą twarz Daniela Waisa. Szeptala do niej: „Odhaczy pani porażkę i przejdzie dalej?” A potem ta wymaginowana gęba roześmiała się szyderczo. „Ale cię zrobiłem. Wszystkie jesteście takie przewidywalne. Jesteście stworzone, by się nad wami pastwić, by was mordować i gwałcić.” Gdzieś w tle majaczył głos Prygla: „I co, szefowo, może jednak powinnaś posłuchać przeczuć Iwony?” Iwona: „Ale ty wolałaś iść po najmniejszej linii oporu, prawda?” Tak, nie chciała ryzykować. To teraz będzie musiała grać z mordercą do jednej bramki, przynajmniej przez jakiś czas. Bo Waisowi nic nie udowodni. Na razie.

– Cholera – warknęła.

Diabeł w głowie nie próżnował. Już układał swoje scenariusze. Już przekonywał: „Przecież, Mona, to nie ty kierowałaś akcją. Ty byłaś tylko ciałem wspomagającym, analitycznym. Nie ty winna. To Gebert. On winny.”

Czy tak powinna zadziałać? Latos i inni kumple Geberta ją znienawidzą. Na zawsze lub na chwilę. Bo pewnie potem dołączą do pozostałych, którzy od początku będą kiwać głowami z podziwem. Oto jak pięknie potrafi wybrnąć i znów się ustawić. Oto, kogo warto się trzymać, choć nie można wahać. Bo przecież wiadomo, co zawsze wypływa na wierzch.

Zagryzła wargę niemal do krwi, przywołując się do porządku.

Ona nie ma tu żadnego znaczenia.

Teraz ważne jest tylko jedno.

Morderstwo.

Musi zapomnieć o prywatnie i intrygach. Wziąć się w garść. Działać.

– To ktoś ważny, będzie zadyma – dodał policjant. – Już leci do nas cała Warszawa i prokuratorzy z Katowic. Aż dziw, że w radiu jeszcze nie trąbią.

Część trzecia

Po

Czerwiec–wrzesień

Rozdział 19

[15 czerwca, środa, rano

Wróciłam. Przepraszam, piszę krótko, ale jestem wykończona. Wiem, wyglądam jak duch. Czuję się jak duch. Jestem duchem. Jutro napiszę więcej]

Ciało kobiety leżało na polance, zaledwie kilkanaście metrów od drogi. Nagie, bezwstydnie i bezwzględnie martwe. Dlaczego tak pomyślała, dlaczego umysł dobrał akurat takie słowa?

Może z powodu tych wszystkich ludzi.

Teren zabezpieczało kilkudziesięciu policjantów. Może nawet setka. Trzy ekipy techników, czterech prokuratorów z Katowic i jeden z generalnej. Przyjechał sam szef wydziału kryminalnego Komendy Głównej. Ten sam, który kilka lat temu jeszcze jako zwykły śledczy w Stołecznej przez trzy dni kierował zbieraniem śladów w największym miejscu zbrodni w historii Polski.

Nagle Mona przestała być taka ważna.

Stała się tylko jakąś tam cizią od artykułu 252.

Większość tych pałętających się po miejscu zbrodni glin patrzyła na nią jak na intruza. Spadaj laluniu do swoich uprowadzeń, okupów, przekrętów gospodarczych czy czym tam się zajmujesz. My tu mamy poważne morderstwo. Morderstwo prawie polityczne, niebezpieczne. Morderstwo, które może przewrócić system.

Porwanie odeszło na dalszy plan.

– Niezły dym – usłyszała obok głos Geberta. Komisarz wyglądał całkiem nieźle jak na całą nieprzespaną noc. – Podobno zaraz będzie helikopter z ministrem.

Z trudem powstrzymała się od uśmiechu.

– Może powinni ściągnąć premiera?

– Dla niektórych porażka oznacza sukces.

– Mogą się wykazać.

– Pokazać, że są potrzebni. Wielu szuka swojej komisji śledczej.

Mona skinęła w kierunku ciała. Czuła dziwną ulgę. Nie jest normalne, jeśli na widok śmierci, jeszcze tak okrutnej, wręcz bestialskiej, czuje się ulgę. Nie jest normalna.

Odhaczyć i pójść dalej...

– Rzeczywiście jest tego warta?

Gebert otworzył usta, ale nie odpowiedział. Wyraźnie wiedział o czymś, o czym jeszcze nie wiedziała Mona, ale nie chciał tego mówić. Może niesprawdzona informacja, a może po prostu to on chce zapunktować. Może boi się, że jeśli jej powie, ona przejmie informację i przekaże dalej zbierając kokosy. Za parę godzin prokuratorzy ustalą kompetencje, wytypują śledczych do grupy operacyjnej, określą, co mają powiedzieć oficjalnie. Wtedy przyjdzie zapewne czas na odkrycie wszystkich kart. Pokazanie, co kto umie, co wie i dlaczego bardziej się przyda.

Nie miała do niego żalu. Sama pewnie postąpiłaby podobnie.

– O dwunastej będzie konferencja.

– Tutaj?

– Spektakularnie, co nie?

– Ale chyba sprzątną ciało?

– Może tylko przykryją.

– A pismaki? Tutaj przyjadą tylko lokalni, a może i oni nie.

– Nie martw się. Minister zna się na piarze. Wiezie ich ze sobą w helikopterze. Dwie telewizje i trzy gazety. Cały mainstream. Lokalni muszą sobie sami radzić.

Przeszła koło nich ekipa śledczych robiąca dokumentację wideo. Szczegółowo filmowali cały teren, każdy ślad, a wcześniej ciało i poszczególne obrażenia. Mona aż się zachwiała. Gdy przymknęła oczy próbując odzyskać równowagę, przegonić zmęczenie i senność, obrazy natychmiast zaatakowały. Rozbita siekierą twarz, zgruchotana uderzeniem obuchem szczęka, obcięta dłoń, wbity w brzuch nóż, miazga na szyi świadcząca, że morderca próbował oddzielić od tułowia głowę. Do tego masa siniaków, rozrzucone na boki nogi, krew w okolicach intymnych. Prawdopodobnie brutalny gwałt przy użyciu jakiegoś narzędzia. Cholerny zbok albo wyjątkowo perfidny psychopata.

– Paranoja.

– Gdy dasz dupy, musisz przekonać przeciwników politycznych, że to twoja strategia, a nie wpadka czy pomyłka.

– Powiedzą, że tak miało być? Miała zginąć?

– Nie. Tego nikt by nie łyknął.

– Co wymyślą?

Gebert długo nie odpowiadał. Patrzył jak technicy ustawiają czterdziestu policjantów z prewencji w tyralierę. Po tym, jak oni i inne zespoły przeczesaly miejsce zbrodni zgodnie ze sztuką, rozkazami i regulaminowymi instrukcjami, prewencja dostanie swoją szansę udowodnienia, że na coś się przydaje. Może ktoś się wykaże spostrzegawczością, dzięki czemu otrzyma szansę na karierę. Spojrzał na Monę, jakby chciał dodać: tak jak ty, dziewczyno. Jesteś przecież jedną z takich

farciar, która dostała dziką kartę i z niej skorzystała.

Potem odpowiedział:

– Że walka z mafią musi przynosić też ofiary. Dla dobra ogółu trzeba je zaakceptować.

– Jej mąż pewnie będzie innego zdania.

– Dlatego jest ich tu tylu.

*

Endžel była dobrym wyborem – pomyślał Hausberger patrząc na nienaganną figurę kobiety poddającą się zabiegom tradycyjnych masaży. Bezpruderyjna, akceptująca różne fanaberie. Wyjazd należał do nadzwyczaj udanych. Zresztą jak wszystkie poprzednie. Do Sydney też ją zabierze, jak obiecał, choć początkowo planował jednak jakąś małą woltę.

Zabiegi kosmetyczne wkrótce mu się znudziły, przeprosił więc Endžel, poszedł się ubrać i zszedł do baru. W Polsce było teraz dopiero koło dwunastej, u niego późne popołudnie, prawie wieczór. Osiemnasta z minutami.

Włączył tablet i odczytał dwie wiadomości.

Pierwsza dotyczyła strasznie starej sprawy, w której nic nie mógł już pomóc. Mimo to odpowiedział grzecznościowo.

Druga zawierała tylko dobrze znany kod, którego tak wyczekiwał.

Już po wszystkim, wracaj.

Gwiazdka na końcu dodatkowo podkreślała wagę informacji.

Koniec wakacji.

Endžel nie będzie szczęśliwa. W końcu mieli tu posiedzieć jeszcze tydzień.

Za to on miał już wyjątkowo dość beczynności.

Cholerny pracoholizm, odbierający przyjemność nawet z takich pięknych widoków – pomyślał, gdy wrócił do sali masażu, by pogonić Endžel. Akurat przetoczyła się na bok, pokazując mu wszystkie wdzięki.

Poprosił, by się już zebrała, przeszedł do poczekalni i uruchomił tablet z uśpienia. Wyszedł z folderu prywatnych wiadomości i otworzył przeglądarkę.

Serwisy informacyjne zdominował jeden temat.

Kliknął odnośnik i głośno przełknął ślinę.

W Gdańsku brutalnie zamordowano kobietę. Wszystkie media żyły tą sprawą.

Hausberger zwykle przeglądał tylko tytuły i lidy. Tym razem jednak postanowił zagłębić się w treść. Zaczął czytać pierwszy artykuł z brzegu, wciąż nie będąc pewnym, czy otrzymany esemes rzeczywiście wiąże się z wydarzeniami w Gdańsku.

Może nie co dzień ginie żona wpływowego gangstera, ale też nie każda droga prowadzi do Wenecji – pomyślał z uśmiechem.

Sekundę później dotarł do ostatniego akapitu tekstu, w którym padło dobrze mu znane nazwisko.

*

– Nie jestem gangsterem – powiedział dobitnie Daniel. – Jeśli pojawi się jakakolwiek sugestia w pana tekście, nie zostawię tego w ten sposób.

W ogóle miał ochotę nakrzyczeć na pismaka. Zasypać go zarzutami, że nie szanuje prywatności, ludzkich uczuć, dobiera się do tematów, które wymagają wyważenia i zrozumienia. Poza tym, jakim prawem dostał cynk tak szybko. Dlaczego policja, prokuratorzy czy ktokolwiek mu tam przekazał informację, nie szanują tajemnicy śledztwa. A jeśli on coś powie, może zaraz będzie na niego. Co, panie Wais, ma pan ciąg na szkło? Chciał się pan pochwalić, popisać, wykorzystać tragedię dla reklamy?

Podłe i perfidne.

– Co pan robi? – Zapytał dziennikarz.

– Wytoczę wam proces.

– Jesteśmy po pana stronie.

– To po co zadaje pan takie głupie pytania?

– Zwykle pytania.

– Moja żona została porwana...

– Bardzo współczuję, ale...

– A pan mnie pyta, czy to w związku z moimi interesami lub podejrzeniami służb specjalnych. Nie wiem o żadnych podejrzeniach.

– Akta...

– Podobno są tajne.

Dziennikarz z trudem panował nad drżącym głosem. Był bardziej zdenerwowany niż on. W ogóle za młody na pisanie o takich sprawach. Dziecięca twarz, gładko ogolona, oczy jakieś takie przyćmione, spojrzenie niepewne. W biznesie nie zrobiłbyś kariery, dzieciaku – pomyślał Daniel. Pismak poprawił się na niewygodnym krzeselku i powiedział:

– To prawda, jednak mamy swoje źródła.

– I ujawnicie tajemnicę śledztwa?

– Nie.

– Więc po co pan o to pyta?

– Zwyczajnie... chcę wiedzieć.

– Co pan chce wiedzieć?

– Czy...

– Czy mam z tym coś wspólnego? Nie, nie mam. Jak pan widzi, nie jestem podejrzany. Padłem ofiarą przestępstwa i widzę, że mogę za chwilę stać się współwinny w oczach pana czytelników. To się lepiej sprzeda? Prawda, że o to chodzi? Lepiej wmieszać mnie w bagno. Może jeszcze zamieszać moją rodzinę. To będzie lepsze dla sprzedaży pana gazety, tematu, artykułu? Pan dostanie większą wierszówkę, będzie mógł promować materiał w mediach, pójdzie pogadać do telewizji. Będzie pan oceniał mnie w programie na żywo? Co pan powie? Że pana zdaniem jestem ofiarą, ale wiele wskazuje, że sprawa jest niejednoznaczna?

– Panie Wais.

– Niech pan już idzie.

Dziennikarz zebrał rzeczy, wyłączył dyktafon i rzucił przez ramię:

– Nie jestem pana wrogiem. Nie napiszę niczego złego. Po prostu chciałem wiedzieć, czy nie widzi pan niczego szczególnego w tym, że w dniu, w którym uwolniono pana żonę, zamordowano małżonkę znanego skruszonego gangstera, który został świadkiem koronnym? Zwykle pytanie. Tylko pytanie.

*

Dłoń zacisnęła się na szyi. Twarz w kominiarce była blisko i szeptała oblesnie. Jedna, potem druga. W końcu pochyłali się nad nią we trzech. Wąchali ją, lizali, oblapiali. A jej... się to podobało.

Daniel zerwał się z fotela.

Musiał przysnąć. Zmęczenie w końcu go dopadło, zasunęło kotary na oczy, przywołało niechciane obrazy, nadpływające kaskadą jak flotylla czarnych okrętów.

Sen siedział cały czas w głowie i go niszczył.

Po dwunastej zadzwonił do niego kolejny dziennikarz.

Zapytał, czy nie zechce mu udzielić wywiadu.

Odmówił i chciał się rozłączyć, gdy tamten zawołał pospiesznie:

– Niech pan nie będzie taki. Ktoś może mi ukraść temat.

Temat. Stał się tematem.

Dla tych wszystkich dzwoniących i przychodzących dziennikarzy. Ale czy inaczej było z policją i prokuratorami? Tylko kolejny temat.

– No przecież nic się nie stało – rzucił pismak. – Wszystko skończyło się dobrze.

Rozłączył się i nie odbierał więcej telefonów.

Skończyło się dobrze – powtórzył w myślach.

Nieprawda. Nic nie skończyło się dobrze. Nic jeszcze się nie skończyło. Nic

nie jest dobrze. Ona, ja, my. Już nigdy nie będzie tak samo.

Przeszedł po cichu z gabinetu do sypialni.

Ania spała.

Zdrowa. Czysta już. Wykąpana. Ale wciąż pachnąca chemikaliami, którymi ją spryskali dla zniszczenia DNA.

Odzyskał ją.

Odzyskał i nigdy już nie straci.

*

Gebert miał rację. Przez całą konferencję prasową szef policji i prokuratorzy usilnie wmawiali pismakom, że porażka nie jest porażką tylko dowodem na to, jakie sukcesy odnoszą.

– Mafia właśnie straciła zimną krew – zakończył Szeff. – To zabójstwo pokazuje, że jesteśmy na właściwym tropie, że nasze działania przynoszą oczekiwane efekty. Jesteśmy coraz bliżej ostatecznego sukcesu.

Boże, co za wał – pomyślała Mona. Mam nadzieję, że media zacytują to dosłownie, a jakiś publicysta rozbierze słowa szefa na części pierwsze i zestawi z faktami.

Bo cóż się stało? Wyjątkowo brutalnie zamordowano żonę byłego gangstera, a obecnie świadka koronnego. Kobieta, która podobnie jak świadek, powinna być pod ścisłą ochroną. Policja nie upilnowała jej, nie zapobiegła śmierci. Pozwoliła na zdobycie punktu przez mafię. A szef mówi, że są na właściwej drodze.

Niech cię piekło...

I zaraz się skarciła: jesteś jednak wredną suką. Bo przecież powinna być po jego stronie. Nawet jeśli rzeczywiście popełnili błąd, odpowiadają ze tę śmierć, mleko się rozlało. Ona powinna stanąć z innymi policjantami w jednym szeregu, a nie się wyłamywać.

Przecież to nie główny odpowiadał za pomyłkę, tylko jakiś komisarz czy podinspektor, który bezpośrednio nadzorował sprawę skruszonego gangstera. Odpowiedzialność polityczna? Może ją jeszcze poniesie. Ale tu musiał grać właśnie tak, jak grał. Główny chroni tym przemówieniem dupę prawdziwego winnego. Pokazuje innym glinom, że nie zostawi ich w potrzebie, nie wyda na żer mediom i tłumowi. Są razem. Pokazuje, że jeśli ona da dupy, postąpi podobnie.

Czego by chciała?

Co, jej zdaniem, byłoby lepsze?

Powiedzieć: tak, proszę państwa, popełniliśmy błąd, przegrywamy? Nie, brudy trzeba prac u siebie, a nie wywieszać na publiczny widok.

Już ta śmierć wystarczy. Ta pogruchotana miazga przypominająca tylko

twarz, to zmaltretowane, zbrukane ciało, ramię pozbawione dłoni, krew między nogami. To wszystko będzie się im śnić nocami. Będzie przypominać o pomyłce. Pewnie w podręcznikach zostanie właściwie ujęte. Historia osądzi i jego, i innych. Wskaże błędy. Teraz nie był na to czas.

Nic nie jest czarno–białe.

– Podobno ten gangus nie chciał ochrony dla żony – powiedział Gebert, gdy cała ekipa zmierzała już do konferencyjnej w budynku CBS. – Rzekomo upierał się, że tak będzie bezpieczniejsza. Że dzięki temu jego kompani zostawią ją w spokoju.

Podobno...

– A jaka jest prawda?

Gebert wzruszył ramionami, co miało znaczyć: pewnie nigdy jej nie poznamy.

– Pewnie za mało znaczył i komuś szkoda było kasy na tę ochronę. Może napisze o tym książkę albo opowie w wywiadzie.

Wtedy główny znów będzie musiał się tłumaczyć.

Ale pewnie będzie to już inny, nowy główny.

I ten też będzie musiał robić dobrą minę do złej gry.

Tak już jest.

Na tym polega polityka.

Zabójstwo za to było dość oczywiste i jednoznaczne. Nikt nie zakładał, że żona skruszonego mafioza padła przypadkową ofiarą seryjnego zbrodźcy. Mord był brutalny, niemal rytualny i odnosił się bezpośrednio do męża zabitej. Siekiera, nóż ogrodniczy, trzonek, którym zgwałcono kobietę. Wszystkie elementy miały jasny przekaz: były gangster był kiedyś skazany za udział w bójce, w której użył noża ogrodowego; w jednej z ustawek kibicowskich po bójce rozgonił towarzystwo biegnąc za nim z siekierą; brał udział w zbiorowym gwałcie, przy którym użyto trzonka. Zgwałconej kobiecie zmiażdżono przy tym dłoń na tyle nieszczęśliwie, że musiała zostać amputowana.

Wszystko pasowało.

Może poza ostatnim szczegółem: podejrzanym w połowie gardle. Dlaczego w połowie, a nie do końca?

– Chcą mu dać znać, że sam sobie podcina gardło – zaproponowała Mona. – Że jeśli będzie zeznawał, straci nie tylko żonę.

Gebert uśmiechnął się i skinął Monie z uznaniem. A potem postanowił wyciągnąć asa z rękawa.

– Cóż, ja też chciałbym coś dodać. Jak wiecie, tej samej nocy uwolniono zakładniczkę uprowadzoną dla okupu – Gebert podszedł do mapy i wskazał miejsce.

– Spora odległość – zauważył rzecznik prasowy. – Jakiś związek?

Gebert obliział usta.

– Być może nie. Jednak porywacze wysyłali na jeden z telefonów esemesy, które sugerowały, że może chodzić o zlecenie zabójstwa.

Oczy głównego zaświeciły się charakterystycznym blaskiem. Właśnie gwiazdka spadała im z nieba. Może na pagon Geberta. Nawet jeśli niewłaściwa, dobrze jest mieć podejrzanego. Lepiej niż błądzić w całkowicie nieprzejrzystej mgle. Tak, to była bardzo dobra informacja. Gebert zapunktował.

– Zabójstwa kobiety – uzupełnił gdański komisarz. – No i ustaliliśmy, do kogo należy ten telefon.

Nieemożliwe – pomyślała Mona. To niemożliwe. Taki błąd? Nierealny. Zwyczajna podpucha. Spojrzała z wyrzutem. Gebert, nie baw się w takie gierki. Nie brnij dalej, bo się sparzysz.

Jednak Gebert był zdecydowany. Spojrzał na nią, mrugnął okiem, jakby chciał się popisać i powiedzieć: no i co, mała, kto jest lepszy? Ale Mona szybko pojęła, że wcale nie o to chodziło. Gebert zwyczajnie dał jej do zrozumienia, że wie, co robi. Wtedy Mona pomyślała, że komisarz jednak jest bardzo fair. Nie chciał jej tego mówić, żeby całkowicie skupić na sobie ewentualną pomyłkę. Wcale nie chciał spić śmietanki. Próbował zwyczajnie wykonać najlepiej swoją robotę, mimo że wiedział, jak zareagują te śliskie węże.

– No mów wreszcie: do kogo? – Ponaglił rzecznik.

Gdy powiedział im o Nikiforze, powietrze w sali jeszcze bardziej zgęstniało. Tak bardzo potrzebowali słów Geberta. Tak bardzo potrzebowali takiego podejrzanego. Nikifor – kiedyś drań, teraz niby czysty, ale przecież czarni nigdy nie staną się biali. Plotki nie biorą się z niczego, a jeśli ich nie ma, zawsze można dorobić.

Nikifor idealnie pasował na podejrzanego.

Gdyby się nie napatoczył, musieliby go długo szukać.

Rozdział 20

[16 czerwca, czwartek, rano

No to jestem. Brakowało ci mnie? Mi bardzo. Ależ się za tobą stęskniłam. Dranie nie dali mi nawet kartki, żebym sobie spisała, co mam ci przekazać. Osiem dni. Długo. Jak wieczność. Bardzo długa wieczność. Od czego zacząć? Sama nie wiem. Wyściskałam się już z Elizą i Michasiem, psiaki wyczochrałam, Barry chyba nawet przytył, Micha schudła. Tęskniła biedaczka, a facetom to zawsze wszystko jedno. Tylko ich własny interes obchodzi. Dziwne to było przeżycie. Bardzo dziwne. I to, jak wróciłam, też dziwne. Nawet Daniello nie wiedział, jak się zachować. Czy śmiać się, czy płakać? Czy rzygać czy tulić :) Bo musisz wiedzieć, że mnie chemią niszczącą DNA wypsiukali, żeby ślady zatrzeć i to strasznie śmierdziało. Torsje wywoływało u Daniella i innych. Kierowca, co się zatrzymał, by mi pomóc, ledwie dojechał na miejsce. Więc się nie dziw, że i moim się niedobrze robiło. Ale chyba nawet nie o to chodzi, że nie wiedzieli, co robić. Mnie się wydaje, że oni się zwyczajnie bali, że mnie jakoś mogą zranić, że jestem taka krucha, że jak dotkną to się rozpadnę. Nie byłam taka krucha. Tylko zęby mnie bolą od gryzienia łańcucha, bo wiesz, trzymali mnie ciągle na łańcuchu, w obroży, wyobrażasz sobie? I pazury połamane też mam. Wszystko połamane. Tylko nie serce. W żadnym się nie zakochałam, sobie wyobraż, choć jeden by chyba chciał. Z syndromu Sztokholmskiego też nici. Tak, wrócił mi troszkę humor, choć łatwo nie jest. Ale ja, to ja. Słyszałeś że inną zamordowali tego samego dnia. I to jakoś okrutnie szczególnie. Ech, co za życie. Daniello dawał radę? Jak sądzisz, sprawił się? No chyba tak. Bałeś się, że za mnie nie zapłaci? Ja w ogóle. Nawet mimo tego sprzed roku. Nawet mimo Brzydala. Nie było takiej opcji. Nie dla Daniello. On by sobie nie darował. Jak mam umrzeć, to tylko za jego pozwoleniem]

Czekali na niego przed kamienicą w Gdańsku. Samochód stał niedaleko wejścia, w środku dwóch ludzi. Nawet niespecjalnie starali się kamuflować. Jeden chyba spał, drugi coś jadł.

Nikifor przejechał z normalną prędkością, uważając, by nie zwrócili na niego uwagi. Coś nawaliło, ktoś zdradził. Na dodatek za wcześniej było na reakcję po zabójstwie i powiązanie go z nim. Więc przyczyna była inna.

Esemesy i głuche telefony. Czyżby o nie chodziło?

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Zaparkował w centrum

i intensywnie rozważał, co zrobić. Jeśli mają coś na niego, wcześniej czy później go złapią. Być może obserwują drugie mieszkanie, które miał w Gdyni. Może już trafili też na kawalerkę w Warszawie. Dacza na Kaszubach? Nie, raczej nie tak szybko. Tak czy inaczej... Uciekanie jest bez sensu. Jeśli ucieknie, da im powód, by go ścigali. Nie będzie odwrotu. Straci wszystko, co zyskał przez dziesięć lat. Być może głupio wpadnie.

Uciekać może tylko wtedy, gdy popełni jakiś błąd i będzie wiedział, że oni o nim wiedzą.

Na razie...

Nie, to niemożliwe, żeby coś na niego mieli.

Lepiej podjąć grę.

Musi tylko się dobrze przygotować, zniszczyć ewentualne dowody, zmylić tropy, zatrzeć ślady, wyeliminować możliwie najwięcej poszlak, zagrać ich kartami, nawet jeśli są znaczone.

Spokojnie przemyślał każdy krok.

Najpierw pojedzie nad jezioro, utopi ubrania i buty, wykąpie się w jeziorze, żeby nie wzbudzić podejrzeń, założy nowe ciuchy. Dla pewności, bo przecież „pracował” w stroju roboczym, już zniszczonym. Nie miał przy sobie nic, co mogłoby go powiązać z miejscem zbrodni i z ofiarą. Był pewien, że nie pozostawił śladów. Nawet buty na akcję założył o dwa numery mniejsze, niż w rzeczywistości nosił. Obciążył się dodatkowo trzema kilogramami odważników, żeby robić głębsze ślady. Pozostawił materiał biologiczny przypadkowych osób. Był sterylny, skrupulatny, dobrze przygotowany.

Samochód, który wykorzystał w dniu zabójstwa, kupił na fałszywe dane w komisie na drugim końcu Polski i pozostawił na parkingu strzeżonym, za który płacił przez internet z kawiarenek.

Raczej nigdy go nikt nie znajdzie, a jeśli nawet, nie będzie w stanie powiązać.

Niemożliwe, żeby go dopadli.

Ale dla pewności przemyśli krok po kroku jeszcze raz.

Wciąż czuł adrenalinę i podwyższone ciśnienie krwi po wysiłku. Puls pewnie znacznie przekraczał stowę. Zabicie człowieka to zadziwiająco duży wysiłek. Fizyczny i emocjonalny. Przymknął na chwilę oczy i znów ją zobaczył. Kobieta stojącą na rogu, przy kapliczce i machającą do niego ramieniem. Machała wesoło, z nadzieją. Kochająca kobieta tak macha.

Człowiek, który zlecił zabójstwo, załatwił jej nadzieję i śmierć. Nikifor nie znał szczegółów, ale podejrzewał, że zleceniodawca dał sygnał kobiecie, że Nikifor ma jej do przekazania jakieś szczegółowe informacje od aresztowanego przed kilkoma miesiącami męża, do którego jej nie dopuszczano, niby dla dobra obojga. Mówiono jej, że on tak chciał, a ona nie wierzyła. Bardzo jej zależało na

zobaczeniu mężczyzny jej życia, a potem z każdym dniem coraz bardziej na choćby strzępkach informacji o nim. Wystarczyło, że zleceniodawca szepnął słówko o mężu. Jedź w to i to miejsce, bądź o tej i o tej godzinie, czekaj. Przyjedzie mężczyzna. On da ci informacje. A może nawet zawiezie do tego twojego ukochanego. Pamiętaj o konspiracji. Nikt nie może się dowiedzieć.

Tak to pewnie wyglądało.

Kobieta wypełniła polecenia, dostosowała się do wskazówek i przysłała. Po śmierć.

Nikifor uznał, że ze środowiska kobiety nic mu nie grozi.

Inaczej było ze zleceniodawcą, choć prawdopodobnie nie znał tożsamości zabójcy.

Nikifor był w zasadzie pewien, że tylko jedna osoba ją zna.

Tylko jeden pośrednik.

I tego pośrednika również był pewien. Nie zdradził. Nie mógł zdradzić.

Więc dlaczego za nim chodzą?

Dowie się, kiedyś.

Dziś musi robić swoje. Zatrzeć możliwie wiele śladów. Potem pojechać do dachy na Kaszubach i tam też wszystko wyczyścić. Ponieważ kupił ją na jedną ze spółek zarejestrowanych przez prawnika, pewnie policja trafi do niej z dużym opóźnieniem.

Ale trafi.

On jednak zyska czas na posprzątanie i przygotowanie się do zatrzymania, rewizji, przesłuchań.

A potem zasadzi zapewne ostatni w tym miejscu, a może nawet w ogóle, kwiat.

Euonymus alatus.

Trzmielina. Ta będzie odpowiednia.

Ognisty krzew.

Brązowy, imponujący. Co prawda nie zdąży zobaczyć jak we wrześnie zakwitnie, ale komuś innemu z pewnością ten widok sprawi przyjemność.

Po to się przecież żyje.

Dla przyjemności.

*

Góra orzekła, że śledztwo ma najwyższy priorytet.

W konferencyjnej poza zespołem Mony i grupą Geberta siedziała cała gama typów z CBS. Chyba reprezentowali każdą możliwą formację. Wydziały pościgowe, antyterrorystyczne, okularnicy z działu cyberprzestępczości, kryminalni.

I on. Diuk. Książę Dawidiuk. Zwabiony potencjalną doniosłością sprawy.

Otoczony przydupasami, poplecznikami, wazeliniarzami i zwykłymi pasożytami, którzy chcieli podpiąć się do koryta.

Wezwany na pomoc przyszedł minister.

Dziś wciąż jeden z najważniejszych, najskuteczniejszych gliniarzy w Polsce. Unikał wzroku Mony. Przynajmniej takie miała wrażenie, bo robił to perfekcyjnie, jak przystało na polityka. Udawał, że pomiędzy nimi nic się nigdy nie wydarzyło. Traktował ją jak powietrze. Może i ona tak powinna? Za to była cały czas pod ostrzałem kogoś innego. Czuła na sobie ten wzrok, lecz początkowo nie mogła odgadnąć, do kogo należy. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegła w oddali, skrytego w cieniu innych policjantów i prokuratorów Prygla. Proporcje się zgadzały. Mina nie bardzo. Patrzył na nią całkiem poważnie, bez tego swojego drwiącego, zabarwionego ironią, irytującego znacznika.

Dziwnie się poczuła.

– Niestety jest ostro. Zbyt dużo daliśmy mediom. Będą teraz na okrągło szafować tymi zdjęciami, opisami brutalności sprawcy, domniemywać czy to czasem nie jakiś seryjny – powiedział jeden z prokuratorów.

– Mówiłem, że konferencja na miejscu zbrodni to błąd – mruknął cicho Gebert do Mony.

– Głośniej, panie komisarzu – zaproponował Szeff.

Gebert odkaslnął, a następnie powiedział z przesadną emfazą:

– Nic takiego, chwałę postępy w śledztwie.

Rzecznik prasowy poczerwieniał i uznał, że powinien coś powiedzieć, ale zamiast skomentować słowa Geberta przeskoczył na inny temat. Lata wprawy w nie odpowiadaniu na pytania i zamykania spraw pod dywan.

– Mówimy mediom, że mamy podejrzanego?

– Tak, dajmy im najlepiej jego adres – Gebert ciężko pracował na kolejnych wrogów, choć pewnie już ich miał. Mona coraz bardziej go lubiła.

– Może Rutkowski go za nas złapie – rzucił ktoś z tyłu i cała sala wybuchła śmiechem.

– Żebyście nie wykrakali – rzucił Szeff. – Rutkowski robi konferencję pod prokuraturą. Twierdzi, że ma już więcej ustaleń niż my.

– A kiedyś twierdził inaczej?

– Żeby było jasne – zapowiedział Szeff. – Urwę jaja każdemu, kto mu sprzeda info.

– A podpuścić go trochę można? – zadrwił ktoś z Gdańska.

Diuk zirytowany machnął ręką.

– Wróćmy do tematu. Kto najwięcej wie o tym Nikiforze?

Gebert niechętnie podniósł rękę.

– To chyba ja.

Następnie przez dziesięć minut referował, czego dowiedział się od informatorów i co sam ustalił. Opowiedział o dawnej, gangsterskiej przeszłości, wyroku za porwanie, dziesięciu latach czystości i zamiłowaniu do ogrodnictwa. Mona z niepokojem patrzyła, jak z każdym słowem Diukowi mocniej błyszczą oczy. Już łyknał, już widział te pochwały. Już miał swojego idealnego sprawcę. Na dodatek postać niejednoznaczną, ciekawą dla mediów, na której można podrasować własną karierę.

– O co chodzi z tymi telefonami i esemesami?

Gebert wyjaśnił po kolei, że porywacze, którzy uprowadzili Annę Wais kilka razy kontaktowali się z dwoma numerami zarejestrowanymi na abonentów. Jeden z tych numerów należał do Nikifora.

– A drugi?

– Też bandzior – Gebert usilnie szukał w pamięci pseudonimu, ale wyleciał mu z głowy. Pewnie i tak by nikt nie zapamiętał. – Wyroki za rozboje i pobicia. Na mieście mówi się też, że były cyngiel. Ostatnio kojarzony z grupą wschodnią. Po alkoholu całkowicie mu odbija. Pasuje nam do takiej roboty. Zresztą, choć nie miał na koncie skazań czy podejrzeń o porwania, to już różne wymuszenia, wywożenie ludzi do lasu dla haraczy jak najbardziej. Morderstw nikt mu nie udowodnił.

– Problem w tym, że nie bardzo nam się składa porwanie z tym zabójstwem – wspomniała Mona. Uznała też, że najwyższy czas powiedzieć wszystkim o Marcie Furman. – Dodatkowo mamy tu wątek zaginięcia sprzed roku.

Przez chwilę relacjonowała dotychczasowe ustalenia.

– Czyli co? – Rzecznik jak to rzecznik, uprościł i skondensował informacje: – Nikifor zamordował Martę Furman, tę Annę... jak pani mówiła... Wais i na koniec zaciukał żonę naszego koronnego. Co nam się nie składa?

– Wszystkie klocki są z innej układanki – wyjaśniła. – Furman zaginęła, nie ma ciała i związku z Nikiforem, choć może być z Waisem. Anna Wais wróciła do domu. Tylko żona koron...

– Ale co się nie składa? – przerwał rzecznik. Chyba już pisał w myślach doniesienie do mediów. Policja na tropie niezwykle groźnego, przebiegłego bandyty, a jeszcze lepiej gangu. Przemiana porażki w sukces. To jego specjalność.

– Jak klocki do siebie nie pasują, to trza przyciąć – usłyszała z boku. Kilku policjantów zachichotało. Ktoś rzucił: – Sztuka jest sztuka.

Padło jeszcze pytanie o Waisa i w końcu oddano głos Diukowi. Dawidiuk wstał, podsumował ustalenia i stwierdził, że wystąpi do ministra o powołanie specjalnego zespołu do zbadania wszystkich wątków „tej skomplikowanej sprawy”, co właściwie oznaczało, że zespół właśnie został powołany.

– Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko współpracy z nami? – zwrócił się do Mony.

Twardy zawodnik. Gdy mówił do niej, nawet jednym nerwem nie dał znać,

że mają ze sobą na pieńku. Jakby pierwszy raz się widzieli.

– Absolutnie – stwierdziła Mona z trudem powstrzymując się, by nie dodać: „pod warunkiem, że do zadań zespołu włączymy też wyjaśnienie zaległej sprawy o kryptonimie *Teresa*”. Była bardzo ciekawa, jak twarżel Diuk by na to zareagował.

*

Spiskują, wszyscy spiskują.
Zamykają przed nią drzwi. Udają.
Jak w tym ich ulubionym, cholernym „Ojcu Chrzestnym”.
Ojciec i syn.
Obaj udają.
Ona też zatem udaje.
Ma inne wyjście?
Musi udawać.
Inaczej zamkną te najważniejsze drzwi.
Drzwiczki.
Te do barku.
A tam czeka spokój. Czeka ukojenie.
Jedyna nadzieja.
Rum z tonikiem.
Bacardi.
Sierra.
Olmeca.
Takie szyfry.
Mówi szyfrem.
Coraz częściej nim mówi.
Język zatopiony w płynie.
Usta umoczone.
Gardło płonie.
Ukojenie.
Spokój.
Cisza.
Sen.

*

Eliza miała wrażenie, że wszyscy je obserwują. Mamę i ją. To na niej, na córce, spoczywał teraz największy ciężar, największa odpowiedzialność. Od niej oczekiwano, że postawi mamę na nogi. Ale już następnego dnia po porwaniu mama odżyła. Jak zawsze rano wstała pierwsza i wyszła z psem. Jak dawniej. Jedyna różnica: towarzyszyli jej ochroniarze. Potem krzątała się w kuchni. Przystawiała wszystko po swojemu, zrobiła kanapki, zaparzyła herbatę i kawę.

Eliza wstała druga. Siedziały przez chwilę w milczeniu.

– W porządku? – zapytała w końcu.

Mama skinęła głową.

– Chcesz pogadać?

– Nie trzeba. Nic się nie stało. Wszystko dobrze.

Nie naciskała. Bo mama wyglądała rzeczywiście dobrze. Świeżo, wypoczęta. Pozbyła się zapachu chemikaliów, wyspała. Teraz to ojciec był przy niej wrakiem. Gdy pojawił się w kuchni, to właśnie zauważyła. Po niej nie było widać żadnego stresu, żadnego napięcia. On o dziesięć lat starszy. Czy rzeczywiście mogła być aż tak twarda, tak silna, że całe to zdarzenie nie pozostawiło na niej śladu? Niemożliwe.

– Mamo – poprosiła. – Pogadajmy.

Odwróciła się. Zajęła czymś. Przekładała rzeczy z miejsca na miejsce. Więc nie jest aż tak dobrze.

– Proszę.

– Nic się nie dzieje, córciu. Naprawdę jest dobrze.

A ja? Nie zapytasz o mnie? Jak ja się czuję? Albo ojciec? Czy myślisz, że to się przydarzyło tylko tobie? Popołniasz dokładnie ten sam błąd, co ojciec z firmą przed zdarzeniem. On też nie dopuszczał cię do siebie, do swoich sukcesów i problemów. Sam za nie odpowiadał, nie dając sobie powiedzieć, że inni też mają na te zdarzenia wpływ. Ty robisz teraz dokładnie tak samo. I podobnie jak tata, nie będziesz chciała słuchać, prawda?

Mama nagle spojrzała na nią inaczej i Eliza przez chwilę wyczytała w jej oczach coś innego niż to, co pokazywała ta cała maska. To coś, co ona również przywdziewała.

Nic nie wiecie.

Nie wiecie, jak się czuję.

Ojciec usiadł przy stole i skrył twarz w dłoniach.

– Kto mógł to zrobić?

Mama spojrzała, jakby chciała odpowiedzieć: a czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy to naprawdę ważne? Podążyła mu kanapki, patrzyła jak je bez apetytu. Przegryzł dwa kęsy, w końcu oparł się i patrzył to na mamę, to na Elizę.

Jakby chciał ocenić, która z nich jest bardziej winna.

– Muszę ich znaleźć, rozumiecie?

– Tato...

– Muszę. Inaczej... ciągle będę o tym myśleć.

Mamo, powiedz coś – błagała w myślach. Ale mama milczała.

– Jeśli to Wilkosz, zabiję go.

– A jak nie?

– Jak myślisz, to mógł być Wilkosz?

Pytanie do mamy. Nie odpowiedziała.

– Hausberger? Słyszałaś takie nazwisko?

Cisza.

– A może widziałaś jakieś szczegóły. Dziwne buty, ubrania, sygnety...

Cisza.

– Opowiedz jeszcze raz, od początku...

Mama milczała. Patrzyła tylko na kanapki. Jakby uświadomiła sobie coś, czego jeszcze nie powiedziała im i policji.

– Kanapki – rzuciła w końcu. – Podawali mi eleganckie kanapki, równo ukrojone, z pomidorem, sałatą i ogórkiem, właściwie skomponowane.

Ojciec zmarszczył brwi. Był na granicy wybuchu. Co go obchodziły kanapki?

Wtedy mama zakończyła:

– To nie były kanapki robione przez mężczyznę. Przygotowała je kobieta.

Do kuchni zajrzał Michał i myśląc, że nikt go nie zauważył uciekł z powrotem na górę, jakby miał coś do ukrycia.

Coś, o czym nie chciał rozmawiać z żadnym z nich.

*

Gebert odetchnął pełną piersią i spojrzał podejrzliwie na gliniarza z Poznania, przydzielonego jemu i Latosowi w charakterze „pryzwoitki”. Nawet gdyby śledztwo nie miało tylu wątków i tak by dostali kogoś takiego. Przy dochodzeniach dotyczących dużych pieniędzy zawsze do zespołu wchodził „obcy”, z innej delegatury. To miało uchronić ich od pokus, gdyby na przykład ktoś wpadł na pomysł wydzielenia z ewentualnie odzyskanych pieniędzy działki dla śledczych za zaangażowanie. Taki bezpiecznik i świadek w razie jakichś podejrzeń.

W sumie pewnie niejeden z gliniarzy rozpatrywał coś podobnego. Coś im się należało za poświęcenie. Coś więcej niż pensja.

Gebert jednak tak nie myślał. Nie, żeby nie miał pokus. Po prostu wiedział, czym zakończyłby się ten jeden krok na skróty. Wcześniej czy później. Zawsze prowokuje kolejny, i jeszcze jeden. W końcu wpadka i wydalenie ze służby. Czasem z pozostawioną emeryturą. W najlepszym razie. W najgorszym

– więzienie. A nawet jeśli uda się tego uniknąć, to i tak BSW do końca życia na karku, pełno intryg, fałszywych zeznań świadków koronnych. Seria prowokacji, manipulacji i wrogich działań. Z ciągłym zagrożeniem, że jakaś kolejna ekipa będzie szukała sukcesu i ty się jej akurat przydasz.

W pewnym momencie nie wiesz już, kto jest kolegą, a kto wrogiem. Zatracasz granice.

Przez jeden głupi błąd.

To nie było dla niego.

Nawet jeśli rzeczywiście w tym przypadku wyjątkowo się napracowali.

Głęboko nabrał świeżego, pachnącego świerkami powietrza i od razu sięgnął do kieszeni po paczkę fajek, jakby coś zdrowego wywoływało natychmiastową potrzebę zrównoważenia tego czymś trującym.

Próbował policzyć, ile spał ostatnio. W końcu zrezygnował z papierosa.

Na razie.

Oddychaj głęboko, póki jesteś w lesie. Za chwilę pewnie znów wrócisz do odsłuchiwania taśm i ślęczenia nad papierzyskami. Wtedy bezwiednie będziesz sięgał jedną ręką do paczki i drugą przypalał. Ostatnie godziny przed wyjazdem do lasu tak właśnie spędził. Odsłuchiwał kilkakrotnie nagranie zeznań Waisowej, paląc, spisując na kartce szczegóły, które mogły się przydać w ustalaniu sprawców.

Niebieski, Brązowy i Różowy.

Trzech porywaczy.

I Nikifor. Na dokładkę.

Gdy Anna Wais potwierdziła, że słyszała jak porywacze wymieniają taki pseudonim, Gebert sam już nie wiedział, co o tym myśleć.

Może jego i Mony wątpliwości wcale nie były uzasadnione? Może naciągana teoria się potwierdzi?

Diuk zresztą miał już klapki na oczach i wytyczony cel. Złapać Nikifora. Dać rzecznikom i komendantom właściwą „ofiara”, medialnego superprzestępcę.

A ty... Gebert. Zajmij się lepiej swoim porwaniem. Dzieciakami, pieniędzmi, śladami, powiązaniem.

Nie wykluczył go z zespołu do spraw Nikifora, ale jasno wyznaczył miejsce w szeregu. Twoja rola to ustalić, jaki związek ma Nikifor z porwaniem, innymi podejrzanymi i ofiarami.

Gebert pierwszy znalazł trop, naprowadził na niego zespół, chwala mu za to (albo potępienie), ale teraz musiał pogodzić się z faktem, że inne psy są szybsze, silniejsze, obdarzone rzekomo bardziej wytrawnym węchem.

Kurewski świat.

Rozdział 21

[17 czerwca, piątek, popołudniu

Mam tyle nie pić? Za wcześnie? Co ty tam wiesz. Lepiej mnie nie pouczaj, bo się zdenerwuję. Muszę jakoś się uspokoić. Jeden dzień na rauszu to przecież nie jakiś dramat. Że piję już od trzech? Jakbyś ty był na wolności od trzech, też byś pił. Eliza maleńka mi się nocami ciągle zapłakuje, a po Michale to spływa. Faceci. Daniello za to wrócił do żywych i za robotę się wziął. Firmę ratuje. Bo przez tę kasę zapłaconą draniom możemy wszystko stracić, wiesz? On nową strategię zaczął wdrażać, zaliczki na budowę fabryki dał, maszyny już kupował, a teraz to się może wywrócić. Zbankrutujemy. Znow będziemy biedni. Chciałbyś być biedny? Ja też. Biedna ale szczęśliwa. Czyż to nie ładnie brzmi. Dla Daniello tylko kasa się teraz liczy, a ja mam rozumieć, bo przecież inaczej będzie wielka katastrofa. I tamci. Dorwać ich chce. Podusić własnoręcznie. I dorwie. Wierz mi, że dorwie. Choćby miał do piekła wleźć za nimi, to dorwie.]

Weź się w garść! Musisz zapanować nad demonami. Zamknij ten rozdział raz na zawsze. Zapomnij o Marcie, o Wilkoszu, gazetach, o tym, co spotkało Anię. Już przeszło. Zapomnij.

– Albo poczekacie na pieniądze, albo zrywamy umowę – zdecydował.

Siedziało przed nim trzech podwykonawców i przedstawiciel głównego kontrahenta. Wszyscy zaniepokojeni brakiem środków na koncie. Nie mógł im tłumaczyć, że nieoczekiwane wydarzenia zmusiły go do przesunięcia pieniędzy na inne cele, przez co opóźniło się również podpisanie umowy z agencją i bankiem. Gdyby powiedział prawdę, zareagowałiby jeszcze gorzej. Gdyby do tego dodał opis swoich osobistych problemów, porwania, śledztwa, tygodnia traumatycznych wydarzeń, uciekliby gdzie pieprz rośnie. Problemy przyciągają problemy.

– Zapłacę, zaufajcie mi – dodał łagodniej.

Biernat by go ochrzanił. Ci ludzie są przyzwyczajeni do takich sytuacji. Kontrahenci nie płacą im miesiącami, a czasem latami. Nawet budżetowce się to zdarza. Dają kontrakt, a potem następują obsuwy, problemy z odbiorami, zatory finansowe. Dla nich to normalka, a ty chcesz być taki wyjątkowo fair. Niepotrzebnie.

Biernat szanował jego przywiązanie do reguł, ale też zwracał uwagę na to, by nie był naiwny. W przedsięwzięciach budowlanych szanuje się najbardziej

prawo silniejszego. Ci ludzie na co dzień mieli do czynienia z oszustami wszelkiej maści. Potrafią skoczyć sobie do gardeł, przeklinać nawzajem, grać naprawdę na granicy, używając ostrej amunicji. Zbyt uczciwego będą traktować jak przybysza z innej planety. Albo jak mięczaka.

Wtedy będzie po zabawie.

– Potrzebuję trochę czasu. Biurokracja...

– Jak długo?

– Tydzień, może dwa.

– Tydzień?

Skinął głową.

– Niech będzie. Tydzień.

Wyszli.

Mógł w końcu wrócić do świata własnych spisków. Poszukać śladów w myślach. Spróbować odgadnąć, kto i dlaczego. Tu było mu łatwiej niż w domu.

Na korytarzu czekał jednak Hausberger.

W pierwszej chwili Daniel omal nie dostał zawału. Serce podskoczyło do gardła, łupanie w skroniach rozsadzało głowę. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek jeszcze ten gość przyjdzie do niego z własnej woli. Dlatego przeżył taki wstrząs. Przed oczami pociemniało tak, że musiał przymknąć oczy. A wtedy umysł zaatakowały obrazy sprzed kilku dni. Ania z workiem na głowie, na łańcuchu, jak zwierzę. Grób wykopany dla niej i sfotografowany w sepeli. Zdjęcie sekatora. Tabloid. Głos w głowie. Ten głos.

Masz trupa w rodzinie, skurwielu!

Może to sam Hausberger wymyślił? Może to on mówił?

Nie? Na to był za ładny? Zbyt wysoko stoisz w bandyckiej hierarchii?

Dranu, jak śmiesz tu przychodzić? Po tym, co zrobiłeś?

Opalona, woskowa gęba o piwnych oczach nie wyrażała żadnych emocji. Zero podniecenia, niepokoju. Udawał, że nie widzi, jakie wrażenie wywołał. Nieco otyła sylwetka grzała się wygodnie na kanapie w poczekalni. Dłonie na kolanach nie drżały, nie lepiły od potu. Stopy nie poruszały nerwowo pantoflami o wydłużonych czubach.

Dziwak. Ohydny dziwak. Niewzruszony. Opanowany, zimny jak gład.

Wyjątkowy drań. Albo niewinny.

Mógł być niewinny?

– Czego pan chce?

– Porozmawiać.

Początkowo zamierzał odmówić, potraktować go obcesowo, niegrzecznie. Wyrzucić, zbluzgać, może nawet poturbować. Szybko wziął się w garść. Bez względu na to, czy Hausberger ma jakikolwiek związek z jego kłopotami, czy nie, Daniel musi być wyrachowany, jak ten łobuz. Nie może okazać słabości. Nie może

pozwoić, by to emocje wzięły górę. One są cechą ludzi słabych i prymitywnych, z którymi tacy jak Hausberger zawsze wygrywają. Tak by mu powiedział Biernat. Tak by kazał robić. Kimkolwiek jest Hausberger, Daniel ma mu pokazać żelazną siłę. Ma zachować kamienną, pokerową twarz. Udowodnić, że nie da się tak łatwo pokonać, że każda krzywda po nim spływa, co najwyżej wzmacnia. Że jest niezwyciężony. Zawsze się podniesie.

Lepiej sam odpuść, bo sprawy zajdą za daleko.

A wtedy przyjdzie czas na rewanż.

– Zapraszam.

Hausberger poczekał aż Daniel zamknie drzwi, może też czekał na propozycję czegoś do picia, ale gospodarz tego nie zrobił.

– Nie przyniósł mi pan kolejnej gazety? – Zapytał za to patrząc nieustępliwie w zmijowate oczy. Tym razem nie ukrywał złowrogiego błysku, jak podczas pierwszej ich rozmowy. Napatrz się dobrze, obwiesiu, bo już niedługo poznasz, co to moja złość. Jak tylko będę pewien, że maczałeś w tym palce. Wtedy... przestanę być miły. Skończą się podchody i układy.

– Nie czytam gazet. Przerzuciłem się na to – Hausberger udał, że dygresja nie ma żadnego znaczenia. Może przez ułamek sekundy był zaskoczony. Może chciał zadać pytanie, o jaką gazetę chodzi. Ale nie zadał. Wyjął z kieszeni tablet. Jego usta wygięły się w delikatny łuk. Drwina. Śmiał się z niego.

Usta się zwężyły. Już nie miały drwiącego wyrazu.

Więc to on, pomyślał Daniel. Przyznaje mi się w oczy. Prowokuje. Jak zareagować? Usiadł za biurkiem, sięgnął do myszki komputera i udawał, że czegoś szuka na ekranie. Zaciśnął mocno palce lewej dłoni na blacie stołu. Hausberger podszedł do krzeselka naprzeciwko i usiadł nieproszony.

– Więc? – zapytał Daniel nie odrywając wzroku od ekranu komputera. Otworzył pasjansa i kliknął w okienko „nowa gra”. – Czym mogę panu służyć?

Hausberger chrząknął. Bez skutku. Daniel cały czas układał pasjans.

– Mam nową ofertę – powiedział Hausberger.

– Podobną do poprzedniej?

– Nie, zupełnie inną. Tym razem to ja chciałbym dać panu zarobić. Prawdziwa okazja.

Pasjans przegrany. Daniel szybko kliknął i wywołał nową grę.

– Nie szukam okazji.

– Jeśli okazja sama przychodzi, grzech nie skorzystać.

– Wygląda na to, że ze mnie prawdziwy grzesznik.

– Któż nim nie jest.

„Nowa gra”. Klik.

Hausberger westchnął. Jego twarz wyrażała delikatne zniecierpliwienie. Może nawet pojawiła się pierwsza kropelka potu na czole. Było gorąco. Daniel nie

włączył klimatyzatora. Jego organizm doskonale radził sobie z nadmiernym ciepłem i zapachami z drukarni. A Hausberger... pewnie dawno nie był tak traktowany. Daniel starał się rozluźnić napięte mięśnie. Był już całkiem spokojny. Poradził sobie z pokusą skoczenia draniowi do gardła i wyciśnięcia z niego prawdy. Co się odwlecze... Jak się uporam z problemami, wezmę się za ciebie.

– Może nieprecyzyjnie wyraziłem się... poprzednim razem.

– Przeciwnie, bardzo precyzyjnie.

*

Mona szukała związku. On gdzieś tu był. Ukrył się pomiędzy aktami, dowodami, sygnałami. Czekał na nią. Czekał aż go znajdzie, zanim sam się ujawni albo trafi na niego ktoś inny.

Znajdź go! Wystarczy włożyć w to tyle pracy, ile trzeba, a go znajdziesz. Rozwiązesz zagadki, powstawią brakujące literki i cyfry w czarne kratki, odkryjesz niewiadome.

– Dupa – warknęła.

Nic nie pasowało. Nie dało się skonstruować żadnej logicznej układanki. Nie było wystarczająco mocnych nici łączących, by można było ułożyć te puzzle, połączyć je w odpowiednią konstelację. Waisowi porwano żonę, zażądano okupu. Rok wcześniej zaginęła Marta Furman. Okupu nie było. Ciała nie znaleziono. Łącznik: Eliza Wais. Jej ówczesny chłopak miał jakiś związek z Martą. Ona o tym wiedziała. Czy Daniel też mógł wiedzieć? Mógł mieć z tym coś wspólnego? Czy absurdalna teoria Iwony o tym, że uczestniczył w tym zaginięciu, może był mordercą, może sam zaplanował porwanie, wynajął Nikifora, mogła mieć jakikolwiek związek z prawdą?

Nie.

Dziś już ponad wszelką wątpliwość wiedzieli, że nie miał nic wspólnego z Martą. Miał przecież żelazne alibi. Podczas zaginięcia nie było go w Polsce. Mona sprawdziła już na lotnisku i z pomocą prawną ustaliła, że negocjował coś wówczas w Paryżu. Miał świadków. Więc to nie on.

Chyba że jest geniuszem zbrodni.

Tak czy inaczej rok później porywają mu żonę. Esemesy trafiają do byłego gangstera Nikifora, o którym krążą plotki, że to zabójca. W pewnym oddaleniu (ale jednak w okolicy) od miejsca przekazania okupu i uwolnienia zakładnika dochodzi do morderstwa. Ginie żona znanego gangstera, świadka koronnego. Wszystko wskazuje na zaplanowane zabójstwo. Nikifor jest podejrzany, bo nie mają lepszego kandydata do podejrzeń, ale czy potrzebują lepszego? W końcu są tajemnicze esemesy na jego telefon. Dziwne, podejrzane, zbyt oczywiste w tej sytuacji.

Nieprawdopodobne, żeby znaczyły to, co znaczyły dla nich. Ale jednak są.

Zbiór różnych zdarzeń.

Jaki jest logiczny ciąg?

A może nie musi go być?

Powinien.

Zawsze jest jakiś sens.

Trzeba tylko dobrze poszukać.

Muszą spróbować go znaleźć i wyjaśnić.

Ona jest od tego, żeby znaleźć.

Ona i... cholerny Dawidiuk.

Wyścig się rozpoczął.

Trwa.

Kto znajdzie rozwiązanie, będzie na wierzchu.

Będzie dyktował tempo innym.

Nie mogła sobie z tym wszystkim poradzić. Musiała odreagować.

Wyszła z biura i ruszyła na dworzec. Spojrzała na rozkład, kupiła bilet, poszła na peron. Wsiadła do pociągu. Pięć godzin później ON nie krył zdumienia. Był lekko skołowany i zbity z tropu. Chyba miał właśnie wyjść. Na stole leżał niezapakowany prezent dla nastolatka – deskorolka. Nie wiedziała, czy to z jakiejś okazji, czy tak po prostu chciał zrobić synowi niespodziankę. ON też nie chciał jej tego tłumaczyć. Pospieszenie schował zabawkę pod stół i pozwolił, by zrobiła to, po co przyjechała.

Spieszyła się.

Rano musiała być z powrotem w Gdańsku.

*

Skończył sprzątać. Wymienił wszystkie dyski w komputerach. Stare zutylizował i zakopał w lesie. Wyczyścił pamięci i historie logowań, do których miał dostęp. Zdawał sobie sprawę, że jeśli policja będzie skrupulatna, część danych ściągnie z serwerów operatorów, również tych zagranicznych. Dyski też pewnie znajdą, jeśli przeskanują teren. Jednak nie będzie tam niczego, co da im bezpośredni link do którejkolwiek ze spraw.

Nie znajdą żadnego dowodu.

Fizycznych nie było ani w tym domu, ani w innych jego mieszkaniach. Pozbył się wszelkich związanych ze zbrodniami narzędzi, paragonów, kart, telefonów.

Był czysty.

Wysprzątanym jak nigdy.

Mógł czekać.

Wakacje. Dawno ich nie miał.

Siedział na tarasie rozkoszując się kaszubskimi widokami, atmosferą i tym specyficznym ani zimnym, ani zbyt gorącym klimatem, gdy pierwszy z czujników dał znać, że już są.

Znaleźli go.

Rozstawiają pewnie pierwsze czujki, zastawiają pułapki, wymierzają mikrofony kierunkowe i kamery na podczerwień, przygotowują do startu te nowe latające cacuszka inwigilacyjne. Cała technika przeciwko niemu.

Bezużyteczna.

Teraz będą go obserwować tydzień, może dwa.

Zobaczą, że nie mają szans na złapanie na gorącym uczynku.

Potem wkroczą.

*

Biernat. Łysy, opalony, jakby trochę mniej pomarszczony, za to bardziej grecki niż zwykle.

Stał na progu wyraźnie zmieszany, choć to Daniel powinien czuć skrępowanie. W końcu to on odciął przyjaciela od informacji, posłuchał policji zamiast głosu rozsądku. Objęli się z pewną niezręcznością, która zaraz ustąpiła, gdy Daniel poczuł mocny uścisk i odpowiedział tym samym. Tyle razy mógł polegać na Biernacie, a gdy nadeszła chwila próby, zawiódł.

– Przepraszam – szepnął teraz.

– Daj spokój – Biernat wślizgnął się do środka, podszedł do barku i nalał sobie trunku do szklanki. – Jak Ania?

Daniel wzruszył ramionami. Niby wszystko było w porządku. I nic nie było. Ania siedziała w swoim pokoju, chodziła na spacer, a gdy on pojawiał się w pobliżu, nagle czuła się śpiąca, bolała ją głowa lub odzywały się inne dolegliwości.

– Mało się widzimy.

– Może zabierzcie dzieci i wyjedźcie gdzieś na wakacje.

Nie odpowiedział. Upił whisky.

Biernat uśmiechnął się znacząco.

– Nie możesz, co?

Znów bez odpowiedzi.

– Musisz ich znaleźć, prawda? Nie możesz ot tak zapomnieć, darować, przestać o tym myśleć?

– Mają moje pieniądze.

– Nie chodzi o pieniądze – zawyrokował przyjaciel. – Wcale nie o pieniądze...

Biernat pociągnął go za ramię i wyprowadził na zewnątrz, chwytając po drodze pełną butelkę. Przeszli do miejsca w ogrodzie, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć.

– Sprawdziłeś, czy zostały jakieś podsłuchy, czy policja wszystko zdemontowała?

– Tak jak radziłeś – przyznał Daniel. Agencja ochrony przeszukała uważnie każdy pokój, a część basenową w szczególności. – Pytanie czy swoich nie zostawili?

– Właśnie. Dlatego lepiej rozmawiać tutaj – rozłożył ręce i przeciągnął się. – Piękna noc.

Daniel popatrzył w niebo. Wystarczyła sekunda, a spojrzenie zatoneło w miliardach gwiazd. Zakreśliło mu się w głowie.

– Biedny, kto gwiazd nie widzi bez uderzenia w zęby – szepnął Biernat.

Wais parsknął śmiechem.

– Dobrze.

– Stanisław Jerzy Lec – przyjaciel powiódł wzrokiem od lewa do prawa, jakby chciał się upewnić, czy na pewno nie ma w pobliżu czegoś niepokojącego, potem położył gospodarzowi dłoń na ramieniu i szepnął: – Byłem u Wilkosza.

Serce w gardle. Znow to uczucie niemożliwego do wytrzymania ucisku w płucach. Na chwilę, bo już nauczył się nad tym panować. Słuchał, a Biernat relacjonował:

– Długo rozmawialiśmy o tobie i porwaniu. Zapewnia, że nie miał z tym nic wspólnego. Nie wie nic o tobie i Arturze.

Daniel napiął wszystkie mięśnie zaskoczony.

– Spokojnie – dodał Biernat, – nie zapytałem go wprost.

– Nie kłamie?

Biernat wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może. Chce pomóc. Tak twierdzi. Rozpuścił wici na mieście. Szukają ich.

– Znaleźli coś?

– Na razie nic. Masa plotek. Padają różne sugestie, ale na razie nic konkretnego. Mówi ci coś ksywka Nikifor?

Nikifor, Nikifor? Nie był pewien. Nie. Chyba nie. Na pewno nie.

Pokręcił głową.

– Na mieście mówią, że jest w to zamieszany – powiedział Biernat i trochę opowiedział Danielowi o przestępczej przeszłości Nikifora. Potem wrócił do poprzedniego wątku:

– Wilkosz prosił mnie, żebym ci przekazał, że zrobi wszystko, żeby ich

znaleźć. Jak tylko coś ustalą, da ci znać.

– Masz mi jeszcze coś do przekazania, prawda?

Przyjacieli skinął głową.

– W zamian prosi, żebyście odmówili zeznań na temat Artura.

– Sam to wiem. Ja i Eliza będziemy milczeć.

– Wilkosz wysłał dzieciaka gdzieś daleko, schował przed glinami, ale kiedyś będzie musiał przecież wrócić. Im szybciej sprawa przyschnie, tym dla nas wszystkich lepiej. Ja mu wierzę.

– Że nie ma nic wspólnego z porwaniem?

– I z tym zaginięciem Furman. Wilkosz to drań, ale tutaj jest niewinny.

Powiedzmy.

– Co innego ten... Hausberger – szepnął znacząco jubiler.

Tak, co innego – pomyślał Daniel, ale nic nie odpowiedział.

Siedzieli jeszcze prawie godzinę, aż skończyli butelkę. Biernat wstał ciężko, pożegnał się i ruszył do wyjścia. W bramie uściśnął ponownie dłoń Daniela, poklepał go po ramieniu, spojrzał głęboko w oczy. I wtedy to powiedział. Jedno krótkie zdanie, o którym Daniel nie będzie mógł zapomnieć. Jedna rada.

– Powinieneś wysłać mu wiadomość.

*

Oszukuje ich, oszukuje. Lepiej i gorzej. Najmniej jest w stanie oszukać Elizę. Córcia zna ją najlepiej ze wszystkich. Lepiej niż Michał, lepiej niż Daniel. Wyczuwa więc, że coś jest nie tak. Wyczuwa, że mama kłamie, że nic nie jest dobrze.

Ale ona udaje.

Nie może się poddać.

Nie może przerwać tego udawania.

Czasem, w nocy, myśli, że byłoby lepiej, gdyby jej nie puścili.

Gdyby skończyło się inaczej.

Wtedy wstaje.

Cicho, cichuteńko.

Schodzi na dół.

Podchodzi do barku.

Odkręca butelkę.

Wącha.

Już nawet zapach jej nie odrzuca.

Nalewa do szklanki.

Codziennie.

Więcej nalewa.
Szyfrem.
Wierszem.
Codziennie pisze nowe wiersze.

*

Zadzwonili akurat, gdy rozmawiał z Elizą. Skarżyła się, że wciąż za nią łążą. Nie ma grama prywatności. Początkowo się wściekł. Miał jej tłumaczyć, że muszą? Jak dziecku? Że dopóki nie złapią porywaczy, potrzebuje ochrony? Szczególnie teraz, gdy wypowiedział otwartą wojnę Hausbergerowi. Może porwanie było początkiem ich kłopotów, a uwolnienie mamy wcale nie oznaczało ich końca.

Szybko jednak zrozumiał, że Elizie nie chodzi o wynajętych przez ojca ludzi, o Majkela i innych, tylko o policję. Wciąż ją podejrzewali. Teraz może nawet bardziej niż wcześniej. Przed uwolnieniem mamy bali się otwarcie postawić zarzuty. Teraz ściągnęli maski. Szukali powiązań, motywów, dowodów. Nie działały na nich zapewnienia Daniela, że jest niewinna. Jej oświadczenia tym bardziej. Wciąż była podejrzana. Zastanowił się, czy gdyby opowiedział im o Hausbergerze, to by się zmieniło. Raczej nie. A o Wilkoszu? Tym bardziej.

- Co się stało?
- Powinien pan do nas przyjechać.
- Po co?
- Musimy porozmawiać.
- Macie porywaczy?
- Nie.
- Więc? Po co? – powtórzył pytanie.
- Porozmawiamy na miejscu.
- Jeśli chcecie mnie pytać o Elizę... nic wam nie powiem.
- Nie o to chodzi.

Godzinę później zameldował się w siedzibie CBS. Czekał chwilę w poczekalni, po czym przyszedł po niego jakiś młody chłopak i zaprowadził do niewielkiego pokoju. Siedzieli tam w czwórkę. Gebert, Latos, jakiś obcy gliniarz i ta jędza z Warszawy, której nazwiska ciągle zapominał. Niezły zlot czarownic.

- O co chodzi?

Gebert spojrzał na Monę, potem na Latosa. Przysunął krzeselko do stołu i oparł łokcie na blacie. Jego twarz znajdowała się teraz jakieś trzydzieści centymetrów od głowy Daniela. Pomyślał, że jednak za chwilę zacznie go przesłuchiwać. Zada pytania, na które nie będzie chciał odpowiadać. Ale mylił się.

- Dokonaliśmy przełomu – szepnął.

- To znaczy?
- Dużego przełomu. Bardzo dużego przełomu.

Rozdział 22

[21 czerwca, wtorek, dzień

Z tym pić to naprawdę nie jest problem. Naprawdę, daj już spokój. Przecież już nie raz miałam kilkudniówki. Po prostu mi smakuje, więc się nie wtrącaj. Pogadajmy lepiej o sprawie. Daniello pojechał do cebeesi bo ponoć mają coś ważnego. Mecenas podejrzewa, że może nawet ich złapali. Eliza mi powiedziała. Przybiegła trzpiotka jedna, jakby mnie to obchodziło. A przecież ty wiesz. Wiesz, że nie obchodzi. Ja bym już chciała po prostu zapomnieć. Wymazać. Wykreślić. Nie chcę ich przecież więcej oglądać. Nie chcę procesów, nie chcę wiedzieć, kim byli. Tylko zapomnieć. A jak oni ciągle będą szukać, pytać, węszyć, to jak mam zapomnieć. No dobra, skoro już o tym mowa, ciekawe, czy całą trójkę chwycili, czy jednego albo dwóch? Daniello podekscytowany, ale i trochę się boi, że tamta sprawa wróci. Wiesz, tak jak ci pisałam ostatnio, nie gadają ze mną o tym, co przed rokiem, ale przecież ja wiem. Wiem, co namieszcili i co ukrywają. Wiesz od kogo wiem.]

Niebieski nie mógł usiedzieć na miejscu. Ale on przynajmniej wiedział, co stało się z kasą i gdzie trafiła. Wiedział, w jaki sposób Kudłaty przepierze ją, wyczyści i rozdzieli. A Brązowy z Różowym nie mieli bladego pojęcia. Oni dopiero musieli cierpieć na bezsenność. Kudłaty nic im nie dał. Niebieski nie podzielił pomiędzy nich swojej zaliczki.

Patrzył teraz na żonę i zastanawiał się, jak ją wykorzystać.

Kasę, nie żonę – uśmiechnął się pod nosem. Ją też.

Za chwilę.

Najpierw musi wymyślić, co z kasą.

Adam gdzieś wyszedł. Żona leżała na tarasie w samych majtkach. Opalała biust i plecy. Musiała dobrze wyglądać. W jej pracy wygląd to podstawa.

Przekręciła się znów na plecy.

Niebieski poczuł, że jednak powinien najpierw pomyśleć o niej, a dopiero potem o kasie.

Choć myśląc o jednym nie trzeba przecież zapominać o drugim.

*

– Dokonaliśmy przełomu – podjęła Mona, przysunęła się do Geberta. – Powiemy panu o nim pod warunkiem, że też będzie pan współpracował.

A nie współpracuję? Daniel odsunął się i badawczo popatrzył najpierw w oczy Geberta, potem Mony. Kłamali. I tak mu powiedzą.

– Nie będę rozmawiał o Wilkoszu – powtórzył. – Wszystko zresztą już wiecie. Moja córka nie ma nic wspólnego z zaginięciem tej dziewczyny, ja tym bardziej. Nie jesteśmy świadkami. Nie mamy o czym rozmawiać. Musiałbym mocno konfabulować, żeby...

– Zostawmy Martę Furman i Wilkosza – przerwała Mona. – Mamy nowy trop. Zna pan człowieka o pseudonimie Nikifor?

Nikifor. Nie dał po sobie poznać, jakie wrażenie zrobiło na nim to pytanie. Szybko jednak pomyślał, że to wcale nie musi mieć większego znaczenia. Skoro Biernat pytał go o Nikifora mówiąc, że na mieście są takie plotki, policja również mogła je słyszeć i zwyczajnie wypytywać. W tej sytuacji jego kłamstwo nie miało żadnego znaczenia.

– Nie wiem, nie jestem pewny.

– Gangster – wyjaśnił Gebert. – Dawniej. Dziesięć lat temu rządził na dzielnicy razem z innymi mu podobnymi. Porywczy, bezwzględny, brutalny, bardzo okrutny. Psychopata, socjopata, może pan wstawić cokolwiek. Potem... nagle zresocjalizowany. Jeden z sukcesów Fundacji Pomost.

– Sukcesów Fundacji Pomost? – Powtórzył.

Tik. Coś wiedział – pomyślała Mona. Coś ciągle ukrywa.

– To organizacja pomagająca w resocjalizacji. Wyszukuje osoby, które rokują poprawę, opiekuje się nimi w więzieniu, a potem pomaga wrócić do społeczeństwa. Ma dużą skuteczność.

– Rozumiem.

– Nikifor był jednym z ich podopiecznych i kolejnym trafionym przypadkiem. Przynajmniej na to wyglądało. Przez dziesięć lat nic na niego nie mieliśmy. Aż tu nagle dostaje esemesy od porywaczy pana żony.

Tym razem Daniel poczuł silniejsze uderzenia serca. To już nie były plotki, tylko konkretne dowody.

– Jak to esemesy?

– Z telefonu, z którego porywacze przekazywali panu polecenia, wysłano esemesa i dzwoniło do Nikifora.

Daniel skrzywił się. To jakiś *bullshit*.

– To nie ma sensu.

Nie skomentowali. Może wcale nie szukali sensu?

– Po co porywacze mieliby wykorzystywać telefony na karty i pisać z nich esemesy na numery abonamentowe? Celowo mylą tropy.

– Proszę odpowiedzieć. Kojarzy pan tego Nikifora?

Zaprzeczył ruchem głowy.

Mona wstała i wyszła.

Gebert spojrzał na Latosa. Ten wzruszył ramionami. W sumie Daniel powinien skojarzyć ksywkę, bo jego żona zeznała w śledztwie, że usłyszała, jak porywacze mówią o Nikiforze. Z drugiej strony Anna mogła przecież to zeznać do protokołu, a mężowi z jakiegoś powodu nie powiedzieć. Mogła zwyczajnie zapomnieć. Albo może nie chciała, żeby sam szukał. Chciała, żeby to policja znalazła Nikifora a nie Wais. Może. Dużo „może”.

– Co jest? Nie wierzycie mi?

– Wierzymy – mruknął Latos. – Po prostu wolelibyśmy inną wersję.

– Mam kłamać?

Nie odpowiedzieli. Latos poklepał go po plecach i też wyszedł.

Gebert westchnął głęboko.

– Powiesz mi w końcu, co znaleźliście? Jaki to przełom?

Gebert skinął głową.

I powiedział. Część prawdy. Małą część o Nikiforze i prawie całą o studentach.

*

W konferencyjnej zasiedli członkowie trzech grup specjalnych powołanych do zbadania wszystkich wątków ostatnich wydarzeń w Trójmieście i okolicach. Jako ostatni do sali wszedł Diuk ze swoją obstawą. Dwóch młodych przydupasów. Wysokich, postawnych, pięknych. Wpatrzonych w Księcia jak w obrazek. Uwiódł ich, rozkochał, otumaniał. Porzuci, gdy nadejdzie pora. Kiedy będzie potrzebował nowych. A może wcale nie. Może do końca będą stanowić jego gwardię, jak dziesiątki innych w policji.

Mona nie doceniała takiej strategii, a przecież ona się sprawdzała. Dzięki niej Diuk był dziś w tym miejscu, mógł patrzeć jej w oczy bez strachu, mógł olewać wszystkie te głupoty z teczki o kryptonimie *Teresa*.

Dawidiuk spokojnie przysłuchiwał się omówieniu dowodów wskazujących na udział w porwaniu studentów – przyjaciół Elizy Wais oraz dwóch recydywistów, w końcu – jak przystało na wytrawnego gracza i stratega – pozamiatał. Podszedł do tablicy z dowodami, bezceremonialnie przesunął je na boki, robiąc miejsce w centralnym punkcie. Wziął marker i napisał wielkimi literami:

NIKIFOR

Podkreślił dla uzyskania lepszego efektu.

– Co masz, Diuk? – zapytał Gebert.

Dawidiuk odłożył marker, omiół przeciągłym spojrzeniem gdańskiego gliniarza i innych, a potem popatrzył gdzieś ponad głowami obecnych, jakby zwracał się do kogoś nieobecnego, do jakiejś wyższej instancji.

– Wybaczcie, ale to całe porwanie, historie tych studentów, a nawet zabójstwo żony koronnego... to wszystko ma niewielkie znaczenie wobec tego, co ustaliliśmy...

No tak, cały Diuk. Przyszedł spać śmietankę.

– Oświeć nas – zaproponowała Mona.

– Już się robi, pani podinspektor – Diuk zrobił tę swoją słynną minę Jamesa Deana zabujanego w Seanie Pennie z uniesionymi, wygiętymi w przedziwne, nierówne łuki brwiami. Był w niej nawet przystojny. Nie tak jak ON, ale... dawał radę. Ku własnemu zaskoczeniu Mona zadała sobie pytanie, jaki jest Dawidiuk z kobietą. Czy jest dobrym kochankiem? Czy mogłaby z nim być, zakochać się? Takie dziwne pytania.

– Więc?

Diuk skinął w kierunku jednego z przydupasów, który właśnie kończył podłączanie laptopa do projektora multimedialnego.

– Technika się przyda – wyjaśnił. Za chwilę na ścianie pojawił się obraz z projektora. Wyświetlił zdjęcie z jednej ze śląskich gazet. ZAGINIONA EWA BAUER. Tytuł widzieli wszyscy, z tekstu nie dało się przeczytać ani słowa. – Sprawa z dwa tysiące dziewiątego, Katowice. Dziewczyna poszła na dyskotekę, z której nigdy nie wróciła, zniknęła. Media trąbiły, detektywi się uwijali, my też. Potem wszyscy zapomnieli. Proszę kolejny slajd. – Znów gazeta, tym razem z Torunia. Potem kolejno Bydgoszcz, Warszawa, Lublin, Kraków. Wszędzie podobne zdarzenia. Znikające kobiety. Masa mylnych tropów, większość nieprzydatnych lub kierujących śledztwa w złą stronę. – Naliczyliśmy co najmniej dwanaście spraw od dwa tysiące piątego roku. Podobny schemat, podobne okoliczności, zawsze ten sam koniec.

– Nie przesadzasz, Diuk? – Zapytał szef kryminalnych z Warszawy. – Rocznie masz dwadzieścia tysięcy zaginięć, a ty wybierasz...

– Wiesz dobrze, o co chodzi – przerwał Diuk i miał chyba rację. Dwadzieścia tysięcy zaginionych, ale w wielu przypadkach można było wykluczyć przestępstwo. Diuk dokonał wyboru według klucza, którego jeszcze nie ujawnił, ale na pewno go miał, trzymał jak asa w rękawie. – W omawianych przypadkach mieliśmy aż nadto poszlak do stwierdzenia, że chodzi o... zbrodnię. Te kobiety zaginęły, ciał nie odnaleziono, ale jak przeanalizujecie akta, dojdziecie do

podobnego wniosku. One... ktoś je zabił. W każdym z przypadków mieliśmy też konflikt, który mógł doprowadzić do zbrodni... Groźby byłych żon gangsterów, konflikty o podział majątku, zagrożenie złożeniem zeznań, tego typu sprawy. W każdym z tych przypadków nie udało się znaleźć ciała i sprawcy, ale były wystarczające poszlaki, by uznać...

– Jaki związek z naszą sprawą? – zapytał bez ogródek Gebert, czym być może zburzył misterny plan Diuka na stopniowanie napięcia.

Książę skinął głową. Przydupas przewinął kilka slajdów prezentujących kolejne skany z artykułów, akt, screenów z wizerunkami kobiet i wyświetlił zdjęcie Nikifora. Jedno ujęcie sprzed lat. Wytatuowany, napinający publicznie mięśnie młodzian z miną: jebnę każdemu, a jak nie będzie komu, to wyczeszę z główki w lustro. Kolejna fotka, jakaś impreza; podobna mina. Następna: zdjęcie z policyjnych akt; mina: możecie mi naskoczyć. Zdjęcie z sali sądowej; mina: i co, że pójde siedzieć, mnie to wisi, nie tyka, czaicie.

– Spójrzcie na to – kolejna fotografia przedstawiała już zupełnie innego człowieka. Dojrzałego, świadomego siebie, zwyczajnego, całkiem przystojnego. Twarz zdradzała, że nie należy do mięczaka, oczy ostrzegały, twarda szczeka dawała do zrozumienia, że ten człowiek się nie cofnie, gdy ktoś mu rzuci wyzwanie, ale... nie była to twarz przestępcy. Coś w niej się zmieniło. Bardzo. – To i kolejne zdjęcia umieścił na portalach randkowych i społecznościowych. Podejrzewamy, że próbował sobie zrobić jakąś legendę przy jednej z ofiar.

– Chcesz powiedzieć, że nawiązywał na portalach kontakt z tymi zaginionymi kobietami? – Zapytała Mona nagle czując przyływ adrenaliny. Serce jej waliło. Jeśli Diuk znalazł takie łącze, to za chwilę będzie miał kolejną serię artykułów o genialnym gliniarzu. Sprawa *Teresa* pójdzie do piachu i nigdy nie wyjdzie. Może i dobrze.

– Nie – odparł Diuk. – W ani jednym przypadku nie ma takiego związku.

– Co macie? – Ponaglił Gebert.

– Nikifor się zresocjalizował. Nie wiem, na ile wpływ miała na to ta „twoja” Fundacja Pomoc – Diuk skinął do Geberta, oddając, co jego. – Ale pozornie wydaje się przywrócony społeczeństwu. Stwarza takie pozory, może tworzy legendę. Te zdjęcia mogą o tym świadczyć. Kilka lat temu usunął wszystkie profile i fotki. My ściągnęliśmy je z serwerów i backupów operatorów.

– Związek – przypomniał Gebert. Zerknął znacząco na zegarek. Nikt chyba nie miał ochoty siedzieć tu cały dzień i słuchać o przemianie Nikifora.

– Co was naprowadziło na Nikifora? – Zapytał Diuk zamiast odpowiedzieć na jego pytanie.

– Przecież wiesz – mruknął Gebert.

– Esemesy i połączenia, prawda?

Gebert skinął głową.

Diuk pstryknął palcami. Przydupas wywołał następny slajd. Tym razem była to kompletnie nieczytelna tabela zawierająca różne numery, wzory, funkcje, linie łączące kwadraciki w skomplikowany ciąg zależności.

– Wrzuciliśmy te dane do komputera i zobaczcie co wyszło.

– Wzór na powstanie wszechświata? – Rzucił ktoś z tyłu.

Cała sala zarechotała.

– Prawie – Diuk docenił dowcip. – To schemat logowań komórki Nikifora w poszczególnych miejscach. W czasie, gdy znikwały wspomniane wcześniej dziewczyny.

Mona zamarła.

– Chcesz powiedzieć, że komórka Nikifora była w tych miejscach?

– Nigdy w bezpośredniej bliskości, ale zawsze w okolicy, czasem w innej dzielnicy, czasem bliżej, zawsze w tym samym mieście. Nie dziwne?

Mona zamarła. Cholerny Diuk. Cholerny farciarz.

– Nikifor używa tego samego numeru komórki od prawie ośmiu lat – ciągnął tymczasem Dawidiuk. – Zakładamy, że gdy idzie na akcję zostawia telefon w innym miejscu albo przekazuje komuś, żeby z nim pojeździł. W ten sposób ma mini-alibii. Pewnie nigdy nie zakładał, że będziemy go analizować w takiej perspektywie czasowej i przestrzennej. Że będziemy w stanie połączyć poszczególne zaginięcia i wyjdą takie kwiatki. Proszę państwa, wytypowaliśmy dwanaście niewyjaśnionych zaginięć z dużym prawdopodobieństwem zmiany kwalifikacji na zabójstwo, podczas których telefon komórkowy Nikifora znajdował się w okolicy. Raz mógł być to przypadek. Dwa razy też. Ale dwanaście? Dodam, że to dopiero początek poszukiwań...

– Procesowo to żaden dowód – przypomniał Gebert.

– Prawda. Nam jednak daje pewność, że nie piszemy science-fiction – podsumował Książę. – Ten człowiek to seryjny zabójca i być może sprawa Waisa i żony Platfusa będzie jego końcem. Złapanie tego drania to dziś absolutny priorytet dla całej policji. Jeśli nie będziemy mogli go wsadzić za zabójstwo, to przymknijmy chociaż za porwanie...

Mona długo potem patrzyła za wychodzącym z sali Diukiem i jego przydupasami. Nie domknęły drzwi i do sali wdzierały się odgłosy z korytarza. Słyszała jakieś śmiechy, kroki, ktoś bawił się zapalniczką, gdzieś szczęknęły drzwi. *Teresa* rzeczywiście traciła na znaczeniu. Diuk był święty. Za chwilę znajdzie kolejnego bandziora i media obwołają go nowym kryminalnym mesjaszem. Każdy atak na ikonę będzie poczytany jako gwałt na świętości.

Co ona robi?

Dalej będzie chomikować akta, których nikt nie chce dostrzegać?

Czy zaciskanie pętli na szyi nie jest dowodem masochistycznych ciągót?

W takiej sytuacji pierdolenie o dążeniu do prawdy staje się naprawdę nudne.

ON, pomóż! Co mam robić?
Jak z tego wybrnąć?

Rozdział 23

[22 czerwca, wtorek, dzień

Nie no, to niesprawiedliwe oszczercze oskarżenie. Wypraszam sobie. Piszę w ciągu dnia, bo mi tak łatwiej. Naprawdę myślisz, że wieczorem nie byłabym w stanie? Za bardzo jestem wstawiona? Bzdury pleciesz i tyle. Nie jestem. Wszystko ze mną dobrze. Mogę stanąć na jednej nodze i zrobić ten amerykański test, co mi kiedyś zapodali w San Francisco. Przejście po linii, a nawet pajacyk. Nie przewrócę się, nie zachwieję nawet. Rano nie będę już do ciebie pisać za karę. Za te podejrzenia. A wieczorem? Też nie. Wiesz, podobno wkrótce ich dorwą. Daniello chodzi nakręcony, ale nie chce za bardzo gadać. Raz mówi, że już ich mają. Drugim razem kręci nosem, że coś w tym jest nie tak. Że to jakiś fałszywy trop. Spięliśmy się, bo coś zażartowałam o kasie. Naskoczył na mnie jak dawniej. Nawrzeszczał, że nie wiem, co oni tu przeżywali. Że niby ja sobie leżałam spokojnie w ciepłym łóżeczku, a że na łańcuchu, w ciemni, w smrodzie, to nie ważne, bo oni tu cierpieli prawdziwe katusze. I kasa stracona. Ile tych pieniędzy. Ile pieniędzy. No dobra, może rzeczywiście cierpieli, ale przecież ja też. To teraz mamy się licytować. Obstawiać. Kto więcej wycierpiał. No kto?

Czyli, jak widzisz, wszystko wraca do normy.]

Adwokat nie miał specjalnie zadowolonej miny.

– Jak to odcięto pana od informacji? Znów podejrzewają Elizę?

– Nie wiem.

Mecenas głośno przełknął ślinę. Chyba mu było głupio, że tak naprawdę nic nie wie.

– Coś się dzieje – zaskomlał. – Coś znacznie większego, niż myślimy.

Daniel chciał mu nawrzucać, wytknąć, że płaci takie stawki licząc na więcej, niż tylko „coś znacznie większego”. Takich gości jak on, mówiących ogólnikami, obiecujących gruszki na wierzbie, mamiących go górami zysków w zamian za drobne inwestycje w biznesowej działalności spotykał kilku na tydzień, a czasem dziennie. W postępowaniu karnym był jednak całkowitym laikiem. Czy więc dysponował prawem oceniania fachowca? Jednego z lepszych, poleconego, drogiego. Z układami, relacjami w palestrze i organach ścigania. Takiego, który

wie, w którą dziurkę włożyć klucz, a jak trzeba to wytrych.

Adwokat robił wszystko, co mógł. Należało tak założyć.

– Może to tylko plotki...

– Tak?

Ściszył głos i mówił coś o przeciekach z prokuratury i policji, coś o morderstwie, a może nawet serii morderstw.

– To zabójstwo pod Wejherowem? – przerwał Daniel. Nie wierzył w rzeczywisty związek z porwaniem Ani. Uważał, że pismaki coś pokręciły. To musiał być przypadek. Z drugiej strony nie za dużo tych przypadków? Nie za dużo spiętrzonych tajemnic? Hausberger, Marta Furman, Wilkosz, a teraz jeszcze to zabójstwo.

Zadzwoił telefon. Miał nie odbierać, ale gdy zerknął na wyświetlacz, nacisnął zielony guzik i rzucił:

– Nie mogę teraz, synu. Coś ważnego?

Michał zaprzeczył, przeprosił i wyłączył się.

W tej jednej chwili Daniel pomyślał, że przez ostatnie dni poświęcał mu bardzo mało czasu. A miał przecież o czym rozmawiać. Nagle wpadła mu do głowy głupia myśl. Skupił się na Ani i Elizie, całkowicie pominął w rozmowach Michała, jakby przyjął, że jego to porwanie nie dotyczy, nie boli, jest za młody, żeby zrozumieć, przetrwa i zapomni. A jeśli się myli? Jeśli Michał pilnie potrzebuje jego pomocy i dlatego dzwoni? Dlatego szuka kontaktu? Nie wprost, bo mu na to nie pozwala młodzieńcza duma i przeświadczenie o własnej mocy, zdolności samodzielnego rozwiązywania problemów. Prosząc ojca o pomoc, przyznałby się do słabości?

– Proszę się nie krępować – rzucił adwokat pokazując komórkę. – Jeśli...

– To może poczekać. Ustalmy dalsze posunięcia.

Adwokat otworzył notes i w punktach opowiedział, co zamierza zrobić, by przyspieszyć działania policji i prokuratury. Potem mówili o sprawach firmowych. Na koniec wrócił do Elizy.

– Gdyby doszło do zatrzymania...

– Nie ma prawa dojść – przerwał stanowczo Daniel. – Eliza nie może zostać zatrzymana.

– Obawiam się...

– Proszę powiedzieć komu trzeba, że na to nie pozwolę. Będą musieli i mnie aresztować. Zrobię im awanturę na miejscu i w mediach...

– Spróbuję.

– Proszę się postarać. Nie ma żadnego powodu do zatrzymania Elizy. Będzie stawiać się na każde wezwanie, udzielać wyjaśnień, byle w pana obecności. Ale zatrzymanie... nie wchodzi w rachubę.

– Dobrze. Jednak...

– Tak?

– Jeśli chodzi o jej chłopca i innych... obawiam się, że tutaj nic nie poradzę.

Daniel zacisnął zęby. Nie wierzył w ten trop. Nie przekonywały go zebrane przez policję dowody, które rzekomo mieli. Zwyczajnie nie wierzył, że to mogły być te dzieciaki. Z drugiej strony dopuszczał możliwość, że nie wie o wszystkim. Poza tym, żeby ich bronić, musiałyby powiedzieć policji o Hausbergerze. A może też złamać pakt z Wilkoszem. Więc... wybór był prosty. Jakaś część umysłu bardzo chciała, żeby to się okazało prawdą, żeby się już skończyło. Żeby mieli rację z tymi dziećmi. W winę Elizy nie uwierzy. W winę innych...

– Inni mnie nie obchodzą.

Nawet jeśli rzeczywiście są niewinni.

Winnych... znajdę sam.

Adwokat wyszedł. Daniel nie miał zbyt wiele czasu na przemyślenia. W sekretariacie czekał już Rozmus, z którym mieli jechać na teren budowy, a potem posiedzieć nad raportem rocznym i strategią. Nie miał już czasu na zabawę w złodziei i policjantów. Musiał zabrać się porządnie do pracy, jeśli miał uratować firmę.

Przez całą drogę na budowę, Rozmus sprawiał wrażenie, jakby chciał mu coś powiedzieć. Potem, już podczas rozmów w biurze, odnosił wrażenie, że coś go męczy, trapi.

– Co się dzieje? – zapytał w końcu.

Musiał chyba jednak przejść ten moment na zwierzenia, bo Paweł tylko wzruszył ramionami.

– Ze mną? Nic – szybko zorientował się, że Daniel nie da się zbyć, więc dodał. – Mam problemy... z kobietą.

Daniel przypomniał sobie Amsterdam.

– TĄ kobietą?

Rozmus zawahał się, a potem skinął głową.

– Myślałem, że to nic poważnego.

– Bo... nie było nic poważnego. Kiedyś.

Nie udało mu się jednak pociągnąć przyjaciela za język.

Późnym popołudniem, gdy już kończyli, pomyślał, że mógłby dziś powtórzyć ostatnią noc i zrobić parę drinków ze starym druhem. Potrzebował odskoczni. Nie chciał przesiedzieć wieczoru w salonie bojąc się powiedzieć coś nieodpowiedniego, co spowodowałoby jakiś konflikt z Anią.

Zadzwoił.

Biernat jednak nie odebrał i nie odpowiedział na wysłanego później esemesa.

*

Diuk oficjalnie przejął dowodzenie, rządził niepodzielnie. Mona była na tyle rozsądna, żeby się nie wychylać i nie dać przemieścić przez trybiki. Jej pozycja była w tej chwili za słaba, z trudem mogła jej bronić, nie mówiąc już o ataku. Musiała przeczekać.

Mieli już masę danych dotyczących Nikifora. Obserwowali trzy mieszkania, których był właścicielem, niewielki gabinet w biurowcu, siedzibę firmy ogrodniczej oraz dom na Kaszubach, kupiony przez kancelarię prawną współpracującą z firmą ogrodniczą podejrzanego. Wtedy właśnie wpadł do sali jeden z przydupasów i oznajmił euforycznie:

– Komórka znów się załogowała.

Od kilku dni nie działała. Miała wyjętą baterię, a prawdopodobnie tkwiła też w specjalnej torbie uniemożliwiającej jej namierzenie. Dlaczego Nikifor znów ją włączył?

– Gdzie?

– Tu – przydupas pokazał im namiary GPS i wprowadził je do komputera z systemem GIS.

Mona błyskawicznie oznaczyła miejsce na standardowej mapce Google. Dom na Kaszubach, ostatni namierzony przez nich obiekt powiązany z Nikiforem.

– Tu lepiej widać – odpowiedziała, kliknęła w guzik przekształcający mapę w obraz fotograficzny i zbliżyła maksymalnie. Na ekranie, wśród lasów i jezior prezentował się nieostry kontur jakiegoś budynku.

– Brawo – pochwalił Diuk. – To chyba mamy ptaszka.

Mrugnął do niej okiem. Słynny Książę wkładał się w jej łaski. Uwodził i mile łechtał. Zrobi jeszcze wiele, żeby zapomniała o *Teresie*. Da jej marchewkę i pokaże kijek. Może uczyni ją swoim przydupasem. A może kimś więcej?

*

System IBM dostarczał kolejnych danych. Wokół zbierało się ich coraz więcej. Otaczali go, osaczali. Więc to już. Za chwilę wejdą. Wyważą pewnie drzwi, może wrzucą granat hukowy, kilka petard i świec dymnych. Miał nadzieję, że go nie uduszą. Na pewno nie będą się patyczkować. Wszelkie próby przekazania, że nie będzie stawiał oporu były bezcelowe. I tak zrobią swoje, po swojemu. Może mu coś wykręca, złamią. Żadnego patyczkowania.

Ostatni raz powiódł wzrokiem po wspaniałych, dzikich, leśnych ostępach. Mocno nabrał świeżego powietrza. Wkrótce przez parę miesięcy będzie musiał wdychać tylko smród kloaki i metalizowaną woń krat. Widok będą ograniczać oddalone od siebie zaledwie o dwa, trzy metry ściany. Jego jedynym towarzyszem

będzie oko kamery zawieszona wysoko, śledzącej każdy krok w celi dla „enek” – niezwykle niebezpiecznych przestępców.

Wszedł do oranżerii połączonej z ogrodem. Przechadzał się przez chwilę pomiędzy rzędami sadzonek i kwitnących już kwiatów.

Arkotis, Ismene, Eukomis...

Dwadzieścia osiem. Jedynych w swoim rodzaju.

Niezapomnianych.

Żegnajcie. Już nigdy się nie zobaczymy.

Najchętniej tutaj by poczekał, ale bał się, że policja zniszczy ogród i szklarnię. Wrócił do domu. Przymknął oczy i czekając na rozpoczęcie akcji myślał o tym, kto zdradził. Komu będzie musiał odpłacić, gdy wyjdzie na wolność.

Rozdział 24

[24 czerwca, piątek, dzień

No co, wczoraj było święto. Jestem w formie, zapewniam cię, że dawno nie byłam w lepszej. Ty potrafisz patrzeć w głąb, w duszę? No dobrze, może mnie ciśnie. Udaję tylko, że gra muzyka, a w środku płonę, jak diabli płonę. Może i powinnam iść do jakiegoś psychodoktoraka. Byle przystojnego, żeby już nie patrzeć na Daniello. Dobrze, przepraszam, przesadziłam. Wiem, co dla mnie zrobił. Wiem, że się starał. Ale co ja zrobię, że chcę, by po prostu przestał dochodzić. Żeby zapomniał. Powiedzieć mu? I myślisz że posłucha? On miałby posłuchać kobiety? Co? Powinnam mu przypomnieć. Tę obietnicę starą sprzed dwudziestu lat. Przysięgę? Daj spokój, palić też nie przestał. Że niby to inna przysięga?]

Centrum operacji specjalnych pękało w szwach. Poza stałą obsługą, operatorami stanowisk komputerowych, dyżurnymi obsługującymi zlecenia, realizatorami, dźwiękowcami, technikami i montażystami, w mierzącej niespełna sto metrów kwadratowych sali przebywało około trzydziestu gapiów i oficjeli. Mona stała wśród nich w towarzystwie Iwony. Gdzieś z tyłu, za plecami, wyczuwała obecność Maxa i Prygła. Pozostali członkowie zespołu pozorowali pracę w gabinecie oddanym na ich użytek. Może to było lepsze zajęcie niż gapienie się na poczynania Księcia.

Widownia. Jak to się stało, że staliśmy się widownią?

Jak to się stało, że TY z „szefowej” zostałam strącona do Tartaru, ograniczona do roli nieistotnego obserwatora?

Mona udawała, że jej to nie rusza, nie jest podenerwowana czy w jakikolwiek sposób urażona, ale w środku się gotowało. Zdawała sobie sprawę, że dała ciała, wszystko, co złe zostanie przypisane jej, a sukces zaliczy jakiś sęp, który pojawił się nagle nie wiadomo skąd.

Diuk. Książę. Król zbierania kokosów.

Ty jesteś tylko zwykłą piczką do roboty dla takich drani. To się nie zmieni, dopóki nie będziesz potrafiła działać bezwzględnie i cynicznie.

Tacy jak Diuk zawsze są przy czekoladkach, a tacy jak ty pilnują, by szambo nie wylało. Wąchając wszystkie smrody.

Świat już jest tak uszyty i jeśli tego nie zrozumiesz, nie przeskoczysz pewnej bariery. Zawsze będziesz pilnować mroku, by jasność mogła się bawić na salonach.

Owszem, zachowasz czyste sumienie. Będiesz mogła oglądać seriale i filmy z przesłaniem. Bez poczucia, że czarne charaktery to ty i twoi bliscy. Będiesz mogła mieć kochanków takich jak ON i przyjaciółki takie jak Iwona. Będiesz mogła się oszukiwać, że to jest więcej warte i lepsze niż kieliszki prawdziwego szampana, wycieczki do Las Vegas i śluby na Malediwach.

Ale prawda jest zupełnie inna.

– Nieprawda – szepnęła.

– Co? – Iwona spojrzała na nią zdziwiona.

Popatrzyła na tę piękną, romantyczną Juliette i pomyślała, żeby jej powiedzieć coś od serca: zawsze tacy jak Diuk będą dymać takie jak my. I... widocznie tak być musi. Wszyscy zasługują na swój los.

– Nieźle ogarnia – mruknęła.

Iwona tylko skinęła głową.

Diuk i jego przydupasy rozdzielali zadania, rzucali rozkazy, instruowali operatorów kamer i komputerów. Mimo niechęci, Mona musiała przyznać, że Księżę jest sprawnym organizatorem, świetnie panującym nad tym całym, niezwykle skomplikowanym, pełnym różnych zależności mechanizmem.

Dziewięć zespołów standardowych i dwa specjalnie.

Łącznie z obsługą prawie dwustu ludzi.

Punkt szósta. Sprawdzenie gotowości. I kamer.

Każdy zespół nagrywał operację i na żywo przekazywał obraz z minimalnym opóźnieniem do centrum. W dwóch przypadkach dodatkowo skierowano do akcji specjalistów z zespołu prasowego, którzy nagrywali każdy krok antyterrorystów profesjonalną kamerą betacam. W przypadku sukcesu, zmontują materiał i prześlą go telewizjom z propagandowym przekazem, jaka to policja jest wspaniała. Jeśli stanie się coś nieprzewidzianego, materiał najwyżej trafi do archiwum. Może w przyszłości wyciągnie go któryś z następnych szefów i po cichu prześle zaprzyjaźnionym dziennikarzom, jako dowód wpadek poprzedniej ekipy, które teraz w pocie czoła trzeba naprawiać. Głośno zaś będzie narzekać na wewnętrznych konferencjach na przecieki. I szukać potencjalnych szpiegów, prowokatorów, zdrajców, wazeliniarzy.

Szósta pięć.

Diuk zerknął na zegarek i wydał komendę, jakby był reżyserem filmowym:

– Akcja! Wchodzimy!

Brakowało tylko klapsa i głośnego okrzyku: cisza na planie.

Dziesięć monitorów niemal jednocześnie pokazało wejście ubranych na czarno antyterrorystów do mieszkań podejrzanych. Krzyki, huk petard, szczęk wylamywanych drzwi, przewracanych mebli, nieprzyjemny odgłos sprowadzanych na glebę ciał, szybko i sprawnie obezwładnianych przez policjantów. Brutalny początek dnia.

Młoda kobieta próbowała wyrwać się antyterrorystom, wrzeszczała tak, że operator musiał przyciszyć głos. Policjant zapanował nad nią bez trudu, niby przypadkiem uderzając w nos. Chrząstnęła pęknięta kość. Mona mimowolnie dotknęła swojego policzka. Miała wrażenie, że jest rozgrzany jak piec. I dziwne przeczucie, że popełniają błąd.

Próbowała zapamiętać jakiś szczegół z ubioru policjanta-brutala, ale rozpoznanie go będzie praktycznie niemożliwe. Zresztą, co ma zrobić? Złożyć donos na kolegę? Z pewnością uczyni to kobieta ze złamanym nosem. Na próżno, bo policja nie podda się bez walki, będzie uzasadniała użycie siły stawianiem oporu, zrzuci odpowiedzialność na „ofiara”, która nie zastosowała się do poleceń, w związku z czym użycie adekwatnych środków przymusu bezpośredniego było konieczne.

Monitor numer dziewięć ukazywał twarz kompletnie zszokowanego, lekko zamroczonego chłopaka.

Na siódemce czarni niemal wyłamywali ramiona stawiającemu opór mięśniakowi. Siła przeciw technice też popartej siłą. Nie miał żadnych szans.

W pozostałych przypadkach nic nadzwyczajnego.

Trzy minuty później było po wszystkim.

Sześciu facetów, trzy kobiety. Dziewięć osób leżało zakutych w kajdanki na ziemi.

Pełen sukces.

Diuk skinał głową operatorowi.

Wszystkie monitory wyświetliły ujęcia z kamer dwóch pozostałych, znacznie liczniejszych oddziałów szturmowych.

Pora na danie główne.

*

Niebieski otworzył oczy i nasłuchiwał. Było wcześniej rano. Żona leżała obok pogrążona w głębokim śnie. Jej pierś unosiła się spokojnie. Nie słyszał żadnych odgłosów z dołu, zza okna też nie dochodziło nic niepokojącego. A jednak przeczucie go przebudziło i coś próbowało przekazać. Coś się działo. Coś istotnego. Pomyślał, że to może z powodu ostatnich telefonów od Różowego, który łamał wszystkie ustalenia. Panikował, że za nim chodzą, mówił, że chce się całkowicie wycofać z dalszych planów. Brązowy też miał wrażenie, że ktoś za nim łązi, ale przynajmniej nie dzwonił, trzymał się ustaleń.

Może jednak gdzieś zostawił ślady, które naprowadziły policję?

Niebieski nie był pewien. Niczego już nie był pewien. Nieustannie, każdego dnia, w każdej godzinie, szukał wokół siebie śladów działań śledczych. Nie znalazł.

Ale ziarno niepewności zostało zasiane.
Zamknął oczy i wtedy to usłyszał.
Bardzo cichy szmer.
Ktoś stał za drzwiami, skradał się, czaił.
Ktoś przyszedł z niezapowiedzianą wizytą.

*

Nie spał już od piątej. Przed rozpoczęciem operacji policji wyłączył kamery oraz czujniki, odciął prąd, zabezpieczył serwery. I tak dranie mu pewnie wszystko zniszcza, ale przecież nie był wrożem. Przez te dziesięć lat od odsiadki wiele się nauczył. Przede wszystkim tego, że ma robić swoje bez względu na okoliczności, szanse powodzenia, zmienne niezależne. Jeśli nie miał na coś wpływu, nie warto było się tym przejmować.

Nikifor nie widział jak podchodzą do willi, okrążają posesję, wchodzą do ogrodu, przyciśnięci do ścian czekają na rozkaz.

Jednak czuł ich, bezbłędnie przewidział czas ataku.

Tuż przed szóstą położył się na środku salonu, w najlepiej widocznym miejscu. Schował twarz w poduszkę, szeroko rozłożył nogi i ramiona. Gdy usłyszał przeciągłe zawroźnienie wyważanych drzwi i do pokoju wleciał pierwszy granat hukowy, na chwilę zakrył dłońmi uszy. Po trzech wybuchach zamknął mocno oczy, ramiona powróciły do wyjściowej pozycji.

Czekał.

*

Sukces.

Kiedy się wydarzy, nie można być zmęczonym, niewyspanym, na kacu czy nie w humorze. Trzeba umieć skorzystać z niego do końca, maksymalnie wycisnąć cytrynkę, spić jej życiodajne soki, choćby były straszliwie kwaśne.

Diuk właśnie to potrafił.

Dlatego daleko zajdzie, a ty będziesz zawsze przesuwana tam, gdzie nie narozrabiasz, nie zrobisz krzywdy takim jak on.

Mona z obrzydzeniem patrzyła na to, co się działo na jej oczach.

A działo się wiele.

Od południa wszystkie telewizje trąbiły o wielkim sukcesie służb. Zatrzymaniu ściganego od dawna gangstera, zabójcy na zlecenie, być może seryjnego mordercy. Niejako przy okazji złapano innego groźnego gangstera

podejrzewanego o zaplanowanie i kierowanie serią porwań dla okupu oraz grupę współpracujących z nim młodych ludzi.

– Szokujące jest to, że większość z zatrzymanych nigdy nie była karana – Diuk robił tę swoją minę Deano–Peanowatą w programie na żywo w największej telewizji informacyjnej. – To grupa studentów, młodych, wesołych, pozornie sympatycznych ludzi, którzy w pewnym momencie skręcili w złym kierunku i tego nie dostrzegli. Pieniądze, narkotyki, zabawa, seks. To ich doprowadziło do zbrodni i za to odpowiedzą.

Mona aż pokręciła głową z niedowierzaniem. Jak można być takim chytrym, przebiegłym, kłamliwym lisem? Jak można kogoś skazywać bez dania mu szansy obrony? Dlaczego media zamiast stosować policyjne formułki, przesądzają sprawę? Dlaczego zamieniają zatrzymanych w aresztowanych, a podejrzanych w oskarżonych?

Przecież tym dzieciakom niczego jeszcze nie udowodniono.

Liczyli, że się wystraszą, wysypią, pograżą jeden drugiego.

Ale na razie to się nie stało.

Mało tego: mieli na nich zdecydowanie za mało, by wyciągać tak pochopne wnioski.

Za to w mediach już byli winni.

Potem szczęśliwie przeszli na temat Nikifora. W innych telewizjach, na portalach informacyjnych i na konferencji prasowej komendanta głównego, też królował.

Celebryta gwiazdor.

Nic dziwnego. Materiał zmontowano tak, jakby dopadli króla zbrodni, który o mało co – dzięki swoim wybitnym umiejętnościom – nie umknął obławie. Jednak antyterrorysty, z narażeniem życia, dzięki wyjątkowemu profesjonalizmowi, kondycji, umiejętnościom, wyposażeniu... słowem wszystkim tym czynnikom, za które odpowiada komendant główny... dopadli drania.

Nikt nie puścił ujęć pokazujących leżącego grzecznie Nikifora czekającego na zakucie w kajdanki. Nikt nie wspomniał, że nie stawiał oporu. Nikt nie pokazał karty zatrzymania, w której te i inne informacje były podane. Kadry przycięto tak, żeby widz miał zupełnie inne odczucia. Chaos, walka, niebezpieczeństwo, wygrana. Plus materiały archiwalne pokazujące Nikifora sprzed przemiany. Tatuże, blizny, mięśnie, przemoc.

Efekty specjalne.

Zero informacji o Fundacji Pomoc.

O resocjalizacji, odkupieniu.

Zero wątpliwości.

Dzisiaj światem rządzą efekty specjalne. Prawda nie ma znaczenia.

Mona wyłączyła telewizor.

Miała ochotę się napić. Dużo wypić. Wyszła z pokoju i przeszła na drugą stronę korytarza. Zawahała się, czy zapukać. W końcu jednak to zrobiła. Nikt nie odpowiedział. Iwony nie było. Może poszła gdzieś z agentami, może z kimś innym. Trudno. Picie do lustra też może być w niektórych okolicznościach dobre. Lepsze niż wyżeranie lodówki.

Jednak tuż przed drzwiami wpadła na pewien pomysł.

Cofnęła się, przeszła korytarzem do drugiej części budynku, stanęła przed pokojem, w którym była tylko raz, stosunkowo dawno temu i zapukała do drzwi.

Max był już niezłe zrobiony i chyba uznał, że ma zwidy. Próbował bez słowa zamknąć drzwi. Włożyła stopę między nie a framugę i weszła na siłę do środka.

– Chyba mnie nie pobijesz – westchnął Max.

– Na życzenie...

– Jeśli znów zamierzasz zrobić, co ostatnio, to lepiej zabij.

No co ty, Max, nie znasz się na żartach?

– Oj tam...

– Zrobienie zdjęcia w... hm, negliżu i zablokowanie drzwi do łazienki jestem w stanie zrozumieć. Przyznaję, dałem się podpuścić. Nawet doceniłem sposób zastawienia pułapki. Podziwiałem cię Mona, dopóki nie zajrzałem do barku. Nie musiałaś wylewać całego alkoholu do zlewu. Wiesz jaki rachunek mi wystawą?

– Ministerstwo zapłaci, a ty umrzesz może nie trzeźwiejszy, ale na pewno zdrowszy.

– Opinia pójdzie w świat – mruknął. – Może ty nie patrzysz na te bzdury o reputacji, ale ja już jestem za stary... Pamiętam, jak w jednym hotelu w Johannesburgu...

– Nie martw się, zamiotą pod dywan – ucięła. – Zawsze znajdzie się urzędnik, który uzna, że kompromitowanie innych może skompromitować i jego. Lepiej pić niż oglądać pornole.

Max zmieszał się.

– Czyżbym zgadła? W przerwach na głębszego oglądasz *adult channel*? – Dopytała.

– Bystra jesteś, pani podinspektor.

– Nie martw się, ja też wykupiłam kanały XXX.

– Znów mnie podpuszczasz...

– Lata praktyki. To co, pijemy, czy będziemy tak pierdolić bez sensu?

*

Myślał, że to Biernat. Liczył na to, bo chciał rozmówić się w sprawie

zatrzymań i podejrzeń policji. Już się cieszył, słysząc ciche pukanie do tarasowych drzwi.

Latos.

Jego akurat się nie spodziewał.

– Możemy pogadać?

Jedno spojrzenie w oczy młodego policjanta wystarczyło, żeby zorientować się, że coś jest nie tak. Że to nie była towarzyska wizyta.

– Jasne.

Latos przeszedł szybkim krokiem przez basen w stronę gabinetu.

– Tam.

Wais szedł za nim coraz bardziej zaniepokojony. Latos do tej pory zachowywał w stosunku do niego duży dystans. Pomagał, słuchał, odpowiadał na pytania, był na każde zawołanie podczas tych ośmiu trudnych dni, które spędzili razem. Zero emocji, pośpiechu, nerwów. Cały czas pełen profesjonalizm. Daniel nie wyczuwał w nim ani jednej fałszywej nuty. Musiało wydarzyć się coś istotnego.

Policjant wszedł pierwszy do gabinetu „ojca chrzestnego”, sięgnął pod pachę, jakby chciał wyciągnąć broń, ale zamiast tego wyszarpał niewielką, mierzącą kilkanaście centymetrów czarną skrzyneczkę, włączył na niej przycisk i ustawił na stole.

– Co to?

– Zamknij drzwi.

Zamknął.

– Zakłócacz – wyjaśnił Latos. – Emituje biały szum uniemożliwiający nagranie.

– Nie nagrałbym cię.

– Ty nie.

Daniel skinął głową. No tak. Niby wszystko sprawdzone, a pewności nie ma. Nigdy już nie będzie.

– Napijesz się?

Zaprzeczenie. Latos nie przyszedł tu pić.

– O co chodzi?

Sekundę, dwie zbierał się, w końcu wypalił:

– Co byś powiedział, gdybym zaoferował ci nieoficjalną współpracę.

Cholera, co odpowiedzieć? Po Latosie akurat tego się nie spodziewał. Chce kasy? Czegoś innego?

– Na czym miałyby polegać?

Latos przejechał językiem po przednich zębach, jakby szukał resztek jedzenia, ziarenek maku czy jagód.

– Gdybym, powiedzmy, zaoferował ci zwiększenie kar dla porywaczy lub

jakieś... hm specjalne traktowanie, osadzenie w więzieniu o szczególnie trudnych warunkach, mały łomot podczas przesłuchania czy wypadek pod prysznicem...
– Latos zrobił znaczący gest uderzając mocno pięścią w otwartą rękę.

Daniel cały czas nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to zupełnie nie pasuje do tego młodego gliny. Coś tu mocno śmierdziało?

– W zamian za co? Pieniądze? Ile chcesz?

Latos nie patrzył w jego oczy.

– Nie chcę pieniędzy.

– Więc czego?

– Dajmy na to... zeznania.

A więc to tak.

– Już mówiłem, że ani ja, ani Eliza nie będziemy zeznawać przeciwko...

– Nie chodzi o Wilkosza – przerwał policjant.

Daniel milczał.

– Co byś powiedział, gdybym poprosił cię o zeznanie w sprawie... Mony?

Mony? Niczego już nie rozumiał.

– To znaczy? Co miałbym zeznać?

Latos zbierał się dłuższą chwilę, by zakończyć:

– Na przykład, że... chciała łapówkę.

Daniel przeklął w myślach. Nie, na to się nie pisze. O co tu chodzi? Odzyskał Anię, skutecznie wybronił się chyba przed wpływem tej sprawy z przeszłości, układa powoli temat za tematem, odbudowuje, wypłtuje się z tego wszystkiego i nagle ma się wdać w jakieś rozgrywki między glinami? Na domiar złego, jeśli odmówi wprost, to jeszcze go ten młody gówniarz skasuje. A jak się zgodzi, to kim będzie? Jak ma się wówczas określić, nazwać?

– Nie chciała łapówki – bąknął słabo.

– Może nie chciała, ale mogła coś... sugerować. Zeznanie nie musi być jednoznaczne. Mogę ci nawet obiecać, że nigdy procesowo nie wypłynie. Będzie... w razie czego. Gdyby trzeba było Monę trochę... przystopować. Wystarczy, że powiesz, że odniosłeś takie wrażenie. To nie musi być oskarżenie wprost, choć takie byłoby lepsze.

Daniel zacisnął mocno pięści. Nie, jednak nie ma co się bawić w dyplomację i ostrożność.

– Myślę, że powinieneś wyjść.

Latos tym razem nie uciekł wzrokiem.

– Odpowiedz na moje pytanie.

– Już odpowiedziałem.

– Pełnym zdaniem – zażądał Latos jakby był nauczycielem w szkole.

– Posłuchaj skurwysynu. Mona nie chciała ode mnie żadnej łapówki i tego nie zeznam. Mogę jej nie lubić, mogę nie szanować, mogę uważać za wredną,

głupią sukę, mogę być na nią wściekły, ale nie zeznam nieprawdy. Niczego ode mnie nie chciała!

Latos sięgnął do urządzenia, wyłączył je i schował do kieszeni.

Daniel miał wrażenie, że chce coś jeszcze powiedzieć. Coś w twarzy policjanta dawało mu znać, że wcale nie jest zły z przebiegu tej rozmowy. Wręcz przeciwnie. Jakby był... zadowolony. Jakby to właśnie chciał usłyszeć.

– W takim razie... pójdę już...

Latos wyciągnął dłoń na pożegnanie. Wais nie ujął jej.

– Wyjdź. Po prostu wyjdź.

Rozdział 25

[29 czerwca, środa, wieczór

A widzisz, nie miałeś racji. Jestem i jestem w formie. Kłamię? Bo przecież nie możesz mnie sprawdzić, zobaczyć. Piszę jak należy, bez błędów. Komputer poprawia? Może. Tak czy inaczej się dzieje. Dużo się dzieje. Daniello oczywiście nie posłuchał. Chyba nic z tego już nie będzie. Jak mu nie powiem wprost, nie zrozumie. Jak powiem, to się obrazi. Może to już będzie koniec. Wiesz, trochę trudno mi to sobie uświadomić, to że pomiędzy nami się skończyło. Już dawno powinnam, ale teraz tym bardziej ciężko. Przecież go kochałam, przecież był moim jedynym. Przecież mamy Elizę i Michała. Jak to przekreślić, no sam powiedz? Że niby można w zgodzie się rozstać? Po co działać sobie na nerwy? Można dalej normalnie żyć? Było minęło? Chyba nie. A nawet jeśli, to nie jest to łatwe. Mimo to powinnam powiedzieć? Zaproponować rozwiązanie? Byle na trzeźwo?]

Mogła to przewidzieć. Diuk i jego ekipa przywłaszczyli sobie wyłączność na tych dwóch gogusiów, a im pozostawili resztę. Nie było sensu protestować. Prawdę mówiąc niespecjalnie żałowała Nikifora i tego drugiego, któremu założono teczkę „Niebieski”. Diuk po prostu okazał się lepszy od niej i trzeba było się z tym pogodzić.

Podzielili się z Gebertem i przez cały dzień przesłuchiwali pozostałych, używając wszelkich możliwych technik. Wystraszonych straszili mocniej. Oburzonych, wściekłych, awanturujących się tonowali i mamili obietnicami. Milczącym dawali od razu do zrozumienia, że za pięć minut wyjdą, jeśli tylko się przyznają.

Mamy na was wszystko. Mamy niepodważalne dowody. Znamy szczegóły. W zasadzie nawet nie potrzebujemy waszych zeznań.

– Nam rybka, czy będziecie mówić. Jeśli nie chcecie sobie złagodzić kary, wasza sprawa...

Kara? Warta podkreślenia. Żaden z tych dzieciaków nigdy nie był w więzieniu. W zasadzie nigdy nie byli karani. Tylko jeden za drobiazgi. Miał na koncie drobny wyrok w zawiasach, dawno zatarty. Nic. Teraz dopiero dostanie nauczkę. On i inni. Bo przecież skończy się na procesie pokazowym. Już Diuk o to zadba, żeby stali się kolejnym głośnym sukcesem słynnego Księcia.

W przypiływie dobroci może i na pozostałych policjantów coś spłynie.

„Nic bym nie osiągnął, bez zaangażowania całej drużyny. Jestem tylko napastnikiem, kapitanem, ale to drużyna gra na mnie. A w niej należy wyróżnić...”

Chcesz się znaleźć w tym gronie, to morda w kubek i rób swoje. Wrabiaj główniarzy. Jeśli nie, to wracaj do Warszawy, poskarż się, a potem analizuj te swoje porwania dla jakiegoś finansowanego przez Unię raportu. Podkreślaj w Excelu statystyki i tabelki. Wyolbrzymiaj je i nadmuchuj, żeby właściwie cię doceniono. Kto wie, może zasłużysz na kolejną gwiazdkę. Może sam ci ją wręczę.

Wobec takich faktów i oczekiwań była bezsilna. A mimo to ani ona, ani inni niczego nie uzyskali. Nie pomogły fortele, nocne przesłuchania, zmiany strategii i różne gry w dobrego i złego glinę. Dzieciaki szły w zaparte.

To nie oni. Nie zrobili żadnego porwania. Nie wyrzucili żadnych włosów na miejscu przestępstwa. Nie jeździli za Waisem. Nie wysyłali esemesów do jakiegoś mordercy i tego drugiego bandziora. To nie oni. Jakaś przeklęta pomyłka.

– A to? – Mona kolejno pokazywała zatrzymanym karty dowodów zawierające informacje o transakcjach na Allegro. Zakupy: kajdanki, kominiarki, czarne swetry, kamizelki z napisem POLICJA. – To też przypadek?

O dziwo, mimo sytuacji, w jakiej się znajdowali, każdy wybuchał śmiechem. Najgłośniej Radek, chłopak Elizy.

– Zapytajcie Elizy, ona wszystko wyjaśni – odparł.

– Też jest podejrzana.

Radek stracił rezon.

– Pani mówi poważnie? Zatrzymaliście Elizę Wais? Postawiliście jej zarzuty? Uważacie, że współpracowała z porywaczami?

Mona nie odpowiedziała. Zrobiła minę: „może”. Tymczasem Radek zamiast się złamać, skruszyć, nagle nabrał jakiejś siły. Wyraźnie poprawiła mu humor.

– No to teraz wam się dobierze do dupy.

– Kto?

– Jak to kto? Wais. Pogoni wam kota tak, że...

– Nie strasz mnie szczeniaku. Mów, co wiesz. Bo jak nie...

– To co? Nic nie powiem. Wais za chwilę wszystkich nas wyciągnie, jego adwokaci założą wam sprawy każdemu z osobna za niekompetencje, a za kilka dni obejrzy pani o sobie program w telewizji. Dlaczego? Bo jesteście, kurwa, na jakiejś totalnie ślepej ścieżce i nie znajdziecie żadnego dowodu ani na nas, ani na Elizę. Bo go być nie może. Nie współpracowaliśmy z żadnymi bandziorami. Eliza? Skąd wam się w ogóle wziął ten pomysł?

Nie mogła i nie chciała mu powiedzieć, choć była bardzo ciekawa reakcji na pytanie o poprzedniego chłopaka dziewczyny. Ale nie chciała robić jej świństwa. Przynajmniej na razie.

– Eliza – powtórzył Radek. Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Eliza i porwanie?! Że niby co? Chciała okraść ojca, bo na coś potrzebowała kasy? To

wbijcie sobie do głów, że Daniel tak kocha córkę, że oddałby za nią cały majątek. Dałby jej bez porwania, ile by potrzebowała, a ona już ma swoje sposoby, żeby go nakłonić do... bezwarunkowej współpracy.

– Może chciała mu pomóc wyprowadzić pieniądze? – powiedziała Mona siląc się na powagę. Znała jednak odpowiedź i wcale się nie zdziwiła, że Daniel aż zakrztusił się ze śmiechu.

– Jednak jesteście głupi.

– Jak wytłumaczysz te transakcje? – Spokojnie kontynuowała Mona pokazując chłopakowi wydruki z kont na Allegro, na których zaksięgowano zakupy kamizełek policyjnych, kajdanek, replik broni palnej i innych akcesoriów.

Radek westchnął.

– Lubię panią – szepnął. – Mam wrażenie, że pani i ten drugi gliniarz, jak mu tam...

– Komisarz Gebert...

– No więc mam wrażenie, że wy rzeczywiście chcecie to wyjaśnić, że nie robicie tylko kopiuj i wklej. Zakładam, że zwyczajnie się pomyliliście. Więc ten jeden raz, jeden jedyny, ale naprawdę radzę pani posłuchać, więc ten jeden raz pani odpowiem i wyjaśnię wszystko, jak na spowiedzi.

– Słucham – szepnęła Mona. Miała złe przeczucia. Dzieciak nie kłamał. On i inni. Eliza i jej przyjaciele byli niewinni. Wiedziała to już. Nie musiała czekać na analizę dowodów. Oczy nie kłamią. Chyba że należą do super bezwzględnego drania. Ale taki zdarza się jeden na milion. Nie ma szans, by zebrać dziesięciu takich w jednym mieście. Żadnych szans.

Radek tymczasem powtórzył historyjkę znaną już jej w nieco okrojonej wersji:

– To miał być wygłup. Dla Fabiana, takiego naszego kolegi z roku. On jest fanem youtuberów, którzy ciągle wkręcają znajomych. Słyszała pani kiedyś o Kashu albo Viplerze? Nie? Trza nadrobić. To goście, którzy potrafią zorganizować taką prowokację, że pół świata ich ogląda. Vipler dla dobrego skeczu kupi nawet bugatti. Kash nie angażuje takiej kasy, ale za to jest bardziej pomysłowy. Ostatnio wkręcił żonę pozorując wypadek córki z taką wiarygodnością, że do końca filmu nie jest pani pewna, czy to nie prawda, choć w domyśle wszyscy wiedzą, że wkrętka to wkrętka.

– Co to ma do sprawy?

– Wiele. Fabian w sierpniu chce się oświadczyć swojej dziewczynie, Lidce. No więc wymyśliliśmy wspólnie z nim, że zrobimy mu sfingowaną akcję antyterrorystów i policji, podczas której on zostanie pobity, zakuty w kajdanki i aresztowany. Niczego nieświadoma Lidka na pewno naje się niezłego strachu, tym bardziej, że Bartek, taki nasz kolega...

– Wiem – Radek nie wiedział, że Bartek też jest zatrzymany.

– No więc Bartek miał załatwić od kumpla atrapę broni niemal jak prawdziwej, w finale przystawić giwerę do głowy Fabiana i powiedzieć: mów, co masz do powiedzenia albo giń.

– I wtedy Fabian by się oświadczył?

– O, nawet pani pojęła.

– Po to kupowaliście akcesoria na Allegro?

– Właśnie po to.

– I my mamy w to uwierzyć?

– Sprawdźcie sobie wszystko. Jestem spokojny o wynik. Eliza... przez nią cała ta akcja i tak by pewnie nie doszła do skutku, bo speniała. Lubi Lidkę i się przyjaźni. Miała mieć ważną rolę we wręczeniu. Ale Lidka ponoć ma coś z sercem i Elizka się przestraszyła, że zamiast zabawy może być tragedia. Dlatego się nie zgodziła i jeszcze zagroziła, że jak będziemy za ostro szli, to ją ostrzeże. Skończyło się na ugodzie. Mieliśmy zrezygnować z broni i ostrego zatrzymania, a tylko upozorować kontrolę drogową podczas której Filip szybko wyprowadzi Lidkę z błędu dając pierścionek. Nic specjalnego. Nic, co warto byłoby nagrywać. Nuda. Wszyscy byliśmy źli na Elizkę, ale dziś myślę, że może i miała rację. Czasem wygłupy kończą się autentycznymi problemami.

Mona nie miała więcej pytań. Patrzyła na tego dzieciaka i wiedziała, że nie ma sensu próbować go przyciskać. Nie kłamał. Nie wymyśliłby sobie takiego alibi. Inni też.

Dali ciała. Popelnili cholerny błąd. Cholernie duży błąd.

Drzwi pokoju przesłuchań uchyliły się i do salki zajrzała głowa Geberta.

– Pozwolisz na chwilę?

Gdański policjant nie miał za wesołej miny. Gdy weszli do jego gabinetu, Mona powiedziała z przekazem:

– Niech zgadnę: próbki z włosów z miejsca porwania nie odpowiadają tym z zakładu fryzjerskiego należącego do kolegi Elizy, pozostałe zeznania trzymają się kupy, analiza telefonów nie daje nam żadnych podstaw do postawienia zarzutów...

– Jest jeszcze gorzej – mruknął Gebert. – Diuk załatwił w trybie przyspieszonym testy DNA. Był chyba pewny, że choć częściowo się potwierdzą.

– I co?

– Dupa. Wszystkie dały wynik negatywny. Niby to są wstępne rezultaty, na oficjałki musimy poczekać, ale... w zasadzie mamy pewność. Sto procent wtopy. Tak naprawdę nic nie mamy na tych dzieciaków. Trzeba ich wypuścić.

*

Diuk wyjątkowo skrupulatnie przygotował się do przesłuchania Nikifora.

Porwanie, okup, inne niuanse sprawy Waisa były ciekawe, dobrze opakowane może nawet nadawały się na jedną jedynekę w wiadomościach. Jedną. Kluczowe słowo. Seria morderstw to zupełnie inny kaliber. On mógł mu zapewnić rozgłos na cały kraj na tygodnie, a może i lata. Każdy ambitny policjant marzy o takiej sprawie. Może udawać, że jest inaczej. Że przejmuje się tragedią, wzrusza, identyfikuje z ofiarami, ale prawda była taka, że każdy szuka dla siebie czegoś wielkiego. A w tej robocie, tym właśnie był seryjny takiego kalibru. On dawał pracę na lata, przynosił splendor, zainteresowanie mediów i władz. Szanse na doktoraty, profesury, wykłady na uczelniach, zagraniczne wojaże. Potem można pisać książki, seriami dozować informacje, żyć z tego przypadku do późnej starości, a czasem jeszcze dłużej. Można ustawić rodzinę na pokolenia.

Jeśli dopadnie Nikifora, udowodni mu winę, skłoni do przyznania się, jego kariera osiągnie niebotyczne wyżyny. Nikt nie będzie w stanie go dosięgnąć, zranić, a już na pewno nie strącić.

Żadna Mona. Żadna *Teresa*.

Wbrew pozorom lubił je obie. Miał do nich sentyment. Tak do sprawy jak i kobiet. Była chwila, że nawet chciał opowiedzieć Monie jak było naprawdę. Wy tłumaczyć. Może by uwierzyła, przyjęła wyjaśnienia, stanęła po jego stronie. Była też chwila, gdy chciał ją wciągnąć głębiej do swojej ekipy, zaprosić do kompanii, pomóc i zjednać ją sobie.

Wierzył, że dałby radę.

Szybko jednak ludzie, którym dotąd ufał, wyprostowali to jego dobre serce. Wróg to wróg. Bez względu na to, jakie pobudki mu przyświecają. Amerykańska maksyma: znaleźć, rozpoznać, złapać, zlikwidować. To należy robić z wrogiem, a nie go zjednywać. Wróg zjednany może okazać się fałszywym przyjacielem, groźnym szpiegiem, koniem trojańskim. Nie wolno mu było tak ryzykować.

Nabrał głęboko powietrza, odetchnął kilka razy i wszedł do niewielkiego gabinetu. Podeszedł do kamery, wyłączył ją i przestawił tak, żeby nie było wątpliwości, że nie nagrywa.

Nikifor nie zareagował. Był wyrachowanym sukinsynem. Nie działała na niego brutalność, której doznał przy aresztowaniu i w pierwszych godzinach w celi. Zupełnie zignorował wszelkie próby nawiązania porozumienia i złagodzenia sporu. Nie odpowiadał na pytania. Domagał się adwokata i poszanowania swoich praw.

Odmawiam składania zeznań, jestem niewinny, to pomyłka, robicie błąd, nie mam nic do powiedzenia. Za chwilę sąd mnie uwolni.

Gównu, nie sąd.

Jeśli jesteśmy czegoś pewni, potrafimy tak spreparować dowody, by i sąd w nie uwierzył.

Ale i tu są jednak granice.

Tym bardziej, gdy wiele dowodów wręcz wyklucza sprawstwo Nikifora.

Nieszczęsne badania odcisków stóp, opon, innych śladów na miejscu zbrodni...

Diuk żałował już, że tak się z nimi spieszył.

Żałował, bo przecież był pewien, że mają właściwego człowieka. Tyle że bystrego. Może bystrzejszego od nich.

Trafili po prostu na cwaniaka, który przemyślał dobrze swoje działania, przygotował się na ewentualną wpadkę i tak zamieszał z dowodami, żeby świadczyły na jego korzyść.

Na to nic nie mógł poradzić.

Prawie.

– Porozmawiamy szczerze? – zaproponował Diuk.

Nikifor spojrział bez specjalnego zainteresowania w jego oczy. Niczego w nich nie dojrzał. Oczy były błękitne i rozmazane. Oczy drania, oszusta, cwaniaka. Policjant?

– Kim pan jest?

Diuk uznał to za dobrą monetę, bo przedstawił się, podał stopień i dopowiedział coś o specjalnej jednostce policji do ścigania najcięższych zbrodni.

– Nie wyjdiesz z tego – Diuk przesunął w kierunku Nikifora teczkę z dokumentami. – Wiemy, że to twoja robota. I udowodnimy to.

Nikifor bez przekonania zajrzał do materiałów. Przejrzał wszystkie strony i w końcu zapytał:

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Zabiłeś je.

– Wszystkie? – Nikifor ledwie dostrzegalnie mrugnął okiem. Jakby chciał mu przekazać: „to jakiś żart, jakaś wasza gra?” Oskarżacie mnie o całe zło, żebym przyznał się do jednego? O to chodzi?

Dawidiuk nie odpowiedział.

– Żadnej nie znałem – dodał Nikifor. – Po co miałbym zabijać?

– Ty mi powiedz.

– Nie mogę. Nie mam z tym nic wspólnego. Proszę mi przysłać adwokata, bo inaczej żaden z was się z tego nie wykaraska.

– Adwokata dostaniesz w swoim czasie.

– Prawo...

– Prawo jest po stronie tych, którym służy.

– Na studiach uczą inaczej.

– Nieprawda, uczą właśnie tego. Studiów nie kończą ci, którzy myślą inaczej.

– Źle myśleć inaczej – przyznał Nikifor.

– Źle zabijać. Nie masz szans się wywinąć. Przesiedzisz pół życia w areszcie, bo my wiemy, że to ty. A potem albo się przyznasz albo przesiedzisz kolejne.

– Nie sędzę.
– Nie przegrywam zakładów ale z tobą i tak się nie założę. Nie zakładam się z szumowinami.

– Vice versa.
– Jutro zacznie się twoja katorga. Ale zanim to nastąpi... mam dla ciebie propozycję. Chcesz jej wysłuchać?

Nie zamierzał, ale jednak coś zaczęło mu podpowiadać, by zmienić strategię. Jeśli ten policjant mówił prawdę, to za chwilę rzeczywiście mógł nie mieć wyjścia. Mogli pozbawić go jego praw, już to zrobili. Mogli wszystko.

Bo wierzyli że mają właściwego człowieka.

I się nie mylili.

– Niech pan mówi.

*

Dla drugiego przestępcy nie miał już żadnej oferty. W zasadzie wcale mu nie zależało na jego zeznaniach. Sukces już został osiągnięty. Mieli nowe poważne śledztwo, całego zakładnika, odzyskaną większość kasy, przymkniętych podejrzanych. Będą mówić, dobrze. Będą milczeć, też dobrze. Twoja sprawa... Niebieski.

– Nie jestem żadnym Niebieskim – powiedział bandzior.

Wyglądał jak rasowy troglodyta. Ciemna twarz, zarost, ogorzały, dziwny, nieforemny. Śmierdział.

– To może Brązowy – zapytał Diuk. – Albo Różowy? Kim jesteś?

Bandzior zdusił przekleństwo.

– Twoja sprawa, czy się przyznasz, czy nie. Mamy na ciebie tyle, że...

– Nic nie zrobiłem. Jestem czysty od roku.

– To skąd te esemesy?

– Sam się, kurwa, zastanawiam, skąd. Nie wiedziałem o co chodzi.

– Nie wiedziałeś? Ciekawe.

– Niech pan posłucha...

– To ty posłuchaj, Niebieski!

– Nie jestem żaden Niebieski. Jestem Iwan. Od zawsze i na zawsze. Iwan, rozumiesz?!

*

Komputer wieszał się coraz częściej. Mona walczyła z chęcią odesłania go

Artyście i kupienia nowego sprzętu. Ale jeśli będzie się tak bała szpiegów internetowych, to za chwilę może już nie mieć gdzie uciec. Artysta zresztą zapewnił, że nie ma żadnego trojana czy szpiega.

– Masz system zabezpieczony na maksa, nie ma lepiej zaklajstrowanego sprzętu w tym kraju, wierz mi.

– To dlaczego tak muli?

– Właśnie dlatego. Zaufaj fachowcowi. Nikt ci nie siedzi na dysku. Przynajmniej dopóki mu nie pozwolisz, ale wtedy ja się nim zajmę.

Podziękowała Artyście i cierpliwie poczekała na uruchomienie wszystkich zabezpieczeń. Potem weszła do maila i natychmiast poczuła serce w gardle. O dziwo nigdy nie działały tak na nią nawet najokrutniejsze morderstwa. One po prostu były częścią pracy. Mail, który odczytała należał do innego świata, niezrozumiałego, niewyraźnego, trudnego do oceny.

Nie знаła dziennikarzy. Nie ufała im.

Szanowny Panie!

Przepraszam za odpowiedź z tak dużym opóźnieniem, ale mail, który mi Pan wysłał, trafił do spamu i dopiero dziś, przez przypadek go odczytałem. Bardzo dziękuję za przekazanie informacji na temat sprawy „Teresa”. Są niezwykle interesujące. Dołożę starań, żeby zostały należycie wyjaśnione. Niemniej jednak byłoby mi znacznie łatwiej, gdyby Pan się ujawnił – choćby tylko do mojej wiadomości...

Mail podpisał współautor jednego z pozytywnych reportaży na temat Diuka. W załączonym dokumencie dziennikarz wyjaśniał zasady bezpieczeństwa, różne opcje porozumienia czy spotkania tak, by źródło miało stuprocentową pewność zachowania jego tożsamości w tajemnicy.

Mona wahała się tylko chwilę. Zgodnie z sugestiami z maila, założyła fikcyjne konto na nazwisko Jan Nowak, dzięki czemu dziennikarz miał wiedzieć, że to ona jest informatorem. Otworzyła okno czatowe na Facebooku, wysłała zaproszenie do dziennikarza i napisała:

<<Nie ufam panu.>>

Minutę później zaproszenie zostało zaakceptowane, a przy nazwisku rozmówcy pojawiła się zielona kropka. Sygnał, że mężczyzna jest *online*.

<<Dziwię się, że wybrał Pan ten kanał. Rozmowa na Fejsie to chyba nie najlepszy pomysł.>>

Nie sprostowała, że nie jest „Panem”. Ciekawe dlaczego właśnie tak strzelił. Dlaczego zakładał, że rozmawia z mężczyzną. Czyżby częściej statystycznie byli kapusiami?

<<Dlaczego? Skoro wszyscy nagrywają, inwigilują, spiskują, to Fejs ma być gorszy. Mamy się bać na każdym kroku. A niech sobie słuchają.>>

<<Ujawni się Pan?>>

Tym razem ona się zawahała.

<<Tak. W swoim czasie.>>

<<Kiedy on nastąpi.>>

<<Wkrótce.>>

<<W takim razie nie będę mógł wykorzystać przesłanych materiałów.>>

<<Twoja strata.>> – skróciła dystans.

<<Pomóż mi.>>

<<Udowodnij.>>

<<Co mam udowodnić?>>

<<Że ci zależy.>>

<<Na czym?>>

<<Na prawdzie.>>

<<Dobrze. Co mam zrobić?>>

Ostatnia chwila zawahania. Ostatnia szansa by się wycofać. Zagryzła wargę i wpisała w okienko zdanie:

<<Zadaj rzecznikowi prasowemu pytania o aresztowania w Gdańsku.>>

Nacisnęła ENTER.

Sekunda, dwie...

<<Jakie aresztowania?>>

<<Te ostatnie, tak nagłośnione. Dotyczące porwania Anny Wais i morderstwa pod Wejherowem.>>

<<Co potem?>>

<<Rób swoje.>>

<<A jeśli odpowiedzi nie będą interesujące?>>

<<Będę. Będą bardzo interesujące. Przeczytaj załącznik.>>

Mona załączyła raport z badania biegłych i wnioski do prokuratora, w których policja informowała, że dowody dla zastosowania aresztu są zdecydowanie za słabe. Wylogowała się i wyłączyła komputer.

Jak to się nazywa?

Człowiek gwizdek.

Sygnalizator.

Whistleblower.

Głębokie gardło.

Insider, któremu zależy.

A może jednak zwykły zdrajca.

Świnia, kapuś.

Tak mogła sobie wmówić, że to wyższe dobro. Mogła przekonywać sumienie, że jej rzeczywiście zależy na prawdzie.

<<Dobrze.>>

Zobaczmy.

To będzie test.

*

Widniało, gdy wychodziła z siedziby CBS. Mimo porannego chłodu, nie wzięła taksówki. Spacer się przyda. Będzie mogła pomyśleć, co zrobić z tym bajzlem. Nawet jeśli dziennikarze nie zaatakują Diuka wprost, ich pytania dawały jakieś nadzieje na to, że przyszły minister nie popłynie i nie wrobi ich jeszcze bardziej. Wycofa się zanim postąpi krok za daleko. W sumie to chyba mu się przysłużyła, bo potem nie byłoby odwrotu. Szczerze obawiała się, że może zatuszować dowody na niewinność tych dzieciaków i dalej ich wrabiać. W końcu lepiej jest mieć niewinnych podejrzanych niż nie mieć żadnych.

Wtedy czekałby ich otwarty konflikt. Musiałaby zaryzykować wszystko, żeby bronić... właśnie, czego? Prawdy? Czy była jej pewna? Więc może sprawiedliwości? Ale czy sprawiedliwość jest rzeczywiście taka jednoznaczna, niezależna od punktu widzenia, czarno-biała? Czy zgłoszenie na „swoich”, otwarte przeciwstawienie się partnerom będzie rzeczywiście bardziej uzasadnione? Co da jej walka z systemem?

Ulice były puste. Przez dobre dziesięć minut szybkiego marszu nie widziała ani jednej osoby. W oddali przejechał autobus nocny. Minęła sklep całodobowy. W środku przysypiał sprzedawca. Tyle życia. Nawet mewy spały.

Wtedy to usłyszała. Dźwięk za sobą. Jakby kroki. Kot? Szczur? Pies? Kiedy się obejrzała, nikogo nie zobaczyła. Potem musiała się oglądać jeszcze ze dwa razy. Albo umysł robił jej jakieś psikusy ze zmęczenia, albo powoli wariowała.

Albo ktoś rzeczywiście ją śledził.

Zmieniła zwykle przemierzaną trasę. Sięgnęła do kabury, wyjęła i odbezpieczyła broń. Gotową do strzału ukryła pod pachą i zawróciła. Jeśli ktoś tam jest, czas zagrać w otwarte karty.

Nikogo nie było.

Niepokój odpłynął.

Szmery ucichły.

W hotelu była przed piątą. Zostało jej do porannej narady cztery godziny snu. Zastanowiła się, czy nie odpuścić. W końcu ona nic nie musi. Jest tu przypadkiem. Nawet nie powinna zajmować się tą sprawą. To tylko jej dobra wola.

Minęła pustą recepcję i windy, weszła schodami na piętro, potem cicho przemierzała korytarz nasłuchując odgłosów z pokoi. Cisza. Nikt się nie kłócił, nikt nie imprezował, nikt nie uprawiał seksu. Smutny hotel dla gliniarzy, esbeków, lobbystów i cwaniaków. Wszyscy na jednym piętrze.

Wyjęła kartę chipową i włożyła ją w otwór drzwi pokoju.

Zielony błysk dał jej znać, że zamek został odblokowany.
Weszła do środka, zablokował drzwi i zapaliła światło.
O mało co nie wrzasnęła, gdy go zobaczyła.
Siedział w fotelu, nieruchomo, oczekujący.
Z twarzą dziwnie pobladłą i zmęczoną.
Jak na niego całkowicie nieproporcjonalną.
– Musimy pogadać, szefowo. Bardzo szczerze pogadać – powiedział.

*

Latos wyszedł z ukrycia i odetchnął głęboko. Był za słaby, Mona o mało go nie zobaczyła. W ogóle nie powinien bawić się w takie rozgrywki. Nie był agentem operacyjnym. Nie umiał działać pod przykryciem. Nie przeszkolono go wystarczająco w tych kwestiach. Marzył przecież o roli profiler, na studiach olał wszystkie te prestiżowe, oblegane kierunki kryminalne i inwazyjne. Wybrał psychologię i prawo. Chciał coś rzeczywiście osiągnąć, a nie szpiegować i szpiclować. No ale miał dług do spłacenia.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do swojego wierzyciela.
– Wszystko w porządku. Mam ją na oku.

*

Wiadomość przyszła nad ranem.

Eliza długo wpatrywała się w ekran komórki wyświetlający profil czatowy, na którym od dawna się nie logowała.

W końcu wpisała odpowiedź, ale nie wysłała jej.

Skasowała.

Kolejne dwa zdania.

Znów klawisz kasujący.

Pomyślała, że zanim cokolwiek zrobi, powinna porozmawiać z ojcem.

Obiecała przecież, że będzie wszystko z nim konsultować.

Każdą nową informację.

Musi mu powiedzieć.

Z drugiej strony teraz, kiedy wszystko skończyło się dobrze, kiedy mama wróciła do domu, zatrzymano podejrzanych porywaczy, a zagrożenie ze strony policji malało i przynajmniej w jej oczach wydawało się już tylko iluzoryczne... może w tej sytuacji słowo przestało obowiązywać.

W końcu chyba jednak ich podejrzenia dotyczące Wilkosza okazały się

nieuzasadnione, choć ojciec oczywiście wciąż nie dawał się przekonać.

Tak, był kłębkim nerwów i agresji, chłonącym każdą nową informację, łądującym pasek adrenaliny sugestiami i podejrzeniami. Zamiast skupić się na ratowaniu firmy, ganiał za duchami i cieniami. W tej sytuacji nie miało sensu dostarczanie mu kolejnych danych, które prawdopodobnie zinterpretowałby na wyrost, niewłaściwie i zbyt emocjonalnie.

Koniec z tym!

Musi sama rozwiązać swoje sprawy, a nie mieszać w nie dodatkowo ojca.

Powinna zakończyć to, co zaczęła.

Może dzięki temu pomoże też przyjaciółom, bo przecież nie wierzyła w ich winę. O ile policja być może trafnie wytypowała kilku podejrzanych, tych dwóch przestępców, może nawet kogoś z jej grona, to w wypadku Radka i pozostałych prawdziwych przyjaciół z pewnością się myliła.

Tak, musi to zakończyć.

Jutro. Albo pojutrze. Najdalej w przyszłym tygodniu.

Raz na zawsze.

*

Córcia znów coś knuje.

Czuła to.

Wyczuwała spiski i intrygi.

Jej oczy spiskowały.

Ale co ona mogła na to poradzić.

Co mogła zrobić, by zdjąć klątwę z niej i z Daniela.

By przemówić im do rozumu.

Przekonać, by porzucili drogę donikąd.

Zemsta była złem.

Śledztwo było złem.

Knucie było złem.

No ale co?

Co mogła? Co?

Nic.

Miała tylko jedno wyjście.

Jeden sposób, by jakoś przeczekać.

Tajemny szyfr.

Sierra. Olmeca. Bacardi. Tanqueray.

*

Była niedziela rano. Rzadko spotykali się o tej porze dnia i chyba nigdy dotąd w niedzielę.

Hausberger miał podkrążone, zaczerwienione oczy z zupełnie innego powodu. Spędził pół wczorajszej nocy na analizach informacji wyciągniętych od wiewiórek z Komendy Głównej i jednej z gazet. To on zdecydował, że potrzebują natychmiastowej narady.

- Sprawa Waisa mocno się skomplikowała – powiedział na powitanie.
- Jest niedziela rano, do licha. Naprawdę nie mogłeś poczekać?
- Nie – uciał Hausberger.

Przez następną godzinę opowiadał o rozwoju śledztwa, aresztowaniach, postawie Waisa, który konsekwentnie odmawiał pomocy.

– Jest wyjątkowo niezależny, unika nas jak ognia, odrzuca z góry oferty bez analizy ich wartości, nie daje nam cienia szansy na wejście do spółki. Uważa, że sobie poradzi sam.

- Traktuje nas jak pasożyty.
- Chuj jebany.

Trudno odmówić Waisowi racji – dodał w myślach Hausberger. Po co miał korzystać z usług takich przemijających dinozaurów.

– Ma kłopoty ze spłatą zobowiązań, jednak wynegocjował dłuższy termin zapłaty i nie chce naszego kredytu. Próbowałem przyblokować mu linie w bankach, ale nie wszędzie się udało. Ma dobrą, wiarygodną historię w rejestrach, żadnych zastawów, więc w końcu pewnie ktoś się wyłamie i mu pożyczy lub zorganizuje finansowanie.

- Trzeba szukać czegoś innego.
- Najlepiej porwać mu żonę – zażartował jeden z partnerów. – Swoją drogą, jak się to rozwija?

Hausberger przez chwilę wahał się, co powiedzieć, a co zachować dla siebie. W sumie to w ogóle nie powinni o tym rozmawiać.

- Uważa, że to nasza sprawka.
- Niech sobie uważa, co chce. Byle płacił.

No i właśnie w tym problem, że nie chce – odparł w myślach Hausberger. Źle ocenił Waisa. To była jego wina. Niemniej jednak odwracanie teraz kota ogonem nie miało sensu. Tylko winny się tłumaczy.

– Jest inny problem. Jak wiecie w sprawie tego porwania doszło już do zatrzymań podejrzanych. Niestety, okazuje się, że są niewinni.

- Mało to niewinnych siedzi.
- Jak słabo z dowodami, to możemy pomóc...
- To ewidentna pomyłka – powiedział Hausberger. – Jutro ich wypuszczą.

– Wszystkich?

Hausberger skinął głową.

– Ma to dla nas jakieś znaczenie?

– Co gorsza media będą trąbić. Gazeta dziś szykuje jedynekę. Jak tylko trafi do drukarni, dostaniemy tekst do przejrzania.

– Będziemy mogli coś zmienić?

– Nie tym razem – Hausberger darował sobie tłumaczenie, że czasy się zmieniły i dziś już nie mają takich możliwości jak kiedyś, gdy przed drukiem zmieniali teksty w gazetach. Zwalali to na internet, jednak prawda była inna. Nie byli już po prostu tak potężni. A i media się oczyściły z ustosunkowanych „przyjaciół”. Szczęśliwie nie wszystkie.

– Więc będzie zadyma?

– Zacznie się szukanie winnych i innych opcji – przyznał Hausberger. – Ktoś nadgorliwy może pomyśleć, że warto i nas przesłuchać.

– Ciebie. Nas tam nie ma.

– Ja to wy.

Cisza się przedłużała. W końcu jeden z partnerów powiedział:

– Tak, trzeba coś z tym zrobić.

Rozdział 26

[4 lipca, poniedziałek, dzień

Święto. Amerykańskie, ale zawsze święto. A w święto zawsze można liczyć na specjalne dary losu. I przyszły. W gazetach. Gliny dały ciała po całości. Mnie to nie obchodzi, ale Daniello nakręca się jak bomba atomowa poszukująca detonatora. Złe porównanie? Pewnie, w końcu żadna ze mnie literatka. A propos, dziś zero. Nie wierzysz? Naprawdę. Ani jednego. Biorę się za siebie. Postanowiłam. I więcej cię nie zawiodę.

Może nawet uda mi się to jeszcze naprawić.

Może.]

Ojciec Mony mawiał, że z początkiem tygodnia nawet diabeł wstaje lewą nogą, dlatego zło najczęściej dzieje się w poniedziałek. Był kolejarzem. Wąsatym, gburowatym, tłustym opojem zatwardziałym przywiązany do tradycji, kościoła, wiary i zasad. W domu bywał rzadko, a jak zajął, zależało mu tylko na jednym: żeby mu nie przeszkadzać. Większość czasu spał lub majsterkował. Uwielbiał też popisywać się swoją elokwencją i wiedzą. Zadawał pytania, na które tylko on znał odpowiedź, a potem cieszył się, że jest taki mądry. Mimo to kochała go, a nawet płakała na pogrzebie. Zmarł przed pięćdziesiątką na raka krtani. Jego namiętność do palenia papierosów bez filtra w zamkniętych pomieszczeniach zabiła dziesięć lat później także matkę. Cichą, małą, szczupłą i zahukaną kobietę, której Mona zupełnie nie przypominała. Jej rodzice byli tak inni od niej, że przyszła policjantka wielokrotnie łapała się na podejrzeniach, że może jest jakimś podrzutkiem, wziętym z domu dziecka lub znalezionym w koszyczku w szuwarach.

Albo przysłanym z piekła.

Dziś piekło, które rozpętało się w *firmie* wcale jej nie zaskoczyło. Tym bardziej, że sama otworzyła jego wrota i zbudziła diabła.

Media od rana trąbiły o niesłychanej wpadce policji: pomyłkowych zatrzymaniach grupy studentów niesłusznie pomówionych o udział w groźnym gangu. Dziennikarz, któremu przekazała informacje, okazał się prawdziwym

drapieżnikiem. Wystarczyło, że poczuł krew, a podążył tropem i do końca nie wypuścił ofiary. Artykuł w gazecie, w którym zaprezentował część wniosków z badań biegłych wykluczających udział zatrzymanych w przestępstwie, o które mieli zostać posądzeni, był tylko preludium. W telewizji informacyjnej w reporterze obudził się publicystyczny wilk. Rzucał oskarżeniami, nie pozostawiając na policji suchej nitki.

– Rozmawiałem z rodzinami „ofiar”, bo – powiedzmy wprost – ci młodzi ludzie są ofiarami niekompetencji policji. Z moich informacji wynika, że potraktowano ich wyjątkowo brutalnie. Pozbawiono praw, przymuszano do fałszywych zeznań, odmówiono pomocy prawnej, w zasadzie można powiedzieć, że torturowano. Jednej z zatrzymanych kobiet złamano nos, a mężczyźnie rękę. To ma być profesjonalna policja? Aż dziw, że za takie działania odpowiada tak znany, doświadczony i utytułowany funkcjonariusz, któremu wrócono awans na najwyższe stanowiska...

– O kim pan mówi? – zapytał prowadzący.

– Ujawnię to w jutrzejszym tekście – odparł dziennikarz, po czym, być może obawiając się zarzutu, że dozuje informacje, dodał: – Nie zdążyłem się z nim skontaktować przed dzisiejszą publikacją, a ma przecież prawo do obrony i komentarza. Zapraszam do lektury jutrzejszego tekstu w gazecie. Zapewniam, że będzie warto. Ujawnimy masę nowych szczegółów, do których dotarliśmy w tej bulwersującej sprawie.

Jak zawsze w podobnych sytuacjach, w siedzibie CBŚ połowa funkcjonariuszy chorowała lub wyszła na akcję, a druga ukrywała się po kątach. Nikt nie chciał wchodzić w drogę wyższemu oficerom, a Diuka unikano jak ognia.

Ona za to miała wyjątkową ochotę stanąć przed Księciem, spojrzeć mu głęboko w oczy i zapytać: dostałeś już prawo do obrony i komentarza?

Diuk zniknął w innej części budynku. Gebert i jego ludzie przygotowywali dokumenty oraz materiały dla Komendy Głównej. Na dwunastą zapowiedziano konferencję prasową. Rzecznik chciał być dobrze przygotowany, choć przecież strategia w takich sytuacjach była oczywista. Kiedy sukces zmienia się w porażkę, oficjele nagle tracą zapał do wylewnych wypowiedzi i nabierają wody w usta. Zaczynają za to nadużywać słów i zwrotów typu: tajemnica śledztwa, dobro postępowania, przepisy prawa.

Przyda wam się taka szkoła.

O dziesiątej prokuratura potwierdziła informacje o zwolnieniu zatrzymanych studentów.

„Materiał dowodowy okazał się niewystarczający do postawienia zarzutów i wystąpienia z wnioskami o areszt” – podano na pasku wiadomości powołując się na przecieki z prokuratury.

W komentarzach publiczności twierdzili, że szczegóły nie zostaną ujawnione

dla dobra śledztwa, ale z dużą dozą pewności można stwierdzić, że – jak to napisano w Gazecie – doszło do niebywalej pomyłki i zatrzymania zupełnie niewinnych osób.

„Wśród dziennikarzy śledczych krążą informacje, że prawdziwi przestępcy mogli celowo wrabiać inne osoby, kierując na nich podejrzenia.” – Powiedział jeden z komentatorów.

„W jaki sposób?”

„Mówi się, że dzwoniли i esemesowali na telefony znanych przestępców, którzy nie mieli z tym porwaniem nic wspólnego.”

Mona zamarła. Ta informacja nie powinna wyciec. Gdy usłyszała następną, jeszcze bardziej zbladła.

„W tej sprawie zatrzymano dwóch recydywistów. Obaj mają być zwolnieni do wieczora.”

A morderstwa? O nich nic? Jeśli dziennikarz się nie mylił, to oznaczało, że Diukowi nie udało się zebrać więcej dowodów na Nikifora. Jej akcja „ratowania” dzieciaków i wrabiania Diuka przyniosła więc efekt w postaci wypuszczenia na wolność groźnego zabójcy. Gdyby nie ona i zainteresowanie mediów sąd z pewnością klepnąłby trzymiesięczny areszt dla głównego podejrzanego, a pewnie też z rozpędu dla Iwana vel Niebieskiego.

Brawa, Mona! Wielkie brawa!

Właśnie twoje czyste, dobre intencje doprowadziły do wypuszczenia z rąk sprawiedliwości groźnego bandziora, bo nie ulegało wątpliwości, że Nikifor jest właściwym strzałem.

Poczuła się jak wywłoka. Nie dość że była wykończona, niewyspana i wstrząśnięta po nocnej wizycie Prygla i przekazanych przez prokuratora informacjach, to jeszcze zaliczyła taką wtopę z cholernymi mediami.

Nigdy więcej – obiecała sobie.

Na trzecią Diuk w końcu zapowiedział zebranie całego zespołu pracującego nad sprawą Nikifor/Wais. Inspektor przyszedł z przydupasami, zajął miejsce na szczycie stołu, usiadł i przez dłuższy czas czytał akta czekając, aż cały zespół się zbierze, przestanie plotkować i zacznie wyczekiwać z niecierpliwością jego słów.

Powie, że podał się do dymisji? Odejdzie na emeryturę? Do prywatnego biznesu? Tego należało się spodziewać?

Nie, Mona, nie licz na to. Tacy twardziele, takie wyrachowane sukinsyny tak szybko się nie poddają.

Gdy napotkała wzrok Diuka, wiedziała, że nie nastąpi żadne wyznanie winy. Książę był świeży, wypoczęty, gotów do wojny. Ani śladu rozczarowania obrotem spraw.

Jakby wszystko to go nie zaskoczyło.

Był przygotowany? Przewidział jej ruchy?

Może wręcz się ucieszył?

Po raz pierwszy poczuła prawdziwy niepokój.

– Jak wiecie – zaczął Diuk pewnym głosem, – okoliczności zmusiły nas do zmiany planów. W związku ze złamaniem tajemnicy śledztwa uzgodniłem z górą wydzielenie tego wątku do oddzielnego postępowania. Nie wiem, kto był informatorem mediów, ale jeśli jest na tej sali, powinien zacząć się bać.

Chyba nigdy wcześniej Mona nie gapiła się w podłogę z taką intensywnością i poczuciem winy. Chyba nigdy wcześniej nie płonęły jej tak policzki. Nie było sensu szukać u innych wsparcia, bo mogła znaleźć jedynie potępienie. Zresztą nie знаła tu prawie nikogo. Żaden członek jej warszawskiego zespołu nie dotarł na zebranie. Nie było Maxa, Prygła, sędziego, agentów. Nikogo. Nawet Iwony. Jedynie Gebert, który pewnie też stanąłby w tej sytuacji po stronie Księcia.

Zostałaś sama. Sama musisz sobie poradzić.

– W konsekwencji – podjął Diuk, – zdecydowaliśmy o podzieleniu zespołu. Ja przejmuję sprawę Nikifora, podinspektor Monika Lankosz...

Ledwie słyszała, jak Książę właśnie przekazywał jej kolejne decyzje. Miała z Gebertem wziąć się porządnie do roboty, żeby w końcu złapać porywaczy. I nie wolno jej było w najmniejszym stopniu wtrącać się do Nikifora. Tak się kończy wkraczanie na pole zarezerwowane dla książąt.

W końcu uniosła głowę i spojrzała w oczy Diukowi. Zimne, przebiegłe, triumfujące. W kątku ust dostrzegła cień uśmiechu. Myślałaś, że mnie dorwiesz? Że dam się tak wpuścić, dziecino? Nie wiesz z kim tańczysz. A to jeszcze nie koniec.

Zrozumiała przekaz.

Diuk był zwycięzcą.

Patrzyli na siebie i wtedy poczuła wibracje telefonu. Wstała, wyszła pospiesznie, wyciągnęła aparat i spojrzała na wyświetlacz. Numer zastrzeżony. Dawno takiego nie miała. Zastrzeżony, tajemniczy, niosący złą, poniedziałkową wiadomość wprost z najbardziej rozgrzanego pieca w piekle. Taki był.

Prawo do komentarza i obrony.

Instynktownie czuła, że nie powinna odbierać tego telefonu. A jednak nacisnęła zieloną słuchawkę.

*

Niesamowite. Jak oni mogli się tak pomylić?

Danielowi od początku nie chciało się wierzyć w winę tych dzieciaków. Kiedy już doszło do aresztowań, przyjął, że widocznie policja ma mocniejsze dowody, niż mu powiedziano. Starał się sam siebie przekonać, wmówić winę

Radka, innych dzieciaków. Uznał, że nawet jeśli w kilku przypadkach śledczy się pomylili, to generalnie są na właściwym tropie. Mają w końcu tych dwóch bandytów. Zabójcę i pomocnika. Recydywistów, którzy już wcześniej maczali paluchy w porwaniach. Może ktoś z otoczenia Elizy im pomagał. Może nieświadomie brał udział w grze, a może działał celowo. Dla zysku, z zemsty, z miłości. Jest tyle motywów... Przycisną dzieciaków, wyłapią tych, którzy okazali się zdrajcami.

Tak myślał.

A teraz...

Poczuł się jak sztubak wystawiony do wiatru. Zwabiony obietnicami, a potem brutalnie oszukany. Policjanci mieli być fachowcami, a nie szczeniakami w krótkich majtkach. Gdy adwokat rano poinformował, że wypuszczono wszystkich zatrzymanych, nie chciał wierzyć.

– Tych dwóch też?

– Tak.

– Jak to możliwe? Przecież to przestępcy?

Wzruszenie ramion.

– Jest jeszcze coś...

– Tak?

– To jeszcze nie koniec ataków medialnych na policję. Będą kolejne artykuły. Pewnie dziennikarze zwrócą się też do pana. Będą namawiać, żeby pan dołączył się do tej... nagonki.

– Nie zrobię tego.

Adwokat chrząknął. Jego twarz przybrała jakąś taką nienaturalną barwę.

– Są ludzie... w policji... którym może byłoby to na rękę – szepnął.

Daniel zmarszczył brwi. Znów jakaś intryga?

– Ktoś do mnie zadzwonił dziś rano – mecenas wyjął notes i pozostałe informacje przekazał pisząc na karkach.

Oferta była dość prosta: w zamian za zeznania przeciwko nieudacznikom z policji obietnica złapania prawdziwych porywaczy i odpowiedniego zajęcia się nimi. Dostaną, na co zasłużyli. On musi tylko pomóc im oczyścić sytuację, ułatwić pozbycie się nieudaczników blokujących właściwe działania.

Cholera, brzmiało to tak znajomo. Latos. Chrzaniony Latos dostał kosza, to teraz próbuje przez papugę?

– Co mam zeznać? – zapytał, choć dobrze wiedział, o kogo im chodzi.

Mona. To ona była celem.

Adwokat napisał ostatnie zdanie, schował długopis, wyjął zapalniczkę i spalił wszystkie zapisane kartki.

– Co pan na to? – zapytał.

– Nie – odparł Daniel. – Nie będzie żadnych zeznań. Nie udzielę też żadnych

komentarzy prasie.

Adwokat skinął głową. Szczwany lis szybko się dostosowywał do oczekiwań klienta. Zawsze lepiej mieć dokładnie takie samo zdanie. Porozumienia są finansowo wymierne. Różnice zdań bywają zaś kosztowne. Można zerwać tę cienką, a jakże intratną nić.

– To właśnie chciałem doradzić. Lepiej się nie mieszać w ich rozgrywki.

To po co pisałeś te głupoty?

– Jestem tylko pośrednikiem – dodał mecenas, jakby wypadało odpowiedzieć na niewyartykułowane pytanie.

*

Boże, znów to samo.

On ciągle tylko o nich.

I o pieniądzach.

Oszaleje.

Jeśli to się nie skończy, oszaleje.

Niech się skończy.

Sierra.

Olmeca.

Bacardi.

Tanqueray.

*

Jest impreza. Z pięćdziesięcioma tysiącami w kieszeni człowiek bawi się zupełnie inaczej, niż jak jest wyzerowany. A Brązowy często bywał wyzerowany. Co innego Niebieski. On umiał jakoś to wszystko zagospodarować. No ale tak już jest. Jedni mają łeb na karku, drudzy mięśnie, trzeci wielkie kutasy. Tylko dlaczego Niebieski miał wszystko?

Brązowy z zazdrością patrzył jak wokół Niebieskiego kręcą się te wszystkie dziewczyny, jak każda przechodząca laska łypie na niego okiem, daje znać, że jest zainteresowana, chętna. Jeśli tylko zechce.

Siedzieli przy barze. Godzinę temu skończyła się sesja rady miejskiej, na którą przyszli „zawodowo”, poobserwować jednego gościa. Brązowy nie wiedział dokładnie kim jest. Polityk, biznesmen. Jakiś lokalny notabl. Na pewno dobrze ułożony, bo niemal wszyscy się z nim witali, wszyscy znali. Szczególnie kobiety. Teraz jednak, w barze, każda z nich poszłaby z Niebieskim, jeśli tylko ten by

zechciał.

Brażowy pomyślał, że to nie jest sprawiedliwe.

Polityk pożegnał się z grupą garniturową i wyszedł.

Niebieski klepnął Brażowego w ramię.

– Idziemy, mamy robotę.

Brażowy nie był pewien, czy dobrze robią. Czy nie minęło zbyt mało czasu od poprzedniej roboty, by brać się za następną. Szczególnie teraz, gdy media trąbiły o tej pomyłce śledczych.

A tak się ucieszyli, gdy ich plan wrobienia w porwanie innych przyniósł nadzwyczajne skutki. Zatrzymano nie tylko Nikifora i Iwana, ale też jakichś małolatów, czego przecież nie planowali. Gdy bardziej się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że Niebieski jest geniuszem. Geniusz zbrodni. Gdy on, Brażowy, próbował sobie prześledzić te wszystkie zależności, plany, powiązania, strategie, zaczęła go boleć głowa. Nie był dobry do myślenia.

Lepiej skupić się na smakowaniu przyjemności.

A tej miał aż nadto z powodu Iwana. Głupi chuj zadarł z nim, to ma teraz za swoje. Siedzi za niewinność. Wpierdolił dostał od cebeesów na pewno. Raz przy zatrzymaniu, drugi przy przesłuchaniu. Posiedzi trzy miechy, zmądrzeje, bo przecież jego cebeesie nie puszcza, jak studentów. Może zacznie sypać, sam sobie założy stryczek na głowę u ludzi z miasta. Nie raz tak bywało, że zamknięci za niewinność pchali się dalej w łapy psów, szekali na innych, pomawiali, konfabulowali, byle tylko posmakować wolności. Iwan nie był inny. Nie lubił krat. Nie lubił dostawać za innych.

– Bardzo. Ci. Kurwa. Dobrze – mruknął Brażowy.

– Co? – Niebieski obejrzał się i kazał mu milczeć. Szli teraz całkiem blisko polityka.

Brażowy wrócił do swojego świata, do słodkich myśli.

Jedno co złe i dobre jednocześnie, to że nawet pewnie Iwanowi nie przyjdzie do głowy, że to wszystko przez Brażowego. Dobrze, bo Brażowy pozostanie poza podejrzeniem. Złe, bo jednak zemsta znacznie lepiej smakuje, gdy jej obiekt wie: co, kto i dlaczego.

„Zawsze możesz mu powiedzieć” – Śmiał się Niebieski, gdy o tym kiedyś dyskutowali.

Sam jednak odmówił informacji, dlaczego zrobił Nikifora.

Gdy Brażowy dopytywał, tamten milczał. Czasem zaprzeczał, stąd Brażowy dowiedział się, że Nikifor nie przeleciał mu żony, nie pobił, nawet się nie znali.

„Więc dlaczego?”

„Słodka tajemnica.”

Tak, słodka. Niebieski lubił te swoje słodkie tajemnice.

Lubił trzymać go w niepewności, jak z tym, kto będzie nowym Różowym,

bo stary już jest pogrzebany, już się wycofał, nie chce o nich słyszeć.

Niebieski go wycykał. Nic nie dostał kasy.

Brązowemu przynajmniej coś skapnęło. Niewiele, bo rzekomo były jakieś problemy. Fałszywki dostali czy coś. No ale coś, to zawsze lepiej niż nic.

Polityk zatrzymał się na parkingu, rozejrzał, chwilę na nich patrzył, a potem wsiadł do swojej limuzyny. Z tej odległości Brązowy nie zobaczył dokładnie, co to za marka. Nie był pewien, czy to bentley czy rols. Na pewno coś kurewsko drogiego.

Politycy to chuje i złodzieje – pomyślał i zaraz sobie przypomniał, że w tym przypadku miało być inaczej. Niebieski mu tłumaczył, że ten wał podobno uczciwie zarobił na produkcji jakiegoś szajsu. Niech mu tam, ale po co się tak afiszuje kasą i samochodami? On, Brązowy, by tak nie robił, nawet jakby miał.

Na pewno? Co by zatem robił?

Polityk odjechał.

Wsiedli do niepozornej hondy i ruszyli za limuzyną.

*

Planowała urwać się po południu, wejść do przebieralni jakiegoś sklepu, wysłać Majkela po coś do picia i zniknąć. Ale poprzedniego dnia ojciec przeprowadził z ochroniarzem dłuższą rozmowę, jakby wyczuł jej plan i teraz Majkel nie chciał słyszeć o spuszczeniu jej z oka. Gdy wchodziła do sklepu, nie odstępował jej na krok. W przebieralni niemal opierał się o drzwiczki. W salonie kosmetycznym usiadł obok z gazetą i nic sobie nie robił z jej rad.

– No idź się przejdź. Ja tu będę dwie godziny.

– Posiedzę.

– Mamy babskie pogaduchy.

– Nie słucham.

– Majkel!

Założył słuchawki na uszy, włączył *Whole Lotta Love* i już jej nie słyszał.

Kosmetyczka wprowadzona wcześniej w temat wzruszyła tylko ramionami i przez dwie godziny robiła to, czego wcale Eliza nie potrzebowała.

Późnym popołudniem zadzwoniła do kilku z zatrzymanych i teraz wypuszczonych znajomych, ale nie chcieli z nią rozmawiać. Jedynie Radek odebrał.

– Nie dziw się. Uważają, że ich wrobiłaś.

– Ja?

– Że to przez twoje zeznania.

– Nie zeznałam niczego takiego.

- Przykro mi.
- Ale przecież ja nic...
- Wiem, szukają na siłę przyczyny. Przejdzie im.

Nie wiedziała, czy chciała, żeby przechodziło. Przyjaciele nie obrażają się bez wysłuchania obwinianej za coś strony. A oni zwyczajnie uznali, że to jej wina i koniec.

- No tak.
- Mogę przyjechać?

Tylko Radek jej został. Tylko Radek jej wierzył i nie miał żadnych pretensji, co najwyżej do glin. Chciał z nią być, opiekować się nią. Pytanie czy ona chciała.

- Nie dziś.
- Eliza.
- Muszę pobyć sama.

Odsunęła telefon od ucha i zerwała połączenie. Chciała rzucić aparatem, ale wtedy znów zadzwonił. Na ekranie pojawiła się ikonka STAJNIA. Zerknęła na kalendarz. Już kilkanaście dni nie była u swojego ukochanego Devila. Zrozumiała w tej sytuacji, ale być może w stajni ktoś nie wiedział, co się stało i dlatego dzwonił. Nie miała ochoty teraz tego tłumaczyć. Jednak wtedy wpadła na pomysł, żeby wykorzystać sytuację do wymknięcia się Majkelowi i odebrała. Spiskowy uśmiech szybko spłynął jej z ust.

- Jak to chory? – Zdażyła szepnąć.
- Potem zemdląca.

*

Biernat czekał na niego przed niewielką galerią handlową. Odwiedzał sklep z sentymentu, bo przecież nie miał w tym biznesie już żadnych udziałów. Ale przyznawał, że często tam bywał. Żegnał się właśnie z jakimś młodym, przystojnym facetem, który potrzasał mocno ramieniem łysego starca, jakby mu za coś dziękował. No tak, pewnie kolejny darmozjad, któremu Biernat dał zarobić lub wspomógł datkiem na piwo, choć nie musiał. Gdy Daniel zaparkował, jubiler był już sam. Podszedł do auta, wgramolił się do środka i usiadł na miejscu dla pasażera.

– Nie musisz ze mną jechać – powiedział Daniel, choć bardzo chciał mieć kogoś obok siebie. Był mocno zdenerwowany, roztrzęsiony, na granicy rozsypki. Myślał, że najgorsza część koszmaru już się skończyła. Źle myślał.

- Nie muszę, ale chcę. Jedźmy!

Po drodze dwa razy odrzucił telefon od ojca.

Nie teraz, tato. Za drugim razem przed naciśnięciem przycisku odrzucenia,

spojrzał na Biernata i ze smutkiem skonstatował, że to dość symboliczna sytuacja. Wybrał Biernata, w nim widział wsparcie i pomoc, a nie w ojcu. Ojciec został odstawiony na boczny tor. Już dawno.

W stajni byli pół godziny później.

Koń leżał przykryty dwoma derkami. Nie oddychał. Obok krzątało się parę osób z obsługi i weterynarz. Eliza siedziała przy padoku, odwrócona do nich plecami. Kilka kroków dalej Majkel opierał swoją toporną, ogromną sylwetkę o drzewo.

Daniel zawahał się, czy powinien najpierw pójść do córki czy do weterynarza. W końcu zdecydował się na to pierwsze, zostawiając Biernata przy koniu.

Usiadł koło młodej i objął ją ramieniem.

– Kto robi takie rzeczy, tato?

Nie odpowiedział.

– Jak można być takim draniem? Jak można mordować niewinne zwierzęta? Już wolałabym, żeby zabili mnie...

Nie potrafił znaleźć właściwych słów, bo przecież nic by jej nie pocieszyło. Kochała tego konia. Był dla niej jak brat. Co można powiedzieć w takiej chwili? Że kupi jej nowego? Że jej to wynagrodzi? Że nic się nie stało? Że to nic nie znaczy? Wszystko to byłyby kłamstwa. Nic nie zastąpi jej Devila, nic nie ukoji smutku. Stało się. Bardzo dużo się stało.

– Nie daruj im tato.

Ścisnął ją po raz ostatni i wrócił do Biernata. Przyjaciel akurat skończył rozmawiać z weterynarzem, który uklonił się i przywitał.

– Mówi, że objawy są podobne do kolki, ale wskazuje raczej na zatrucie – powiedział Jubiler.

– Wziąłem próbki do analizy – uzupełnił weterynarz.

– Czy to mogło być celowe działanie?

Weterynarz spojrzał w kierunku obsługi. Szefowa stajni zapowiedziała przyjazd, ale jeszcze jej nie było. Stajenni zachowywali się wyjątkowo nerwowo. Znali wybuchowość Waisa.

– Zapewniają...

– Nie podejrzewam ich – przerwał Daniel i zapytał wprost: – Czy pana zdaniem ktoś otruił mojego konia?

– To będę wiedział po analizie...

Mina wskazywała na coś innego. Miał już wyrobioną opinię, tylko z ostrożności nie chciał jej wyrazić.

– Nie pytam do protokołu – nacisnął.

– Hm. Nie jest to wykluczone.

Weterynarz pożegnał się i poszedł do stojącego na parkingu jeepa. Daniel

poczekał aż odjedzie i nie patrząc na Biernata zapytał:

– Co radzisz?

Biernat przeciągnął się ostentacyjnie, a potem powoli wycedził to, co powiedział przy okazji ich ostatniego spotkania.

Powinien już dawno wysłać im wiadomość.

Rozdział 27

[data: brak wyboru

Naprawdę chciałam przestać. Byłam na dobrej drodze. Ale najpierw kazał mi znów opowiadać o tym, robić mapki, szukać związków, a potem zamordowali Devila. Uwierzysz? Ja myślałam, że to już koniec koszmaru, ale Daniello musiał poszukać dalszego ciągu. No i znalazł. Nie wiem co mam robić. Pomóż. Co robić, co? Może uciec, żeby wreszcie zrozumieli? Tylko gdzie?]

Gruba wciąż się trzymała. Godne podziwu – pomyślała Iwona. Dziewięć na dziesięć kobiet w jej sytuacji dawno by odpadło, uznało porażkę, załamało się. A Gruba przyjmowała każdy kolejny cios jakby nigdy nic. Jakby wciąż wierzyła, że los potrafi zrobić zwrotkę.

Niedługo stracisz złudzenia.

Może już jutro. Bo prawdopodobnie jutro w gazecie pójdzie kolejny tekst o błędach Grubej Mony. Słynnej na cały kraj policjantki, pogromczynie wszelkich gadzin, kandydatki do najwyższych policyjnych stanowisk, która okazała się zwykłym nieudacznikiem. Dziennikarz dobrze wykona swoje zadanie. Opisze ją na tyle negatywnie i ironicznie, że komendantowi głównemu nie pozostanie nic innego, jak zaproponować dziewczynie emeryturę.

Ciesz się, jeśli skończy się tylko tym, bo przy innych wiatrach możesz pójść nawet siedzieć za ujawnienie tajemnicy śledztwa.

Myślałaś, że to się uda? Że Diuk pozwoli się tak zabić głupią gazetą?

On ma takie układy w mediach, że nawet gdyby nie kumplował się z tym dziennikarzem, to by przyblokował niekorzystny dla siebie tekst wyżej. Weszłaś na poziom zarezerwowany dla prawdziwych graczy i dostałaś strzał prosto w szczękę. Idealnie w punkt. Jak będziesz dalej podskakiwać, oberwiesz mocniej. Przystaniesz się miotać, walczyć, pójdiesz po rozum do głowy i padniesz przed Księciem na kolana? Wtedy Diuk zatuszuje temat, bo roztrząsanie policyjnych śmieci nikomu nie służy. Jak będziesz grzeczna, możesz jeszcze zyskać.

Komanda Diuka, każdy do niej chce. Nawet nie wiesz, jaka to przyjemność. Większa niż z Dieslem, wiem coś o tym.

Jeśli więc tak wybierzesz...

...może nawet zostaniemy prawdziwymi przyjaciółkami.

Mogłybyśmy, bo przecież cię polubiłam.

Choć, patrząc realnie na te twoje morale, szanse na to są dużo mniejsze.

Emerytura, kochana, to cię czeka. Pójdiesz na zasłużony odpoczynek. Robotnicy muszą zapierdalać po czterdzięci – pięćdziesiąt lat, a ty sobie zgarniesz emeryturkę po zaledwie piętnastoletniej, całkiem przyjemnej służbie.

Gruba Mona odejdzie w niepamięć.

Pozostanie po niej mały ślad w historii.

Gruba Mona.

Iwona wciąż w myślach tak ją nazywała, choć Mona dziś była prawie tak chuda jak ona. Porównanie jej zdjęć sprzed paru lat i dziś robiło wrażenie. Nawet na forach policyjnych je zestawiano. Pewnie dlatego, wszędzie gdzie się pojawiała, wciąż robiono jej żarciki, specjalnie zamawiano obfite posiłki i stopy kremowych ciast. Niby przypadkiem.

Już ciągle będą cię kusić.

Tak jak mnie inne rzeczy.

Iwona mogła jeść do woli, nie musiała się bronić przed bajaderkami i kanapeczkami. Ale powinna trzymać na smyczy własne demony. Pewnie znacznie groźniejsze niż szefowej.

Miała problem. O wielu nazwach. Od prostej maryśki i amfy, przez różne chemiczne syfy z ekstazą i tlenkiem azotu na czele, aż do białej królowej wszystkich cesarzowych. Potrafiła w miarę go kontrolować, ale patrząc w lustro trafnie diagnozowała. Balansuje na cienkiej granicy. Przekroczy ją i będzie koniec. Droga tylko w dół. W otchłań. Tylko jedna osoba na świecie mogła ją zawrócić z tej drogi.

Mona odebrała dwa kolejne telefony. Długo rozmawiała. Starła się chyba komuś coś tłumaczyć. Podnosiła głos, jednak stała na tyle daleko lub w takim miejscu, że Iwona nie była w stanie niczego podsłuchać. Ale przecież wiedziała, co jest grane.

Pismaki znów dzwonią, Gruba się tłumaczy.

Pierwszy tekst był w miarę łagodny, wymieniał tylko jej nazwisko, błędy, cytował dwa zdania tłumaczenia. W drugim było trochę mocniej. Ale to nie koniec. Pismaki złapały trop, ktoś im dokładał informacji, wkrótce napiszą duży reportaż pełen szczegółów.

Wykorzystasz jeszcze wielokrotnie prawo do obrony, choć procesowo może lepiej milczeć.

Wyrok zapadł już w poniedziałek. We wtorek padł drugi strzał. Teraz pora na ostatni nokdaun. Krótkie liczenie i charakterystyczny gest skrzyżowanych ramion sędziego. Koniec. KO. Trzecia runda. Trzy zero dla Diuka.

Żegnaj laleczko.

Bezwzględny, ostateczny wyrok. Na pierwszej stronie najpopularniejszej gazety w kraju.

Mona skończyła rozmawiać i poszła do konferencyjnej. Zamknęła się z aktami. Iwona dwa razy przeszła korytarzem starając się dojrzeć przez niewielkie okienko, na czym jest skupiona. Bez powodzenia. W końcu, mimo wszystkich zakazów, jakie otrzymała, zapukała do drzwi.

– Mogę?

– Pewnie.

Miała trzymać się dziś z daleka. Miała sobie odpuścić. A jednak nie potrafiła.

– Co robisz?

– Przycinam puzzle.

– Żeby pasowały?

– Kto tam mówił, że jeśli dobrze przytnę...?

– Sztuka jest sztuka?

– Właśnie.

– Mogę pomóc?

Mona wzruszyła ramionami. Czemu nie?

Całe popołudnie spędziły przeglądając dokumenty i segregując informacje. Iwona nie mogła wyjść z podziwu. Gruba naprawdę dawała radę. Przez chwilę zaniepokoiła się, że może jednak Diuk czegoś nie przewidział, popełnił jakiś błąd, nie dopiął tematu, zlekceważył i Gruba jakimś cudem się wybroniła. Ciekawość rosła.

Kilkakrotnie próbowała zadać pytanie o gazety, ale Mona zręcznie unikała odpowiedzi. Na każdą zaczepkę skręcała w kierunku logowań, skradzionych samochodów i pominiętych w śledztwie wątków.

W pewnej chwili Iwona nie wytrzymała i szepnęła:

– Słuchaj, chcę powiedzieć, że ci dziennikarze to świnię. Jeśli mogę w czymś...

Mona pomachała gwałtownie ręką, zwracając jej uwagę na jeden z dokumentów.

– Spójrz tu, nikt tego nie zauważył – szepnęła.

– Czego?

– Goście, którzy ukradli tego jeepa, zastawili w domu właściciela pułapkę. Przystawili pod schody fotel.

O czym ona mówiła, do licha? Chwilę trwało, zanim Iwona zrozumiała, że mówi o jeepie użytym do porwania.

– Co z tego?

– Gdyby właściciel zbiegał z góry po ciemku mógłby się potknąć o fotel albo musiałby poświęcić czas na jego przesunięcie. Mało tego. Na końcu maja i początku czerwca próbowano ukraść trzy inne samochody terenowe w okolicy. Za każdym razem ta sama metoda. Włamanie do domu, próba kradzieży kluczyków,

zastawienie na schodach „pułapki”. Nic ci to nie mówi? Tak samo działali porywacze. Rozumiesz? Blokowali drogę w lesie belkami. Takie swoiste modus operandi. To ci złodzieje. Złodzieje samochodów.

I co z tego? Dziewczyno, za kilka godzin przestanie to być istotne. Nawet jeśli ich złapiesz, nie wybronisz się. Po co szukać czegoś, co już nie ma znaczenia?

– Przeanalizowałam akta tych włamań i prób kradzieży. Znalazłam powiązanie z serią podobnych przestępstw w Niemczech. Taką samą metodę stosowali kiedyś w Bielefield polscy złodzieje.

Uff...

– Ciekawe.

– Nawet ich złapano.

– O! No i?

– Dwóch już nie żyje, a trzeci... siedzi w pudle. W Niemczech.

– Więc nie pasuje – Iwona dalej grała w grę, choć nie bardzo ją to interesowało.

– Pasuje. Bo... ten złodziej wcale nie siedzi. Powinien siedzieć, ale nie siedzi. Nie zgłosił się do odsiadki. Ma wymierzoną karę dwóch lat i od tego czasu jej unika. I wiesz co, gość jest z Gdańska. Nazywa się...

Iwona poczuła lekki zawrót głowy i nie dosłyszała nazwiska. Cały czas mała ją to obchodziło, nie sądziła, że Mona będzie w stanie się obronić. Teraz jednak pomyślała, że nagły sukces mógłby jej trochę pomóc. A to dla nich raczej niedobrze. Dla niej i dla Diuka.

– To jeszcze nie wszystko. Pamiętasz krótkofalówkę, którą Wais dostał od porywaczy?

– Tak – skłamała Iwona. Wcale o niej nie pamiętała.

– Porywacze powinni mu ją zabrać, gdy przekazał okup. Nie zrobili tego. Myślałam, że to może kolejna próba wrobienia kogoś w to przestępstwo, dlatego poprosiłam przyjaciela o ostrożne zbadanie dowodu. Jednak chyba się myliłam.

– Dlaczego?

– Krótkofalówkę kupiono przez Allegro na konto „ala888”. Co prawda *ala* nie podał żadnych prawdziwych danych, ale Artysta szybko znalazł mi właściciela konta. Ala nazywa się Olga Stablewska.

– Jedna ze studentek? Przyjaciółka Waisowej?

– Nie, prawdopodobnie zupełnie nie znały się z Waisową. Ale w tej sytuacji to zdecydowanie lepiej. Olga jest... pracownicą banku, w którym konto ma również Wais.

W mordę, rzeczywiście ich ma!

Co robić, Diuk? Myśl, myśl, myśl – przywoływała się do porządku Iwona.

Mona jednak była dobra. Bardzo dobra. A to źle. Bardzo źle. Być może będzie potrzeba czegoś więcej niż medialna nagonka, by ją wykończyć.

– Niesamowite – bąknęła.

– To jeszcze nie wszystko. Olga Stablewska ma narzeczonego. I zgadnij kim jest ten chłopak?

Iwona myślała o czymś zupełnie innym. Pokręciła więc tylko głową, że nie ma pojęcia.

Mona cicho wymieniła nazwisko. Powtórzyła.

Iwona próbowała odgonić inne myśli, by właściwie zareagować.

Oszukać, że ją to obchodzi.

Bez specjalnego powodzenia.

Wtedy Mona dodała:

– To ten sam złodziej samochodów, który ma się zgłosić na odsiadkę w Niemczech.

*

Odrąbany koński łeb patrzył na nich z wnętrza wielkiego, kartonowego pudła wypełnionego kilkoma warstwami grubej folii. Sam w sobie był ogromny i robił wrażenie. A jeszcze te oczy, jak dwa potężne klejnoty, wciąż wydawały się żywe, emitowały wraz z odbiciami ich zdumionych twarzy jakieś przesłanie.

Podobno nie wolno patrzeć w końskie oczy.

Ktoś tak powiedział Hausbergerowi.

Jeśli w nie patrzysz, koń nigdy ci nie ulegnie.

Zobaczy w nich miłość lub uległość.

Słabość.

Hausberger powstrzymał odruch wymiotny, dotknął wnętrza pudła, które wyglądało jak pomalowane jakąś farbą i wtedy zrozumiał, że wszędzie jest krew. Końska krew. Poczul przejmujący smród i ponownie zrobiło mu się niedobrze. Odwrócił wzrok i zacisnął przegrody nosowe. Usta musiały odetchnąć mocniej.

– Twardy skurwysyn – mruknął jeden z partnerów.

– To naprawdę jego koń?

– Jego – przytaknął Hausberger, choć pewności nie miał. Ale skoro – jak mu doniesiono – ktoś otrul konia Waisa, nie trudno było domyślić się związku. Firma kurierska, która dostarczyła „paczkę” też była podejrzana. Jak można było to przewieźć z Gdańska i nie zauważyć, że śmierdzi? Uwierzyć w idiotyczny opis, że to od weterynarza do laboratorium na badania?

– Więc co to ma znaczyć?

– Chyba nam grozi.

Nie. Wcale nie. Hausberger wiedział już, że został wystrychnięty na dutka. Rozumiał też, że nie może o tym powiedzieć współnikom. Musiał to sam załatwić.

Poprawił się na krześle i szepnął cicho:

– Zajmę się tym.

*

Wracały do hotelu spacerkiem. Był piękny wieczór. Mijali ich weseli, roznegliżowani ludzie zmierzający nad morze lub wracający z plaży. Mona starała się sprawiać wrażenie stosunkowo spokojnej. Rozkleić powinna się dopiero za godzinę. Ciekawe, czy Iwona łyknie całą tę maskaradę. Nie była głupia. Mogła spodziewać się podstępu. Z drugiej strony koks na pewno nieźle poharatał jej banię, toksyczna miłość też pewnie nie pomogła.

Cholera jasna, że też od razu się nie zorientowałam, co z ciebie za ziółko, pomyślała Mona.

– Nie powinniśmy zlecić obserwacji tej Olgi i złodzieja? – Zapytała agentka.

Dziwne, że pytasz dopiero teraz, odparła w myślach Mona. Ale dopiero odpowiedzią się zdziwisz.

– Już to zrobiłam – mruknęła, jakby nigdy nic.

Iwona zatrzymała się zaskoczona.

– Tak? Nie wiedziałam? Gebert nic nie mówił...

– Bo nic nie wie – skłamała Mona.

– Więc... kto będzie za nimi łąził?

Raz, dwa, trzy – policzyła, a potem rzuciła możliwie najogólniej:

– Diesel.

– Diesel?

– Zdecydowałam, że włączę go do zespołu – Mona nie dodała, że poza Dieslem, za zgodą głównego, włączyła do sprawy całą grupę przykrywkowców od Diesla. Pięciu ludzi. – Nie masz nic przeciwko?

Iwona miała duży problem by ukryć, jakie wywarła na niej wrażenie.

– Nie, skąd. Nie. Myślałam tylko, że Diesel chodzi ostatnio w narkotykach.

– Bo chodzi. Ale tu wyjątkowo pomoże.

– Rozumiem.

Nieprawda, nic nie rozumiesz. I dobrze.

– Mam powód – wyznała.

– Tak?

Ciekawość. Pierwszy stopień do piekła. Nie wiesz o tym?

Mona zatrzymała się przed wejściem do hotelu, poufale przytrzymała Iwonę za ramię i – siląc się, by zachować jeden z tych swoich zboliałych, oszukańczych wyrazów twarzy – powiedziała:

– Możemy pogadać?

Nadzieja. Drugi stopień do piekła. Matka głupców. Właśnie wchodzisz na drogę, z której nie będzie już powrotu.

– Pewnie. Pewnie, że tak.

– Muszę ci powiedzieć coś ważnego.

W pokoju Mona szybko podeszła do lodówki i wyjęła dzin.

– Może być?

– Masz tonik?

– Nawet limonkę.

Zrobiła dwa słabe drinki. Swojego wypić niemal od razu do końca. Dołała trochę dzinu. Wrzuciła dodatkową limonkę. Włożyła słomki do szklanek.

– O co chodzi? – Iwona nie mogła się już doczekać.

– Mamy kreta w zespole – wypaliła Mona.

– Kreta? – teraz Iwona musiała dobrze zagrać. Wyszło przeciętnie. Możesz być Juliett z ciała, ale grasz jak syntezyzator. Mechanicznie. Zdecydowanie zbyt mechanicznie. – No tak, ktoś przecież donosi pismakom.

Dobrze wiesz, że to ja doniosłam.

– Nie. Mamy jeszcze jednego kreta.

Patrzyły sobie teraz w oczy. Dwie suki. Dwie drapieżne, wredne oszustki. Kameleony. Iwona pierwsza zrejterowała. Uciekła spojrzeniem najpierw w szklankę, potem w podłogę. Wiele byś pewnie dała za ścieżkę koki albo fifikę z crackiem.

– Prygiel – szepnęła Mona, Iwona omal nie podskoczyła na dźwięk nazwiska prokuratora. Tymczasem Mona kontynuowała grę: – Prygiel jest kretem. Wszedł do zespołu, żeby znaleźć na mnie haka i pozyskać do rozpracowania innego policjanta – łapówkarza. Zgadnij kogo!

Nie musisz zgadywać, prawda? Dobrze wiesz, o kim mówię?

Iwona milczała. Zbladła. Mona wyobrażała sobie, co tamta może czuć.

Czuj suko, póki możesz.

– Diesla – zakończyła Mona poprzednią wypowiedź. – Prygiel od lat rozpracowuje Diesla. Twierdzi, że jest umoczony w dziesiątki afer korupcyjnych, a w *Teresę* to... nawet bardziej niż Diuk.

Tak, padło to święte dla ciebie słowo – dodała w myślach Mona. Diuk. Twój Diuk. Twój ukochany, piękny, wspaniały władca. Książę, który poprzez swoje znajomości w *abwerze* oddelegował cię do mojego zespołu, byś miała na mnie ciągle oko.

Iwona milczała. Całe szczęście, że nie szarżowała, nie dziwiła się, nie próbowała ściemniać.

W końcu zrozumiała, że udawanie nie ma sensu.

Mona dopiła drinka i zakończyła:

– Dlatego musimy zdjąć maski i ustalić dalsze kroki.

*

Toyota stała przed bramą, Latos obok. W samochodzie, za kółkiem Gebert. Latos machnął lizakiem kierując go na pobocze. Podszedł, kazał wysiąść i iść za nim. Otworzył tylne drzwi radiowozu. Daniel wsiadł z wahaniem.

– O co chodzi?

– Zabieramy cię na przejażdżkę.

Sięgnął do klamki, ale drzwi były już zablokowane.

– Chcę wysiąść.

– Spokojnie – syknął Gebert i ruszył. – Nic ci nie zrobimy.

Daniel pomyślał o koniu i piśmie do Wenecji. Może to przez to. Może poczuł się zbyt pewnie, zagrał za odważnie. Teraz będzie miał gliny przeciwko sobie już po całości. Wywiozą go gdzieś i zamordują. Napoją alkiem, powiedzą do gazet, że złapali pijanego kierowcę. Przetną kręgosłup, sfabrykują dowody, wszystko mogą. Cholera, ale był głupi. Ale dał się podpuścić.

– Panowie...

Nie słuchali, nie reagowali na protesty. Gdy wjechali w las, a potem skręcili w boczną, pełną dróżkę, Daniel poczuł ucisk w krtani. Gebert zwolnił. Dojechali do niewielkiej willi. Na podjeździe stały trzy inne samochody. Ulga? Mała.

– Wsiadka.

W środku czekał na nich jakiś wielki, umięśniony, wytatuowany bydlak. Dwóch innych mu podobnych omawiało coś szeptem przy komputerach ustawionych na kuchennym stole. Daniel nie słyszał, co mówią. Na monitorach dostrzegł jakieś obrazki z kamer przemysłowych lub monitoringu miejskiego. Nie widział dokładnie.

Rozejrzał się. Kuchnia była połączona ze sporym salonem. W salonie na ścianie wisiał duży telewizor, obok stał stary piec nie podłączony do komina. Tylko ozdoba albo czekał na ustawienie w odpowiednim miejscu. W bok przedsiónek prowadzący do drewnianych schodów na górę.

Wytatuowany typ chłodno przywitał się z Gebertem i uściskał serdecznie Latosa.

– Jak tam, młody? Szybko rośniesz.

– Staram się – odparł Latos unikając markowanego ciosu „wierzyciela”, człowieka, który podczas jednej z pierwszych akcji, w jakiej brał udział będąc jeszcze w prewencji, uratował mu życie.

Wytatuowany zmierzył wzrokiem Daniela i wyciągnął ramię na powitanie.

– Diesel – przedstawił się. – Ty jesteś Wais?

Daniel tylko skinął głową. Z wahaniem ujął dłoń.

– Idźcie tam – Diesel wskazał pokój koło salonu. – Sorry za warunki. To nie komenda.

Przeszli do wskazanego pokoju. Był w nim tylko stół i cztery krzesła. Ściany pomalowane na żółto. Żadnych ozdób, obrazków, zegara, krzyża.

– Chcesz kawę? Coś mocniejszego?

Daniel pokręcił przecząco głową. O co tu chodziło?

– Masz chociaż wodę – Latos podał mu półlitrową butelkę „Żywca”. – Siadaj!

Wyciągnął z kieszeni czarną skrzynkę i włączył przycisk.

– Tu też musisz zakłócać?

Latos uśmiechnął się szeroko.

– To nie zakłócacz, tylko dyktafon.

Daniel wciąż niczego nie rozumiał.

– Nagrywałeś mnie?

– Wybacz, takie życie – przyznał Latos. – Ale przecież nie powiedziałeś niczego, czego mógłbyś się wstydzić, prawda? Mogłeś, ale nie dałeś się wpuścić. W sumie... nie zawiedliśmy się na tobie.

No tak, pilnował się. Z Latosem i papugą. Nie dał się w nic zrobić. Nagranie Latosa nic nie znaczyło. Nie zawierało żadnego haka na niego. Wyraźnie odmówił udziału w intrygach. Jakie szczęście, że tak postąpił, że nie uległ pokusom.

– Więc... po co to wszystko?

Latos usiadł naprzeciwko, nachylił się. Patrzył mu odważnie prosto w oczy.

– Daniel, nie będę ściemniał. Nie jesteśmy tu w twoim, tylko w naszym interesie. Pewnie to nie będzie jakaś specjalnie miła dla obu stron rozmowa i pewnie po niej nie polubisz mnie bardziej, a może nawet znienawidzisz, ale... ona musi się odbyć. I pozostać między nami. Rozumiesz?

– Nagrywasz? – Zauważył Daniel wskazując czarną skrzynkę. Jak coś ma zostać pomiędzy nimi, jeśli jest nagrywane?

– Słuszna uwaga – Latos wyłączył nagrywanie. Przynajmniej nacisnął przycisk. Skrzynka pozostawała na stole. Nie wydawała żadnych dźwięków. Nie świeciła.

– O co chodzi?

– Zauważyłeś pewnie, że mocno się u nas kotłuje? Mona już nie jest szefową zespołu, nadzór całkowicie przejął Diuk.

– Co mi do tego?

– Wiele. Przecież zależy ci na ujęciu i skazaniu porywaczy, prawda?

– No... tak – skrzywił się, a potem syknął złośliwie nawiązując do publikacji o pomyłkach: – Efekty ma takie same, czyli żadne.

– Złapiemy ich. Wkrótce – Latos jakby miał na końcu języka coś więcej, jednak nie powiedział tego. – Ale... potem trafią do Księcia, a on... Diuk nie

będzie się z tobą patyczkował. To tak naprawdę tylko w połowie glina. W drugiej połowie polityk.

– Cyniczny, bezwzględny, dyplomowany – dodał Gebert. – Jest twarzą całej gromady stojących za nim podobnych polityków i układowczyków. Mówią, że ma zostać ministrem...

– Słyszałem. Wciąż nie wiem...

– On i jego poplecznicy nie są grzecznymi dziećmi – przerwał Gebert. – Jeśli będzie mu potrzebne twoje zeznanie przeciwko Monie, pominię wszelkie podchody, po prostu przystawi ci kławkę do łba i każe powiedzieć, co masz powiedzieć.

Daniel zastanawiał się, czy powinien coś odpowiadać.

– Po co miałby wrabiać Monę? – Zapytał.

– Mają na pieńku. Mona ma na niego haka, Diuk potrzebuje haka na nią. Ty jesteś najbliższy. Ciebie najłatwiej podejść, poprosić lub zmusić do fałszywych oskarżeń. Dlatego do ciebie przyjdą. Wcześniej czy później przyjdą.

– Już byli – mruknął Wais.

Spojrzeli jeden na drugiego.

– Przez papugę?

Skinął tylko głową.

– Widzisz. A to było pierwsze podejście. Drugie będzie bardziej wprost, choć też pewnie w białych rękawiczkach. Trzecie... cóż, jak mówiłem. Jak już ich złapiemy, przyjdzie pora na odkrycie kart i wyjęcie z rękawa dzokerów. A jak odmówisz, ktoś przystawi ci spluwę do łba i powie jak w twojej ulubionej książce: albo na tym papierze znajdzie się twój podpis albo mózg.

Daniel poczuł zimny dreszcz.

– Jesteście policją nie mafią – warknął.

– Jesteś pewien? – Gebert uśmiechnął się pod nosem.

– Nazywaj sobie nas jak chcesz. Musisz jednak wiedzieć, że my mamy to – Latos wskazał dyktafon. – Nagranie, na którym mówisz prawdę. I niech tak zostanie. Nie wchodź w żadne układy, nie rób niczego dla zemsty, nie szukaj dodatkowych szans i... nie daj się zastraszyć.

A to niby co za rozmowa?

– A co... jeśli przystawią mi tę spluwę?

Gebert wzruszył ramionami, jakby go to nie obchodziło.

– Nie pozwól na to. Gramy na boisku dla dużych chłopców. Znasz reguły, wiesz o zagrożeniu, nie będzie tłumaczeń. Pilnuj się. Nigdy nie chodź sam, dbaj o świadków, zapisuj, co robisz, gdzie i kiedy. Nie pozwól Diukowi na żadne podejście, a go nie będzie. Wtedy może ci się uda.

– Może.

– Nic innego nie poradzimy.

Zamilkli. Daniel zastanawiał się, czy czekają na coś jeszcze, czy po prostu powinien wstać i wyjść. Cholerna policja. Cholerna mafia. Klimatyzacja włączyła się głośnym przytknięciem i w pokoju zaszumiało. Wtedy poczuł kolejny dreszcz. I tak było tu zimno po wejściu z rozgrzanego upałem dworu.

– No tak... – chciał wstać.

Gebert chyba uznał, że potraktowali go zbyt ostro, bo podszedł od tyłu, położył mu dłoń na ramieniu i delikatnie popchnął w dół. Nachylił się do niego i powiedział szeptem:

– Posłuchaj Daniel, nie mamy wyjścia. Jeśli będziemy się z tobą patyczkować, dasz się w coś wciągnąć i polegniesz. Wiemy, że jesteś silny, twardy, ale – uwierz mi – Diuk jest silniejszy. Bardziej wyrachowany. Jeśli wejdiesz z nim w układ, przegrasz. Jeśli spróbujesz jakiejś rozgrywki, przechytrzy cię. Pokona, wykorzysta, a potem poświęci. My nie będziemy mieli wyjścia. Będziemy musieli się bronić. Staniemy się wrogami.

– To my jesteśmy po dobrej stronie, nie tamci, którzy do ciebie przyjdą – dodał Latos. – Nie chcemy konfrontacji, ale możemy nie mieć wyboru, rozumiesz?

Komórka młodszego policjanta zabrzęczała. Sięgnął po nią, nie odebrał, ale uśmiechnął się i pokazał im ekran. Widniało na nim zdjęcie Mony.

O wilku mowa.

– Ona? – zapytał Daniel. – Ona was przysłała?

Gebert uśmiechnął się smutno.

– Gdyby Mona wiedziała o naszym małym spisku, jutro mielibyśmy rudyh na głowach.

– Kogo?

– BSW. Biuro Spraw Wewnętrznych. Czekaliby nas dyscyplinarka i Mona nie miałyby żadnych skrupułów, żeby nas poświęcić – Gebert zmarszczył brwi, jakby rozważał, czy ciągnąć ten wątek, wyjaśnić sytuację Danielowi nieco inaczej. – Mona... cóż, jest zupełnie inna. Dla niej najważniejsze są reguły. Trzyma się zasad i nie odstępował od nich na krok, nawet jeśli przez to ma przegrać. To nowa jakość w policji, coś, na co długo czekaliśmy. Z takimi jak ja i Diuk ma ciągle pod górkę. Przez takich muszą ją ciągle przesuwac i przenosić, ale natura w końcu sobie z nami poradzi. Ja, Diuk... Diesel znikniemy. Zostanie ona i... on – spojrzał znacząco na Latosa, a potem zakończył: – Gdy przyjdzie pora, stań po właściwej stronie. Wystarczy żebyś nie kłamał.

Daniel skinął głową.

– Nie będę – obiecał.

Poczuł się jakiś silniejszy i nawet wdzięczny gliniarzom. Może bez tej rozmowy, bez intrygi Latosa rzeczywiście dałby się w coś wmanewrować. Wstał i ujął po kolei dłonie policjantów.

– Odwiozę cię – zaproponował Latos.

Rozdział 28

[data: brak wyboru

Przepraszam, nie mam siły, by się zastanawiać, czy dziś piąty czy dziewiąty. Lipiec. Wakacje. Michaś wciąż chodzi do szkoły, bo Daniel go zapisał na jakieś półkolonie. Żeby ochronić, a tak naprawdę, żeby miał spokój, żeby mógł się od niego uwolnić. Ja też niby mam mieć spokój. Ale ode mnie oczekuje tylko oglądania zdjęć i ogłoszeń. Ten dom czy inny? Poznajesz coś? Kogoś? Daj mi jakiś znak. Ciągle szuka. Ich szuka. Co będzie, jak znajdzie?]

Elizkę pilnowali bardziej. On już kilka razy urwał się ochronie bez żadnych konsekwencji. Nigdy dotąd się nie zorientowali. Gdy był w szkole na wykupionych przez ojca dodatkowych zajęciach wakacyjnych, ochroniarz czekał w samochodzie na parkingu. Wystarczyło, że urwał się z zajęć, wyszedł drugim wyjściem na boisko, przeskoczył płot i już był wolny na te parę godzin do zakończenia lekcji.

Z wagarów nie będzie musiał się tłumaczyć, bo rok szkolny już zakończyli i nauczyciele nie sprawdzali listy obecności. Przez cały dzień grali w piłkę albo siedzieli w kompach. Tak mieli dotrzeć do prawdziwych wakacji.

Przybysz już czekał w umówionym miejscu.

– Cześć – rzucił, ale nie podał mu ręki.

Michał wciąż nie był pewien, co o nim myśli. Nie potrafił zdefiniować ani własnych uczuć w stosunku do tego tajemniczego chłopaka, ani rozpoznać, co tak naprawdę tamten o nim myśli.

Cygan.

Wiedział, że nie lubi tej ksywki więc zwracał się do niego po imieniu albo bezosobowo, ale w myślach wciąż tak go nazywał. Cygan. I tak lepiej od innych, bo większość, z powodu ciemnej karnacji, mówiła znacznie gorzej. Kiedy jeszcze razem chodzili do przedszkola, nie raz słyszał, jak starsi chłopcy wołali złośliwie: Te, Asphalt... Chodź tu, Brudasie... Wracaj na drzewo, Bambusie. Potem ich drogi się rozeszły. Cygan poszedł do szkoły gdzieś do Gdańska, Michał został w Sopocie. Wiele lat się nie widzieli, aż pewnego dnia Cygan czekał na niego przed szkołą.

„Pamiętasz mnie?” – Zapytał.

Pamiętał, choć chłopak się zmienił. Zmężniał, nabrał mięśni. Patrzył wyzywająco na innych, prowokował. Zachowywał się trochę tak, jakby próbował

oszukać cały świat, że jest kimś innym. Jakiś czas później Michał przeprowadził małe śledztwo i dowiedział się, że dawny kolega z przedszkola dziś trenuje sporty walki, nie ma w ogóle przyjaciół i jest ostro tresowany przez ojca despotę. Maska. Wiedział, że ją nosi.

Dlatego od początku mu nie ufał. Tolerował to, że go zaczepia, próbuje wkraść się w jego łaski, zaprzyjaźnić, ale traktował z dystansem. Dopiero gdy firma ojca zaczęła podupadać i ogólnie w domu zrobiło się pełno napięć, zmienił trochę nastawienie i częściej zaczął spotykać się z Cyganem. I wtedy, trochę przypadkiem, pokazał mu jeden z pomysłów.

Pokazał mu „projekt kamizelki”, a Cygan zaproponował mu test na żywo, do którego Michał się początkowo zapalił, a którego teraz zaczął się bardzo bać.

Bo to, co zamierzali, nie było dobre.

Było niebezpieczne.

– Masz?

Nadzieja, że może zaprzeczy. Może przyzna się, że składał obietnice na wyrost, że wcale nie ma takich możliwości.

– Tak.

Nadzieja pryskała.

Powoli.

Liczył jeszcze na coś w rodzaju: „och, musiałem zapomnieć”, ale Cygan wyjął z torby zawiniątko i pokazał je. Lśniący, ciężki, ogromny. Na filmach pistolety wydawały się takie małe, zabawkowe. Od razu było widać, że to nie zabawka.

– Twój stary nie załapie?

– Myśli, że jest zakopany w ogródku.

– A jak spróbuje odkopać?

Cygan tylko wzruszył ramionami.

– Idziemy?

Kwadrans później dotarli do starej strzelnicy, zamkniętej od ponad pięciu lat. Michał był tu tylko raz, z grupą łobuzów, którzy łapali żaby i je męczyli. Nie mógł potem spać kilka nocy. Na zmianę śniły mu się te męczzone żaby i śmiechy kolegów.

Wzdrygnął się na to wspomnienie.

Przeszli do najdalej oddalonego od opuszczonej stróżówki stanowiska i ustawili manekin pod kopcem.

– Zakładaj – polecił Cygan.

Michał wyciągnął z plecaka kamizelkę. Dzięki użyciu woreczków z twardniejącym pod wpływem uderzenia płynem była zadziwiająco cienka i lekka. Pogłaskał ją z namaszczeniem. Pierwszy prototyp. Szykowany przez wiele tygodni. Jeszcze mocno niedopracowany, wyglądający jak gadżet z *Fallouta*. Za chwilę

przejdzie pierwszy test. Jeśli pocisk cię przebije, rozerwie, zniszczy, przestaniesz się liczyć. Jeśli nie, będziesz moim pierwszym sukcesem. Bez względu na efekt pozostaniesz zawsze w moim sercu na pierwszym miejscu. Pierwsza próba. Przymocował kamizelkę do manekina. Cygan ujął broń w dwie dłonie. Jedną mocno zacisnął na rękojeści, drugą podparł od dołu, z kciukiem dziwnie, nienaturalnie wyprostowanym wzdłuż lufy. Wycelował.

– Cel?

– Pal – zakończył Michał przykładając dłonie do uszu.

Cygan przymknął lewe oko, wyobraził sobie, że na miejscu manekina stoi ojciec i nacisnął spust. Huknęło, jakby wystrzelił z armaty.

Broń mocno podskoczyła, targnięta odrzutem.

Michał podszedł do manekina i sprawdził kamizelkę. Odwrócił się do strzelca z wyciągniętym do góry kciukiem. Kula przebiła materiał ale zatrzymała się na płynie. W manekinie było niewielkie zagłębienie. Może warstwa była jeszcze za cienka, ale w sumie test należało uznać za udany.

– Super – zawołał. – Jest cała.

Zdjął pospiesznie kamizelkę. Huk wystrzału mógł kogoś zaalarmować. Powinni uciekać.

– Lepiej spadajmy!

Cygan stał z opuszczoną bronią, a uśmiech na jego twarzy powoli bladł. Michał nie wiedział, że tamten walczy z przemożną, przekazaną mu w genach siłą, która namawiała, prosiła, żądała, by jeszcze raz wymierzył broń i strzelił. Tym razem do człowieka.

Nie zrobił tego.

Adama wiele różniło od ojca. Nie był nim. Nie chciał nim być.

*

– Miałaś rację – potwierdził Diesel. – Dyma się z nim.

Też mi nowość, pomyślała. Zorientowała się dawno temu. Choć i tak za późno.

– Na dodatek w lokalu operacyjnym. Czy to nie złamanie wszelkich zasad?

– Dymanie zawsze można podciągnąć pod działania operacyjne. W końcu Iwona cię rozpracowuje służbowo.

– Teraz to rozpracowuje Diuka?

Albo on ją.

– Zapewne. Choć... sądzę, że nie bez przyjemności.

Nigdy go nie wypytywała o byłe, a on sam z siebie nie opowiadał. Tym razem jednak sprawa jej dotyczyła. Starła się, by kolejne zdanie zabrzmiało jak

najbardziej naturalnie.

– Byłeś z nią, prawda?

ON uśmiechnął się szeroko. Dżentelmen nie mówi o swoich byłych. Za to jego ego nawija bez przerwy.

– Dawno i nieprawda – najlepiej niedopowiedzeniami.

– Pytam, bo...

– Wiem przecież. Jeden raz, przypadkowy i niezawiniony. Zaciągnęła mnie do siebie po jakiejś imprezie integracyjnej i zanim jeszcze skończyliśmy, próbowała układać naszą wspólną przyszłość. Wtedy była jeszcze w policji, nie w ABW. Zaborcza babka. Takie są najbardziej niebezpieczne. Wiesz, potem jeszcze popytałem o nią kumpli i okazało się, że ona ma kompletnie zaoraną łepetynę, bo chyba coś nie tak miała w domu. Ojciec ją zostawił, matka tłukła albo coś podobnego. Nie chcę tam specjalnie spekulować, ale dla mnie to ona nie powinna przejść psychotestów do agencji, a nawet tych naszych okresowych.

– Ale przeszła.

– Z takim ciałem... się przechodzi. A na komputerowych wszyscy przecież oszukują.

Siedzieli jeszcze chwilę w samochodzie obserwując cienie poruszające się za oknem apartamentu należącego do ministerstwa i przekazanej na lokal operacyjny dla Diuka i jednostki pościgowej. Obok apartamentowca były dwa nocne lokale, z których dochodziła głośna muzyka. Disco pomieszone z house, coś rockowego w tle. Standardowy łomot. Diesel zaproponował, żeby weszli na drinka. Mona odmówiła.

– Chcę zobaczyć, co z tą Olgą i jej gachem.

– Spokojnie. Chłopaki mają ich na oku.

Była pewna, że w ciągu miesiąca wyłapią wszystkich. Różowego na początku, bo nie ulegało wątpliwości, że chłopak Olgi był Różowym. Najmniej znaczącym, najgłupszym, najłatwiejszym do złapania. Nie rozumiała, dlaczego Niebieski nie dopilnował tej kwestii i pozwolił na taką wpadkę. Wydawało się, że wszystko tak dobrze zaplanował, a tu nagle prosty, głupi błąd z pozostawioną krótkofalówką kupioną nieostrożnie przez Allegro. Może jednak jest w tym jakiś haczyk? Może wpadkę wymyślił za Niebieskiego ktoś inny?

Zostawili kochanków i pojechali w kierunku Wejherowa. Willa, którą załatwił dla nich Prygiel, była już wykorzystywana przy inwigilacji prokuratora generalnego za czasów złotoustego ministra. Być może dlatego uznano, że przynosi pecha i omijano ją z daleka.

Prygiel szczęśliwie nie wierzył w przesady, bo lokal był świetny, luksusowy, idealny dla ich celów.

– Tu będzie nam wygodnie – oznajmił.

Było. Diesel i jego ludzie byli zadowoleni, a zadowolony agent pracuje

znacznie sprawniej. Każdy dostał swój pokój i mógł się brandzlować bez skrępowania. ON zajął strych i co noc zachęcał, by z nim została. Niestety dla obojga, bez powodzenia.

Na zmianę pilnowali Różowego i Olgi. Pomagał jeszcze Gebert i Latos. Mona była ich już pewna i zapewniła Prygla, że nie zdradzą, nie pójda do Diuka czy kogoś innego.

W ciągu kilku dni ustalili bezpośrednich sprawców uprowadzenia. Różowy praktycznie nie miał żadnych przyjaciół. Utrzymywał kontakty tylko z napakowanym właścicielem szrotu samochodowego. Poza tym miał mamę, pielęgniarkę pracującą na rentgenie i ledwie czającą bazę. I Olgę, która chyba już dawno przestała go kochać. Zdradzała biedaka z dwoma Szwedami i jednym Niemcem, co ustalili na podstawie zapisów ze skrzynek mailowych.

Biedny Różowy.

Jak to cynicznie ocenił jeden z ludzi Diesla: chłopak z blaszaną płytką w głowie, który dawno powinien umrzeć, ale żył zapewne tylko po to, by ich naprowadzić na Niebieskiego.

Brązowy zadzwonił do współnika w trzecim dniu obserwacji. Jakiś czas później esemesa wysłał też Niebieski. Takie role przynajmniej przydzieliła dwóm NN (nieznanym numerom) Mona. Po kilku godzinach wiedziała już wszystko o nauczycielu techniki i mechaniku samochodowym.

Niemal książkowy zestaw: mądry przywódca z wyższym wykształceniem i prosty robotnik.

Psychopata i mięśniak.

Niebieski i Brązowy.

Na dokładkę przynieś—podaj—pozamiataj Różowy.

A mieli być tacy nieuchwytni.

*

To jednak nie zamykało sprawy. Mona zgodziła się z Prygłem, by na razie nie zdejmować podejrzanych. Kierowały nimi zupełnie inne motywy. Prygiel chciał głównie dorwać Diuka i jego przydupasów. To był dla niego priorytet. Porywacze niespecjalnie go interesowali, choć oczywiście do tego sukcesu też zamierzał się podpiąć.

Jej natomiast zależało na ujawnieniu i ujęciu prawdziwego zleceniodawcy porwania. Bo że on istniał, nie miała wątpliwości. Ta trójka nie działała samodzielnie.

Prygiel miał zatem cel polityczny, którego nie ukrywał. Ona robiła swoje, licząc na to, że ludzie stojący za prokuratorem ochronią ją w Komendzie Głównej

i przed atakiem mediów, w razie, gdyby Diuk ją przejrzał i jednak nie przyjął oferty rozejmu.

W końcu mieli wspólne punkty na tej mapie intryg i spisków.

Polityka i profesjonalizm czasem mogą iść w parze.

Mona kilka razy złapała się na myśli, jak bardzo Prygiel zmienił się w ciągu tych paru dni. Z lekko nieporadnego (choć ciągle doskonale proporcjonalnego) onanisty, błyskawicznie przekształcił się w młodego, drapieżnego, głodnego wilczka. I odważnego. To należało docenić. Bo żeby tak rzucić wyzwanie Diukowi, trzeba było być bardzo odważnym.

Miał też plecy.

I to ją pocieszało.

Sam Prygiel by przegrał, tak jak i ona by przegrała, a przecież niewiele brakowało.

Jednak, mając sojuszników, mogli zwyciężyć.

Zostawiła na chwilę Prygla i skupiła się na sprawie porywaczy.

Z esemesów i podsłuchanych telefonów wynikało, że Niebieski z Brązowym znów coś szykują. Dość szybko ustalili, co i Prygiel mógł zabłysnąć. Zamknął się w kiblu, żeby przekazać wieści „wyżej”. Przynajmniej tak podejrzewała, bo jak wrócił, był cały w skowronkach. Pochwalony Prygiel różnił się od zwykłego Prygla. Był znacznie bardziej na luzie, choć wciąż idealnie proporcjonalny.

Zaklaskał i zawołał:

– Idę do sklepu, co kupić? Dziś ja stawiam!

Gdy tylko wyszedł, Diesel nachylił się do ucha Mony i szepnął:

– Chyba w ciebie uwierzył. Znajdziesz mu jeszcze parę medialnych newsów i zrobi cię szefową CBS.

– Prygiel gównem może.

– Nie mówię o Pryglu...

– Nie ma to jak podlizywać się gościowi z kloaki – odparła z uśmiechem.

Przez cały ten czas trzymali z dala od informacji Iwonę. Zresztą agentka, po rozmowie z Moną i konsultacji z Diukiem, się nie narzucała. Rozejm trzeba szanować, choćby zawieszenie broni miało kruche podstawy. W siedzibie CBS obie odgrywały swoje role. Gdy czasem zdarzało im się zostać sam na sam, Iwona próbowała podpytywać o postępy w śledztwie, ale akceptowała półsłówka i kłamstwa.

– Nic nowego. A u Nikifora?

– Też nic nowego.

Dwie kłamliwe suki. Takie role przyjęłyśmy i ich się trzymajmy.

W nocy Mona sypiała źle. Za blisko była Diuka, a nie chciała z nim spać przy innych. Ale też sprawa nie dawała jej spokoju. Puzzle były coraz bardziej poprzycinane, lecz wciąż wiele jej się nie zgadzało. W głowie krążyły te wszystkie

wciąż niedopasowane wątki. Nikifor, Hausberger, Wilkosze, Menago, Kudłaty...

Właśnie, Kudłaty.

Zupełnie nowy wątek. Kumpel Diesla z Warszawy upił się z niedzieli na poniedziałek z jakimś grubasem w Szwejku. Grubas był byłym oficerem w jednej z formacji mundurowej i współnikiem Hausbergera z Wenecji. Wyraźnie wzburzony szukał towarzystwa, kumpel Diesla skorzystał więc z okazji, żeby go wybadać. Dzięki temu ze steku przekleństw i gróźb wyłowił informacje o jakimś wariacie–biznesmenie, co obcina końskie łby niczym don Corleone. Grubas próbował namówić kumpla Diesla, żeby postraszył wariata–biznesmena. Ten szybko się zorientował, że chodzi o Waisa. Generalnie niewiele pojął, bo jednak sporo wypili, wystarczająco jednak, by przekazać cynk Dieslowi. Pociągnął przy tym Grubego za język i w ten sposób dowiedział się, że Wenecja ma jakiegoś szpiega u Waisa. Szpiega, którego Gruby nazywał Kudłatym.

Coś w głowie podpowiadało jej, żeby zapamiętała tę ksywkę.

Noc. Ciemna, mroczna, upalna, spocona. ON pewnie też leżał gdzieś na strychu z otwartymi oczami i o niej myślał. O niej albo o innej. A ona musiała ściemniać w swoim pokoju. Udawać, że nie ma mokro między udami, że wcale o tym nie myśli.

Myślała, do diaska. Bardzo dużo myślała.

Może dlatego wspomnienia znów przywołały Juliette. Ona nie miałaby skrupułów. Tonęłaby teraz w objęciach kochanka, nie przejmowała się czy ktoś słyszy, sobie wyobraża. Robiłaby to ze swoim Księciem i kto wie, czy właśnie w tej chwili nie robi.

*

Rano podzielili zadania i wszyscy się rozeszli. W domu została tylko ona z Dieslem. Nagle straciła ochotę na seks. Dziwne, pomyślała. Zaraz potem się zaniepokoiła. W nocy marzyła o takiej chwili, przez te myśli nie mogła spać, a teraz próbowała wymusić w sobie jakieś pożądanie. Szczęśliwie ON miał zupełnie inny nastrój. Może był skacowany, może zwyczajnie zmęczony. A może po prostu chciał zamknąć w końcu tę sprawę i wrócić do swoich ukochanych nocnych klubów, narkomanów i warszawskiej codzienności.

– Przeglądałaś dokumentację Nikifora? – zapytał, parząc kawę. – Z mlekiem czy czarną?

– Przecież wiesz.

– Rano czarną, potem z mlekiem.

Skinęła głową.

– To jak? Przeglądałaś?

– Trochę. Trochę tego jest.

Dwadzieścia pięć tomów pełnych opisów gówniarskich wybryków sprzed kilkunastu lat. Szczęśliwie nie w papierze, tylko zeskanowanych, przysłanych do nich na kilku płytach dvd. Akt oskarżenia, proces, wyrok, karty z zakładu karnego, od kuratora, opinia z policji, kilka kolejnych meldunków z kontroli operacyjnej, przesłuchań przy różnych okazjach. Potem kilkuletnia pustka. Większość z tego wiedziała. Wcześniejsze zeznania nie bardzo ją interesowały. Naczytała się, naoglądała, nasłuchała miliony takich historii. Młody, agresywny, napakowany, naładowany adrenaliną byczek, który rozstawia wszystkich po kątach, aż trafia kosa na kamień, albo nie trafia. Zawsze znajdzie się ktoś lepszy. Dlatego tacy jak on żyli zwykle krótko. Intensywnie i krótko. Jak byłoby w przypadku Nikifora, gdyby nie ta nagła przemiana z dzikiego lwa w grzecznego, sytego kocura?

– Skup się na ostatnich tomach – doradził ON.

– To może mi po prostu powiesz.

– Lepiej jak przeczytasz, dziecińo.

– Diesel!

– Wiesz, że nie lubię tej ksywki.

– Przestań pierdolić, nie ma czasu.

– W zasadzie nie zacząłem...

– I nie zaczniesz...

Podszedł, czule spojrzął, następnie podetknął jej pod nos to, o czym mówił. Ostatni tom. A potem powiedział:

– Szukasz związku, prawda? To przeczytaj to uważnie. Bandzior z mocno poharataną przeszłością przez całą odsiadkę nie ma ani jednej wizyty. Żaden ojciec, brat, kumpel. Nikt. Wszyscy o nim zapomnieli. W pudle też tylko spory i ciągła walka o własną dupę, w końcu należy szacunek, ale z nikim się nie zbratał. Zawsze ostrożny, wycofany. Samotny, bardzo samotny dziki wilk w niewoli. Dopiero pod koniec zaczyna go odwiedzać jedna osoba. Wolontariusz. Fundacja Pomoc. Odwiedza raz, drugi, trzeci. Coraz częściej. Na coraz dłużej. Dzięki specjalnym przepisom może. Nikifor chwyta przynętę, wchodzi w układ. Wolontariusz wciąga go w terapię. Przeciw przemocy, przeciw zbrodni, w kierunku ostatniej prostej. Widzi światełko w tunelu, pomaga dalej. Osiąga sukces. Potem monitoruje. Nikifor zostaje podopiecznym Fundacji. Cały program resocjalizacji zostaje pod to podciągnięty. Kurator też musi to zaakceptować. Nikifor jest pod opieką, wychodzi, zostaje wzorowym obywatelem, biznesmenem. Przeżywa swoje dziesięć lat czystości. Nie piękna bajka? Każdy by w nią uwierzył. My też. I nigdy pewnie byśmy na niego nie wpadli, gdyby nie... przypadek.

Gdyby nie Diuk – poprawiła.

– Do czego zmierzasz?

– Powiązania, pamiętaj.

– Diesel!

– Fundacja Pomoc w tamtych czasach działała dość aktywnie. W kilku zakładach karnych. Starła się jednak wybierać więźniów. Goście od wypadków samochodowych, jeździe po pijaku, skazani za przemoc w rodzinie jej nie interesowali. Skupiali się na najgroźniejszych gangsterach lub... takich perspektywicznych.

– Do czego zmierzasz?

– Pomyśl!

– Diesel!

ON westchnął.

– Pamiętasz Trójmiejski „klub płatnych zabójców”?

– Zachar, Czester, Sienia, Gajowy...

– Sanitariusz...

– Skazani chyba rok temu.

– Trzy dożywocia – potwierdził ON. – Kilka kolejnych długich wyroków.

– Co oni mają z tym wspólnego? Też byli podopiecznymi Fundacji Pomoc?

– Nie, żaden z nich.

– Więc?

– Ot, ciekawostka. Otóż media roztrząsając tę sprawę próbowały zrobić z nich jakiś profesjonalistów, super zabójców. To się sprzedawało, to było atrakcyjniejsze, bardziej przerażające, wymowne. Stąd ten „klub płatnych zabójców”. Zabawne jednak było to, że nazwę wzięli z zeznań jednego ze świadków, który – owszem – wymienił tę nazwę, ale mówił... o zupełnie innym „klubie”.

– Jak to?

– Czester i inni byli bezwzględni i brutalni, ale to nie oni byli określani mianem „klubu” przez koronnego, który jako pierwszy o nim powiedział, a dziś gryzie ziemię. Domyśl się, o kogo mu chodziło.

Cholera, pomyślała Mona, czyżby Diuk tego nie skojarzył? A może nie chciał im wszystkiego powiedzieć? Może mieli ścigać tylko Nikifora, a potem Diuk wyskoczyłby z kolejną petardą? A może po prostu był cienki i nie znalazł tej nitki, tak jak ją wyniuchał Diesel?

– Skąd wiesz?

– Się wie...

– Diesel!

– Doświadczenie, maleńka. Doświadczenie... – ON odetchnął, przymknął oczy, a potem powiedział cichym szeptem: – Skojarzyłem. W nocy różne rzeczy się słyszy. Wiesz, jak jest. Większość to plotki, czasem prawdziwe, czasem zmyślane. Mit o „klubie” chodzi u nas przykrywkowców od dawna. Nikt go nie powtarza i specjalnie w niego nie wierzy. Jak ktoś ginie czy znika, a nie ma

żadnych śladów, znów się zaczyna. Od lat to samo. Czasem ktoś zeznaje, że coś wie. Częściej jednak powieła plotki. Dlatego nikt rozsądny o tym nie mówi, a jak już wyłapano tych z Trójmiasta, to wszyscy odetchnęli, że kolejną bajkę można zamknąć happy endem. Ale to nie ta bajka. Plotki też z niczego się nie wzięły. I teraz, jak tak patrzę na tę sprawę Nikifora, na fundację i kogo wyciągała z pudła i resocjalizowała, to zaczynam...

– Wierzyć?

– Się bać...

Tym razem ON nie roześmiał się, nie mówił też z tą swoją żartobliwą manierą.

– Możesz mi przygotować listę tych... podopiecznych? – Zapytała Mona.

ON westchnął.

– Pewna jesteś?

– Tak.

Diesel miał ją już gotową. Jedna kartka. Sześć nazwisk. Na czele z Nikiform. Zaraz potem podetknął jej pod nos drugą kartkę.

– Jest jeszcze coś. To z raportu z ministerstwa. Spójrz, kto jest jednym z fundatorów fundacji... – szepnął Diesel.

Spojrzała.

Wais?

Niesamowite.

– O kurwa!

Kolejna kartka.

– ...a kto jej założycielem.

Sekunda, dwie.

Nazwisko początkowo nic jej nie powiedziało.

Trzy...

Skojarzyła.

A więc tu był łącznik. Tu puzzle wchodziły idealnie...

– O kurwa! – Powtórzyła.

Nazwisko, które wydawało się takie nieistotne przy sprawie Waisa. Pojawiło się w zeznaniach może raz czy dwa. A teraz okazało się kluczowe.

*

Daniel nie mógł zapomnieć tego widoku. Koń przykryty derką, pozbawiony życia, nieruchomy. Zaraz po nim Ania z workiem na głowie, z łańcuchem na szyi. Czy nawet najostrejsze działania prawne będą mogły coś tu zmienić? Czy nie powinien zwyczajnie wyjąć broni z sejfu, przeładować, przyłożyć im do łbów i po

kolei wystrzelać? Dranie wdarli się w jego życie i je kontrolowali. Od kilkunastu dni, może jeszcze przez parę tygodni.

Czuł się totalnie bezbronny.

Rozmus przyszedł rano z dokumentami. O dziwo znacznie weselszy niż ostatnio. Wyglądał na wypoczętego i naładowanego, jak po upojnej nocy. Pewnie taką przeżył z czarnulą z Berlina. Może chociaż tobie się układa, przyjacielu.

Podpisywał faktury i zlecenia niemal mechanicznie, od czasu do czasu dopytując tylko o szczegóły, uzasadnienia wysokości czy terminy.

Z zasady czytał dokładniej jedną z faktur ze środka i ostatnią. Nie po to, żeby sprawdzać Rozmusa. Ufał mu bezgranicznie. Ale zawsze gdzieś w głowie pozostawała zasada wpojona przez ojca: ufaj i kontroluj.

– Znów ta fundacja? Pięćdziesiąt tysięcy? Nie za dużo?

– Zaufaj mi – Rozmus uśmiechnął się zawadiacko.

– Zawsze ufam, ale pięćdziesiąt?

– Nie bądź sknera.

– Sknera? Co miesiąc płacę na te wszystkie twoje fanaberie, a ty mi mówisz: sknera? Ech, Brutusie...

– Po pierwsze nie moje. Po drugie i tak musisz ze względów podatkowych. Po trzecie przecież chcesz, tylko jesteś nie w humorze.

– Dlatego może mi choć wytłumaczysz...

Rozmus rozsiadł się wygodnie.

– „Planeta Sztuki” robi akurat dużą wystawę w Gdańsku, więc musimy trochę więcej wyłożyć, jeśli chcemy być wśród głównych sponsorów. Chyba że nie chcemy? Nie sądzisz, że byłoby to bardzo piękne samobójstwo, gdybyśmy przez... zaraz, chyba trzy lata sponsorowali tę fundację, łożyli co miesiąc na jej „fanaberie”, a gdy jest okazja, by trochę z tego też zyskać marketingowo, to rejterujemy? Dobry pomysł, oddajmy nasze miejsce Pałuckiemu.

– Pałucki nie da złotówki na fundację.

– Żeby ci zrobić na złość da nawet te pięćdziesiąt tysięcy.

– Dobrze już, dobrze...

Tak ma być i koniec. Rozmus dobrze pilnował finansów. Znajdował właściwe cele. Rozumiał mechanizmy rządzące w tej branży, potrafił właściwie lokować kapitał, który i tak musieli na taką działalność wydać, nawet gdyby tego nie chcieli robić. „Planeta Sztuki” pomagała wielu zdolnym artystom, którzy potem chętniej współpracowali z Rozmusem niż z konkurencją Waisa.

Odprowadził Rozmusa do wyjścia, otworzył drzwi do sekretariatu i nagle zamarł w pół kroku. Zbladł jakby zobaczył ducha.

Na kanapie ustawionej po prawej stronie od biurka asystentki siedział Hausberger. Jak zwykle źle ubrany, ale tym razem wyglądający zupełnie inaczej. Nie był już taki świeży, uśmiechnięty. Wyraźnie podminowany, zły, zmęczony.

Chyba czymś mocno poruszony. Pismo przedprocesowe, które mecenas Waisa wysłał do niego? Wątpliwe. Widmo wypłaty stumilionowego odszkodowania, którego w tym piśmie zażądał? Absurdami przecież nikt się nie przejmuje. Coś innego musiało się stać. Sprawiał wrażenie człowieka, który został czymś mocno dotknięty.

Daniel z trudem opanował chęć, by podejść i mu przyłożyć. Prawy sierpowy i po sprawie. Gość przyjęty jak na to zasłużył, wyniesiony. Sprawa honorowa zamknięta.

Zacisnął pięść i warknął:

– Niech pan stąd wyjdzie!

Hausberger wstał powoli, spojrzął złowrogo na Rozmusa, który chciał chyba coś powiedzieć, ale Daniel szepnął, żeby wracał do pracy.

– Na pewno dasz sobie radę? – zapytał Paweł.

Daniel skinął głową. Rozmus wyszedł. Hausberger odprowadził go wzrokiem, potem patrzył nieustępliwie na Waisa.

– Nie, panie Wais – powiedział z naciskiem. – Tym razem nigdzie nie wyjdę. To się jeszcze okaże...

– Tym razem... musi mnie pan wysłuchać – dokończył Hausberger.

– Niby dlaczego? Wszystko pomiędzy nami zostało powiedziane. Teraz... czas na prawników. Dostanie pan czas na wypowiedź w sądzie. Działania prawne...

Hausberger ciężko przełknął ślinę.

– Pan to nazywa działaniami prawnymi?

– A jak mam nazwać?

– Wysłanie odciętej końskiej głowy uważa pan...

Daniel oniemiał.

Jakiej głowy? O jakiej głowie mówił ten obwieś?

Hausberger wcale nie zdziwił się reakcją przedsiębiorcy. Mógł się tego spodziewać. Wiedział już wszystko. Jakaś gazeta, porwanie, wzorowe niemal napuszczenie dwóch potencjalnych wrogów na siebie. Wspaniale przeprowadzona operacja, panie Kudłaty. Wspaniale.

Nikt lepiej by jej nie zrobił.

Ale miał pan pecha, że trafił na mnie.

Że nie jestem takim bandziorem, jak się panu wydaje.

Nasze metody znacznie różnią się od pańskich.

Sięgnął po komórkę i pokazał Danielowi zdjęcie obciętego końskiego łba.

– Może jednak porozmawiamy w cztery oczy?

Wais poczuł, jak bezwiednie wbija paznokcie w dłonie. Poczł w kieszeni wibrowanie telefonu. Wyciągnął aparat. Na wyświetlaczu pojawił się anons: MAJKEL OCHRONIARZ. Pospiesznie nacisnął zieloną słuchawkę i przytknął

telefon do ucha.

- Panie Danielu, tylko niech się pan nie wście...
- Co się stało? – Przerwał.
- Proszę spokojnie...
- Co się stało, do licha?
- Nic, z pewnością nic. Tylko... pana córka. Pana córka... zniknęła.

Rozdział 29

[data: brak wyboru

No dobra, co do jednego mamy jasność: jeśli szaleństwo miałooby wybrać sobie imię, Daniello byłby na pierwszej pozycji. Ale przynajmniej się nim nie dzieli. Nic mi nie mówi. Spiskuje sam ze sobą. Chyba już się pogodził, że z nami koniec. A ja? Pogodziłam się? Czy może powinnam walczyć? Ty wiesz lepiej, ale mi nie powiesz, prawda? Bo twoje zdanie kosztuje. Impulsy kosztuje. Chcesz tylko, żebym jak najdłużej była z tobą. Nie obchodzi cię to, co czuję. Co myślę. Mogę pisać co chcę. Będziesz mi niby doradzał, współczuł, radził, ale tak naprawdę masz to gdzieś. Jeśli chcę, mogę sobie dać w żyłę, albo wskoczyć pod pociąg. Co ci tam. Inna się zaloguje, zapisze, zacznie zwierzać. Ganc e gal. Wiesz, co ci powiem? Nie jesteś moim przyjacielem.]

Przez dwa pierwsze dni po zwolnieniu, Nikifor wylegiwał się po prostu w domu. Nawet nie posprzątał po przeszukaniach. Nie było sensu. I tak dom i inne mieszkania musiał spisać na straty. Jakieś dwa miliony strat. Nie poczuł nawet żalu. Na kontach miał odłożone około pięciu milionów. Spółka z Cypru kupiła i utrzymywała dla niego dwa apartamenty w atrakcyjnych kurortach w Hiszpanii i Grecji. Być może je też straci. Wciąż jednak zostaną pieniądze i inwestycje prowadzone przez prawnika z Berna.

Nieustająco zastanawiał się, na ile groźna jest ta cała sytuacja.

Skoro wypuścili go po kilkudziesięciu godzinach, to chyba nie bardzo. Ale lista ofiar była niepokojąca. Wciąż niepełna, ale robiąca wrażenie. Jakim cudem zebrali taki materiał, a jednak obyło się bez zarzutów i aresztu? Tego nie mógł pojąć.

Bo przecież nie wziął na poważnie propozycji Diuka.

A może jednak?

Może wcale nie była to prowokacja tylko uczciwa oferta?

Diuk, Książę. Nasłuchiwał się trochę o nim od Pośrednika. To było dawno temu. Nie przypuszczał, że kiedyś przyjdzie im się spotkać. Nawet podczas pierwszego przesłuchania nie domyślił się, że to ten legendarny Książę. Dopiero później skojarzył.

W pierwszej chwili po wyjściu zaczął opracowywać plan pozbycia się Pośrednika. Dziś był jedyną osobą, która mogła go sprzedać. Początkowo zaczął go

winić za zatrzymanie, ale po głębszej analizie uznał, że był w błędzie. Gdyby Pośrednik zdradził, nigdy by nie wyszedł na wolność.

Więc Pośrednik wciąż był przyjacielem i na pewno znajdzie sposób, by się z nim skontaktować.

Albo wyeliminować.

Tak, jedno było pewne. Nikifor wiedział, że nikomu nie może ufać.

Tylko sobie.

Trzeciego dnia podjął pierwszą próbę urwania się spod obserwacji ludzi Diuka. Pierwsza próba świadomie skazana na porażkę. Zrobiona tylko po to, by odnotować procedury i algorytmy stosowane przez policję. Sporo wiedział o zasadach ich działania, ale wierzył, że Diuk jest wyjątkowy.

Dwa dni później uznał, że nadszedł czas na nieco odważniejszą próbę.

Pojechał samochodem do centrum, wsiadł do pociągu do Warszawy, skąd pojechał do Poznania. O ile w Gdańsku go pilnowali, miał wrażenie, że od Warszawy inwigilacja się urwała. To było raczej niemożliwe, założył więc, że gdzieś ma pluskwę. Wybrał hotel z drogim sklepem odzieżowym i butikami w hallu, wynajął dwa pokoje. W pierwszym rozebrał się, wziął dokładny prysznic, założył hotelowy szlafrok, zszedł do strefy SPA, a w drodze powrotnej zajrzał do sklepu. Kupił komplet ubrań. Na razie nie przejmował się zostawianymi śladami i płacił kartą, podobnie jak za hotel.

Poprosił na recepcji o drugi klucz, wjechał na górę, wszedł do pokoju, z którego jeszcze nie korzystał. Przebrał się i wyszedł. Kilkakrotnie zmieniał taksówki i inne środki lokomocji, wciąż nie widząc żadnego cienia. Wynajął samochód w jednej z firm transportowych i ruszył w kierunku Wrocławia. Zawrócił w Lesznie, jechał chwilę do Poznania, zatrzymał się na jednym z parkingów, wysiadł szukając helikoptera. Nic. Znów zawrócił. W Lesznie skręcił na Kalisz, a potem dojechał bocznymi drogami do Łodzi. W mieście meneli, jak je żartobliwie nazywał po wpadce pewnego aktora, kupił w sklepie z elektroniką zestaw do zakłócania sygnału z GPS, zakładając, że samochód z wypożyczalni ma nadajnik. Odwiedził jedną z kawiarenek internetowych. Zalogował się na stronie awaryjnej i sprawdził skrzynkę. Zgodnie z oczekiwaniami była w niej jedna wiadomość. Przeczytał ją uważnie kilka razy, zastanawiając się, czy wykonać polecenia. Nie był pewien, czy Pośrednik nie kłamie. Czy mógł mu ufać.

Wylogował się, wyszedł z kawiarenki, wrócił do samochodu, poszedł na zakupy do lumpeksu i wyjechał z miasta. Noc spędził w jednym z moteli, gdzie ogolił głowę, dobrał ubrania i okulary. Oczywiście wciąż był rozpoznawalny, ale unikając monitoringu, powinien jakoś umknąć przed czujnymi oczami operatorów z wydziałów poszukiwawczych. Systemy rozpoznawania twarzy szczęśliwie nie były jeszcze tak doskonałe. A może nikt go nie szuka?

Dojechał do autostrady. Opłacił przejazd na pierwszej z bramek. Jechał

prawym pasem nie przekraczając dozwolonej prędkości. Przez całą drogę nie minął ani jednego radiowozu. Wczesnym popołudniem dotarł do Gdańska.

Miał ostatnią w tym kraju robotę do wykonania.

Tym razem na własny rachunek.

*

W końcu się udało. Głupi Majkel uwierzył, że jednak u ginekologa może ją zostawić samą i posiedzieć w poczekalni. Jak tylko weszła do gabinetu, doktor Izdebski porozumiewawczo przytknął palec do ust i na paluszkach poprowadził ją do drugiego wyjścia.

– Mam nadzieję, że ten pani namolny adorator da pani spokój.

– Ja również.

– Jeśli pani sobie życzy, powiem, że będą pięcioraczki.

– Obawiam się, że wcale się nie przerazi. Mówił, że chce mieć dużo dzieci.

– No tak, kawał chłopca z niego...

– Dziękuję, panie doktorze.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł doktor, który już kiedyś pomógł jej w podobnej sytuacji.

Tyle że od tamtego chłopaka pewnie nie oberwał, a Majkel prawdopodobnie go nieźle przeczołga, zanim ruszy w pościg.

Przepraszam, doktoru.

Na dole wzięła taksówkę i poprosiła o podwiezienie do najbliższego bankomatu. Wyjęła z konta pięć tysięcy, żeby bez kłopotu pojechać w obie strony. Potem zalogowała się na fałszywym koncie na Fejsie i odszukała wiadomość z adresem. Wprowadziła dane na mapę i pokazała kierowcy.

– Daleko to?

– Hoho.

– Pojedzie pan?

– Ale to będzie bardzo drogo, proszę pani.

– Proszę podać sumę.

Jechali prawie trzy godziny. Eliza patrzyła na widoczki za oknem i myślała, że jednak żyje w niezwykle pięknym kraju. Pięknym i niebezpiecznym.

Zerknęła do torebki.

Nóż, jej stary przyjaciel, tkwił na swoim miejscu pomiędzy portfelem i kosmetyczką. Była gotowa go użyć. Jeśli będzie trzeba, zrobi to. Po mamie, koniu, po tej całej przeżytej traumie nie miała najmniejszych skrupułów. Zrobi, co będzie trzeba. Ostatecznie, raz na zawsze zakończy ten temat.

*

Córka Waisa zniknęła!

Mona niespecjalnie przejęła się wiadomością przyniesioną przez Prygla. Prokurator jednak najwyraźniej był innego zdania, bo chodził od ściany do ściany, jakby go ktoś zaprogramował. Wyraźnie podenerwowany walnął w końcu pięścią w ścianę.

– Co się dzieje?

– Nie potrzebuję teraz żadnego zniknięcia – warknął. – A już na pewno nie morderstwa.

– Może miała dość ochrony i zwinęła się z kumpelami na piwo – zasugerował Diesel.

– Żebyś wiedział – przyznał Prygiel. – Tak to wygląda, że sama związała. Tyle że wszystkie kumpele zostały w blokach startowych.

– Zaraz się znajdzie – mruknął ktoś z tyłu.

Prygiel upewnił się, że mają pod kontrolą podejrzanych, po czym chwycił Monę za ramię i wyprowadził do piwnicy.

– Nie podoba mi się to.

– Sprawdzę – obiecała Mona.

– Jeśli córce Waisa coś się stanie, wszyscy bekniemy. Diuk nam tego nie daruje.

– Diuk? – zdziwiła się. – Co ma Diuk do...

Prygiel wyraźnie się zmieszał.

– Pewnie nic, ale to wykorzysta. Znajdź Elizę!

Prokurator poszedł w diabły, Diesla też już nie było, Mona została sama z aktami. Była dziewczyną z Poznania, z małym stażem w Warszawie. Niby jak miała znaleźć laskę z Sopotu, która postanowiła się urwać? Kutasy.

Jeden z gości od Diesla wlaźł akurat do domu z kebabem.

– Ej – krzyknęła do niego.

– Co?

– Wypierdalaj mi z tym śmierdziuchem.

– Od razu...

– Nie kracz, tylko wypierdalaj! Zeżryj na podwórku i wyrzuć resztki do kosza na zewnątrz. Nie będzie capić.

– Dzięki. Dawniej mówiło się: smacznego.

Mruczał coś jeszcze pod nosem, coś jak: śmierdzi jej, kurwa, baraninka; więc dorzuciła:

– Teraz się mówi: wypierdalaj.

A miała nie przeklinać...

Zamknęła się w jednym z pokoi i otworzyła laptopa. Miała na nim wszystkie akta. Już chyba z dziesięć tysięcy stron. No i weź tu znajdź w tym morzu literek i cyferek jedną laskę. Elizę Wais. Wywołała teczkę z ostatnimi dokumentami od Diesla. Materiały dotyczące Fundacji Pomoc. Na razie postanowiła zostawić w spokoju fundatora i skupić się na dokumentach o jej podopiecznych.

Lista nazwisk z Nikiform na czele.

Przeczytała wszystkie sześć nazwisk.

Cicho. Głośno.

Coś jej nie grało.

Nazwisko numer sześć.

Coś inaczej brzmiało, zwracało uwagę, jednak wciąż nie była pewna co.

Człowiek numer sześć.

Pomyślała o Iwonie, słodkiej Juliette i wtedy zrozumiała. Rywalka i niedawna przyjaciółka pobudziła jakiś zmysł, który wychwycił powiązanie.

– A niech mnie...

Szóste nazwisko na liście.

Bez znaczenia jeśli chodzi o literki.

Znaczenie miało to, jak gościa nazywano w Trójmieście, pod jaką ksywką był znany.

Trzy sekundy później dzwoniła do Artysty z listą super pilnych próśb–żądań, która ciągle rosła.

*

Taksówka zaparkowała przed wjazdem na posesję. Kierowca podszedł do bramki i nacisnął dzwonek. Przeształ z nogi na nogę jakieś piętnaście sekund. Rozejrzał się, stanął na palcach, odwrócił głowę, wzruszył ramionami. Wrócił do auta.

– Nikt nie odpowiada, wracamy?

– Pan niech wraca, ja zostaję.

Kierowca popatrzył badawczo, wyraźnie zaskoczony. Miał zostawić tę dziewczynę w lesie? Zdążył ją już polubić.

– Nie no, panienko...

To nie Mniszkówna, stary capie – pomyślała.

– Dam sobie radę, proszę jechać. Ktoś zaraz po mnie przyjdzie.

Westchnął. W sumie dobry z niego człowiek, ale przecież nie żaden bohater.

– Jak pani chce.

Taksówka odjechała. Eliza stała przed bramą próbując znaleźć wytłumaczenie dla swojego postępowania. Nacisnęła przycisk dzwonka. Bez

wiary, nie sądząc, że ktoś odpowie. A jednak po chwili rozległ się brzęczyk zwalniania zamka i mogła pchnąć bramkę.

Weszła do paszczy lwa.

*

Artysta nie lubił być przez nikogo poganiany.

Sz szczególnie przez sprawy życia i śmierci.

– Pracuję powoli, lecz skutecznie.

– Jeśli ją zabiją, twoja praca nie będzie miała znaczenia.

– Procesowo? Jak najbardziej.

– Artysta!

– Tak?

– Nie pierdol!

– No przecież... robię swoje.

Włamał się już na kolejny „tajny” profil Elizy Wais i analizował poszczególne wiadomości, zdjęcia, wpisy. W końcu zabrał się za lokalizację, adresy i mapy. Zestawił je z danymi z rejestrów skojarzonymi z nazwiskiem podanym przez Monę.

– Chyba mam.

*

Eliza przeszła przez zapuszczony ogród, minęła nieczynną fontannę pokrytą brunatno-zieloną warstwą mchu, zakrzaczoną ścieżką dotarła do drzwi willi udającej niewielki dworek. Przy skromnych gabarytach ściany frontowej, zdecydowanie zbyt masywny ganek z dwiema prostymi kolumnami pasował jak rękawice bokerskie baletnicy.

Nigdy nie była w tym domu, choć kiedyś Artur jej o nim opowiadał.

Weszła do środka. Piękny młody mężczyzna czekał na kanapie w salonie. Palił papierosa i pił wino z butelki. Obok leżało kilka pustych butelek i paczek po papierosach. Początkowo wyglądał na zaskoczonego, jakby jej się nie spodziewał, jakby nie oczekiwał, że odpowie na wiadomość i przyjedzie. Szybko jednak alkohol znieczulił umysł i znów było mu wszystko jedno.

– Nie patrz z taką naganą – szepnął. – Siedzę tu, palę i piję od dwóch tygodni. Ciągle sam. Prawie. Zwariować można.

Przeszła przez pokój, nie rejestrując mrocznych szczegółów wnętrza. Była pewna, że jutro nie będzie niczego pamiętać, może poza ogólnym wrażeniem:

zadymiona, opuszczona przez słońce, zasyfiona, zaniedbana melina. Może to znamienne. Tak jak jego ojciec miał talent do organizowania i budowania, tak Artur niszczył, czego dotknął. Wszystko wędło, zniknęło, łamało się, pleśniało.

Kopnięta przypadkowo butelka przetoczyła się od kanapy do fotela, jakby chciała wskazać jej drogę. Eliza usiadła, kryjąc twarz w dłoniach. Do diabła, niepotrzebnie tu przyjeżdżała. Powinna iść z tym na policję i powiedzieć, co wie. Przysłać ich tu. Zdradzić.

– Miałeś być w Meksyku.

Roześmiał się.

– No i... jestem. Niezły Meksyk, nie?

Skinęła głową kopiąc, tym razem celowo, kolejną butelkę.

Artur skrzywił się na głosny, nieprzyjemny zgrzyt.

– Ojciec stwierdził, że na Meksyk dla mnie mu szkoda. W ogóle mu szkoda na cokolwiek związanego ze mną. Powiedział, że jedyne, za co jeszcze zapłaci, to adwokat. I to chyba tylko po to, żebym nie klepnął coś dla niego zawstydzającego. Jeeezu, zaraz zwariuję.

– Mój stary uważa, że to twój zlecił porwanie mojej mamy.

Szczerze się zdziwił.

– Zwariował?

– Nie. Tak to wyglądało.

– Ale... przecież to głupota. Po co ojciec miałby to robić?

– Żebyśmy milczeli. O Marcie.

Machnęła ręką, jakby szkoda było komentować podobne bzdury. Dziś i oni to wiedzieli. Ale wtedy... było inaczej. Wtedy naprawdę myślała, że to mogą być Wilkosze.

– Marta, Marta. Ciągle ta Marta. Nic jej nie zrobiłem, przecież wiesz...

– Wiem.

– Zakochała się, idiotka... Co ja zrobię, że... jestem inny.

Coś o tym wiedziała.

– Wszystkie jesteście takie same... Wszystkie chcecie tego samego...

Przyjaźń...

My? Przyjaźń? Eliza prychnęła. To ty za mną łąziłeś, uwodziłeś, starałeś się. Myślałeś, że w ten sposób schowasz przed innymi prawdziwego siebie. Zakamuflujesz. Oszukasz. Myślałeś, że dzięki temu stary uwierzy, że nie jesteś homo. To ty traktowałeś mnie i inne kobiety przedmiotowo. I po tym chciałbyś przyjaźni?

– Powinieneś zgłosić się na policję.

– Wiem.

– Dlaczego tego nie zrobisz?

Nie odpowiedział.

– Ojciec? Zabrania ci? Wstydzi się... kim jesteś? Boi się, że to wyjdzie?

Zaśmiał się piskliwie. A potem nagle spoważniał i popatrzył na nią z jakimś szaleństwem w oczach.

– Ty lepiej pilnuj swojego ojca furiata. Lepiej jego pilnuj zanim się wyda...

– Co masz na myśli?

– Zapytaj go o nas. O mnie i o niego...

Nie zdążyła odpowiedzieć, rzucić się na gówniarza, wydusić odpowiedzi. Gdzieś na górze zaskrzypiały drzwi. Ktoś zbiegał z piętra. Eliza zrozumiała. Pojęła wszystko. Prawie. To nie stary mu zabraniał. To nie przez niego Artur nie chciał mówić. Nie siebie chronił. I to nie Wilkosz napisał do niej wiadomość, by przyjechała.

Stąd to początkowe zdziwienie.

Ktoś inny tu na nią czekał. Ktoś winny. Wiedziała, kim jest ten ktoś.

*

Samochód czekał na niego w wynajętym garażu osiedlowym. Dokładnie tam, gdzie zaparkował rok temu. Nic nie wskazywało, żeby ktoś się do niego dobrał. Otworzył bagażnik, a potem pudło wyłożone styropianem i wyjął z niego akumulator. Zainstalował baterię, podłączył plus do plusa, minus do minusa. Usiadł na tylnej kanapie i przebrał się w mundur policyjny. Był oryginalny, podobnie jak dokumenty włożone do bocznej kieszeni. Kosztowało to majątek, ale dziś mogło okazać się bardzo przydatne. W systemie nikt tego nie wychwyci. Dla innych policjantów będzie ich kompanem.

Zajął miejsce za kierownicą, uruchomił silnik i wtedy zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie wie, co powinien zrobić. Miał dwie możliwości. Dwa cele do wyboru zanim opuści Polskę raz na zawsze. Komu powinien zaufać?

Przecucia były ważne, ale oszukiwały go równie często jak polecenia.

W końcu zdecydował.

Włączył bieg i powoli wyjechał z parkingu. Na światłach skręcił w kierunku obwodnicy. Był środek dnia, zbliżały się godziny szczytu.

Wliczając korki, czekało go parę godzin jazdy.

*

Menago. Człowiek numer sześć miał ksywkę Menago. Przez całą drogę do ukrytej w głuszy leśniczówki wskazanej przez Artystę, Mona próbowała sobie przypomnieć i ułożyć w głowie ustalenia, które poczyniły z Iwoną.

Marta Furman zniknęła przed rokiem, niedługo po poznaniu Artura Wilkosza i jego przyjaciela Menago. Rzekomego bawidamka, uwodziciela i podrywacza. Gościa, którego ludzie raczej lekceważą. Traktują niepoważnie. I który nie mógł mieć związku ze zniknięciem, bo był przecież na jakiejś wycieczce w Rzymie.

Dały plamę.

Za łatwo uwierzyły. Nie sprawdziły.

Ona i Iwona.

Menago nie wydawał się groźny.

Tymczasem, gdyby uważniej przeczytały jego akta, dziś pewnie byłyby w zupełnie innym miejscu.

Wystarczyło przeczytać akta.

Głupi, banalny błąd.

Jak zawsze.

– Już sobie nie wyrzucaj – szepnął Diesel.

Prowadził brawurowo, ale pewnie. Jego bmw nie miało policyjnych atrybutów, radia i koguta. Za to kryło pod maską prawie dwieście pięćdziesiąt koni. I teraz pędziło w porywach prawie trzysta na godzinę, zwalniając tylko na serpentynach, na których rzeczywiście nie dało się jechać szybciej.

– Skup się – mruknęła.

Diesel wyprzedził na zakręcie malucha, zredukował bieg, wcisnął pedał gazu do dechy. Samochód wyjąc głośno w trzy sekundy przyspieszył do stu pięćdziesięciu. Sprzęgło, wyższy bieg, znów gaz do dechy, dwieście dwadzieścia i niemal natychmiastowe hamowanie. Redukcja, kolejna serpentyna, jeszcze jedna redukcja, gaz do dechy.

Cholerne kaszubskie drogi.

Pełne uroku, wspaniałych widoków i takie wkurzające, gdy się człowiek spieszy.

Prosta. Bieg. Gaz. Sprzęgło. Bieg. Gaz. Hamulec.

– Nie zabij nas.

– Mam podzielną uwagę.

Zerknęła na rozłożone na kolanach wydruki z akt Menago.

Menago. Cholerny Menago. Podopieczny Fundacji Pomoc. Pozornie niegroźny tulipan, podrywacz. Drobnny rzezimieszek, sutener, pięknousty łowca przyszłych mewek. W rzeczywistości tkwiący w patologjach od kołyski. Ojciec pijak, matka bezrobotna. Duża rodzina. Pięcioro braci, dwie siostry. Wszyscy z problemami. Menago się urywa i zalicza pierwsze wpadki. Poprawczak, wyrok za kradzież i handel narkotykami. Potem rozboje. Dwie bójki. Wreszcie coś poważniejszego. Nieumyślne spowodowanie śmierci jakiegoś bezdomnego. Nieumyślne. Słowo klucz.

Na badania psychologiczne pewnie mało kto wtedy zwrócił uwagę. Za to

biegli nie mieli wątpliwości. Psychopata zakochany w przemocy. Bezwzględny, nieczuły, rozumiejący znaczenie swoich czynów, jednak nie hamujący chorych popędów. Nie widział różnicy w krzywdzeniu zwierząt i ludzi. Dla niego inni byli... bez wartości.

Kolejny wyrok – zdaniem biegłego – był tylko kwestią czasu.

Wtedy znalazła go Fundacja Pomoc.

Menago wyszedł z pudła i powoli wrócił do roli niegroźnego uwodziciela. Czyżby była to idealna przykrywka dla zawodowego zabójcy z klubu płatnych cyngli?

Dobrnęła do końca teczki Menago akurat, gdy wjeżdżali żwirówką do lasu.

Tu Diesel musiał wyraźnie zwolnić.

Przynajmniej na chwilę.

GPS pokazywał im półtora kilometra i dwie minuty jazdy. ON odbił kierownicą, wyrównał po skręcie, wyjechał na prostą i znów nacisnął pedał gazu do dechy. Pierwsza minuta minęła w dziesięć sekund.

*

Daniel nie miał czasu na rozprawienie się z Kudłatym. Teraz ważna była tylko Eliza. W siedzibie CBS nikt nie chciał mu nic powiedzieć. Gebert wysłuchał spokojnie gardłowych krzyków, a potem próbował go usadzić i uspokoić.

Miał ochotę chwycić policjanta za gardło i siłą wydobyć informację.

– Może mi właśnie córkę mordują, nie rozumiesz!

Ale Gebert nic nie mógł poradzić, bo nic nie wiedział.

– Uspokój się. Jak tylko czegoś się dowiem, damy znać.

– Co robicie? Co?!

Róbcie, róbcie, róbcie.

Błagam, róbcie...

Gebert wybrał numer do Mony, ale nie odebrała.

*

Przepraszam cię, tatku, przepraszam.

Eliza siedziała w piwnicy, w całkowitej ciemności i przeklinała, jaka była głupia. Jestem kretynką. Ostatnią, beznadziejną kretynką. Na dodatek chyba połamaną. Ilekroć próbowała poruszyć prawą ręką, czuła piekielny ból w barku. Bolały też stłuczenia na policzku i biodrze.

Menago był silnym mężczyzną. W przeciwieństwie do Artura, który

próbował jej pomóc. Ale już ona lepiej walczyła. Nożem i kopniakami. Menago najpierw zabrał jej nóż, wykręcił ramię, a gdy kopnęła, uderzył dwa razy. W twarz i w pierś. Potem chwycił za włosy i przeczołgał do schodów. Jedną ręką. Drugą zdzielił Artura. Wystarczył jeden cios, by młody Wilkosz stracił przytomność.

A teraz leżeli razem w piwnicy i czekali na śmierć.

Czekali aż Menago obmyśli jak to upozorować, by policja uznała, że wzajemnie się pozabijali.

Ona i Wilkosz.

Wilkosz milczał.

Ona myślała.

Zastanawiała się, jak umrą.

I błagała ojca o wybaczenie.

*

Nikifor patrzył na dom w lesie, który dotąd odwiedził tylko raz. Dawno temu. Dziesięć lat. Prawie. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie za bardzo ryzykuje i nie robi zwykłej głupoty. Jeśli jego podejrzenia są słuszne, w środku czekała na niego pułapka. Jeśli niesłuszne i tak niepotrzebnie ryzykuje.

A jednak musiał zrobić to, co zaplanował.

Taki już był.

*

Zostawili beemkę i ostatnie sto metrów przebiegli, żeby nie ostrzec mieszkańców leśniczówki. Diesel trochę rozpraszał Monę. Nigdy nie spodziewała się, że będą razem na akcji. Że życie jednego może zależeć od sprawności drugiego. Dotarli do ogrodzenia i Diesel bez wahania przeskoczył przez płot, a potem pomógł jej przejść. Powinni poczekać na wezwane wsparcie, zabezpieczyć teren, obejrzeć całą posesję, potem wybrać najlepsze miejsce do obserwacji i zaczekać. Powinni.

Diesel po chwili był przy drzwiach. Nacisnął delikatnie klamkę. Otwarte. Wszedł pierwszy, wycelował broń w lewo i prawo, zrobił krok do przodu.

Wtedy dostał kulkę.

*

Daniel nie odczekał nawet sekundy, gdy cała kolumna samochodów z Gebertem, Latosem i innymi ruszyła na sygnale. Nie chcieli go zabrać. Procedury, tłumaczyli. Ale może jechać za nimi. Byle nie za blisko. Spojrzał na kartkę z adresem, którą po cichu wręczył mu Latos. Przyjeźdź tam. Tam jest twoja córka. Tam będziemy na ciebie czekać.

– Akurat – szepnął i wybrał numer do firmy przewozowej. Zobaczymy, kto na kogo poczeka. – Halo. Potrzebuję helikoptera. Jak najszybciej.

*

Odpowiedziała ogniem. Huknęło. Potwornie huknęło. Razy dwa. Zlane w jeden. Diesel upadł i stoczył się po schodach do piwnicy. Nie myślała o tym, czy żyje, czy będzie w stanie mu pomóc. Musiała unieszkodliwić strzelca. Inaczej oboje zginą. Dwa strzały, skok za osłonę, wychylenie. Nic. Cisza. Dym i zapach siarki. Szum w uszach. Dudnienie, jakby była pod wodą. W oddali cień. Poruszał się przy ścianie, coraz szybciej. Biegł.

Wstała.

– Stój! – Krzyknęła i nacisnęła spust.

Huk ponownie zadźwięczał w uszach. Echo dudniło, szumiało.

Ciszej. Znacznie ciszej, bo już były przyzwyczajone, już otepiałe, ogłuszone.

Cień przyspieszył. Pobiegnęła za nim. Kolejne drzwi. Do ogrodu. Otwarte. Cień za nimi. Biegł. Widziała albo jej się wydawało. Wybiegła. Nic. Cisza, przestrzeń, drzewa, krzaki. Żadnego ruchu. Mógł być wszędzie. Szła coraz wolniej mierząc z broni do krzaków i gęstwiny. Walcząc z pragnieniem, by nie odwrócić się i nie pobiec do Diesla, ratować kochankę, ratować przyjaciela.

Krok. Ostatni. Stop.

Nie powinna tego robić. Narządała się. Wystawiała. Zaraz dostanie kulkę. Jeszcze krok i się schowa. Poczeka. A potem ucieknie do Diesla, pomoże, sprawdzi, wezwie pomoc, zaszyje się i wyczeka. Wtedy usłyszała cichy dźwięk. Jakby ktoś pocierał podeszwą o deskę. Z tyłu, za nią. Menago ją wyrolował. Był za nią. Mierzył do niej. Czekał, aż się odwróci. Jeśli to zrobi, dostanie kulkę. Między oczy.

Koniec pięknej kariery.

Przez głupotę.

A jednak musiała to zrobić.

Nabrała powietrza i obróciła się najszybciej jak umiała, jednocześnie przyklękając.

Strzał padł mniej więcej przy jednej trzeciej obrotu.

Nie było bólu.

Nic nie bolało.

Menago nawet nie pisnął. Padł z dziurką w głowie dokładnie pomiędzy oczami. Z krzaków za plecami wyszedł człowiek w czarnym kombinezonie. Trzymał niemiecki karabinek H&K MP5 wyposażony w różne akcesoria celownicze. Za nim czaiły się dwie inne podobne postaci. Jedna z bronią snajperską, z której prawdopodobnie zginął Menago.

Strzelec opuścił broń, zdjął kominiarkę.

Zimne, rozwodnione, niebieskie oczy.

Diuk.

Myślała, że w tym wieku już się nie bawi w bezpośredni udział w akcji.

Nie wyglądał na specjalnie zadowolonego, że ją widzi.

Ona też nie była szczęśliwa.

– Cześć, Mona. Właśnie zepsułaś mi pułapkę.

Nie odpowiedziała.

Odwróciła się i pobiegła szukać Diesla.

*

Biernat pogładził łysą głowę. Uśmiechnął się wymuszenie. Kudłaty. Wiedział, że tak go nazywają na mieście właśnie z powodu łysiny. Dla niepoznaki i z wyraźnym sarkazmem.

Kudłaty.

W cztery oczy nikt nie odważył się do niego tak mówić. Ale gdy tylko odchodził na bok, języki się rozwiązywały. Niebieskiego, Menago, Nikifora, innych podopiecznych Fundacji Pomoc i nie tylko. Dbał o nich jak ojciec, dawał zlecenia, pomagał zdobywać kontrakty, a oni zamiast wdzięczności okazywali zwykle pogardę.

Każdy z nich zawdzięczał mu nowe szanse, nowe życie, a jak się odwdzięczali?

Porażki.

Jego życie to ciąg porażek.

Osobistych i zawodowych.

Nawet jeśli na zewnątrz wyglądało to inaczej, to on dobrze wiedział, że nic tak naprawdę mu nie wyszło. Ludzie patrzyli tylko na jego pieniądze, wykorzystywali umiejętności, wiedzę, relacje i tylko dlatego utrzymywali z nim kontakt. Tylko dlatego.

Może i dobrze, że to koniec – pomyślał.

Do furgonetki stojącej na podjeździe położonej w lesie luksusowej willi, o której wiedziało tak niewielu, którą ukrywał przed większością swoich

znajomych, właśnie zapakowano ostatnią z podróźnych toreb. Jeszcze dziś wyruszą w podróż do Chin. Zawsze chciał tam pojechać. Tyle razy już się szykował, był blisko, a potem rezygnował. Dziś w końcu nadszedł czas. Stanie się emigrantem, jak ojciec partyzant. Prawdziwy Grek wiecznie szuka swojej odysei. Jest żeglarzem, podróżnikiem. Niespokojnym duchem.

Pojedzie, zobaczy, może zostanie.

Miał coś do zaoferowania.

Wierzył, że Chińczycy to docenią. Przyjmą go jak swojego.

Patrzył uważnie w twarze pracowników firmy transportowej próbując wychwycić wśród nich gliniarzy. Nie rozpoznał żadnego. Ale nawet jeśli ich nie ma, czekają w pobliżu. Czają się gdzieś w cieniu. Jeśli nie wyjedzie, nie spełni obietnicy danej temu napalonemu na sukcesy oficerowi, wkroczą.

Przyjdą po niego i nawet jeśli nie udowodnią winy, nie dadzą żyć.

Od jakiegoś czasu wiedzieli, kim jest.

Brakowało im dowodów, ale wiedzieli.

Spryt nie miał tu nic do rzeczy. Nie mógł go uratować.

Oczywiście procesu i tak nie byłiby w stanie mu wytoczyć. Nie znaleźliby żadnych związków z połączeniami czy stronami internetowymi. Przelewy czy podejrzone transakcje? Może. Ale to by nie wystarczyło. Za mało. Oskarżyliby go o bycie fundatorem? O dobre serce?

Klub płatnych zabójców?

Szef jakiejś tajemniczej mafii byłych przestępców?

Co to za spiskowe teorie?

Tylko w Polsce z wolontariusza i dobroczyńcy można zrobić przestępcę. Bo ja przecież tylko założyłem Fundację Pomoc i zbierałem dla niej pieniądze. Chciałem pomagać ludziom i społeczeństwu, a jaką mam za to wdzięczność?

Nigdy mi nie udowodnicie, że to ja kierowałem zleceniami.

Nikt mnie nie zdradzi, bo każdy jest zabójcą.

Żaden z nich nie może być koronnym.

Ten oficer to rozumiał.

Dlatego zaproponował mu układ.

A on go przyjął.

Wyszedł przed dom, podpisał dokumenty u kuriera, kątem oka zobaczył jakiś ruch przy wejściu, ale gdy się obejrzał, niczego nie dostrzegł.

Pomyślał, że to może Daniel. Nigdy nie był w tym domu, ale gdyby chciał, z pewnością znalazłby adres. Może właśnie tak powinno się to potoczyć. Biernat ostatnio często zastanawiał się, czy nie powinien inaczej poprowadzić sprawy Waisa. Znacznie mniej ryzykownie.

Mimo to... nie żałował.

Jak to mawiał ojciec? Los zdecydował, ty jesteś tylko jego posłańcem.

Los.

O wszystkim decyduje przeznaczenie i bogowie, jeśli w nich wierzymy.

Wrócił do domu. Furgonetka z całym bagażem odjechała. Miał ostatnią, najbardziej osobistą torbę do spakowania. W przedsiönku instynktownie otworzył drzwi garażu na trzy samochody. Był przygotowany na limuzynę i dwa inne pojazdy, jednak Biernat nigdy jakoś nie mógł się przekonać do drogich aut. Miał limuzynę, ale przechodzoną. Na co dzień jeździł roverem, bez kierowcy. Stać go było na najdroższe roadstery i najbardziej reprezentacyjne pojazdy, a jednak w tym aspekcie nigdy nie pozwolił sobie na przesadę.

Dlaczego?

Samochody nic nie znaczyły. Dla niego były tylko przedmiotami. To była właściwa odpowiedź. Dla innych znaczyły więcej. Były bardziej istotne niż domy, garnitury, a nawet żony. Różnili się w ocenach. Po prostu.

Zamknął drzwi od garażu, przeszedł przez salon i wtedy go zobaczył.

Stał z boku, w pobliżu drzwi do kuchni. W mundurze, czapce policyjnej, z wymierzonym w niego glockiem.

Dobrze go przygotował, wyszkolił.

Był jego najzdolniejszym uczniem.

Powinien dziś być w zupełnie innym miejscu. Ale Biernata nie zaskoczył. W końcu mógł się liczyć z takim obrotem sprawy. Powinien. Diuk też powinien to przewidzieć.

Popełnili błąd.

A za błędy trzeba płacić.

Nikifor go zabije. Nie było sensu go przekonywać.

Za zdradę jest tylko jedna kara.

A Nikifor był pewien, że Grek zdradził.

I miał rację.

Biernat nie poczuł strachu, żadnych większych uczuć. Był tylko wrakiem człowieka od dawna, a od roku szczególnie. Wtedy przeżył swoją największą radość i zarazem największe rozczarowanie, najwspanialszy sukces przybrał błyskawicznie oblicze najdotkliwszej klęski. To, co go zmieniło i utrwaliło. Co pozbawiło złudzeń. A teraz, przez Nikifora, ona się nigdy tego nie dowie.

Nie zrozumie.

*

Drzwi stanęły otworem. Ktoś zaświecił latarką. Potem włączył światło. Zmrużyła oczy. Jedna, druga, trzecia twarz. W czarnych strojach, z bronią w rękę. Nie słyszała słów, nie była w stanie ich rejestrować i zrozumieć. Zniknęli. Wtedy

pojawiła się kolejna postać. Zaniepokojone oczy, ten błysk, pełen złości, ale i nadziei. W jednej chwili uspokojona, gdy je zobaczyła. Szczery uśmiech zastąpił grymas bólu.

Płakała przez śmiech.

A potem szepnęła:

– Przepraszam, tato.

Rozdział 30

[data: brak wpisu

A jednak jeszcze ci coś napiszę. Żebyś żałował, draniu. Może pożałujesz?

Wrzesień, już wrzesień, po wakacjach. Eliza jeszcze nie wróciła z Włoch, z sanatorium. Píše codziennie, że wciąż z nią źle. Wciąż się boi. Ciemności, kroków na schodach, a nawet szelestu gazet. Nie wiem dlaczego akurat gazet. Boi się. Strach jest niemal namacalny, dotkliwie namacalny, jak pisze.

Daniel obraził się na amen za te zmarnowane wakacje, o których ci pisałam. Twierdzi, że nie będzie już ze mną gadał, nie będzie dopytywał, zostawi w spokoju. Jak chcę, to może mnie na zawsze zostawić. Nie chcę. Ale jak mam mu to powiedzieć.

Przestałam go nazywać Daniello. Chyba nie zasłużył na kpiny, a pomyślałam, że pokażę mu ten dziennik. Może wtedy zrozumie. Może to nas uratuje. Chyba że nie pokażę.

Wczoraj dzwoniła ta policjantka, Mona. Pogadaliśmy trochę o Brzydalu, bo jego roli wciąż do końca nikt nie może zrozumieć. Dobrze, że przynajmniej go załatwili, bo nie będę musiała spoglądać mu w oczy. Nie dałabym rady. Mona pytała, czy się domyślam, dlaczego to wszystko robił. Nie wygadałam jej tajemnicy. Nie mogłam. Ona twierdzi, że wkrótce koszmar się ostatecznie skończy. Albo zacznie. Bo będę musiała się przygotować na procesy i inne. Co mogę poradzić? Nic. Znow to przejdę. Trudno. Samej może będzie łatwiej? Może. Co zrobić, powiedz, co mam zrobić, żeby to uratować? Da się uratować? Nie obchodzi cię to, prawda? Nic cię nie obchodzi, tylko reklamowe impulsy.]

Wysoki, potężny mężczyzna o lekko zgarbionej sylwetce i za długich ramionach stanął przed przejściem dla pieszych. Kilkakrotnie rozejrzał się, zanim

przeszedł na drugą stronę ulicy, co wzbudziło uznanie w oczach nauczycielek podprowadzających do świateł naprzeciwko grupę pierwszoklasistów. Mężczyźni towarzyszył bowiem mały, może ośmioletni chłopiec, tak podobny do pociech, które miały pod opieką. Obecność dziecka mogła tłumaczyć przesadną ostrożność, jaką mężczyzna zachowywał na przejściu. Mona jednak wiedziała, że chodzi o coś zupełnie innego.

Mężczyzna ich szukał. Wypatrywał śledzących go agentów. Wiele razy próbował mylić tropy, żeby zgubić ewentualny ogon i nie doprowadzić policji do celu. Prawdopodobnie również z powodu obawy przed zatrzymaniem, tak chętnie ostatnio wychodził na spacer z dzieckiem swojej konkubiny. Wiedział, że jeśli będzie trzymał blisko takiego brzdąca, uniknie brutalności, a może wykorzysta malca jako zakładnika.

Drań.

Mona mocno zacisnęła pięści.

Być może źle oceniała Brązowego. Może obawy o wykorzystywanie brzdąca do ochrony były niesłuszne. Może Brązowy nigdy nie zdobyłby się na zasłonięcie dzieckiem. Musiała jednak wziąć pod uwagę najgorszy możliwy scenariusz.

W tym śledztwie ona i inni popełnili już tyle błędów, że nie mogła sobie pozwolić na kolejny. Prygiel tylko na to czekał.

Każdy nowy hak przyda się proporcjonalnemu prokuratorowi i jego ministerialnym mocodawcom. Na tym polega ta gra.

Siedzieli w mobilnym centrum dowodzenia, wypełnionym monitorami, głośnikami i sprzętem komputerowym. Ona, Prygiel i dwaj oficerowie w mundurach. Operatorzy sprawnie zarządzali obrazami z kamer miejskiego monitoringu i zespołów szturmowych, przygotowanych do przeprowadzenia zatrzymań. Furgonetka z zewnątrz nie różniła się niczym od zwykłych dostawczych samochodów. Wszystkie anteny, kamery i mikrofony kierunkowe były bardzo dobrze ukryte dzięki wydanym na ten cel setkom tysięcy unijnych euro.

Brązowy nie mógł ich rozpoznać.

Mężczyzna z dzieckiem przeszli w końcu przez ulicę, skręcili w lewo, weszli za róg, zawrócili. Ośmiolatkowi podobała się ta zabawa w podchody. Śmiał się głośno, gdy „wujek” tak kluczył, zwodził, skręcał gwałtownie i nieoczekiwanie.

Zabawa.

Mona pokręciła głową z politowaniem, zastanawiając się, który z tych dwóch jest większym dzieckiem.

Brązowy podszedł do klatki schodowej ośmiopiętrowego bloku wybudowanego w czasach wczesnego Gierka. Stał przed całkiem niedawno założonym domofonem. Obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, omiół wzrokiem grupkę kibiców Lechii, zarejestrował dwóch żuli i matkę z wózkiem. Był

niespokojny i rozdrażniony, ale chyba uznał, że jest bezpiecznie. Popatrzył w niebo, przyjrzał się jakiemuś gołębiowi, czy nie sztuczny, po czym zakrył jedną dłonią wyświetlacz z klawiaturą i wybrał kombinację cyfr.

– To ja – usłyszała Mona w słuchawkach. Mikrofon kierunkowy dobrze ściągał. Dźwięk był czysty i wyraźny.

– Jest w porządku? – zabrzmiało w głośniku pytanie Niebieskiego.

– Nie jest w porządku – odparł Brązowy zgodnie z szyfrem, który ustalili.

– Wchodź.

Terkot brzęczyka zasygnalizował zwolnienie zamka. Mężczyzna z dzieckiem weszli do środka. Drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Mona rozparła się wygodnie. Mają pół godziny czekania. Może trochę dłużej. Już dawno ustalili, które mieszkanie odwiedza Brązowy z dzieckiem. Byli prawie pewni, że jest w nim Niebieski. Prawie. Liczyli, że w końcu wychynie z dziury, jednak cwaniak zaszył się tam i w ogóle nie wychodził. Zasłonił szczelnie okna, otwierał je tylko na noc, żeby przewietrzyć, na balkon nie wychodził ani razu, z domu też. Brązowy przynosił mu jedzenie. Nikt więcej nie przychodził. Przez cały czas obserwacji nie odnotowali odwiedzin żony czy syna. Niebieski dobrze się pilnował. Ale za słabo jak na Monę. Artysta przeanalizował próbkę głosu i miał pewność.

To jest nasz Niebieski.

Dzisiaj będzie rzeczywiście nasz. Za chwilę. Za parę minut.

Nacisnęła guzik w konsoli i wydała rozkaz dla wszystkich zespołów:

– Czekamy, aż Brązowy wyjdzie.

Prygiel zobaczył, że przymknęła oczy, więc postanowił nie przeszkadzać. Sięgnął po telefon i wpisywał coś na Twitterze. Mona starała się wyciszyć, nie myśleć o niczym, jednak wspomnienia nie dawały jej spokoju. Każdą niebronioną, wolną przestrzeń w mózgu atakowały obrazy zakrwawionego Diesla, ciała Biernata i Menago. Wreszcie screeny z portali i gazet opisujących niezwykłą policyjną akcję, w której słynnego Księcia zdetronizowała niezwykła, najmłodsza policyjna podinspektor.

Superglina.

Ciesz się, zostałam namaszczona na nowego pupilka kolorowych mediów.

Kto by się spodziewał, że taka krucha kobieta rozwiąże sprawę słynnego Klubu Płatnych Zabójców, prawdziwego klubu, nie tego wymyślonego przez media wcześniej.

Stary policjant poniósł porażkę, o czym skrupulatnie donosili redaktorom życzliwi. Układał się z hersztem, doprowadził do jego śmierci, pozwolił wymknąć się jednemu z najgroźniejszych przestępców, którego teraz musi ścigać.

Za to narodziła się nowa gwiazda.

Oto jest, do waszej dyspozycji.

Medialna, intrygująca, pełna tajemnic i zagadek do odkrycia.

Kiedyś przerażająco gruba, dziś... cóż... sami widzicie.

Choć wciąż na diecie.

To się spodoba w *Claudii* i *Nowym Stylu*. Dla *Faktu* i *Superaka* znajdziemy coś z pieprzykiem. Może coś o jej związku z policyjnym cynglem, męskim, brudnym, złym brutalem?

Umieśniony twardziel i taka Calineczka.

Może sesja dla Playboya i CKM?

Co wy na to?

Gazety i portale, inspirowane przez ludzi stojących za Prygłem, na razie nie szczędziły jej pochwał, a ona musiała je bezwstydnie przyjmować, mimo świadomości, jak wiele nie zależało od niej, jak wiele potoczyło się wbrew oczekiwaniom i jak wiele pomyłek zostało i zostanie popełnionych.

Diuk też przecież został potraktowany niesprawiedliwie, ale nie mogła mu pomóc. W tej jednej kwestii Prygiel i jego szefowie byli nieprzejednani.

Zwycięzca może być tylko jeden.

Ty nim jesteś.

Diuka rzucamy na pożarcie, niech się cieszy, że zostaje w służbie i nie musi iść na emeryturę.

Ma kogo gonić.

Po Europie i świecie.

Nikifor czeka.

Chciał mieć sprawę na całe życie, to ma.

Odpokutuje za Teresę, choć – prawdę mówiąc – wcale nie miałaś racji oskarżając go o łapówkę – wyznał jej kiedyś Prygiel. Diuk nie brał. Był częścią prowokacji. Rozliczył się co do grosza, ale w aktach musiało być, jak było. Taka jego rola. Może nieco szara, może nieco przybrudzona, ale przecież nic nie jest czarno białe.

Sama wiesz.

Tak więc, zamiast oddzielać szarości, powinnaś wziąć się do roboty.

Po akcji w leśniczówce nie miała zbyt dużo czasu na pielęgnowanie w sumie niegroźnego postrzału Diesla i odpoczynek. Pozwolono jej się nacieszyć, że żyje i towarzyszyć w drodze do szpitala, a potem przyszedł czas na powrót do służby.

I na osaczenie Niebieskiego, Brązowego i Różowego.

Tego ostatniego już mieli.

Dwaj pozostali omal nie zbiegli, uniknęli wpadnięcia w zastawione pułapki, ale ostatecznie Mona ich dopadła.

– Wiesz – Prygiel jakby wyczuł o czym myśli, – wciąż się zastanawiam, dlaczego nie uciekli za granicę i schowali się w tej dziupli.

Dziupli znanego policji cinkciarza – dopowiedziała w myślach. Też się nad

tym zastanawiała. Niebieski przecież musiał wiedzieć, że w pierwszej kolejności będą sprawdzać właśnie takie adresy. W pobliżu, podejrzone, już wcześniej namierzone. Dlaczego więc tu się ukrył?

– Dziupła jak dziupła – mruknęła.

– Przecież ten Niebieski musi wiedzieć, że w końcu wpadnie. Oszukuje się? Na co liczy? Niby taki cwaniak, a chowa głowę w piasek jak struś. Myśli, że przejdziemy obok? Ma nas za kompletnych idiotów?

Może.

– Dwa razy już mu się udało – zauważyła.

Dwa razy zrobił z nich kretynów.

Prygiel strzyknął śliną przez zęby i wrócił do przeglądania Twittera.

Mona zaś myślała o jego ostatnich słowach. Tak, coś w tym wszystkim nie grało. Mieli go za takiego geniusza zbrodni, a on niemal daje im cynk, gdzie się ukrywa. Po co?

Dokładnie, gdy drzwi klatki schodowej otworzyły się przed Brązowym i dzieckiem, Monę ze zdwojoną siłą zaatakowała ta niepokojąca myśl.

A jeśli Niebieski wcale nie popełnia błędu, tylko z nimi pogrywa?

Jeśli ten drań robi to celowo?

Jeśli ma w tym wszystkim jakiś ukryty plan?

*

Zgodnie z poleceniem, od kilku dni uważnie oglądała programy informacyjne i przeglądała portale. Na razie na próżno. Nie było oczekiwanej informacji. Wciąż go nie złapali. Wymówiła umowę najmu gabinetu kosmetycznego. Więcej się tam nie pojawi. Trochę szkoda było jej zrezygnować z usług robienia tatuaży, ale z drugiej strony była tym naprawdę zmęczona. Owszem, stanowiły odskocznię, artystyczną ucieczkę, coś, czego jej mąż nie rozumiał, ale na co pozwalał dla pieniędzy. Wszystko był skłonny zrobić dla nich. Dla kasy był zdolny na ostatnią podłość. Obiecała sobie, że nawet jeśli mąż wróci, jeśli go wypuszczą albo się wybroni, nigdy nie wróci już do świadczenia jakichkolwiek usług dla obcych. Chyba że za darmo. Obiecywał jej przecież, że będzie jego królową, księżniczką, a nie niewolnicą zarabiającą na jego zachcianki.

Pewnie, jak wróci, znów o tym zapomni.

Taki już był. Pamiętał tylko rzeczy, które chciał pamiętać.

Wieczorami starała się więcej przebywać z Adamem i próbować jakoś wkraść się w jego łaski. Okłamać, wytłumaczyć jakoś ojca, siebie. Ich. Bez skutku. Brakowało słów. Jak brakowało.

Syn udawał, że wszystko jest w porządku, ale nie mówił prawdy. Jego

prawdziwe JA zabarykadowało się gdzieś w środku i nie wychodziło.

Zastanawiała się, co powinna zrobić, jak uchronić dziecko przed burzą, która z pewnością nastąpi.

Myślała też dużo o poleceniach męża. O tym, czy powinna je spełnić? Czy też wykorzystać okazję, by się uwolnić?

Tylko czy potrafiła? Czy byłaby w stanie się go pozbyć raz na zawsze?

Nie, z pewnością nie.

On jej nigdy nie odpuści.

Żaden rozwód nie pomoże. Żadna skarga. Żadna ucieczka.

Znajdzie ich i upomni się o swoje.

Z takimi ludźmi umów nie zawiera się na papierze. One istnieją bez względu na formalności. I mają swoje konsekwencje.

Może przesiedzieć i dziesięć lat, ale zawsze kiedyś wróci.

I wtedy się z nią policzy.

Jeśli nie z nią, to z Adamem.

Dlatego nie miała wyjścia. Musiała grać w jego grę.

Przynajmniej na razie.

Bo z tego, co mówił, miał wrócić już za rok lub dwa.

Taki miał plan.

Oglądała więc telewizję, czytała wiadomości, bezskutecznie jak dotąd szukając istotnych dla niej informacji, a w nocy płakała.

Bezgłośnie i bez łez.

*

Niebieski był jakiś dziwny. Niepokoił go. Brązowy czuł się coraz bardziej skołowany. Mieli przecież ruszyć do Niemiec, a potem dalej, w świat. Mieli plany. A Niebieski nagle zaczął się zachowywać, jakby zachorował. I to psychicznie. Brązowy tłumaczył mu, że dziupla jest niebezpieczna, że psy mogą mieć na nią oko, a on nic. Kiwał głową. Zupełnie jak nie Niebieski. A dziś jeszcze wymyślił coś, co zupełnie się Brązowemu nie mieściło w głowie.

– Trzeba znaleźć kogoś, kto odstrzeli Różowego.

– Jak to?

– Załatwimy Różowego, nie będzie problemu. Tylko Różowy może nas wysypać.

– Ale.

– Znajdź kogoś.

Brązowy już nawet nie kontynuował dyskusji. Przeraził się nie na żarty. Niebieski naprawdę zwariował.

Z ulgą więc pożegnał się z kompanem i ruszył z malcem do windy.

Wyszli na zewnątrz, przeszli ulicę, tym razem nie zachowując ostrożności i wtedy się zaczęło. Nagle i bez ostrzeżenia wokół niego zaroilo się od czarnych postaci. Mierzyli do niego z broni i krzyczeli głośno, by puścił dziecko, które ciągnęło go za rękę i krzychało:

– Wujek, wujek, zobacz. Wszędzie żołnierze!

Chwilę później był już skuty na glebie i myślał, że w sumie to wcale dobrze się stało. Już wołał areszt, niż dalej przebywać z szalejącym Niebieskim.

*

Kroki na schodach. Krzyki. Walenie w drzwi.

Niebieski w sekundę zrobił rachunek sumienia. Czy na pewno wszystkiego dopilnował? Czy niczego nie sknocił? Dużo zależało od mecenasa, którego odwiedził tuż po ucieczce. I od Sylwii. Jeśli żona i papuga wykonają wszystko tak, jak się umówili, za rok–dwa będzie wolny. Chwilę poudaje, potem sprzeda dom, wyciągnie pieniądze z kryjówki i zniknie.

A może uda mu się przejąć cały interes Kudłatego, bo przecież do tego zmierzał.

Tyle wolnych dróg, czekających szans.

Kudłaty pozostawił wielką białą plamę, a przecież świat nie znosi próżni.

Co prawda wciąż był problem z Nikiforem, wciąż główny cyngiel Kudłatego mógł się zemścić, ale Niebieski nie bardzo w to wierzył.

Jeśli Nikifor będzie mądry, po prostu zniknie.

Zemsta nie ma sensu.

A on będzie na nią przygotowany.

Zabezpieczy się odpowiednio.

Stać go na to.

Za rok.

Walenie nasiliło się.

– Otwierać, policja. Otwierać!

Coś trzasnęło, huknęło, drzwi wyleciały z framugi.

Niebieski miał czekać, ale instynkt kazał mu podjąć jeszcze ostatnią próbę obrony. Wybiegł na balkon i wskoczył na barierkę. Drugie piętro. Cud, jeśli się nie połamie. Ale już tyle było cudów. Ostatnie zerknięcie za plecy. Trzech zamaskowanych policjantów mierzyło do niego z karabinów. Wiedział, że nie strzelą.

Zatrzymali się, jakby czekali, aż skoczy. Nie powstrzymają go. Chcą, żeby się połamał? Dla nich to lepiej? A co, jeśli mu się uda i ucieknie? To was nie

obchodzi?

Wtedy spojrział w dół i ją zobaczył.

Czekała tam na dole.

Gruba Mona. Tak ją kiedyś nazywali. Czytał o niej w gazetach. Widział zdjęcie. Na zdjęciu prezentowała się trochę gorzej, na żywo całkiem nieźle.

Wcale nie była gruba.

Może nie chuda, ale i nie gruba.

Z krzaków wychynęło czterech innych uzbrojonych policjantów w kominiarkach, kamizelkach i czarnych mundurach. Opleceni sprzętem, kaburami, dodatkową bronią i przewodami podpiętymi do kamer. Obok stanął gość bez munduru z dużą kamerą. Filmował go. Szeptał coś pod nosem. Coś jak: uśmiechnij się, jesteś w telewizji.

To koniec.

Nie było sensu się łamać.

Niebieski podniósł wysoko ręce, zszedł z barierki i spokojnie czekał, aż go powalą i skują.

*

Myślała, że przyjdzie jej znacznie dłużej czekać na wyjaśnienia zachowania Niebieskiego. Nadeszło niemal od razu, pierwszego dnia. Brązowy i Różowy milczeli. Niebieski naradził się z adwokatem i od razu po wejściu do pokoju przesłuchań wypalił:

– Pragnę skorzystać z dobrodziejstwa artykułu sześćdziesiąt kodeksu karnego.

Mały świadek koronny. A więc na to liczył. Ustawił Brązowego i Różowego, żeby odmawiali zeznań, a sam wszystko powie. Po swojemu. Całą winę spychając na towarzyszy. Którego zrobi hersztem? To było akurat oczywiste.

Dobrze to sobie wykombinował.

Wiedział, że tylko pierwszy zeznający może zostać świadkiem i liczyć na wyjątkowe złagodzenie kary. Pierwszy, pod warunkiem, że nie był wodzem.

Gdyby trafił na innego śledczego niż Mona, może by mu się nawet udało.

Ktoś inny mógłby pójść na łatwiznę, dogadać się z Niebieskim, pograżyć Brązowego i Różowego.

Dla statystyk nie było różnicy.

Ten sam wynik. Ta sama nagroda.

Odbębnić, przejść do następnej sprawy.

Ktoś inny mógłby tak zrobić.

– Dobrze – skinęła Mona, a w myślach dodała: najpierw cię wysłucham,

a dopiero potem powiem, co naprawdę o tobie myślę.

Epilog

Wrzesień, trzy lata później

[data: brak wpisu

Jesteś pewny, że chcesz usunąć całą zawartość swojego konta?

Jeśli potwierdzisz, wszystko zostanie skasowane.

Nie będziesz miał dostępu do wpisów i danych.

Znikniesz.

Jesteś pewny?

Wahanie. Jestem kobietą, wiesz? Co mnie obchodzi, że cię nieprecyzyjnie przetłumaczono? Dlaczego zawsze zadając pytanie używasz rodzaju męskiego?

Skasować? Jesteś pewny?]

Proces ostatecznie dobiegł końca, oskarżonych wyprowadzono, widownia powoli pustoszała. Daniel pozostał na miejscu. Patrzył na przewodniczącego składu sędziowskiego, który przed chwilą uzasadnił ustnie orzeczenie, a teraz pospiesznie zbierał swoje notatki i szykował się do wyjścia. Ani razu nie spojrzał na Daniela, choć ogłosił korzystny dla niego wyrok, znacząco podwyższając kary.

Sprawa odfajkowana, pora przejść do następnej.

Czy jutro będzie jeszcze o niej pamiętał? Rozpozna moją twarz na ulicy?
Ukloni się Ani?

A Daniel?

Powinien być zadowolony? Chyba tak.

W końcu dostali wysokie kary.

Niebieski też, jak sędzia, nie patrzył Danielowi w oczy. Przez cały proces ani razu. Nawet gdy przeproszał Anię, jego i dzieci za piekło, które im zgotował. Udawał szczerłość, starał się być wiarygodny, ale na spojrzenie się nie zdecydował. Wiedział, że Daniel wyczyta w nim kłamstwo. Bo Niebieski niczego nie żałował. Jak to ocenili psychiatry, był patologicznym psychopata, którego każde działanie zostało wymierzone na osiągnięcie określonego efektu. Teraz jego celem był jak najniższy wyrok, a do tego mogły przyczynić się przeprosiny i te wszystkie listy, które wysyłał, starając się przekonać i jego, i Anię, że się zmienił. Że chce naprawić szkodę. Oddać im pieniądze. Zadośćuczynić.

Kłamstwa.

Bezczelny typ. Zaraz po aresztowaniu zaczął zeznawać, całą winę zrzucając na Brązowego.

Brązowy z Różowym go w to wplątali.

On tylko pomagał.

Odegrał mało istotną rolę.

Nawet nie brał udziału w pilnowaniu porwanej.

Tylko pomagał odebrać okup.

A wszystko to ze strachu przed Brązowym, bo nie wiecie, do czego jest zdolny.

Tak więc, mogę posiedzieć ten rok czy dwa...

Jakim trzeba być człowiekiem, żeby nie mieć żadnych skrupułów, żeby mieć na każdą sytuację alternatywę, żeby tak cynicznie zdradzać i manipulować?

Jesteś diabłem? Wcielonym, czystym złem?

Daniel aż się wzdrygnął na wspomnienie tej chwili, gdy po raz pierwszy Mona poinformowała go, kim są porywacze i opowiedziała mu o Niebieskim.

Sąsiad, prawie bliski znajomy. Zamieszkujący w domu kilka kilometrów od posesji Waisa. Ojciec chłopaka w podobnym wieku, co syn Daniela. Chłopaka, który próbował nawet zaprzyjaźnić się z jego synem.

Jakim cudem nigdy się nie spotkali na dłużej, nie zamienili paru zdań, nie uścisnęli dłoni?

Dlaczego nigdy nie zwrócił na niego uwagi?

Może dlatego, że od zawsze planował to, co chciał zrobić.

Gdy Daniel zobaczył pierwszy raz zdjęcie tego przystojnego, wysportowanego mężczyzny, jak przez mgłę zobaczył go wtedy, przy sklepie, z Biernatem. Jedynie to mógł przywołać z pamięci.

– Ciągłe zaprzeczanie, że to Biernat zlecił porwanie – głos Mony wyrwał go ze wspomnień. – Tak jak nie chce się przyznać, że próbował zrobić Nikifora, żeby zająć jego miejsce w hierarchii.

Tak, ciągle zaprzeczał. Podobnie jak pracownica banku i narzeczona

Różowego w jednej osobie zaprzeczała, że sprawdzała konto Daniela. Same dziwne zbiegi okoliczności. Policji nie udało się udowodnić związku żadnej z kobiet z porwaniem. Nie oskarżono ani żony Niebieskiego, ani konkubin, ani kobiety wynajmującej dom. Świadcstwo Ani o kanapkach robionych kobiecą ręką było za słabe.

– Może boi się zemsty z za grobu – mruknął Daniel. Zerknął na zegarek. – Jedziemy?

Mona skinęła głową, jakby trochę zaskoczona, że podtrzymał złożone kilka dni temu zaproszenie. W sumie nie była pewna, czy chce zacieśniać tę znajomość, ale uznała, że może szczerą rozmową z Danielem pomoże i jej ułożyć ostatnie brakujące klocki.

– Domyśla się pan, dlaczego Biernat to zrobił? Jeśli...

Jeśli zrobił? Tak, Daniel był pewien, że zrobił. Ale jak wyjaśnić motywy? One kryły się w podtekstach i subtelnych odcieniach różnych zjawisk związanych z Biernatem i jego dziwną osobą.

– Musiałaby pani poznać Biernata, żeby zrozumieć – powiedział tylko. – Skoro był w jakimś sensie szefem dziwnej mafii byłych przestępców, trzeba szukać innych przyczyn niż skłonność do zbrodni?

Oboje jednak wiedzieli, że to nieprawda. Wszystkie zlecenia realizowane przez Biernata miały jakiś cel, jakąś przyczynę. Twardą, namacalną. Pieniądze, interesy, zemsta.

Mścił się? Jeśli tak, za co?

Wais może wiedział, może nie.

Wyszli z budynku i ruszyli na parking. Daniel podszedł do dużej limuzyny i otworzył jej drzwi. Mona wsiadła do środka i rozejrzała się po przestronnym, luksusowym wnętrzu. Nie robiło na niej specjalnego wrażenia, raczej odrzucało.

Po co wydawać tyle na zbędne rzeczy?

Spojrzała na Daniela z naganą. Mało panu kłopotów? Po takich wydarzeniach trzeba wyzywać los jeżdżąc autem za milion?

– Nie wygrają ze mną – szepnął, jakby chciał to wyjaśnić. – Nie dam się zastraszyć.

– Myśli pan, że bandyci nie zaatakują twardego?

– Nie wiem. Myślę, że powinni się dwa razy zastanowić.

Popatrzyła na twarz tego mężczyzny, zjechała wzrokiem niżej na kaburę z glockiem. Identyczny jak jej. Diesel opowiadał ostatnio, że Wais na strzelnicy robi ogromne postępy. Tak mu mówili kumple z Gdańska. Strzela lepiej od szkolących go byłych antyterrorystów. Może ma rację. Może to jest sposób. Nie poddawać się. Pokazać, że ma się jaja jak dzwony.

Że w razie awantury, ten człowiek nie ustąpi na krok. A potem będzie dojeżdżał wrogów, tak jak to robi z tymi bandziorami. Bez żadnej taryfy ulgowej.

Może racja.

Auto płynnie wjechało na drogę szybkiego ruchu. Wais przyspieszył.

– Jak się czuje pani... narzeczony? – Zapytał.

Jak człowiek, który właśnie dostał drugą w życiu kulkę – pomyślała. Diesel po postrzale od Menago wykurował się w zaledwie pół roku i wrócił do służby tylko po to, żeby zaliczyć następną ranę, tym razem od noża.

Pech to pech.

Ostatnie parę lat przed poznaniem Mony praktycznie żadnych ran, a teraz taki nawał przygód. Może to Mona przynosiła mu pecha. Jak masz szczęście w miłości, to cię szlag trafi na ulicy? W zeszłym miesiącu pocisk kalibru 9 mm przeszył Dieslowi ramię. Na szczęście w porównaniu do postrzału od Menago to było draśnięcie.

– Dobrze. Już mu się prawie kończy zwolnienie.

Zjechali z obwodnicy, przejechali gęsty las, skręcając na krzyżowce w kierunku wiosek położonych na obrzeżach Trójmiasta. Przejechali przez zabudowania. Okolica robiła się coraz bardziej wyludniona, ale nie była już tak atrakcyjna. Żadnych lasów, wzgórz, serpentyn. Zwykły, coraz bardziej płaski teren, oszpecony dodatkowo szeregowo ustawionymi magazynami i wielkimi, nieczynnymi wiatrakami.

Wais jechał na pamięć, wielokrotnie łamiąc przepisy, nie zatrzymując się na „stopach” i przekraczając prędkość ograniczoną nie do końca uzasadnionymi znakami.

Zwolnił przed ostatnim przejazdem kolejowym, skręt w prawo, w lewo i byli na miejscu. Zaparkował przed halami fabrycznymi i poprowadził Monę do jednej z nich. Policjantka myślała, że będzie opuszczona, wymarła, bo w pobliżu nie kręcili się żadni ludzie, ale o dziwo zobaczyła przestronne wnętrza wypełnione nowoczesnym sprzętem. Długa taśma rozgranego, pracującego bez ustanku sprzętu produkowała wielkie instalacje dla placów zabaw, przedszkoli i parków.

– Cieszę się, że się panu udało podnieść.

Nie odpowiedział, a jej się zrobiło głupio. No tak, firmę odbudował, ale rodzina mu się rozsypała. To, w co najbardziej wierzył, upadło. To, dlaczego był gotów zrobić wszystko, już nie istniało.

*

Hausberger aż się wzdrygnął, gdy usłyszał to nazwisko.

– Wais. Naprawdę pan o nim nie słyszał?

Otarł pot z czoła. Wrzesień, a taki upał. Może źle się ubrał i to dlatego się tak pocił.

– Chłopak z Sopotu – kontynuował bankier. – Niesamowity. Naprawdę niesamowity. Trzy lata temu miał jakiś problem z gangsterami. Nie wiem dokładnie jaki, ale podobno wyszedł z tego jeszcze silniejszy. Zbudował taką fabrykę, że pozamiatał całą konkurencję. Teraz głównie eksportuje. Mój makler mówił, że dają mu wycenę na pół miliarda, a on nie chce słyszeć o żadnej giełdzie. Strasznie się marnuje. Może pan spróbuje?

– Nie, raczej nie – głos Hausbergera zabrzmiał zadziwiająco słabo.

– To klient w sam raz dla pana. Perspektywiczny. Jest co pokazać, ma osiągnięcia, wizję, świetną historię...

– Sprawdzę – skłamał.

– Radzę się spieszyć. Cóż, pójdę już...

Wstali, wymienili uściski. Hausberger poczekał, aż bankier wyjdzie i usiadł ciężko na kanapie. Wais wracał nie po raz pierwszy. Przez te trzy lata nie dawał o sobie zapomnieć. Ustalony rozejm trwał i przynosił zaskakujące profity. Hausberger dzięki niemu zdobył kontrakt dla banku Waisa, któremu obiecał, że nie dopuści do procesu z przedsiębiorcą.

Jego pierwszy prywatny bank w portfolio.

Zadowolony.

Dzięki temu zyskał kolejnych klientów.

Jeden polecał drugiego.

Biznes także mu się cywilizował.

Partnerzy porozchodzili w różne strony. Jeden odszedł do zbrojeniówki. Drugi zachorował i wyjechał na leczenie do Izraela. Trzeci zaangażował się w jakiś ruch religijny i postanowił poświęcić ratowaniu dusz. Czarnula też odeszła, bo się rzekomo zakochała. Podobno nawet dzięki jednemu z jego zleceń, choć nie wiedział, któremu.

Hausberger został sam.

Początkowo przerażony, niepewny, z brakiem wiary w przyszłość.

Szybko obłaskawiony przez los.

Miał szczęście.

Nigdy nie stanie się kimś takim jak Wais. Nigdy nie stworzy czegoś z niczego. Pozostanie tylko pijawką. Jednak zawsze ktoś będzie go potrzebował.

Kolejny interesant przyszedł dziesięć minut przed czasem. Jowialny, głośny, gestykujący. Jak każdy człowiek trzymający władzę. Zamówił najdroższą potrawę i wino, ponarzekał, że wcale niesmaczne, jak na cenę, po czym nachylił się do ucha Hausbergera i poprosił, by ten pośredniczył w rozmowach na temat obsady naczelnego w jednej z polskich gazet.

Wykorzystaj swoje amerykańskie kontakty.

Przedstaw naszą ofertę.

Hausberger rozparł się wygodnie i po raz drugi tego dnia pomyślał, że tacy

ludzie, jak on, są temu światu potrzebni.
Czasem tylko bywają źle zrozumiani.

*

Mona siedziała nad raportami dotyczącymi uprowadzeń i myślała o wizytacji w fabryce Waisa. Czy te stosunkowo wysokie kary otrzymane przez bandytów są w stanie go pocieszyć? Czy ktoś może z czystym sumieniem powiedzieć, że cała ta skomplikowana sprawa zakończyła się jak należy? Jak wyjaśnić fakt, że tak wiele osób nie poniosło żadnej odpowiedzialności? Bankierzy, Hausberger, Wilkosze, ksiądz, który sfałszował listy uczestników wycieczki, kobiety pomagające porywaczom.

A Nikifor?

Diuk ma co robić.

Ale co ze sprawiedliwością?

Ta ślepa dopadła Biernata, tylko czy ich powinno to cieszyć?

Diuk.

Do dziś nikomu nie wyjawiał, dlaczego zrobił pułapkę w domu Menago, w którym ukrywał się Wilkosz, a odpuścił inwigilację Biernata. Mona mogła tylko podejrzewać, że dogadał się ze starym jubilerem i mafiosem, potraktował jak informatora czy świadka. Pewnie dlatego Biernat chciał wyjechać z kraju. Zawarł pakt z Diukiem, w zamian miał zniknąć. Dla Diuka sytuacja idealna: wyłapie klub zabójców, nie będzie musiał borykać się z najtrudniejszym: udowodnić winy zleceniodawcy i organizatorowi. Sukces.

W aktach zostawił pełne luk zeznania i dowody. Znaleźli serwer, przez który zlecano zabójstwa Nikiforowi. Na serwerze była informacja, że kolejnym celem ma być Menago, rzekomy zdrajca i informator policji, zastawili pułapkę. Nikifor nie kupił bajeczki o zdradzie Menago. Wolał swój nos i poszedł do opiekuna i zbawcy.

A może ktoś zlecił mu zabójstwo szefa?

Może ktoś także Nikiforowi zaproponował układ?

Może sam Diuk?

Wiele pytań.

Bez odpowiedzi.

Nigdy nikt ich nie uzyska.

Nawet Prygiel łaskawca i jego cień z kibla.

Dranie.

Zadowolili się jednym krytycznym materiałem, w którym nastąpiła zmiana warty z Księcia na Monę. Potem przejęli sprawę, dogadali się z Diukiem. Tacy zawsze się dogadują.

Lepiej przecież chwalić się sukcesem niż roztrząsać porażki. Diuk więc odszedł w cień i przestał uzurpować sobie prawo do jedynek. Mógł skupić się na ściganiu Nikifora. W mediach za to objawił się nowy koordynator służb specjalnych, dziwnym trafem blisko związany z grupą prokuratorów.

Młody, pazerny na sukces technokrata. Zdolny i przebojowy. Przystojny, z ładną żoną. Aspirujący do najwyższych laurów. Przyszły minister, prokurator generalny a może premier. Potrafiący sobie dobierać właściwych współpracowników, takich jak Prygiel i Mona.

Przydupasy.

Czy jesteś szczęśliwa z takiej roli, pytała czasem sama siebie.

A mam wyjście?

W końcu dostałam awans, stałam się pierwszym nadwornym przydupasem ministra, lewą ręką, bo prawa była znacznie bardziej proporcjonalna. Jak to mówił Diesel: z szansami na głębszą penetrację ministerialnego tyłka.

– Wielkimi szansami – rechotał ON.

– Nie tak wielkimi jak Proporcjonalny.

– Ten to dopiero zrobi karierę.

Tak, zaraz po awansie Prygiel pojawił się u niej i nie omieszkał zostawić zawołowanej wiadomości w postaci karteczki z sygnaturą prowadzącą do przykrytej już grubą warstwą kurzu teczki z dokumentacją przecieku do mediów, który można było zawsze odgrzebać. Złamana tajemnica śledztwa to złamana kariera.

– Jeśli będę chciała na emeryturę, wystarczy podać ten numer u kadrowej.

– Chyba lepiej niż wybrać drogę syntezatora mowy.

Iwona odeszła z ABW dwa miesiące po nieudanej akcji w domu Menago. Rzekomo na własną prośbę, ale kumple donieśli Dieslowi, że nakryto ją z prochami. Diuk ją podobno rzucił, wybrał żonę. Starą, brzydką, ale przyzwyczajoną do jego skoków w bok. Iwona została na lodzie. Mimo że różni agenci próbowali jej pomóc (z takim ciałem nietrudno o opiekę), ostatecznie skończyła w opłakanym stanie, udzielając wywiadów tabloidom, a na koniec wiążąc się z kontrowersyjnym politykiem, który walczył z systemem.

Mona spotkała ją na jednej z pierwszych rozpraw Niebieskiego, Brązowego i Różowego. Dziwne, nawet nie czuła żalu. Poszły na kawę, lecz rozmowa się nie kleiła. Obu za to chodziło po głowie niewypowiedziane pytanie. Na czyje zlecenie Menago zabił Martę Furman? Jeśli zabił.

– Masz ochotę na lody?

ON patrzył oniemiały.

– Co?

– Lody? Ostatnia szansa w te wakacje.

– Jest wrzesień.

- O tym mówię. Za chwilę zamkną.
- Nie jadasz lodów – zauważył ON.
- Ale ty jadasz.
- No. Jadam.
- Więc?

Diesel wzruszył ramionami.

- Dobrze. Pewnie.

Wyszli. Ostatnie dwa dni w Trójmieście i oni idą na lody.

- Gdzie mnie zabierzesz? – Zapytała Mona.

- Może w tych knajpach wegańskich mają jakieś dietetyczne?

– Żadne dietetyczne. Chcę obrzydliwie tłuste, napakowane bakaliami, piekielnie mocne, radośnie soczyste, normalne kremowe lody.

Diesel pokręcił głową.

- Mówisz jak nie ty.

- Ja. To ja. Prawdziwa ja.

I zaprowadziła go do knajpy, w której podawano takie właśnie lody i w której bywała już nie raz. Niezbyt znanej, z dala od zgiełku, na peryferiach. Lody w niej były średnio smaczne, za to widoki z tarasu niebywałe. Szczególnie na ścianę wschodnią, gdzie budowano kolejne osiedle nowoczesnych domków jednorodzinnych. Mona nie powiedziała Dieslowi, że jeden z nich należy od niedawna do mamy Marty Furman i został jej sprzedany za gotówkę przez spółkę powiązaną ze starym Wilkoszem.

Diesel pochłaniał wstrętny, ociekający lukrowanymi owocami puchar lodowy de lux, a ona najadała się tym widokiem oraz widokiem okolicy ze szczególnym uwzględnieniem wspomnianej posesji. W myślach wypowiadała jedno, krótkie zdanie:

„Nie ma przypadków.”

*

Wrócił do domu. Cichego i pustego. Ania odeszła z jego życia, wybrała inne. Eliza też już spała u nowego chłopaka, Michał wróci pewnie późno w nocy albo też gdzieś zabaluje. Za kilka miesięcy także odejdzie. Zostawi go. Jak inni.

Zostanie całkiem sam.

Usiadł przy basenie.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi tarasu. Ciche, ledwie słyszalne.

Wstał, otworzył i uścisnął dłoń gościa.

Ojciec wyjął zza pleców butelkę.

- Moja kolej.

Daniel wziął whisky i podszedł do barku.

– Czterdziestoletni macallan – pochwalił się ojciec.

Młody Wais pokiwał głową, uśmiechnął się i odparł:

– Zwykły bimber.

Ojciec nie zareagował na żart, coś go wyraźnie trapiło.

– O co chodzi, tato?

– Hm, nie wiem jak ci to powiedzieć.

– Prosto z mostu.

Ojciec pokiwał głową, sięgnął do kurtki, wyjął złożoną na cztery kartkę papieru. Rozłożył ją i podał Danielowi. Artykuł. Kopia artykułu z gazety z dwutysięcznego dziesiątego. Marta Furman. Znow wraca. Niezależnie do końca sprawy wracają. Nagle uderzyło go coś w spojrzeniu ojca. Od początku wiedział? Drań.

– Więc... to ty. Ty zostawiłeś mi tę gazetę?

Ojciec nie odpowiedział.

– Przyszła razem ze zdjęciami. Poczta.

– Jakimi zdjęciami?

Stary uciekł wzrokiem w bok, wyraźnie speszony.

– Podarłem je. Ale dziś... powinieneś nam to wyjaśnić. Mnie i Elizie.

– Elizie?

Chrząknął. Wyraźnie trudno było mu o tym mówić.

– Teraz myślisz, że jesteś... homoseksualistą. Że coś cię łączyło z Arturem.

Zatkało go. W pierwszej chwili. W drugiej roześmiał się gardłowo.

Następnie aż prychnął ze złości.

– Skąd ten pomysł?

– Wtedy, w leśniczówce, on coś jej powiedział, coś zasugerował...

Co za bzdury?

Złość. Szybko zastępowała zaskoczenie.

Miał ochotę zerwać się, pojechać do Wilkoszów i...

Nie dokończył. Coraz częściej nie kończył.

– Wiem – ciągnął ojciec, – wiem, że to nieprawda, ale i tak powinieneś mi powiedzieć, co zrobiłeś? Czy... to ty? Zrobiłeś coś tej dziewczynie? Marcie? Powiedz mi! Zrobiłeś?

Nagle wydarzenia sprzed lat powróciły, zaatakowały go z całą siłą. Czerwiec przed laty. Gorąco. Noc. Poczł ucisk w gardle jak wtedy, gdy pierwszy raz usłyszał od Biernata o zaginięciu Marty, możliwym związku jej i chłopca Elizy, możliwym zabójstwie. Zareagował zdecydowanie zbyt emocjonalnie, impulsywnie. Jak furia. A jak miał zareagować na wieść, że chłopak córki może być mordercą? Pojechał pod kasyno, wyczekał go, śledził, a potem... zaatakował. Zaciągnął Artura do samochodu, wywiózł na odludzie, do lasu, wyciągnął z auta, poszarpał,

zacisnął dłonie na szyi. Był gotów zabić. Centymetry od tej decyzji. Jeden mocniejszy ucisk. Zaciskał dłonie na szyi dzieciaka i kalkulował. Na szczęście. Nie pozwolił, by emocje zwyciężyły. Biernata z nim nie było. Ale siedział w głowie. I podpowiadał. Radził. Ciągłe sączył jad. Zabij szczyła! Zrób, co trzeba! Uratuj Elizę. Szeptał, by to zrobił. Przekroczył ostatnią granicę, wrota do piekła. Powinieneś to załatwić. Jeśli ten gnój zabił jedną, może zabić drugą. Twoja Eliza jest w niebezpieczeństwie. Broń jej! Tylko w jeden sposób możesz ją obronić.

Tylko usuwając z drogi prawdziwe zagrożenie.

Wzdrygnął się na to wspomnienie. Mózg przetwarzał obrazy sprzed lat poddając kolejne kadry. Nie mógł. Nie potrafił zabić. Puścił. Odskoczył. Przerażony siebie. Czekał, gotów do kolejnego ataku. Artur oddychał gwałtownie. Łapał powietrze. Cieszył się, że żył, choć kaszłał i złorzeczył. A potem, drżąc i kuląc się słuchał.

Uważnie chłonał słowa Daniela o tym, że ma się odczepić od jego córki, zostawić ją w spokoju, porzucić raz na zawsze.

Jeśli zobaczę cię z nią jeszcze raz, zabiję!

To zrobił.

Tylko.

Aż.

Zbyt wiele. I tak niewiele dla tej zaginionej.

Nie mógł się przyznać.

Elizie.

Annie.

Ojcu.

Stary by zrozumiał. Pewnie nawet poparł.

Ale po co było go tym obarczać.

„Są rzeczy, które mężczyźni robią, które muszą robić.”

A potem powinni o nich zapominać.

Dla niej. Robić i zapominać.

Milczeć.

Rzeczy, do których nie chcemy się przyznać. Rzeczy, które pozostają z nami na zawsze. Choćbyśmy nie wiadomo jak chcieli zapomnieć.

Dla niej wszystko.

– Zrobiłeś? – Powtórzył ojciec. – Powiedz „tak” albo „nie”. Zrozumiem.

Daniel uśmiechnął się słabo. Pokręcił głową.

– Nie, tato. Nic jej nie zrobiłem.

Nikommu nic złego nie zrobiłem.

Prawie.

*

Sierra, Olmeca, Bacardi...
Jej tajny szyfr.
Niepełny, stary, nieprawdziwy.
Barek jest już zamknięty. Od dwóch lat.
Pokonała demony.
Część.
Inne wciąż pokonuje.
Nie dla niego.
Dla siebie.
On też tylko mówił, że dla niej zrobi wszystko.
A tak naprawdę robił dla siebie.
Twierdzi, że dla rodziny.
Ważniejszy ogół niż szczegół.
Może i ma racje.
Ona uważa inaczej.
W każdym razie, udało się.
Potrafi już nawet patrzeć na butelki, przebywać z innymi pijącymi i nie czuć
potrzeby.
Gdzieś tam drzemie, ale ona jest już silna.
Nabiera siły z każdym dniem.
Z każdą nieprzespaną nocą.
Niektóre przesypia.
Mniejszość.
Jeszcze gorsze są chwile, gdy wychodzi z małych pomieszczeń.
Windy. One są najgorsze.
I piwnice.
Do nich nie śmie nawet wchodzić.
Zamurowała garderobę.
Dawno.
Odbudowuje się, rodzi powtórnie.
Powoli.
Czasem patrzy na wschód. Tam, gdzie zostawiła przeszłość. Gdzie wciąż jest
ktoś, kogo kiedyś kochała. Tak samo skażony, zbrukany jak ona.
Gdyby nie to wszystko, wciąż byłiby razem.
Ktoś im zabrał to razem.
Ktoś przekreślił.
Na zawsze.
Ją i jego.

Oboje muszą szukać kogoś nowego.
Dla kogo będą gotowi zrobić wszystko.

*

ARTYSTA <<Podobno jeszcze chodzisz przy Stokrotce?>>

MONA <<Tak?>>

ARTYSTA <<Natrafiliśmy na coś.>>

MONA <<Dawaj.>>

ARTYSTA <<Na maila podeślę. To z jednego ze shakowanych serwerów tej firmy kradnącej dane klientów.>>

MONA <<Co znalazłeś?>>

ARTYSTA <<Sama przeczytaj. Waisowa prowadziła pamiętnik internetowy. Wykasowała go, ale drugi użytkownik nie zezwolił na zniszczenie danych.>>

MONA <<Drugi użytkownik?>>

ARTYSTA <<Ktoś się włamał na jej konto, nadał sobie pełne uprawnienia i przez prawie rok podglądał wpisy. Tak wynika z logów. Do niektórych robił ukryte tylko dla jego oczu notki. Całość masz na eftepie pod wskazanym linkiem. Najciekawszy jest jednak ostatni wpis>>

[10 lipca, noc

Nie masz racji Anno. Nie tylko jestem twoim przyjacielem, ale i wielbicielem. Zawsze ci odpowiadam, zawsze kiedy prosisz. Nie możesz tylko przeczytać moich odpowiedzi, bo nie chcesz ich zobaczyć. Nie chcesz uwierzyć, że jestem prawdziwy. Że jestem obok i czekam, zawsze gotowy, by wziąć cię w ramiona, choćbyś mnie skrzywdziła jeszcze bardziej, choćbyś nazwała jeszcze gorzej niż Brzydalem. Jestem, pragnę, czekam. Ale ty wolisz pić i łudzić się, że on się zmieni. Wolisz nie widzieć prawdziwej przyjaźni, prawdziwej miłości.

Wiedz zatem, że sama jesteś sobie winna. Sama to sobie zrobiłaś i robisz dalej. Gdybyś tylko dostrzegła mnie wcześniej, zrozumiała, uwierzyła w moją miłość, doceniła dar, który ci oferowałem, dziś byłabyś zupełnie kim innym. W innym miejscu, ozłocona, na królewskim tronie. Nigdy też nie spotkałoby cię to, co cię spotkało. Powiem więcej, nigdy nie byłoby tych wszystkich śmierci przez ciebie. Nawet mała Martusia by nie musiała umrzeć.

Tak, umarła dla ciebie. Po to, by można było uwolnić cię od Daniello. Gdybym tylko polecił to Nikiforowi, tak by się stało. Ale Nikifor był zbyt zajęty w innym miejscu. A głupek Menago niestety... to nie Nikifor. Zamiast słuchać poleceń, musiał chcieć się zabawić. Przeciągnąć sprawę o te parę dni. Moja wina. Gdybym wprowadził go w PLAN, gdybym uświadomił jak ważnym jest precyzja i zachowanie ustaleń, może przyłożyłby się bardziej. A tak Daniello wyjechał na dzień przed zabójstwem, miał niepodważalne alibi, nie takie jak Menago czy ten głupek Artur. A zatem nie mógł być winny zbrodni, którą tak dobrze przygotowałem i w którą tak misternie chciałem go wplątać. Tak, gdybyś tylko wiedziała, jak wspaniały był to plan, jak dobrze przemyślany i opracowany. Zawiódł, bo przeceniłem lojalność Menago, nie doceniłem zaś siły instynktów i emocji.

Marta umarła na próżno, nawet nie można było ujawnić jej ciała. Bo co by to było, gdyby policja odnalazła przy ciele DNA twojego męża, jego włosy, jego odciski, wiele innych śladów, a potencjalny sprawca miałby takie alibi? Nic by mu nie mogli zrobić. Za to zaczęłoby węszyć za mną. I on zacząłby węszyć.

Tak więc Martusia musiała zniknąć. Biedna. Na zawsze.

Zostały tylko koszty. Szczęśliwie Wilkosz głupi dał się wrobić w różne podejrzenia i spłacił część moich kosztów i jeszcze kupił mieszkanie matce Martusi, która za nic go nie chciała przyjąć, ale w końcu uwierzyła, że on nie chce kupić jej milczenia tylko robi tak z dobrego serca.

Niewinni zwykle są głupcami.

Ale PLAN wciąż był realny. Miał dalszy ciąg, bo celem nie była Martusia, nie był nim nawet Daniello. Wiesz, kto był CELEM, prawda? Dobrze o tym wiesz.

Tak więc wymyśliłem coś innego. Podpuściłem furia, napuściłem go na Arturo. Myślałem, głupiec ze mnie, że da sobie radę bez mojej pomocy czy pomocy moich wytresowanych piesków. Myślałem, że wystarczy mu wszcześcić parę obrazków o zgwałconej, wypatroszonej Elizce, a rozprawi się z draniem raz na zawsze, a potem pójdzie grzecznie siedzieć na te dziesięć czy piętnaście lat,

skruszony, upokorzony, zawstydzony. Głupiec. Ze mnie i z niego. Jak mógł tak odpuścić, gdy był już tak blisko. Jedno mocniejsze zaciśnięcie palców i by się wydarzyło.

Nastąpiłaby jasność.

Dla mnie i dla ciebie.

Bo kogo byś miała przy sobie w tym trudnym czasie jak nie mnie?

Przecież na starego spiskowca nie mogłaś liczyć.

Dzieci by nie wystarczyły.

Potrzebowałabyś mnie.

Owszem, może nie od razu byś mnie pokochała. Ale z czasem...

Ale nie. Daniello był za słaby. Nie zabił. Nawet niespecjalnie skrzywdził. Nie było co liczyć na Wilkosza i jego zemstę. Nie było co płatać we wszystko policji.

PLAN znów zawiódł.

Domyślasz się, co było dalej? Wiesz? Prawda?

Wiesz, po co przyszedłem do ciebie z tymi zdjęciami Artura i Daniello? Dlaczego ci je pokazałem z tym skruszonym spojrzeniem, łamiącym się głosem? Dlaczego próbowałem go bronić, wytłumaczyć. Odmienna orientacja seksualna to przecież nie choroba. Zdarza się w najlepszych rodzinach. Należy ją zrozumieć.

Fakt, trochę podrasowałem te zdjęcia z pomocą prawdziwych artystów, ale musisz przyznać, wyszły naprawdę wiarygodnie i przekonująco. Ależ wstyd. Cóż to byłby za skandal na salonach, gdyby się okazało, że znany przedsiębiorca posuwa syna znanego restauratora, na dodatek związanego z jego córeczką. Skandal na całą Polskę. Wszystkie tabloidy by chwyciły. Coś tak dramatycznego, że żona i matka powinna poszukać ukojenia w ramionach najbliższego przyjaciela.

Ale ty odrzuciłaś je.

Na dodatek nazwałaś go Brzydalem.

Śliniącym się Brzydalem.

Tego darować nie mogłem. Dlatego musiałaś cierpieć. Dlatego powinnaś umrzeć. Dlatego miałaś przekonać się, że on nie jest wart twojej wierności i miłości. Byłem pewien, że za ciebie nie zapłaci. Byłem pewien, że Niebieski skończy, co zaczął. Stało się inaczej, poniosłem porażkę i dziś... cóż, są na moim tropie.

To tylko kwestia dni.

Ale nigdy...

nigdy nie dowiedzą się tego wszystkiego.

Nie odnajdą wszystkich nitek.

Ty także nigdy nie poznasz całej prawdy.

Choć mogłaś.

Wystarczyło, żebyś mnie zobaczyła.

Żebyś wyłowiła z mroków tego, który czekał i był gotów.

Na wszystko.

Dla ciebie. Tylko dla ciebie

Dla ciebie był gotów zrobić wszystko.]

O Mnie

Jestem byłym dziennikarzem i autorem ośmiu powieści (m.in. „Wyrok”, „Formacja trójkąta”, „Człowiek, który musiał umrzeć”, „Sędzia” – wydanych przez Czarną Owcę). Zawsze pracowałem dla ludzi. Zawsze stawałem po stronie słabszych i biedniejszych. Chciałem pomagać im walczyć ze złem, z systemem, korporacjami, gangami. Próbowano mnie przekupić milionowymi łapówkami, potem szantażowano, grożono, wreszcie wytaczano seriami procesy, chcąc wsadzić do więzienia i zastraszyć ogromnymi odszkodowaniami. Pokusy pokonałem, przeciwników też, wygrałem wszystkie procesy. Jednak najcięższa walka dopiero przede mną. Walka o książkę, którą możesz na razie przeczytać tylko w tej – elektronicznej, pozbawionej redakcji i korekty – niedoskonałej wersji. Mam nadzieję, że kiedyś, w przyszłości trafi jednak do księgarń z właściwym przygotowaniem redakcyjnym i godną oprawą.

Mariusz Zielke

